

# MICHAŁ PROTASIUK

*Thriller psychologiczny  
z teorią strun  
i judaistyczną  
mystyką w tle*



A hand holding a blue handgun, with mathematical formulas and a string theory diagram in the background. The formulas include  $E = mc^2$  and  $E = hf$ . The string theory diagram shows a complex network of nodes and lines, similar to the one on the left.



powergraph

# AD INFINITUM

# Ad infinitum

Michał Protasiuk



**powergraph**

Warszawa 2014

Michał Protasiuk  
Ad infinitum  
ISBN: 978-83-64384-10-3

Wydawca:  
Powergraph  
ul. Ceglowska 16/2  
01-803 Warszawa  
tel. 22 834 18 25  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)  
[www.powergraph.pl](http://www.powergraph.pl)

COPYRIGHT © 2014 by Michał Protasiuk  
COPYRIGHT © 2014 by Powergraph  
COPYRIGHT © 2014 for the cover by Rafał Kosik  
COPYRIGHT © 2014 for the photo cover by Jan Kosik

PROJEKT GRAFICZNY: Rafał Kosik  
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Jan Kosik  
REDAKTOR PROWADZĄCY: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
REDAKCJA: Michał Cetnarowski  
KOREKTA: Maria Aleksandrow

**Wyłączna dystrybucja:**



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

# JEDEN

## TOMASZ/ WARSZAWA

Ciemność, która zapadła po tym, jak Adrianna opuściła żaluzje i zgasiła światło, była ciemnością zupełną. Tomasz poruszył się niespokojnie; spadał w gładką czerni bez punktów podparcia, bez możliwości zaczepienia wzroku. Oddychał ciężko. Gorący mrok przykucnął na klatce piersiowej, uciskał płuca, położył hebanową dłoń na ustach. Tomasz dusił się, chciał krzyczeć.

— Odstłoń okno — jęknął.

— Pada deszcz — odpowiedziała dziewczyna.

— Co z tego? — Stoczył się z łóżka i drżącymi dłońmi szarpnął za sznurek rolety.

Na zewnątrz szalała wichura. Burzowe chmury wisiały nisko nad Warszawą, kłębiły się na niebie po linię horyzontu. Niczym monstrualna, optyczna gąbka pochłaniały jasność stolicy. Blask latarni ulicznych, wystawy sklepów, reflektory samochodów – każde źródło światła rozpraszało się, ginęło, pożarte przez kłębowiska cumulonimbusów.

— Uwielbiam ten widok — powiedziała Adrianna, sięgając po papierosa.

Odrzuciła prześcieradło i usiadła na łóżku, poprawiając poduszkę. Była naga. Wymacała stojącą na podłodze popielniczkę. Pomarańczowa końcówka papierosa zataczała w półmroku epicykle.

— Zaraz zaczną walić pioruny. Popatrzymy? Zostaniesz jeszcze? — Zaciągnęła się i wypuściła dym ustami. — Nigdy nie pytałam, ile kosztuje wynajęcie kawalerki na ósmym piętrze apartamentowca.

— I nie pytaj. — Tomasz naciągnął bokserki, usiadł na podłodze, plecami opierając się o przyjemnie chłodną szybę. Był mokry od potu. Patrzył na Adriannę, jak strzepuje popiół z papierosa – cienkiego mentolowego vogue'a – jak krzyżuje nogi, poprawia włosy, odchyła głowę i spokojnie oddycha. Naga dziewczyna zachowywała się naturalnie, nie krępowwała się nagością.

— Zawsze mnie śmieszyło, że trzydziestoosmioletni facet nosi gacie w słoniki. Wiem, nie kończ, kupuje ci żona na wyprzedaży w hipermarketowych koszach.

Tomasz uśmiechnął się, nie zareagował na zaczepkę. Wciąż nie doszedł do siebie po niespodziewanym napadzie klaustrofobii. Antropomorficzna czerń wokół niego jak topologiczna pułapka, która oddzieliła go od rzeczywistości i wypączkowała w innym wszechświecie.

— Źle się czujesz? Boli cię serce? Może powinieneś iść do lekarza, zrobić EKG? W twoim wieku wieńcówka już zabija.

— Zaraz mi przejdzie. Jak studia? — Zmienił temat.

— Jakoś. Raz lepiej, czasem gorzej. Nie jesteś moim ojcem. Nie musisz pytać. To moja sprawa.

— Nie jestem. Ciekawe, co o nas myśli ochroniarz na portierni? Zastanawiałaś się kiedyś?

— Myśli, że jesteś moim tatą? Moim bratem? Kochankiem? Kto go tam wie.

Mrok rozświetliła błyskawica i w pokoju zrobiło się jasno jak w dzień. Adrianna oddychała coraz szybciej, powietrze pachniało elektrycznością, seksem i tytoniem. Wciąż panowała nieznośna duchota i Tomasz myślał – chwycić krzesło za oparcie, zbić okno, niech do środka wtargnie wichura, krople deszczu zawirują na ostrych krawędziach szyb.

Sięgnął po pilota od klimatyzacji i obniżył temperaturę.

— Znów będziemy siedzieć w lodówce?

— Nie mogę oddychać. Jest za gorąco.

Kolejny piorun, tym razem bardzo blisko. Błysk i huk w tym samym momencie. Ada jęknęła i położyła dłoń na piersiach.

— Podnieca cię to? — rzucił rozbawiony.

— Może. Może właśnie o tym marzę? Kocham się z dzikim facetem na sawannie, leżymy w wysokiej trawie, leje deszcz, wałą pioruny. Trzęsę się z zimna pod jego umięśnionym ciałem. Skąd wiesz, jakie mam fantazje seksualne? Znasz mnie? Może czytam historyczne romanse Nory Roberts albo *Sagę o Ludziach Lodu*? — Uśmiechnęła się i okryła prześcieradłem.

Warknęła klimatyzacja, pompując do pokoju zimne powietrze. — Zaraz będę miała gęsią skórę.

— Gęsia skórka jest podniecająca. — Tomasz dźwignął się z podłogi i stanął w oknie. Z wysokości ósmego piętra patrzył na Warszawę tonącą w starotestamentowym potopie, na kule gradu bijące w dachy zaparkowanych samochodów, studzienki kanalizacyjne rzygające spienioną wodą, przemokniętych przechodniów, wygięte wichurą parasole. — A tak w ogóle, to chyba trochę cię znam.

— Tylko tak ci się wydaje.

Usiadł na łóżku i wygrzebał spod prześcieradła stopę Ady. Dziewczyna malowała paznokcie na niebiesko, płytki miały kształt symetrycznych trapezów.

— Masz łaskotki? — Delikatnie przejechał opuszką palca po podbiciu. Po urodzeniu Alicji sprawdzał w ten sposób odruch Babińskiego. Nowo narodzona córka przekrzywiała wówczas stopę do środka, wyginając paluch ku górze. Atawistyczna pozostałość po małpach, prowadzących nadrzewny tryb życia.

— Zostaw! — Ada wyrwała się i przeturlała pod ścianę. Prześcieradło zsunęło się na podłogę i dziewczyna znów była naga. — Nie lubię tego.

— Mam iść? Jesteś zmęczona? Po dwóch latach masz mnie dość? Powiedz.

— No nie, coś ty, możesz zostać. Zostań, ile chcesz. Tylko daj mi kilka minut. — Zsunęła się z łóżka i poszła do łazienki.

Wiódł za nią wzrokiem, patrzył na smukłe nogi kochanki, krzywiznę pośladków, profil linii pleców, opadające na ramiona jasne włosy. Dziewczyna zniknęła za drzwiami łazienki, szum prysznic był głośniejszy niż warczenie klimatyzatora. Tomasz zebrał porzucane po wykładzinie ubranie. Garniturowe skarpetki do pół łydki, zaprasowane w kant spodnie, letnia koszula z krótkim rękawem. Z nocnej szafki zdjął zegarek. Sprawdził godzinę.

Idzie pod prysznic nie później niż kwadrans po stosunku, pomyślał markotnie, kładąc się na łóżku i opierając głowę na skrzyżowanych z tyłu dłoniach. Patrzył w sufit. Czekał. Zastanawiał się, czy Adrianna uważa go za starca. Jak to jest, kiedy się z nim kocha, o czym wtedy myśli?

Za drzwiami łazienki zakrecono prysznic. Szurnęły rozsuwane drzwi kabiny. Tomasz zamknął oczy. Na obrazku pod powiekami: dziewczyna stoi przed lustrem, wciera krem w dwudziestotrzyletnie piersi. Chciałby to zobaczyć i zapamiętać, ale wiedział, że w końcu i tak zapomni. Entropia życia wsysała nieubłaganie.

Dochodziła dziewiętnasta. Za oknem wciąż trzaskały pioruny, a on leżał w ubraniu w skołtunionej pościeli, w której jeszcze dwadzieścia minut temu uprawiał intensywny seks. Atak duszności minął i znów czuł się dobrze. Wiecznie napięte mięśnie karku rozluźniały się, czemu towarzyszyło przyjemne pulsowanie w dole szyi. W takich chwilach nie myślał o niczym ważnym: wyobrażał sobie Adriannę, jak stoi pod prysznicem, kropelki wody na piersiach dziewczyny. Jaki ma wtedy wyraz twarzy? Nie planował powrotu do domu, rozmowy z żoną, kolejnej błahej wymówki, dlaczego został dłużej w pracy. Nie tęsknił za córką i jej osobliwym światem, pogmatwanym królestwem architektury niemożliwej, Escherowskim labiryntem ślepych uliczek, zdradliwych zapadni, wstęg Möbiusa i pętli bez wyjścia.

Co będzie dalej z Adrianną i z nim?

Wolał się nie zastanawiać. Dziewczyna kończyła czwarty rok studiów, międzynarodowe stosunki gospodarcze, w przyszłym tygodniu miała ostatni egzamin w sesji letniej. Zostało dwanaście miesięcy. Co potem? Wyprowadzi się z Warszawy, wróci do małego miasteczka na ścianie wschodniej? Może znajdzie pracę w stolicy jako asystentka w międzynarodowej korporacji, zacznie wynajmować kawalerkę z chłopakiem, jeździć do pracy metrem, odkładać pieniądze na mieszkanie? A on? Co zrobi? Znów ukradkiem (na służbowym laptopie) zacznie przeglądać internetowe strony w poszukiwaniu nowej, młodszej kochanki?

Drzwi łazienki otworzyły się i do pokoju weszła Adrianna. Miała na sobie czerwony szlafrok *frotté*. Mokre włosy związała wysoko, prawie na czubku głowy.

— Masz chłopaka? — zagadnął, nie ruszając się z łóżka.

Zatrzymała się niespodziewanie pomiędzy drzwiami łazienkowymi a panoramicznym oknem, zamierzając opuścić roletę, odciąć dopływ naturalnego światła, aby płuca Tomasza znów wypełniły się czarną farbą, lepkiem i śmierdzącym płynem o konsystencji oleju.

— Co to za pytanie? — obruszyła się. Podeszła do barku i sięgnęła po butelkę żurawinowej finlandii. — Nie powinieneś pytać. Umawialiśmy się inaczej. Zrobić ci drinka? Jesteś samochodem?

Skinął głową.

Ada była poirytowana.

— Co ty o mnie wiesz? Tak naprawdę. Zastanawiałeś się kiedyś?

— Przestań — jęknął. To była ostatnia rzecz, o jakiej chciał rozmawiać. Wiedziała o tym, czytała emocje z jego twarzy, ale mimo wszystko brnęła z uporem w bagno niechcianych tematów. Dlaczego?

— Pieprzymy się średnio dwa razy w tygodniu, a ty...

— Hej!

Poskutkowało. Dlaczego to powiedziała? Jaki efekt chciała uzyskać? Za oknem znów łupnął piorun, pokój rozświetlił trupio błydy rozbłysk, który niczym fotograficzny flesz wypalił w pamięci Tomasza stop-klatkę. Adrianna stoi przy barku i odkręca butelkę wódki. Szlafrok sięga nad kolana, poniżej lśnią nakremowane łydki. Sylwetka dziewczyny lekko przekrzywia się w prawą stronę, poprzez rozchyłone usta widać końcówkę języka. Spojrzenie płonie.

— Mi też nalej — powiedział. — Mało wódki, dużo soku. A zastanawiałaś się, co z nami będzie za rok? Skończysz studia, znajdziesz normalną pracę, stałego chłopaka. Zerwiemy wtedy?

Adrianna uśmiechnęła się kącikiem ust – poza kontrolą, w sposób całkowicie nieuświadomiony. Wódka chlupała przez dozownik do szklanki z grubego szkła, gdzieś na zewnątrz toczył się świat, zmokłe psy podkulały ogony, wichura rozgrzebywała śmietniki i łamała gałęzie drzew. Wyły samochodowe alarmy, ale wewnątrz mieszkania Ady panowała idealna cisza.

— A rzucisz dla mnie rodzinę? — zapytała.

Rzucisz dla mnie rodzinę? Tomasz znieruchomiał w połowie – ruchu, gestu, słowa. Zupełnie nowa myśl, nieoczekiwana perspektywa. Jak szybki cios w splot słoneczny; znów zaczął się dusić.

— Rzucisz dla mnie rodzinę? — powtórzyła. — Zrobisz to? Pytam zupełnie serio.



Tomasz usiadł na łóżku i zgarbiony patrzył na wykładzinę podłogową, zanurzył stopy w długim włosiu. Oddychał ciężko, a każdy oddech sprawiał ból.

— I co wtedy z nami będzie?

Ada oparła szklanke o krawędź ust, upiła małego łyka i skrzywiła się.

— Za mało wódki. — Sięgnęła po butelkę. Wzruszyła ramionami. — Wszystko zależy od ciebie. Wytrzymasz życie w jednym mieście z byłą żoną i córką? A może wyniesiemy się z tego zapyziałego kraju?

— Dziesięć lat temu pracowałem na kontrakcie w Budapeszcie. — Tomasz wstał z łóżka i podszedł do Adrianny. — Tam urodziła się Alicja. To były najpiękniejsze chwile mojego życia. Zanim Ewa zaszła w ciążę.

Chciał chwycić ją za rękę, ale dziewczyna zrobiła krok do tyłu, wyswobodzając się z uścisku. Nie powiedziała nic, ale popatrzyła mu uważnie w oczy, zmrużyła powieki i zacisnęła usta, aż zbieleły wargi.

— Naprawdę tego chcesz? Nie myślałem... Bardzo tego chciałem, ale... Jesteś pewna?

— Gdybym nie była, tobym nie zaproponowała.

Kilka minut później siedzieli na podłodze, opierając się plecami o łóżko. Palili papierosy, strzepując popiół do postawionej pomiędzy nimi popielniczki. Na zewnątrz wiatr rozganiał burzowe chmury, które przetaczały się jak piekielne wierzchowce nad dachami domów, masztami telefonii komórkowej, kominami i antenami satelitarnymi. Nie rozmawiali. Tomasz porządkował myśli.

\* \* \*

Spotykał się z dziewczyną ponad dwa lata. Poznali się przez Huberta – kolegę Tomasza z biura. Hubert był lekko po czterdziestce, piastował stanowisko dyrektora finansowego, miał sporą nadwagę i wiecznie kłócił się z żoną. Kluczowa rozmowa, wywracająca na nice porządek małżeńskiej rutyny, miała miejsce w sylwestrowy wieczór, który spędzili na firmowym balu.

Tomasz siedział za stołem, próbował jeść, ale każda potrawa miała smak tektury; wlewał w siebie morze alkoholu, jednak wódka jakby zmieniała się

w wodę i nie był pijany, choć desperacko pragnął się upodlić, zwymiotować w kiblu, obrzygać pantofle, stracić przytomność i cały następny dzień nie wstawać z łóżka. Jego żona na samym początku imprezy znikła w tłumie, otoczona towarzystwem podobnych do siebie sfrustrowanych bab pod koniec czwartej dekady życia. Nawet nie próbowali ze sobą tańczyć, nie było sensu udawać szczęśliwej pary. Nikt się nie nabierze.

Wtedy dosiadł się do niego Hubert. Wypili razem kilka kolejek wódki, wymienili kolekcję niezobowiązujących zdań. Hubert spojrzał mu głęboko w oczy, zobaczył w nich pustkę, westchnął, poklepał go po ramieniu i powiedział:

— Przejdźmy się. Pogadajmy.

Ze szklaneczkami w dłoniach wyszli na przeszklone patio. Po drugiej stronie szyby prószył drobny śnieg, świat wyglądał bajkowo i owa nierzeczywistość scenerii męczyła Tomasza, który nie potrafił przewyciężyć dojmującego poczucia uczestnictwa w szeroko zakrojonej manipulacji. Hubert odstawił szklanekę na stolik, złożył dłonie na wylewającym się zza paska brzuchu.

— Odmieniłem swoje życie — powiedział. — Kardiolog straszył zawałem, a teraz... Wszystkie wyniki idealne. Współczesna medycyna stoi bezradna w obliczu cudu — zarechotał.

Tomasz przysunął nos do zaparowanej szyby, patrzył na płatki śniegu wirujące w świetle latarni ogrodowej, świeże ślady kroków odcisnięte w białym puchu. Nie odpowiadał.

— Cud nazywa się Natalia i ma dwadzieścia jeden lat. Studiuje. Poznaliśmy się przez internet. Układ jest czysty jak łąza niemowlaka. Wynajmuję jej mieszkanie i dorzucam kilka stówek tygodniowo. W zamian mam dziewczynę na wyłączność. Żebyś ją zobaczył! Nigdy nie boli jej głowa, zawsze ma ochotę na seks. Mówi, że pierwszy raz zarabia w ten sposób, nie robi tego zawodowo, po prostu studiuje i potrzebuje mieszkania i forsy. A żadna kurwa z agencji, nawet najdroższa, najbardziej luksusowa *call girl*, się do niej nie umywa. I w dodatku można z nią pogadać. Nie tylko o tipsach i solarium.

— I rekomendują ją kardiologom...

Roześmieli się.

— Naprawdę znacznie mi się poprawiło. Seks z nią rozładowuje cały stres. Do zera. Po sesjach z Natalią jestem zupełnie innym człowiekiem, tryskam energią, mam na wszystko siły, znów mi się chce...

— Jaki ma to związek ze mną? — Tomasz wszedł mu w słowo.

— Też powinieneś spróbować czegoś podobnego. Męczysz się, człowieku. — Hubert protekcjonalnie poklepał go po ramieniu. — Widać na kilometr. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale wiesz, jak jest. Nie układa się z żoną, córka choruje. Powinieneś mieć coś z życia.

Tomasz zastanowił się, czy może po prostu dać mu w mordę: niech grube cielsko dyrektora finansowego runie na szklaną płaszczyznę, ostre krawędzie szyby pokaleczą obwisłe policzki, a czerwona krew chluśnie na biały śnieg. Co w niego wstąpiło? Dlaczego opowiadał takie rzeczy? Nie byli nawet bliskimi kolegami.

Z wyrazu twarzy Tomasza Hubert wyczytał obawę.

— Spełniam prośbę Natalii — jąkał się i tłumaczył. — Jej koleżanka, nazywa się Adrianna, również szuka sponsora. Pomyślałem o tobie, ale jeśli nie jesteś zainteresowany, nie ma problemu, przestanę ci zawracać głowę. Zapomnijmy o sprawie, pogadajmy o piłce nożnej i samochodach.

Tomasz wyjrzał przez okno na zaśnieżony, nierzeczywisty świat. A potem spojrzał na Huberta i jego małe, czarne oczka zapadnięte w tłustej twarzy. W źrenicach dyrektora finansowego płonęły gwiazdy, odbijała się w nich cała Droga Mleczna. Hubert był najszczęśliwszym facetem na ziemi, gościem, który chwycił życie za rogi.

— Daj mi jej numer — Tomasz wypluł z siebie słowa szybko, niewyraźnie. — Daj mi numer do tej Adrianny.

— Nie pożałujesz, stary, gwarantuję ci. Jeszcze do mnie wrócisz i podziękujesz. — Sięgając po komórkę, Hubert zanosił się śmiechem, a jego brzuch skakał niby potrząśnięty kisiel.

Tomasz zadzwonił dwa tygodnie później. Dwa bardzo ciężkie tygodnie później. Były momenty, kiedy sięgał po telefon, zamierzając wykasować numer dziewczyny z karty SIM, ale w ostatniej chwili zmieniał zdanie. Bił się z myślami każdego wieczoru, gdy wracał po pracy do domu i patrzył na Ewę: jak krząta się po kuchni, robi kolację, smaruje masłem kromkę pszennego chleba, wyjada łyżeczką jogurt. Gdy spędzał czas z Alicją, budującą

z klocków Lego asymetryczne gmachy, których architektura gwałciła prawa grawitacji. Gdy patrzył w matowe, autystyczne oczy córki, wyprute z empatii i emocji.

Nie podjął decyzji pod wpływem impulsu. To był długi, narastający proces. Wcale nie pokłócił się z Ewą, niczego sobie nie wypominali, nie szeptali przekleństw (cicho, by nie słyszała Alicja). Nic z tych rzeczy. Był wczesny, styczniowy wieczór i Tomasz zajrzał do lodówki.

— Skończyło się piwo — powiedział. — Skoczę do sklepu. Przynieść ci coś?

Ewa w milczeniu pokręciła głową. Do Adrianny zadzwonił, wracając z zakupami. Przyciskał do ucha telefon, dłoń bez rękawiczki zgrabiła z mrozu. Dziewczyna miała zestresowany głos, jak początkująca operatorka na bankowym *call center*. Denerwowała się bardziej niż Tomasz. Ustalili termin spotkania i szczegóły pierwszego kontaktu. Nie spotkają się na mieście. Nikt nie powinien zobaczyć ich razem. Przyjedzie do niej, do wynajętej kawalerki w wielkopłytyowym, bloku, niedaleko stacji metra Natolin. Wtedy Tomasz zdecyduje, co dalej. Brnąć w temat, czy wycofać się rakiem.

Pojechał następnego dnia, urwał się wcześniej z pracy. Adrianna otworzyła drzwi. Miała proste włosy do ramion, pachniała egzotyczną przygodą i nieodpowiedzialnością. Stała w progu i uśmiechała się nieśmiało.

— Cześć, jestem Ada — powiedziała na powitanie.

— Tomek — odrzekł. — Miło cię poznać.

Adrianna nie była piękna i nie oszołomiła Tomasza wyglądem. Wyglądała jak skromna studentka drugiego roku SGH, szara myszka w kolejce do punktu ksero, ściskająca w dłoniach pożyczone notatki z wykładów. Do jej urody dorastał powoli, stopniowo uczył się delektować szczegółami: wypukłością kości policzkowych, symetrycznością piersi, wcięciem w talii. Kiedy gładził jej jasną, lekko piegowatą skórę na przedramionach, zapominał o wszystkich modelkach, aktorkach i prostytutkach. W takich chwilach Adrianna stawała się jedyną kobietą na świecie, punktem odniesienia definiującym kanony kobiecej urody.

Dziewczyna zaparzyła herbatę malinową, usiedli w ciasnej kuchni na taboretach z Ikei, zaczęli rozmawiać. Znacznie więcej mówiła Adrianna. Nie

szukała słów, nie jąkała się, nie pauzowała, ale jednocześnie unikała kontaktu wzrokowego.

Pochodziła z małej miejscowości niedaleko wschodniej granicy. Rodzicom się nie przelewało, ale postanowili zainwestować w córkę i wysłali ją na studia do Warszawy. Na marketing i zarządzanie. Znalazła niedrogie mieszkanie, ale półtora roku później właściciel wymówił umowę. Mogła mieszkać do końca lutego, potem nie będzie miała gdzie się podziać. Rynek nieruchomości zwariował, ceny wynajmu strasznie poszły w górę. Nie ma kasy, szuka możliwości dorobienia.

Tomasz milczał. Drobnymi łykami pił gorącą herbatę. Słuchał. Rekonstruował w myślach obraz Adrianny. Poukładana. Zorganizowana. Z silną potrzebą kontroli nad otoczeniem. Tkwiła w niej nieludzka racjonalność, zapobiegliwość, wykluczająca jakąkolwiek spontaniczność w ich – no właśnie, jak to nazwać, przecież nie „związku”; w ich „układzie”. Miała przygotowane odpowiedzi na wszystkie pytania. Jej stawka na miesiąc wynosi dwa i pół tysiąca plus wynajęcie kawalerki. Najlepiej gdzieś przy metrze, w ostateczności przy tramwaju, ale akurat tutaj może negocjować. Białoleka i Ursus zdecydowanie odpadają, niechętnie Wola i generalnie prawa strona Wisły. W zamian może do niej przychodzić maksymalnie trzy razy w tygodniu. Terminy spotkań wyznacza on, ale informuje ją z co najmniej tygodniowym wyprzedzeniem. Uprawiają seks wyłącznie w prezerwatywie (ona kupuje). Spotykają się wyłącznie w wynajętym mieszkaniu. Nie pokazują się razem na mieście, nie zabiera jej na wakacje i wyjazdy służbowe, obojętnie, w kraju czy za granicą. Tak brzmią warunki brzegowe.

Adrianna mówiła i uśmiechała się nieśmiało, ale coś ją wyraźnie gryzło. Jakby miała wszystkiego dość i chciała jak najszybciej spławić Tomasza. Ten jednak spławić się łatwo nie dał, bo dziewczyna zafascynowała go – niedostępnością i dystansem, który podświadomie budowała poprzez mowę ciała. Tykał kuchenny zegar, wystygła malinowa herbata, a Adrianna zbliżała się do puenty swojej opowieści.

— Pewnie nie chcesz kupić kota w worku — powiedziała wreszcie i spuściła spojrzenie na podłogę.

— O czy mówisz? — wyjąkał.

— Wiesz.

Skinął głową.

— Kiedy?

— Nie dzisiaj. Nie jestem gotowa. Może być jutro?

— Może.

Przyjechał następnego dnia, zdenerwowany jak gimnazjalista na pierwszej randce. Wcześniej siedząc za biurkiem, nie potrafił się skupić na pracy. Cały czas myślał o Adriannie – w co się ubierze, jak będzie wyglądał sam seks? Czy po prostu dziewczyna na łóżku rozłoży nogi, zamknie oczy i przygryzie wargi, byle szybciej, do finału...?

Drżała mu dłoń, gdy położył palec na dzwonku do drzwi. Adrianna otworzyła natychmiast, jakby czaiła się w przedpokoju. Ubrana była raczej skromnie – prosta, czarna sukienka nieco za kolana, czarne rajstopy i buty na płaskim obcasie. A czego się spodziewał? Że założy lateksowy kostium, chwyci w dłoń bicz i przyszpili Tomasz do podłogi szpiczastym pantoflem?

Usiedli w kuchni. Adrianna zapaliła aromatyczną świeczkę i odgrzała lasagne. Pili czerwone wino. Tomasz początkowo oponował: przecież przyjechał samochodem, jak wróci do domu? Wreszcie machnął ręką i pomyślał, że jakoś to będzie.

Jadł lasagne, widelec ślizgał się po talerzu, a powietrze ciążyło ołowianym napięciem, i wcale nie miał pewności, czy spotkanie skończy się seksem. Okropnie się męczył, połykał kawałki gorącego makaronu, które parzyły podniebienie i przełyk. Rozmawiali o błahostkach. W zachowaniu Ady nie było nic, co zapowiadałoby przyszłą intymność. Do czasu.

Po kolacji dopełnili kieliszki winem i przeszli do pokoju. Usiedli na kanapie, dziewczyna włączyła nastrojową muzykę z komputera, zgasła górne oświetlenie, zostawiła tylko lampkę przy biurku. Znikło napięcie, poruszali się spokojnie, niespiesznie. Tomasz wreszcie poczuł się odprężony. Mógł delektować się każdą sekundą, zamknął oczy i oddychał zapachem Adrianny: świeżością, morską bryzą, lasem po deszczu.

Dziesięć minut później spocony Tomasz zsunął się z dziewczyny i poszedł do łazienki. Czuł się doskonale. Wszedł po prysznic. Strumień gorącej wody spłukał z ciała pot i zapach dwudziestojednolatki. Wrócił do pokoju. Adrianna leżała naga na łóżku i paliła papierosa. Zdziwił się, po raz kolejny tego wieczoru. Dziewczyna nie krępowała się nagością. Nie zakrywała

wstydliwie piersi, a on patrzył łapczywie na jej brodawki, na sterczące, wciąż sztywne sutki.

— I jak? — zapytała.

Wzruszył ramionami.

— Świetnie. Chyba się domyślasz. A co u ciebie?

— Bosko. — Strząsnęła popiół na skrawek gazety. — Dogadamy się?

— Chyba tak. Są fajne nowe bloki na Mokotowie, niedaleko SGH. Zorientuję się, po ile chodzi wynajem kawalerek i dam znać.

— Brzmi genialnie. — Uśmiechnęła się.

— Będziemy w kontakcie. Mogę do ciebie zadzwonić? Na ten numer, który...

— Zadzwoń. — Skinęła głową. — Najszybciej, jak będziesz coś wiedział.

Adrianna zafascynowała Tomasza. Mógłby powiedzieć: dziewczyna stała się jego własnością, ale naprawdę nigdy jej nie posiadał. Coś jakby lizał cukierek przez złotko. Ada miała zawsze dobry humor, uśmiechała się, chętnie słuchała litanii utyskiwań i narzekań, nigdy nie bolała jej głowa, nie wymawiała się okresem. Ale udawała – każde słowo, mowa ciała, gest, skrzywienie warg, uniesienie brwi, zmarszczenie noska, wszystko było perfekcyjnym fałszem, wystudowaną aktorską pozą, przeciwioną przed lustrem podczas porannej toalety. Tomasz wiedział, że dziewczyna do niego nie należy, chociaż ma ją na każde skinienie. Podtrzymywanie osobliwej relacji, owego stanu posiadania/nieposiadania, wydawało się mu warte każdej złotówki. Niczym bohater koszmarne snu zdzierał kolejne zasłony odgradzające od prawdy i rzeczywistości. Reakcja na opowiedziany dowcip: przypadł jej do gustu, czy uśmiechnęła się z grzeczności? Nieoczekiwany pocałunek w policzek na pożegnanie: gest spontaniczny czy wyreżyserowany? Ile było w tym prawdziwej Adrianny, a ile modelu Adrianny skonstruowanego na potrzeby Tomasza?

Kim była prawdziwa Adrianna?

Czy prawdziwa Adrianna w ogóle istniała?

Na początku traktował to zagadnienie jako ciekawostkę, osobliwe intelektualne wyzwanie, rebus. Wkrótce stało się to jego obsesją. Z Adą rzeczy potoczyły się jak z każdym nałogiem. Przez długi czas myślał, że

wszystko ma pod kontrolą i może wycofać się w każdej chwili, powiedzieć „stop”, przerwać transfer gotówki i poszukać innej utrzymanki: młodszej, ładniejszej, bardziej doświadczonej w łóżku. Potrafi przerwać grę w każdej chwili, ale po co ma to robić, skoro teraz jest mu dobrze.

Jednak jak w każdym uzależnieniu – w pewnym momencie przekroczył niewidzialną linię, punkt przełomowy, zza którego nie było powrotu do starej rzeczywistości. Kiedy to się stało? Tomasz nie potrafił powiedzieć, nie potrafił wskazać dokładnego momentu, konkretnego spotkania. Ale wreszcie zrozumiał, że nie wyobraża już sobie innego życia. Że wizyta u kochanki jest kulminacyjnym momentem dnia, czeka na nią długie biurowe osiem godzin i myśli o dziewczynie, kiedy przeżywa codzienne katusze domowego ogniska. Strategia obrona przez niego na dłuższą metę była samobójcza, ale z chorobliwą fascynacją brnął w związek, obserwując postępujący proces autodestrukcji.

Nie przywiązuj się do niej zbyt mocno, szeptał w nielicznych momentach Tomasz racjonalny. Wkrótce skończy studia, wyjdzie z Warszawy, i co wtedy zrobisz? Wpadniesz w depresję? Łykniesz tabletki nasenne i odwiozą cię na sygnale na płukanie żołądka? Nie zakochuj się w niej, nie masz przecież siedemnastu lat. Ale było już za późno.

Zakochał się, chociaż nie wiedział o niej praktycznie nic, znał tylko „Adriannę w oczach Tomasza”, sztuczny twór, przefiltrowany przez własne zachcianki i oczekiwania, predefiniowany strukturą ich zależności: sponsor–utrzymanka.

— Jaka jesteś naprawdę? — pytał czasami dziewczynę, kiedy wypili o jedną butelkę wina za dużo i siedzieli na podłodze, paląc papierosy. — Kto tam siedzi, w samym środku?

— Taka jestem — odpowiadała wówczas Adrianna. — Właśnie taka. A ty jaki jesteś?

— Taki. — Nie znajdował lepszej odpowiedzi. — Taki.

A teraz ona pytała, czy rzuci dla niej rodzinę.

\* \* \*

Jezus Maria, przecież to był właśnie znak, na który Tomasz czekał od zawsze. Jednak pierwsza reakcja była inna: zawrót głowy, nasilający się ból



w piersiach, wataha trwoźnych myśli. Dlatego zareagował spokojnie, zadał badawcze pytanie i obserwował reakcję.

— Naprawdę chcesz, abym rzucił dla ciebie żonę? Chcesz ze mną być... na poważnie? Już nie będziesz udawać? — Zamierzał zaciągnąć się papierosem, ale gdy zbliżył palce do ust, zobaczył, jak trzęsą się mu dłonie. Zgniół peta w popielniczkę.

— Już pytałeś. A ja odpowiedziałam. — Ada nie odwróciła się w jego stronę, wciąż wyglądała przez okno, na szarą Warszawę podbarwioną pomarańczowymi smugami zachodzącego słońca. Dziewczyna dźwignęła się z podłogi i podeszła znów do barku. — Mam ochotę na alkohol — powiedziała. — Chcę dzisiaj się skuć do nieprzytomności. Nalać ci jeszcze?

— Naprawdę?

— Nigdy w życiu nie byłam bardziej poważna niż teraz.

Coś pękło. Nagle i nieodwołalnie. Tomasz udławił się własnym oddechem. Po raz pierwszy Adrianna stała przed nim naga i skrępowana nagością znacznie wstydlivszą niż fizjologiczne detale. Wreszcie nie było „konstruktu Adrianny dla Tomasza”, ale Adrianna odsłonięta, najprawdziwsza w prawdzie, Adrianna taka, jaką jest późnym wieczorem, kiedy wychodzi z łazienki i kładzie się do łóżka, kiedy nie musi już udawać przed nikim, nawet przed sobą. Tomasz chciał powiedzieć wszystko, ale nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa.

— Będę wracał samochodem.

— Możesz taksówką.

— Ale dziś jest piątek.

System samochodowo-taksówkowy był jednym z elementów piramidy kłamstw i wykrętów, jakie w ciągu minionych dwóch lat Tomasz zbudował przed żoną. Do Adrianny zwykle przyjeżdżał popołudniem, po pracy. W domu tłumaczył się pilnym projektem, ważnym spotkaniem, grą w squasha, wizytą w galerii handlowej. Bardzo często tłumaczyć się nie musiał, gdyż Ewa przesiadywała w biurze po godzinach i wracała do domu jeszcze później niż on. Alicją zajmowała się wówczas opiekunka, a przed nią Tomasz nie musiał improwizować wymówek. W mieszkaniu Ady często pili alkohol – dziewczyna miała dobrze zaopatrzone barek, uwielbiała robić

drinki, eksperymentować z nowymi smakami. Tomasz wracał wtedy do domu taksówką, zostawiając samochód na parkingu przed blokiem kochanki.

W taksówce od razu organizował sobie transport na następny dzień (aby rano uniknąć krępujących telefonów do korporacji taksówkarskiej i wścibskich pytań żony). Jechał wówczas pod mieszkanie Ady i odbierał samochód, którym finalnie docierał do pracy. Perfekcyjny system zawodził wyłącznie w piątki – w soboty do pracy nie jeździł i trudno byłoby znaleźć przed Ewą wymówkę, dlaczego musi zrywać się z samego rana i jechać po samochód porzucony na parkingu na drugim krańcu Warszawy.

Dzisiaj był piątek. I co z tego? Dzisiaj mógł zmienić reguły gry. Miał ku temu szczególną okazję. Zaczynał się karnawał, pierwsza odsłona niekończącej się fiesty. Festiwalu nieodpowiedzialności.

Skinął głową.

— Nalej, koniecznie. Mam ochotę świętować. Wrócę taksówką, nie ma problemu.

Adrianna uśmiechnęła się, a w odpowiedzi na jej uśmiech Tomasz poczuł uścisk w żołądku. Chciało mu się płakać, nie potrafił powstrzymać wzruszenia. Podobny stan odczuwał tylko raz w życiu, kilka chwil po narodzinach Alicji, kiedy węgierscy lekarze wyszli z sali operacyjnej (Ewa rodziła przez cesarskie cięcie) i pokazali mu owinięte w becik dziecko. Maluch był brzydki jak noc, umazany w mazi płodowej, z nieforemną główką, szerokim czołem i gęstymi włoskami na plecach. Tomasz płakał i na szpitalną podłogę kapały wielkie łzy młodego taty.

— Płaczesz? Coś się stało?

Ada podeszła do niego i kucnęła. Szlafrok rozchylił się na piersiach. Tomasz spojrzał dziewczynie prosto w oczy – gdzie skrzyły się płomienie i eksplodowały supernowe; gdzie przeglądał się cały wszechświat.

— Nie sądziłem, że kiedykolwiek to od ciebie usłyszę... Cholernie się cieszę... Po prostu.

— Co o tym myślisz? Nie powiedziałeś. Zrobisz to?

Tomasz wstał, zbliżył się do dziewczyny na tyle, by odebrała to jako ingerencję w przestrzeń prywatną.

— A czego się spodziewałaś? Po takim czasie? To nie jest oczywiste?

— Jest.

Ada uśmiechnęła się, a jej uśmiech był zupełnie inny niż wszystkie dotychczasowe uśmiechy. Tomasz miał wrażenie, że dziewczyna pierwszy raz w jego obecności uśmiechnęła się szczerze.

— Bardzo się bałam. Mimo wszystko nie wiedziałam, jak zareagujesz. Mogłeś się wkurzyć, zbluzgać, zerwać umowę... Zaryzykowałam.

Tomasz odstawił na wykładzinę pękatą szklanę z drinkiem i oparł ręce na ramionach Ady. Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Przyciskał twarz do mokrych włosów, chłonał woń dziewczyny i sztucznie owocowy zapach szamponu. Adrianna odwzajemniła uścisk i trwali tak, spleceni, niczym jedno zdeformowane ciało, syjamski potwór, osobliwość natury, człowiek dwugłowy, czworonożny i czterooczny. Tomasz zaczął mówić chaotycznie o świetnym prawniku specjalizującym się w sprawach rodzinnych, polecanym przez kolegę z pracy, nie można przecież zaniedbać strony formalnej rozvodu, Ewa będzie strasznie zaskoczona, w sumie nieco jej żałuje, ale przecież nie mogą dalej żyć w taki sposób, coś się skończyło dawno temu, cztery–pięć lat, nie pamięta kiedy dokładnie.

A Adrianna głaskała go po głowie i powtarzała:

— Wszystko będzie dobrze... Niczym się nie przejmuj. Nie działajmy nerwowo. Chcę jeszcze skończyć studia. Potem stąd wyjedziemy. Jeszcze nie teraz... Za rok. Przemęczysz się jeszcze ten rok? Jeszcze rok możemy żyć w ten sposób? Powiedz, że możemy...

Tomasz kiwał głową, gotowy zgodzić się na wszystko, byle owa chwila trwała wiecznie, a on nie musiał myśleć o powrocie do domu, o wymówkach przed Ewą i nieuleczalnie chorej córce.

Potem wypili do dna drinki i zaczęli się kochać. Po wszystkim Ada wyślizgnęła się z lepkiego uścisku Tomasza i zniknęła za drzwiami łazienki. Jemu zaś nie chciało się ruszać z wykładziny, przetoczył się na plecy i leżał – zupełnie nagi, mokry i śmierdzący – wpatrując się w sufit. Znów zaczęło go boleć serce, kłuło w klatce piersiowej. Bez wizyty u kardiologa się nie obędzie, pomyślał, ale szybko o tym zapomniał, wyobrażając sobie Adrianę pod prysznicem. Może wskoczy do kabiny i będzie się kochać trzeci raz, rozkręci gorącą wodę, aż zaparuje lustro, położy dłoń na biodrach dziewczyny i posadzi ją na pralce? Trzeci raz? W tym wieku? Zapomnij, zganił się w myślach. Z trudem się podniósł i zgięty wpół, usiadł na łóżku. Z łazienki wyszła Ada.

— Znów cię boli?

Skinął głową.

— Muszę wracać do domu — powtarzał z uporem i stanowczością charakterystyczną dla osób pijanych. — Do domu. Jak najszybciej. Zamów mi taksówkę. Muszę być przed dwudziestą. Tylko... Jeszcze rok udawania. Ewa nie może się dowiedzieć. Urządzi mi piekło. Powiem jej za rok.

— Nigdy mi nie opowiadałeś o swojej żonie.

— Jesteśmy ortogonalni. — Tomasz zatrzymał się przed drzwiami łazienki. — Ortogonalni jak dwa wektory spotykające się w przestrzeni. Przecinamy się w jednym punkcie, łączy nas jedna rzecz. Nasza córka. Oprócz tego funkcjonujemy w odrębnych światach, i niech tak zostanie.

— Nie rozumiem.

Wewnątrz łazienki nie dało się oddychać. Dusila para wodna, na policzkach kwitły czerwone plamy, człowiek pocił się jak w fińskiej saunie. Tomasz oparł się o umywalkę i zacisnął zęby, a każdy oddech rozsadał klatkę piersiową. Wdech i wydech, wdech i wydech, przed oczami czarne kleksy, serce zwalniało i przyspieszało, chciało mu się rzygać, czuł parcie na stolec. Odkręcił zimną wodę, przemył twarz. Pomogło. Założył bokserki, koszulę i skarpetki – nie lubił ubierać się przy Adzie. Umył zęby – a ilekroć robił to w sponsorowanym mieszkaniu, czuł wstyd i zażenowanie, jak alkoholik, który po wypiciu pięciu piw siada za kierownicą i łyka miętową pastylkę na wypadek policyjnej kontroli. Z dziąseł obficie leciała krew, pluł do wnętrza białej umywalki czerwonawą mieszkanką pasty do zębów i śliny. Jak u dentysty.

Dwa lata wcześniej, gdy nie odwiedzał jeszcze Adrianny, gabinet stomatologiczny był jedynym miejscem, gdzie Tomasz doświadczał fizyczności istnienia. Pozostałe dni, tygodnie, miesiące – całe życie przelatywało przed oczami jak nudny film oglądany w luksusowym kinie. Dopiero dentysta przywracał na chwilę doświadczenie prawdziwego istnienia. Jesteś workiem ciała, kości i krwi – słyszał Tomasz w warkocie niskoobrotowego wiertła. Popatrz, wystarczy cię dotknąć, a krwawisz, poruszyć odsłonięty nerw, a zwijasz się z bólu. Z tego powodu nigdy nie brał znieczulenia.

Czy kiedykolwiek miał wyrzuty sumienia? Nim pojawiła się Adrianna, nie był świętoszkiem. Pierwszy raz zdradził Ewę cztery lata wcześniej, na wyjeździe służbowym. Dziewczyna miała na imię Magda, była najwykleszą w świecie świeżo upieczoną absolwentką architektury, która robiła staż w firmie i trafiła pod opiekę Tomasza. Niska brunetka w okularach, nieco zbyt pulchna, z brzydką cerą. Dlaczego poszli do łóżka? Bo tuż przed wyjazdem posprzeczał się z Ewą, mieli ciche dni i uwiedzenie zakompleksionej stażystki stanowiło formę odreagowania? Dziewczyna nie opierała się, myślała, że w ten sposób załatwi sobie przedłużenie umowy o pracę. Nie załatwiła. Wtedy – za pierwszym razem – Tomasz czuł się źle.

Rankiem następnego dnia nie potrafił dojść do siebie. Długo wymiotował do hotelowej umywalki, chociaż poprzedniego wieczoru wypił zaledwie trzy piwa.

Kolejne przypadkowe kobiety przychodziły i odchodziły. Samotne wieczory daleko od domu, ulotka agencji towarzyskiej wyciągnięta z zapytania samochodu zaparkowanego przed hotelem – wystarczał impuls. O Ewie w takich momentach nie myślał prawie nigdy. Może czasem, kiedy trzaskały drzwi, on gasił światło, leżał w ciemnościach i wspominał gorące lato w Budapeszcie, kiedy samochody tonęły w płynnym asfalcie, a z pejsów ortodoksyjnych Żydów zmierzających na modły do Nagy Zsinagóga kapały krople potu.

Na zaparowanym lustrze napisał palcem „KOCHAM CIĘ, BUZIAKI”. Następnie ubrał się do końca i z kieszeni marynarki wyciągnął kopertę. Przeliczył banknoty i dorzucił jeszcze dwie stówki. Nienawidził tego robić, miał skojarzenia z wizytą u prostytutki, dlatego wołał zostawiać pieniądze na pralce, niż wręczać je Adzie osobiście. Dziś w takim momencie nie potrafiłby spojrzeć dziewczynie w oczy.

Później przytulił się do niej na pożegnanie i puścił oczko.

— Kiedy się zobaczymy? — zapytała.

— Wpadnę we wtorek. Po pracy. Pasuje ci?

Skinęła głową.

Przed blokiem czekała taksówka. Wsiadł do samochodu, jechał ulicami wyludnionej Warszawy, alkohol szumiał w głowie. Tomasz wyglądał przez okno, widział monstrualne kałuże, połamane gałęzie drzew, kolorowe

reklamówki, które wichura wygrzebała ze śmietników. Nawałnica wreszcie oddaliła się od miasta i zapadła śmiertelna cisza. Siedział w kilkunastoletnim mercedesie, szczelnie odgradzony od dźwięków świata zewnętrznego. Kierowca włączył płytę z muzyką poważną, cicho jęczały skrzypki, ale Tomasz słyszał wyłącznie bicie własnego serca.

Taksówka wbiła się do ruchu na Niepodległości. Tomasz mrugał intensywnie oczami i ledwo poznawał, gdzie się znajduje. Niby wszystko wyglądało tak samo, migały uliczne sygnalizatory, samochody rozjeżdżały liście zerwane z drzew przez wichurę, piękne kobiety uśmiechały się zalotnie z billboardów, a jednak Tomasz znajdował się już w innej rzeczywistości niż jeszcze kilka godzin temu. Taksówka jechała coraz szybciej, a on zanurzał się w sobie, zatracił myśli w szemraniu krwiobiegu. Dziwaczny stan – zawieszenie ponad prawami fizyki, wyjęcie poza nawias poznawalnego wszechświata – trwał dwa kwadransy, aż samochód wjechał na osiedle, kierowca odwrócił się do nieruchomego pasażera i obwieścił koniec kursu.

Tomasz uklonił się ochroniarzowi, wjechał windą na drugie piętro i długo szukał klucza w aktówce. Nie zdążył włożyć go do zamka. Ewa natychmiast otworzyła drzwi, jakby czekała po drugiej stronie. Może rzeczywiście tak było, kto ją wie?

Chciał odwrócić spojrzenie, udawać, że jej nie dostrzega, unikać kontaktu wzrokowego. Nie udało się. Ewa tarasowała wejście do mieszkania.

— Stało się coś? — zapytał.

Oczy kobiety były czerwone, całe zapłakane. Na głowie szopa potarganych włosów. Nawet się zdziwił. Jego żona nigdy tak nie wyglądała.

Coś się stało.

— Gdzie byłeś? Nie odbierałeś. Dzwoniłam piętnaście razy — wysyczała.

Już chciał powiedzieć, że wyskoczyli po robocie z kumplami na browara, knajpa w podziemiach, nie było zasięgu – otwierał usta, ale nie odezwał się. Ewa nie dała mu dojść do słowa.

— Ktoś porwał Alicję — obwieściła i wybuchła płaczem.

Znany i uporządkowany świat Tomasza Szymkowiaka rozsypał się po raz kolejny tego dnia.

## DWA

### DAVID/ LIZBONA

David Katzner i Mayer Hochbaum.

Poznali się we wrześniu ubiegłego roku. Kończyło się lato, a oni przyjechali na roczne stypendium do Lizbony. David miał dwadzieścia sześć lat i opinię geniusza z piekielnie trudnym charakterem. Do głowy przychodziły mu tysiące pomysłów na sekundę. Szukał swojego miejsca w życiu i nauce, potrzebował mentora, intelektualnego przewodnika, osoby mądrzejszej i doświadczonej, która nauczy go pokory.

Mayer Hochbaum miał lat sześćdziesiąt siedem, był profesorem, a jego pomarszczone dłonie straszyły plamami wątrobowymi, oddech cuchnął cementem, gniciem i amerykańskimi papierosami. Nadawał się do roli opiekuna chłopaka lepiej niż ktokolwiek inny.

W tamtym czasie David pracował jak szalony, dzieląc naukowe zainteresowania pomiędzy trzy dziedziny. Zajmował się fizyką teoretyczną, jej najbardziej wyrafinowaną odmianą, łączącą einsteinowską kosmologię z kwantowym mikroświatem. Jego rozważania często jednak wskakiwały na wysoki poziom abstrakcji i wówczas zamiast fizyki uprawiał czystą matematykę. Dużej części postulowanych przez niego modeli nie dało się zweryfikować empirycznie – nie przy dzisiejszych poziomach energii wyciskanych z akceleratorów. Wówczas jedynym i wystarczającym kryterium „prawdy” była spójność i piękno równań matematycznych. Kiedy zatem David zdał sobie z tego sprawę, zainteresował się też mocniej filozoficznymi aspektami swojej pracy. Doskonale pamiętał przesłuchanie przed komisją rekrutacyjną uniwersytetu w Lizbonie.

— Pana dotychczasowy dorobek naukowy, panie Katzner, jest szalenie interesujący, jednak... Jakby to powiedzieć... Brakuje mi wspólnej myśli, która łączyłaby pana rozległe zainteresowania naukowe — jakaś się przewodniczący komisji, siwy profesor kosmologii.

David już otwierał usta, przygotowany, aby sklecić na oczekaniu wytłumaczenie, gdy w słowo wszedł mu czerstwy czterdziestolatek, lokalny guru od M-teorii.

— Ależ skąd. Moim zdaniem priorytety badawcze pana Katznera są bardzo precyzyjnie określone. Zajmuje się on głównie nieortodoksyjnymi podejściami do Wielkiej Teorii Unifikacji. Zbiory kauzalne, model wszechświata fraktalnego, grawitacja pętlowa... Wszystko pasuje do siebie doskonale.

Przesłuchiwany skinął pokornie głową. Portugalski skurwysynek używał słowa „nieortodoksyjna” na wszystkie podejścia, które nie były starą, dobrą teorią strun.

— Tak, myślę, że można właśnie tak powiedzieć. Najbardziej interesują mnie modele unifikacyjne i nimi chciałbym się zajmować w szczególności — wybąkał niewyraźnie pod nosem.

— Nie zgadzam się — zaprotestował kolejny z uczonych. Tym razem był to Amerykaniec, sprowadzony za grubą kasę na semestr z któregoś z uniwersytetów Ivy League. — Doskonale widać, że pana Katznera najbardziej interesuje wątek przyczynowości, jego matematyczna reprezentacja oraz znaczenie w modelach wszechświata. Ten temat pojawia się we wszystkich pana pracach.

— Prawda — przytaknął chłopak. — Przyczynowość interesuje mnie ogromnie i chciałbym się poświęcić jej badaniu.

— Pozwolę się z tym nie zgodzić — głos nieoczekiwanie zabrał trzydziestopięcioletni Rosjanin, który w ubiegłym roku odebrał medal Fieldsa za rozwiązanie zagadnienia NP-zupełności, ponoć najwybitniejszy żyjący współcześnie matematyk. Mówił twardą angielszczyzną z wyraźnym wschodnim akcentem. — Podczas lektury prac pana Katznera zwracają uwagę przede wszystkim jego epistemologiczne zapędy i poszukiwanie odpowiedzi na odwieczne pytanie: czy i dlaczego wszechświat jest poznawalny? Jaka jest rola obserwatora w kreowaniu rzeczywistości podczas aktu poznania?

David ponownie chciał przyznać rację, czym mógłby narazić się na śmieszność, ale nie zdążył. Decydujące zdanie należało do honorowego przewodniczącego programu naukowego, fizyka kwantowego starej daty,



noblisty, który dawno już stracił kontakt z rzeczywistością, a jego jedynym przejawem aktywności intelektualnej było opowiadanie anegdot, co też zdarzało mu się wyprawiać po pijaku z Feynmanem i Schwingerem.

— Panowie, czyż my nie wymagamy zbyt dużo od tego młodego człowieka? Davidzie, ile masz lat, dwadzieścia sześć? — Nobliwy starzec zajrzał w papiery i poprawił okulary na pomarszczonym nosie. — Zachłanność jest przywilejem młodości i spróbujmy rozumować w ten sposób. Na zdefiniowanie precyzyjnej ścieżki i wygrozdzenie terytorium badań przyjdzie czas w przyszłości. Jestem za. Jak reszta komisji?

Wszyscy unieśli dłonie do góry.

I w ten sposób David Katzner zakwalifikował się na lizbońskie stypendium. Była setna rocznica opublikowania przez Einsteina szczególnej teorii względności i Portugalczycy szczylicili się ambitnym planem ściągnięcia do siebie na dwa semestry młodych gwiazd fizyki teoretycznej, pracujących nad różnymi aspektami Wielkiej Teorii Unifikacji. W planach znajdował się cykl seminariów, wykładów otwartych, paneli dyskusyjnych, doskonałych momentów do konfrontacji.

Coś wielkiego wisiało w powietrzu. Podobno chłopaki z Pekinu szykowały bombę, ale nie zamierzały chwalić się przedwcześnie swoimi wynikami i obecnie wciąż sprawdzały obliczenia. W ten sposób miały się spełnić senne fantazje dziekanów fizyki na całym świecie: w końcu napisane zostaną równania Teorii Wszystkiego. Lizbona właśnie na to liczyła, była gotowa zainwestować niezłe pieniądze, aby wizję urzeczywistnić i rozslawić uniwersytet na cały świat.

Szefem Chińczyków był Kong Wen Huan – chorobliwie ambitny trzydziestosześcioletek, ikona chińskiej nauki. Cudowny dzieciak, który zaczął mówić, gdy miał sześć miesięcy, rachunek różniczkowy opanował w wieku pięciu lat, a jako piętnastolatek doktoryzował się z T-dualności relacji strun typu IIA z typem IIB. Kong w swoim kraju był herosem, bohaterem czytanek w elementarzach dla dzieci, telewizyjnym ekspertem od wszystkiego, komentatorem rozchwytywanym przez gazety. Jeśli rzeczywiście on pierwszy zrozumie złożoność ostatecznej teorii i znajdzie akceptację międzynarodowej społeczności fizyków, w przyszłym roku, na jesieni, pojedzie do Sztokholmu po Nobla, a półtora miliarda skośnookich spuchnie z dumy, że oto syn ich narodu dokonał największego odkrycia w historii

fizyki, tygrysim skokiem wyprzedzając Galileusza, Newtona i Einsteina. Było się o co bić.

Na czym polegało przełomowe znaczenie prac Konga?

Wielka Teoria Unifikacji była świętym Graalem fizyków. We wszechświecie występują cztery oddziaływania: grawitacja, elektromagnetyzm oraz dwie siły na poziomie jądra atomu – oddziaływanie słabe i silne. Grawitacja działa w wielkiej skali, dotyczy galaktyk, gwiazd, czarnych dziur; pozostałe – w mikroświecie, na poziomie kwantowym, gdzie jednostkę odległości stanowi jądro atomu. Trzy siły z poziomu subatomowego doczekały się już uspołnienienia w postaci modelu matematycznego. Do dziś jednak nie udało się do niego włączyć także grawitacji. Nikt nie potrafił przerzucić mostu pomiędzy światem w skali mikro i skali makro. Złączyć w jedno fizyki kwantowej i relatywistycznej mechaniki Einsteina. Każda z dwu wielkich teorii była prawdziwa, została przetestowana w milionach eksperymentów i nikt do tej pory nie wykazał jej błędności. Tymczasem przy próbie złączenia ich w jedną całość nic do siebie nie pasowało. Pojawiały się niemożliwe do wyeliminowania nieskończoności. Prawda plus prawda dawała w rezultacie fałsz.

Napisać równania Wielkiej Teorii Unifikacji, skwantować grawitację, stworzyć unitarną teorię pola... Zadanie, na którym połamał sobie zęby Einstein, nie dał rady Feynman, Dirac ani Schrödinger. A teraz podobno poradził sobie z tym trzydziestosześcioletni Kong Wen Huan, który wyniki przełomowego odkrycia miał ogłosić społeczności naukowców podczas zimowego semestru w Lizbonie.

Wielka Teoria Unifikacji niosła również potężne implikacje filozoficzne. Czy równania napisane przez Konga pozostaną jedynie techniczną ciekawostką zrozumiałą dla garstki pasjonatów wyższej matematyki i fizyki teoretycznej? Czy model Chińczyka powie coś więcej na temat fundamentów rzeczywistości, tak jak wcześniej zrobiły to teorie Newtona, Einsteina i fizyka kwantowa? Da jednoznaczne wyjaśnienie przyczyn Wielkiego Wybuchu, poradzi sobie z zasadą antropiczną, wyjaśni dylemat przygodności/konieczności istnienia wszechświata, powie, jak wyglądał świat, zanim zaczął płynąć czas, wyeliminuje lub uzna obecność istoty wyższej? Rozentuzjzmowani Chińczycy, a od niedawna również dziennikarze w innych krajach, uważali Konga za pierwszego człowieka, który dotrze do

myśli Boga. Bardzo zgrabna fraza, która przewijała się w mediach kiedykolwiek tylko ktoś wspomniał o eksperymencie Uniwersytetu Lizbońskiego.

Tylko czy można było wierzyć plotkom?

Jeśli ktoś zapytałby o to Davida na początku września, kiedy w rodzimym Tel Awiwie pakował walizki do Lizbony – postawiłby każde pieniądze na to, że Kong nie podoła. Za nic nie wierzył w obronę przez Chińczyka metodę i przy kuflu piwa był gotów spierać się o to do białego rana.

Kong był wyznawcą teorii strun. „Wyznawcą” – David lubił wyzłościwić się, używając tego słowa, gdyż nad strunami pracowano przeszło dwadzieścia lat, teoria zaś nie dostarczyła nawet drobnego ułamka rezultatów, które obiecywała. Aby aktualnie zajmować się strunami, należało odwieść na kołku racjonalne argumenty i ślepo uwierzyć, że świat składa się z miniobiektów drgających w dziesięciu wymiarach. Lub w jedenastu, jeśli wolałeś M-teorię. Jeśli natomiast preferowałeś F-teorię, musiałeś uwierzyć we wszechświat dwunastowymiarowy. Prawdziwym pasjonatom zostawała jeszcze S-teoria i jej trzynaście wymiarów.

I właśnie wtedy, na moment przed spodziewanym ogłoszeniem ostatecznej teorii wszystkiego, David Katzner poznał Mayera Hochbauma.

\* \* \*

Wcześniej słyszał o nim piąte przez dziesiąte – ponoć stary Hochbaum prowadził wykłady z elementów probabilistycznych w fizyce kwantowej. David gdzieś kiedyś czytał jego prace na ten temat i miał nawet w planach wybrać się do niego na konsultacje, ale znając siebie, pewnie nie zrobiłby tego szybciej niż w okolicach stycznia.

Lecz stało się inaczej. Tak jak Elohim wybrał Abrahama i kazał mu wyruszyć w wędrówkę ku Ziemi Obiecanej, tak Mayer odnalazł Davida w słonecznej Lizbonie i wskazał mu cel.

David stał właśnie na schodach uniwersytetu, ślęcząc nad planem Lizbony, zastanawiając się, jak dotrzeć do akademika, kiedy Mayer podszedł do niego i odezwał się po hebrajsku. Mówił bardzo dobrze, ale w głosie pobrzmiwał obcy akcent; dało się wyczuć, że nie jest to język, którego nauczył się jako dziecko i w jego domu rodzinnym mówiło się inaczej.

Czasami pauzował minimalnie za długo, szukał w pamięci zapomnianego słowa.

— Nazywasz się David Katzner. Robisz doktorat z fizyki teoretycznej w Tel Awiwie. Wspominał mi o tobie profesor Marshak. Jesteś bardzo uzdolniony matematycznie. Marshak nigdy nie miał równie bystrego studenta. Niedawno rozmawialiśmy przez telefon. Zadzwoił specjalnie w tej sprawie.

David podziękował i już miał odejść.

— Wierzysz Kongowi? — Mayer położył dłoń na ramieniu chłopaka i go zatrzymał. — A może powinienem zapytać: wierzysz w Konga? Poświęcisz mi chwilę? Chciałem z tobą porozmawiać. Strasznie dzisiaj gorąco. Co powiesz na zimne piwo? Ja stawiam.

Stary profesor szedł powoli, powłócząc lewą nogą. Wylądowali w akademickim pubie, załapując się na końcówkę *happy hours*. W lokalu było parno i głośno. Buchały kłęby tytoniowego dymu, śmierdziało rozlanym piwem, nieprzeliczony tłum kisił się przed barem. W życiu nie znajdziemy tutaj wolnego stolika – chciał powiedzieć David, ale nie zdążył otworzyć ust, łyknąć haustu powietrza zanieczyszczonego smrodem papierosowym, a kelner – ciemny Latynos z burzą kręconych włosów – puścił Mayerowi oczko i wykonał gest „za mną”.

— Mamy tutaj pokój dla VIP-ów — wyjaśnił profesor.

Przeszli przez koralikową kotarę i wyłożony boazerią korytarz. W sali stały dwie obite pluszem kanapy. Kelner bez pytania przyniósł piwo i talerz owoców morza na przegryzkę. Mayer pociągnął ze szklanki solidny łyk, a na brodzie zostały mu strzępy piany.

— Kocham ten kraj — powiedział. — Przeprowadzę się tutaj na emeryturę. Już się w życiu najeździłem. Umrę w Portugalii.

Mylił się. Umarł w Sewastopolu, na Krymie, dziewięć miesięcy później. Był na wakacjach, zwiedzał oceanarium, patrzył na bawiące się w wodzie delfiny, kiedy runął na ziemię, a serce w klatce piersiowej niemal pękło na pół, jak ocenił patolog podczas sekcji zwłok.

Rozmawiali kilka godzin. Rozumieli się doskonale; dzielili te same wątpliwości i rezerwę do teorii strun.

— Największym problemem — perorował Mayer przy drugim piwie — jest znaczenie słowa „prawdziwy” w kontekście fizyki teoretycznej. Do

kiedy fizycy badali realne obiekty, było prosto. Samochód, który wyrusza z miasta A do miasta B, zrzucony z krzywej wieży kamień, równia pochyła, strumień wody – każda ta rzecz była „prawdziwa”. Na poziomie mikroświata jest jednak coraz trudniej: atom, elektron, kwark? A co dopiero drgająca struna w dziesięciowymiarowej przestrzeni, wstęga świata, brana Dirichleta, solitonowa 5-brana. Pytam o status ontologiczny tych obiektów, czy są rzeczywiste, tak jak rzeczywista jest kanapa, na której obecnie siedzę, i rzeczywisty był burdel w Alfamie, od którego ta kanapa została odkupiona? A może to sztuczka matematyczna, pochodna formalizmu, istniejąca wyłącznie pod postacią symboli na papierze? Załóżmy, że Kong się nie myli i przedstawi miazdzące argumenty na poparcie swoich teorii. Wszechświat ma dziesięć wymiarów. I co, kurwa, z tego? Nasz wszechświat okaże się jednym z nieskończonej liczby innych wszechświatów, bąblujących na powierzchni jakiegoś bezkrawędziowego, n-wymiarowego multiwersum. Czy jednak inne wymiary są wtedy rzeczywiste? Czy mogę tam pojechać i wyściskać zieloną mackę stworowi z szóstego wymiaru? Niech tam... Nie muszę wcale jechać. Niech doświadczalnicy z CERN-u zaprojektują sprytny eksperyment i rozgrzeją tę swoją zabawkę do czerwoności, zderzając wiązki cząstek. Czy będę w stanie w ten sposób empirycznie zweryfikować równania Chinola? Jeśli LHC ma za małą energię, niech politycy wyłożą na stół kolejne paręnaście miliardów euro i zbudują jeszcze większy akcelerator. Czy nabierzemy w ten sposób pewności, że super M-teoria Konga Wen Huana jest prawdziwa? Jeśli nie, w takim razie pierdolę taką fizykę. O kant dupy potłuc realność strun.

Mayer zdominował Davida w dyskusji. Do tej pory potrafiło to zrobić naprawdę niewiele osób. Młody fizyk musiał w końcu dojść do słowa:

— W tym wszystkim nie rozumiem jednej rzeczy. Coraz mniej fizyków wierzy w teorię strun. Idzie kolejna rewolucja ze strony alternatywnych metod badawczych, całe mnóstwo nieortodoksyjnych — powinien odgryźć sobie język za użycie tego słowa jako synonimu „niezajmujący się teorią strun” — speców zostało zaproszonych do Lizbony, ale wszyscy srają w gacie ze względu na Konga. Z czego to wynika?

— Kong jest pewny zwycięstwa. On rzeczywiście coś ma albo wydaje mu się, że ma. Patrzy na innych z góry. Napisał już równania, sprawdził je milion razy i nie widzi błędu. Sprawdza je teraz milion pierwszy raz. Będzie gotowy

do końca semestru. Wygłosi wówczas wykład, zorganizuje konferencję prasową, wyśle artykuł do „Nature”, gdzie opublikują go w trybie natychmiastowym z pominięciem tradycyjnych procedur. To jednak będzie dziwna sytuacja. Teoria strun nie jest prawdziwą nauką. Nie jest rozwijana na podstawie paradygmatu Bacona. Nie ma żadnej procedury eksperymentalnej, żadnego kontaktu z empirią — Mayer powtarzał wcześniejsze argumenty. — Jedynym kryterium prawdziwości jest tu matematyczna spójność modelu. Jak u antycznych filozofów: Parmenides powiedział, że poznanie zmysłowe jest drogą głupców, i Kong teoretyk zaskakująco się tego trzyma.

David chyba rozumiał, do czego zmierza profesor.

— Chcesz powiedzieć, że jego prace niczego nie zmieniają?

Stary Żyd skinął głową.

— Niczego. Będziesz miał zestaw równań, wewnątrznie spójnych i być może nawet pięknych, pomysłowych i formalnie zgrabnych. Będzie wynikało z nich, że wszechświat zbudowany jest ze strun. Fajnie, ale co z tego? Ktoś może zaproponować zestaw zupełnie innych równań, prowadzących do zupełnie odmiennych wniosków — tylko równie spójny i może jeszcze piękniejszy. Który z nich wtedy wybierzemy? Jak jest naprawdę? Jakaś prawda przecież istnieje, wszechświat jest obiektywnie poznawalny i subiektywne preferencje estetyczne badaczy mają się do tego nijak. To jest absolutne *novum* w historii fizyki. Mechanika newtonowska nie zdołała się wybronić w konfrontacji z teorią względności, nawet jeśli uzupełnisz ją o koncepcję eteru. Decydują o tym dane doświadczalne. W teorii strun nic nie decyduje.

David wzruszył ramionami.

— Mnie nie musisz przekonywać. Myślę tak samo.

— Poznałeś go?

— Konga? Osobiście jeszcze nie, ale byłem na jego wykładzie otwartym. Chciałem go zobaczyć. Mówił oczywistości, ale podobało mi się. Ma charyzmę.

— Wkrótce go poznasz.

David spojrzał na Mayera sceptycznie.

— Niby dlaczego?

— Ty też jesteś znany. Też opowiadają o tobie legendy. Sposób, w jaki rozwiązałeś problem stałej kosmologicznej, to majstersztyk. Miałeś wówczas zaledwie dwadzieścia dwa lata.

— Stare dzieje. — David machnął ręką i skinął na kelnera, zamawiając następną kolejkę.

— Kong będzie chciał mieć cię po swojej stronie. Z takim sprzymierzeńcem łatwiej kruszyć mury niedowiarstwa i sceptycyzmu.

— Przesadzasz.

Nieoczekiwanie Mayer zmienił temat rozmowy.

— Spotykasz się z jakąś dziewczyną, David? Niech zgadnę: wielbicielki szturmują drzwiami i oknami, ale wolisz zostać niezależnym singlem i wyszumieć się za młodu...?

David znieruchomiał ze zdumienia. Zakładał, że będą gadać wyłącznie o fizyce. O czym innym miał zresztą rozmawiać z Mayerem Hochbaumem? Jakim prawem ten pierdziel, starszy od niego o ponad cztery dekady, pakował się z buciarami w jego życie prywatne?

Rozstali się trzy godziny później, pijani i w doskonałych humorach. Przyrzekli sobie, że w przyszłym tygodniu muszą się znów umówić. David znał Mayera od popołudnia, a miał wrażenie, że wie o nim wszystko. Mylił się dramatycznie. Jednak wówczas, z perspektywy wlanych w siebie trzech litrów piwa, nawet pytanie o dziewczynę nie wydawało się już nietaktem.

Tym bardziej że odpowiedź zmyślił.

Na uniwersytecie była jednak pewna dziewczyna, która wpadła mu w oko. Annette Fillion, Francuzka specjalizująca się w filozofii przyrody, a przede wszystkim w ontologicznych konsekwencjach fizyki kwantowej. Poznali się przelotnie na powitalnej imprezie, zamienili kilka słów i na początku października wpadali na siebie w zapchanej turystami dzielnicy Baixa. Poznała go.

Trzymała pod pachą trzy książki, a w uszach miała słuchawki. Zatrzymała się i uśmiechnęła. David zaproponował kawę i ciastko w pobliskim Starbucksie. Zgodziła się.

Rozmowa musiała w końcu zejść na fizykę. Chłopak nie chciał pytać wprost, ale Annette sama nawiązała do Konga i rzuciła podobne pytania, co potem Mayer Hochbaum. David odbił piłeczkę i zamiast zdawkowej

odpowiedzi dostał miniwykład o poglądach epistemicznych dziewczyny. Zadziwiła ją radykalizmem i nonszalancją. W jej postawie była pewność siebie i przekonanie o własnej wartości, jednak bez pychy czy zarozumialstwa. David pomyślał, że mógłby się od niej wiele nauczyć.

O teorii strun i – co za tym idzie – pracach Konga Wan Huana Annette wyrażała się z nieskrywaną pogardą. Pierwsza część krytyki odtwarzała linię rozumowania Davida. Dziewczynie nie podobał się „filozoficzny” charakter teorii i zupełny brak możliwości empirycznej weryfikacji jej postulatów. Druga część negacji miała zupełnie inny i nieoczekiwany charakter.

— Teoretycy strun, a wśród nich nasz chiński faworyt — filozofka przyrody zatrzepotała rękami i uśmiechnęła się nieśmiało, jakby lekko zawstydzona — zbyt łatwo prześlizgują się ponad jednym założeniem, które im wydaje się oczywiste, a wcale takie nie jest.

— O co chodzi?

— Matematyczność przyrody.

David skinął głową. Począwszy od Galileusza, cała ewolucja fizyki jednoznacznie wskazywała, że prawa rządzące zachowaniem wszechświata da się wyrazić językiem matematyki. Poszło to już nawet na tyle daleko, że teoretykom strun zaczęła wystarczać sama matematyka. Jeśli znajdziemy matematyczny model zachowania wszechświata, dowodzili, musimy uznać, że mówi on prawdę na temat rzeczywistości, skoro nie dysponujemy inną metodą weryfikacji. Ale to było przecież tylko kolejne założenie.

— To, że do tej pory każde prawo fizyki dało się wyrazić wzorem matematycznym, o niczym nie świadczy. — Annette wydeła wargi, a potem chwyciła plastikowy kubek i upiła duży łyk latte. — Bardzo prosty psychologiczny błąd, *cognitive bias*. Coś jak pijak, który szuka zegarka pod latarnią nie dlatego, że go tam zgubił, lecz dlatego, że pod latarnią najłatwiej go znaleźć. Galileusz tworzył czterysta lat temu, od tamtej pory zajmowaliśmy się wyłącznie fizyką możliwą do wyrażenia językiem matematyki, jak ognia unikając innego podejścia. A może nie wszystkie rozdziały księgi przyrody napisane są językiem matematyki? Kto powiedział, że tak musi być? Może Wielka Teoria Unifikacji będzie pierwszym przykładem czegoś innego? Jeśli przyjmiesz takie założenie, wówczas wysiłki specjalistów od teorii strun, w tym naszego ulubionego Chińczyka, wydają się po prostu żałosne. Matematyczna spójność modelu nie będzie żadnym



dowodem. Teoria koherencyjna prawdy jest zbyt słaba, potrzebuję teorii korespondencyjnej, wybacz branżowy żargon — ugryzła się w język i jakby wycofała. — Nie za dużo gadam?

— Daj spokój. To fascynujące. Nigdy nie podchodziłem do tego w ten sposób. Myślałaś o konsekwencjach takiego założenia?

Myślała. Miała wszystko logicznie ułożone i aż przebierała nogami, aby się podzielić spostrzeżeniami.

— Fizyka kwantowa i mechanika relatywistyczna pozostają oddzielnymi sposobami patrzenia na świat. Różnymi perspektywami, które możesz przyjąć. Jak dualizm korpuskularno-falowy. Elektron jest cząstką albo falą, zależy od sposobu pomiaru. Tak wynika z matematycznego formalizmu, jest spójne z danymi obserwacyjnymi i oprócz garstki filozofów nikt się nie bulwersuje i nie sieje paniki z tego powodu. A jednak nie istnieje matematyczna struktura, która łączy świat cząstek elementarnych i świat galaktyk.

— Nie przesadzasz? — Z punktu widzenia wykształcenia i backgroundu akademickiego Davida piękna Francuzka plotła herezje.

— Nie ma jej, i tyle. Ktoś powiedział, że musi być? — Roześmiała się. — Kto? Może właśnie chwytasz Boga za rękę i wyciągasz na światło dnia niedoróbki i szwy w dziele Stworzenia... Chcesz jeszcze więcej bluźnierstw? Jesteśmy z dala od uniwersytetu, tutaj mi wolno. — Znów śmiech, jeszcze ładniejszy od poprzedniego.

Czy chciał? W towarzystwie Ann Fillion mógł obrazić największe umysły ludzkości, nazywać Heisenberga zezwierzęconym naziolem, Turinga śmierdzącą ciotą, a von Neumana alfonsem. Dziewczyna nie proponowała totalnej destrukcji wzorem lewicująco-feminizujących filozofów postmodernistycznych, którzy w głębokiej pogardzie mieli oświeceniową tradycję rozumu, wiarę w paradygmat naukowy, a nawet elementarną logikę, i zamiast tego woleli pleść modne bzdury, konstruując queerową wykładnię czasoprzestrzeni Minkowskiego w interpretacji Lacana, wyjaśnioną przez Žižka. Annette najpierw niszczyła, ale potem na gruzach budowała nową konstrukcję, do bólu logiczną i poukładaną.

— Pamiętaj o ograniczeniach ludzkiego mózgu. W końcu ten organ wyewoluował w paleolicie zaledwie dwa miliony lat temu, zapewniając

przewagę podczas sawannowych zmagani z drapieżnikami. Od tamtej pory nic a nic się nie zmienił, a potrafimy rozwiązywać równania różniczkowe, wymyślać koncepcje czarnych dziur i dywagować o Wielkim Wybuchu. Czyli już w czasach sawanny mieliśmy sporo nadwyżki obliczeniowej. Ale jeśli wolne zapasy się po prostu kończą? Może Wielka Teoria Unifikacji istnieje, lecz przy konstrukcji naszych mózgów i zdolnościach poznawczych człowieka jej zrozumienie pozostaje poza naszym zasięgiem? Nigdy nie napiszemy odpowiednich równań, bo jesteśmy za głupi.

— Nie wierzę. Zresztą to unik — odpowiedział, ale tak naprawdę nie zamierzał się spierać. Annette wpadała w lekko belferski ton, raczej chciała się wygadać, niż wejść w akademicką dysputę. Na koniec wymienili się telefonami.

\* \* \*

Konga poznał kilka dni później. David wybrał się na jego wykład na temat stabilności D0-bran – dużo skomplikowanej matematyki i roztrząsania technikaliów, David zrozumiał może połowę. Grono wyznawców Chińczyka niemal do ostatniego miejsca wypełniało uniwersytecką aulę. Nikt nie zadawał pytań, wszyscy kiwali ze zrozumieniem głowami, szeptem powtarzali co trafniejsze sformułowania. Ohydna atmosfera poklepywania się po plecach.

David został po wykładzie. Zainteresował go pewien szczegół, matematyczny detal z zakresu algebry nieprzemiennej. Był w tym ekspertem i miał wrażenie, że Chińczyk popełnił błąd rachunkowy. Słuchacze wychodzili z sali, wielu z nich Kong znał osobiście, wymieniali uściski dłoni i grzecznościowe uwagi. Chłopak poczekał, aż zostaną sami, podszedł do tablicy i napisał kilka równań.

— Moim zdaniem w tym miejscu się pomyliłeś.

Chińczyk nie odniósł się do jego uwagi.

— Z kim mam przyjemność?

Przedstawił się.

— David Katzner! — Kong się rozpromienił. — Niezmiernie mi miło. Czytałem twoją pracę na temat stałej kosmologicznej. Mistrzostwo świata.

— Wyciągnął rękę na powitanie. — Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Jak ci się podobało?

Stanęli twarzą w twarz. Kong Wen Huan nie był przesadnie gruby, ale miał nalaną twarz. Pełne policzki i opierające się na nich zbyt duże, źle dopasowane szkła okularów. Na twarzy szeroki uśmiech, podkrążone oczy. Był zmęczony i zmęczenie z łatwością dało się wyczytać z jego zachowania. Mówił powoli, czasami zastanawiał się nad prostymi słowami, jakby równoległe gdzieś wewnątrz czaszki toczył się intensywny proces myślowy, a Kong utrzymywał kontakt ze światem zewnętrznym jedynie z powodów grzecznościowych.

David rzucił ogólne uprzejmości. Kong wcale nie zamierzał zareagować na uwagę o pomyłce w obliczeniach. Pakował teczkę, zamykał laptop, zbierał porozrzucane po biurku różnokolorowe markery. Otoczył rozmówcę ramieniem i skierował się w stronę wyjścia.

— Wydaje mi się, że popełniłeś w rachunkach drobny błąd — powtórzył David. — Mogę się mylić, nie wiem. Chcesz o tym pogadać?

— W którym miejscu? — Naukowiec w końcu podszedł do tablicy.

W tej samej chwili wydarzyły się dwie rzeczy. Drzwi do auli uchyliły się i do środka zajrzał jakiś młody Chińczyk. Kong zaś przeraźliwie ryknął:

— Tu nie ma żadnego błędu!

David nie spodziewał się takiej reakcji, aż się wzdrygnął. Kong natychmiast się opanował i machnięciem dłoni odesłał chińskiego studenta.

— Ach tutaj... — Spojrzał ponownie na tablicę. — Słuchaj David, ogromnie cię przepraszam, nieco mnie poniosło. Strasznie jestem teraz głodny, normalnie muszę coś zjeść, bo zaraz umrę. Ale chętnie o tym pogadam. Możesz wpaść do mnie na dyżur w najbliższy piątek około czternastej, pasuje ci?

Jeśli liczył, że tak łatwo go spławi, był w grubym błędzie.

— W takim razie do piątku.

Wcześniej jednak David spotkał się po raz kolejny z Mayerem. Wpadli na siebie na dziedzińcu uniwersyteckim, David siedział na ławce, wygrzewając twarz w jesiennym słońcu, przeglądał anglojęzyczne dzienniki i miał nadzieję, że może natknie się na Annette, która za dwa kwadransy powinna kończyć wykład w sąsiednim budynku. Tymczasem podszedł do niego Mayer

Hochbaum i zasłonił mu całe słońce. David niechętnie wyjrzał zza płachty „International Herald Tribune”.

— Jadłeś dzisiaj lunch? — usłyszał pytanie.

Pokręcił głową.

— Znam świetną hinduską knajpę niedaleko stąd. Lubisz ostre żarcie?

I tak wylądowali na kolejnej dyskusji, tym razem obzerając się pakorą i kurczakiem tikka masala. Wówczas po raz kolejny David zadał sobie pytanie: o co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego stary przyk za wszelką cenę próbuje się z nim zaprzyjaźnić? Przesadnie się tym jednak nie przejmował. Uważał, że w każdej chwili może mu powiedzieć, aby się od niego odpierdolił. Wtedy wszystko wydawało się proste.

— Opowiedz mi więcej o swoich pracach na temat zbiorów kauzalnych — poprosił Mayer, napchawszy sobie usta smażonym ryżem polanym sosem *saag*.

— Co dokładnie chciałbyś wiedzieć?

Uśmiechnął się.

— Wszystko.

Zbiory kauzalne były koncepcją, nad którą David pracował od kilku lat. Wychodziła ona z założenia, że istnieją dwie fundamentalne zasady opisujące przestrzeń: nieciągłość oraz przyczynowość. Całą resztę fizyki, w tym mechanikę relatywistyczną, da się zbudować z tych klocków. Mało tego: przyczynowość jest konieczna do zbudowania kompletnego modelu czasoprzestrzeni.

Szło to w poprzek dominujących poglądów, propagowanych przede wszystkim przez Hawkinga, który postulował zaniedbanie struktury przyczynowej i traktowanie czasu analogicznie do wymiarów przestrzennych. Tymczasem, rozwijając konsekwentnie model wszechświata oparty na zbiorach przyczynowych, Davidowi udało się obliczyć poziom stałej kosmologicznej, a jego pomiar był zaskakująco zbliżony z danymi rzeczywistymi. Nikt inny przed nim tego nie osiągnął, żaden wcześniejszy model nie miał choćby zbliżonego poziomu dokładności. I z tego powodu, w swoim czasie, zrobiło się o nim głośno w światku teoretyków.

Mayer wytarł zatłuszczone usta serwetką, sięgnął po szklanekę z wodą i powiedział:

— Moim zdaniem dotykasz sedna, Davidzie. I dlatego wierzę tobie, a nie Chińczykowi. Z Wielką Teorią Unifikacji zmagalem się ponad ćwierć wieku. Zapisalem tony papieru, aby zrozumiec jedną prostą rzecz. Jaka jest najpierwotniejsza zasada, która leży w centrum całego wszechświata? Która nie zmienia się nigdy, niezależnie ilu i jakich przekształceń dokonasz? To przyczynowość. — Spojrzał na chłopaka z triumfem, a oczy lśniły mu obłędem.

David z trudem powstrzymał śmiech. Nie chciał zachować się niewłaściwie, ale widok napalonego dziadka, który przemawiał z egzaltacją właściwą nastolatkowi, był dość absurdalny.

— Przyczynowość? — wykrztusił.

— Żadne prawo fizyczne nie może pogwałcić przyczynowości: to ona jest fundamentem i na niej powinna zostać oparta Teoria Unifikacyjna, a nie na abstrakcyjnych modelach strun drgających w  $n$ -wymiarowych przestrzeniach, istniejących wyłącznie w umysłach matematyków. Moja żona i syn zginęli w katastrofie lotniczej. Wtedy uświadomiłem sobie wagę przyczynowości. Ciąg wydarzeń, który doprowadził do ich śmierci, można wyobrazić sobie jako niemal nieskończony łańcuch przyczynowo-skutkowy. Znaleźli się w samolocie, ponieważ chcieli jechać na wakacje. Mnie w samolocie nie było, ponieważ miałem dużo pracy i zdecydowałem się zostać w Stanach Zjednoczonych, a nie wylegiwać na hiszpańskich wyspach. W momencie, kiedy sobie to uświadomiłem, przestałem się zamartwiać. Nie było sensu rozdzierać szat i roztrzasać bez końca: czy dałoby się uniknąć katastrofy, dlaczego oni znaleźli się na pokładzie tego cholernego samolotu, a ja nie, i tak dalej. Znalazłem na nie odpowiedź.

— Chyba nie mogłeś nic zrobić.

Mayer jakby tego nie usłyszał. Kontynuował:

— Dlatego nigdy nie uwierzę w Wielką Teorię Unifikacji, która nie uwzględnia przyczynowości. Kiedy usuniesz to założenie, to jakbyś zdemontował dolny poziom domku z kart. Wszystko, cała fizyka, runie z dnia na dzień.

David patrzył na Mayera i mimo wszystko zaczynał coraz bardziej go lubić. Wówczas wiedział o nim niewiele. Po pierwszym spotkaniu pogrzebał w internecie, gdzie znalazł kilka artykułów, w których Mayer podejmował

szalenie interesującą próbę rozebrania na części pierwsze i ponownego skonstruowania fizyki kwantowej, tyle że przy użyciu niemal wyłącznie probabilistyki. Teoria nie znalazła jednak zwolenników i nie rozwijał jej nikt inny. Jak chłopak wyczytał z cv zamieszczonego na stronie uniwersytetu, dziadek sporo lat spędził poza światem akademickim, pracując w Stanach, w firmie Yoyodyne, specjalizującej się w konstrukcji silników raketowych.

Ale o co mu teraz chodziło?

Meyer chciał zarazić Davida swoimi pomysłami, szukał ucznia, któremu przekaże swoje idee, jak zrewolucjonizować fizykę kwantową i zbudować teorię wszystkiego, opierając się wyłącznie na rachunku prawdopodobieństwa. Lepiej nie mógł trafić, David chłonał takie rzeczy jak gąbka. A może, jako Żyd (*baal teszuwa* – skruszony, jak zdradził po kilku piwach), odczuwający mistyczną tęsknotę do Izraela, w którym spędził jednorazowo najdłużej trzy tygodnie, Hochbaum po prostu chciał sobie pogadać z innym przedstawicielem Narodu Wybranego?

— A jak tam Kong, miałeś okazję go poznać? — zagadnął w końcu, kiedy kelner postawił na stoliku gorące samosy.

Odpowiedzią było wzruszenie ramion i streszczenie ostatnich wydarzeń. Krótka rozmowa po wykładzie przerodziła się w odwiedzinę na dyżurze Chińczyka. Kong wyglądał wówczas tragicznie, jakby nie spał trzy noce z rzędu. Miał jeszcze większe worki pod oczami, nieobecne spojrzenie. Trzęsły mu się dłonie, mówił powoli i czasami się zawieszał na chwilę, ale w zupełnie inny sposób niż podczas pierwszej rozmowy. Tym razem w interwałach krępującej ciszy Chińczyk gubił wątek, nie potrafił się skupić, trudno było się pozbyć myśli, że marzy jedynie o ośmiu godzinach nieprzerwanego snu.

— Masz ochotę na kawę? A może na red bulla? — przywitał Davida, wskazując na zasłany papierami stół, na którym stał litrowy termos i kilkanaście pustych puszek po napojach energetycznych.

— Dużo studentów odwiedza cię na dyżurach?

Pomimo niehumanitarnego zmęczenia wymalowanego na twarzy Kong uśmiechnął się i przez moment David pomyślał, że mógłby nawet tego koleśka polubić, gdyby tylko ściągnął wreszcie maskę nadętego pozera, zbawcy ludzkości i odnowiciela współczesnej fizyki.

— Za mało. Boją się mnie. Podobno mam nie najlepszy PR.

— Że mówisz niewyraźnie po angielsku i dlatego lepiej nie przychodzić do ciebie na wykłady?

Kong załapał żart, ale się nie roześmiał, tylko uśmiechnął oszczędnie, przez grzeczność.

— Sprawdziłem te obliczenia. — Sam przeszedł do tematu spotkania. — I nie ma tam błędu. Chcesz prześledzić je wspólnie? To jest kilkadziesiąt stron.

David machnął ręką. Jakiej innej odpowiedzi oczekiwał?

— Skoro sprawdziłeś, na pewno nie ma w nich błędu. A możesz przesłać mi to mejlem? — Zostawił sobie ostatnią deskę ratunku.

Kolejna kilkusekundowa pauza. Jakby rzeczywistość była nagraniem na porysowanym CD, które wciąż się zacina.

— Jasne, nie ma problemu, prześlę ci jeszcze dzisiaj.

Potem zapytał go o to Mayer.

— Czytałeś je? Sprawdziłeś jego obliczenia? — Pociągnął zachłannie łyk hinduskiego piwa Cobra, podawanego w małej, przyjemnie oszronionej butelce.

— Próbowałem. Coś tam poprawił po moich uwagach. Wielu rzeczy po prostu nie rozumiem. Nie jestem w stanie przejść przez całość obliczeń.

— Możesz mi je podesłać?

David zmierzył starego Żyda wzrokiem.

— No nie wiem, czy Kong nie będzie miał czegoś...

— Daj spokój, pamiętaj o *peer review*.

Ten argument przeważył i jeszcze tego samego wieczoru Hochbaum miał na skrzynce wycinek prac Konga, które z wysokim prawdopodobieństwem wkrótce miały stać się częścią Wielkiej Teorii Unifikacji.

\* \* \*

Z Annette Fillion Davidowi nie udało się spotkać w sposób niezaplanowany, więc w agendzie wykładów otwartych znalazł jej wystąpienie.

Mówiła o kryzysie w filozofii nauki w kontekście wieloletniego zastoju w fizyce teoretycznej, wynikającego z utknięcia w szufladce z napisem „teoria strun”. Przekonywała, że odkrycie Wielkiej Teorii Unifikacji będzie stanowiło symboliczne zamknięcie pewnego rozdziału w historii fizyki, rozpoczętego narodzinami nowożytnej nauki, pracami Galileusza i Newtona. Należy liczyć się z ogromnym wpływem tego wydarzenia na inne dziedziny życia, pozornie bardzo odległe od fizyki teoretycznej, takie jak religia czy kultura masowa.

W pierwszej chwili jej wykład brzmiał niczym brednie spod znaku New Age i Ery Wodnika, ale w ustach Annette Fillion wszystko, co mówiła, szybko ułożyło się w niezwykle logiczną, uzasadnioną i spójną narrację.

Po wykładzie David nie ruszył się z ławki, czekając, aż dobiegną końca grzecznościowe wymiany uwag z wykładowczynią i inni słuchacze opuszczą aulę. Spostrzegła go bardzo późno.

— Cześć — powiedziała, stając w przejściu pomiędzy rzędami. — Przepraszam, na wykładzie nie założyłam okularów. Nie widziałam cię.

David zastanawiał się, czy pamięta choć jego imię.

— Chciałem trochę pogadać. Masz ochotę na drinka, piwo, kolację, cokolwiek...

— Jasne.

Podjechali metrem na Praça de Don Pedro, a tam przesiedli się w stary żółty tramwaj, którym przemieścili się pod katedrę, aby stromym zejściem zstąpić w chaotyczny labirynt ciasnych uliczek. Od tego miejsca rozciągała się Alfama, dzielnica biedoty, najlepszych knajp w mieście i fado. Annette знаła dobry lokal, gdzie serwowali szeroką gamę win i podawali niezłe owoce morza.

Usiedli przy wystawionym na zewnątrz stoliku. Filozofka długo studiowała kartę i wreszcie zamówiła coś po francusku. David wziął to samo, choć miał cholerną ochotę na piwo. Po chwili kelner postawił przed nimi dwa wielkie kielichy, w których było zaledwie kilka kropel białego wina.

Zły wybór.

Początkowy stres szybko się ulotnił. Gadali jak najęci, niemal się przekrzykiwali, każdy chciał jak najszybciej dojść do głosu i wyłożyć swoje poglądy na dane zagadnienie. Świetnie się czuli w swoim towarzystwie. Najciekawiej robiło się, kiedy schodzili na temat teorii unifikacyjnych.



— Wiesz, co ci powiem? — Annette nachyliła się ponad stołem. Kelnerzy co rusz dolewali wina i dziewczyna była już pod wpływem alkoholu. Lekkim, ale zawsze. Rozkosznie plątał jej się język, modyfikowała akcent, nieświadomie wciskała francuskie słówka. — Wiesz, jakie warunki będzie musiała spełnić teoria wszystkiego?

David pokręcił głową.

— Uporać się z relacją pomiędzy matematycznym formalizmem a rzeczywistością. Tam siedzi mnóstwo rzeczy, które spędzają sen z powiek filozofom. Choćby niepewna granica podziału pomiędzy obserwatorem i rzeczą obserwowaną. Obserwacja stwarza istnienie, warunkuje zachodzenie pewnych zjawisk, tak wynika z formalizmu, ale jak jest NAPRAWDĘ?

Odpowiedzią był śmiech.

— Pierwszą rzeczą, jakiej mnie nauczyli wykładowcy fizyki kwantowej, to żeby nigdy nie pytać, jak jest „naprawdę”.

— No tak, ale finalnie jakoś „naprawdę” musi być. Gdzieś leży granica pomiędzy modelem rzeczywistości a samą rzeczywistością. Teoria wszystkiego musi tę granicę precyzyjnie definiować, a teoria strun tego nie robi. To jest kolejny model, jakich wiele.

Przyznał jej rację.

— Chyba nie powinnam tyle pić — westchnęła. Na policzkach wykwitły jej czerwone plamy. — Miałam dzisiaj wieczorem jeszcze trochę popracować, ale nici z tego. — Złożyła dłoń na torbie od laptopa, którą trzymała na stole, jakby w geście usprawiedliwienia.

Skinął na kelnera.

— Daj spokój. Starczy... — Chwilę się opierała, zasłaniając dłońmi kieliszek, ale szybko spasowała i za chwilę znów moczyła usta w białym winie. — W sumie dzisiaj jest piątek, mogę sobie pozwolić na więcej niż zwykle.

Był ciepły wieczór, David chciał spędzić z Annette jak najwięcej czasu, przesiedzieć w knajpie nie do późnej nocy, ale do wczesnego ranka.

— Opowiem ci coś o Kong Wen Huanie — zaproponował.

Zgodziła się bardzo chętnie, a on streścił jej historię swoich spotkań z Chińczykiem. Annette słuchała z uwagą, opowieść ją wciągnęła, zapomniała sięgać po wino.

— Niesamowite — podsumowała. — On tam rzeczywiście miał błąd?

— Skąd mam wiedzieć? Kong twierdzi, że nie popełnił żadnego błędu. To była moja pierwsza intuicja, ale kiedy próbowałem wejść głębiej w obliczenia, odbiłem się od nich. Zbyt hermetyczne jak na moją specjalizację. Muszę zaufać Kongowi, dlaczego miałby kłamać? Na świecie jest kilkanaście osób, które rozumieją jego pracę. Jeśli w tej teorii jest błąd, wyjdzie podczas *peer review*.

Ann opróżniła kieliszek niemal jednym haustem.

— Muszę ci coś powiedzieć... — odezwała się.

Davidą zmroziło. Cóż takiego Annette miała mu do powiedzenia? Zdenerwował się, musiał zająć czymś dłonie, ścisnął nóżkę kieliszka, bardzo silnie, dziwne, że nie pękło szkło.

— Konga poznałam dwa lata temu, podczas stypendium w Wiedniu.

A więc to o to chodziło... Z Davida zeszło powietrze. Poczul się w jakiś sposób zawiedziony i pusty w środku, jak skorupa spróchniałego drzewa.

Annette opowiadała.

W Wiedniu poznali się na inauguracji roku akademickiego. Mieli dużo wspólnych tematów, na uboczu przegadali całą uroczystość. Annette wpadła Kongowi w oko i kiedy naukowiec trochę wypił, zaczął się do niej przystawiać. Różnica wzrostu Chińczykowi najwidoczniej nie przeszkadzała; Francuzka była od niego wyższa o głowę. Za kilka dni spotkali się znów, przypadkowo wpadli na siebie w stołówce. Kong ślicznie przeprosił za swoje nieprzystojne zachowanie i zaproponował Annette wyjście do kina. Spotykali się nieregularnie jakieś dwa miesiące, do niczego pomiędzy nimi nie doszło. Dziewczyna trzymała go na dystans i studziła wszystkie próby zacieśniania znajomości.

Wszystko skończyło się tuż przed Bożym Narodzeniem. Annette dobrze zapamiętała tamten dzień. Gorączka przedświątecznych zakupów, wszyscy zabiegani, centra handlowe pękały w szwach. Prószył drobny śnieg, we wszystkich radiach grali te same świąteczne piosenki.

Annette z Kongiem spotkała się w kawiarni w centrum handlowym właśnie. Wokół nich przetaczały się tłumy, wszyscy ściskali torby na świąteczne prezenty, po alejkach sklepowych spacerowały legiony Świętych Mikołajów rozdających dzieciom cukierki i baloniki.

Z początku nic nie zapowiadało trzęsienia ziemi. Kong cieszył się jak dzieciak na świąteczną wyprawę do Pekinu, na spotkanie z dawno niewidzianą rodziną i kumplami. Opowiadał o postępach w swoich pracach i problemach, z którymi akurat się zmagał.

I wówczas Chińczyk powiedział coś, co Annette przeraziło. To w tamtym momencie postanowiła zerwać z nim wszystkie kontakty i unikać jego towarzystwa, czego konsekwentnie trzymała się również w Lizbonie.

W fizyce kwantowej kluczową rolę odgrywa obserwator i jego relacja do obserwowanego obiektu. Elektron raz jest cząstką, a innym razem falą – to, jaką postać przyjmuje, zależy od sposobu, w jaki jest obserwowany. Obserwacja kolapsuje funkcję falową i spośród wachlarza potencjalnych zdarzeń wybiera jedno. Dopóki obserwacja nie zajdzie, wszystkie możliwe scenariusze realizują się jednocześnie, tkwią w superpozycji stanów. Podobnie jak w słynnym eksperymencie myślowym z kotem Schrödingera. Dopóki obserwator nie otworzy pojemnika, kot będzie żywy i martwy jednocześnie. Sam kot nie jest w stanie dokonać kolapsu funkcji falowej, gdyż do tego wymagany jest obserwator obdarzony świadomością.

W takim razie – można postawić pytanie – kto kolapsował funkcję falową wszechświata, zanim na Ziemi pojawili się ludzie? Teiści odpowiedzą, że Bóg, ale naukowcy do tej hipotezy podejną ze sceptycyzmem. Brakuje danych, by twierdzenie dało się bezdyskusyjnie przyjąć lub odrzucić.

Kong, za Wheelerem, powtarzał, że w czasach przedludzkich nikt funkcji falowej nie kolapsował. Wszechświat trwał w jednej gigantycznej superpozycji stanów, wszystkie scenariusze realizowały się w tym samym momencie. Co ciekawe, było to spójne z ostatnimi wyliczeniami statystyków dotyczącymi powstania życia na Ziemi i ewolucji człowieka. Okazywało się, że z punktu widzenia rachunku prawdopodobieństwa czas od uformowania się planety do dnia dzisiejszego był zbyt krótki (o kilka rzędów wielkości), by na skutek serii przypadkowych zdarzeń najpierw powstało życie, a następnie wyewoluował człowiek z mózgiem umożliwiającym snucie filozoficznych rozważań i zmaganie się z zawiłościami fizyki kwantowej.

Zwolennicy *christian science* i kreacjoniści mieli swoje dowody na udział istoty wyższej w akcie stworzenia, ale Kong wolał tłumaczyć to inaczej. Do momentu narodzin człowieka, powiadał, wszechświat funkcjonował jak olbrzymi komputer kwantowy. Jednocześnie realizował wewnątrz siebie

wszystkie stany i wybierał optymalne rozwiązania. Działo to niczym potężny kopniak dla ewolucji i umożliwiło narodziny istot myślących w znacznie krótszym czasie, niż gdyby proces doboru naturalnego testował w świecie rzeczywistym wszystkie ścieżki rozwoju, bez przerwy myśląc drogę, wchodząc w ślepe zaułki, wielokrotnie się cofając. Wszystko zwolniło dopiero w momencie, kiedy na scenie pojawił się świadomy obserwator, który poprzez obserwację miał moc zredukować do jednej możliwości przestrzeń dziejących się symultanicznie scenariuszy. Wówczas przeszła historia wszechświata została ustalona – w ułamku ułamka sekundy spośród oceanu możliwości wybrana została jedna ścieżka: rzeczywistość, w której żyjemy.

Ale na tym Kong nie zamierzał poprzestać. Zadawał sobie pytanie, czy tak naprawdę jesteśmy w stanie kolapsować funkcję falową? Jako inteligentni i świadomi obserwatorzy potrafimy przeprowadzać obserwacje, ale czy my NAPRAWDĘ rozumiemy to, co widzimy, czy może nasze zrozumienie jest powierzchowne, analogicznie do widzenia spraw w eksperymencie Schrödingera przez kota, zamkniętego w nieprzezroczystym pojemniku wraz z fiolką trucizny?

Bo Kong widział właśnie ludzkość na podobieństwo kota Schrödingera. Jako byt zbyt mało świadomy i inteligentny, aby dokonać rzeczywistej obserwacji i w efekcie wyłonić jedną możliwość spośród złożenia wszystkich możliwych stanów. Zdaniem Chińczyka funkcja falowa wszechświata do dziś nie została zredukowana i historia ludzkości nadal była złożeniem nieskończonej liczby ścieżek ewolucji: alternatywnych, niezrealizowanych scenariuszy.

— Ale jak to? — David roześmiał się. — Przecież nie żyjemy w superpozycji stanów.

Annette nie było do śmiechu. Wówczas, w pamiętny zimowy wieczór, Kong mówił śmiertelnie poważnie, i to było w tym wszystkim najbardziej przerażające.

Według Chińczyka redukcja funkcji falowej wszechświata miała nastąpić dopiero w chwili, kiedy powstaną równania Wielkiej Teorii Unifikacji. Dopiero wówczas ludzkość naprawdę ZROZUMIE naturę wszechrzeczy i spośród oceanu prawdopodobnych scenariuszy wybrany zostanie ten jeden i niezmienny. Fala pójdzie wstecz czasu, definiując kształt przeszłości, dlatego

my, żyjąc tu i teraz, w momencie poprzedzającym Kolaps Historii, nie doświadczamy efektu nakładania się alternatywnych scenariuszy.

— Bzdura — mruknął David. — Oddziaływania wstecz czasu burzą zasadę przyczynowości. — Przypomniał sobie słowa Mayera Hochbauma.

— Poczekaj na najlepsze...

Do skolapsowania funkcji falowej wszechświata wystarczy jeden świadomy obserwator. A zatem osoba, która pierwsza napisze, rozwiąże i zrozumie równania Wielkiej Teorii Unifikacji, stanie się kimś na kształt boga.

Jego myśl stworzy wszechświat.

Aktualny obraz naszego świata zawdzięczamy właśnie tej osobie, choć przełomowych odkryć dokona ona dopiero w nieokreślonej przyszłości.

— I on w to naprawdę wierzy?

Annette skinęła głową.

— Wierzy, że rozwiązując Wielką Teorię Unifikacji, stanie się bogiem i stworzy nasz wszechświat.

— Może już mu przeszło?

— Nie sędzę. Wtedy wystraszył mnie nie na żarty. Najpierw myślałam, że się zgrywa, chce podpuścić, testuje moją reakcję, ale on jest wkrecony w tę wizję na poważnie. Tutaj, w Lizbonie, raz spotkaliśmy się w czytelnicy, wyglądał strasznie, jakby nie spał, pracował całe noce. Chwilę pogadaliśmy, ale zwykły *small talk*, same ogólności, o uczelni, stypendium, mieście. Żadnych kontrowersyjnych tematów. No bo jak go miałam zagadać: cześć, co słychać, nadal uważasz się za boga?

Kolejne skiniecie na kelnera, ale tym razem Annette była nieustępliwa.

— Słuchaj, jestem już zupełnie pijana i muszę wracać do domu. Jutro z rana mam wykład i jeśli osuszę jeszcze jeden kieliszek, to nie wstanę. Nie mogę przekreślić swojej akademickiej reputacji, na którą pracowałam latami.

— Odprowadzić cię?

Czy David liczył na coś więcej? Na zaproszenie do mieszkania...?

Przecież nie.

— Daj spokój, dojadę taksówką.

Nie? To dlaczego był taki wkurwiony?

W milczeniu wspięli się pod kościół Świętego Antoniego. Sapali z wysiłku. Francuska filozofka, znawczyni myśli Poppera, Kuhna i Feyerabenda, wsiadła do samochodu prowadzonego przez Murzyna z burzą dredów. Położyła na kolanach torbę z laptopem, coś wymamrotała, fajnie było, dzięki, i tyle ją widział.

A Davida rozpierała energia. Nie mógł jechać do domu, usiąść do książki, uruchomić komputera i wrócić do pisania artykułu, z którym męczył się trzeci miesiąc. Musiał coś zrobić.

Dochodziła dwudziesta pierwsza. David sięgnął po komórkę i przejrzał telefony do kumpli, którzy o tej godzinie potencjalnie byli na mieście. Nie zastanawiał się długo. Wybrał numer do Eduarda, znajomego Brazylijczyka, światowej klasy specjalisty w zakresie fraktalnej geometrii wszechświata, który w życiu prywatnym nie mógł poradzić sobie z rozbuchanym libido i znaczną część wieczorów spędzał, włócząc się po dyskotekach.

Trafił w dziesiątkę. Eduardo rozkręcał imprezę w dokach i gorąco zachęcał, by bezzwłocznie do niego dołączyć; na zachętę rzucił imionami lasek, które kręciły się przy barze. David długo się nie zastanawiał, złapał taksówkę i ruszył w stronę dawnych doków portowych, przemienionych obecnie w imprezowe centrum Lizbony.

Obmacując kieszenie w poszukiwaniu portfela, gdy samochód dojeżdżał na miejsce, David uświadomił sobie jednak coś niepokojącego: bardziej niż kolorowe drinki, synkopowany rytm drum'n'bass i podskakujące smakowicie biusty śniadych Portugalek pociągała go rozmowa z Annette Fillion na temat roli obserwatora w procesie kolapsowania funkcji falowej.

Chyba się starzał.

Wieczór rozwijał się do bólu tradycyjnie. W klubie Doca De Santo wlewali w siebie z Eduardo kolejne szklanki alkoholu, pływali na dancefloorze, flirtowali z dziewczynami. Wreszcie Brazylijczyk ulotnił się w towarzystwie cycatej studentki antropologii (te z *social sciences* są najłatwiejsze, tłumaczył), a David wyszedł się przewietrzyć. Było po pierwszej w nocy, szedł bulwarem wzdłuż Tagu, mijał kolejne dudniące muzyką dyskoteki i zataczających się imprezowiczów, a w oddali majaczyły monstrualne przęsła rozpinającego się nad zatoką mostu 25 de Abril, po którym siedemdziesiąt metrów wyżej przemykały samochody.

Pora wracać do domu.

Ruszył w stronę postojów taksówek. Obok ktoś klęczał i wymiotował, zgięty w pół, całowała się jakaś para, młody chłopak niezdarnie mocował się z rozporkiem, zamierzając wysikać się do rzeki. David nie zrobił nawet dziesięciu kroków. Z naprzeciwka szedł on – pijackim krokiem, zataczając się.

Kong Wen Huan.

Bóg *in spe*, przyszły stwórca wszechrzeczy, wielki kolapsator funkcji falowej wszechświata. Kroczył pośród tłumu pijaków i dziwek, nikt oczywiście nie zwracał na niego uwagi, choć wszyscy powinni paść na kolana, oślepieni niezemskim światłem mądrości promieniującym z postaci Chińczyka. Dla bogów to oczywiście norma. Chrystus też wyciągał rękę do celników i prostytutek.

David podszedł do niego, uściśli sobie dłonie.

— Co tu robisz, człowieku? Jesteś chyba ostatnią osobą, jaką spodziewałem się spotkać w dokach.

Kong spojrzał na niego spode łba. Wyglądał koszmarnie, jakby wrócił z wieloletniego zesłania do obozu pracy, gdzie przez dwanaście godzin dziennie skręcał długopisy, a nocami był zmuszany przez strażników do goldminingu w sieciowej grze MMORPG. Bez dostępu do elementarnych środków higieny osobistej.

— Mam ochotę się dziś urznąć — bełkotał. — Stawiam, pójdziesz ze mną?

David ledwo trzymał się na nogach, ale zrobiło mu się żal Chińczyka. Nie potrafił wyjaśnić nagłego przyływu empatii do tego zadufanego w sobie skurwysynka, który uważał, że pretendowanie do roli stwórcy świata to zadanie akurat na miarę jego ambicji.

Chłopak skinął głową i skręcili do najbliższego klubu. Przez pozostałą część nocy rozmawiali niewiele. W dyskotecie dudniły taneczne rytmy, trzeba było do siebie krzyżeć. Kong bez przerwy donosił z baru drinki, czasem wskazał na co bardziej łakomy kasek na parkiecie. Jeśli chodzi o kobiety, mieli podobne gusty. Trochę próbowali tańczyć, ale Chińczyk poruszał się w bardzo niezręczny sposób – na usztywnionych nogach dreptał w miejscu niczym zepsuty robot ze starego filmu science fiction. Niektórzy wytykali go

palcami i jawnie się śmiali. Dlatego ostatecznie zdecydowali się usiąść przy barze i resztę czasu spędzili, przekrzykując się złośliwymi uwagami na temat wygibasów pozostałych uczestników imprezy.

Rozstali się przed trzecią rano. Kluby pustoszały, pod podeszwami chrzęściło szkło z porozbijanych butelek. David chciał zaciągnąć Konga na postój taksówek, ale ten upierał się, że wróci metrem. Pożegnali się. Chińczyk stał w rozkroku i nieco się kiwał, szukając po kieszeniach karty, na której miał zakodowany bilet komunikacji miejskiej. Kiedy ją znalazł, bardzo się ucieszył. Był pijany, ale nie na tyle, by za wszelką cenę odradzać mu przejażdżkę metrem. Poradzi sobie.

W końcu jest prawie bogiem.

Co dalej się działo – David nie pamiętał dokładnie. Szedł w stronę postoju taksówek, ale do niego nie dotarł. Pomylił drogę, wszedł w labirynt wąskich uliczek, którymi kluczył bez końca. Wreszcie trafił na skwer, była tam tablica upamiętniająca ważne wydarzenie historyczne z dziejów Portugalii. Poczul się strasznie zmęczony. Przysiadł na ławeczce, tylko na chwilę, odsapnąć, złapać oddech, by ruszyć dalej, na poszukiwanie taksówki. Zwinął się w kłębek i od razu zasnął.

Kiedy się obudził, dochodziła szósta rano. Wszystko go bolało i szczykała zębami. Nie miał jeszcze kaca – nadal był solidnie pijany. Sturlał się z ławki. Okazało się, że postój taksówek znajduje się tuż za rogiem. Usiadł na tylnym siedzeniu wielkiego mercedesa i zasnął, zanim kierowca zdążył uruchomić silnik. Obudził się, dopiero kiedy dojechali na miejsce. Wielka czarna dłoń chwyciła go za ramię i energicznie nim potrząsnęła. David sięgnął po portfel.

— Pan jesteś Żyd — powiedział na pożegnanie czarnoskóry kierowca taksówki.

— Po czym pan poznał?

— Po nosie.

Jego uwaga wydała się Davidowi szczytem absurdu, wybuchnął śmiechem i długo nie potrafił się opanować. Kiedy tylko uporał się z kluczem i wszedł do mieszkania, od razu rzucił się na łóżko i zasnął w ubraniu.

Obudził go telefon. Ostrożnie otworzył oczy. Łeb pękał na miliony kawałków. Usta miał wyschnięte, jakby przebiegł maraton na Saharze.



W pierwszej chwili David pomyślał o Annette, że to dzwoni ona, chce przyjechać, pyta o adres.

Mayer Hochbaum – migało na kolorowym wyświetlaczu iPhona. Mayer Hochbaum.

Spierdalaj! – odrzucił połączenie i wyłączył aparat. Wcześniej spojrzął na godzinę – zbliżało się południe. Dzisiejszy dzień i tak należało spisać na straty. David postanowił, że przekima do siedemnastej – wtedy kac zelżeje – zwlecze się z łóżka, pójdzie na miasto coś zjeść, później wróci do domu, pogapi się w telewizor, poprzegląda komiksy. Na poważniejszą lekturę nie będzie miał siły.

Sobota jak każda inna.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

Ta sobota miała być zupełnie inna niż wszystkie inne.

Dzwonek powtórzył się. David w pierwszej chwili chciał zignorować niezapowiedzianego gościa, naciągnąć kołdrę na głowę i czekać, aż intruz uzna, że nikogo nie ma w domu. Kto mógł go odwiedzać w sobotę o tej godzinie? Z nikim się nie umawiał. Gонец z pizzerii pomylił adres? Kurier przyniósł książki z Amazona albo kupione na eBayu płyty? Ale przecież nie czekał na żadne zamówienie.

Ktokolwiek to jest, pójdzie sobie.

Dzwonek umilkł, ale już po chwili zaczęło się natarczywe pukanie.

— Policja — dobiegło zza drzwi po angielsku. — Policja, proszę otworzyć.

Nie miał wyjścia.

— Za chwilę — podniósł głos i przyplącił ten krzyk gwałtownym atakiem bólu głowy.

Nie był w stanie pozbierać myśli. Wewnątrz czaszki wszystko łupało, pulsowało, dudniło. Próbował wyprostować nogi, ale jakby walił głową w szklany sufit. Zgięty, pobiegł do łazienki, gdzie obficie zwymiotował do umywalki. Niecierpliwcy po drugiej stronie drzwi wznowili pukanie.

— Policja!

Nie miał czasu umyć zębów. Strasznie chciało mu się sikać. Pukanie nie ustawało. Jeszcze moment, a wywalą drzwi, przyszło mu do głowy. Może

myślą, że próbuje uciekać? Na kacu gigancie spuszcza się po piorunochronie z czwartego piętra. Tylko dlaczego miałyby uciekać? Przecież nie zrobił nic złego.

David otworzył. Policjanci byli we trzech, ubrani w szare garnitury, jeden o ciemnej karnacji skóry. Dwóch mówiło po angielsku, trzeci się nie odzywał.

— Pan Dawid Katzner?

Skinął głową. Musiał wyglądać równie tragicznie, jak się czuł. W wymiętym wczorajszym ubraniu, z dwudniowym zarostem i oddechem śmierdzącym niczym płat surowego mięcha gnijący w pełnym słońcu.

— Musimy pana przesłuchać w związku ze sprawą śmierci Konga Wen Huana.

Śmierci Konga Wen Huana? David na moment zapomniał o kacu, zapomniał o całym świecie. Pociemniało mu przed oczami.

Śmierci boga?

— Kong Wen Huan nie żyje?! Matko, co się stało?

— Skoczył, a może raczej: ktoś go zepchnął z mostu 25 de Abril, prosto na bulwar w dokach.

David nie potrafił wykrztusić jednego choćby słowa.

— Pan pójdzie z nami. Potrzebuje pan chwilę na toaletę?

Zapakowali go do nieoznakowanej škody octavii. Cały czas chciało mu się rzygać. Ból głowy przyplýwał i odpływał falami. Jeden z policjantów popatrzył na niego z litością i z samochodowej skrytki wyciągnął opakowanie aspiryny.

— Nie na wszystkich działa, ale mi pomaga — wyjaśnił.

David łyknął dwie tabletki na raz. Zamknął oczy i oparł się o zagłówek. Kierowca prowadził bardzo nerwowo, gwałtownie hamował i ruszał spod świateł z wyciem silnika.

W którym momencie David zorientował się, że to coś więcej niż rutynowe przesłuchanie w sprawie tajemniczej śmierci największego celebryty wśród żyjących fizyków (z wyłączeniem Hawkinga)? Że nie tylko jest świadkiem, ostatnią osobą, która widziała Konga żywego, ale też niepostrzeżenie postawiono go w roli głównego podejrzanego? Kozła ofiarnego wydanego na pożarcie żądnym zemsty Chińczykom?

Zaczął coś podejrzewać, kiedy po rozmowie z uprzejmym policjantem, który na komendzie cały czas robił skrępowaną minę w rodzaju „wiem, co teraz czujesz”, częstował go sokiem pomarańczowym i pytał, czy nie przynieść czegoś do jedzenia, David nie został wypuszczony do domu. Opowiedział wszystko ze szczegółami: jak potoczyły się wydarzenia minionego wieczoru, jak spotkał się z Kongiem, co z nim robił i w jakich okolicznościach się rozstali. Później zaczynał się kłopotliwy fragment z czarną dziurą pomiędzy godziną trzecią a szóstą rano, kiedy kimał w pozycji embrionalnej na ławeczce.

Przesłuchujący kiwał wyrozumiale głową i notował.

— W którym dokładnie miejscu znajduje się ta ławka?

— Nie wiem, nie znam tej części miasta. Ale mogę ją wskazać.

Kong spadł z mostu około czwartej trzydzieści, czyli w środku czarnej dziury Davida. Skubaniec nadłożył kawał drogi, aby wejść na estakadę. Potem musiał iść poboczem, obok śmignął pewnie od czasu do czasu samochód, było ciemno, chyba nikt go nie zauważył, ale poszukiwania świadków wciąż trwały. Policja sprawdzała nagrania kamer z bramki na autostradzie, identyfikowała tablice rejestracyjne samochodów, dzwoniła do kierowców. Niestety, ruch o tej godzinie był minimalny. Chińczyk poleciał w dół, siedemdziesiąt metrów, i roztrzaskał się na betonowej ścieżce.

Pierwsze przesłuchanie skończyło się po niecałej godzinie. David czuł się trochę lepiej, kac mijał, a on pił sok pomarańczowy z plastikowego kubeczka, w żołądku zaczynało go mile ssać. Bardzo przyjemny moment, kiedy po strasznym pijaństwie przez większą część następnego dnia nie można niczego wziąć do ust, aż w końcu późnym popołudniem ból głowy i mdłości odpuszczają, atakuje zaś potężny głód.

— Kiedy będę mógł iść do domu? — zapytał mundurowego siedzącego za biurkiem, ale on pokręcił głową i odburknął coś niezrozumiale. Widać nie znał angielskiego.

Chwilę potem David został zaproszony do następnego pokoju. Tym razem policjant miał znacznie mniej sympatyczną aparycję. Wyglądał jak typowy macho z filmów kręconych w połowie lat 70. Niemodna fryzura i obfite wąsy. Na nosie okulary z przyciemnianymi szklami, na dłoniach zaś żółte plamy po tytoniu. Musiał palić jak smok.

Przedstawił się, ale David nie zapamiętał jego imienia.

— Jesteśmy w dupie. — Po angielsku mówił dobrze, ale z bardzo twardym akcentem. Włączył znajdujący się w pokoju niewielki kineskopowy telewizorek i skakał pilotem po kanałach. — Zobacz.

To była kitajska stacja informacyjna. Gadali po chińsku, na czerwonym pasku w dole ekranu leciały napisy w krzaczkach, ale David nie musiał znać chińskiego, aby rozumieć, o czym mówili.

Tragiczna śmierć Konga Wen Huana.

Reportaż z Lizbony, na pierwszym planie potężne przęsła mostu 25 de Abril. Kolejny chiński kanał. Wspomnienie o Kongu Wen Huanie. Przebitka na uniwersytet w Pekinie, wypowiadają się jego współpracownicy naukowcy, studenci.

— Chińczycy nas zamordują. Ambasador telefonuje, gdzie tylko uda mu się dodzwonić. Nie rozmawiał jeszcze z prezydentem, ale to kwestia czasu — burczał wąsaty macho. — Kong dla Chińczyków był gwiazdą medialną, najwybitniejszym dzieckiem narodu, symbolem tego, że Państwo Środka triumfuje nie tylko we wzroście gospodarczym, lecz również w nauce. Honorowa sprawa.

Zapadła krępująca cisza.

— Kilka osób widziało was wczoraj w nocy. Podobno nieźle się bawiliście. Kong spadł z mostu około wpół do piątej rano. Co wtedy robiłeś?

Byłem w czarnej dziurze, chciał odpowiedzieć David. Zacisnął powieki.

— Spałem zupełnie pijany na ławce. Przecież już o tym opowiadałem.

— Według zeznań taksówkarza, który przywiózł cię do domu, do taksówki wsiadłeś dopiero około szóstej. Co robiłeś wcześniej?

Zrozumiał to właśnie wtedy, patrząc na nalaną twarz złego gliniarza, na gruboziarnistą fakturę policzka, drugi podbródek i świńskie oczka za szklami frajerskich okularów. Jakby doznał iluminacji.

Tragiczna śmierć Konga, nieumiejętnie rozegrana od strony *public relations*, może znacznie pogorszyć stosunki dyplomatyczne na linii Portugalia–Chiny. Chińczycy pewnie nie dadzą sobie wmówić, że to było samobójstwo, i zaczną szukać winnych. A Portugalia zostanie zmuszona, aby bezzwłocznie znaleźć podejrzanego. W takim przypadku prawdę odsuwa się na boczny tor.

A czy można sobie wyobrazić kogoś lepiej nadającego się na kozła ofiarnego od Davida? Był ostatnią osobą, która widziała Konga żywego, a moment jego śmierci przespał pijany na ławce, czego nikt nie widział.

W dodatku miał motywację.

— Podobno byłeś z Kongiem w konflikcie. Nie przepadaliście za sobą.

— Ja... dlaczego... to nie tak... — Zupełnie nie wiedział, jak się bronić.

Wąsacz wertował notatki.

— Dwa tygodnie temu po wykładzie rozmawiał pan z panem Huanem. Kłóciliście się. Pan Huan podniósł na pana głos.

— Skąd...

— Nie zaprzecza pan? Widział was jeden ze studentów pana Huana.

— Po prostu wydawało mi się, że Ko... pan Huan popełnił błąd obliczeniowy. Zwróciłem mu uwagę, a on się zdenerwował. Zwykła rzecz. Gdybym go nie lubił, nie spędziłbym z nim kilku godzin na imprezie.

— Wróćmy do pana zeznań. Co robił pan pomiędzy trzecią a szóstą w nocy?

Czarna dziura. Jahwe, miej mnie w swojej opiece, wypowiedział bezgłośnie David.

Przesłuchanie trwało blisko dwie godziny. Macho cały czas wałkował wątek pijackiej drzemki. Rozkładał mapę miasta, kazał pokazywać miejsce, gdzie stoi nieszczęsna ławeczka, odtwarzał trasę marszu. David miał irytujące wrażenie, że policjant szuka luki w jego zeznaniach, wyczulony na nieścisłości, draży temat nie po to, aby ustalić prawdę, ale przyłapać chłopaka na gorącym uczynku, znaleźć słaby punkt w zeznaniach.

— Przecież sekcja zwłok może ustalić, czy skoczył sam, czy ktoś go zepchnął. Na ciele powinny zostać ślady szarpaniny... — David próbował się bronić.

Policjant roześmiał się szczerze.

— Chińczyk spadł na beton z wysokości prawie stu metrów. Musieli go zeszkrobywać.

— Zwolnicie mnie do domu?

— Na razie nie. Chcesz się wysikać? Jesteś głodny?

Zamknęli go w pokoju przesłuchań. Pierwszy policjant przyniósł jedzenie w styropianowym opakowaniu, omlet z frytkami i puszkę coli. David czuł się jak skazaniec w celi śmierci, jedzący ostatni posiłek.

Dwie godziny później do pokoju wszedł znów zły wąsaty gliniarz.

— Możesz iść do domu — powiedział wyraźnie zrezygnowany. — Tylko nie wyjeżdżaj z miasta, będziemy z tobą w kontakcie.

— Co się stało?

— Możesz iść do domu. — Poglądził się po wąsie i więcej nie zamierzał nic powiedzieć. Był wściekły i David uznał, że lepiej go dodatkowo nie prowokować nierozważnymi pytaniami.

Odprowadzany nieufnymi spojrzeniami pozostałych mundurowych, chłopak wyszedł na ulicę. Marzył, aby zrzucić z siebie śmierdzące ciuchy, wskoczyć pod prysznic, ogolić się. Rozejrzał się za taksówką. Nie zdążył.

Po drugiej stronie ulicy stał Mayer Hochbaum i machał do niego.

— Kong nie żyje. — David uściśnął wyciągniętą na powitanie dłoń. — Słyszałeś?

Hochbaum parsknął pogardliwie.

— A po co dzwoniłem do ciebie dzisiaj z samego rana? Skoczył sam, czy ktoś mu pomógł?

Chwila wahania. Czy Mayer wiedział? Przecież widział, jak David wychodził z komisariatu policji. Więc...

— Planowali oskarżyć mnie. — Wzruszył ramionami. — Szukali kozła ofiarnego. Wczoraj w nocy imprezowaliśmy razem w dokach. Byłem ostatnią osobą, która widziała go żywego. Nie mam pojęcia, co się stało, ale niespodziewanie zwolnili mnie do domu.

— Wszystko wiem. — Mayer wszedł mu w słowo. — Posmarowałem jednemu studentowi, który kręcił się wczoraj w podobnych klubach jak wy. Złożył fałszywe zeznania, że kwadrans po czwartej widział cię, jak spałeś na ławce. Opisał wszystko ze szczegółami. Skurwysyny nie miały podstawy prawnej, by przetrzymać cię dalej w areszcie, zwłaszcza w kontekście wiarygodnego alibi. Będą musieli znaleźć nową ofiarę albo przyznają, że Kong skoczył bez niczyjej pomocy. A Chińczycy i tak w to nie uwierzą i będą się przepychać następne dziesięć lat. Takie życie.

David natychmiast rozboleł łeb, jakby przyczajony kac ponownie wyskoczył z pudełka.

— Fałszywe zeznania? Dlaczego?

— Bo wybrałeś sobie, kurwa, najbardziej odludną ławeczkę w całej Lizbonie, poza zasięgiem miejskiego monitoringu, i przez trzy godziny żywa dusza cię nie widziała. Dlatego. Policja jest pod gigantyczną presją, ambasador staje na głowie, by porozmawiać z prezydentem i w najbliższy poniedziałek ogłosić w Portugalii żałobę narodową. — Hochbaum spojrzął na zegarek. — Jeśli dobrze liczę, w Pekinie już mają flagi spuszczone do połowy masztu. A samobójstwo ma fatalny PR, zwłaszcza w kulturze Wschodu.

Wszystkie elementy rozsypanej łamigłówki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce.

— Musiałem mieć alibi. Inaczej trzymaliby mnie pod kluczem i szukali kolejnych poszlak, takich jak niedawna kłótnia z Kongiem o błąd w jego obliczeniach.

Stary Żyd przytaknął:

— Myślę, że w ostatecznym rozrachunku decyzja sądu byłaby najmniej ważna. Gdyby nawet cię oskarżyli, i tak byś się wybronił. Poszlaki były zbyt słabe. Liczy się coś innego: wizerunkowy sukces policji i wyrok, jaki wydałyby na ciebie media. Teraz to one decydują o winie.

Trudno było w to wszystko uwierzyć.

— I ty o tym wszystkim wiedziałeś? Dlatego czekałeś na mnie przed budynkiem?

— Tak.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Nie musisz nic mówić. Jeszcze będziesz miał okazję się odwdziżyć.

Później David dowiedział się, że złożenie fałszywych zeznań przez obecnego na programie młodego doktoranta specjalizującego się w pętlowej grawitacji, który za kołnierz nie wylewał i któremu Mayer zdecydował się zapłacić konkretną sumkę (chłopak nigdy nie poznał jej wysokości), nie wystarczyło, aby zwolnić go z aresztu. Stary profesor zrobił coś jeszcze. Uruchomił swoje kontakty sprzed lat, wykonał kilka telefonów i do szefa portugalskiej policji zadzwonił były agent Mossadu, niejaki Nathan Tauber, dawny znajomy policjanta z czasów wojny domowej w Mozambiku. Nathan

natomiast był serdecznym kumplem Mayera. Telefon za telefonem instrukcje spływały w dół, wprost na biurko wąsatego gliny w typie macho.

— Kong skoczył. Nikt go nie zepchnął. Dlaczego? — Zatrzymali się na światłach przed ruchliwym skrzyżowaniem. David spojrzał Mayerowi głęboko w oczy.

Staruszek napełnił płuca głębokim haustem powietrza pełnego śmierzących spalin.

— Nie wytrzymał presji. Być może oczekiwali po nim zbyt wiele. Nie był gotowy, aby przejść do historii. A ty byś był?

Na sygnalizatorze wyświetliło się zielone światło. W tłumie pieszych weszli na ulicę. David nie odpowiedział.

— A myślałeś jeszcze o innej ewentualności? — Mayer unikał jego spojrzenia. — Że w obliczeniach Konga naprawdę znajdował się błąd i ty ten błąd znalazłeś? Nikt inny, tylko ty. Kong ślęczał nad rachunkami wiele miesięcy, może lat, a ty, bach — strzelił palcami — przychodzisz na wykład i pozamiatane. To się często zdarza, psycholodzy nazywają podobne zjawiska tunelowaniem poznawczym. Jesteś tak mocno skupiony na zadaniu, że nie docierają do ciebie oczywiste sygnały z zewnątrz. Autorytet Konga był ogromny i wcześniej inni bali się zwrócić mu uwagę, kwestionować jego prace. W takich okolicznościach można popełnić naprawdę podstawowy błąd. A ten błąd podstawowy nie był, ale też niewiele osób na świecie zna się na algebrze naprzemiennej lepiej od ciebie. Co zatem, jeśli błąd był, miał kluczowy charakter i rozwalił w strzępy model Chińczyka, tak że nie było już z niego czego zbierać? Brałeś pod uwagę taki scenariusz?

Głupie pytanie. David nie myślał o niczym innym od chwili, kiedy policjant w szarym garniturze, stojący na progu jego mieszkania, ogłosił śmierć Wen Huana.

— Przeglądałeś jego prace, które ci podesłałem? Znalazłeś coś?

Mayer wzruszył ramionami.

— Przeglądałem, ale za głupi jestem na to. Nic nie zrozumiałem. Nie moja działka.

Nagle David postanowił zaatakować staruszka z zaskoczenia. Niespodziewanie zmienił temat.



— Dlaczego to zrobiłeś, Mayer, cholera, dlaczego robisz to wszystko? Wynająłeś gościa, żeby złożył fałszywe zeznania. Przecież to jest karalne. Tylko dlatego, że jestem Żydem? Tak bardzo ci na mnie zależy?

Hochbaum zbył pytanie.

— Masz ochotę na kolację?

David zdusił gniew.

— Latam w tych samych ciuchach od wczorajszego ranka. Zostałem oskarżony o morderstwo, rano rzygałem do umywalki i nawet nie zdążyłem umyć zębów. Przepraszam, ale nie dzisiaj.

Mayer roześmiał się i poklepał go po ramieniu.

— Wracaj do domu. Pogadamy, kiedy dojdiesz do siebie.

Trzy godziny później – po gorącym prysznicu, dziesięciominutowym szorowaniu zębów, ogoleniu się, sałatce z rukoli i roszonej popitej niegazowaną wodą mineralną, krótkiej drzemce na kanapie przy muzyce relaksacyjnej – David rzucił okiem na telefon. Wyświetlacz pokazywał nieodebrane połączenie.

Annette Fillion. Dzwoniła, kiedy stał pod prysznicem i szorował spocone ciało szorstką gąbką, a gorąca woda wyciskała porami skóry resztki alkoholu, który wciąż krążył po organizmie.

Oddzwonił natychmiast. Była roztrzęsiona.

— Słyszałeś, co stało się z Kongiem? — rzuciła.

— Myślę, że wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Annette po wczorajszym, jak to określiła, pijaństwie (wczorajszym – a David miał wrażenie, że ich spotkanie miało miejsce wiele miesięcy temu), po wykładzie wyjechała za miasto pospacerować po dzikich plażach Lagoa de Albufeira. Zapomniała zabrać telefon komórkowy, a w samochodzie nie słuchała radia, tylko audiobooków. Kiedy po południu wróciła do domu, miała kilkanaście nieodebranych połączeń i nieprzeczytanych SMS-ów. Kong nie żyje – cały uniwersytet huczał od plotek.

— Ja go dobrze znałam. Wiedziałam, jaki jest. — Annette miała potrzebę z kimś pogadać. David w tym czasie wyciągnął się na kanapie; mógł słuchać miękkiego głosu dziewczyny bez końca. — Podążał za ogólną wizją, ale często zaniedbywał szczegóły. Może tak samo było z błędem

w obliczeniach? Może wiedział o nim od samego początku, ale uznawał go za drobny, nieistotny szczegół, który wygładzi się później, na sam koniec, kiedy cała reszta będzie gotowa? Tymczasem ty wskazałeś tę nieściskość, Kong wrócił do rachunków i odkrył, że wcale to nie jest drobna sprawa. Sam mówiłeś: był wycieńczony fizycznie. Jakby pracował dzień i noc. Może próbował załatać dziurę, ale nie potrafił tego zrobić? Wpadł w depresję i dlatego targnął się na życie?

Zamilkła, czekając na reakcję. Jednak Davidowi nie chciało się odpowiadać, wolał wciąż słuchać jej kojącego głosu.

— Był pod gigantyczną presją — wydusił z siebie truizm.

— Tej nocy umarła teoria strun.

Słowa Annette Fillion okazały się prorocze. Podczas dwóch semestrów w Lizbonie odbyły się setki wykładów otwartych, sesji plenarnych, odczytów i kularowych dyskusji. Przełomowych równań Teorii Wszystkiego nikt jednak nie napisał. W międzyczasie powstało mnóstwo prac, opublikowano wiele artykułów w prestiżowych, recenzowanych pismach, ale do rozwiązania największej zagadki nie przybliżył się nikt, nawet najbliżsi współpracownicy Chinczyka.

Tyle że to jeszcze nie był koniec poszukiwań.

# TRZY

## TOMASZ/ WARSZAWA

Jak to się stało?

Opiekunka Alicji, Elżbieta, miała czterdzieści cztery lata, wykształcenie pedagogiczne i doświadczenie w pracy z dziećmi autystycznymi. Przychodziła do domu państwa Szymkowiaków pięć razy w tygodniu o godzinie siódmej trzydzięci, mijając się w drzwiach z Tomaszem, wiecznie spóźnionym do pracy. Zamieniała kilka słów z Ewą, ustalała, co przygotować na obiad, i do osiemnastej, czasem dziewiętnastej (zależy, kto z rodziców wrócił wcześniej z pracy) spędzały czas we dwie – Elżbieta i Alicja.

Dziewczynka tolerowała – co jest najwłaściwszym słowem, aby opisać relację między nimi – opiekunkę. Nie: lubiła, tęskniła, przywiązała się, kochała – tego Alicja nie potrafiła. Po prostu tolerowała; w jej obecności nie wpadała w histerię, nie rzucała się na podłogę z płaczem. Czasami nawet – i Elżbieta opowiadała o tym Ewie przy kawie i herbatnikach zbożowych – wydawało się, że Alicja zwraca na nią uwagę. Ustawia na podłodze zabawki i nagle, zupełnie niespodziewanie, odrywa się od zabawy, ręce zastygają w pół gestu, jak dłonie pianisty tuż przed uderzeniem w klawisze, nim wybrzmi pierwszy akord. Alicja patrzy spode łba na Elżbietę, która w tym czasie krząta się po domu: może wyciera kurze, prasuje błękitne koszule Tomasza, a może właśnie na chwilę przysiadła z kolorowym plotkarskim tygodnikiem. Opiekunka próbuje nawiązać kontakt wzrokowy z dziewczynką i prawie jej się to udaje. Potem spojrzenie Alicji znów jest nieobecne, nie widać w nim iskierkę empatii i zrozumienia.

Dziś wszystko wyglądało podobnie. Ewa dała znać, że wróci z pracy później, musi zostać na ważnym spotkaniu. Po Teleexpressie Elżbieta wyjrzała przez okno. Nad Warszawę od północy nadpływały ciężkie deszczowe chmury. Opiekunka spodziewała się w weekend gości, miała przylecieć do niej córka, na co dzień mieszkająca w Dublinie, i tym razem przywieźć kandydata na zięcia. Elżbieta bardzo się przejęła odwiedzinami. Co

przygotuje na obiad? W książce kucharskiej znalazła ciekawy przepis, ale wymagał zakupu kilku składników (bakłazany, ajwar), których nie znajdzie w osiedlowym sklepie. Czekala ją wyprawa do hipermarketu. Zaplanowała, że wyskoczy tam po powrocie od Alicji. Ale teraz – kiedy Ewa zapowiedziała późny powrót z pracy, czarne chmury zwiastowały zaś ulewę – lepiej załatwić sprawunki w czasie pracy i później się nie kłopotać. Dlatego zdecydowała się na wyprawę do sklepu razem z Alicją.

Córka państwa Szymkowiaków po ulicy maszerowała sztywno, nie rozglądając się, nie zawieszając na niczym spojrzenia, bez zainteresowania. Bywała tu wiele razy wcześniej. Nie można powiedzieć, aby szczególnie lubiła to miejsce, ale nie czuła się w nim źle.

Spacerowały sklepowymi alejkami, opiekunka zatrzymała się przed ekspozycją kostek rosółowych, błądziła wzrokiem po ścianie żółto-zielonych pudełek, czytając nazwy produktów, szukając wariantu ekologicznego, niskotłuszczowego, bo o taki prosiła jej córka. Na chwilę spuściła wzrok z Alicji, ale dostrzegala ją jeszcze kątem oka. Dziewczynka domaszerowała do końca alei, w której stały sosy, potem mechanicznie skręciła w lewo, jak nakręcana zabawka przemierzająca labirynt. Odpowiednia kostka rosółowa wylądowała w koszyku i Elżbieta ruszyła śladem podopiecznej... Ale dziewczynki już nigdzie nie było.

W pierwszej chwili opiekunka wcale się nie zdenerwowała. Mała po prostu gdzieś się schowała (choć to nie w jej stylu), pomyślała, i zaraz się znajdzie: przy półce z jogurtami, obejmując ekspozytor z sokami, przykucnięta za paletą plastikowych butelek napojów gazowanych. Tymczasem Alicji nigdzie nie było.

Kiedy Tomasz dotarł do domu, Elżbieta siedziała na kanapie w dużym pokoju, zapłakana, ściskając w dłoni wysoką szklanke wody, w której musowała tabletką rozpuszczalną. Opiekunka miała czerwone od płaczu policzki i nie potrafiła złapać oddechu. Ze strachem patrzyła na mężczyznę.

— Cały sklep jest monitorowany systemem przemysłowych kamer wideo — brzmiały jego pierwsze słowa. — Ochrona nie może przeanalizować nagrań i zobaczyć, co się stało z Alicją? Dokąd poszła?

Nie może. Elżbieta sprawdziła najpierw tę możliwość. Hipermarket potrzebuje policyjnego nakazu, a policja nie może uznać Alicji za zaginioną, jeśli nie upłynął odpowiedni czas.

— Jezus Maria. — Tomasz nerwowo przechadzał się po pokoju. — Przecież ona nie urwała się na randkę i nie wróci wieczorem z przepaszającym uśmiechem na twarzy. Ona ma osiem lat, ciężki autyzm i nie potrafi się sama wysmarkać.

We trójkę pojechali na miejsce porwania. Obsługa sklepu poznała Elżbietę; wszyscy kasjerzy i magazynierzy schodzili im z drogi, unikali kontaktu wzrokowego. Tomasz wygrażał, miotał przekleństwami na prawo i lewo: „Proszę z kierownikiem, natychmiast chcę rozmawiać z kierownikiem sklepu, czy mam zadzwonić do centrali, proszę o pilną rozmowę z rzecznikiem prasowym sieci!”. Przyjechała policja, wymęczeni panowie z wąsami i w mundurach; Tomasz bezzwłocznie chciał rozmawiać z ich przełożonym, powoływał się na liczne kontakty w prasie i straszył wizjami artykułu na pierwszych stronach najpoczytniejszych tabloidów.

Policjanci przestraszyli się, ale sieć pozostała nieugięta. Powołano się na wewnętrzne procedury. Po godzinie na teren hipermarketu wkroczył komisarz Wojciech Elmar – lekko łysiejący facet pod czterdziestkę, w wytartym i pogniecionym garniturze, który pamiętał jego ślub. Elmar zamienił na osobności kilka słów z szefem ochrony i skinął na Tomasza. We trójkę weszli do kanciapy monitoringu.

Siedział tam młody chłopak z długimi włosami związanymi w kitkę, bezwzrokowo pisał na klawiaturze i zerkał na panel monitorów, wyświetlających ujęcia z różnych kamer wideo rozlokowanych na sali sprzedaży.

— Gdzie to się stało? — zapytał Elmar.

— Przy keczupach i majonezach — odpowiedział Tomasz.

Szef ochrony zwrócił się do chłopaka:

— Żywność sucha, ósma alejka, wejście od alei głównej. Kamera numer trzydzieści cztery. Która to była godzina? Osiemnasta dwadzieścia?

— Trochę później. Około wpół do siódmej.

— Zacznij od osiemnastej dwadzieścia pięć. Puść na podglądzie.

Palce długowłosego nie przestawały biegać po klawiaturze. Spojrzeniem wskazał monitor. Widzieli wielki regał z przyprawami: keczupy, musztardy, majonezy, sosy kanapkowe. Czarno-biały obraz, grube ziarno. W sklepie ruch był niewielki. Od kiedy na sąsiednim osiedlu otworzyli Biedronkę i Lidla,

znacznie spadła liczba klientów. Pojedyncze osoby wędrujące labiryntem alejek z produktami, ściskające w dłoniach gazetki reklamowe, szukające promocji. Od czasu do czasu ktoś zatrzymywał się przed półką, oglądał ekspozycję, czytał ceny, studiował etykietę.

Aż wreszcie się pojawiły. Najpierw Elżbieta. Idzie powoli, popycha pełen towarów wózek, ciężko stawia poharatane żylakami nogi. Za nią sunie (powolutku, kroczek za kroczkiem) Alicja, trzyma się blisko regału, jakby chciała się schować w jego cieniu, uniknąć spojrzenia przemysłowej kamery wideo. Prawie jej się to udaje – cały czas oscyluje blisko krawędzi monitora, pojawia się, znika i znów się pojawia w polu widzenia. Elżbieta dochodzi do końca alejki, skręca w lewo i traci ją z monitora. Alicja zostaje przed regałem. Ustawia się w rozkroku, wodzi spojrzeniem po półkach, z góry na dół i z prawej do lewej. Unosi dłonie i wykonuje nimi w powietrzu dziwaczne gesty – jakby ćwiczyła jogę lub medytowała przed pojedynkiem karate.

— Ona jest chora — wyjaśnił Tomasz pozostałym. — Ma autyzm. Czasem zachowuje się w dziwny sposób.

Komisarz Elmar, szef ochrony i chłopak obsługujący przemysłową telewizję – wszyscy pokiwali ze zrozumieniem głowami. Tymczasem projekcja czarno-białego filmu wciąż trwała. Do Alicji podszedł ktoś, kogo twarz cały czas pozostawała poza rejestracją wideo. Kucnął przed dziewczynką i przez chwilę szeptał jej coś do ucha. Potem chwycił ją za rękę i wyszli z rejonu sosów.

— Daj przebitkę na główną alejkę i cofnij dziesięć sekund! — polecił szef sklepowej ochrony.

Chłopak wypełnił polecenie, ale porywacz okazał się sprytniejszy, niż wszyscy się spodziewali. Wkraczając w pole widzenia innej kamery, obrócił głowę i szedł dalej, wyprostowany jak struna, trzymając cały czas Alicję za rękę. Widzieli jedynie ciemną kędzierzawą czuprynę.

Pozostałe kamery również przechytrzył. Musiał znać ich rozmieszczenie w całym sklepie. Ostatni raz dostrzegli go na ujęciu z parkingu, gdzie zniknął pomiędzy rzędem równo zaparkowanych samochodów.

— Piękna, kurwa, historia — wymusknęło się Elmarowi. — W biały dzień! Wyprowadzić dzieciaka ze sklepu... W jakim kraju my żyjemy? — Wysmarkał nos w pogniecioną chusteczkę wyciągniętą z wewnętrznej

kieszeni marynarki. Zwrócił się w stronę Tomasza — spokojna głowa, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Ktoś musiał go zapamiętać. Będziemy szukać ludzi. Przygotujemy portret pamięciowy. Obiecuję panu.

Tomasz wyszedł z kanciapy ochroniarzy. Miał zawroty głowy, obraz przed oczami drgał i rozdwajał się. Podeszedł do dystrybutora z wodą i wyciągnął plastikowy kubek. Chciało mu się pić, ale nie był w stanie utrzymać naczynia pod kranikiem. Zbyt drżały mu dłonie. Zdecydowanym ruchem zmiął kubeczek i wyrzucił do kosza.

Wrócił na salę sprzedaży. Przed półką z sosami nie było Ewy ani Elżbiety. Oparł się o regał i ciężko oddychał.

W milczeniu mijali go kolejni klienci, pchając przed sobą koszyki wypełnione po brzegi kolorowymi produktami, odwracali szybko wzrok, a on machał z wściekłością ręką, odsyłając wszystkich w diabły. Dusił się. Jeszcze chwila, a straci przytomność; jak najszybciej musiał wyjść na zewnątrz.

Żonę i opiekunkę znalazł na ławeczce przed sklepem. Płakały. Elżbieta bez opamiętania, twarz nadbiegła jej czerwienią, ściągnęła okulary i tarła zapuchnięte oczy. Ewa po cichu, wpatrując się w nieistniejący punkt, daleko, hen, poza horyzontem widzenia. Była spokojna w sposób, w jaki spokojni są ludzie w stanie największej hysterii.

— Takie małe dziecko. Kto porywa małe dzieci! Dlaczego? — powtarzała uparcie, tak że słowa straciły w końcu pierwotny sens. — Małe dziecko. Dlaczego? Takie małe.

Właśnie, pomyślał Tomasz, dlaczego porywa się małe dzieci? W PRL jeździła czarna wołga, wycinali dzieciakom nerki i sprzedawali na Zachód. Po co jeszcze? Do adopcji bogatym Amerykanom lub Skandynawom? Do udziału w dziecięcej pornografii? Aby upuścić krwi i przygotować z niej macę? A może za chwilę powinien spodziewać się telefonu z żądaniem okupu?

Siedzieli na ławce we trójkę i milczeli. Środkiem parkingu zbliżył się do nich komisarz Elmar. Miał ciężki krok, garbił się i wypychał dłońmi kieszenie garniturowych spodni. Chciał rozmawiać z Tomaszem. Na osobności, koniecznie.

Odeszli i stanęli pod kolorowym billboardem reklamującym aktualną hipermarketową promocję: pieluchy i żółty ser w plasterkach. Wiatr przegonił

chmury, zachodziło słońce, ludzie pchali sklepowe wózki, pakowali zakupy do samochodów, całymi rodzinami zmiierzali do centrum handlowego. Tomasz Szymkowiak i Wojciech Elmar nie uczestniczyli w ich świecie. Policjant wygrzebał z marynarki pogiętą paczkę papierosów. Tomasz wymuskał peta.

— Paskudna sprawa. — Elmar patrzył na popękany beton parkingu. — Fachowiec. Bezbłędnie przygotował się do roboty. Zero przypadku. Sposób, w jaki obszedł przemysłowe kamery... Majstersztyk. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego.

— Co możecie zrobić?

— Przeanalizujemy zapis ze wszystkich kamer sklepu. Może wcześniej udało się zarejestrować jego twarz, zanim dobrał się do pańskiej córki. Dostaniemy dane ze sklepowego programu lojalnościowego. Sprawdzimy transakcje elektroniczne na kasie. Będziemy wiedzieli, kto robił wtedy zakupy. Dotrzemy do tych ludzi. Jeśli ktoś zapamiętał jego twarz...

— Jak pan ocenia szanse?

Elmar zaciągnął się papierosem i zmarszczył czoło.

— Będziemy w kontakcie. Proszę wziąć wizytówkę. Może pan dzwonić, kiedykolwiek będzie pan chciał. W takich sytuacjach powołujemy specjalny zespół i zasuwamy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli nie dorwiemy drania w ciągu trzech dni, będzie coraz trudniej.

— Dlaczego porywa się małe dzieci?

— Zadzwoń do pana po okup.

— Nie jestem milionerem.

— Na świecie, niestety, jest całe mnóstwo gnoju — westchnął Elmar. — Pamięta pan tę dziewczynkę z Portugalii? Gazety pisały o siatce pedofilskiej.

\* \* \*

Najgorszy był wieczór. Kiedy już nie musieli podpisywać żadnych papierów, składać zeznań, nie patrzyli w smutne oczy policyjnych urzędników. Wrócili do domu dopiero około dwudziestej drugiej, na zewnątrz było jeszcze jasno. Opuścili wszystkie żaluzje.

— Jestem głodna. — Ewa zajrzała do lodówki. — Masz na coś ochotę?



Tomasz pokręcił głową.

— Może zadzwonimy po pizzę? — zapytał.

Ale żadnego jedzenia nie zamówili. Ewa usiadła na kuchennym taborecie, w dłoni trzymała kubek, do którego wsypała dwie łyżeczki kawy, ale nie miała dość energii, by zagotować wodę i zalać ją wrzątkiem. Wyglądała przez okno i płakała. Płakała cicho, ale przeraźliwie, tak strasznie bezradna i samotna.

— Za chwilę oszaleję — powiedziała. — Zrób coś, proszę, zrób i nie patrz tak, bo jeszcze moment, a mi kompletnie odbije i zacznę wrzeszczeć...

— Ten koleś, Elmar, wydaje się sensownym facetem. Ufam mu. Wszystko będzie dobrze.

Ewa nawet na niego nie spojrzała.

— Zrobisz coś, kurwa, czy będziesz tylko siedział i pierdolił, jak przez całe życie? — wycedziła.

Nienawidził jej.

— Idę się przejść, muszę ochłonać. Jak będę wracał, wskoczę do Żabki. Przynieść ci coś?

Pokręciła głową.

Wsunął buty i zbiegł po schodach. Byle na świeże powietrze, jak najdalej od zamkniętych przestrzeni mieszkania i potwornego, wykańczającego napięcia, jakie iskrzyło pomiędzy nim a żoną. Był przyjemnie chłodny letni wieczór. Ulewa sprzed trzech godzin zmyła kurz i zaduch.

Myślał o Ewie.

\* \* \*

Dwa lata temu, kiedy Tomasz angażował się w związek z Adrianną, wierzył święcie, że żony nie da się oszukać. Przecież rozpracuje go w mig, zgrabnym noskiem wyniucha zapach perfum tajemniczej kochanki, odkryje ślady szminki na koszuli, znajdzie wydruk transakcji z konta i czerwonym markerem zakreśli zlecenie przelewu za czynsz.

Tymczasem się pomylił i po upływie dwóch lat Ewa wciąż nie miała zielonego pojęcia, że jest systematycznie zdradzana. Od zawsze używali oddzielnych kont bankowych, Ewa dawno straciła orientację, ile zarabia

Tomasz, a że zarabiał nieźle, dodatkowe wydatki na Adrianę rozplywały się w całościowym budżecie domowym. I tak trwali: we wrogiej symbiozie, kohabitując w pięciu pokojach na powierzchni stu dwudziestu metrów kwadratowych.

Tomasz często zastanawiał się, jak zareagowałaby żona, gdyby pewnej soboty, podczas rodzinnego śniadania, po prostu wyjawiał prawdę. Czy znał ją wystarczająco dobrze, aby przewidzieć tę reakcję? Chyba nie. Czy poderwie się od stołu z płaczem, wybiegnie z domu prosto do kancelarii adwokackiej specjalizującej się w sprawach rozwodowych? Czy może przyjmie wiadomość spokojnie, nie przerwie smarowania rogalika masłem, a potem zacznie mówić, nie patrząc mu w oczy. „Bardzo mi miło, że dobrze się bawisz. Mam nadzieję, że kochanka daje ci więcej przyjemności niż ja w dawnych czasach”.

Dlaczego im nie wyszło? Tomasz pamiętał przecież piękne dni, gorący czerwiec w Budapeszcie, kiedy późnym popołudniem uprawiał jogging na Wyspie Świętej Małgorzaty i niespodziewanie przyszła do niego żona. Miała na sobie letnią sukienkę w kwiaty, wielkie, zakrywające pół twarzy okulary przeciwsłoneczne i słomkowy kapelusz. Tomasz walczył z oddechem, łapczywie pił napój izotoniczny, wycierał twarz mokrą od potu koszulką.

— Jestem w ciąży — powiedziała wtedy Ewa, a nad Tomaszem otworzyło się niebo. Kolana zrobiły się miękkie, świat wokół w jednym momencie stał się zupełnie innym światem, a życie przewartościowało sens. Nie pamiętał, co odpowiedział, ale do dziś potrafił przywołać tamte emocje, które pojawiły się po wyznaniu Ewy. Wszystko wokół Tomasza wtórowało mu w radości: wesoło szumiały fale Dunaju i drzewa na zielonych wzgórzach Budy, z zadowoleniem mruczały kamienne lwy strzegące mostu Széchenyiego, a pomniki madziarskich herosów narodowych na Hősök tere uśmiechały się pod wąsem.

Ale oprócz radości było coś więcej. Niepokój pojawił się jeszcze tego samego popołudnia. Tomasz zaczął się bać, ale postanowił nie dzielić się z nikim swoimi obawami, wolał zachować je dla siebie, ukryć w zakamarku duszy. Czego się bał? Nie tego nawet, że sobie nie poradzi, nie sprawdzi się w roli rodzica, nie udźwignie ciężaru ojcostwa. Bał się o nich, o Ewę i siebie, że dziecko zniszczy model ich życia, sposób spędzania wolnego czasu, wzajemne relacje.

Kochali się wtedy jak wariaci, cieszyli się sobą napaleni niczym nastolatki, szaleli na mieście, pili tokaj na Wzgórzu Gellerta, w cieniu pomnika Wolności, i wracali pijani mostem Szabadság, śpiewając polskie szlagiery z lat 80. Biegali w deszczu po Andrassy útca, wspinali się na pomniki i szeptem wyznawali sobie miłość – w mrocznych kawiarenkach, przy blasku świec, w dyskretnym towarzystwie kelnera, który czuwał, by w kieliszkach nie zabrakło wina.

A dziecko było jak huragan, który zmiata z powierzchni stary porządek, jak kapłan rewolucji prowadzący na szafot obrońców starego ładu. Czy podołają – usidleni w pułapce ciemnego i wiecznie chłodnego mieszkania? Czy będą potrafili zreorganizować codzienne harmonogramy, znajdując w nich miejsce dla dziecka i dla siebie nawzajem? Czy wytrzymają nieprzespane noce, zasrane pieluchy, kolki, ząbkowanie, nieprzewidywalny rozkład dnia niemowlaka? Czy odnajdą się w świecie wiecznego deficytu czasu? Tego Tomasz bał się najbardziej.

Mieszkali wówczas w żydowskiej dzielnicy Pesztu, niedaleko Nagy Zsinagóga. Tomasz często pracował do późna, do domu wracał trolejbusem numer siedemdziesiąt cztery. Pojazd, przeciskając się wąskimi ulicami, mijał chasydów, którzy pocili się pod jarmułkami i ściskali frędzle tałesu, gdy wracali letnimi wieczorami z maariwy.

W dwóch pokojach na pierwszym piętrze kamienicy państwo Szymkowiakowie dzielili życiową przestrzeń z Balbiną. Kotką, która nie wiadomo skąd trafiła na klatkę schodową, gdzie znalazła ją Ewa. Zwierzak był chudy jak szczapa, żałośnie pomiaukiwał i z miejsca podbił jej serce. Lecz, jak stwierdził Tomasz, to właśnie Balbina była odpowiedzialna za to, że dziewięć lat później regularnie pieprzył się z młodziutką studentką i zamierzał dla niej porzucić żonę i córkę.

W jelitach Balbiny mieszkał pierwotniak *Toxoplasma gondii*, który przez cysty w kocich odchodach przedostał się do mięśnia macicy Ewy i pozostał tam w formie przetrwalnikowej. To nic niezwykłego – nosicielem *T. gondii* jest co trzeci mieszkaniec globu. Pasożyt nie stanowi zagrożenia dla człowieka, potrafi jednak nieodwracalnie uszkodzić płód.

Niestety, Ewa udała się na odpowiednie badania zbyt późno. Zanim *T. gondii* został zabity przez spirmacynę, zdążył zarazić Alicję. Tak przynajmniej, po wszystkim, tłumaczył to sobie Tomasz. Ginekolog

wprawdzie zapewniał, że nic takiego się nie stało, że chwila zwłoki nie powinna niczego zmienić, ale on wiedział swoje. Już wtedy z tygodnia na tydzień bał się coraz bardziej; gdy usłyszał o zarażeniu, grunt usunął mu się spod nóg i Tomasz utonął w bagnie niepewności, dusznych snów o wodogłowie i innych koszmarków opisywanych w internecie.

Wtedy też, w upalne węgierskie lato, Tomasz pierwszy raz pomyślał, że z ich małżeństwem może być coś nie tak. Gdy wracał po pracy, brał chłodny prysznic, a potem siadał przed telewizorem z puszką drehera w dłoni – wytwarzało się pomiędzy nimi trudne do zniesienia napięcie. Mijały miesiące, płód odtwarzał kolejne etapy ewolucji, upodabniając się coraz bardziej do człowieka, Ewie rósł brzuch, a strach budził Tomasza w środku nocy i zwykle nie dawał spać do rana. Wyobrażał sobie wtedy, jak będzie wyglądało ich życie za sześć, pięć miesięcy, za cztery miesiące. Irytowała go postawa żony, która celowo brnęła w coraz intensywniejsze życie towarzyskie, uciekała w świat poza murami mieszkania. Jeśli teraz nie poużywam życia, to kiedy?, pytała. Nie umiał zbić jej argumentów.

Tak zaczął się pierwszy kryzys w ich małżeństwie. Mijali się w domu, coraz rzadziej ze sobą rozmawiali, a jeśli nawet, krótkie wymiany zdań pełne były niedomówień i pretensji. Tuż po porodzie sytuacja odmieniła się diametralnie, wahadło nastrojów wychyliło się na drugi kraniec skali, ale zanim do tego doszło, Tomaszowi przytrafił się drobny incydent, o którym pomimo upływu lat nie potrafił zapomnieć.

Dwa tygodnie przed terminem rozwiązania, wczesnym wieczorem Tomasz wracał z pracy. Był koniec lutego, na ulicach zalegało brudne błoto pośniegowe, siąpiła marznąca mżawka, która przylepiała się do szyb samochodów, pokrywając je warstewką lodu. Tomasz jechał trolejbusem. Wysiadł na przystanku Nyár útca, skąd do domu zostało mu kilkaset metrów. Szedł powoli, szorował nogami po splekanych płytach chodnika, opóźniał moment spotkania z Ewą. Sip útca była wąską uliczką położoną w cieniu nieczynnej, zabytkowej synagogi. Widok ortodoksyjnego Żyda nie był w tym miejscu niczym niezwykłym. Zgarbiony Tomasz nawet nie podniósłby głowy, minął wyznawcę Jahwe, nie poświęcając mu ani chwili uwagi. Lecz Żyd chwycił go za rękaw płaszcza i niespodziewanie przyciągnął do siebie. Wykrzywione artretyzmem palce drugiej dłoni ścisnęły kołnierz i nie zamierzały puścić.

Starzec mówił coś bez przerwy, właściwie krzyczał, prychnając na wszystkie strony kropelkami śliny. Tomasz nie rozumiał ani słowa, patrzył tylko starozakonnemu w twarz i widział bardzo starego pomarszczonego człowieka, głębokie bruzdy na jego policzkach, zupełnie siwe pejsy i świeże blizny po oparzeniach, wielkie bąble wypełnione płynem surowicznym, rozciągające się od szyi aż po prawe ucho. Nieoczekiwany napastnik wydzierał się coraz głośniejsze – jakby zobaczył w Tomaszu diabła namawiającego do pracy w szabat.

Nienormalny, pomyślał Tomasz i delikatnie odepchnął natręta. Nie chciał robić mu krzywdy. Starzec wyglądał na doświadczonego przez życie, śmierdział chemią i szpitalem, może pamiętał Auschwitz i Treblinkę? Tomasz poszedł dalej, a ten cały czas krzyczał, wybałuszał oczy, twarz nabiegła mu purpurą, nabrzmiały żyły na skroniach. Przyszły ojciec poczuł się nieswojo, oblał się potem i od tej pory nie potrafił zapomnieć twarzy Żyda – oczu pełnych strachu, żółtych zębów i paskudnych blizn pooparzeniowych.

Wrócił do domu roztrzęsiony. Zastał Ewę siedzącą na kuchennym taborecie. Była blada jak kreda, zaciskała zęby i jedną ręką obejmowała brzuch, a drugą kurczowo ścisnęła krawędź stołu, aż zbieleły kłykcie.

— Chyba się zaczęło — wysapała. — Godzinę temu odeszły wody.

Ale przecież do terminu zostały dwa tygodnie... Tomasz rozłożył bezradnie dłonie, jakby zamierzał zgłosić skargę: przecież już miał plany na dzisiejszy wieczór, lekarz obiecywał jeszcze dwa tygodnie, dlaczego właśnie dzisiaj?

— Zrób coś! — warknęła Ewa. — Rusz się, do cholery, ja rodzę!

Kiedy było już po wszystkim, podszedł do niego lekarz w zakrwawionym fartuchu, który wykonywał cesarskie cięcie, bo bez niego niestety się nie obeszło, i powiedział coś po angielsku z silnym akcentem. „Apgar dziewięć” – zrozumiał wreszcie Tomasz, i tyle wystarczyło. Chwilę potem położna przyszła pokazać mu dziecko, które darło się wniebogłose. Wyglądało jak normalny noworodek, brzydki i pomarszczony, we krwi i białej mazi. Nie miało wodogłowia ani zespołu Downa. Zajęcej wargi ani sześciu palców u dłoni. W Tomaszu jakby coś pękło. Rozryczał się jak dzieciak, płakał i nie potrafił przestać.

Nie mieli jeszcze wymyślonego imienia dla dziecka. Zajęli się tym w szpitalu, kiedy mała, przytulona do piersi Ewy, na przemian spała i piła mleko. Tomasz siedział obok, trzymał żonę za rękę. Rozmawiali szeptem, by nie obudzić córki.

Nazwali ją Alicja. Jak Alicja w krainie czarów, argumentował Tomasz. „Popatrz na nią — mówił. — Jakie ma wielkie oczy. Z jakim zaciekawieniem patrzy na świat. Jak Alicja wewnątrz króliczej nory”.

Podczas drugiej doby w szpitalu stan zdrowia Alicji uległ gwałtownemu załamaniu.

— Coś z płucami — powiedział łamaną angielszczyzną neonatolog, który mierzył dobre dwa dwadzieścia i wielkimi łapskami mógłby bez wysiłku miażdżyć główki noworodkom. — Jeszcze nie wiemy co, pracujemy nad tym — tłumaczył. — Podajemy jej tlen. Będziemy państwa na bieżąco informować.

To były najkoszmarniejsze godziny w jego dotychczasowym życiu, gorsze od wszystkiego, co przeżył do tej pory. Nie spali całą noc, Ewa nie doszła do siebie po cesarskim cięciu, nie mogła wstawać z łóżka, miała założony cewnik. Tomasz siedział obok. W szpitalnym automacie kupił kilka puszek coli light i otwierał je, jedna po drugiej, patrząc na Ewę, na jej zapuchniętą twarz i sine, podkrążone ze zmęczenia oczy.

Nikt nie potrafił udzielić im odpowiedzi, co się dzieje, lekarze i pielęgniarki uśmiechali się niezręcznie i gestykulacją dawali do zrozumienia, że nie mówią po angielsku. Nad ranem do pokoju przyszedł ten sam neonatolog, tym razem w towarzystwie drugiego lekarza, znacznie niższego. Kurdupel milczał, świdrując Tomasza spojrzeniem zza grubych denek staromodnych okularów, których dolna krawędź kończyła się na wysokości połowy policzka.

— Czy wszystko z nią w porządku? Co to było? Wyjdzie z tego? — pieklił się Tomasz.

Lekarze wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się nieśmiało.

— Wszystko jest w najlepszym porządku — mówił wielkolud, drugi nawet nie otworzył gęby. — Obawialiśmy się najgorszego, ale wyszła na prostą. Stan się ustabilizował. Małej nic nie grozi.

— Co się stało?

— Szok adaptacyjny. Świat zewnętrzny jest zupełnie innym środowiskiem niż brzuch mamy. Czasami się tak dzieje, że dziecko nie chce zaakceptować nowej rzeczywistości i się buntuje. Zrobiliśmy serię badań. Pańska córka jest zdrowa jak ryba.

Ze szpitala wyszli trzy dni później. Ostatnią noc bez dziecka Tomasz spędził samotnie w mieszkaniu, szykując wszystko na powrót żony i córki. O dwudziestej pierwszej nie miał jeszcze skręconego łóżeczka dla małej. Kuchennym nożem rozciął kartony z Ikei, aby od razu odkryć brak odpowiedniego klucza imbusowego, który powinien zostać dołączony do opakowania. Z samego rana musiał jechać do szpitala odebrać „swoje kobiety” (jakże dziwnie brzmiało to określenie w jego ustach; chętnie je wypowiadał, smakując brzmienie słów, za każdym razem zastanawiając się na nowo nad ich sensem). Musiał od kogoś pożyczyć odpowiednie narzędzie. Wyszedł z mieszkania i zapukał do drzwi naprzeciwko.

Znał sąsiadów z widzenia; było to małżeństwo starych Węgrów, mówili sobie „Jó reggelt”, mijając się na schodach. Nikt nie zareagował na pukanie. Skrzypiącymi schodami wdrapał się na górne piętro i zapukał do kolejnych drzwi. Tym razem miał więcej szczęścia. Drzwi otworzyła mu dziewczynka o oliwkowej skórze, wyglądająca na kogoś, kto przynajmniej po jednym z rodziców pochodzi z któregoś z krajów Maghrebu. Nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. Ze zdziwieniem patrzyła na gościa szeroko otwartymi, niebieskimi oczami. Jakby się bała, balansowała na krawędzi paniki. Tomaszowi zrobiło się nieswojo.

Na szczęście trwało to krótko, do przedpokoju wszedł facet około czterdziestki, w krótkich spodenkach i podkoszulku na ramiączkach.

— Khawła, uciekaj — rzucił po angielsku. Podeszedł do drzwi i uśmiechnął się tak jowialnie, że aż sztucznie.

— Jestem pana sąsiadem z dołu — wydukał Tomasz — i chciałem...

— Jasne — przerwał mu gospodarz. — Kojarzę pana z widzenia.

— Pan jest Węgrem?

— Amerykaninem. Profesorem wizytującym na Uniwersytecie Corvina.

— Właśnie urodziła mi się córka. Składam łóżko i nigdzie nie mogę znaleźć klucza imbusowego. Czy może pan...

Sąsiad Tomasza, jak na wylewnego Amerykanina przystało, najpierw przez kilka minut składał mu gratulacje, a następnie przyniósł cały zestaw narzędzi, informując go, że Tomasz może trzymać je tak długo, jak tylko będzie potrzebował.

Kiedy się żegnali, Tomasz postanowił w jakiś sposób zrekompensować nieoczekiwane uprzejmości, jakich doświadczył ze strony sąsiada.

— Ma pan bardzo ładną córkę — powiedział w progu. — Ile ma lat?

Na ułamek sekundy twarz Amerykanina przeszył nieokreślony grymas i Tomasz w mig zrozumiał, że dotknął tematu, którego poruszać nie powinien.

— To nie córka. Siostrzenica — wyjaśnił gospodarz i zamknął drzwi.

Kiedy Ewa i Alicja wyszły ze szpitala, Tomasz czuł się niczym osoba, która przeżyła katastrofę lotniczą. Jakby darowano mu nowe życie. Kontury przedmiotów były wyraźniejsze, świat bardziej kolorowy, a jedzenie smakowało lepiej. Tamte dni do dzisiaj uważał za najszcześniejsze chwile życia. Kiedy pospiesznie wracał z pracy, ba – urywał się wcześniej z roboty, by posiedzieć blisko, przytulić się do Ewy, chwycić ją za dłoń i razem przypatrywać się córeczce, kwilącej w dziecięcym łóżeczku. Koszmary odeszły. Pomiedzy Ewą a nim znów było idealnie. Odzyskanie Alicji, wyrwanie jej z lodowatych łapsk kostuchy, unieważniło kryzysy z czasów ciąży. Znów chcieli spędzać ze sobą czas, rozmawiali szeptem wieczorami, aby nie obudzić córki, i na paluszkach wchodzili do sypialni, po cichu kładli się do łóżka i leżeli potem w ciemnościach, wtuleni w siebie, zasłuchani w oddech śpiącego dziecka.

Kiedy Alicja miała dwa lata, budapeszteński kontrakt dobiegł końca i przeprowadzili się do Polski. Ewa wróciła do pracy, wynajęli opiekunkę. Odnawiali stare znajomości, od czasu do czasu udawało się podrzucić dziecko dziadkom i wyrwać na romantyczną kolację przy świecach, wyskoczyć do kina, na basen, pograć w tenisa. Alicja rosła jak na drożdżach. Była oczkiem w głowie rodziców, rozpieszczoną jedynaczką dyktującą zasady, którym karnie się podporządkowywali. Nikt nie pomyślał, że coś jest nie tak.

Alicja nie rozwijała się w prawidłowym tempie, choć z późniejszej perspektywy Tomasz musiał przyznać, że objawy – rozproszone niczym kuleczki rtęci z pękniętego termometru – były widoczne jak na dłoni.



Brakowało jednak specjalisty, który potrafiłby je zebrać i postawić trafną diagnozę. Ktoś taki pojawił się dopiero na kilka tygodni przed trzecimi urodzinami dziecka. Miał rzadką brodę, okulary w rogowej oprawie i tytuł doktora psychologii. Spędził w towarzystwie małej cztery godziny, zrobił zatroskaną minę i powiedział jedno słowo.

„Autyzm”.

Alicja zachowywała się dziwnie – to prawda – lecz zapatrzeni w córeczkę rodzice woleli składać to na karb trudnego charakteru dziecka, częstych zmian opiekunek (których Alicja nie tolerowała), stresu wynikającego z przeprowadzki (kupili wtedy pięciopokojowe mieszkanie w nowo oddanym apartamentowcu na Bielanach). Co było nie tak?

Na początku twarz. Dziewczynka zawsze robiła taką samą minę: nieważne, co działo się wokół, była głodna czy najedzona, smutna czy wesół, nudziła się, czy pochłaniała ją zabawa. Zawsze miała identyczny wyraz twarzy, zmarszczone czoło, usta w podkówkę, szeroko rozwarte oczy. Jakby pomiędzy dziewczynką a resztą świata ktoś postawił szklany mur: informacje z zewnątrz trafiały do mózgu, ale tam ślad się urywał, neurony nie przetwarzały danych wejściowych, terabajty wrażeń zmysłowych trafiały na *bad sectors*, skąd nie dało się ich odczytać.

Pozostałe objawy były jeszcze bardziej niepokojące. Córka Tomasza nigdy nie cieszyła się, kiedy brał ją na ręce, unikała kontaktu wzrokowego, wołała skupiać spojrzenie na jednym punkcie, przypadkowym przedmiocie, kuchennym sprzęcie, nieciekawym meblu, wygaszonym ekranie telewizora. Najlepiej czuła się w samotności, gdy bez przeszkód mogła oddawać się ulubionym zabawom. A cóż to były za zabawy! Czerwonymi i czarnymi pisakami malowała na wielkich płachtach papieru, które Tomasz przynosił z pracy (na ich odwrocie były projekty budynków, mostów i wiaduktów). Alicja nie rysowała ani ludzi, ani zwierząt. Wołała obiekty geometryczne: okręgi, spirale, epicykle, helisy. Kreśliła kształty z precyzją geometry, a szkicowanie – choć je uwielbiała – sprawiało jej niemal fizyczny ból. Cicho pojękiwała i stękała, na policzkach wykwitwały czerwone plamy, pocila się, ale wyraz twarzy pozostawał bez zmian.

Nie lubiła się bawić lalkami. Kiedy zdejmowała z półki wszystkie Barbie, kolejnych Kenów, disneyowskie księżniczki, nie inscenizowała domowych wydarzeń, nie odtwarzała scenek rodzajowych, obsadzając w głównych rolach

rodziców i kuzynki. Zamiast tego układała zabawki na dywanie w nieoczekiwanych, silnie zgeometryzowanych konfiguracjach. Płakała, gdy tylko ktoś naruszył ów – dostrzegany wyłącznie przez nią – porządek.

Lubiła siedzieć przed telewizorem. *Shreka* oglądała setki razy, znała na pamięć każde słowo z listy dialogowej, nie pozwalała włączyć czegoś innego – wpadała wtedy w histerię, spazmatycznie płakała, kładła się na dywanie i pięściami waliła o podłogę. Za każdym razem śledziła fabułę z takim samym zainteresowaniem, emocjonowała się każdą sceną, jakby oglądała bajkę po raz pierwszy. W podobny sposób przywiązywała się do ubrań. Chciała bez przerwy chodzić w tej samej sukience, o co Ewa wciąż toczyła z nią boje.

Zaczęła mówić późno, choć wcześniej eholalicznie powtarzała zasłyszane słowa. Wtedy właśnie Tomasz pomyślał, że z jego córką może być coś nie tak: kiedy cały dzień chodziła po mieszkaniu, bawiła się, nawet jadła, obsesyjnie powtarzając jedno słowo, niczym buddyjski mnich mantrę *Om mani peme hung*, chcąc się wprowadzić w stan nirwany. W okolicach drugiego roku zaczęła mówić, ale używała swojego hermetycznego języka, niedostępnego dla innych. Fonetyka Alicji Szymkowiak była osobliwie gardłowa, słowa krótkie, jedno-, najwyżej dwusylabowe, dosadne jak szczeknięcia. Kiedy nauczyła się mówić po polsku, nie zapomniała swojej własnej mowy. I choć kryła się z nią przed światem, nie umknęło to uwagi rodziców: Alicja siadała w mrocznym kącie, z dala od spojrzeń dorosłych, rysowała gigantyczne spirale i bulgotała w nieistniejącym narzeczu, patrząc na powstające kształty nieruchomym wzrokiem.

Wreszcie: nie potrafiła wchodzić w relacje z innymi dziećmi. Kiedy w odwiedziny przychodzili znajomi z równoletnimi pociechami, dziewczynka nie chciała się z nimi bawić, próbowała za to zawsze narzucać własne zdanie. Nierzadko wizyta kończyła się przepychankami i płaczem, rodzice musieli za nią przeproszać.

— Autyzm. Objawy jak z podręcznika — powtórzył psycholog i palcem wskazującym poprawił na nosie okulary. — Bardzo mi przykro. Kiedy noworodek przychodzi na świat, ma w mózgu więcej połączeń pomiędzy neuronami niż osoba dorosła. Wiele z tych nadmiarowych więzi zostaje szybko wyeliminowanych. Coś jakby przycinać gałęzie drzewa, aby w przyszłości wydało zdrowe owoce. Ten proces nazywa się apoptozą.

W trakcie niszczenia komórek i redukowania połączeń tracimy wiele mocy obliczeniowych. U dzieci autystycznych apoptoza nie zachodzi i ich mózgi pracują na pełnej wydajności. Autystycy często mają niesamowite zdolności. Słyszeli państwo o sawantach? Potrafią mnożyć w głowie ośmiocyfrowe liczby. Inni rysują z fotograficzną dokładnością, znają na pamięć tysiące książek. Ale płacą za to cenę w postaci zaburzenia odbioru informacji ze świata zewnętrznego.

Autyzm. Słowo bez przerwy rezonowało w myślach, powracało w każdej rozmowie. Autyzm – brzmiało równie nierzeczywiście i przerażająco jak nowotwór złośliwy mózgu. Mają autystyczne dziecko i muszą nauczyć się z tym żyć.

Tomasz nie chciał się pogodzić z prawdą. Gdyby wierzył w Boga, pewnie wówczas by wiarę utracił, wymachując pięścią i spoglądając groźnie w stronę nieba. Zamiast tego zarywał noce, przeglądając archiwa i czytając posty na forach dla rodziców autystycznych dzieci, szukał specjalistów od tej choroby, wpisywał hasła do przeglądarki i żmudnie przerzucał kilkaset stron wyników wyszukiwania. Urządzał pielgrzymki po gabinetach najlepszych lekarzy i warował pod ich drzwiami, ściskając w dłoni hipermarketowe reklamówki, brzęczące butelkami wykwinnych alkoholi.

— Autyzm wciąż pozostaje nierozwikłaną zagadką — objaśnił mu pewien znany psycholog, uchwycony pomiędzy odczytem na konferencji w Bangkoku a odebraniem doktoratu honoris causa uniwersytetu w Helsinkach. — Naukowcy wypracowali wiele teorii, które tłumaczą jego powstawanie. Począwszy od czynników genetycznych – wad w chromosomach, poprzez biochemiczne – niewłaściwą gospodarkę neurotransmiterami i defekty anatomiczne w budowie mózgu, a skończywszy na powodach wirusowych i pasożytniczych. Najnowsze badania pokazują, że przyczyną autyzmu może być nawet infekcja niegroźnym poza okresem płodowym pierwotniakiem toksoplazmozy.

Toksoplazmoza – na Tomasza runęło niebo i chmury pogruchotały mu kości. Ewa w ciąży zrobiła test za późno. Alicja jest chora na autyzm z powodu zaniedbania: jej matka woląa biegać na mrożone latte z koleżankami, zamiast gruntownie się przebadać.

Tłumaczenia Ewy, że zaraziła się toksoplazmozą już wcześniej, że nie było w tym jej winy, nie pomogły. Tomasz wiedział swoje. W racjonalnej

wizji wszechświata każda rzecz musiała mieć przyczynę i on wreszcie zrozumiał, dlaczego przytrafiło mu się to, co się przytrafiło. To wcale nie złośliwy Bóg wybrał go sobie na ofiarę. Zawiniła Ewa.

Im dłużej patrzył na Alicję, tym bardziej nienawidził żony. Szczególnie nie znosił spacerów, placów zabaw, gdzie tabuny beztroskich dzieciaków baraszkowały radośnie w piaskownicy, zsuwały się ze zjeżdżalni, bawiły w berka. Z uśmiechem na ustach poznawały świat, eksplorowały rzeczywistość, porządkując bodźce zmysłowe – robiły rzeczy nieosiągalne dla Alicji. A wszystkimu winna była Ewa, jej opieszałość, lenistwo, nieuwaga.

Ewa także musiała sobie jakoś poradzić z nieoczekiwaną sytuacją. Rozwiązanie znalazła w osobie Eweliny Krug – czterdziestoletniej chrześcijańskiej fundamentalistki, która miała pięcioletniego synka, Maciusia, dotkniętego bardzo ciężkim przypadkiem autyzmu, przy którym Alicja wydawała się najbardziej empatycznym dzieckiem na świecie. Poznały się na meetingu zorganizowanym przez Ewelinę, która należała do chrześcijańskiej grupy wsparcia dla matek autystycznych dzieciaków o nazwie „Silniejsze razem z Jezusem” albo jakoś podobnie. Spotkanie odbywało się późnym popołudniem, Tomasz został w domu, aby opiekować się Alicją, a Ewa pojechała na Natolin, gdzie w trzypokojowym mieszkaniu na strzeżonym osiedlu Ewelina Krug odprawiała mistyczny rytuał trzymania się za ręce i dziękowania Jezusowi.

Ewa po raz kolejny zaskoczyła Tomasza. A wydawało mu się, że zna ją już na wylot. Tymczasem ona wywineła mu taki numer.

Do tej pory Ewa nie była szczególnie wierząca. O religii właściwie nigdy nie rozmawiali i Tomasz nie sądził, że Ewa w ogóle snuje rozważania eschatologiczne na temat życia i śmierci. Do kościoła właściwie nie chodzili, może kilka razy w roku, na święta, czasami przy innych wyjątkowych okazjach.

Tymczasem Ewelina Krug podczas półtoragodzinnej sesji terapeutycznej nie tylko złagodziła ból jego żony, ale również stała się mocą sprawczą jej gwałtownego nawrócenia. Wracając do domu, Ewa zajechała do Empiku w Arkadii, gdzie kupiła Biblię, następnego dnia przed pracą odwiedziła kamedułów w Lasku Bielańskim, trafiając na dyżur spowiednika w konfesjonale.

— Koniecznie musisz poznać Ewelinę — ekscytowała się przy kolacji, w tym jedynym momencie w ciągu dnia, kiedy musieli stanąć twarzą w twarz, patrzeć na siebie, znosić swoją obecność.

— Może kiedyś, przy okazji — odpowiedział wymijająco Tomasz.

— Za dwa tygodnie Ewelina organizuje piknik na Polu Mokotowskim. Zacznie się od mszy u Świętego Jakuba. Będzie super, jak przyjdziemy całą rodziną.

Dwa tygodnie... Dwa tygodnie na znalezienie wymówki, wyjazdu szkoleniowego, ważnej konferencji, obiadu z klientem, czegokolwiek. Niestety, Ewa trajkotała o pikniku codziennie i Tomasz uznał wreszcie, że lepiej będzie, jak tam pójdzie, przemęczy się na nudnym spotkaniu, żeby nie słuchać zrzędzenia żony przez kolejne miesiące.

Na miejscu okazało się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał. Kiedy wmieszali się w tłum rodziców autystycznych dzieci, spróbowali sernika, szarlotki i innych ciast upieczonych przez nowe koleżanki Ewy – stanęli wreszcie oko w oko z Eweliną Krug.

— Chwalmy Pana śpiewem — powiedziała na powitanie Ewelina, a Tomasz przewrócił oczami i zezował na żonę, próbując nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Jednak Ewa wpatrywała się w duchową przewodniczkę jak święta Faustyna w objawionego Chrystusa Miłosiernego.

Najpierw liderka grupy „Silniejsze razem z Jezusem” wydała się Tomaszowi dobrotliwą, ale niegroźną dziwaczką, jak sąsiadka z górnego piętra, która ma sześć kotów. Coś w tym stylu. Tymczasem w Ewelinie Krug były rzeczy o wiele bardziej niepokojące. Kobieta uśmiechała się dobrotliwie, mówiła z przesadną egzaltacją, onieśmiała usłużnością i uprzejmością. W jej spojrzeniu było czyste dobro, nic więcej.

I tego Tomasz obawiał się najbardziej.

— Ona jest nienormalna — powiedział Ewie w samochodzie, kiedy wracali po skończonym pikniku do domu. Nie mógł dłużej tego w sobie dławić, było mu niedobrze. Żona nie odpowiadała. — Nie chodzi nawet o to, że jej zdaniem chore dziecko jest prezentem od Boga, że się powinniśmy z tego cieszyć i codziennie dziękować Mu śpiewem, a w wolnych chwilach odmawiać koronkę do Bożego Miłosierdzia. To jest jej problem, niech sobie

żyje, jak chce. Ale jaki ona ma na was wpływ! Jest jak guru jakiejś sekty. Patrzycie w nią jak w obraz, bezkrytycznie, bezrefleksyjnie.

Ewa milczała.

— Rób, co chcesz. — Tomasz westchnął. — Tylko niech ci nic głupiego nie strzeli do łba, żebym cię nie musiał wyciągać z kłopotów i się za ciebie wstydzić. Nie mam na to ochoty.

Prawdziwa bomba wybuchła pięć miesięcy później. Był luty, na chodnikach zalegało błoto, Ewa wróciła z sesji modlitewno-terapeutycznej i stanęła na progu, ściągając kozaki. Zaczęła mówić od razu.

— Dzięki Ewelinie wszystko już rozumiem. Alicja jest chora, ponieważ ją szczepiliśmy, kiedy była mała.

— Słucham? — Tomasz stanął w korytarzu i patrzył, jak dłonie Ewy mocują się z butami, płaczą w długi płaszcz. Nie pomógł jej. — O czym ty mówisz?

— Thimerosal, toksyczny związek rtęci, którego używa się do konserwacji szczepionek dziecięcych. On wywołuje autyzm, są na to naukowe dowody. Ewelina zaprosiła na dzisiejsze spotkanie panią profesor z Instytutu Psychiatrii, która zrobiła na ten temat wykład. To jest wielki spisek, korporacje farmaceutyczne nie chcą się przyznać do błędu i ukrywają prawdę o setkach tysięcy przypadków autyzmu, których są winne, bo zarabiają potężne pieniądze i lobbują na rzecz konieczności szczepień. A dzieci nie trzeba wcale szczepić, bo mają naturalną, wrodzoną odporność.

— O czym ty mówisz? — To była zupełna abstrakcja. Tomasz słuchał żony, rozumiał każde zdanie, ale nie mógł uwierzyć, że scena rozgrywa się naprawdę. Z perspektywy jego świata była równie rzeczywista jak nowy serial w telewizji czy bestsellerowy kryminał sprzed trzech sezonów. Jaki thimerosal? Jakie szczepienia?

— Nasza córka ma autyzm, ponieważ w szczepionkach była rtęć. Rtęć jest metalem toksycznym i rozwała układ nerwowy małego dziecka. — Ewa spokojnie odwróciła się na pięcie i w końcu odwiesiła płaszcz do szafy.

— Co to za głupoty? Że niby szczepienia są niebezpieczne?

— Poszukaj sobie w internecie, potem będziesz się mądrzył — odburknęła i zniknęła za drzwiami łazienki.

Poszukał i to, co znalazł, ostatecznie utwierdziło go w ocenie Eweliny Krug. Antyszczepionkowe poglądy były popularne wśród tych samych osób, które nie ufały osiągnięciom współczesnej medycyny i w celach leczniczych piły własny mocz. Leczyły raka warzywami i wierzyły w metodę terapeutyczną tai-chi. Zdegustowany, wstał od komputera i zrobiło mu się naprawdę smutno, że jego żona wplątała się w środowisko skończonych kretynów i nie widać szans, by wygrzebała się z tego bagna. Niesmak trwał chwilę, Tomasz rzucił się na kanapę i do końca wieczoru oglądał telewizję, skacząc po kanałach.

\* \* \*

Wydarzyło się wówczas coś jeszcze. Pomimo pogarszających się między nimi relacji i zupełnego niezrozumienia, nadal spali w jednym łóżku i od czasu do czasu uprawiali seks. Pewnego dnia późnym wieczorem, kiedy Tomasz oglądał w telewizji film sensacyjny, Ewa weszła do salonu i usiadła na skraju kanapy, skromnie niczym pensjonarka.

— Chyba jestem w ciąży — powiedziała cicho.

— Co? — Tomasz poderwał się na równe nogi i nacisnął przycisk *Mute* na pilocie.

— Spóźnia mi się okres. Nie chce mi się dzisiaj jechać do apteki, jutro kupię test i będę miała pewność.

Tego było już za dużo, więcej Tomasz nie mógł znieść. Następne zdanie niemal wykrzyczał, chociaż za ścianą spała Alicja:

— Przecież bierzesz tabletki?!

— Nie biorę od dwóch miesięcy. Ewelina mówiła...

Nie dał jej skończyć.

— Kurwa, Ewa! Coś ty narobiła?!

W pierwszym odruchu zamierzał zdzielić ją na odlew w twarz. Już napinał mięśnie, zaciskał pięści. Powstrzymał się. Czuł w środku pustkę. Co powinien powiedzieć? Co zrobić? Nie miał pojęcia. Myśl o drugim dziecku spledzonym z żoną była czymś nierzeczywistym i strasznym zarazem.

— Ewa. Ewa... kurwa... Jak to możliwe?

Okazało się, że Ewa w ciąży nie była, a okres pojawił się następnego dnia. Tomasz definitywnie przestał uprawiać z żoną seks, a z czasem kupił w Ikei łóżko i wstawił je do swojego dawnego gabinetu.

Religijna gorączka Ewy opadła zresztą z czasem. Ewelina Krug, inkarnacja Matki Boskiej, anioł wcielony i dar niebios, wkrótce wyjechała z Polski na Ukrainę, w okolice Doniecka, wlokąc swojego dzieciaka do ruskiego uzdrowiciela, który ponoć leczył autyzm spojrzaniem. Tomasz w końcu zrozumiał żonę. Diagnoza choroby Alicji była dla nich ciosem i każde musiało obrać osobistą strategię radzenia sobie w nowej rzeczywistości. Tomasz wybrał racjonalizm i wycofanie do świata wewnętrznego. Pozostawiona samotnie Ewa zaczęła się szamotać i pierwszą osobą, która wyciągnęła do niej pomocną dłoń, okazała się Ewelina Krug. Gdyby Ewa za pierwszym razem trafiła na zlot Hare Kriszna, później nie jadłaby mięsa, wierzyła w Wisznu i Ramę, chodziła w kolorowych szatach z ogoloną na zero czaszką.

Nigdy Ewie nie współczuł. I wiedział, że nigdy jej nie wybaczy. Zrozumiał to pewnego wieczoru, kiedy siedzieli w kuchni, przygotowując późną kolację. Alicja długo nie mogła zasnąć, usypiali dziewczynkę na zmianę. Ewa ciężko wzdychała, od czasu do czasu mamrocząc pod nosem przekleństwo, szepcząc cicho, by Alicja nie słyszała. Może to kwestia oświecenia, a może Ewa nieuważnie zmyła makijaż i była po prostu zmęczona po ciężkim dniu w pracy – w półcieniu kuchennych jarzeniówek Tomasz ujrzał jednak zupełnie inną kobietę. To nie była Ewa, w której zakochał się jeszcze na studiach, ale ktoś obcy, pełen złości, jadu i pretensji. Stał sparaliżowany, patrzył na żonę nie żonę, ściskając w dłoni szklaną butelkę keczupu, i szukał słów, wspomnień, żeby odgonić to wrażenie, lecz nie znalazł żadnego.

— Coś się stało? — zapytała Ewa. — Wyglądasz, jakbyś zobaczył potwora.

Z dziecięcego pokoju dobiegło popłakiwanie Alicji. Tomasz odstawił butelkę na stół i powiedział:

— Jedz. Ja do niej pójde.

Wyszedł z kuchni i pozbył się wątpliwości. Pewien etap ich związku skończył się i aby opisać relacje pomiędzy nimi od tej chwili, należało używać zupełnie innych słów, semantyki niezrozumienia, gramatyki



nienawiści. Nie było sensu się okłamywać. Trzeba się zmierzyć z prawdą – oko w oko.

Zadziwiające, ale nigdy otwarcie się nie pokłócili. Nie byli typami choleryków. Dławili frustrację w sobie i gnili od środka. Wykańczali się drobnymi złośliwościami i grą półsłów. Z uporem, systematycznie. Tomasz zaczął łykać tabletki na nadciśnienie, Ewa raz na dwa tygodnie ukradkiem jeździła do psychiatry. Kłamała, że umówiła się na tenisa, zabierała nawet rakietę i pakowała sportową torbę. Tomasz szybko rozpracował prawdziwy cel wyjazdów, ale udawał, że o niczym nie wie. Trzymał tego asa w rękawie na wielką kłótnię, prawdziwą burzę, która wisiała w powietrzu i nieuchronnie musiała przetoczyć się przez małżeństwo państwa Szymkowiaków, niszcząc wszystko, co stanie na jej drodze; nawałnicę, która finał znajdzie w sądzie, skończy się podziałem majątku i kłótnią o prawa rodzicielskie do Alicji.

Katastrofa jednak nie nadchodziła i Tomasz z przerażeniem stwierdził, że męczące status quo, w które się zapędzili, trwać może wiele lat – do kiedy? Aż Alicja stanie się pełnoletnia i opuści dom? (Ale czy choroba dziewczyny kiedykolwiek umożliwi jej samodzielne życie?). Prędzej zejść na zawał, myślał Tomasz, i były to śmiertelnie poważne myśli. Aż w jego życiu pojawiła się Adrianna, wiatr rozwiał burzowe chmury i znów grzało słońce.

A teraz Alicja została porwana.

## CZTERY

### DAVID/MAYER/ LIZBONA/NOWY JORK

Po aferze z Chińczykiem i wyciągnięciu Davida z aresztu chłopak miał u Mayera dług wdzięczności. Zaczęli spotykać się niemal codziennie, chadzając po wykładach na piwo, dyskutując o wszechświecie, prawach natury i kłątwe przyczynowości. Z czasem w opowiadanych historiach Hochbaum zdradzał coraz więcej wątków biograficznych. David nie protestował, stary profesor mówił ciekawie, przyjemnie się go słuchało.

Późnym listopadem David wiedział o nim niemal wszystko. Ale czy kiedykolwiek poznał go naprawdę? Na początku odnosił wrażenie, że w wizerunku profesora było coś niekompletnego, jakaś niespójność, głębokie pęknięcie, które odbierało Mayerowi realność, upodabiając go do bohatera literackiego – postaci skonstruowanej zgodnie z regułami sztuki narracyjnej i psychologicznie wiarygodnej, jednak nieznośnie nierzeczywistej. Co to było? Czy zdecydował o tym nadmiarowy szczegół biograficzny, niezwykle bogactwo zdarzeń upakowanych zbyt ciasno w siedmiu dekadach życia? Czy może obezwładniająca obsesja przyczynowości, kierująca całym jego życiem, wprost ku nieuchronnej kulminacji, od której nie dało się uciec?

Wtedy, ciepłą lizbońską jesienią, kiedy siedzieli w knajpce na szczycie Elevator Santa Justa, racząc się brazylijskim winem, David nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wyrafinowany potrafi być wszechświat.

\* \* \*

Mayer Hochbaum urodził się w lutym 1939 roku w małej miejscowości leżącej wówczas na terenie Polski, a po drugiej wojnie światowej włączonej do Ukrainy. Rodzice, uciekając przed Endlösung, z kilkumiesięcznym dzieckiem na rękach wyjechali do Budapesztu, gdzie mieli wielu krewnych.

W 1944, systemem podziemnych korytarzy, udało im się zbiec z getta i ponownie cudem ocalili życie.

Kiedy wojna dobiegła końca, zostali na Węgrzech, przetrwali najtrudniejsze lata komunistycznego reżimu, a kiedy Stalin zleciał z pomnika, ojciec Mayera aktywnie zaangażował się w działalność opozycyjną. Z wykształcenia był ekonomistą, studiował we Lwowie, ludzie plotkowali, że ma zaklepane stanowisko ministra gospodarki w gabinecie cieni Imre Nagya. Stanowiska się nie doczekał, a gdy radzieckie czołgi dotarły nad Dunaj, ojciec zebrał całą rodzinę w kuchni.

Mieszkali wtedy w wiecznie śmierzdzącej wilgocią, zagrzybionej kamienicy niedaleko Nagy Zsinagóga. Mayer miał siostrę, Miriam, młodszą o siedem lat. Dziewczyna niewiele z tego wszystkiego zapamiętała. Siedemnastoletni Mayer rozumiał znacznie więcej, stał przy oknie z zaciśniętymi pięściami i chciało mu się płakać. Na ulicach jego węgierscy rówieśnicy, kumple ze szkoły, budowali barykady, napełniali butelki benzyną, podnieconymi głosami dyskutowali o interwencji generała Franco i nadawanych przez radio radach pułkownika Bella. Mayera nie było wśród nich, dostał kategoryczny zakaz od ojca i wołał się nie przekonywać, czym grozi sprzeniewierzenie się jego woli.

— Amerykanie nie wejdą. Hiszpanie nie pomogą — powiedział zdecydowanie Hochbaum senior podczas kuchennej narady, kiedy radzieckie czołgi grzały silniki na przedmieściach Budy. — Dlatego musimy radzić sobie sami. Uciekajmy, póki mamy jeszcze szanse.

Matka Mayera wydała wówczas z siebie krótkie „Ach”, ale zaciśnęła zęby i nie odezwała się, wyglądając przez lufcik w oknie na ciężkie, jesienne niebo i spuchnięte od nadmiaru wilgoci chmury.

— Klamka już zapadła — mówił spokojnie ojciec. — Kontaktował się ze mną człowiek z ambasady. Szpieg CIA działający pod przykrywką attaché handlowego. Zadbał już o każdy detal. Mamy tylko pojawić się w odpowiednim miejscu o odpowiednim czasie. Przerzucą nas za granicę, do Wiednia. O wszystko się zatroszczą.

W ten sposób Mayer rozstał się z Budapesztem, do którego wrócił przeszło ćwierć wieku później. W pamięci wyrył mu się moment startu, kiedy Boeing 377 Starcruiser kołował po płycie wiedeńskiego lotniska, wyły silniki

i śmigła siekały krople wiszącego w powietrzu deszczu, a oni odlatywali za ocean.

Świetnie zapamiętał też Amerykę przełomu lat 50.–60., kształt Sputnika, kowboja Marlboro, kryzys kubański i widmo atomowej zagłady, niemal namacalne. Kręcącego biodrami Elvisa, który właśnie odbywał służbę wojskową w Niemczech Zachodnich, beatników czytanych w ukryciu przed rodzicami: *W drodze* Kerouaca i *Skowyt* Ginsberga, syryjski ostrzał żydowskich kibuców ze wzgórz Golan.

W Stanach Mayer Hochbaum przestał być Mayerem Hochbaumem i stał się Martinem Roundtree'm. Do prawdziwego, żydowskiego nazwiska wrócił dopiero trzydzieści pięć lat później, na początku lat 90., pod wpływem znajomości z Nathanem Tauberem, agentem Mossadu, pobożnym Żydem, który rozpałił w Mayerze tęsknotę za Erec Israel.

Wkraczanie Mayera w amerykańską dojrzałość stało pod znakiem bolesnego dualizmu. W domu był Żydem, odmawiał maariwę, zapalał światła na Chanukę i odprawiał hawdałę. Poza kręgiem rodzinnym swojego żydostwa się wstydził i robił wszystko, by stać się najzwyczajszym *american boy*, z pakietem typowych marzeń, problemów i aspiracji, charakterystycznych dla jego grupy rówieśniczej. A ponieważ mu to nie wychodziło i cokolwiek robił, cały czas czuł na sobie stygmatyzujące spojrzenia, czytelnie komunikujące „nie jesteś członkiem naszej paczki” – musiał poszukać innej drogi.

Znalazł ją w nauce.

Mayer dostał się na Uniwersytet Stanforda, gdzie studiował pod kierunkiem Georga Dantziga. Specjalizował się w fizyce statystycznej. Doktorat obronił w wieku dwudziestu ośmiu lat. Wynajmował niewielkie mieszkanie zagracone książkami, większość dnia spędzał na uczelni, prowadził wykłady, cieszył się opinią dobrotliwego nudziarza, który nie potrafi skrzywdzić muchy. Polował w „Physical Review” na artykuły z zakresu termodynamiki statystycznej, a w wolnych chwilach zastanawiał się nad zbudowaniem alternatywnego modelu fizyki kwantowej, opartego wyłącznie na rachunku prawdopodobieństwa.

Z tamtych czasów pochodzi anegdotka, którą Mayer lubił wspominać przy każdej nadarzającej się okazji. Jako doktorant wygłosił wykład otwarty, na który pofatygował się sam Wolfgang Pauli, goszczący wówczas z wizytą na ich uczelni. Wielki fizyk usiadł w pierwszym rzędzie i przez całe wystąpienie

słuchał uważnie, kiwając ze zrozumieniem głową. Mayer spuchł z dumy, ale później dowiedział się, że Pauli ma porażenie nerwu twarzowego, kiwanie głową było objawem choroby i wcale nie świadczyło, że wybitny uczyony zgadza się z kontrowersyjnymi tezami głoszonymi przez doktoranta.

Jakiś czas później David odkrył, że historia musiała być fałszywa. Pauli zmarł w roku '58, a opowiedziana przez Mayera historyjka mogła mieć miejsce najwcześniej w połowie lat 60. Nigdy jednak do tego nie wrócił, nie starał się wyjaśnić tej sprawy.

Dla dobra historii.

Mayer szybko pogodził się, że właśnie w ten sposób – już do samego końca – będzie wyglądało jego życie. Że stanie się uporządkowaną sekwencją czynności, wykonywanych bezrefleksyjnie, bez niepotrzebnych inwestycji w emocje. Ale jemu było z tym dobrze. Z czasem nawykł do akademickiej rutyny, pracy dydaktycznej z tępyimi studentami, powtarzalnego rytmu dnia, i coraz trudniej przychodziło mu wierzyć w świat poza uniwersytetem.

— Żyjesz jak w klatce — usłyszał pewnego dnia od Miriam, która miała wtedy dwadzieścia lat, nosiła kwiaty we włosach, żyła w komunie hippisowskiej i paliła trawę, słuchając Grateful Dead. — Nie dusisz się? Nie marzysz czasami, aby wyjść z tego zamknięcia i pooddychać pełną piersią?

Mayer nie rozumiał, o co jej chodzi.

— Świat ma miliony wymiarów — ekscytowała się dziewczyna. — Przyjmowałam komunię z rąk Keseya opłatkami LSD. Nasza rzeczywistość jest więzieniem. Przekroczyłam drzwi percepcji, a one mieniły się odcieniami fioletu, nie zapomnę tego do końca życia. Doznałam objawienia. Pierwszy raz żyłam pełnią życia. A ty?

To było zabawne. Mayer miał zupełnie inną definicję „pełni życia”, ale nie czuł potrzeby wdawać się na ten temat z siostrą w dyskusję. Zjedli razem obiad i odwiózł ją na lotnisko.

— Rodzice narzekają, że rzadko ich odwiedzasz — rzekła Miriam na pożegnanie.

— Mam dużo pracy — odpowiedział wymijająco.

— Ojciec też teraz dużo pracuje. Zgadał się z jakimś Janklowem, też Żydem, i przeniósł do kancelarii radcowskiej. Zajmują się obsługą prawną przy przejęciach spółek.

— Brudna robota. Nie dla dżentelmenów.

— Ale nieźle płatna. Dlatego tylko Żydzi chcą ją wykonywać. Zresztą stary nigdy nie miał aspiracji do bycia dżentelmenem.

Rok później Miriam pokłóciła się z duchowym przewodnikiem hippisowskiej komuny i nawróciła na chrześcijaństwo. Zerwała kontakt z rodziną, wyjechała do Meksyku, gdzie wyszła za wąsatego macho i zaczęła rodzić dziecko za dzieckiem.

Mayer też odczuwał, że jego więzy z rodzicami z roku na rok stają się coraz słabsze. Mieli coraz mniej tematów do rozmowy, Mayer zatracił się w świecie fizyki teoretycznej; pękały kolejne cumy wiążące go z rzeczywistością.

Do czasu.

Nastał wreszcie rok 1968, kiedy studenci wylegli na ulicę, kontestując stary porządek i zapowiadając nadejście nowych czasów. Mayer przyglądał się zmianom z rezerwą. Popierał amerykańską interwencję w Wietnamie, pamiętając strach w głosie ojca dwanaście lat wcześniej, przed oczami wciąż mając wyobrażone profile radzieckich czołgów po drugiej stronie Dunaju. W wyborach '64 głosował na Barry'ego Goldwatera. Komunistów się bał, chociaż nie wierzył w atomową konfrontację. Bardziej niepokoiły go potencjalne działania czerwonych, które sprowokują Waszyngton do reakcji, co zburzy rutynę jego uporządkowanego życia. Powołanie do armii, przymusowa praca przy projektach wojskowych, ograniczenie swobód obywatelskich – to były jego ówczesne lęki.

W drugiej połowie lat 60. naukowe zainteresowania Mayera zaczęły ewoluować w stronę fuzji Einsteinowskiej teorii względności z fizyką kwantową. W stronę Teorii Wszystkiego. Młody doktorant z zapartym tchem śledził narodziny elektrodynamiki kwantowej, czytał Feynmana, Schwingera i Gell-Manna. Sam tworzył niewiele, w artykułach naukowych raczej opisując, komentując i systematyzując odkrycia innych. Cytowań miał niedużo, co spychało go na drugorzędną pozycję w światku akademickim.

Jako *postdoc* wylądował na Uniwersytecie Columbia. Wtedy zaczął zdawać sobie sprawę, że wszystkie dotychczasowe próby połączenia pomysłów Einsteina ze światem kwantów pomijają coś ważnego, kluczowy element, bez którego dotychczasowy obraz jest i będzie niepełny, nieważne

jak skomplikowany język matematyczny zostanie użyty do napisania równań. Nie wiedział dokładnie, o jaki element chodzi, ale czuł, że rozwiązanie jest blisko.

W upalne czerwcowe przedpołudnie 1968 roku wydarzyło się jednak coś, co na dekadę oderwało Mayera Hochbauma od fizyki teoretycznej i sprowadziło na ziemię, do świata codziennych problemów, rachunków za wodę, kredytów hipotecznych i brudnych pieluch.

Szedł właśnie na kampus, gdy drogę przecięła mu demonstracja studencka. Mayer nie pamiętał, jakie hasła nieśli na transparentach, czy chodziło o Wietnam, segregację rasową, a może prawa kobiet. Demonstrantów było kilkuset: fantazyjnie poubierani, mieli pokojowe zamiary, potrząsali tablicami, skandowali hasła, śpiewali. Dudniły bębny. Kolorowy pochód sunął środkiem ulicy. Policjanci stali wyczekująco na chodniku i uważnie obserwowali każdy ruch kontestatorów starego porządku.

Mayer nie potrafił powiedzieć, co się dokładnie wydarzyło i kto zaczął. Wewnątrz tłumu coś zawirowało, zafurkotało i rozległ się przeraźliwy krzyk. Kilka osób rzuciło się do panicznej ucieczki, a inni wykorzystali moment zamieszania, by zaatakować policjantów. Poirytowani mundurowi czekali tylko na pretekst i lepszego nie mogli sobie wymarzyć. Tyralię ruszyli na studentów i rozpoczęła się regularna bitwa. Drzewce transparentów kontra pałki stróżów porządku.

Mayer stał na uboczu i jak zahipnotyzowany obserwował starcie. Po cichu sympatyzował z policjantami – kontestujących studentów się bał, widział w nich destrukcyjną siłę, która zmiecie z powierzchni stary system, ale nie ma pomysłu, jak wprowadzić nowy. Wtem kolorowy tłum wypluł na zewnątrz dziewczynę. Miała bardzo jasne włosy i przyciskała dłonie do nosa, z którego sikała krew. Przęd bluzki nasiąkł czerwienią. Dziewczyna nie wiedziała, co się dzieje, niepewnie patrzyła dookoła. Wyglądała, jakby miała za chwilę stracić przytomność; usiadła na krawężniku i włożyła głowę między kolana. Krew wielkimi kroplami kapała na asfalt.

— Czy mogę pani jakoś pomóc? — Mayer poszukał w kieszeni chusteczki do nosa.

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie i wyciągnęła rękę. Pomógł jej wstać, co okazało się nie najlepszym pomysłem. Blondynka straciła

równowagę i runęła na naukowca. Ubrudzone krwią dłonie prześlizgnęły się po koszuli Mayera, zostawiając na niej czerwone pasy.

— Ubrudziłam pana — zreflektowała się, próbując utrzymać równowagę na drżących łydkach. — Przepraszam, zapłacę za pralnię.

— Nie ma sprawy. Dobrze się pani czuje? — dopytał. — Może powinienem zadzwonić po karetkę?

— Nie, wszystko w porządku. Może mnie pan odprowadzić? Mieszkam niedaleko. Spiesz się pan?

Mayer odruchowo potrząsnął głową. Nie zastanawiał się nad tym gestem. Czy gdzieś się spieszył? Oczywiście, że tak, całe życie się gdzieś spieszył – dzisiaj do nowego numeru „Physics Letters”, gdzie opisane były nieoczekiwane implikacje twierdzenia Bella.

— Co się stało? Przecież to chyba była pokojowa demonstracja? — zapytał, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od skłębionego tłumu. Dziewczyna szła powoli, wspierając się na ramieniu Mayera.

— Meteorologowie — powiedziała, jakby to miało wystarczyć za wszystkie wyjaśniania. — Wmieszali się w tłum. Szukają pretekstu do zamieszek. To była pokojowa demonstracja.

Dziewczyna miała na imię Sandy i studiowała antropologię. Chociaż nigdy w życiu nie wyjechała poza terytorium Stanów Zjednoczonych, marzyła o pracy badacza obcych kultur. Nigdy swoich marzeń nie spełniła. W 1969 roku wyszła za Mayera, a rok później urodziła ich jedyne dziecko – Adama.

W tym samym roku Hochbaum rzucił pracę na uniwersytecie i zatrudnił się na stanowisku inżyniera w firmie Yoyodyne, która była potentatem na rynku silników samolotowych.

Mayer świetnie dogadywał się z Sandy, choć ich sposób percepcji świata różnił się diametralnie. On miał umysł analityka – postrzegał rzeczywistość jako puzzle, które można złożyć w całość, bo istnieje racjonalny, porządkujący wszystko wzór. Sandy odwrotnie, nie widziała fragmentów, lecz zachłannym spojrzeniem niebieskich oczu ogarniała całość. Poznawała holistycznie, przyjmowała świat taki, jaki był. Nie potrafiła abstrahować, analizować, rozkładać problemów na czynniki pierwsze. I za to Mayer ją pokochał.



Pewnego wieczoru, kilka miesięcy po narodzinach Adama, siedzieli na tarasie nowo kupionego domu. Była sierpniowa noc, obserwowali spadające gwiazdy, pili czerwone wino.

— Ty w ogóle wierzysz w Boga? — zapytała Sandy, jak większość osób na lekkim rauszu chętna do poruszania podobnych tematów.

— Jestem Żydem. — Mayer wzruszył ramionami. — Znam Torę. Wierzę w... Coś. Nadprzyrodzonego, rezydującego poza wszechświatem. Ale to Coś nie może stać ponad prawami fizyki, musi być ich częścią i im podlegać. To, że tego Czegoś nie potrafimy naukowo zbadać, nie mówi o tym nic, a najwyżej dowodzi ograniczeń narzędzi naukowych. Wszystko jest kwestią czasu. Owo Coś – ów potężny Bóg – również jest skrepowany pierwotniejszymi prawami. Nie potrafi cofnąć czasu, złamać węzłów przyczynowo-skutkowych. One są wcześniejsze niż sam Jahwe. Dlatego Żydzi nigdy nie uwierzyli w Chrystusa. On łamał dotychczasowy, przedustawny porządek Świątyni i postulował nowy ład, nowe prawa. To zabronione.

Sandy sięgnęła po butelkę i dopełniła kieliszek.

— A ty wierzysz? — rzucił Mayer i szybko przełknął ślinę. To nie było najszcześniejsze pytanie.

Matka Sandy, kiedy dziewczyna miała siedem lat, przeżyła religijne nawrócenie i wstąpiła do amiszów. Porwała córkę i wyjechała z nią do Ohio. Zrozpaczony ojciec postawił na nogi FBI, agenci federalni nocą wdarli się do siedziby sekty i odbili córkę, która żyła w krytej strzechą chacie, bez prądu, radia i bieżącej wody. Sąd odebrał matce prawa rodzicielskie i zakazał zbliżać się do Sandy bliżej niż na dziesięć metrów.

Od tej pory dziewczyna czuła silną niechęć do jakiegokolwiek formy zinstytucjonalizowanej religii.

— Twoja wizja jest straszna. — Sandy zapatrzyła się w niebo. — Zimny, pusty i zegarowo precyzyjny wszechświat, pozbawiony wyższej instancji. Jeśli Bóg podlega prawom fizyki, nie jest Bogiem Wszechmocnym. Jaki pożytek z takiego Boga? W twoim modelu nie ma miejsca na cuda, i dlatego nie ma tam miejsca na nadzieję.

— Czytałaś Torę? Księgę Kapłańską? W której przez kilkanaście stron jest opisane ze szczegółami, jak należy oddawać cześć Jahwe? Gdyby On był wszechmocny, czy musiałby przekazywać swoim dzieciom wręcz obłąkańczo

precyzyjne wskazówki dotyczące organizacji kultu? Te wszystkie frędzle, rondelki i ciasta zaprawiane oliwą. W jakim celu? Czy nie świadczy to o istnieniu nadrzędnych reguł, którym musi się podporządkować sam Bóg? To jest odprysk czegoś szerszego, element znacznie większej całości. Na razie wciąż niepoznanej.

Małżeństwo z Sandy trwało osiem lat. W tym czasie Mayer poznawał siebie na nowo i odkrywał rzeczy, które permanentnie go zadziwiały. Ileż radości sprawiała mu opieka nad dzieckiem i obserwowanie, jak synek się rozwija, jak pierwszy raz świadomie się uśmiecha, gaworzy przed zaśnięciem, stawia nieporadne kroki, wypowiada pojedyncze słowa, które wreszcie składa w zdanie. Rebe Baal Szem Tow uczy, że w każdym pokoleniu rodzi się Mesjasz, który może odbudować Świątynię i przegnać niewiernych z Jerozolimy. I choć Adam Hochbaum wylazł z łona jasnowłosej Amerykanki i nie został nawet obrzezany – dla Mayera chłopak był Mesjaszem, zrodzonym, aby w przyszłości dokonywać rzeczy największych. Już w bardzo młodym wieku, ku uciechu Mayera, Adam wykazywał liczne talenty matematyczne i w wieku sześciu lat samodzielnie odkrył podstawy rachunku różniczkowego.

W Yoyodyne Hochbaum szybko awansował, by w połowie lat 70. objąć stanowisko głównego inżyniera odpowiedzialnego za konstrukcję silników rakietowych zdolnych unieść pociski transatlantyckie wyposażone w głowice atomowe. Rok wcześniej, po spotkaniu Nixona z Breżniewem, program rozbrojeniowy SALT II utknął w miejscu. Naukowcy przestawili Domsday Clock na 11.51. Dziewięć minut do końca świata. Inżynierowie z firmy Yoyodyne mieli pełne ręce roboty.

Sandy zajmowała się domem, a on pracował bardzo dużo, jednak w zupełnie inny sposób niż za czasów akademickich. Wcześniej nie istniało dla niego rozróżnienie pomiędzy pracą, czasem wolnym, uczelnią i domem. Mayer oddawał się nauce bezgranicznie, żył w świecie kwarków, kwantowej chronodynamiki i supersymetrii. Od kiedy podjął pracę w Yoyodyne, wszystko się zmieniło. Co z tego, że przesiadywał w biurze po dziesięć i dwanaście godzin, przeglądając dokumentacje techniczne, dyskutując z zespołem inżynierskim, programując komputer kartami perforowanymi. Kiedy gasił światło, zamykał drzwi i wyjeżdżał buickiem z garażu

podziemnego – wkraczał do innego świata, gdzie problemy zawodowe miały zakaz wstępu.

Najszczęśliwszym człowiekiem na planecie Mayer czuł się, kiedy wchodził do domu. Często było już po dwudziestej trzeciej, pozostali domownicy spali, a on mógł cichaczem wślizgnąć się do kuchni, wyjąć z lodówki puszkę budweisera, otworzyć piwo, przelać do szklanki i czekać, aż opadnie piana. Wyglądał w tym czasie przez okno i patrzył na opustoszałą ulicę, na kontenery ze śmieciami i samochody sąsiadów stojące na podjeździe.

W roku 1977 Yoyodyne otrzymało kolejny duży kontrakt od wojska, napęd do nowych pocisków typu Tomahawk. Mayer zafundował wówczas Sandy i Adamowi wakacje w Europie. Potrzebował spokoju, dwóch tygodni samotności w ciszy i skupieniu. Wysłał rodzinę na Wyspy Kanaryjskie, a sam planował się zaszyć w biurze i przesiadywać z chłopakami z zespołu projektowego przez całą dobę. Spać w pracy na kanapie, pić cienką kawę z korytarzowego automatu i żywić się wyłącznie kanapkami dostarczonymi przez firmę cateringową.

Sandy i Adam wylecieli do Europy w niedzielę 27 marca, liniami Pan Am, lotem numer 1736. Celem ich podróży było lotnisko Gran Canaria niedaleko Las Palmas, jednak kiedy samolot pojawił się nad Wyspami Kanaryjskimi, okazało się, że na lotnisku trwa alarm bombowy (fałszywy, o czym nikt wówczas nie wiedział). W związku z tym cały ruch lotniczy skierowano na pobliską Teneryfę.

Na wieży siedziało tylko dwóch kontrolerów ruchu, kiepsko mówiących po angielsku, przytłoczonych nieoczekiwanymi zadaniami. W tym samym czasie na lotnisku przymusowo lądował również holenderski samolot linii KLM. Piloci spieszili się, by jeszcze tego samego dnia wrócić do Amsterdamu. Nie chcieli przekiblować nocy na Teneryfie i rwali się do lotu, do wyęsknionych żon i dzieciaków.

Na skutek interferencji sygnałów radiowych Holendrzy niewłaściwie zrozumieli instrukcje wieży i zaczęli rozpędzać Boeinga z dwustu czterdziestoma ośmioma osobami na pokładzie. Nad lotnisko przypełzła z gór gęsta mgła i nikt nie widział dalej niż na sto metrów. Kiedy samolot linii KLM nabierał prędkości, drugi Boeing, z Amerykanami na pokładzie, jeszcze kołował po pasie startowym – piloci we mgle przegapili właściwy zjazd z pasa.

Kiedy załogi obu samolotów spostrzegły się, było za późno. Maszyna Pan Am starała się zjechać z drogi, ale jedynie ustawiła się bokiem względem holenderskiego samolotu, sunącego na nią z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Pilot KLM-u próbował jeszcze wystartować, w akcie desperacji szarpnął ku sobie wolant i Boeing poderwał dziób do góry, ale silnik zahaczył o grzbiet maszyny Pan Amu – na którego pokładzie przebywała rodzina Hochbauma, przeglądająca przewodniki po Wyspach Kanaryjskich.

Mayer o katastrofie dowiedział się z radia. Był akurat w domu, jadł śniadanie i kiedy spłoszona prezenterka drżącym głosem odczytała newsa, Mayer już wiedział. Nie musiał czekać na listę nazwisk, nie musiał nawet dzwonić na infolinię, by upewnić się, czy jego żona i syn są wśród ofiar. Po prostu wiedział, że stracił ich bezpowrotnie.

Bardzo szybko otrząsnął się z szoku – ku zaskoczeniu swojemu i całego otoczenia. Jednak do końca życia zapamiętał pierwszy samotny wieczór. Samoloty zderzyły się około siedemnastej, w strefie czasowej Mayera była wtedy dziewiąta rano. Przez cały dzień biegał, załatwiając bieżące sprawy, organizował transport zwłok przez Atlantyk, wydzwaniał do ubezpieczycieli, przyjmował kondolencje od znajomych. Do domu wrócił dopiero po dwudziestej drugiej. Wślizgnął się drzwiami ogrodowymi, jak zwykł to robić każdego dnia, przemknął na palcach do kuchni, by odszukać w lodówce zimną puszkę piwa, aż wreszcie zatrzymał się w pół kroku. Tym razem nie musiał zachowywać się cicho – w domu, na piętrze, nikt na niego nie czekał.

Na kuchennym taborecie przesiedział do rana, zastanawiając się, jak wkomponować katastrofę lotniczą w wyznawany przez siebie model świata. Ostateczny ratunek znalazł w koncepcji przyczynowości. Historia życia ludzkiego jest spiętrzoną kaskadą przyczynowo-skutkową. To odwrócona czterowymiarowa piramida, stożek świata z wierzchołkiem zaczepionym w Wielkim Wybuchu i ramionami otwierającymi się ku nieskończonej przyszłości. Sandy i Adam zginęli w nieszczęśliwym wypadku i Mayer nie może nikogo za to winić, nie ma co wznosić zaciśniętych pięści ku niebu, bluźnić i obrażać się na Jahwe, szukać pociechy w naukach rabinów i midraszach. Tak skonstruowane są prawa natury i Mayer nic przeciwko nim nie wskóra. A że rozbił się akurat ten samolot, którym podróżowała Sandy i Adam?

Hochbaum zobaczył nieskończony ciąg przyczynowo-skutkowy, kojący eschatologiczną trwogę. Wszystkie rzeczy we wszechświecie układały się w przewidywalny i zdeterminowany wzór, który nie wykluczał jednak procesów stochastycznych rozgrywających się na niższych poziomach, w perspektywie mikroświata Mayera i jego rodziny. W ich świecie zdarzenie miało charakter zupełnie losowy, nie dało się go przewidzieć, obliczyć, wyprowadzić rozwiązania z układu równań, choć stanowiło odprysk większej całości, pracującej z perfekcją szwajcarskiego zegarka.

I kiedy świt szarzył smutną panoramę domków jednorodzinnych na przedmieściach, Mayer zastanawiał się, czy wolna wola nie jest jedynie fałszywą nakładką na świadomość, dostosowaniem zapewniającym ludziom przewagę ewolucyjną, zdeterminowany co do milisekundy wszechświat wypełnia zaś plan założony eony lat temu, w momencie rozpoczęcia ekspansji czasoprzestrzeni.

Stając się wdowcem, nie zrezygnował z posady w Yoyodyne, powrócił jednak do aktywności naukowej. Na własne życzenie znacznie zwolnił tempo pracy, oddał dyrektorskie przywileje w zamian za znacznie skromniejszą posadę konsultanta projektowego. W ten sposób miał o wiele więcej czasu na fizykę teoretyczną.

Do czasu, aż zainteresowało się nim CIA.

\* \* \*

Pewnego jesienno-wieczoru 1983 roku Mayer Hochbaum szedł przez uczelniany parking. Kroczył zgięty w pół, zawiniętą połą płaszcz chroniąc się przed zacinającym deszczem, kiedy podbiegł do niego nieznajomy młody chłopak.

— Nazywam się Andrejs Putnis — odezwał się. — Chciałem z panem porozmawiać.

Mayer pokręcił z niecierpliwością głową. Spieszyło mu się do domu, był głodny, tego dnia, w nawale obowiązków pomiędzy Yoyodyne a uniwersytetem, nie znalazł czasu, by wyskoczyć na lunch. Popatrzył jednak na chłopaka, przemoczonego do suchej nitki, jak przyciska do piersi płócienny plecak, próbując uratować od zamoknięcia książki i notatki z wykładów, na jego półdługie włosy przyklejone do policzków i spojrzenie –

zacięte, pełne żaru i nieokiełznanej pasji. Postanowił z nim pomówić. Andrejs Putnis spodobał się mu od pierwszej chwili.

— Pogadamy w aucie, wskakuj. — Otworzył samochód, a chłopak przetaił dłonią twarz i usiadł w środku.

Mayer włożył kluczyk do stacyjki i przesunął go o jeden stopień, włączając elektronikę, ale nie uruchamiając silnika. Palcem wskazującym szturchnął dźwignię wycieraczek i patrzył, jak pióra pracują zapamiętałe, zbierając krople z przedniej szyby samochodu.

— Jesteś Rosjaninem? — zapytał.

— Łotyszem. Studiuję fizykę. — Chłopak wypiął dumnie muskularną pierś. Wyglądał raczej na kapitana uniwersyteckiej drużyny futbolowej niż na jajogłowego. — Na drugim roku. Chodzę na pana wykłady.

Sympatia, jaką poczuł do chłopaka przy pierwszym kontakcie, zmieniła się w żal. Co ja wiem o Łotwie?, Mayer popadł w zadumę. Jak strasznie musi się tam żyć? Zwłaszcza teraz, kiedy zarząd „Bulletin of the Atomic Scientists” przesunął Doomsday Clock na 11.57. Trzy minuty do północy. Zaledwie sto osiemdziesiąt sekund do apokalipsy. Wskazówki zegara tak blisko końca były tylko dwa razy: w ’49, kiedy komuniści odpalili na poligonie pierwszą atomówkę, i w ’53, kiedy w niebo wystrzeliły głowice termojądrowe. Co się działo teraz za żelazną kurtyną? Czy palec radzieckiego generała wisiał już nad czerwonym przyciskiem i do autoryzacji kodów nuklearnych brakowało zaledwie kilku minut?

— W porządku, o co chodzi? — zaczął w zbyt natarczywy sposób, niezadowolony, że pozwolił sobie na moment słabości.

Chłopak zaczął wyciągać z mokrego plecaka notatki z wykładów, uczelniane skrypty i postrzępione książki, których nikt nie wypożyczał z biblioteki od dziesięcioleci. I zaczął zadawać pytania, dziesiątki pytań. Drażył podstawowe kwestie związane z teorią względności i fizyką kwantową. Kartkował książki paluchem zakończonym brudnym paznokciem, wskazywał równania i prosił o ich interpretację.

Niby wszystko było w porządku i Andrejs dysponował rozległą wiedzą, a wątki podejmowane przez Mayera naprawdę go interesowały, słuchał odpowiedzi i dopytywał, chcąc pogłębić najbardziej kontrowersyjne

szczególności... Ale nie do końca. Jakby coś się w nim nie zgadzało i Mayer miał problem, aby wskazać, o co chodzi.

Coś nieuchwytnego. Coś poza językiem – Putnis posługiwał się dobrym angielskim, z rzadka pobrzmiewającym wschodnim akcentem. Nie robił błędów gramatycznych i Mayer doskonale rozumiał każde zdanie, jakby wypowiadał je spiker CNN. Chodziło o coś bardziej pierwotnego niż sam język. Głębokie struktury myślenia, sposób oglądu rzeczywistości, porządkowania znaczeń, budowania splotów przyczynowych. Putnis chwilami zachowywał się jak dziecko, które patrzy na świat, próbuje go zrozumieć i buduje własne (absurdalne z punktu widzenia dorosłego) modele obserwowanych zdarzeń.

Lecz to nie wszystko.

— Pan spojrzysz tutaj — tłumaczył chłopak. — Próbowałem ugryźć problem po swojemu i doszedłem do wniosku...

Putnis podetknął mu pod nos notes otwarty na stronie szczególnie wypełnionej rzędami równań wykaligrafowanych z maniacką starannością.

— Trzeci wiersz od góry. Po transformacji i skróceniu obu stron równania zostają wprowadzone z dzieleniem przez zero, ale myślę, że można to interpretować inaczej.

Mayerem targnęła niespodziewanie fala gorąca. Symbole z notatek Łotysza tańczyły przed oczami. Nic nie rozumiał.

— Nie znam tej notacji — wykrztusił.

Putnis nawet się nie zająknął.

— Sam ją wymyśliłem — powiedział i zawiesił głos, jakby oczekując pochwały. — Dotychczas stosowana wydawała mi się niewygodna. Proszę spojrzeć. — Wskazał na symbol przedstawiający lustrzane odbicie cyfry 3, dodatkowo przekreślonej pionową linią. — W ten sposób zdecydowałem się oznaczać wynik dzielenia przez zero.

— A to? — Mayer przerzucił stronę i natknął się na coś jakby literę „Z” z fikuśną kreseczką pośrodku i gwiazdką na górze oraz na dole.

— To jest nieskończoność samodualna — tym razem głos studenta nieco zadrżał.

— Samodualna?

— Teoretyczna struktura, która jednocześnie jest przyczyną i skutkiem, spleciona nieskończoną pętlą kauzalną. — Andrejs zezował na Mayera i chyba zdawał sobie sprawę, że każde kolejne słowo tylko pogarsza sytuację.

— Przepraszam, ale robi się późno, a ja się spieszę...

— Nie chcę zabierać panu czasu... Jeszcze tylko jedna sprawa. — Tym razem Łotysz wyciągnął z plecaka uczelniany skrypt z rachunku podobieństwa, autorstwa Martina Roundtree'ego *vel* Mayera Hochbauma. — Wydaje mi się, że w tym przypadku popełnił pan błąd. Wynik nie zgadza się z podaną odpowiedzią.

Mayer odczytał na głos treść zadania i chwilę pomyślał.

— Bardzo prosty problem. Wystarczy policzyć dwie permutacje i jedną wariację. Tutaj, tutaj i tutaj. — Wyciągnął z dłoni Putnisa długopis i zapisał trzy formuły. — Następnie podzielić to przez to i to przez to. Bez kalkulatora nie jestem w stanie tego zrobić.

— Właśnie tak. — Chłopak przytaknął ochoczo. — Dokładnie o to mi chodziło. Wynik pierwszej to... — bez zająknięcia recytował długie ciągi cyfr. — Co daje w wyniku inny rezultat niż podany przez pana.

Uczył się na pamięć szeregów kilkudziesięciu cyfr? Co za świr!

Pierwsze wrażenie z rozmowy, osobliwe nielogiczności, dziwaczne konstrukty myślowe, które początkowo Mayer kładł na karb wychowania w innej kulturze, okazywały się symptomami niezrównoważenia psychicznego, manii lub czegoś w tym rodzaju. A zapowiadało się dobrze i naukowiec łudził się, że trafił wreszcie na studenta naprawdę zainteresowanego fizyką.

Hochbaum poświęcił Łotyszowi trzy kwadransy. Tymczasem przestał padać deszcz, a Andrejs obiecał, że odwiedzi Mayera za kilka dni, kiedy tylko ten znajdzie dla niego więcej czasu.

Nigdy tego nie zrobił.

Trzy dni później, kiedy Mayer kręcił się po kampusie, szukając wolnego miejsca w barze kawowym, podszedł do niego mężczyzna w szarym garniturze w paski. Pogniecioną koszulą wychodziła mu ze spodni, a krzywo zwisający krawat kłuł w oczy niesymetrycznością półwindsora. Facet miał nienaturalnie kanciastą twarz i wysuniętą do przodu szczękę.



— Widział pan kiedyś tego człowieka? — Nieznajomy mówił z teksańskim akcentem. Podsunął fizykowi pod nos fotografię Andrejsa Putnisa. Zrobione polaroidem zdjęcie przedstawiało chłopaka wychodzącego z podziemnej kolejki. Uchwycony w pół kroku, w tłumie przechodniów.

Mayer skinął głową.

— To mój student. Zdolny chłopak z Europy Wschodniej. Jest z...  
— zawahał się, przeszukując zasoby pamięci. — Z Litwy? — zapytał niepewnie.

— Z Łotwy — uściślił kwadratogłowy. — Ma pan chwilę, panie profesorze? Reprezentuję... administrację państwową — wydukał wreszcie.

— Śmiało. — Mayer przytaknął, ale poczuł się zagubiony. — I tak zamierzałem wypić kawę. Pracuje pan w policji federalnej? Czy Andrejs coś przeszkrobał? — dopytywał.

— Gorzej — Właściciel prążkowanego garnituru uśmiechnął się po raz pierwszy. — Lance Butler, CIA.

CIA? Pod Mayerem ugięły się nogi. Czego może chcieć od niego CIA?

— Jeśli nie znajdziemy miejsca w barze, mogę zaproponować panu spotkanie w moim gabinecie. Sekretarka nie parzy tak dobrej kawy, ale...

— Nie! — Lance gwałtownie zaprotestował i zmarszczył czoło. — Mam lepszą propozycję. Przejdźmy się do parku. Usiądziemy gdzieś na ławce.

Wszystko zostało zawczasu zaaranżowane. Wkroczywszy na teren parku uniwersyteckiego, Lance od razu pociągnął Mayera w rzadko uczęszczaną, zarośniętą alejkę. Droga schodziła ostro w dół; trafili nad staw pełen kaczek i łabędzi. Na ławeczce schowanej w cieniu pochyłej wierzby siedział facet, który wyglądał tak samo jak Lance, miał nawet bliźniaczo źle zawiązany krawat i identyczną koszulę, która również wyłaziła ze spodni. Był tylko jakieś piętnaście lat młodszy. Wymienili spojrzenia. Rozumieli się bez słów. Młody pokazał, że wszystko jest OK, podkulił ogon i zwinął się z ławki w krzaczory. Nie potrzeba było teoretyka zarządzania, by odszyfrować strukturę służbowych zależności.

— Tutaj możemy rozmawiać. — Lance usiadł na ławce i przeciągnął się. Chrupnęły stawy. — Chłopaki sprawdzili teren. Jest czysty.

— Czysty? — zapytał ostrożnie Mayer. Męczyło go uczucie, że stoi przed wrotami do nieznanego świata, rzeczywistości rządzącej się własnymi

prawami. Najgorsze, że wcale nie miał pewności, czy chce ten świat poznawać. Lance Butler podjął decyzję za niego.

— Czysty. — Agent wywiadu skinął głową i uśmiechnął się ponownie, tym razem mało szczerze; odsłonił garnitur wielkich romboidalnych zębów, umocowanych w szczęce gęsto niczym paliki falochronu. — W sensie że nikt nas nie podsłuchuje. Możemy otwarcie pogadać. Czego od pana chciał ten Putnis?

— Niczego... Chciał, żeby mu wytłumaczyć kilka teorii.

— Co dokładnie?

— Kwestie związane z eksperymentem Aspecta.

— Może pan być bardziej szczegółowy?

— I tak pan nie zrozumie.

— Tak pan myśli? Proszę spróbować.

Mayer zagłębił się w tłumaczenia paradoksu Einsteina–Podolskiego–Rosena i teoretycznych zawłościami stanu splątania kwantowego. Po chwili Butler przerwał mu uniesieniem ręki.

— Putnis jest ruskim szpiegiem — rzucił od niechcenia. — Jego stary pracował w ambasadzie w Berlinie Zachodnim i w pewne lipcowe przedpołudnie, ku zaskoczeniu swoich pracodawców, wystąpił o azyl. Nasz gówniarz miał wtedy siedem lat. Z niemieckim paszportem w garści spierdolili do Stanów. Tacy, kurwa, najłatwiej pękają. Synek dyplomaty nie pamięta komunistycznego piekła, kiedy dorasta, ma lewackie poglądy i wali sobie gruchę pod zdjęcie Ulrike Meinhof. Zwerbowali go trzy lata temu. Pojechał na wymianę studencką do Niemiec Zachodnich i skumał się z niedobitkami Rote Armee Fraktion, finansowanymi przez wujka Breżniewa. Kiedy wrócił do Stanów, działał pod kryptonimem Sasza. Miałem wgląd w jego dokumentację medyczną. Gówniarz choruje na zespół Aspergera, ma zaburzenia emocjonalne, nie potrafi nawiązywać kontaktów międzyludzkich, nie wie, co to jest empatia – ostatnie słowo Butler wypowiedział z przesadną atencją, jakby i sam podchodził do tego tematu z dużym dystansem.

— Czego ode mnie chciał?

— Pan pracuje w Yoyodyne. Robicie projekty na rzecz wojska. Muszę skończyć?

— Ale przecież on...

— Spokojnie, spokojnie. — Lance czuł się w obowiązku wprowadzić żółtodzioba w arkany pracy wywiadu. Czynił to z nieukrywaną przyjemnością. — To był pierwszy kontakt. Pierwszy etap budowania relacji. Oni mają do tego całe podręczniki. Kopalnie wiedzy. Jak nawiązywać znajomości, zacieśniać więzy. Największemu twardzielowi w końcu miękną jaja i można mu przypierdolić w mięciutkie jak szarlotka podbrzusze, o tak, *pfff*. — Zademonstrował, uderzając zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń. — Andrejsa wsypał jednak nasz człowiek na uczelni. Porządny informator, bardzo potrzebny w dzisiejszych czasach, kiedy wokół tyle lewactwa. Ruscy znów podnoszą łeb. Pan słyszał o RSD-10 Pionier, kryptonim NATO SS-20 Saber?

— Każdy słyszał.

— Radziecka Wunderwaffe. — Lance popisał się znajomością języków. — Rozstawione wzdłuż granicy radziecko-polskiej, zasięg pięć tysięcy kilometrów. Sięgną każdego celu w Europie. A o ograniczonej wojnie jądrowej pan słyszał?

Mayer pokręcił głową. Z sekundy na sekundę czuł się coraz mniej komfortowo. Lance rozprawiał, gestykułował, wyraźnie dążył do jakiegoś celu, ale ów cel był znany wyłącznie jemu. I to najbardziej niepokoiło Mayera.

— Nowa doktryna komunistycznych generałów. Jak szybko wygrać wojnę i zapobiec globalnemu konfliktowi atomowemu. Wystarczy uderzyć przewencyjnie Pionierami w kluczowe punkty oporu wroga. Pan rozumie: elektrownie, mosty, wiadukty, zapory wodne, dworce i lotniska. Każda z rakiet wyposażona jest w głowicę nuklearną o mocy sto pięćdziesiąt kiloton. Potem z marszu wkracza piechota, lotnictwo konwencjonalne, i pozamiatane. Wojna wygrana, nie ma nuklearnej zimy, straty cywilne liczymy w setkach tysięcy, a nie milionach. Straszne?

Mayer ochoczo zgodził się z przedmówcą, że konflikt atomowy zakończony zwycięstwem komunistów jest najstraszliwszą wizją, jaką może wyobrazić sobie obywatel Zachodu, miłujący pokój, demokrację i prawa obywatelskie.

— Dlatego nigdy nie możemy pozwolić, by czerwone było na górze. Nigdy w życiu — wycharczał, a Mayer poczuł w głębi serca podziw

i szacunek do tego człowieka, który postrzegał życie w maksymalnie prosty sposób, jako opozycję binarnych wartości dobro–zło.

— Co zrobiliście z Putnisem? Zeznał coś ciekawego? Zdradził drogę dojścia do swoich szefów?

— Nic nie zrobiliśmy. Nic nie zeznał. Nie mamy go.

— Co?

— Nie mamy, normalnie. Spierdolił nam, jak matkę kocham, spierdolił. Tego dnia, kiedy z panem rozmawiał, wydałem rozkaz i moi ludzie weszli do akademika. Był środek nocy, na dworze chujnia, siąpił zamarzający deszcz. Ktoś musiał dać cynk, bo kiedy zapukaliśmy do jego pokoju, nikogo w środku nie było. Na łóżku została rozgrzebana pościel, wciąż ciepła, minutę wcześniej jeszcze spał. Uciekł w samej pidżamie, wyskoczył przez okno na pierwszym piętrze i ruszył na oślep w lodowaty deszcz. Dopadniemy go, obiecuje panu. Chłopaki od dwóch dni są na tropie. Depczą mu po piętach.

— Nie chcieliście go jeszcze poobserwować? Mógł doprowadzić was do grubych ryb.

— Chcieć i móc to dwie zupełnie różne rzeczy. Pan jest zbyt cenny, by wystawiać pana na przynętę. Nie kalkuluje się poświęcać pana, aby złapać młodego, zupełnie niedoświadczonego szpiega, któremu nie wiadomo co strzeli do głowy. Mowy nie ma! Gdyby się Casey dowiedział, powyrywałby chłopakom nogi z dupy.

Lance zaśmiał się ponownie i zrobił to w okropny sposób, balansując pomiędzy rechotem a dławiącym, gardłowym charczeniem. Mayer oddychał coraz szybciej.

— Od sześciu lat obserwujemy pana bardzo uważnie.

Sześć lat – od śmierci Sandy i Adama. Wewnątrz Mayera wszystko krzyczało. Nie zamierzał grzebać w starych ranach. Żył teraz w nowym świecie, osaczony innymi problemami. Przeszłość była napisanym rozdziałem, wczorajszą gazetą, polaroidową fotografią, w której coś się zepsuło i zdjęcie zżarła biała plama chemikaliów.

— Dlaczego? — Przełknął ślinę, podskoczyła grdyka. — Dlaczego mnie obserwujecie?

— Yoyodyne, przecież to oczywiste. Każdy ważniejszy inżynier ma u nas teczkę. Po stracie rodziny był pan na emocjonalnej huśtawce. To najłatwiejszy

moment na werbunek. Dziwię się, że Ruscy czekali aż tyle lat. Może nie wiedzieli? Nieważne. — Lance poruszył się gwałtownie na ławce. Zamierzał coś powiedzieć, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Mayer go wyręczył.

— Czego pan ode mnie chce? Przecież nie spotkał się pan ze mną, żeby sobie, ot, tak, pogadać, prawda?

Lance Butler wypuścił gwałtownie powietrze przez szparkę ust. Unikał spojrzenia rozmówcy. Mówił na bezdechu, szybko, żeby mieć to już za sobą.

— Potrzebujemy pana pomocy.

— Że to niby taki mój patriotyczny obowiązek? Nie mam w ogóle wyjścia?

Agent nie odpowiedział.

\* \* \*

Spotkali się pięć dni później. Hochbaum na koszt państwa poleciał do Langley, gdzie mieściła się główna siedziba Firmy. Lance odebrał go w recepcji, wystawił przepustkę dla gościa i Mayer przypiął laminowany identyfikator do klapy marynarki.

Sterylnymi korytarzami dotarli na poziom oznaczony symbolem 1F. Agent zaprosił naukowca do salki konferencyjnej. Na stole czekała kawa i kanapki. Lance wyregulował ostrość w rzutniku, ale kiedy tylko Mayer usiadł przy stole, przesłonił lampę zaślepką.

— I tak zamierzaliśmy nawiązać z panem kontakt. Czekalibyśmy góra kilka tygodni — zaczął. — Chłopakom zostały jakieś drobnostki do wyjaśnienia. Andrejs Putnis, AKA Sasza, tylko przyspieszył nasz ruch. Moi ludzie zrobili wywiad środowiskowy, sprawdzili pana rodzinę. Piękna historia. Ojciec był działaczem opozycyjnym na Węgrzech.

— Nie ma się czym chwalić. — Mayer machnął ręką. Wolał, aby rozmówca przeszedł do konkretów. — Uciekliśmy stamtąd, zanim Budapeszt stanął w płomieniach. Potem stary poświęcił się wielkiemu biznesowi i zszedł na zawał trzy dni przed pięćdziesiątymi piątymi urodzinami.

— Najwięcej problemów mieliśmy z pana siostrą. Trafiliśmy na nią wreszcie w małej wiosce na granicy meksykańsko-gwatemalskiej. Wszystko

u niej w porządku. Hoduje kozy, z mleka robi ser, wieczorami lepi garnki. W chatce nie ma prądu ani bieżącej wody. Jest szczęśliwa.

— To chyba dobra wiadomość. Nie rozmawialiśmy ze sobą piętnaście lat.

— Nie jest pan blisko związany z rodziną.

— Tak jakoś wyszło... — Mayer czuł się niezręcznie. — Każdy miał swoje życie. Nie było czasu.

— Nie, nie! — funkcjonariusz zaprotestował. — Niech się pan nie tłumaczy. — Lance z trudem powstrzymywał śmiech. — Siedzimy w rządowym budynku, a nie w konfesjonale. Pana rodzina interesuje mnie wyłącznie w jednym kontekście: jako narzędzie potencjalnego szantażu.

— Szantażu? — zapytał ostrożnie Mayer. Spodziewał się najgorszego i wizja realizowała się na jego oczach. — Ale dlaczego ktoś miałby mnie szantażować?

— Proszę zobaczyć.

Pstryknął włącznik i pomieszczenie zalała ciemność. Lance uchylił zaślepkę z rzutnika, na ekranie pojawiła się fotografia łodzi podwodnej.

— USS „Florida”, okręt klasy Ohio, najnowsze cacko chłopaków z Marynarki. Uzbrojony w dwadzieścia cztery pociski balistyczne z głowicami termonuklearnymi. Praktycznie nieograniczony zasięg. Może siedzieć pod wodą tak długo, jak Żydzi w niewoli egipskiej. Zna się pan na militariach?

— Mój syn się trochę interesował. Ja nigdy nie miałem do tego głowy.

— Z tym kurestwem jest mały problem. Kiedy wlezie pod wodę odpowiednio głęboko i siądzie na dnie, nie potrafimy się z nim komunikować. Nikt nie wpadł jeszcze na dobry pomysł, zawsze jest jakieś „ale”. Tradycyjnych fal radiowych używać nie da rady, bo słabo się rozchodzą w słonej wodzie. Można robić transmisję akustyczną i ciągnąć kable po dnie oceanu, ale to drogie i do zrobienia wyłącznie na naszych wodach terytorialnych. Można stosować fale o niskiej częstotliwości, ale one wciskają się tylko na dwadzieścia metrów – aby odebrać transmisję, okręt musi się wynurzyć, a generałowie nie należą do entuzjastów podobnych rozwiązań, bo łatwo wówczas zaliczyć wrogi pocisk lub torpedę. Przypominam o dwudziestu czterech atomówkach na pokładzie. Kiedy jakiś nerwowy Rusek odpali czerwony przycisk i nadejdzie koniec świata, wtedy musimy zareagować błyskawicznie, co nie?

— I chcecie, żebym nad tym pracował? Nad sposobem komunikacji z okrętami podwodnymi? — wypowiadając to zdanie, Mayer poczuł niewypowiedzianą ulgę. Czuł się jak Abraham, kiedy Jahwe odwołał wyrok śmierci na Izaaka. Był przygotowany na najgorsze, a najgorsze nie nadeszło. — Nie mam w tym zakresie żadnych kompetencji, naukowo zajmuję się fizyką statystyczną.

— I o to właśnie chodzi! — Lance ucieszył się jak dzieciak. — Dokładnie o to. Inżynierów mamy świetnych i ich porad na razie nie potrzebujemy. Szukamy statystyka i dlatego zwróciliśmy się do pana.

— Statystyka? — Po krótkiej chwili uspokojenia Mayer znów poczuł strach. A już był coraz bliżej stanu całkowitego odprężenia i zamierzał potraktować sprawę jako gigantyczne nieporozumienie. — Ale po co wam statystyk?

— Zakładam, że nie słyszał pan o Trójcy Świętej?

— Trójcy Świętej? — zapytał lękliwie Mayer. — Wywodzę się z rodziny żydowskiej, sam jestem raczej ateistą, ale orientuję się co nieco w wymysłach katolików.

Przygotowany był na najgorsze, ale to, czego miał się dowiedzieć, przechodziło wszelkie pojęcie.

— Nie słyszał pan. — Lance pokręcił głową. — Nie miał pan prawa słyszeć. Trójca Święta jest najbardziej tajną komórką naszej organizacji. Zatrudnienie znajdują tam osoby o dość nietypowych zdolnościach — lekko się zająknął. — Prawdę powiedziawszy, zatrudniamy tam wyłącznie psychotroników — ostatnie słowo wypowiedział szybko i niewyraźnie, wypluł z siebie jak kęs nieświeżego posiłku. — Telepatów, pan rozumie?

— Telepatów? — Mayer nerwowo zamrugał. — Co pan...

Zanosilo się na dłuższą historię. Lance sięgnął po termos i nalał sobie kawy. Zapropozował Mayerowi, ale ten odmówił potrząśnięciem głowy. Agent rozparł się w fotelu i zaczął opowiadać.

Początki sięgały lat 50. i związane były z programem MKULTRA. Zamierzano do codziennej pracy wywiadowczej wprowadzić repertuar niestandardowych narzędzi: zdalną kontrolę umysłu z wykorzystaniem fal elektromagnetycznych, oddziaływanie podprogowe, czyszczenie pamięci i wywoływanie fałszywych wspomnień poprzez hipnozę i środki

psychoaktywne. I wszystko było pięknie, do momentu aż jakiś napruty kwasem cywil w środku nocy wyszedł przez okno hotelu Statler na Manhattanie, a jego synowie w formie protestu przejechali rowerami przez całe Stany. Wtedy wokół sprawy zaczęły węszyć pismaki i wciskać swoje pobrudzone długopisowym tuszem paluchy w tryby doskonale funkcjonującej maszyny. Firma oficjalnie zakończyła kontrowersyjny program, ale nie na wszystkich obszarach. Trójca Święta pozostała. Trzy osoby obdarzone tajemniczym talentem.

— Proszę nie zrozumieć mnie źle. To nie jest tak, jak pan myśli. Zupełnie nie tak — perorował Lance. — Oni nie są telepatami w sposób, w jaki większość ludzi rozumie to słowo. Nie zaglądają innym do głów. Nie czytają w myślach. Nie komunikują się na odległość. Nic z tych rzeczy. Oni po prostu... — szukał słowa — ... w ściśle określonych warunkach, spętani wielorakimi ograniczeniami, zaburzają prawa statystyki.

CIA i wojsko pokładało w Trójcy wielkie nadzieje. Do tej pory przeprowadzono kilka testów i wyniki były bardziej niż obiecujące. Na okręt podwodny zabrano naukowca – psychologa, który miał kontrolować metodologiczną rzetelność eksperymentu. Kiedy łódź zeszła na trzysta metrów i stawiała opór miazdzącemu ciśnieniu trzydziestu atmosfer, kiedy miliony ton wody powyżej szczelnie odseparowały ją od świata zewnętrznego, facet wyłożył na stół talię kart do pokera. Tasował ją przez dwie minuty (ze stoperem w dłoniach), a następnie wyciągał na chybił trafił karty. Rezultat zapisywał w notesie, wkładał karty z powrotem do talii, czekał trzydzieści sekund i ponownie zabierał się do tasowania.

Znajdujący się trzy tysiące kilometrów dalej psychotronic siedział z identyczną talią kart rozłożoną na stole. Wyglądało, jakby układał pasjansa. Wpatrując się w zegarek zsynchronizowany z czasomierzem psychologa na łodzi podwodnej, w jednakowych interwałach zgadywał wynik losowania. Pojedyncza sesja trwała czterdzieści pięć minut. Robili cztery sesje na dzień. Łódź przebywała pod wodami Atlantyku dwa tygodnie.

— Jednym słowem zgromadziliśmy w chuj obserwacji. Piętnaście kart na sesję, razy cztery sesje na dzień, razy czternaście dni, daje osiemset czterdzieści punktów danych z jednego psychotronika. Wyniki zgadywała nasza trójka magików i dodatkowo osiem osób z grupy kontrolnej. Byłem



wśród nich. — Wyszczerył zęby. — Wystarczająco zasobny zbiór, by policzyć korelacje i oszacować istotności statystyczne.

— Jakie były wyniki? — Mayer zapytał rzeczowo. Było gorzej, niż podejrzewał: zaczęło go to interesować.

— Cholernie zaskakujące. Rezultaty dla próby kontrolnej rozkładały się doskonale losowo. Tymczasem Trójca Święta okazała się bardziej skuteczna. Oczywiście nikt nie trafił w stu procentach, ale wyniki dla całej trójki odchodziły się od średniej w sposób istotny statystycznie.

— O czym to świadczy?

Lance wzruszył ramionami.

— O tym, o czym mówiłem na początku. Nikt nie twierdzi, że oni mają nadludzkie moce, coś jak komiksowi superbohaterowie, pan rozumie, kogo mam na myśli, Kapitan Ameryka czy Iron Man. Odróżnia ich od nas jedna rzecz: potrafią nieco lepiej ZGADYWAĆ.

— Do czego w takim razie mnie potrzebujecie?

— Opatrzona klauzulą „ściśle tajne” wyniki eksperymentu wpadły w łapy generałów, a ci szybko wymyślili, co można z tym zrobić. Komunikacja z łodziami podwodnymi, pamięta pan?

Mayer przytaknął z ociąganiem.

Tok rozumowania był następujący: w eksperymencie streszczonym przez Butlera człowiek na okręcie podwodnym dokonywał losowania. Ale przecież to nie musi być proces losowy. Równie dobrze z talii może zostać wyciągnięta konkretna karta, a każdej karcie można nadać określone znaczenie. Psychotronik w laboratorium ma za zadanie odgadnąć, jaki komunikat próbuje przekazać załoga na pokładzie. Komunikacyjny wektor może też zostać odwrócony: jeśli to psychotronik będzie na pokładzie okrętu, wtedy jednostka bojowa może odbierać sygnały od dowództwa na stałym lądzie.

— Tutaj kryje się największy problem. — Lance pochylił się nad stołem, przybierając konfidencjonalną pozę. — Nikt z Trójcy nie osiąga stu procent trafności predykcji, są grubo, grubo poniżej tego. Wyniki jedynie odchylają się od średniej w sposób istotny statystycznie. Trzeba obejść tę słabość, tak projektując algorytm komunikacyjny, aby obie strony miały pewność, że rozumieją się właściwie. Być może należy sto razy wskazywać tę samą kartę? A może wystarczy dziesięć razy, aby z prawdopodobieństwem

dziewięćdziesięciu dziewięciu procent prawidłowo zrozumieć komunikat? To jest kurewsko ważne i pan chyba jeszcze nie do końca zdaje sobie sprawę, dlaczego ma to kolosalne znaczenie. Ograniczona wojna jądrowa. Od kiedy rozstawiliśmy pershingi w Europie, od kiedy Reagan ogłosił „wojny gwiazdne” i nie bał się nazwać Imperium Zła po imieniu, Ruscy zrobili się nerwowi. Jajogłowi z RAND szacują, że na siedemdziesiąt pięć procent w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy w ruch pójdą głowice. To cholernie duże prawdopodobieństwo i ani pan, ani ja nie chcemy, aby koszmar się zrealizował. Do tego właśnie potrzebujemy pana. Należy zaprojektować procedurę, odpowiedni statystyczny test, który będzie dawał pewność, że łódź podwodna prawidłowo zrozumiała komunikat przesłany z dowództwa i *vice versa*. Pewność – a nie wysokie prawdopodobieństwo. Ile to jest „pewność”? Bo ja wiem? Kiedy błąd pojawi się raz na sto milionów prób, raz na miliard? Od tego zależy przyszłość świata.

— Zamierzacie wykorzystać psychotroników jako zapalniki do pocisków nuklearnych? — wysapał Mayer.

Lance nie odpowiedział.

— Chciałbym teraz panu kogoś przedstawić.

Robert Kashgoff był największym człowiekiem, jakiego Mayer kiedykolwiek widział. Mierzył grubo ponad dwa metry i wszystko było w nim duże. Wielka, nieproporcjonalna głowa i potężne łapska niczym bochny wiejskiego chleba. Zwały mięśni pod rozchełstaną koszulą, długie stopy w rozczłapanych pantoflach. Jakby Robert nie do końca był człowiekiem, a w jego żyłach płynęła mieszanka krwi ludzkiej i rasy gigantów, którzy według Tory zamieszkiwali ziemię w czasach, gdy pierwsze pokolenia dzieci Adama i Ewy płodziły potomków.

— Jestem psychologiem. — Olbrzym w stalowym uścisku zmiażdżył dłoń Mayera. — Kiedyś pracowałem w policji. Specjalizowałem się w profilowaniu. Tworzyłem portrety psychologiczne seryjnych morderców. Pamięta pan tego gwałciciela z nowojorskiego metra w osiemdziesiątym pierwszym? — Łupnął teatralnie pięścią w wypiętą pierś. — Będziemy razem pracować.

Wkrótce Robert i Mayer zaprzyjaźnili się – ku zaskoczeniu każdej ze stron. Kashgoff miał skłonność do filozofowania i żywo interesował się postęпами we współczesnej fizyce, a przede wszystkim ich ontologicznymi

konsekwencjami. Szybko znalazł z Hochbaumem wspólny język. Wieczorami wychodzili na kielicha, przesiadywali w zadymionych barach, oddychali gęstym, papierosowym powietrzem. Rozmawiali.

— Normalnie jeszcze, bo ja wiem, cztery lata temu nie uwierzyłbym w nic, o czym opowiadał Butler. Ale teraz uwierzyłem. Wiesz dlaczego?  
— zapytał jednego z tych wieczorów Robert.

Mayer nie wiedział.

— Przez eksperyment Aspecta. Nie patrz tak, naprawdę. Kiedy pierwszy raz słyszałem o paradoksie Einsteina–Podolskiego–Rosena i potem o nierówności Bella, to mi się wydawało intrygujące od strony formalnej, ale nie potrafiłem traktować tego inaczej niż jako intelektualnej ciekawostki, ćwiczenia matematycznego. A Francuz, cholera jasna, pokazał, że intuicje Einsteina nie były trafne i rzeczywistość ma nielokalną strukturę. Dlatego potrafię dać wiarę umiejętnościom psychotroników. Może oni rzeczywiście widzą więcej, ale nie ma w tym nic niezwykłego, nadludzkiego, nadprzyrodzonego. Wkrótce ta wiedza stanie się częścią mainstreamowej nauki. A my będziemy pierwsi, którzy to zbadają.

Podstawowym zadaniem Kashgoffa było bieżące monitorowanie kondycji psychicznej Trójcy Świętej. Na barkach tych ludzi spoczywała odpowiedzialność za przebieg ewentualnego konfliktu atomowego, więc ich zdrowie psychiczne należało do spraw wagi państwowej. I w tym właśnie celu CIA zatrudniło Roberta. Był ich lekarzem pierwszego kontaktu, spowiednikiem, powiernikiem trosk i problemów, terapeutą i psychoanalitykiem.

— Zanim poznasz ich osobiście, pozwól, że powiem o każdym kilka zdań  
— zaproponował podczas drugiego spotkania.

Na pierwszy ogień poszła jedyna w tym gronie kobieta, Sarah McCaughan. Długowłosa, pulchna blondynka z południa Stanów Zjednoczonych. Miała dwadzieścia dwa lata, wielki biust, czerwone policzki, emanowała przaśnością oraz seksem. Wiecznie niezaspokojona, myślała cały czas o pieprzeniu. Zanim dopadło ją CIA, studiowała marketing na jakimś prowincjonalnym uniwersytecie. Nauka szła jej dobrze, chodziła na randki z kapitanem drużyny koszykówki, który wieczorami posuwał ją na przednim siedzeniu pickupa. Do czasu. Pewnego dnia przeraźliwie zaczęła boleć ją głowa.

Ból pojawił się niespodziewanie, jak piorun z bezchmurnego nieba, Sarah stała akurat w uniwersyteckiej kantynie, trzymała na tacce obiad. W tej samej chwili runęła na posadzkę, a ostatnim obrazem, jaki zapamiętała przed utratą przytomności, była puszka coli, która potoczyła się pod nogi koleżanek siedzących przy stole. W szpitalu okazało się, że ma guza mózgu. Niegroźnego tętniaka, którego można usunąć operacyjnie. Ryzyko powikłań jest niewielkie, poniżej pięciu procent. Sarah odetchnęła z ulgą. Operacja odbyła się na drugi dzień i chwilę potem dziewczynę wypisali do domu. Ale od tego dnia coś się zmieniło.

Sarah zaczęła mieć inne sny – niezwykle realistyczne, nasycone kolorami, pokazywały miejsca, w których dziewczyna nigdy nie była, i osoby, których nigdy nie знаła. Na to nałożyły się halucynacje i stany lękowe. Jakby Sarah trafiła do innego strumienia czasu. Zegarki wokół niej to przyspieszały, to zwalniały, minuty potrafiły trwać czterdzieści lub sto sekund, w zależności od nastroju dziewczyny. Tego było już nadto – stwierdziła podczas pewnej nocy, kiedy obawiała się zasnąć, bo wiedziała, że obudzi ją nawracający koszmar, a elektroniczny zegar na szafce nocnej będzie odliczał kolejne minuty nad wyraz niechętnie. Następnego dnia poszła do psychiatry. Miała pecha – trafiła na lekarza współpracującego z rządem.

Kilka miesięcy wcześniej zespół psychologów pracujący pod kuratelą Butlera przygotował zestaw instrukcji wewnętrznych i rozesłał go do zaufanych gabinetów. Polecenia były bardzo proste: istnieje korelacja pomiędzy posiadaniem zdolności psychotronicznych a zaburzeniami percepcyjnymi. Jeśli zatem gdziekolwiek zgłosi się pacjent cierpiący na halucynacje, omamy wzrokowe czy słuchowe, należy natychmiast przeprowadzić na nim podstawowy test z kartami. W przypadku wyników odstających od średniej trzeba niezwłocznie skierować go do Langley.

I tak prowincjonalny lekarz zamiast naszprycować Sarę prozakiem i valium, zrobił dziewczynie badanie na postrzeganie pozazmysłowe. Ukryty za parawanem wypisywał na kartce liczby, a ona zgadywała, co pisze. Poszło zadziwiająco dobrze i trzy dni później do mieszkania Sary zapukał Lance Butler z propozycją nie do odrzucenia.

W odosobnionej klitce ośrodka badawczego Firmy Sarah McCaughan, która potrzebowała do życia seksu, jak normalny człowiek potrzebuje powietrza, związała się z najmłodszym przedstawicielem Trójcy Świętej,

niejakim Kevinem Lubelskim. Kevin miał ledwie osiemnaście lat i robił wszystko, by wyglądać na co najmniej dwadzieścia pięć. Ich historie były do siebie podobne. Lubelsky w szkole średniej miał reputację geniusza i niezwykle uzdolnionego skrzypka, ale wszystko się zawaliło, kiedy zaczął słyszeć głosy. Zaczęło się w niepozorne sierpniowe popołudnie, półtora roku wcześniej.

Chłopak poprzedniej nocy był na urodzinach u kolegi, wrócił nad ranem i do łóżka kładł się pijany w sztok. Obudził się grubo po dwunastej i od tej pory nic już nie było takie samo. Wewnątrz głowy słyszał głos – bardzo wyraźny, kobiecy głos, mówiący w niezrozumiałym, śpiewnym języku. Lubelsky nic a nic z tego nie rozumiał, próbował wychwytywać pojedyncze słowa, a konsylium lekarskie, które badało chłopaka, po konsultacji z lingwistami orzekło, że jest to rzadkie narzecze języka dołgańskiego, używanego przez zaledwie kilka tysięcy osób, przedstawiciele ludu zamieszkującego zachodnią Jakucję. Po diagnozie zamknięto go w szpitalu psychiatrycznym i naszprycowano farmakologią. Wyciszyło to wewnętrzny jakucki monolog, ale jednocześnie znacznie ograniczyło kontakt z rzeczywistością.

Kevin Lubelsky zamknął się w swoim świecie – cały dzień nie ruszał się z łóżka, patrząc w sufit, eksplorując rozległe krainy wyobraźni. Do czasu. Z polecenia CIA Kashgoff interesował się nietypowymi przypadkami klinicznymi, i w ten sposób trafił na ślad Kevina. W prasie branżowej chłopak funkcjonował pod kryptonimem „Violin Boy” i z punktu widzenia współczesnej nauki był niewyjaśnionym fenomenem.

Kashgoff odnalazł go i wziął pod kuratelę rządową. W pierwszej kolejności ograniczono mu dawki psychotropów i Kevin wypłynął znów na powierzchnię rzeczywistości. Kashgoff zrobił z nim kilka prostych eksperymentów psychotronicznych i przekonał się, że ma w rękach nieoszlifowany diament, najprawdziwszy skarb. Ceną za ograniczenie leków był nawrót omamów słuchowych. Lubelsky balansował pomiędzy światem realnym a otchłanią halucynacji. Leki umożliwiały normalne funkcjonowanie, ale jednocześnie zabijały talenty prekognitywne. Kashgoff obawiał się, że znalazł się w impasie, i myślał nawet, by dać sobie z Lubelskim spokój, niech chłopak zgnije w psychiatryku, zmieni się w warzywo i robi pod siebie. Zanim postawił na nim krzyżyk, skonsultował się jednak ze znajomym

psychiatrą, profesorem na Uniwersytecie Cornella. Razem skomponowali nową kurację farmakologiczną, która przyniosła zaskakujące efekty. Głosy w głowie Kevina zniknęły niemal całkowicie, a jednocześnie osiemnastolatek nie stracił żadnej ze swych niezwykłych umiejętności. Warunkiem ich zachowania było przestrzeganie ostrego reżimu lekowego. Chłopak każdego dnia łykał czterdzieści sześć różnych pigułek.

Kiedy do Trójcy dołączyła Sarah McCaughan, Kevin nie posiadał się ze szczęścia. Dziewczyna była od niego starsza zaledwie o cztery lata i podobnie jak on, bez przerwy myślała o seksie. Ich zbliżenie było kwestią czasu i doszło do niego – ku przerażeniu generałów, którzy uważali psychotroniczków za dobro należące do rządu Stanów Zjednoczonych. Utrata kontroli nad relacjami wewnątrz grupy nie mieściła im się w głowie. Niesforne dzieciaki otrzymały wezwanie na dywanik, każde wysłuchało ostrej reprimendy.

Kevin nie zamierzał się podporządkowywać.

— Jurny kogucik — tłumaczył Kashgoff i uśmiechał się półgębkiem na wspomnienie tamtych wydarzeń. — Rozbrykany młokos z mlekiem pod nosem, chciał pokazać, na co go stać i kto tu rządzi. No i pokazał...

Kevin uciekł z Langley. W nocy zakradł się pod plandekę ciężarówki wywożącej skrzynki z butelkami po coli sprzedawanej w kantynie. Wyskoczył na przejeździe kolejowym trzydzieści mil dalej. Opiekunowie zorientowali się, że go nie ma, dopiero wczesnym przedpołudniem, kiedy nie zgłosił się na sesję eksperymentalną. Jakiś waśniak w centrali wpadł we wściekłość, chciał ustawiać kontrole na autostradach, wysyłać helikoptery i patrole z psami przeczesujące lasy.

— Dajcie mi czterdzieści osiem godzin — przekonywał Robert Kashgoff. — Zobaczycie, że go znajdę. Dopadnę gnojka bez najmniejszego wysiłku.

To było proste. Kevin nie miał ze sobą zapasu lekarstw i dobę po ucieczce pojawiły się znów omamy. Zasył się wtedy w motelu przy autostradzie międzystanowej numer 60, rozkręcił telewizor na pełny regulator, zamierzając zagłuszyć muzykę w głowie. Bezskutecznie. W tym czasie – kiedy Kevin wił się na łóżku, przyciskał zaciśnięte pięści do uszu i gryzł poduszkę, a z oczu ciekły mu łzy – Kashgoff usiadł przy mapie i wielką dłonią, bez użycia cyrkla, wykreślił okrąg.

— Szukajcie go tutaj — zakomenderował, a piątka agentów oddanych do jego dyspozycji skinęła posłusznie głowami. — W pierwszej kolejności sprawdzajcie motele. Im bardziej obskurny, tym lepiej.

Kiedy znaleźli chłopaka, był bliski obłądu. Wyżerał im lekarstwa z ręki i błagał o jeszcze, posłuszny jak piesek kanapowy. Ustawili go raz na zawsze. Z drugiej strony incydent nauczył generałów, by przymykać oko na zachowania w bazie, i nikt już nie robił problemów, kiedy Kevin Lubelsky i Sarah McCaughan spotykali się w wolnych chwilach. Ta dwójka była zresztą mniej problematyczna i od kiedy pozwolono im się wzajemnie pieprzyć, nikt nie miał już z nimi kłopotów.

Nie dało się tego powiedzieć o Bogu Ojcu.

Brandon Ortega był jednym z najdziwniejszych ludzi, jakich Mayer Hochbaum kiedykolwiek spotkał. Miał czterdzieści kilka lat, włosy do ramion i bardzo niechętnie się mył. Cuchnęło od niego z daleka, a Kashgoff po smrodzie nauczył się oceniać nastrój Brandona. Jeśli w powietrzu wisiała organiczna woń skwaśniałego potu – mężczyzna był wściekły. Jeśli śmierdziało gnijącym mięsem, rozkładającymi się odpadami, wysypiskiem śmieci i bagnem – wtedy znaczyło, że chodzi uśmiechnięty od ucha do ucha i ma problemy z zasypianiem, jak cyklofrenik w aktywnej fazie choroby. Bywały też dni, kiedy za Brandonem unosiły się opary czegoś intensywnego i ciężkiego, jak woń ekskrementów. Psychotronik popadał wtedy w zadumę, był przekonany, że jest drugim Adamem i na jego barkach ciąży grzech pierworodny całej ludzkości.

Brandon Ortega należał do niezwykle religijnych osób.

Próbował wielu wyznań, ale nigdzie nie zagrzał miejsca na dłużej. Zaczynał od małej gminy baptystów, by wylądować u mormonów i dorobić się sześciu żon. Później przyszła pora na krótki epizod u amiszów, u których biegał boso i bryczką zaprzęzoną w konia jeździł po drogach szybkiego ruchu; świadków Jehowy; Adwentystów Dnia Siódmego i zielonoświątkowców, gdzie nauczył się modlić poprzez glosolalia. Przygodę z chrześcijaństwem zakończył triumfalnym wstąpieniem na łono Kościoła katolickiego i przyjęciem chrztu. Chwilę później ruszył w duchową podróż do Indii – na wschodzie odkrył świat oparty na zupełnie innym paradygmacie niż cywilizacje zachodnie. Było to coś nowego i nieoczekiwanego; z zapalczywością neofity Brandon został wyznawcą Ramy i Kriszny, wyparł

się epizodu chrześcijańskiego, aby z czasem dołączyć do ruchu Sathya Sai Baby.

Po trzyletnim pobycie w Azji i nieudanych próbach zorganizowania spotkania z duchowym guru Beatlesów, Maheszem Prasadem Warmą, Brandon Ortega podjął w Stanach nową pracę. Został dziennikarzem sportowym, ale pisząc o wynikach kolejnych meczy futbolowych, komentując rozgrywki ligowe, spekulując na temat transferów zawodników w przyszłym sezonie i zachwycając się niesamowitymi wynikami Mike'a Schmidta, miał wrażenie, że świat przemyka mu między palcami, a on sam jest jak emocjonalny zombie: niby żyje, chodzi, rozmawia, śmieje się, a jakby nie żył. Wszystko jest płytkie i doświadczane pobieżnie, jakby patrzył na to przez zabrudzoną szybę. A Brandon łaknął duchowego oświecenia, nie potrafił już bez niego żyć.

W tym celu założył własny Kościół i obwołał się prorokiem zwiastującym niedaleki koniec świata. W manifeście założycielskim kulminację znalazły wszystkie obsesje mężczyzny: apokalipsa, sekretne stowarzyszenia, psychotronika i wiara w pozaziemskie pochodzenie ludzkiej cywilizacji, wywiedziona z książek szwajcarskiego hotelarza, niejakiego Ericha von Dänikena, który w tamtym czasie wyrastał na europejską gwiazdę.

Kościół Brandona Ortegi był organizacją tajną, działającą pod przykrywką szkoły masażu, jogi i medytacji. Nowi członkowie zostawali rekomendowani przez zaufanych wyznawców i musieli przechodzić długą ścieżkę inicjacyjną, a następnie mozolnie kompletować kolejne szczeble wtajemniczenia, wzorowane na rytach masońskich. Najwyższym Oświeconym był oczywiście Brandon Ortega; tylko on miał monopol na prawdę i z jego zdaniem się nie dyskutowało. Słowa Najwyższego były dogmatami.

W krótkim czasie Brandon skompletował liczną trzódkę wiernych, w najlepszym momencie liczącą przeszło sto osób. Powodem były jego niezwykle umiejętności, nabyte ponoć w trakcie pielgrzymki do Indii – Kashgoff dotarł do relacji świadków, którzy zaklinali się, że widzieli, jak po czterdziestopięciominutowej medytacji Brandon Ortega zaczął lewitować. I chociaż uniósł się zaledwie kilka centymetrów ponad ziemię i trwało to niecałą minutę – tyle wystarczyło, by pociągnąć za sobą tłumy.

Wierni przepisywali na niego hipoteki, szastali czekami, zmieniali zapisy w testamentach. Za zgromadzone w ten sposób środki Ortega kupił okazały



dom na przedmieściach San Francisco i rozpoczął prace remontowe, przebudowując go na świątynię, w której wyznawcy mieli wspólnie doczekać wypełnienia się czasów. W tym czasie Brandon rzucił pracę w dziale sportowym gazety (datki wiernych pozwalały na wystawne życie), przestał się myć i odkrył, na czym polegają profity bycia guru ruchu religijnego. Kashgoff zebrał różne relacje, ale niektórzy doliczyli się dziewięciu kochanek w tym samym czasie, w tym dwóch nieletnich.

Tymczasem Ortega umiejętnie zarządzał relacjami w grupie, balansując pomiędzy budowaniem przekonania, że tylko on ma monopol na prawdę o zbawieniu, a podsycaniem strachu i poczucia zagrożenia.

— FBI jest na naszym tropie — ostrzegął podczas nabożeństw.  
— Musimy być wobec siebie lojalni i nie możemy tolerować zdrajców wewnątrz organizacji.

W tym jednym punkcie się nie mylił.

FBI rzeczywiście było na jego tropie, po tym jak jeden z apostatów Kościoła Brandona Ortegi złożył obszerne zeznania, w których oskarżał przywódcę duchowego o przygotowania do zbiorowego samobójstwa swych współwyznawców.

Kościół znalazł się pod lupą policji federalnej, pod przykrywką wiernych próbowano wprowadzić do niego agentów, ale nie przeszli rytu inicjującego. Pozostawało otoczyć dom Brandona dyskretną obserwacją i czekać na rozwój wypadków.

Przełom nastąpił w ciepłą noc 1983 roku. Że coś się święci, było wiadomo od rana. Pod siedzibą sekty co chwila parkowały samochody osobowe, wysiadali z nich dziwni ludzie wyglądający jak podstarzali hippisi. W domu wrzało jak w ulu, trwały przygotowania do wielkiej imprezy.

Wczesnym popołudniem na podjeździe zaparkowała furgonetka pobliskiej restauracji i rozpoczął się wyładunek zamówionego jedzenia. Szykowało się coś wielkiego i dyżurny funkcjonariusz wezwał pomoc. Właściwe przyjęcie wystartowało około dwudziestej pierwszej. Willa była wtedy już szczelnie otoczona kordonem lokalnych gliniarzy, wspieranych przez federalnych tajniaków. Zgromadzeni obserwowali sytuację i czekali cierpliwie na znak.

Kilka minut przed północą wszystko zamarło, zatrzymane na trójwymiarowej stop-klatce. Wewnątrz budynku zgasły światła i mrok, który wylał się z siedziby sekty, przygniótł do ziemi pochowanych po krzakach i drzewach stróżów porządku. Furknął zapalany reflektor punktowy, wiązka światła pobiegła po trawniku, by wreszcie wtargnąć do środka budynku.

To, co zobaczyli, policjanci zapamiętali na zawsze. Zgromadzeni w salonie ludzie stali w kręgu, była ich co najmniej setka. Ubrani w białe powłóczyście szaty, jak dziewice podczas pogańskiego nabożeństwa. W dłoniach trzymali plastikowe kubki po coli – szperacz uchwycił moment, kiedy przykładali naczynia do ust i płyn zwilżał im wargi.

Wszyscy w jednej chwili pomyśleli o tym samym.

Obrzęd przejścia.

Rytualne samobójstwo.

Trucizna w kubkach z McDonalda.

Odurzeni narkotykami wierni zaraz umrą. Trzeba działać. Jeszcze sekunda, a będzie za późno.

— Wezwijcie posiłki, będziemy mieli tutaj rzeźnię — rzucił ktoś do krótkofalówki.

Potem rozpętało się piekło.

Snop białego światła przerwał ceremonię. Przestraszone spojrzenia powędrowały w stronę okien. W salonie zrobiło się jasno, jakby nad horyzontem eksplodowały tysiące głowic nuklearnych – policjanci odpalali kolejne szperacze. I tylko jeden uczestnik obrzędu nie stracił zimnej krwi.

Podczas gdy oddział szturmowy forsował drzwi, kiedy rozprysły się szyby w oknach, Brandon Ortega ewakuował się kuchennym wyjściem do ogrodu. Przeskoczył przez ogrodzenie i przebiegł na drugą stronę ulicy, gdzie parkował jego chevrolet nova. W tylnej kieszeni spodni trzymał fałszywy paszport wystawiony na nazwisko Jonathana Ronaldo.

Nikt oczywiście samobójstwa popełniać nie zamierzał, co okazało się jeszcze tego samego wieczoru. W kubkach z McDonalda przelewał się koktajl z barbituranów rozpuszczonych w Jacku Danielsie. Mieszanka miała silne właściwości halucynogenne, ale w żadnym razie trucizną nie była. Zeznania złożone zarówno przez współpracowników, jak i wyznawców Brandona były jednoznaczne. Wtargnięcie funkcjonariuszy przerwało

przygotowania do orgii seksualnej, która – zgodnie z zapewnieniami guru – była warunkiem koniecznym, by wyzwolić kosmiczną energię zgromadzoną w ciele każdego człowieka. Zlokalizowano ją w szyszynce i za jej pomocą można się ponoć było transferować na hiperpoziom świadomości.

— Co za bełkot, ja pierdołę — podsumował prokurator prowadzący dochodzenie i ostatecznie sprawa utknęła w wydziale narkotykowym.

Za Brandonem Ortegą wysłano list gończy. Zaczęło się polowanie na wielką skalę.

Policja szukała go trzy lata, ale on zawsze był sprytniejszy, zawsze o krok do przodu, przewidywał i uprzedzał działania myśliwych. Nie dokleił sobie sztucznej brody ani wąsów, nie przefarbował włosów ani nie przytył dwudziestu kilo. FBI szybko ustaliło jego fałszywą tożsamość, a on nie zadał sobie trudu, by brnąć głębiej w mistyfikację, fabrykować kolejne fałszywe dowody tożsamości, żonglować paszportami. Wszyscy wiedzieli, że Jonathan Ronaldo to Brandon Ortega, a on nic sobie z tego nie robił.

Pozostawał nieuchwytny do momentu, gdy Butler otrzymał zadanie stworzenia komanda psychotronicznego. Razem z Kashgoffem zaczęli od tournée po zjazdach różnych cudaków: ufologów, paleoastronautów, wyznawców Reptilian. Wpadali na konferencje egzorcystów i druidów, przysypiali na wykładach bioenergoterapeutów i różdżkarzy. Zachłannie szukali kontaktów, wymieniali się wizytówkami, aby po powrocie do Langley zakładać teczki obiektom rokującym największe nadzieje i wszczynać procedury rekrutacyjne.

Przy jednej z podobnych okazji trafili na człowieka, który znał kiedyś kogoś, kto należał do Kościoła Ortegi.

— Facet był ponoć niesamowity. — Opowieść rozwijała się w rytm kolejnych butelek piwa, ochoczo stawianych przez duet Butler–Kashgoff. — Podobno potrafi robić różne dziwne rzeczy.

— Jakie rzeczy? — zapytał ostrożnie Kashgoff.

— Lewituje. Co prawda tylko na kilka centymetrów i bardzo krótko, ale zawsze to coś. Facet jest szukany listem gończym FBI za narkotyki i walenie w tyłek trzynastek.

— Musi być nasz — zarządził tego wieczoru Butler.

I dopiął swego.

Brandona Ortegę znaleźli w kiepskim motelu gdzieś przy podziurawionej drodze stanowej na południu kraju. Drzwi pokoju wyleciały z zawiasów pod uderzeniem ciężkiego buta. Guru sekty siedział w fotelu w samych majtkach i jadł pizzę z owocami morza, oglądając telewizję.

— Jak...? — zdążył jęknąć i po chwili leżał na podłodze z głową wtuloną w deski, jeden policjant klęczał mu na plecach, a drugi kajdankami skuwał nadgarstki.

Wtedy stało się coś dziwnego. Do hotelowego pokoju wszedł jeszcze ktoś, facet ubrany w popielaty garnitur.

— Już dobrze, dobrze, możecie sobie iść — powiedział do gliniarzy. — Mam sobie do pogadania z moim nowym przyjacielem. — Kucnął i położył dłoń na policzku byłego przywódcy sekty. — Tylko najpierw go rozkujcie.

Mundurowi wycofali się niechętnie, rzucając groźne spojrzenia spode łba, co stanowiło element inscenizacji. Cała scena została bowiem starannie wyreżyserowana, głównym scenarzystą był zaś Kashgoff.

— Myślę, że zrobimy wspólnie interes. — Psycholog pomógł Brandonowi wstać. — Przepraszam za najście, chcieliśmy rozegrać to w bardziej dyskretny sposób, ale chłopaki nie mogli usiedzieć na miejscu. Za długo cię szukali. Swoją drogą – świetna robota, przez tyle lat dawałeś im do wiwatu.

Brandon nieufnie obserwował rozmówcę.

— Czego pan ode mnie chce? — wyrzucił na krótkim oddechu.

— Masz na koncie sporo zarzutów związanych z prochami. Wydział narkotykowy już zaciera z radości ręce. To nie wszystko. Po rozpadzie Kościoła Brandona Ortegi znacznej liczbie twoich wyznawców udzieliliśmy intensywnej pomocy psychologicznej. Kiedy doszli do siebie i nabrali dystansu do sprawy, zgodnie złożyli doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Mamy opinie biegłych. Wierni zostali poddani praniu mózgow. Dekonstrukcja osobowości, znasz takie określenie? Byli zmuszani do zbiorowego seksu i zażywania narkotyków. Problem, że w sekcie kręciło się kilku niepełnoletnich, w tym jedna trzynastolatka. To dodatkowo pogarsza sprawę.

— Ile? — zapytał Brandon, a smutny facet w garniturze w mig pojął intencje pytania.

— To zależy... Jeśli trafisz na upierdliwego sędziego, może być naprawdę kiepsko. Konsultowałem się z najlepszymi specjalistami z Firmy i oni mówią, że najmniej dycha.

— Firmy?

Na twarzy Kashgoffa po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

— Ruscy w odpowiedzi na nasze pershingi zbroją swoje pociski balistyczne. Wkrótce zrobi się gorąco. Musimy uczynić wszystko, by skopać skurwielom tyłki.

I w ten właśnie sposób ukonstytuowała się Trójca Święta.

\* \* \*

Były chwile, kiedy Robert Kashgoff popadał w depresję i całymi dniami snuł się po laboratorium z minorowym wyrazem twarzy.

— Gdybym był naukowcem zatrudnionym na cywilnym uniwersytecie — marudził wtedy — i w ręce wpadłaby mi osoba pokroju Brandona Ortegi, moja kariera byłaby ustawiona do końca życia, pisałbym książki na jego temat, udzielał się w programach popularnonaukowych i wychowywał pokolenia doktorantów. A tutaj? Wszystko jest ściśle tajne, rzygać się chce.

Nie licząc tych przerywników, psycholog miał pełne ręce roboty. Dziś stali z Mayerem za weneckim lustrem, obserwując trójkę psychotroników — jak siedzą przy okrągłym stole, niedbale przerzucają strony w kolorowych czasopismach, dyskutują na błahe tematy, unikają patrzenia sobie w oczy.

— Zdradzę ci największy sekret. — Robert pochylił się nad Hochbaumem. — Oni nie mają zielonego pojęcia, jaki los ich czeka. Kiedy już uda ci się opracować algorytm i będziemy potrafili wykorzystywać ich do zdalnego transferu danych, wiesz, co się z nimi stanie?

Mayer w mig pojął, do czego zmierza psycholog.

— Łódzie podwodne.

Rozmówca pokiwał ponuro głową.

— Przejebane. Nikomu bym tego nie życzył. Do końca życia siedzieć w stalowej puszce na dnie oceanu, całe dni zgadując kombinacje kart,

czekając na przełomowy moment, kiedy odbierzesz rozkaz nakazujący odpalenie atomówek. Brr. — Wzdrygnął się w nazbyt ostentacyjny sposób. — Masz pomysł, jak się do tego w ogóle zabrać?

Mayer pomysłu nie miał, co w żaden sposób go nie demotyowało. Wręcz przeciwnie, zawsze pracował podobnie – mierząc się ze skomplikowanym zadaniem, zaczynał od oczywistości, sumował banały, pozwalał, by zaczęła działać intuicja.

Z Trójcą Świętą Mayer zapoznał się w marcu. Po kilku eksperymentalnych sesjach zrozumiał, że kluczem do poznania tajemnicy i wypracowania rozwiązania oczekiwanego przez Butlera są liczby losowe oraz ich natura.

W pierwszych rundach testów eksperymentator wybierał karty z puli w losowy sposób, a każdy z psychotroników, odseparowany w zamkniętym pokoju i zsynchronizowany czasowo z eksperymentatorem, zgadywał wybór. Dla celów porównawczych procedurze towarzyszyła grupa kontrolna – zbieranina przypadkowych funkcjonariuszy CIA, którzy zostali zgarnięci z korytarza i siedzieli w pedantycznie wyprasowanych koszulach i starannie zawiązanych krawatach, z kamiennymi twarzami, tracąc cenny czas agencji. Zamiast pisać raporty na temat sytuacji w bloku wschodnim i politycznej stabilności Iranu, recytowali niekończące się litanie:

- Szóstka pik.
- Dziewiątka kier.
- Walet trefl.
- Dziesiątka pik.
- Dwójka karo.
- As kier.

Wyniki były spójne z wcześniejszymi próbami na łodziach podwodnych, przeprowadzonymi, zanim Mayer dołączył do projektu. Używano standardowej talii kart, od dwójek, bez jokerów, co dawało w sumie pięćdziesiąt dwie możliwości. A zatem, gdyby wyniki rozkładały się całkowicie losowo, przy dostatecznie dużej próbie liczba trafień oscyłowałaby wokół niecałych dwóch celnych strzałów na sto ( $1/52 = 1,9\%$ ). I takie właśnie wyniki dostawali „zwykli” agenci. Przy założonym poziomie ufności dziewięćdziesiąt pięć procent i próbie  $N=100$  obserwacji, niecałe pięć

procent trafień było już wynikiem istotnym statystycznie. I takie właśnie wartości typowania regularnie osiągnęli psychotronicy z Trójcy Świętej: Sarah i Kevin w okolicach siedmiu–ośmiu procent, Brandon zaś zawsze nieco lepiej od nich, bliżej dziesięciu procent.

Bliżej dziesięciu. To nadal oznaczało dziewięćdziesiąt procent strzałów spudłowanych. Mayer po splywie pierwszych danych odetchnął z ulgą. Takie wyniki wyglądały bardzo „naukowo” i nie burzyły jego racjonalnego obrazu świata. Wszystko wskazywało, że podstawową umiejętnością Trójcy Świętej było zaburzanie rachunku prawdopodobieństwa. On zaś musiał zbudować system przekazywania informacji oparty na systematyce zaburzeń.

W kolejnym kroku zmodyfikował podejście i zamiast pseudolosowych kart wyciąganych z talii, eksperymentator sam wskazywał figury. Jeśli system miał służyć komunikowaniu, wówczas należało wykluczyć czynnik losowy na wejściu. Co się okazało?

Z punktu widzenia osób odgadujących karty, odejście od procesu losowego nie powinno zmienić trafności zgadywania. I tak się stało w grupie kontrolnej, gdzie wyniki w dalszym ciągu oscylowały wokół dwóch procent. Tymczasem wśród psychotroników wydarzyło się coś niewytłumaczalnego – wyniki ich predykcji spadły o około jeden–dwa punkty procentowe i w przypadku wszystkich, z wyjątkiem Brandona, dosłownie ślizgały się po progu statystycznej istotności.

W celu otrzymania wiarygodniejszych danych Mayer poświęcił cały dzień na bardziej rozbudowany eksperyment, który polegał na zgadywaniu wyników pięciuset losowań. Na tak wysokiej próbie potrzeba było mniejszej różnicy w porównaniu do wyników w grupie kontrolnej, aby uznać rezultat za statystycznie istotny. I ten test pokazał, że także przy nielosowym procesie wyboru Trójca Święta radzi sobie istotnie lepiej niż osoby pozbawione zdolności psychotronicznych.

Wówczas Mayera olśniło. Liczyła się nie tylko trafność predykcji, ale również ich rozkład. Postanowił zrezygnować z kart i przeszedł na zgadywanie liczb z zakresu od jednego do stu. Kupił wówczas do domu swój pierwszy komputer, ZX Spectrum+, nauczył się programować i przez kilka wieczorów napisał program do generowania ciągów liczb pseudolosowych. Następnie przeprowadził dwa eksperymenty, każdy na próbie  $N=150$  obserwacji.

W jednym Trójca Święta zgadywała liczby wygenerowane przez program komputerowy, a w drugim wskazywane przez eksperymentatora, posługującego się precyzyjnie zdefiniowanym algorytmem wyboru. Wyniki okazały się spójne z wcześniejszymi testami karcianymi – psychotronicy mieli wyższą trafność, pracując z liczbami losowymi. Do najbardziej wstrząsających wniosków doprowadziła jednak analiza rozkładu liczb generowanych przez psychotroników. Okazało się, że w przypadku każdej z osób ciąg zgadywany „w odpowiedzi” na komputer miał o wiele bardziej losowy charakter niż ciąg zgadywany „w odpowiedzi” na liczby wybierane przez człowieka. Innymi słowy, rozkład odpowiedzi psychotroników naśladował rozkład rzeczywisty, choć oni sami zupełnie nie zdawali sobie z tego sprawy.

A jeśli to on popełnił błąd i prosty program napisany w BASIC-u wcale nie generował wystarczająco losowych liczb? Mayer powtórzył kilkakrotnie eksperyment, posiłkując się publikacją *A million random digits*, wydaną przez RAND Corporation. Wyniki były identyczne. Rozkłady generowane przez Trójcę Świętą pozostawały niemal idealnie losowe. Mayer spędził wiele dni, analizując ciągi liczb wymyślone przez psychotroników, sprawdzając dystrybucje pojedynczych cyfr, kombinacje dwójek, trójek i tak dalej.

Być może to jest właśnie ta nasza szukana odpowiedź, myślał intensywnie przed zaśnięciem. W sytuacji braku rozkazu wojskowi „nadają” liczby losowe. Kiedy zapadnie decyzja o atomowej apokalipsie, wystarczy posadzić człowieka, który złamie losowość wyboru i analogiczna zmiana zajdzie w rozkładach generowanych przez psychotroników na łodziach podwodnych. W ten sposób przesłany zostanie bit informacji. Procedurę można powtarzać dalej, aby przekazać całą sekwencję sygnałów, którą w następnym kroku będzie można odszyfrować za pomocą standardowej książki kodowej przechowywanej na pokładzie.

Podczas jednego z wieczornych wypadów na piwo podzielił się swoimi przemyśleniami z Kashgoffem. Psycholog myślał bardzo długo, po czym pokręcił głową.

— Raczej nie przejdzie — skwitował. — Nie znam się na telekomunikacji, ale z tego, co mówił Butler, Marynarka używa też fal radiowych o ekstremalnie niskiej częstotliwości, które dają przepustowość bita na minutę. To znacznie więcej niż w twojej propozycji. Zauważ, z ilu



obserwacji musiałaby się składać jedna sekwencja, by mówić o statystycznej istotności. Wykonanie testu na rozkład chwilę trwa. A w każdym teście prześlesz tylko jeden bit. Zero lub jeden. Coś albo nic. To za wolno.

— Ale przynajmniej nikt nie zdoła przechwycić transmisji.

— Nikt? A jeśli Ruscy mają swoich psychotroników, skoszarowanych w jakimś podmoskiewskim ośrodku? Może są lepsi od naszych? Skąd możesz wiedzieć?

# PIĘĆ

## TOMASZ/ WARSZAWA

Tomasz Szymkowiak stał przed lustrem w łazience i rozmyślał o umieraniu. Minał kolejny dzień – pierwszy dzień nowej rzeczywistości, świata bez Alicji. Dzień brodzenia po kolana w urzędniczo-biurokratycznym bagnie.

Po pierwsze, telefon do szefa, informacja, że w poniedziałek nie stawi się w pracy, nie potrafi powiedzieć, jak długo to wszystko zajmie. Po drugiej stronie słuchawki pełne zrozumienie i zadziwiający poziom empatii.

— Jasne, Tomek, jasne. To takie... straszne, że nie wiem, co powiedzieć. Normalnie brakuje mi słów.

Pierwszy raz w trakcie ich piętnastoletniej znajomości dyrektor zwrócił się do niego po imieniu.

Kolejne godziny wypełniły spotkania z policjantami, niekończące się zeznania, opowiadanie cały czas tego samego, zmudne odtwarzanie sekwencji zdarzeń, dociekanie, co się zdarzyło w której minucie, podpisywanie kolejnych papierków. Większość czasu spędził w towarzystwie Ewy oraz opiekunki, czasem jednak ich rozdzielano i wtedy składali zeznania pojedynczo. Byli wykończeni. Tomasz patrzył na Ewę i raz nawet się do niej przytulił. Dopiero teraz zrobiło mu się jej po ludzku żal. Przecież szykował kolejny cios. Nie będzie tego robił teraz, ma na to mnóstwo czasu, niech Ada skończy studia, wówczas coś wymyśli.

Cały rok.

Zjedli coś na mieście i pod wieczór wrócili do domu. Tomasz ściągnął z siebie przepoconą koszulę i wszedł pod prysznic. Stał później mokry przed lustrem. Patrzył na swoje odbicie, kropelki wody na fałdach tłuszczu na brzuchu, czerwone mozaiki popękanych naczyń krwionośnych na powierzchni gałki ocznej, policzki pokryte szczeciną dwudniowego zarostu i siwe pasemka na gęstej niegdyś czuprynie. Starzał się. Umierał. Miał wrażenie, że czas gna

do przodu, a on siedzi w wagonie, chciałby pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa, ale nie potrafi się ruszyć. Dlaczego cały czas czuł się jak pacjent na kuracji psychotropami? Jakby świat przeciekał mu pomiędzy palcami, wymykał się poznaniu, podczas gdy on stoi z boku, uczestniczy w zdarzeniach jedynie jako obserwator i ma męczące wrażenie zupełnej nierzeczywistości, sennego rozmęłniania konturów, blaknięcia kolorów. Dlaczego nie doświadczał wszystkiego z podobną intensywnością jak przed laty?

Tkwił przed lustrem i mrużył oczy. Kim jest? Czy zna siebie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, czego może się po sobie spodziewać? Czy zna tak Ewę, Adriannę, Alicję? Ile jest w nim niedookreśloności, niepewności, stanów swobody? Kiedy wszechświat zginie w ogniu supernowych, kosmiczne promieniowanie alfa rozbije wiązania pomiędzy cząsteczkami i nowotwory wybiją życie oparte na węglu – czy dopiero wtedy, postawiony przed granicą ostateczną, pozna samego siebie? Czy to jest w ogóle możliwe?

Wyszedł z łazienki. Drogę zastąpiła mu Ewa. Wpadł w jej pułapkę – wąski korytarz pomiędzy salonem a pokojem, na ścianie lustro, w lustrze jego zastygła twarz. Niedookreślony grymas, coś pomiędzy znudzeniem a obrzydzeniem. Ewa chciała pogadać.

— Tylko chwila, nie dłużej. — Garbiła się, patrząc na puszystą wykładzinę, w której włosiu chowały się ich bosa stopy. — Chodźmy do mnie — zaproponowała.

Pokój tonął w bibelotach, w milionie niepotrzebnych rzeczy, znienawidzonych przez Tomasza i wzmacniających niechęć do żony. Na korkowej tablicy wisiały kolorowe kartki z wakacji sprzed dekady. Gorące słońce Chorwacji, rozpalone do białości piaski Egiptu, rajskie plaże Dominikany – wszystkie lokalizacje pochodziły z równoległego wszechświata i przez kilka ostatnich lat Tomasz zapomniał, że takie miejsca istnieją: pełne roześmianych ludzi wyciętych żywcem z katalogu TUI, pięknych kobiet w bikini, opiekuńczych mężczyzn i beztroskich dzieci. Ale wkrótce sobie przypomni.

Ewa o wszystkim wiedziała.

O Adriannie, kawalerce na Mokotowie, comiesięcznym przelewie za czynsz. Mówiła spokojnie, krótkimi zdaniami. Precyzyjnie przekazywała

informacje, bez zbędnych ozdobników, przerośni i poetyckich porównań. Oddychała szybko, coraz szybciej. Męczyła się. Jakby powietrze wokół stało w płomieniach. Każdy oddech parzył tchawicę, popielił włoski w nosie, chlastał język jak ostrze żyłki. Tomasz chciał zapytać, wyrzyszczyć wątpliwości, skąd, jak długo wiedziała? Dlaczego mówi mu o tym dopiero teraz? Nie wydobył z siebie ani słowa.

Ewa założyła nogę na nogę, wygładziła krawędź spódnicy, strzepnęła wymaginowany paproch i mówiła dalej. Pierwsze wątpliwości pojawiły się rok temu, gdy wyciągała ze skrzynki pocztę. Wśród tony ulotek, przesyłek bezadresowych, które machinalnie otwierała i czytała – zaproszenia na prezentację ekologicznych kołder, wycieczkę do Lichenia, pokaz unikatowego kompletu garnków – niechcący otworzyła kopertę zaadresowaną do „Szanownego Pana, Tomasza Szymkowiaka”. Nadawcą listu była agencja nieruchomości DOM BROKER (sprzedaż–wynajem), która dziękowała panu Szymkowiakowi, że szukając mieszkania, wybrał właśnie ich. W związku z tym miał niepowtarzalną możliwość wzięcia udziału w niesamowitej promocji, w której główną nagrodą była wycieczka dwóch osób do Tunezji do pięciogwiazdkowego hotelu *all inclusive*. Ewa z propozycji nie skorzystała, ale zaczęła się zastanawiać.

O sprawie przypomniała sobie sześć miesięcy później, kiedy Karolina, koleżanka Ewy z biura, przeprowadziła się do nowego zamkniętego osiedla apartamentowców na Mokotowie i dwukrotnie w ciągu pierwszego miesiąca natknęła się tam na Tomasza. Ten natomiast nie spostrzegł jej ani razu, gdy zaaferowany, parkował samochód na miejscu dla inwalidy, rozluźniał krawat i rozpiął górny guzik błękitnej koszuli albo gdy przemykał do taksówki, ostatni raz zaciągając się papierosem, którego wrzucał potem do studzienki kanalizacyjnej. Karolina widziała wszystko ze swojego pierwszego piętra, niewidzialna za zasuniętą firanką, wtopiona w kuchenną ciemność.

Dlaczego Tomasz znalazł się w tym miejscu? Czego tam szukał? Pił wódkę z kolegami? Chodził na dziwki? Prywatne śledztwo Karoliny wykazało, że ani w bloku, ani na całym osiedlu nie było żadnej agencji towarzyskiej, więc zapewniła Ewę, że może spać spokojnie. Jednak Ewa spokojnie nie spała. Miała odkrycie na końcu myśli, koniuszku języka. Brakowało impulsu, który połączyłby wszystko w spójną całość.

Impuls pojawił się w pierwszych dniach lutego, w piątkowe popołudnie, kiedy z brunatnych kłębow chmur siąpiła marznąca mżawka, a na ulicach zalegały zasy błota. Ewa wyłączyła komputer i pakowała torebkę – chciała się urwać z biura godzinę wcześniej niż zwykle. Karolina plotkowała przez telefon z koleżanką. Opowiadała o nowym mieszkaniu. Deweloper wyprzedał wszystko na pniu, taka świetna lokalizacja, blisko metra, przy Polu Mokotowskim. Kupowali w stanie surowym, ale już na rynku wtórnym, facet zarobił na nich siedemdziesiąt tysięcy, ale co mieli zrobić? Zakochali się w mieszkaniu, kiedy tylko do niego weszli. Indywidualnie? Nie, przez pośrednika, DOM BROKER. Słyszac nazwę, Ewa zatrzymała się w pół kroku. Zaczekała, aż Karolina skończy rozmawiać. Czy mogła powtórzyć, jak nazywa się ich pośrednik od nieruchomości?

W mózgu otworzyła się odpowiednia zapadka, wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce i Ewa nie miała już wątpliwości, jaką grę rozgrywa jej mąż. „Szukam sponsora” – wstukała w Google tego samego wieczoru; klikała w setki linków, przerzucała strony, porównując ceny, zdjęcia i zakresy świadczonych usług. Jak się wtedy czuła? Zapytała Tomasza, czy chce wiedzieć, jak się wtedy czuła? Niech się nie martwi, w sądzie będzie płakać, zanosić się histerycznym szlochom zdradzanej żony.

Ale teraz, specjalnie dla niego, powie prawdę.

Odczuła wtedy ulgę.

Kiedy zamknęła przeglądarkę, zacisnęła powieki – pod którymi wciąż wirowały nagie biusty, wypięte pośladki, zgrabne nogi w pończochach i butach na wysokim obcasie, czarne paski zasłaniające oczy – była ze wszystkim pogodzona. Kamień spadł jej z serca. W dole brzucha latały motylki, jak przed pierwszą randką.

Już wiedziała: że wkrótce zacznie nowe życie, życie bez Tomasza.

Nie wściekała się, nie czuła gniewu. Ich związek był fikcją od momentu, kiedy dowiedzieli się o chorobie córki. Do tej pory Ewa czuła się współwinna za rozpad małżeństwa. Z neurotycznym uporem i satysfakcją masochisty szukała winy w sobie, analizowała własne zachowanie i pytała się wciąż, co zrobiła źle. A teraz? Cudowne odwrócenie perspektywy! Tomasz ładuje się w monstualne świństwo. Wszystkie grzeszki Ewy błędną przy gargantuicznym grzechu jej męża. Kto jest winien tego, co się stało?

Przynajmniej wysoki sąd nie powinien mieć wątpliwości.

Zapisała punkt po punkcie wszystkie te rzeczy, o których nie mogła zapomnieć podczas najbliższych miesięcy. Po pierwsze: kolekcja niezbitych faktów. Uruchomiła ponownie komputer i wstukała w Google frazę „prywatny detektyw”, którą po chwili namysłu zmieniła na: „prywatny detektyw mąż mnie zdradza Warszawa”. Przepisała do komórki kilka losowo wybranych telefonów.

Drugim, o wiele trudniejszym zagadnieniem był wspólny majątek państwa Szymkowiaków, a dokładniej pieniądze na rachunku bankowym męża. Od zawsze używali oddzielnych kont, ale w dawnych, dobrych, budapeszteńskich czasach nie zwracali uwagi na podobne drobnostki; nikt się nie zastanawiał, kto zapłaci za zakupy w hipermarkecie, tankowanie samochodu czy sobotni obiad w restauracji. Kiedy na świat przyszła Alicja, wrócili do Polski, a małżeństwo zaczęło się psuć, Ewa straciła kontrolę nad przepływami gotówki na koncie Tomasza. Obydwoje zarabiali bardzo dobrze – Tomasz pracował jako architekt w jednej z bardziej wziętych warszawskich pracowni, Ewa, z wykształcenia psycholog, zajmowała się rekrutacjami i szkoleniami w dużym międzynarodowym koncernie spożywczym. Pieniądze w ich związku nigdy nie stanowiły problemu. Do wczoraj. Jeśli jej rzeczywistość gnała na czołowe zderzenie z rozwodem, lepiej było się zatroszczyć o oszczędności, zanim mąż zdąży je wyprowadzić na zagraniczne, zakamuflowane rachunki.

Śmiesznie prosta sprawa. Minęły dwa dni, Ewa urwała się z pracy wcześniej i weszła do mieszkania o piętnastej. Rzuciła płaszcz na komodę, nie przebierając się z eleganckiej garsonki ruszyła prosto do pokoju Tomasza.

Pokój Tomasza – jaskinia smoka, kryjówka skrytobójcy, piętnaście eksterytorialnych metrów, wyciętych z mieszkania państwa Szymkowiaków. Przed drzwiami powinien rezydować czujny celnik, wyłapujący z tłumu osoby podróżujące w celach innych niż turystyczne, wbijający do paszportów wizy z podobizną uśmiechniętego Tomasza. Ewa rzadko tam wchodziła, denerwował ją wieczny bałagan, porozrzucane na podłodze skarpetki, T-shirty i spodnie od dresu. Uważała, że w pokoju męża śmierdzi, tak jak śmierdzi w każdym pokoju zamieszkanym wyłącznie przez mężczyznę. Tamtego dnia uchyliła drzwi, po raz ostatni odetchnęła powietrzem korytarza i weszła do środka.

Usiadła za biurkiem i otwierała po kolei szuflady. Nie znalazła w nich nic ciekawego, nic, czego Tomasz powinien się wstydzić – żadnych świerszczyków, zbiorczych opakowań prezerwatyw, ulotek agencji towarzyskich. Jedyne stare gazety branżowe, pogięte arkusze papieru milimetrowego, niepiszące długopisy i połamane ołówki. To, czego szukała, znalazła na samym dole. Bankowy token i złożona na cztery kartka papieru w kratkę, na której Tomasz starannym charakterem pisma wykaligrafował PIN-y i loginy do wszystkich rachunków bieżących i oszczędnościowych, funduszy inwestycyjnych, polis ubezpieczeniowych i lokat.

Ewa rozłożyła na biurku służbowy laptop. Weszła na stronę logowania banku, przepisała wyświetlany na tokenie ciąg cyfr i wybrała „Wejście do systemu transakcyjnego”, a potem przejrzała wszystkie zakładki. Z zacięciem oglądała historię transakcji na koncie, co dostarczyło jej dodatkowych informacji na temat relacji Tomasza z kochanką.

Wszystkie czynności zajęły jej nie więcej niż pół godziny. Pieczołowicie usunęła ślady zbrodni, schowała token do szuflady, przywróciła pierwotną biurkową konfigurację przeżartych przez pleśń kubków po kawie. Potem wzięła prysznic, a następnie, owinięta samym ręcznikiem (po co pamięta te wszystkie szczegóły!), zaczęła wybierać na komórce numery do prywatnych detektywów specjalizujących się w sprawach rozwodowych. Już z pierwszym umówiła się na lunch na placu Konstytucji.

Wyszła w trakcie pracy, zdecydowała się na Szwejka, wybrali stolik na piętrze, oddalony od gwaru głównej sali. Facet – nie pamięta teraz nazwiska – miał koło pięćdziesiątki i wyglądał jak były ubek. W pierwszym kontakcie szarmancki, cmoknął Ewę w dłoń, pachniał drogimi perfumami. W miarę jak brnęła w tłumaczenia, coraz częściej się uśmiechał. Półgębkiem, nigdy prosto w twarz, jakby naśmiewał się z jej problemów, szydził i drwił. Podziękowała mu za poświęcony czas jeszcze przed uregulowaniem rachunku.

Spotykała się z kolejnymi. Siadywała przy kawiarnianym stoliku i czekała na zbawcę, który nie będzie byłym policjantem z nierozwiązanym problemem alkoholowym, nieobliczalnym karkiem po amfetaminie, ponurym poetą w garniturze śmierzącym potem. Czekala na empatycznego faceta, który zrozumie ją jako kobietę, podejdzie do sprawy delikatnie, uszanuje jej ból. Wyszło za piątym razem.

Detektyw nazywał się Andrzej Bajbak, miał czterdzieści kilka lat i wymęczoną, poorly bruźdami twarz. Nosił się skromnie, wytarte na kolanach dzinsy i sztruksowa marynarka z łatami na łokciach.

— Doskonale panią rozumiem — powiedział detektyw Bajbak. — Mam za sobą podobne piekło. Żona uciekła z kumplem z czasu studiów. Nienawidzę spraw rozwodowych. Często nie potrafię patrzeć klientom w oczy. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

— Potrzebuję dowodów. Filmy, zdjęcia, nagrania... — mówiła, a mężczyzna wyrozumiale kiwał głową. Ewa uznała, że nie mogła lepiej trafić. Detektyw od razu zabrał się do działania.

— Banalnie prosta sprawa, chciałbym zajmować się tylko takimi przypadkami — podsumował dwa tygodnie później, kładąc na kawiarnianym stoliku wypchaną fotografią kopertę. — Właśnie to najbardziej lubię w zawodzie detektywa. Poznanie innego człowieka. Od pani miałem jego zdjęcie, podstawowe informacje, gdzie pracuje, jakim samochodem jeździ, takie tam. Tyle wystarczy: to jak klucz do cudzego wszechświata. Pierwszego dnia zacząłem się pod biurkiem. Spostrzegłem pani męża, jak wychodzi z kolegami na lunch, idzie do małej tajskiej restauracji, niby w grupie, ale wzrok ma nieobecny, śmieje się grzecznościowo, reagując na dowcipy opowiadane przez biurowych znajomych. Mogłem wyłącznie snuć domysły. Czy kumple wiedzą o kochance? Czy pojedzie do niej dzisiaj? A może jutro? Czy zwykle jeździ po pracy, czy czasami decyduje się na wizytę w porze lunchu? Z czasem z rozsypanych cegiełek zbudowałem całościowy obraz. To fascynujące. Od hipotez do faktów. Po dwóch tygodniach wiem o pani mężu i jego kochance wszystko. Poznałem jego PRAWDZIWE oblicze, a nie to, które skonstruował na potrzeby domowego ogniska, maskę, którą zakładał przed panią.

— Proszę opowiedzieć.

— To będzie bolało.

Ewa machnęła dłonią.

— Niech pan mówi. Zniosłam wiele, zniosę i to. Muszę poznać prawdę o tym skurwysynu.

Detektyw zaczął mówić.



Tomasz Szymkowiak z niczym się nie kryje: odwiedza kochankę dwa razy w tygodniu, zwykle we wtorki i piątki. Wychodzi wcześniej z pracy i jedzie na Mokotów, zawsze wybiera tę samą trasę, przez Wołoską. Korzysta z tego samego miejsca parkingowego pod blokiem, kłania się portierowi na bramce i znika za kratą furtki zamkniętego osiedla. Bajbak rozmawiał krótko z ochroniarzem, wcisnął w łapę stowę i ten nie dość, że wpuścił go do wnętrza strzeżonej enklawy, ale podał również dokładny adres osoby, do której przychodzi Tomasz. Detektyw, przebrany w roboczy strój pracownika firmy telekomunikacyjnej, usadowił się przy skrzynce z kablówką, rozłożył przygotowany zestaw narzędzi i czekał.

Czekał do godziny dwudziestej czterdzieści pięć, a wtedy zaszumiała winda i w rozsuniętych drzwiach pojawiła się głowa rodziny Szymkowiaków. Tomasz szedł dziarskim krokiem, pogwizdywał, poprawiał krawat, drugą ręką drapał się po głowie. Nie obdarzył Bajbaka choćby niedbałym spojrzeniem. Pora działać. Detektyw złożył skrzynkę z narzędziami i przywołał windę. Wjechał na czwarte piętro i zatrzymał się pod drzwiami mieszkania numer trzystaście. Nacisnął dzwonek.

— Z kablówki — krzyknął w odpowiedzi na stłumione „Kto tam?” zza drugiej strony pancernych drzwi.

Dlaczego Bajbak zdecydował się wykonać ryzykowny ruch? Przecież dysponował już materiałem dowodowym wystarczającym, by Ewa zaciągnęła męża przed sąd. Wiedział z kim, gdzie, jak często.

A jednak ta wiedza mu nie wystarczała; detektyw pragnął wiedzieć więcej. Zamierzał poznać kobietę, dla której Szymkowiak zdecydował się rozpiardolić małżeńskie pożycie; planował stanąć z nią twarzą w twarz, spojrzeć w oczy.

Dziewczyna miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Wyglądała dobrotliwie i u czterdziestoczteroletniego Bajbaka, który nigdy nie doczekał się potomstwa, budziła ojcowskie instynkty. Był zaskoczony. Spodziewał się zobaczyć wysoką piękność w latynoskim typie, na szpilkach i w jedwabnym szlafroku rozchylonym na silikonowych cyckach. Nic z tych rzeczy. Stała przed nim najzwyczajniejsza w świecie studentka, za którą nie obejrzałby się w tramwaju. W szarych dresach, kłapkach założonych na zielone skarpetki i powyciąganym T-shircie.

— Zgłaszała pani problemy z telefonem? — zapytał.

— Nawet nie mam telefonu stacjonarnego — odpowiedziała kochanka Tomasza Szymkowiaka.

— Musieli pomylić numer w biurze. Zadzwoń do nich i wyjaśnij sprawę. Przepraszam za późne najście.

— Nie ma sprawy. — Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało i zamknęła drzwi.

Życie nie przestaje zaskakiwać, myślał detektyw, dźwigając w dół schodów skrzynkę z narzędziami. Popatrzcie na tego faceta: nieźle mu się powodzi w robocie, nie przesiaduje po godzinach, zarabia kupę szmalu, ma wypasione mieszkanie w apartamentowcu. I dlaczego taki ktoś, wbrew zdrowemu rozsądkowi i elementarnej logice, miesiąc w miesiąc pozbywa się całkiem konkretnej gotówki, finansując skazany na porażkę związek z... czymś takim? Oto prawdziwa zagadka wszechświata, większa niż wszystkie boskie cząstki, za którymi fizycy uganiają się w akceleratorach, marnotrawiąc pieniądze podatników.

Następnego dnia detektyw ponownie przebrał się w strój roboczy pracownika telekomunikacji, wdrapał się na drugie piętro sąsiedniego bloku i tam rozłożył skrzynkę z narzędziami. Tym razem ukrywał w niej lustrzanekę cyfrową Canon z teleobiektywem. Nie czekał długo, dziewczyna pojawiła się po czterdziestu minutach na klatce schodowej. Spieszyła się na uczelnię, przyciskała do boku dużą brązową torbę wypchaną książkami. Miała zaaferowaną minę, może pisała dziś ważne kolokwium? Bajbak strzelił kilka fotek i zrzucił z siebie ciuchy robotnika. Miał szczęście. Dopadł dziewczynę na przystanku, czekała na autobus. Wskoczył za nią w ostatniej chwili, tylnymi drzwiami. Wysiadła na skrzyżowaniu Niepodległości i Madalińskiego, poszła na uczelnię. Kręcił się w pobliżu SGH cały dzień. Widział, jak o czternastej wychodzi z gmachu głównego w otoczeniu koleżanek, roześmiana, jak idzie do pobliskiej włoskiej restauracji i zamawia sałatkę z grillowaną pierśią kurczaka, jak potem rusza na zakupy do Galerii Mokotów, gdzie przepuszcza na ciuchy forszę zarobioną dawaniem dupy czterdziestoletniemu frustratowi. Mnóstwo zdjęć zrobił później mikroskopijnym kompaktem Olympusa, tak małym, że dało się go ukryć w dłoni.

Ewa miała te wszystkie zdjęcia, wciąż w zaklejonej kopercie, bo nigdy nie odważyła się spojrzeć dziewczynie w oczy, nawet na fotografii.

— Nie zrozum mnie źle — ciągnęła Ewa, a Tomasz miał wrażenie, że wszystkie durnostojki i bibeloty w pokoju żony stały się jego wrogami, że każdy porcelanowy kotek łypie na niego złowrogim spojrzeniem, a pluszowa małpka kupiona w sklepie z pamiątkami na Gibraltarze za moment rzuci mu się na twarz. — Ja wcale nie zamierzam cię błagać, żebyś do mnie wrócił. Nie będę płakać i zapewniać cię, że zawsze cię kochałam. Chcę tylko wiedzieć: dlaczego? Przez tyle lat byliśmy razem i myślałam, że poznałam cię dokładnie, jak własną kieszeń. Myliłam się. Nie znam cię nic a nic. Nie zawsze byłeś wierny, ale pal ichto przelotne biurowe romansiki i numerki na służbowych wyjazdach. Co daje ci ta zdzira, czego nie mogę dać ci ja? To banał, wiem. Ale: dlaczego właśnie ona?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego? – Tomasz czuł uderzenia serca w uścisku klatki piersiowej, *tup, tup*, biło coraz szybciej. Nadciągał gigantyczny gniew, potężny wkurw, który zdmuchnie z powierzchni ziemi stary świat. Paradoksalnie złość nie była skierowana w stronę Ewy, ale wymierzona w człowieka, którego nigdy nie widział na oczy: Andrzeja Bajbaka. Jak on śmiał! Ten kutas przez jeden dzień zdążył dowiedzieć się na temat Adrianny więcej niż Tomasz przez dwa lata. Gdzie dokładnie studiuje, w jakich ciuchach chodzi na uczelnię, jak wyglądają jej koleżanki, co jada na obiad, gdzie robi zakupy... Jak do tego miała się wiedza Tomasza na temat gładkości wewnętrznej strony ud dziewczyny i małego znamienia pod lewą łopatką, precyzja kartografa odwzorowującego mapę płaskiego brzucha, każdego pieprzyka, przebarwienia skóry i niemal niezauważalnych białych śladów po dziecięcych bliznach? Kolekcja informacji skompletowanych przez Andrzeja Bajbaka i encyklopedyczne zacięcie Tomasza Szymkowiaka – stanowiły inne światy, uzupełniające się sposoby opisu tej samej osoby.

Był kompletnie zaskoczony; pomimo długiej, wypranej z emocji narracji Ewy, wciąż nie potrafił dojść do siebie – aż wreszcie wykrztusił głupie pytanie. Dlaczego czekała z tym tak długo? Przecież wie od zimy. Czy myślała, że w tym czasie się zmieni, zerwie z Adrianną?

Ewa znów go zaskoczyła.

— Czy mówi ci coś nazwisko Cichoński? Nie? To niedługo zaczniesz. To najlepszy mecenas w Warszawie, specjalizujący się w sprawach rozwodowych. Ma obłędne stawki za godzinę, a i tak cholernie trudno wpisać się w jego kalendarz. Czekałam cztery miesiące. Warto było. Puści cię

w skarpetkach, ani się obejrzyś. Lepiej od razu przeprowadź się ze swoją lafiryndą do zaszczanej kamienicy na Pradze, bo nie będzie was stać na mokotowski apartamentowiec. Chciałam jeszcze trochę poczekać, dwa–trzy tygodnie — mówiła Ewa, a na jej twarzy nie było emocji. Nie drżał żaden mięsień, nie mrugała nerwowo okiem, nie marszczyła czoła, nic. Maską o idealnie gładkich rysach, jak woskowy odlew twarzy dawnej Ewy. — ... ale sprawa z porwaniem Ali... Nie mogłam tego dłużej ciągnąć.

Dlaczego był zdziwiony? Przecież ten moment musiał wreszcie nadejść. Prędzej czy później Ewa musiała się dowiedzieć o Adriannie, a on podjął już decyzję o opuszczeniu żony. Ewa zareagowała nieźle, ale i tak nie wiedział, co o tym myśleć.

\* \* \*

Nie pamiętał, jak znalazł się w przedpokoju, chwycił marynarkę i w wewnętrznej kieszeni wymacał kluczyki do samochodu. Zjechał windą do parkingu podziemnego, a potem połknęła go nocna Warszawa, zaginął w labiryncie skrzyżowań, wielopoziomowych estakad; błądził bez celu po rondach, przeciskał się jednokierunkowymi uliczkami, pędził na złamanie karku trasami szybkiego ruchu. Po dwóch pustych godzinach podpiął komórkę do zestawu głośnomówiącego i wybrał numer Adrianny. Nie odbierała. Spróbował ponownie.

— Coś się stało? — usłyszał w końcu przestraszony głos dziewczyny. — Wiesz... nie mogę teraz rozmawiać. Jestem w...

— Ona o nas wie! Ta suka wszystko o nas wie! — krzyczał, zaciskając dłonie na kierownicy. — Wynajęła detektywa. Śledził cię! Chodził cały dzień za tobą. Na uczelni i w centrum handlowym.

— Przepraszam, naprawdę nie mogę teraz gadać. Oddzwonię później.

Rozłączyła się.

Zestaw głośnomówiący emitował irytujący dźwięk zawieszonoego połączenia, a Tomasz nie potrafił w to wszystko uwierzyć. Cały dzisiejszy wieczór był równie realny jak rwany nocny koszmar. Rozłączyła się. Czy istnieją sprawy ważniejsze niż to, z czym do niej zadzwonił? Niż ich wspólna przeszłość?

Zaparkował na chodniku, krzywo, na dwóch miejscach. Wytoczył się z samochodu. Skręcił w ciasną uliczkę, przed oczami zamajaczył kolorowy szyld nocnego klubu, wszedł do środka. Nie musiał niczego zamawiać – czuł się pijany od chwili, kiedy Adrianna przerwała połączenie – ale skinął na kelnera, decydując się na whisky z lodem. Dostał alkohol w pękatej szklance z grubego szkła. Dopiero wtedy rozejrzał się po lokalu. Wnętrze świeciło pustkami, ledwie dwa stoliki zajęte, męskie twarze zastygłe nad pokalami jasnego piwa, nieostre we wszechobecnej, tytoniowej mgle. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Byli sami – Tomasz Szymkowiak i jego problemy.

Dokonało się. Dwa i pół roku: trzydzieści miesięcy udawania, niedomówień i mistyfikacji, teatralnej gry przed żoną, budowania fałszywego wszechświata i zaludniania go fikcyjnymi postaciami, które przychodziły i odchodziły z pracy, świętowały awanse, obchodziły urodziny i imieniny, zapraszając Tomasza na organizowane z tej okazji imprezy.

Wyszło na to, że wcale nie znał swojej żony. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie to zabolało go najbardziej.

Zamówił kolejną whisky. I następną.

Potem po pijaku doczłapał do samochodu i usiadł za kierownicą. Mogli go zatrzymać, wylegitymować, kazać dmuchać w balonik. Mógł trafić na komisariat, wylądować w areszcie – może to nawet lepszy scenariusz? Mógłby się skupić na innych kłopotach i przestać myśleć o wcześniejszych wydarzeniach tego wieczoru. Niestety, jak na złość po opustoszałych ulicach nocnej Warszawy nie przejechał ani jeden radiowóz. Tomasz skręcał z głównej arterii w uliczkę osiedlową, kiedy zaświergotała komórka. Adrianna. Pierwszy raz ona dzwoniła do niego, a nie odwrotnie. Zjechał na pobocze.

— Wszystko u ciebie w porządku? — szeptała. — Przepraszam, wcześniej nie mogłam rozmawiać. Rodzice przyjechali do Warszawy, przy nich byłoby cholernie niezręcznie. Rozumiesz? Ale śpią u znajomych, teraz mogę gadać swobodnie. Żona o wszystkim wie? Co z tego? I tak miałeś jej powiedzieć. Prędzej czy później, co za różnica? Prosiłam o rok, planowałam skończyć studia. — Roześmiała się. — Ale teraz trzeba zmienić plany. Nie możemy żyć, jak żyliśmy do tej pory. Skończył się pewien etap, ale poradzimy sobie ze wszystkim.

— Mogę przyjechać? Choćby na chwilę? Chcę cię zobaczyć, dosłownie na kilka minut.

— Przyjeżdżaj.

Przestał się bać. Wszystko jest pod kontrolą, powtarzał. Idzie ku lepszemu, szeptem dodawał sobie otuchy.

Adrianna rzuciła mu się na szyję i cmoknęła w policzek. Zagotowała wodę na herbatę, zrobiła kanapkę z wędliną drobiową i plastrem sałaty. I dopiero wtedy wysłuchiwała całej historii: o nieuleczalnej chorobie Alicji i porwaniu dziewczynki w hipermarkecie w środku dnia.

— Nigdy mi nie powiedziałaś, że twoja córka ma autyzm. Znamy się już tyle, a ty nie wspomniałeś o tym ani razu. Czasami opowiadałeś o żonie: jak zrobiła operację plastyczną, poszła z koleżanką na koncert Stinga, jak się pokłóciliście o nic nieznaczącą drobnostkę. O córce nie słyszałam. Dlaczego?

Adrianna stała w półcieniu żyrandola kuchennego i słuchała spowiedzi kochanka; z każdym słowem wydawała się coraz bardziej zdziwiona.

— Kto porywa takie małe dzieci? W jakim celu? — Tomasz jakby nie usłyszał jej pytania.

— Pamiętasz tę dziewczynkę z Portugalii? Jak ona się nazywała? Madeleine, jakoś tak. To był gang pedofili.

— Czytałem, że ona umarła, miała wypadek i rodzice chcieli to zatuszować. Ukryli ciało i zgłosili porwanie. Postawili im zarzuty.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej o chorobie Alicji?

Właśnie, dlaczego? Tomasz nie miał gotowej odpowiedzi. Przez ostatnie dwa lata przychodził do Adrianny, by o Alicji zapomnieć, a nie rozdrapywać wciąż i wciąż tę samą ranę. Istotnie, wspominał o Ewie, ale córka stanowiła temat tabu. A teraz wyrzucił z siebie wszystko i pojawiła się monstrualna ulga. Siedział przy stole kuchennym, jadł kanapkę, szarpał zębami liście sałaty lodowej i czuł wewnętrzny spokój, harmonię, jakiej nigdy do tej pory w życiu nie doświadczył.

Wtedy zaczęła mówić Ada. Najpierw spokojnie i z opanowaniem, kontrolując wyraz twarzy, emocje i mowę ciała, ale z każdym wypowiedzianym słowem coraz mocniej się nakręcając, tracąc rezon, gubiąc wewnętrzną logikę wypowiedzi. Głęboko w środku, w gorących trzewiach

studentki marketingu i zarządzania coś się kotłowało, i to coś próbowało znaleźć ujście na zewnątrz, rozpychało się i krzychało.

Adrianna próbowała zrozumieć Tomasza. Do dzisiaj, do ostatniej rozmowy, kanapki z sałatą i zielonej herbaty – myślała, że zna swojego kochanka i przyszłego konkubenta, a może nawet męża. Tymczasem on wciąż ją zaskakiwał. Zbudował przed dziewczyną fałszywy obraz nieskomplikowanego faceta. Żona, córka, męczarnia małżeńskiego kieratu, od czasu do czasu każdy potrzebuje się rozerwać, a sporadyczne skoki w bok przestają wystarczać. Potrzebna jest stała partnerka, z którą można pogadać, wyzalić się, wypłakać w ramię. Druga żona, bo pierwsza okazała się suką, przynajmniej tak wynika z opowieści niewiernego męża. Żona nie rozumie Tomasza, jest złośliwa i małostkowa, a on wytrzymuje z nią trzynaście lat. Cierpiętnik. Tymczasem prawda wygląda inaczej.

Tomasz ucieka, ponieważ nie może znieść obojętnego wzroku chorej córki.

Do tej pory dziewczyna wierzyła w swoje umiejętności obserwatora, myślała, że zna się na ludziach. Kiedy zobaczyła Tomasza pierwszy raz, gdy wszedł do jej starego mieszkania, przestraszony, nieporadnie zgarbiony, Adrianna pomyślała – z niego musi być naprawdę dobry facet. On mnie nie skrzywdzi. Niczego nie powinnam się bać. I miała rację. Tomasz w życiu nie umiałby podnieść na nią ręki. Strasznie mu współczuła i dopiero teraz mogła zrozumieć go w pełni. Dopiero teraz poznała o nim prawdę.

— Skąd wiesz, że teraz znasz prawdę? Że nie ukrywam przed tobą jeszcze czegoś? — zapytał w końcu.

— Przecież nie ukrywasz.

— Sam nie mam takiej pewności.

Adrianna podeszła do niego i wtuliła się. Objął dziewczynę ramieniem. Czuł, jak szybko oddycha.

— Co teraz zamierzasz zrobić? — odezwała się.

— Potrzebuję trochę czasu. Muszę ogarnąć wszystkie sprawy. Pomyśleć.

— Co teraz będzie?

— Odezwę się najszybciej, jak będę mógł. Daj mi kilka dni, najdłużej tydzień. Zadzwoń.

Pocałował ją we włosy. Nie powiedziała nic, głośno westchnęła. Ścisnęła jego dłoń.

— Odezwę się. — Rozluźnił uścisk, ale nie potrafił oderwać od niej wzroku. Nie chciał stąd wychodzić, ale wiedział, że jeśli nie wyjdzie teraz, z każdą minutą będzie coraz trudniej. — Zadzwonię, kiedy będę znał prawdę. — Uśmiechnął się.

— Już ją znasz. — Twarz Adrianny nadal pozostawała pochmurna. — Powiedziałeś mi wszystko. Tu nie ma nic więcej do dodania.

— Wkrótce się przekonam.

Przystanął jeszcze i spojrzał na Adriannę – chciał ją taką zapamiętać, zatrzymać obraz w pamięci jak najdłużej. Potrzebował teraz symbolicznych gestów, ucieczki w jarmarczny sentymentalizm. Adę podobne gesty krępowały.

— Idź już — powiedziała i zamknęła drzwi.

Czy to była Adrianna prawdziwa? Czy nadal udawała kogoś innego; czy była wystarczająco inteligentna i wyrachowana, by udawać? Moment, kiedy dziewczyna zdejmie maskę utrzymanki, odklei z ust sztuczny uśmiech, kiedy zobaczy ją bez makijażu, zmęczoną po całym dniu żmudnych obowiązków w biurze, z podkrążonymi oczami po nieprzespanej nocy – czy wtedy zobaczy kogoś innego? Czy ten ktoś inny, „prawdziwa Adrianna”, w ogóle istnieje? A może stanowi jedynie przedmiot jego rojeń, niezaspokojonych fantazji; jest perfekcyjnym wyobrażeniem, projekcją sublimacyjną, rewersem zniechęconych cech charakteru żony, anty-Ewą?

Przekona się o tym już wkrótce.

Tylko skąd będzie wiedział, że osoba, którą odkryje lada moment, jest właśnie Adrianną prawdziwą? Że spod zdjętej maski nie wyłoni się kolejna maska?

Znikąd.

\* \* \*

Kiedy Tomasz wrócił do domu, nie zastał tam Ewy. Nie zostawiła nawet kartki. Zajrzał do szafy. Zabrała kilka ciuchów, może pojechała do Skierniewic, do rodziców, albo wybyła do którejś z tych psiapsiółek, których



mężowie są dyrektorami w międzynarodowych korporacjach, wiecznie w podróży służbowej, i zostawiają żony na łaskę losu w trzystumetrowych domach w Konstancinie. Sięgnął po komórkę, ale zrezygnował. Niech Ewa siedzi teraz w salonie, popija wino z wielkiego kielicha, patrzy w oczy przyjaciółce, a w tle leci relaksacyjna muzyka o dźwięku czystym jak prześcieradło w reklamie proszku do prania.

Poszedł do kuchni, znalazł w lodówce puszkę tyskiego i przelał piwo do szklanki. Od czego zacząć? Wyciągnął służbowy laptop, połączył się z internetem i wpisał hasło „prywatny detektyw Warszawa porwania”. Na ekranie wysypała się długa lista odnośników. Pomyślał o żonie, jak niedawno robiła to samo, siedząc ukradkiem przed komputerem, wpisując do wyszukiwarki niemal identyczną frazę. Ewa spotykała się z kolejnymi kandydatami na castingu. Czy on będzie na to wystarczająco cierpliwy? Pomyślał o Adriannie, wyspie na Pacyfiku, białym rumie i rozgwieżdżonym niebie.

Będzie.

Popijając piwo, klikał w kolejne linki, które prowadziły do najróżniejszych stron. Od radosnej amatorszczyzny w czystym HTML, pulsującej bannerami, krzyczącej jaskrawymi kolorami, po witryny nader profesjonalne, przypominające internetowe wizytówki wielkich korporacji. Było w czym wybierać. Wyrwał kartkę z kołonotatnika i przepisywał numery telefonów. Zacznie dzwonić z samego rana. Nie ma co liczyć na policję, trzeba przekazać sprawę w prywatne ręce.

Przed snem zaszedł do pustej sypialni córki.

Przebłysk *déjà vu*.

Kilka tygodni wcześniej stał w tym samym miejscu, w tej samej pozie. Zaglądał do pokoju, patrząc, co robi Alicja.

Dziewczynka kuciała w kącie, prawą ręką opierała się o ścianę i gładziła tapetę. Przesuwała dłonią w górę i w dół, w górę i w dół, głośno sapiąc, jak pies po wyczerpującym spacerze. Nie zauważyła go, pochłonięta ową dziwną czynnością. Tomasz już-już zbierał się, aby wejść do pokoju, położyć dłoń na głowie córki, zmierzić czuprynę dziewczynki, przytulić, może wziąć na ręce i zanieść do łóżka, przykryć kołdrą, dać buzi w czoło,

powiedzieć „dobranoc”. Nie. Zatrzymał się w pół kroku, dłoń znieruchomiła na klamce, oddech zamarł w połowie wdechu.

Zdawał sobie sprawę, że Alicja każdego dnia tonie coraz głębiej w oceanie autystycznych majaków, urojeń, niewłaściwych interpretacji sygnałów ze świata. Dziewczynka gubi drogę w labiryntach fantazji, kroczy na oślep rozwidlającymi się ścieżkami błędnych analiz rzeczywistości. Nie odczytuje elementarnych praw natury (przyczyna wyprzedza zawsze skutek), buduje dziwaczne teorie objaśniające zdarzenia wokół niej. Miesza doznania zmysłowe, wącha kolory, widzi muzykę, dotyka zapachy. Coraz trudniej ją zrozumieć, mówi własnym językiem. Tajemniczych słów jest coraz więcej, córeczka przenosi się do innego świata, rzeczywistości równoległej, krainy czarów. Autyzm otacza Alicję coraz ciaśniejszym murem. Codziennie rano siedzą razem przy kuchennym stole, jedzą śniadanie, córka patrzy mu w oczy – wpatruje się intensywnie, marszczy czoło, napina kark – ale Tomasz wie, że dziewczynka nie widzi w ojcu człowieka, dla niej Tomasz jest kuchennym sprzętem, niewiele różniącym się od lodówki, piekarnika czy zmywarki.

W głowie kołatała kolejna teoria naukowa.

— Autystycy nie dysponują teorią umysłu — objaśniał jeden z lekarzy, z którym konsultowali przypadek córki. — Państwo wiedzą, na czym polega teoria umysłu? To wiedza o tym, że inni ludzie reprezentują odmienne stany umysłowe niż mój własny. Patrzy pan na mnie i z mimiki mojej twarzy, mowy ciała, intonacji głosu odczytuje pan, co dzieje się w moim wnętrzu: czy jestem wypoczęty, zmęczony, czy coś mnie boli, denerwuję się, a może szydę z pana. Podstawowa umiejętność społeczna. Autystycy jej nie mają. Pana stan nie musi być tożsamy z moim stanem. Pana córka nie potrafi zrobić tego rozróżnienia, przerzucić mostu pomiędzy umysłem swoim a innych ludzi. Jej wiedza jest wiedzą wszystkich. Kiedy się śmieje, śmieje się cały świat. Kiedy płacze, łzy kapią z chmur. W ten sposób za pomocą najpopularniejszych testów diagnozuje się autyzm.

Alicja zaczęła biegać opuszkami palców po tapecie, badając fakturę materiału. Czynność pochłaniała ją bez reszty – nie słyszała skrzypnięcia zawiasów, trzasku klamki i ostrożnych kroków ojca, który zmieszany, wycofywał się w głąb ciemnego korytarza. Znów miał cykora, znowu nie odważył się podejść do córki, posadzić ją na kolanach, pocałować w policzek, przeczytać rozdział z dziecięcej książki, wymyślić na poczekaniu bajkę.

Strach narastał i każdego dnia Tomasz bał się coraz mocniej. Jeżeli to się utrzyma, za kilka miesięcy, może tygodni, nie będzie miał odwagi na nią spojrzeć.

Zdarzało mu się myśleć: mój Boże, dlaczego właśnie autyzm? Wolałby dziecko z zespołem Downa albo kogoś podobnego. Byleby widział, że go kocha, że widzi jego starania, że umie na nie odpowiedzieć choćby uśmiechem czy przytuleniem. Tymczasem dla Alicji tata mógłby nie istnieć. Zbyt słabo powiedziane! On praktycznie nie istniał. Jeśli z nim rozmawiała – robiła to tak, jak każdy normalny człowiek komunikuje się z automatycznym systemem obsługi głosowej na bankowej infolinii. Obcość i chłód, jakie były z jej oczu, mogłyby zmrozić całe miasto.

A teraz?

Teraz pokój Alicji stał pusty.

Tomasz posprzątał porozrzucone na podłodze klocki, uporządkował kartki z geometrycznymi malunkami. Ustawiając na półkach lalki i misie, unikał ich spojrzeń. Myślał o Alicji – co się z nią dzieje, gdzie teraz jest, czy dobrze ją traktują?

Zasnął szybko i spał bardzo dobrze. Twardo i bez snów, jak zawsze w sytuacjach stresowych. Tak samo spał tuż po porodzie i trzy dni potem, kiedy u Alicji zdiagnozowano problemy oddechowe. Nic mu się nie śniło nawet wtedy, kiedy psychiatra orzekł autyzm, a jego słowa brzmiały niczym wyrok śmierci bez prawa do apelacji. Tym razem podobnie: runął w przestrzeń snu i mózg nie produkował żadnych obrazów. Nie widział płaczącej Ewy, śmiertelnie bladej opiekunki ani Adrianny, jej smutnej miny i oczu za mgłą.

W śnie nie zobaczył nawet Alicji – niewinnej dziewczynki zagubionej w niezrozumiałym świecie.

# SZEŚĆ

## MAYER/ BUDAPESZT 1984

Na początku czerwca Mayer został wezwany do gabinetu Butlera. Funkcjonariusz agencji zaczął rozmowę od standardowej grzecznościowej pogawędki: jaka atmosfera, postępy w pracach, wyniki ostatnich eksperymentów. Jakby tego nie wiedział, choć w każdy poniedziałkowy rano na jego biurku lądował raport, który Mayer przygotowywał w pocie czoła przez weekend.

Butler go nie słuchał. Wyglądał przez okno, myślami był zupełnie gdzieś indziej.

— Góra chce czegoś namacalnego — przerwał Mayerowi w pół zdania.  
— Konkretów, nie pierdolenia. Mięsa zamiast niekończących się tabelk z cyframi na wydrukach perforowanych.

W takiej sytuacji bezpieczniej było zachować milczenie.

— Mówią, że w naszym departamencie jest kret — Butler ściszył głos.  
— Twierdzi tak nasz człowiek po drugiej stronie. — Uniósł wzrok ku niebu, jakby chodziło nie o żelazną kurtynę, ale drugą stronę doczesnego żywota.  
— Czy myślisz, że...

Sekretny plan Butlera, jeszcze niewypowiedziany, stał się nagle dla Mayera całkowicie przejrzysty – w całym swym absurdzie, naiwności i najzwyczajszej głupocie.

— Chcesz użyć Trójcy Świętej do namierzania szpiegów wewnątrz CIA?  
— wypalił bez zastanowienia.

Agent Butler skinął głową.

— Przecież wiesz, że to niemożliwe. Istotność statystyczna odchylenia od grupy kontrolnej ujawnia się dopiero na zbiorach liczących setki obserwacji...

— Nie pierdol mi o istotności statystycznej — Butler twardo wszedł mu w zdanie. Pierwszy raz w obecności Mayera pozwolił sobie na atak prawdziwej złości. Przygotuj na czwartek rano założenia eksperymentu. —

Przełożony nieco złagodniał i nawet jakby zrobiło mu się głupio. — Mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie.

W jaki sposób rozwiązać ten problem? Mayer wyciągnął z działu personalnego listę pracowników Biura Wywiadu i Operacji. Kilka tysięcy osób. Każdy pracownik miał przypisany sześciocyfrowy numer.

To było zadanie zupełnie inne niż wszystkie dotychczasowe. Po drugiej stronie nie krył się eksperymentator, który losował lub świadomie wybierał karty. Znajdował się tam żywy człowiek (jeżeli kret naprawdę istniał), nieświadomy tego, że jest namierzany w sposób pozazmysłowy.

Zadanie dla psychotroników Mayer zdefiniował najprościej, jak to możliwe, w sposób przypominający klasyczne testy z kartami: dostali wydruki numerów pracowników i musieli wskazać liczby, które „podejrzewają” o szpiegostwo. Mayer myślał początkowo o identyfikacji na podstawie zdjęć, ale szybko zarzucił ten pomysł. Zdjęcia sugerowały zbyt wiele – ktoś na fotografii mógł się krzywo uśmiechnąć, ktoś mieć okulary z przyciemnianymi szklami. Setki czynników zakłócających, które wprowadzały w pomiary chaos, utrudniały, zamiast ułatwiać.

Liczby były czyste. Z liczbami pracowało się znacznie prościej. W pierwszym podejściu kazał każdemu z psychotroników wskazać po pięć „podejrzanych numerów”. Każdy wskazał inne. Od razu poszedł z tym do Butlera.

— Proszę. — Cisnął na stół plik wydruków. — Oto lista piętnastu osób wytypowanych przez Trójkę Świętą. Będziesz teraz sprawdzał po kolei każdego z nich?

Lance Butler nie odpowiedział. Patrzył na rozmówcę, zaciskał wargi i niebezpiecznie mrużył oczy. Jakby miał za chwilę wybuchnąć.

— Przecież świetnie wiesz, na czym polega podstawowa różnica. — Mayer nic sobie nie robił z niebezpiecznej miny przełożonego i z każdym słowem coraz głębiej wbijał szpilę. — W klasycznych testach masz setki pomiarów, do których odnoszą się typowania psychotroników. Tutaj punkt referencyjny jest tylko jeden – w departamencie być może działa kret i jest nim jedna konkretna osoba o nieustalonej tożsamości. Podobne efekty przyniesie zwykłe zgadywanie. Ty trafiasz średnio za setnym razem, Brandon za dziewięćdziesiątym. Z praktycznego punktu widzenia to nie robi żadnej

różnicy. Równie dobrze możesz podejrzewać i szczegółowo infiltrować każdego pracownika z osobna, bo będzie to równie efektywnym działaniem jak ślepe strzały Trójcy.

— Powtórz test — warknął Butler.

Zaskoczony Mayer aż się wzdrygnął.

— Ale...

— Powtórz test i nie gadaj. To jest rozkaz.

W drugim podejściu Trójca Święta wygenerowała kolejne piętnaście numerów. I znów ich wybory były zupełnie różne. Nie powtórzyła się żadna liczba z pierwszej tury. Mayer zbierał się, by pójść z tym do Butlera, ale wolał poczekać, aż szef będzie miał lepszy humor. Każdego ranka zaglądał do sekretarki, ale ta, gdy tylko go zobaczyła, kręciła głową, składając wargi w grymas pełen rezygnacji:

— Nic z tego.

— Dzisiaj nie radzę.

I tak Mayer doczekał do lipca, kiedy w pewien piątek, z samego rana, do jego biura wbiegł Lance Butler. Mayer nie zdążył dopić śniadaniowej kawy, na biurku leżał nadgryziony pączek, lukier kruszył się na stosy wydruków perforowanych, od góry do dołu wypełnionych rzędami losowych liczb.

— Mamy kryzys — wysapał.

Pod Hochbaumem ugięły się nogi. Wojna – to była pierwsza myśl. Ruscy pierdolnęli pociskami, a my odpowiedzieliśmy kontruderzeniem. Nad Atlantykiem już śmigają rakiety z głowicami nuklearnymi. Koniec świata, Mesjasz toczy walkę z armią Goga i Magoga. Trójca Święta, ewakuowana na pokłady łodzi podwodnych, czeka na rozkazy. Co z tego, że testy nie dają na razie stuprocentowej trafności – tutaj ważą się losy świata. Jedna, dwie, trzy głowice więcej – kto by dokładnie liczył, przecież nie jesteśmy księgowymi, ryzyko jest wliczone w koszt.

— Do mojego gabinetu, migiem!

Robert Kashgoff już na nich czekał. Z trudem mieścił się w wykładanym pluszem fotelu, wyginał kończyny pod dziwacznymi kątami, przypominał monstualnego pasikonika. Lance wyciągnął z dolnej szafki rzutnik, zgasił światło i wcisnął do komory przezrocze. Na ekranie wyświetliła się fotografia

wykonana trzęsącą się dłonią w sążnistym deszczu. Zamazana postać, rysy twarzy trudne do rozpoznania.

— Niektórzy z nas dobrze znają tego delikwenta. Andrejs Putnis, w niektórych kręgach znany pod pseudonimem Sasza.

Andrejs Putnis! Mayerowi wyrwało się westchnięcie. Radziecki szpieg, który próbował go zwerbować do współpracy.

— To jego najświeższe zdjęcie, jakim dysponujemy. Wykonane dwa tygodnie temu po drugiej stronie żelaznej kurtyny, w Budapeszcie. W Stanach Putnis miał status śpiocha. Studiował fizykę, czekając na dyrektywy z Moskwy. Kiedy nadeszły rozkazy, zadziałał, kurwa, błyskawicznie. Nie znam szczegółów, nikt ich nie powinien znać, ale trzy dni temu na Węgrzech pojawił się pewien amerykański przedsiębiorca, który za grube pieniądze zdecydował się sprzedać Kremlowi kilka tajemnic wojskowych. A miał co sprzedawać, gdyż pracował jako podwykonawca dla DARPA. Mówią, że facet był zdesperowany, żona umierała na raka, potrzebował pieniędzy na leczenie. Do sprzętów, które przekazał Ruskim, należało elektroniczne urządzenie wielkości dłoni. Ta rzecz ma kluczowe znaczenie dla obronności Stanów Zjednoczonych. To generator kodów do odpalania atomowych głowic. Taki sam sprzęt nosi w teczce oficer, który zawsze jest w zasięgu kilkunastu metrów od Reagana. Wojna atomowa wisi na włosku i ten gadżet może zadecydować o wszystkim. O przyszłości cywilizacji. Nasze Biuro Operacji SIGINT przechwyciło i odkodowało transmisję radiową. Putnis był łącznikiem Ruskich. Spotkał się z koleśkiem, kupił od niego sprzęt i zapłacił walizką pieniędzy. Obecnie Łotysz ukrywa się w Budapeszcie, czekając na kontakt z Moskwy. Zdobycz jest na tyle ważna, że nie chcą ufać węgierskiej delegaturze KGB i wysyłają do miasta swojego człowieka. Nad Dunaj dotrze w ciągu dwóch–trzech dni.

— I... — Mayer intensywnie wpatrywał się w łagodne oblicze Putnisa spoglądające na nich ze ściany.

— Musimy dopaść Putnisa, zanim ten skontaktuje się z łącznikiem i przekaże mu swój nabytek.

— My?

— Ty. Ja. Dziś o siódmej wieczorem odlatujemy do Europy. Lada chwila nad naszymi głowami mogą zacząć świstać pociski atomowe.

Ale jak to? On? Na terytorium wroga? Przecież Mayer nie znał się na robocie w terenie. Nigdy nie został nawet przeszkolony.

— Co ja mam tam robić? — wykrztusił.

— Dowiesz się na miejscu. — Butler zakończył spotkanie.

Budapeszt. Mayer opuścił to miasto, w którym spędził większość swojego dzieciństwa, blisko trzydzieści lat temu. Czy będzie potrafił się tam teraz odnaleźć? Czy rozpozna znajome ulice, narożniki kamienic, twarze ludzi, którzy zostali, czekając bezsilnie na amerykańskie wsparcie, podczas gdy on wraz z rodziną leciał przez Atlantyk, bezpieczny, w komfortowych warunkach?

Czekając w hali lotniska wojskowego, wyglądał przez panoramiczne szyby, patrzył na tankujący paliwo samolot i zacinającą ulewę – padało tak samo jak w '56, kiedy uciekali z ogarniętego powstańczą pożogą Budapesztu. Z zadumy wyrwał go Robert Kashgoff, który przyjechał się z nimi pożegnać.

— Idę zapalić, chodź ze mną.

Poczęstował Hochbauma papierosem.

— Jedziesz na rzeź — rzucił od niechcienia, pomiędzy jednym a drugim machem. Oderwał papierosa od ust i wykrzywił twarz w grymasie bezsilności, jak niemowlak, który za chwilę wybuchnie płaczem. Wyglądał żałośnie, wielki, bezbronny facet, wplątany w sprawę dorosłych.

— Rzeź?

— Butler nie ma dobrej prasy na samej górze. W Trójcę ładowana jest kupa kasy i na razie nie ma z niej żadnego pożytku. Ludzie gadają, że przełożonym kończy się cierpliwość. Takie plotki, rozumiesz? — Czerwona końcówka papierosa kręciła w powietrzu ósemki. — Dlatego wysyłają do Budapesztu właśnie was. Macie nawiązać kontakt z lokalnymi opozycjonistami i koordynować na miejscu akcję przejęcia Putnisa. Po co ty jesteś do tego potrzebny? Bez żadnego doświadczenia operacyjnego. Twoją jedyną zaletą jest płynna znajomość węgierskiego.

— Dlaczego ja? — zawstydzony Mayer wcisnął końcówkę papierosa do ust, ukrywając przed rozmówcą, jak bardzo trzęsą mu się dłonie.

— Bo ktoś wysoko chce się was pozbyć w białych rękawiczkach. — Kashgoff niedbale wzruszył ramionami. — Współczuję ci, brachu, jesteś w czarnej dupie. Nawet jeśli uda wam się wrócić zza kurtyny, z Putnisem czy



bez Putnisa, będą szukali na Butlera kolejnego haka. No i czepią się Trójcy Świrusów. Butler poleci. A z niego jest typ wrednego skurwysyna, niech cię nie zmylą pozory. Chorobliwie ambitny i mściwy. Będzie szukał kozła ofiarnego. W pierwszej kolejności padnie na ciebie. Powie, że celowo wbudowałeś w algorytm błąd, że działałeś na szkodę Ameryki, sabotowałeś wysiłki Firmy. Może spróbuje cię zrobić w szpiegostwo na rzecz czerwonych, kto wie? Mnie też się oberwie rykoszetem.

— Ale...

— Nie ma żadnego ale. Naciski z góry szły przez cały czas. Dlaczego Butler stawał na głowie i kazał ci projektować testy do poszukiwania kretów w departamencie? Myślisz, że to był jego pomysł? OK, może nie jest z niego ostatni tępak, ale bez przesady...

Spojrzenie psychologa przeszło rozmówcę na wskroś. Mayer nie zdążył odpowiedzieć. Wyrosła przed nimi postać Lance'a Butlera, który ryknął:

— Tu się schowaliście! Martin, kończ jarać i ruszaj tyłek. Za kwadrans startujemy.

W Wiedniu dostali paszporty na fałszywe nazwiska – Mayer Hochbaum/Martin Roundtree na czas wyjazdu stał się Jamesem Lodge'em, amerykańskim przedsiębiorcą obejmującym kierownicze stanowisko w firmie zajmującej się produkcją pestycydów. Celem jego wizyty w Budapeszcie były Międzynarodowe Targi Rolnicze. Mayer miał pięć godzin, aby nauczyć się swojej legendy. Spędził ten czas w towarzystwie smutnego agenta CIA, pracującego pod przykrywką attaché kulturalnego ambasady. Facet miał chęć do życia księgowego przechodzącego kryzys wypalenia zawodowego.

— Imię żony. — Funkcjonariusz agencji zamęczał go kolejnymi pytaniami. Gdy Mayer mozolnie przypominał sobie niezbędne informacje, tamten wcale nie okazywał zniecierpliwienia. Siedział z kamienną twarzą, nie mrugał, nie uśmiechał się, wpatrywał się tylko w egzaminowanego, jakby ten nie był człowiekiem, lecz interesującym obiektem w muzeum.

— Data urodzenia.

— Miejsce urodzenia.

— Imię starszego syna.

Mayer zacisnął zęby. Wtem urzędnik ożywił się.

— Jesteś obrzezany? — zapytał.

— Tak.

— Tutaj lepiej mówić prawdę. Kiedy ci ściągną gacie, to choćbyś był nie wiadomo jak dobrym aktorem, pewnych rzeczy nie ukryjesz.

Zapisał coś w papierach i zaczął znów:

Data bar micwy syna, miejsce poznania się z żoną, szkoła średnia i college, podstawowe typy pestycydów, którymi handlujesz, nazwisko kolegi z pracy, imię sekretarki szefa, nazwa pubu, gdzie zwykle po pracy wychodzisz z kumplami na kielicha...

Po kilku godzinach, gdy byli dopiero w połowie wyliczanki, Mayerowi zaś wciąż zdarzało się zapominać, jak nazywa się jego sąsiad i gdzie pracuje, przerwał im Butler.

— Nie mamy już czasu. Musimy ruszać jak najszybciej.

Pracownik ambasady zamierzał zaprotestować, ale agent uciszył go gestem.

Na granicy celnik uważnie kartkował ich sfałszowane paszporty, oglądał pieczętki, studiował wklejone wize. Po angielsku mówił słabo i zdecydował się wezwać na pomoc tłumacza. Mayer wyrecytował wyuczoną na pamięć formułkę. Poskutkowało. Celnik zasalutował i powiedział coś po węgiersku. Meyer nie zareagował.

Z dworca do hotelu pojechali taksówką. Hochbaum czuł nieprzyjemne klucie w mostku; wyglądał przez okno samochodu i pożerał wzrokiem widoki miasta, które porzucił trzydzieści lat temu. Niby pamiętał niewiele, wyjechał do Stanów, kiedy miał zaledwie siedemnaście lat, ale Budapeszt cały czas w nim tkwił. Miasto się nie zmieniło, wciąż trwało – niewzruszone i wieczne. Te same mury kamienic otaczały ciasne ulice, pomiędzy którymi zwiślała trakcja trolejbusu niczym sieć gigantycznego pająka.

Monumentalna zabudowa Pesztu przytłoczyła Mayera. Sprawiała wrażenie, jakby budynki nie zostały postawione ludzką ręką, ale wyłoniły się spod ziemi jako część doskonałego planu natury, przedustawnej harmonii sfer niebieskich, gdzie nie ma miejsca na przypadek, przyczyny stają się skutkami, czas przestaje płynąć i wszystko ustaje w jednym wielkim „teraz”.

Wcielali się w rolę amerykańskich biznesmenów i dlatego Firma zarezerwowała im noclegi w jednym z najlepszych hoteli w mieście, specjalizującym się w obsłudze cudzoziemców. Recepcjonistka swobodnie

władala angielskim i przesłała im na powitanie czarujący uśmiech, jakby w każdym z nich spodziewała się znaleźć pięknego księcia, który pewnego dnia wyrwie ją ze smutnego komunistycznego kraju i przemyci na Zachód.

— Targi zaczynają się pojutrze — powiedziała, studiując wypełnioną przez Mayera kartę meldunkową.

— Chciałem skorzystać z okazji i zobaczyć wcześniej miasto, podobno Budapeszt jest piękny latem. Firma płaci, pani rozumie. — Butler puścił jej oczko.

Dziewczyna ciężko westchnęła.

— Rozumiem. Wielu naszych gości to robi. — Wręczyła im klucze do pokojów.

Do końca dnia Mayer nie odważył się wyściubić nosa z pokoju. Włączył węgierską telewizję i przestraszony, wpatrywał się w czarno-białe obrazy. Defilada żołnierzy na placu Czerwonym, maszerują jak po sznurku, krok w krok, precyzyjni i dokładni niczym krzemowy procesor mikrokomputera Sinclair. Potem jakieś manewry, ruskie czołgi rozjeżdżają zeschnięte błoto na bezkresnych poligonach, w niebo lecą rakiety, rzygając pióropuszcami białego ognia, sowieccy sekretarze całują w usta strasznych Azjatów. Świat się kończy i transmitują to na żywo w telewizji.

Na zewnątrz panował straszny upał. Mayer wyłączył telewizor, rozebrał się do samych majtek, położył na łóżku i wpatrywał w sufit, słuchając szumu ulicy, dzwonek tramwaju i klaksonów samochodowych. Rozmyślał o Budapeszcie i nieskończoności; w owej upalnej malignie te dwa pojęcia zaczęły się ze sobą zlewać i coraz trudniej było określić, gdzie zaczyna się jedno, a kończy drugie.

Umówił się z Butlerem na dwudziestą drugą trzydzieści. O tej godzinie zwłókł się z łóżka, wciągnął lekkie, płócienne spodnie, nałożył koszulę, zostawiając dwa górne guziki odpięte, i poszedł do pokoju przełożonego.

Zgodnie z instrukcją zapukał cztery razy – trzy pierwsze szybko po sobie, przed ostatnim uderzeniem kilkusekundowa pauza. Pracownik wywiadu uchylił drzwi i gestem zaprosił do środka.

— Wiemy, gdzie jest Putnis — powiedział cicho Butler na powitanie.

— Co?

— Spotkałem się dzisiaj z ludźmi, którzy nas tu wspierają. Węgrzy, członkowie tutejszej opozycji, tyle że nielegalnej, takiego antykomunistycznego ruchu oporu. Prowadzeni przez delegaturę CIA. Szukali go na własną rękę. I znaleźli.

— Gdzie?

Lance Butler rozłożył mapę i wskazał punkt po drugiej stronie Dunaju.

— Buda, okolice zamku. Dzielnica willowa. Opuszczony dom. Pójdę tam jutro z samego rana. Z węgierskimi przyjaciółmi.

— A ja?

— Po to tu przyjechałeś. Zostaniesz na miejscu. Jesteś tu w innym celu. Wydaje nam się, że Putnis wie wiele o fizyce i jego wiedza może nam się przydać. Gdyby się okazało, że trzeba z nim porozmawiać tutaj, na miejscu, ty masz do tego niezbędną wiedzę. Dlatego cię tu ciągnąłem.

Mayer czuł się skołowany.

— Porozmawiać? O fizyce? Widziałem jego prace i on...

Kwadratogłowy machnął ręką w zniecierpliwieniu.

— Wszystkiego się dowiesz w swoim czasie. Teraz mi nie przeszkadzaj.

Mayer wrócił do siebie, ale zasnął dopiero nad ranem.

\* \* \*

Targi rolnicze zaczynały się następnego dnia. Aby nie budzić podejrzeń, Hochabum miał udawać dzisiaj turystę i udać się na długi spacer po mieście. Nie mógł się tego doczekać, ale jednocześnie czuł narastający lęk. Jak Budapeszt z jego dziecięcych wspomnień zniósł próbę trzydziestu lat komunizmu?

Szykował się do wyjścia, ale nie zdążył się nigdzie wybrać. Ktoś zapukał do pokoju w nieregulaminowy sposób. Znieruchomiał. Pukanie powtórzyło się, tym razem bardziej natarczywie.

— Kto tam? — krzyknął.

Postać zza drzwi odpowiedziała coś po węgiersku. Chwilę potem zapukała ponownie.

Mayer powoli położył dłoń na klamce. „Trzy, cztery...” — odliczył bezgłośnie, poruszając jedynie wargami. I otworzył.

— *Room service*. — W progu stał boy hotelowy w uniformie i popychał wózek zastawiony jedzeniem. Zorientowawszy się, że ma do czynienia z cudzoziemcem, przeszedł na niewprawny angielski i bezceremonialnie wjechał do środka, trzaskając za sobą drzwiami. — Pan zamawiał śniadanie do pokoju?

Mayer poczuł, jak schodzi z niego napięcie; spodziewał się najgorszego.

— To pomyłka. Już jadłem. Nie zamawiałem niczego do pokoju. — Z uśmiechem na ustach tłumaczył chłopakowi, że to nieporozumienie.

Wtem boy pochylił się do niego i ściszył głos:

— Butler ma kłopoty. Musi się z tobą zobaczyć. Za piętnaście minut wyjdź z hotelu. Zabierz dokumenty. Kiedy wyjdiesz na główną ulicę, skreć w prawo. Przed budynkiem poczty czeka biała taksówka marki Zastava. Wsiądź do niej.

Hochbaum nie zdążył zadać mu choćby jednego pytania. Chłopak uklonił się głęboko, otworzył drzwi i rzekł głośno:

— Ogromnie przepraszam za zamieszanie. Życzę miłego dnia.

Drzwi trzasnęły ponownie. Czas spowolnił swój bieg. Wskazówki zegara nie chciały się przesuwac. Piętnaście minut. Stał w oknie, patrzył na ulicę. Wszechświat zamarł w bezruchu, wstrzymywał oddech, czekał na nieuchronne.

Za kierownicą zastawy siedział facet, który gładził się po gęstych wąsach. Nawet się nie odwrócił, zapuścił od razu silnik.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Mayer po węgiersku, kiedy samochód włączył się do ruchu.

— Dzielnica żydowska, okolice Wielkiej Synagogi — odpowiedział kierowca po irytująco przeciągniętych sekundach milczenia.

Po raz kolejny odezwał się, kiedy dotarli na miejsce.

— Idź wzdłuż trakcji trolejbusu i skreć w pierwszą ulicę w lewo.

Mayer postąpił zgodnie z instrukcją. Wskazana ulica była wąska, a kamienice wokół odrapane. Z każdym krokiem czuł się coraz mniej pewnie – trafił do dzielnicy, w której spędził całe dzieciństwo, z każdym krokiem znajdował się bliżej rodzinnego domu. Wszystko wydawało się znajome: maleńkie sklepiki i czerwone papryczki na zakurzonych wystawach, mury

kamienic w kolorze zgniłego morza, rozkładających się glonów. Jakby po wieloletniej tułaczce wrócił wreszcie do punktu wyjścia, a przygoda w Stanach była zamkniętym epizodem – częścią rodzinnej historii, którą będzie się wspominać przy gulaszu i tokaju, wiecznie przytaczając te same, nikogo już nieśmieszące anegdoty.

— Tutaj — syknął ktoś w bramie i gestem zaprosił Mayera do środka. — Wszystko gra. Nie masz ogona. Nikt za tobą nie idzie. Jesteś bezpieczny.

Drewnianymi schodami wspięli się na drugie piętro i weszli do mieszkania po lewej stronie. W środku cuchnęło potem i smażonymi rybami. Wnętrza nie remontowano od dziesięcioleci, Mayer mógł przysiąc, że za drewnianymi płaskorzeźbami boazerii biegają armie karaluchów. Na taborecie w centralnym punkcie pokoju siedział Lance Butler, podtrzymywany przez młodego Węgra, którego Mayer widział pierwszy raz w życiu. Pracownik CIA był ranny i bawełnianą chusteczką próbował powstrzymać krwawienie z rozciętego policzka. Krew spływała w dół ręki i kapłała z przemokniętego rękawa.

Z boku, pod ścianą, stała kobieta i cicho płakała. Tuż przy niej kręciły się dzieciaki, chłopiec i dziewczynka, zasmarkane i zaryczane. Chłopak ścisnął w dłoni plastikową wywrotkę, a dziewczynka lalkę bez jednego oka.

Płaczącą pocieszały dwie starsze kobiety.

— Lászlo, Lászlo... — Mayer zrozumiał wybijające się ponad chlipanie słowa. Zawiesił spojrzenie na lamentującej kobiecie. Ubrana była nazbyt elegancko jak na okoliczności; garsonka uwypuklała jednak korpulentną figurę, podkreślała obwisłe piersi. Z sylwetką mocno kontrastowała twarz, dobre dziesięć lat młodsza niż reszta ciała.

— Co się tu stało? — Hochbaum podszedł do Butlera.

— Emese i Gabor, tak mają na imię. — Butler wskazał na przestraszone dzieciaki. — Lászlo Nagy jest ich ojcem. Opatrz mi ranę.

— Kim jest Lászlo?

Zapłakana kobieta usiadła na kuchennym taborecie. Podszedł do niej młody chłopak, kucnął obok i ścisnął jej obie dłonie. W tym czasie Mayer zajął się raną przełożonego i nim skończył, w mieszkaniu zaroilo się od węgierskich opozycjonistów. Wszyscy krzyczeli na siebie i wymachiwali

rękami, przecierali rękawami spocone czoła. Jeden mówił nieco po angielsku – podejrzany typ z ciemną skórą i sumiastymi wąsami.

— Milicjanci złapali Lászlo Nagya — wydukał i cały się trząś, nie potrafił ustać w miejscu, jakby ogłaszał przez radio wybuch trzeciej wojny światowej. — Przeprowadziliśmy tutaj jego żonę i dzieciaki. W domu nie są bezpieczne.

Lance – opuszkami palców muskając bez przerwy świeży opatrunek na policzku – zaczął opowiadać.

Po Putnisa poszli we trójkę: Lászlo Nagy, młody chłopak imieniem Stefan oraz Butler. Kryjówka radzieckiego szpiega znajdowała się w Budzie, u stóp wzgórza zamkowego. Willa z pozoru wyglądała na opustoszałą. Pordzewiałe prety parkanu, dzungla chwastów, urwana klamka na furcie. Okna frontowe zabite dechami, łuszczący się tynk, pomarszczone strupy farby olejnej na framugach. Butler pomyślał, że chętnie przytargałby tutaj pierdolonych inteligentów ze Wschodniego Wybrzeża, aby zademonstrować, na czym polega wspólna własność, której są fanami.

Zatrzymali samochód dwie przecznice dalej i resztę trasy pokonali pieszo. Butler zasapał się na stromym podejściu. Nie rozmawiali, ale wymieniali pomiędzy sobą czujne spojrzenia; Amerykanin dobrze się czuł w towarzystwie tych milczących mężczyzn. Wiedział, że każdy z nich za paskiem znoszonych spodni trzyma broń i będzie potrafił jej użyć, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zdawał sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy – kiedy coś pójdzie nie po ich myśli, drogę zastąpi wąsaty węgierski milicjant, on, Butler, będzie bezpieczny, wystarczy jeden telefon z ambasady, interwencja na wysokim szczeblu, i w najgorszym razie wsadzą go w pierwszy samolot relacji Budapeszt–Nowy Jork. Dla Lászla i Stefana sprawa wyglądała znacznie gorzej.

Oni ryzykowali wszystkim, co mieli, grając o mglistą sprawę: przychylność sojusznika, który być może, w krytycznym momencie, kiedy palec zawiśnie nad przyciskiem zagłady, zastanowi się dwa razy, zanim spuści fontannę ognia na zielone wzgórza Budy i kwartały kamienic Pesztu.

Lászlo i Butler ustawili się na dwóch skrajach opustoszałej ulicy, do pracy zaś przystąpił Stefan. W świetle poranka błysnęły wytrychy i po chwili furta stała otworem. Do ogrodu wślizgnęli się pojedynczo i spotkali pod okazałą

gruszą, której korzenie, wybrzuszone się spod ziemi, naruszyły konstrukcję nośną werandy. Porozumiewali się na migi.

Do willi można było wejść na dwa sposoby: drzwiami frontowymi oraz od strony kuchni. Butler i Stefan wybrali pierwszą drogę, Lászlo poszedł dookoła.

Drzwi były zamknięte, ale ustąpiły pod kopnięciem. W tym momencie Butler zaczął czuć się nieswojo i coś ścisnęło go w brzuchu.

— To nie był strach — opowiadał z przejęciem. — Nie potrafię tego nazwać. W powietrzu wisiała dziwna aura. Coś się materializowało, nieomal mogłem tego dotknąć. Coś pierwotnego, straszego i bardzo, ale to bardzo nieludzkiego. Jakby zajrzeć w łeb krowie, która jedzie na taśmociągu, za chwilę oberwie młotem i wyjedzie z fabryki przerobiona na hamburgery. Tak się wtedy czułem.

Willa wyglądała na porzuconą co najmniej od dwóch dekad. Poprzedni właściciele wywieźli większość mebli, pozostałe rzeczy zostały rozszabrowane. Budynek okresowo nawiedzali dzicy lokatorzy, o czym świadczyły sterty szmat, szkło z porozbijanych butelek i zasuszone ekskrementy.

Stefan pokręcił z rozczarowaniem głową. Wyszczekał po węgiersku krótkie zdanie, a Butler domyślił się, że chłopak powiedział „Nic z tego” lub coś w tym stylu. Przeszukali wszystkie pomieszczenia, ale nigdzie niczego nie znaleźli. Z Lászlem spotkali się w salonie. Węgrzy czekali na rozkazy. Amerykanin rozłożył ręce w ogólnoswiatowym geście wyrażającym bezradność w obliczu zbyt skomplikowanego problemu.

Lászlo pokazał coś na migi.

Uchylone drzwi, za nimi strome schody do piwnicy.

Ostatnie pomieszczenie, którego nie spenetrowali. Węgier położył palec na ustach i wszyscy wyteżyli słuch. W piwnicy ktoś był. Ktoś się poruszał, szurał podeszwami butów, przesuwiał meble.

Lászlo ruszył pierwszy. Skrzypnęły spróchniałe deski i hałasy na dole urwały się w jednej chwili. Węgier przyspieszył, przeskakiwał teraz po dwa, trzy stopnie na raz. Kroku dotrzymywał mu Butler. Oddychał coraz szybciej, chwytając łapczywie powietrze. Gardło płonęło i czuł, jak ogień sływa w dół i rozsadza płuca. Hiperwentylacja sprawiła, że umysł zaczął pracować na



wyższych obrotach. Butler postrzegał wszystko dookoła z nie ludzką dokładnością. Patrzył – i w ułamku sekundy analizował postrzegany obraz, przetwarzał, rozkładał na czynniki pierwsze.

I nagle to zobaczył.

Na samym dole, gdzie kończyły się schody, tuż przed drewnianą podłogą – na wysokości kostek ktoś rozciągnął cienką linkę.

— Nie! Stój!!! — z obolałego gardła wydobył się rozzwierający krzyk.

Lászlo nie załapał, co się dzieje. O co chodzi Amerykańcowi? A nawet gdyby zrozumiał przestrożę Butlera, był zbyt rozpędzony, by się zatrzymać. I kiedy nogi w coś się zaplątały, kiedy usłyszał mechaniczne *klik* i w jednej chwili zatrzymało się serce, a gruczoły skórne rzygnęły rzeką potu, wtedy zrozumiał, że znaleźli się w pułapce.

Zapadła przeraźliwa cisza i Butlerowi przemknęło przez myśl, że identyczna cisza otuli świat, kiedy wybrzmia atomowe eksplozje, a z chmur spadnie radioaktywny deszcz. Amerykanin instynktownie rzucił się do tyłu, wpadając na Stefana, przykrywając chłopaka swoim ciałem, chroniąc głowę rękami.

Huknęło.

Willa zatrzęsała się w posadach, a na nich posypał się tynk. Siła wybuchu cisnęła Lászla na ścianę. Odbił się od muru i leżał teraz na podłodze, twarzą do ziemi, nie dając znaków życia.

— Skurwysyn — wysyczał Butler przez zaciśnięte zęby. Wyciągnął spod marynarki pistolet. Stefan był oszołomiony, coś gadał po swojemu i agent nie rozumiał ani słowa. Od wybuchu dzwoniło mu w uszach. Wymienili spojrzenia i chłopak w mig kucnął przy Lászlu, ściskając nadgarstek rannego, sprawdzając puls.

Butler zbliżył się ostrożnie do załomu korytarza. Szedł powoli, jak go uczyli, ostrożnie stawiając krok za krokiem. Rozglądał się na wszystkie strony. Eksplozja wzniesła fontannę kurzu, poprzecinaną teraz ostrymi smugami światła wpadającymi przez wąski pas przysufitowych lufcików. Na zewnątrz wszystko toczyło się swoim codziennym rytmem – piece hutnicze wytapiały surówkę, po Dunaju kursowały statki, a pasażerowie tłoczyli się na przystanku, próbując wsiąść do zatłoczonego trolejbusu, spiesząc się do pracy. Tymczasem tutaj, w piwnicy zrujnowanej willi u stóp zamkowego wzgórza,

wszechświat został zredukowany do Andrejsa Putnisa i Lance'a Butlera, do przedstawienia, które toczyło się pomiędzy nimi.

Butler wychylił się z za żałomu.

Za późno.

Zafurkotało rozcinane powietrze. Sowiecki szpieg stał płasko przytulony do muru i czekał na nierozważny krok Amerykanina. Doczekał się. Czubek noża zahaczył o policzek Butlera i z lekkością baletmistrza ciął skórę. Trysnęła jasna krew: na rękaw marynarki, na dłonie ściskające pistolet, na podłogę. Putnis wyprowadził kolejne uderzenie i tym razem mierzył w brzuch.

Butler odbił cios ręką pistoletu, lecz Łotysz był szybszy. Poruszał się jak astronauta na orbicie, wyzwolony spod praw grawitacji. Wykonał piruet i podciął Butlera, który runął jak długi na ziemię, prosto w rozchłapaną krew. Putnis tymczasem salwował się ucieczką. Kopnięciem powalił Stefana, składającego się w przykłęku do strzału. Stopa w ciężkim bucie dosięgła czoła i obcas obsunął się kilka centymetrów, trafiając w oko. Chłopak zawył z bólu, wypuścił pistolet i runął na ziemię. Tymczasem Putnis przeskakiwał już po trzy, cztery stopnie na raz.

Lance oddał strzał na oślep, po czym dźwignął się z ziemi i ruszył w pościg, przyciskając dłonie do policzka, próbując zatamować krwawienie.

Kiedy wbiegł na parter, po Putnisie nie było śladu, ciszę poranka masakrował zaś jęk milicyjnych syren.

— Stefan! Spierdalamy, spierdalamy! — darł się po angielsku, mając nadzieję, że młody Węgier zrozumie uniwersalny kod oparty na pierwotnych emocjach.

Stefan zrozumiał.

W mig znalazł się obok Butlera i pociągnął go za rękaw. Wybiegli przez frontowe drzwi, tratując rachityczne krzaki, tonąc po kolana w chwastach. Sforsowali zardzewiałą bramę, a syreny milicyjne były coraz bliżej.

Dalsze wydarzenia Butler zapamiętał bardzo selektywnie. Dłonie lepkie od krwi i zimne dreszcze w upalny dzień. Krztuszący się silnik samochodu i dotyk rozgrzanej tapicerki. Oddalające się dźwięk syren, droga długa i kręta, smród spalin, wreszcie natrętne myśli: „Co będzie z Łaszlem? Co oni z nim zrobią? Czy będę w stanie spojrzeć w oczy jego żonie?”.

— Co się z nim teraz stanie? — zapytał Mayer przez zaciśnięte zęby, patrząc w okno.

Butler nie odpowiedział. Usłyszeli pukanie i do pokoju weszło dwóch facetów, młodszy z zaklejonym okiem i starszy, z gęstą czupryną siwych włosów na głowie, upodabniająca go do popkulturowego wyobrażenia szalonego naukowca.

— Poznaj Stefana — Butler przedstawił młodszego. — To z nim byliśmy dzisiaj na łowach.

Hochbaum pokiwał z podziwem głową.

Chłopak bez przerwy mrugał odsłoniętym okiem, jakby nie potrafił dostroić się do nowej perspektywy. Trzymał w dłoniach grubą książkę.

— On chce wam coś powiedzieć — odezwał się po angielsku starszy, ten z czupryną. — Poprosił mnie o pomoc w tłumaczeniu.

Stefan pokiwał entuzjastycznie głową i wyciągnął dłonie z książką w stronę Butlera. Zaczął mówić po węgiersku. Siwy tłumaczył:

— To jest rocznik statystyczny Związku Radzieckiego z danymi za 1979 rok. Stefan zabrał go z kryjówki Putnisa, zanim uciekliście z mieszkania i przyjechała milicja. On dziwi się, do czego rosyjski szpieg mógł potrzebować rocznika statystycznego.

Błysk w oku Butlera został zarejestrowany wyłącznie przez Mayera.

— Dziwne — nienaturalnie przeciągnął słowo. — Zupełnie niezrozumiałe. — Wyciągnął dłonie. — Czy mogę to zatrzymać? Może chłopaki z Langley będą wiedzieli, co z tym zrobić. Dziękuję za wszelką pomoc.

Uścisnął dłoń Stefana i poklepał go po ramieniu.

— Jak oko? Wszystko będzie dobrze!

Młodzieniec pokiwał z entuzjazmem głową.

— Zostawcie nas teraz samych. — Butler gestem dłoni odesłał Węgrów z pokoju. — Musimy się naradzić.

— Co robimy? — zapytał Mayer, gdy tylko trzasnęły drzwi. — Nie możesz wrócić do hotelu. Jesteś spalony.

Lance Butler nie odpowiedział od razu. Zamknął oczy. Nie wyglądał teraz jak agent spec służb, lecz raczej ktoś, kto chce za wszelką cenę wrócić

już do domu.

— Nasza misja jest spalona. Musimy jak najszybciej stąd spierdalać.

— Ale co z Putnisem? Co z tym... — chwilę szukał słowa — ... „czymś”, rzeczą, którą zamierza przekazać ruskiemu łącznikowi. Przecież wojna...

— Jego łącznik ma dotrzeć do Budapesztu dziś wieczorem. Już pozamiatane — w głosie Butlera była głęboka rezygnacja. Przegrał, już to zrozumiał. — Chwilę potrwa, nim przygotowują nam nowe paszporty. Dzień, może dwa — dodał znacznie ciszej.

— Co z nami będzie do tej pory? Wracamy do hotelu?

Butler pokręcił głową.

— Hotel jest spalony. Węgrzy zorganizują nam kwatery tymczasową. Pokoik przy rodzinie, jak za studenckich czasów — zachichotał nerwowo.

\* \* \*

To nie był do końca pokoik przy rodzinie. Węgrzy po długiej i pełnej emocji debacie wywieźli ich na przedmieścia Budapesztu, do rodzinnego zakładu szewskiego, i zamknęli w magazynie, ciasnej klitce o powierzchni kilku metrów kwadratowych, bez dostępu do światła słonecznego, pośród półek z wielkimi słojami czarnej pasty do butów i białego kleju szewskiego. Mayer oddychał bardzo płytko, dusił go smród środków chemicznych i wygarbowanej skóry.

Butler bez przerwy badał koniuszkami palców opatrunki na policzku. Zbierał się w sobie, aby coś powiedzieć. Coś ważnego.

— Nie pytaj. Nie przerywaj. — Funkcjonariusz CIA siedział zgarbiony. — Na pytania będzie jeszcze czas.

Mayer skinął głową.

— Sytuacja jest coraz gorsza. Przedwczoraj jako główny news CNN puściło kręcone szpiegowską kamerą urywki z poligonu w Kazachstanie, gdzie Ruscy testują nowe głowice. Wybuchła panika. Ogłoszono gotowość bojową na poziomie DEFCON 2. Zrobiło się bardziej nerwowo niż w '83 podczas manewrów Able Archer. Im bardziej Reagan będzie podkreślał „wojny gwiazdne” i szedł na konfrontację z czerwonymi, tym więcej osób

zacznie pękać i wariować. To też jakaś strategia, ale skutki uboczne mogą być opłakane dla wszystkich stron. Wczoraj Węgrzy zorganizowali mi spotkanie z ciekawym człowiekiem. Ukrywa się pod pseudonimem Omega. Pracuje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Współpracuje z nami ze strachu. Wcale nie zależy mu, aby spierdolić z rodziną do Stanów, zmienić nazwisko i próbować realizować *american dream*. On po prostu nie chce, aby świat zginął w ułamku sekundy w błysku białego światła. Sypał arcyciekawymi informacjami, które dotyczyły Putnisa i misji budapeszteńskiej. W obliczu końca świata podziały na komunistów i kapitalistów naprawdę tracą na znaczeniu. Nie możesz wygrać wojny nuklearnej.

Mayer rozdziawił szeroko usta, chciał coś powiedzieć, ale Butler powstrzymał go ruchem dłoni.

— Omega powiedział coś jeszcze. W CIA naprawdę jest kret. — Zrobił pauzę, przesadnie teatralną minę. — Bardzo blisko nas, najbliżej, jak tylko się da. W samej Trójcy Świętej.

Ruski szpieg w Trójcy Świętej! Mayer mógł spodziewać się wszystkiego, nawet najbardziej nieprawdopodobnego scenariusza, ale coś podobnego przekraczało miarę absurdu.

— Czy to pewna informacja? — zapytał nieśmiało.

— Na to wygląda. Omega powiedział coś jeszcze. Putnis używa rocznika statystycznego jako generatora liczb losowych. Nic więcej na ten temat niestety nie wiedział.

— I co teraz robimy?

— Kiedy tylko wrócimy do Stanów, będziesz musiał zdekspirować kreta.

— Ja? — wykrztusił Mayer. Waliło mu serce, chłodna, stalowa obręcz ściskała żołądek. Kompulsywnie przełykał ślinę, czując w ustach skraplający się smak szweskich chemikaliów. — Dlaczego ja? Przecież macie od tego swoich speców. Jak ja mogę to zrobić?

— Nikt z naszych ludzi nie jest przygotowany lepiej od ciebie i Kashoffa, aby współpracować z bandą telepatów. Spróbuj teraz zasnąć. Nie wiadomo, kiedy ponownie będziesz miał taki luksus.

— Lance, o co chodzi z tym Putnisem? Mówiłeś wcześniej o fizyce, że miałem z nim porozmawiać. — Mayer wiercił się i nie potrafił usiedzieć na

miejscu.

Butler spojrział mu w oczy.

— Sam nie znam szczegółów. Dostałem instrukcje z góry. Putnis oprócz gadżetu ma coś jeszcze, co jest dla nas ogromnie cenne. Wiedzę. On coś odkrył. Coś, co może wszystko zmienić.

— Co dokładnie?

— Nie wiem. Nikt mi nie powiedział.

— Od kogo o tym wszystkim wiesz?

— Ja tylko wykonuję rozkazy — westchnął.

Mayer w ciszy czuł się bardzo źle. Musiał coś mówić.

— A jeśli generator kodów wpadnie w ręce Rosjan, co się wtedy stanie? Przecież nie wystrzelą naszych rakiet? Powiedz.

Butler miał zamknięte oczy.

— Nie. Ale będą wiedzieli, jak działa nasz system. Mogą spróbować podmienić urządzenie, aby wykraść właściwą kombinację kodów. Minie kilka tygodni, nim specje przeprogramują urządzenie. Nasza obronność może zostać obniżona, a nikt sobie tego nie życzy, zwłaszcza przy tak napiętych stosunkach z Kremlem. Śpij.

Resztę czasu spędzili w milczeniu. Mayer trwał w dziwnym stanie, gorączkowym półśnie, chorobliwej malignie, rozpięty pomiędzy snem a czuwaniem. Wsłuchiwał się w regularne pochrapywanie Butlera. Stracił poczucie czasu, a zegarek noszony na przegubie dłoni jak na złość się zepsuł, wskazówki zatrzymały się na 6.37 i próby nakręcania mechanizmu kończyły się porażką.

Głowę miał zupełnie wolną od myśli. Próbował się skoncentrować na Trójcy Świętej i ruskim szpiegu wewnątrz najbardziej zakonspirowanej jednostki CIA, ale mu nie wychodziło. Każda próba zmuszenia się do myślenia powodowała niemal fizyczny ból.

Niespodziewanie trzasnęły drzwi i stanął w nich jeden z węgierskich przyjaciół.

— Wszystko załatwione. Możecie ruszać — powiedział koślawą angielszczyzną.

Mayer dostał kolejny fałszywy paszport, tym razem na nazwisko Adama Powella, amerykańskiego naukowca specjalizującego się w chemii organicznej, który przekroczył żelazną kurtynę w drodze na kongres naukowy organizowany przez budapeszteński uniwersytet. Nie było czasu na opracowanie bardziej szczegółowej legendy. Liczyła się każda minuta.

Ze względów bezpieczeństwa zostali z Butlerem rozdzieleni. Kiedy wyszli na zewnątrz, odkryli, że kończy się noc, niebo jest szare, słońce czeka tuż za horyzontem i nie widać gwiazd. Mayer wszedł do łazika radzieckiej produkcji. Jechali przez ciemny, straszny las, samochodem rzucało na wertepach, a on kulił się na tylnym siedzeniu, nie było tam bowiem pasów. Hochbaum walił głową w sufit i słyszał wyimaginowane buczenie silników bombowców strategicznych wiele tysięcy metrów powyżej, ponad pokrywą chmur.

Nie udało im się odnaleźć Putnisa. Co oznaczała porażka? Czyżby nie powstrzymali końca świata?

Nad ranem popsła się pogoda. Panujący w ostatnich dniach nieznośny upał ustąpił i zaczął padać deszcz. Krople uderzające rytmicznie w dach samochodu uspiły Mayera. Kiedy samochód zatrzymał się na parkingu przed lotniskiem Franciszka Liszta, znad horyzontu zaczęły się wreszcie przebijać pierwsze promienie wschodzącego słońca. Ktoś wcisnął naukowcowi do ręki podróżną skórzaną torbę.

— Weź to. Nie możesz podróżować bez bagażu.

W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i co ma robić. Wyszedł na chłód poranka i dopiero wówczas przyszło otrzeźwienie. Nad głową usłyszał huk startującego samolotu – spojrzał trwożnie w niebo i poczuł ulgę, gdy zobaczył pasażerskiego Ił-62 zamiast radzieckiego Tupolewa, który zmierza w stronę strategicznych celów w Europie Zachodniej.

— W portfelu masz trochę forintów. Kup sobie jakąś kawę i zjedz coś. Powodzenia.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest okropnie głodny. Jak długo nic nie jadł? Od dwudziestu czterech godzin czy dłużej? Było mu zimno, miał gęsią skórkę. Gmach odlotów przywitał go przytłaczającym smutkiem szarej architektury i bijącą od podróżnych obcością. Na międzynarodowych lotniskach człowiek z reguły czuje się wyalienowany, zawieszony w czasie

niedokonanym i przestrzeni pomiędzy, jednak w budapeszteńskim porcie lotniczym Mayer wszystkie negatywne emocje odczuwał ze zdwojoną mocą. Do tego dochodził obezwładniający strach, że każda osoba może okazać się tajniakiem milicji politycznej, który poprosi go o dokumenty, zada kilka pytań na temat przeszłości Adama Powella i sklecona naprędce legenda runie w gruzach, a sam Mayer wylądaje za kratkami komunistycznego więzienia.

W bistro zamówił kawę i kanapkę; chleb okazał się niezbyt świeży. Hochbaum był głodny, a jednak zmuszał się do jedzenia. Czuł nawracające regularnie skurcze w brzuchu. Odruchowo spojrzął na zegarek. Znów 6.37. Oby już było po wszystkim. Wsiąść do samolotu, zatrzasnąć klamerkę pasa i czekać, aż maszyna oderwie się od ziemi; dopiero wówczas przyjdzie upragniona ulga. Dopiero wówczas poczuje się bezpieczny.

Bagaż zdał bez problemu. Kobieta w okienku studiowała paszport uważnie, ale nie miała zastrzeżeń. Mayer odetchnął z ulgą.

Nie na długo.

Przed kontrolą bezpieczeństwa podszedł do niego umundurowany milicjant i powiedział, z trudem klecąc angielskie zdania:

— W pana bagażu jest coś dziwnego. Musimy to wyjaśnić. Proszę za mną.

Sekunda wahania wydłużyła się do nieznośnie długiego interwału, podczas którego Mayer zdążył rozważyć wszystkie strategie działania, zrewidować za i przeciw każdej ewentualności.

Przegrał.

Dopadli go – nie miał wątpliwości.

Co robić? Mógł odepchnąć policjanta, zdyskontować przewagę wynikającą z zaskoczenia i rzucić się do straceńczej ucieczki. Głupi pomysł – wystarczy jeden celny strzał i położą go trupem, nim przetnie halę odlotów.

Postanowił nie stawiać oporu i pozwolił się prowadzić. Milicjant otworzył opisane po węgiersku drzwi i wkroczyli w świat szarych korytarzy wykładanych linoleum, w przestrzeń lotniska ukrytą przed oczami zwykłych podróżnych.

Funkcjonariusz wprowadził go do małego pokoju, dwa na dwa metry, i zatrzasnął drzwi. Jedyne wyposażenie pomieszczenia stanowiły stół oraz



dwa krzesła. Na stole znajdował się telefon. Mayer chwycił za słuchawkę. Aparat głucho milczał.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły i do pokoju weszła inna osoba – znacznie młodszy od Hochbauma mężczyzna ubrany w mundur niezidentyfikowanej formacji. Facet położył na stole tekturową teczkę, rozsznurował ją i wyciągnął jakieś papiery. Uważnie je studiował, nie zwracając uwagi na zatrzymanego. Wreszcie się odezwał. Mówił poprawną angielszczyzną, której Mayer nie spodziewał się tu usłyszeć.

— Jak się pan miewa, panie Powell?

Mayer skinął głową, podejmując grę.

— Dziękuję, nie najgorzej.

— Czy też może powinienem się do pana zwracać — zerknął w papiery — James Lodge?

— O czym pan mówi? — Mayer starał się zachować zimną krew.

— A może Martin Roundtree? Tyle tych tożsamości, łatwo się w nich pogubić.

Tego się nie spodziewał. Myśli pouciekały; nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Dam panu dobrą radę. Jak szpieg szpiegowi. Z fałszywymi tożsamościami jest straszny problem. Człowiek nie zdąży się obejrzeć – a nie może się połapać, kim naprawdę jest. Aktorzy w teatrze, w starożytnej Grecji, nosili maski, pan wie dlaczego?

Mayer pokręcił głową. Do czego zmierzał ten człowiek?

— Większość ludzi myśli, że maska służyła ukryciu prawdziwej natury człowieka i wyeksponowaniu tego, co przedstawiała. Tymczasem to błędna interpretacja. Jest wręcz przeciwnie. Maski nie ukrywa natury człowieka, lecz wyciąga prawdę na wierzch, skupia się na tym, co ważne, pokazuje niezmiennie wnętrze człowieka, niezależne od chwilowych emocji.

— Świetnie pan mówi po angielsku. Gdzie się pan nauczył?

— Dziękuję. A pan – jako szpieg skryty za fałszywą tożsamością – myśli, że taka prawdziwa natura istnieje? Prawda na temat pana, coś wiecznego i stałego?

Chłopak roześmiał się, widząc zakłopotanie na twarzy Mayera.

— W porządku, nie musi pan odpowiadać. Czasem lubię sobie pofilozofować. Już zmierzam do sedna. Na pewno się pan zastanawia, co teraz się z panem stanie. Wiem o panu wszystko i mam na wszystko papiery. Pana szef, jak on się nazywa — zerknął do notatek — Lance Butler, właśnie został zatrzymany przez patrol drogówki trzy kilometry przed lotniskiem. AVSZ i kontrwywiad już są na nogach. Takiej gratki nie mogliśmy przegapić. Mieliśmy was pod lupą od samego początku.

— Dlaczego nie interweniowaliście? Mogliście nas zwinąć w każdej chwili, już na granicy.

— Proste. — Mundurowy wzruszył ramionami. — Na początku nie wiedzieliśmy, o co chodzi, i woleliśmy was obserwować. Dlaczego Firma przerzuca za żelazną kurtynę dwóch ludzi — chwila minęła, nim znalazł właściwe słowa — z minimalnym doświadczeniem operacyjnym. Woleliśmy obserwować sytuację i nie chcieliśmy zbyt szybko spalić akcji. Liczyliśmy na wygraną w dłuższym okresie.

— Jednak się zdecydowaliście.

Funkcjonariusz węgierskiego aparatu bezpieczeństwa uśmiechnął się półgębkiem.

— Ponieważ wszystko wskazywało, że wasze zadanie w kraju się kończy. Tymczasem dorwaliśmy jednego od was, po eksplozji w opuszczonym domu w Budzie. Znał jedynie ogólne założenia waszej misji, ale tyle wystarczyło. Zdaliśmy sobie sprawę, że przyjaciele z Moskwy rozgrywają coś za naszymi plecami. Kierownictwu niezbyt się to spodobało. Szybko namierzaliśmy kryjówkę ich szpiega — ponowne zerknięcie w papiery — Andrejsa Putnisa. I zastanawiamy się teraz, co z nim zrobić.

Mayerowi serce zabiło szybciej.

— Do czego zmierzacie? Od tego człowieka zależy to, czy dojdzie do konfliktu atomowego.

— A wy spieprzacie do Stanów i nie jesteście w stanie go powstrzymać...? Nieistotne. W tym wszystkim kluczowa jest inna rzecz. Mam dla pana propozycję. Za godzinę startuje pana samolot. Pan chce bezpiecznie wyjechać z naszego kraju i tylko ja mogę to panu zagwarantować. Dodatkowo chce pan dopaść Putnisa, a ja wiem, gdzie on się ukrywa. Mamy zatem ze sobą sporo wspólnego.

— Co w zamian? Chce pan uciec do Stanów ze mną? Potrzebuje pan azylu? To da się zrobić, muszę tylko porozmawiać...

Rozmówca roześmiał się szczerze.

— Blisko, ale niezupełnie. Jeszcze nie teraz. Na razie mi tu dobrze, ale mam przecucie, że za kilka lat wszystko się zawali. Runie jak domek z kart. Wtedy mogę potrzebować pana pomocy. Nazywam się Gusztav Borbély, proszę zapamiętać. Gusztav Borbély. Proszę powtórzyć.

— Gusztav Borbély.

— Świetnie. Kiedyś, może za rok, może za dziesięć lat, będę prosił pana o pomoc. A wówczas pan mi tej pomocy udzieli. Ma pan wpływowych przyjaciół, więc myślę, że nie proszę o zbyt wiele.

Mayer skinął głową.

— Czy teraz jestem wolny? Mogę iść na samolot?

— Proszę jeszcze raz powtórzyć, jak się nazywam.

— Gusztav Borbély.

— Za moment wyjdę z tego pokoju. Zostawiam na stole kartkę z adresem kryjówki Putnisa. Pozwalam panu wykonać jeden telefon. — Wskazał stojący na stole aparat. — Połączenie jest szyfrowane, proszę się nie obawiać. Zakładam, że będzie chciał pan zadzwonić do ambasady, na wszelki wypadek na górze strony zanotowałem numer. Kiedy skończy pan rozmawiać, proszę po prostu wyjść tą samą drogą, którą został pan tu przyprowadzony. Nikt nie będzie pana niepokoił.

— I to wszystko?

— Jak się nazywam?

— Gusztav Borbély.

— Mojej twarzy nie musi pan zapamiętać. Ona się może zmienić. Nazwisko wystarczy. — Borbély zgarnął ze stołu papiery i odwrócił się na pięcie.

— Co będzie z Butlerem? — zapytał w ostatniej chwili Mayer, kiedy Węgier kładł już dłoń na klamce. — Jego też wypuścicie?

Rozmówca znieruchomiał, ale się nie odwrócił. Mówił z twarzą skierowaną w stronę drzwi.

— Moja jurysdykcja nie sięga tak daleko. Nie jestem wszechmocny. Mogę pomóc tylko panu. To i tak zbyt wiele. Potężne ryzyko.

Wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami. Mayer położył dłoń na chłodnej ebonitowej słuchawce i wybrał numer.

# SIEDEM

## TOMASZ/ WARSZAWA

Ewa nie wracała do domu i wciąż nie dawała żadnych znaków życia. Tomasz podzwonił po agencjach detektywistycznych i umówił na dzisiaj cztery spotkania. Jeden z rozmówców zwrócił mu uwagę, że dziś jest niedziela, a on w niedzielę pracować nie zamierza. Jego Tomasz przekreślił od razu.

Stracił cały dzień.

Ostatnie spotkanie skończył kilka minut po szesnastej. Wyszedł na gorące czerwcowe popołudnie, utonął w rzece ludzi na Krakowskim Przedmieściu. Umierał z głodu i marzył o solidnym obiedzie, tłustym mięsie, kopcem słonych frytek i wielkim piwie z koroną piany wylewającą się z pokala i ściekającą po szklanej ścianie naczynia. Ruszył w stronę Starówki, ale nigdzie nie doszedł. W kieszeni zadzwoniła komórka, nieznany numer.

— Halo — rzucił do aparatu.

Po drugiej stronie odezwał się zmęczony głos, który należał do komisarza Wojciecha Elmara. Są postępy w śledztwie, proszę wpaść do komendy na Nowolipki, w wolnej chwili, ale najlepiej jak najszybciej. Dziś jest niedziela, ale sztab kryzysowy pracuje bez przerwy.

Jak najszybciej.

Tomasz był tam za trzydzieści minut. Biuro świeciło pustkami. Zapytał recepcjonistę o Elmara, ten wskazał windę i wysapał: „Pierwsze piętro”.

Policjant rezydował w zagraconym gabinecie. Wszędzie wałały się zakurzone teczki z aktami. Na chwiejnym biurku stał stary komputer z potężnym kineskopowym monitorem, zza którego wyłonił się Elmar. Nosił źle dopasowaną sportową marynarkę i miał to samo zmęczone spojrzenie, jakie Tomasz zapamiętał z pierwszego spotkania w hipermarkecie. Uścisnęli sobie dłonie, policjant zapytał o żonę, dlaczego jej nie ma. Tomasz sklecił na poczekaniu wymówkę, dwa lata małżeńskiej niewierności nauczyły go

szybkich reakcji. Ewa nie potrafi dojść do siebie, otrząsnąć się z szoku, przebywa pod stałym nadzorem psychologa. Wołała, żeby Tomasz wybrał się na wizytę sam.

Elmar skinął głową.

— Mam dla pana dobre i złe wiadomości — ogłosił. — Zacznę od dobrych nowin, bo tych jest więcej. Wiemy już sporo na temat porywacza. Użyliśmy danych z programu lojalnościowego, wie pan, świnka-skarbonka, czy jak to się u nich nazywa. Moja żona się w to bawi. — Uśmiechnął się półgębkiem. — Nabijają punkty na quasi-karty kredytowe, więc potrafiliśmy zidentyfikować, kto znajdował się w sklepie w momencie porwania pańskiej córki. Wysłałem chłopaków, dzisiaj od rana jeździli po domach i rozmawiali z ludźmi. Dominowały gospodynie domowe, bo kto normalny zbiera punkty na sprzęt AGD? Tylko kury domowe i emerytki. A baby, co mają niewiele do roboty, są spostrzegawcze. Każdego obejrzą od stóp do głów, i tak też stało się z naszym delikwentem. Zaliczył wpadkę na parkingu – choć wyslizgnął się oczom kamer przemysłowych, nie uciekł przed spojrzeniem wścibskich matron. Podobno dziewczynka się wtedy rozplakała, a on trzymał ją za rękę i nie reagował. Nawet się do niej nie odezwał. Wsiadł potem do czerwonego opla astry i odjechał. I tutaj wpadł po raz drugi. Każdy samochód wjeżdżający i wyjeżdżający z parkingu zostawia ślad na nagraniach ochrony. Okazało się, że w ciągu godziny poprzedzającej porwanie na parkingu pojawiły się dwa czerwone ople astry. Kierowca pierwszego z nich okazał się półgłuchym dziadkiem po siedemdziesiątce, który na pewno nie był człowiekiem nagrany na kamerze wewnątrz sklepu. Drugi samochód to strzał w dziesiątkę. Wzięty z wypożyczalni na Okęciu dwa dni wcześniej i odstawiony na miejsce dwie godziny po uprowadzeniu dziewczynki. Wypożyczający legitymował się paszportem na nazwisko Zoltán Németh. Znaczy się, Węgier. I tu zaczynają się złe nowiny. Unia Europejska. Współpraca transgraniczna. Procedury. Przesłałem informacje do Budapesztu. Obiecali odszukać jegomościa, ale to może potrwać. Biurokracja, pan rozumie, tysiące podpisów, formularzy do wypełnienia, druczków i parafek. Zanim podrzędny detektyw w Budapeszcie ruszy palcem, minie miesiąc, a może kwartał. Nienawidzę spraw międzynarodowych. Zawsze kończą się tak samo. Wielkim niczym.

— Mieszkałem kiedyś w Budapeszcie — powiedział Tomasz.  
— Pracowałem przy projekcie północnego mostu na Dunaju. Tam urodziła się Alicja.

Żrenice Elmara powiększyły się do rozmiarów pięciozłotówek.

— Boże drogi, to ważny wątek. Za chwilę mi pan opowie, tylko skończę... Kobieta z wypożyczalni pamięta naszego Madziara. Raczej starszy niż młodszy, na oko dawała mu czterdziechę, ciemna skóra, jak u Cygana. Pomyślała w pierwszej chwili, że to prawdziwy Cygan, zostawi podrobiony dowód i buchnie brykę, ale odpuściła, przecież mają ubezpieczenie. Tymczasem gość wylegitymował się węgierskim paszportem, mówił płynnie po angielsku. Ale nie rozmawiali wiele, tyle, ile potrzebne jest do wypełnienia formularza. Németh był jednym z kilkudziesięciu klientów, którzy przewijają się codziennie przez biuro, a większość z nich to obcokrajowcy. Teraz sprawdzamy rezerwacje lotnicze. Jakim samolotem przyleciał i dokąd się udał? Na razie bez sukcesów. Chciał nas zmylić i dlatego wziął samochód z Okęcia? Podróżował na inny paszport? Wszystko jest możliwe. Trzeba przekopać się przez materiał z kamer lotniskowych. Koszmarna robota, tysiące godzin. Testujemy właśnie program komputerowy do rozpoznawania twarzy, ale w tym przypadku będzie bezużyteczny, bo brakuje wzorca, na podstawie którego można szukać. Zamiast algorytmu użyjemy baby z wypożyczalni. Siedzi teraz na tyłku i szuka na filmach znajomej twarzy. — Zarechotał, ale w jego głosie nie było złośliwości.

— Skąd macie pewność, że porywacz osobiście wypożyczał samochód? Może kogoś podstawiał?

Elmar jakby się wystraszył.

— Jego portret pamięciowy był spójny z tym, co usłyszeliśmy od klientki sklepu. Proszę teraz opowiedzieć o tym Budapeszcie. Zaintrygował mnie pan.

\* \* \*

Jednym słowem: dramat, pomyślał Tomasz czterdzieści pięć minut później, kiedy wyszedł z komendy policji. Męczyły go głód i uczucie beznadziejności, jak u uciekiniera z łagru, który musi szukać pożywienia na skutej lodem Syberii. Zapragnął jak najszybciej wrócić do domu i zamówić

jedzenie na telefon, pogrzebać w lodówce (gdzieś tam została butelka białego wina, może się założyć), rozsiaść się w fotelu, wyciszyć myśli.

Trzęsły mu się dłonie. Próbował się uspokoić, ale nie potrafił. To z głodu, powtarzał. Nie dostarczam organizmowi niezbędnych składników i siada biochemia w mózgu. Muszę coś zjeść, zjeść. Wtedy się uspokoję.

Wrócił do domu. Ewa czekała w salonie. Siedziała na wykładzinie, na podwiniętych nogach, stukając palcami w klawiaturę laptopa. Nie miał ochoty z nią rozmawiać, chciał postąpić jak zawsze: chyłkiem, na paluszkach, przemknąć do swojego pokoju, zaszyć się na kanapie z aktualną gazetą w dłoniach, nie słuchać, nie odpowiadać na pytania.

Nie udało się.

— Nie wróciłam na noc. Tęskniłeś za mną? Denerwowałeś się?  
— odezwała się z przekąsem, nie podnosząc spojrzenia znad ekranu komputera. — W ogóle mnie nie szukałeś. Ani razu nie zadzwoniłeś, nie wysłałeś nawet SMS-a. Nie pomyślałeś, że mogło mi się coś stać?

Wybełkotał wymijającą odpowiedź: policja jest na tropie porywaczy, wszystko się dobrze ułoży, Alicji na pewno nie stanie się krzywda. Po co miał kłamać? Że tęsknił? No przecież nie.

Wybąkał, że spotkał się dzisiaj z czterema prywatnymi detektywami. Dwóch z nich było freelancerami, pozostała dwójka działała zrzeszona w agencjach. Żaden z nich nie wyglądał na faceta godnego zaufania. Sprawa czekała na osobę o silnym charakterze, potrafiącą działać poza szablonami. Czy ktoś taki znajdował się w zasięgu?

Elmar. Wojciech Elmar.

Tomasz pomyślał, że oficer w policji zarabia grosze; jeśli z nim pogada, być może zgodzi się podjąć wyzwanie, poza godzinami pracy, w ramach specjalnie płatnej fuchy? I zacznie szukać Alicji na dwa etaty.

Tej nocy Tomasz nie zmrużył oka, ku swemu olbrzymiemu zdziwieniu. Było gorąco, zrzucił kołdrę na ziemię i leżał na wznak, wpatrując się w sufit. Nie myślał o niczym szczególnym, niczego nie planował, nie denerwował się – ponieważ w bieżącej sytuacji nie istniała rozsądna alternatywa, nie stał przed żadną decyzją, nie musiał ważyć za i przeciw. Opuści żonę, wyjedzie z kraju: klamka zapadła, nie ma powrotu do starego życia, nie da się już zmienić zdania. Poszukując porwanej córki, Tomasz spleci wobec niej dług



i odkupi swoje winy. W ten sposób domkanie się pętla i każda rzecz trafi na właściwe miejsce, świat Tomasza Szymkowiaka znów stanie się uporządkowany.

Ewa również miała problemy z zaśnięciem. Tomasz słyszał, jak człapie po mieszkaniu, krząta się w kuchni. Trzasnęły drzwiczki od kuchenki mikrofalowej, brzdąkało szkło i szeleściła aluminiowa folia.

Starał się o niej nie myśleć, i w końcu mu się udało.

\* \* \*

Kiedy zapikał zegar elektroniczny, sygnalizując godzinę siódmą, Tomasz spuścił nogi z łóżka i przeciągnął się. Nie czuł się zmęczony – choć prawie nie zmrużył oka. Z portfela wygrzebał wizytówkę Elmara. Znajdował się tam numer telefonu komórkowego. W budżetówce zaczynają pracę skoro świt, pomyślał i wstukał kombinację cyfr na klawiaturze.

Policjant odebrał niemal natychmiast, w połowie pierwszego dzwonka. Nie palił się jednak do rozmowy, dało się wyczuć, że ma na głowie dużo poważniejsze rzeczy i dyskusja z ojcem porwanej ośmiolatki wcale nie jest sprawą priorytetową.

— Nie ma potrzeby, abym umawiał się dzisiaj z panem na obiad — klarował Tomaszowi. — Od wczorajszego popołudnia nie udało nam się dowiedzieć niczego nowego. Będę z panem w kontakcie.

Tomasz nie zamierzał odpuścić, aż wreszcie Elmar zorientował się, że nie chodzi wcale o postępy w śledztwie.

Spotkali się wczesnym popołudniem na Nowym Świecie, na lekki lunch w barze sałatkowym. Wybrali stolik przy oknie.

— Czuję się jak manekin na wystawie — skomentował Tomasz.

— A ja zupełnie odwrotnie. — Elmar pokręcił głową. — Proszę spojrzeć na sprawę z drugiej strony: to pan widzi każdego przechodnia. Przy prowadzeniu śledztwa ta perspektywa jest znacznie cenniejsza. — Zanurzył widelec we wstęgach selera i wydlubał rodzynekę. — Czego pan chce?

— Chcę, aby szukał pan mojej córki także poza godzinami pracy. Dobrze zapłacę. — Tomasz nawet nie sięgnął po sztućce.

Elmar zaczął mówić natychmiast, jakby spodziewał się podobnej prośby i miał z góry przygotowaną odpowiedź:

— Drogi panie, to nie takie proste, jak się z pozoru wydaje. Siedzę w pracy po osiem godzin dziennie. Często w weekendy. Mam żonę i dwójkę dzieciaków. Muszę spędzać z nimi trochę czasu. Oprócz tego spać, jeść, czasami posiedzieć bezmyślnie przed telewizorem i poskakać pilotem po kanałach. Kiedy zatem, zdaniem pana, miałbym znaleźć dodatkowy czas, by zająć się przypadkiem pana córki?

Tomasz zaczął się jąkać. Niby reakcja komisarza była najzupełniej przewidywalna, niby wcześniej przygotował sobie argumenty, a i tak zapomniał języka w gębie.

— Tak... nie... to niedokładnie tak... Mówił pan, że sprawa będzie szła trybem międzynarodowym. Biurokracja, formularze, druki. Nie można tego jakoś przyspieszyć? Pchnąć sprawę na szybszy tor? Zrobić coś? Cokolwiek? Załatwić?

Wojciech Elmar westchnął ciężko i dobrotliwie się uśmiechnął, jakby tłumaczył sprawę dziecku.

— Jak pan to sobie w ogóle wyobraża?

W odpowiedzi zobaczył rozłożone bezradnie dłonie.

Właśnie, jak to sobie wyobrażał? Dzielny policjant ze służbową spluwą wciśniętą z tyłu za pasek spodni wyruszy w miasto? Zstąpi w warszawskie podziemie, odwiedzi zakazane kamienice na Pradze, spotykając się z łącznikami reprezentującymi półświatek stolicy? Kilka razy da komuś po mordzie, raz sam zbierze solidny łomot, przeżyje gwałtowny romans z prostytutką, która wskaże mu właściwą osobę? Cudem wydostanie się z przygotowanej przez kidnaperów pułapki, akcja skończy się w opuszczonej hali przemysłowej na Targówku albo w Ursusie, gdzie wywiąże się strzelanina, Elmar w ostatniej chwili odepchnie Alicję sprzed linii ognia i sam zaliczy niegroźny postrzał w ramię, ale oczywiście przeżyje.

Tego się spodziewał?

Jezus Maria, przecież Elmar jest czterdziestokilkuletnim facetem z rodziną i niespłaconym kredytem hipotecznym, który na co dzień zadręcza się wysokim kursem franka szwajcarskiego. To nie Brudny Harry ani Philip Marlowe. Pracuje od siódmej do piętnastej. Należy do zawodowego związku

policjantów. Czyta tabloidy i ogląda w telewizji mecze polskiej ligi, pije dużo piwa, a co kilka tygodni w sobotę wychodzi z kumplami na wódkę. To jest prawdziwe życie.

— Bardzo mi przykro. — Policjant unikał kontaktu wzrokowego. — Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla pana zrobić?

Tomasz pokręcił głową. Zatem nie Elmar. Kto mu został?

Nikt.

Musiał znowu szukać, dzwonić, umawiać się na spotkania ze smutnymi facetami w za ciasnych garniturach, znosić ich nieświeży oddech i kwaśny smród potu.

— W takim razie mam dla pana jeszcze jedną informację. — Elmar pochylił się nad blatem, mówił konspiracyjnym szeptem. — Widzi pan tego człowieka trzy stoliki dalej? Tego, który czyta gazetę... Właśnie tego. To mój stary znajomy. Nazywa się Andrzej Bajbak. Jest prywatnym detektywem, kiedyś pracował w policji. Może z nim pan pogada w sprawie córki? Od ręki zadania nie weźmie, bo ma inne zlecenie – śledzi pana. Pojawił się w barze chwilę po panu i cały czas pana dyskretnie obserwuje. Niech się pan przekona – kiedy pan wyjdzie, on wyjdzie za panem. Proszę się nie bać, Bajbak to poczciwy facet. Rzeczowy, skrupulatny, ale nie skrzywdzi nawet muchy. Ma pan pomysł, dlaczego pana śledzi? Komu może na tym zależeć?

Tomasza zamurowało.

— Ostatnio nie potrafię znaleźć wspólnego języka z żoną — odpowiedział w końcu wymijająco, a policjant pokiwał ze zrozumieniem głową.

Stało się tak, jak przepowiadał Elmar. Tomasz wyszedł z baru, a chwilę potem Bajbak niespiesznie złożył gazetę i również ruszył w stronę drzwi.

Nowym Światem nie spacerowało wiele osób, więc Bajbak miał ułatwione zadanie. Mały ruch sprzyjał jednak również Tomaszowi. Zatrzymał się przed wystawą księgarni uniwersyteckiej, oglądał okładki książek. Detektyw szedł dalej i zamierzał minąć śledzonego, by zacząć się kilkanaście metrów dalej. Bezskutecznie.

W chwili, kiedy Bajbak znalazł się na jego wysokości, Tomasz chwycił go za rękaw koszuli.

— Andrzej Bajbak — wyszczał ze złością. — Detektyw Bajbak.

— Tomasz Szymkowiak — uprzejmie odpowiedział zaczepiony.  
— Wiele o panu słyszałem, ale jak dotąd nie miałem przyjemności osobiście.

Prywatny detektyw wyglądał jak dziadek z reklamy funduszu emerytalnego. Przyprószone siwizną włosy i sieć zmarszczek wokół oczu, ale twarz czerstwa i opalona, zdrowe oczy, uśmiech psotnika. Wszystko mówiło, że Bajbak pomimo wieku wciąż jest krzepkim facetem i lepiej mu w drogę nie wchodzić.

Tomasz przyjął wyciągniętą przez detektywa dłoń. Bajbak miał mocarny uścisk, jakby ostatnie trzydzieści lat pracował przy wyrębie lasu.

— Jak pan mnie poznał? — Detektyw wcale się nie zdenerwował demistyfikacją. Szybko zresztą dodał dwa do dwóch. — Wskazał mnie Elmar, prawda? Myślałem, że przez wzgląd na dawne czasy Wojtek zachowa dyskrecję...

— Proszę przekazać swojej pracodawczyni — rzekł Tomasz, a z każdym słowem w dole brzucha pęczniała złość — że niepotrzebnie się pan trzudzi. Szukam teraz porwanej córki, a nie chodzę do kochanki. Ewa ma wszystkie dowody, pozew o rozwód został już złożony, adwokat czeka w gotowości. Po co jej kolejne zdjęcia? Po co pan za mną łązi? — wypluwał z siebie kolejne słowa. Wpatrywał się w człowieka, który śledził Adriannę, widział jej koleżanki, jako obserwator uczestniczył we wszystkich wydarzeniach zwykłego dnia dziewczyny; który wiedział o niej więcej niż Tomasz.

— Sam pan może jej to powiedzieć. Po co panu pośrednik? Ewa jest pana żoną. Mieszkacie wciąż razem, o ile się orientuję — odparował detektyw.

— Już niedługo. Uwierz mi, że już, kurwa, naprawdę niedługo. Tę informację również proszę jej przekazać.

Tomaszowi trzęsły się ręce. Co się ze mną dzieje?, powtarzał w myślach. Po chwili trząsł się już cały. Jeszcze moment, jedno nierozważne słowo, niepotrzebny gest, głupi uśmiech, a z całych sił uderzy Bajbaka w szczękę — nieważne, że stoją na Nowym Świecie w środku dnia, kilka minut przed trzynastą, mijani przez przypadkowych przechodniów.

Detektyw wyczuł nastrój Tomasza, grzecznie podziękował za rozmowę i ruszył przed siebie, w stronę Krakowskiego Przedmieścia.

\* \* \*

Bajbak stał się tematem tabu. Po spotkaniu z Elmarem Tomasz wrócił do domu; Ewa siedziała przed włączonym telewizorem, ale nie patrzyła w ekran, tylko w okno. Oczy miała szkliste, zasnuwane mgiełką.

— Nie jesteś w pracy?

Zignorowała pytanie. Sfrustrowany Tomasz miał ochotę wybuchnąć: dlaczego w dalszym ciągu Ewa finansuje detektywa? Przecież świetnie wie, że w życiu męża jest inna kobieta!

Nie powiedział jednak nic, zamknął się w pokoju. Późnym wieczorem, grubo po dwudziestej trzeciej, zadzwonił Elmar. Okropny dzień, policjant został dłużej w robocie. Paskudna bójka na Powiślu, znaleźli chłopaka z roztrzaskaną głową, z uszu chlustała krew. Warszawa jest wrednym miejscem – rozwodził się przez telefon komisarz Elmar, który w dni takie jak dzisiaj zastanawiał się nad celowością wszechświata. Męczyła go namolna myśl, że rzeczywistość jest jak wielkie pudło puzzli, do którego ktoś (ale kto?) wsypał elementy z tysiąca różnych zestawów. Nic tu do siebie nie pasuje, żadna rzecz nie znajduje się na swoim miejscu. Nie ma celu ani ładu. Uporządkowany ruch, dążenie do czegoś zastąpione jest zupełnym chaosem. Są chwile, kiedy stoisz pod obszczańską estakadą, patrzysz na chłopaka w dżinsowej kurtce, leżącego twarzą wciśniętą w asfalt, uważasz, aby nie wdepnąć w pojezierza krwawych kałuż – i masz wtedy ochotę upaść na kolana i wyrzygać obiad. Potem podnosisz głowę, widzisz samochody sunące mostem Poniatowskiego, i wszystko wydaje się wykastrowane z sensu. Policjant nawijał do telefonu jak nakręcony, a Tomasz zastanawiał się, ile kielichów po służbie wychylił dzisiaj rozmówca.

Elmar miał metodę, co robić, by nie zwariować i pewnego dnia nie wjechać windą na dziesiąte piętro ursynowskiego wieżowca i nie zacząć strzelać ze służbowej broni do emerytek wyprowadzających psy, do stojących pod klatką wyrostków, do rozwrzeszczanych bachorów i osiedlowych lafirynd w krótkich spódniczkach. Co robić? Żyć prosto. Najprościej, jak tylko się da. Wierzyć prostym zasadom. Białe jest białe, i tak dalej. Żadnych wątpliwości. Żadnych szarości i półcieni. Białe i czarne.

Czarne i białe.

Elmar prawie płakał do słuchawki. Tomasz zachodził w głowę, co jeszcze prócz alkoholu skłoniło go do zaskakujących zwierzeń.

— Wierzę panu — sapał policjant. — Ufam panu. Porwali panu córkę. Dlatego panu pomogę. Pomogę, jak tylko będę potrafił. Znam ludzi w Budapeszcie. Dobrze się składa, przecież kiedyś prowadziłem sprawę razem z węgierską policjantką. I nie chcę żadnych pieniędzy. Nie robię tego dla pieniędzy.

Kiedy skończyli, Tomasz odetchnął z ulgą. Jeden raz, potem drugi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez całą rozmowę wstrzymywał oddech. Tej nocy zasnął szybko i nie miał snów.

\* \* \*

Na drugim końcu miasta Wojciech Elmar bez końca przewracał się z boku na bok. Było gorąco, podczas długiego dnia wielkopłyty blok nagrzał się jak piekarnik i teraz wciąż nie dało się oddychać. Tuż obok, odwrócona plecami, przez sen cicho pochrapywała żona policjanta. Komisarz próbował się w nią wtulić, wpasować kolano pomiędzy jej ugięte nogi, oprzeć czoło na karku, jednak żona lepiała się od potu, co zniechęciło go do małżeńskich czułości. Ściągnął kołdrę i dźwignął się z łóżka.

Stanął w oknie. Patrzył na pograżony we śnie Ursynów. Żelbetonowy las strzelających w niebo bloków, niczym kopce monstrualnych termitów. Lubił analizować nieregularne mozaiki rozświetlonych okien i myśleć, że za każdym z nich skrywa się jakaś rodzinna historia, prywatny świat problemów, marzeń i nadziei. Lecz dzisiaj nie potrafił się skupić na czymkolwiek innym niż zmasakrowany chłopak z Powiśla.

Zawieźli go na neurochirurgię na Banacha. Jutro rano Elmar tam zadzwoni i zapyta, jak poszła operacja. Myśl o okropieństwach świata szybko przywiodła go do Tomasza Szymkowiaka.

Dlaczego policjant zdecydował się mu pomóc? Dlaczego zaufał Szymkowiakowi już wtedy, kiedy zobaczył go przed półką w hipermarkecie, przestraszonego, zagubionego w sklepie o powierzchni czterech tysięcy metrów kwadratowych, szukającego wzrokiem kontaktu? Pomyślał wtedy, że dobry z niego człowiek, a potem długo nie potrafił pogodzić się z myślą, że jest inaczej.

A jednak dziś do niego zadzwonił.

Wcześniej poszło łatwo. Zdziwiająco łatwo jak na potencjalną złożoność tematu. W ciągu dnia Elmar odświeżył swoje budapeszteńskie kontakty. Detektyw Emese Nagy wciąż rezydowała w ponurym policyjnym gmazysku przy ulicy Deák Ferenc. Poznali się pięć lat temu, prowadząc wspólnie sprawę polsko-węgierskiego gangu narkotykowego, który właśnie reorganizował wewnętrzną strukturę, co skutkowało krwawymi porachunkami. Elmar świetnie pamiętał ich pierwsze spotkanie.

Emese wydała mu się wtedy przepełnioną cynizmem technokratką, w której brak choćby cienia empatii. Nie potrafił zapomnieć jej wystąpienia podczas pierwszej narady policjantów w międzynarodowym gronie.

— Najlepiej nie róbmy nic — przemawiała, a nie mówiła. W oczach dziewczyny płonęły ognie jasne jak eksplodujące butelki z benzyną. — Niech wyróżną się sami. Wtedy wkroczymy. To nie ludzie, to robaki. Pozostawmy ich samych sobie, niech pozagryzają się na śmierć.

Miała powody, aby sięgać po radykalne rozwiązania. Każdego dnia byli świadkami krwawych jatek – a to strzelanina w sali kinowej, a to eksplozja samochodu-pułapki przed speluną w Budzie. Z czasem gangsterzy zmienili sposób i miejsce działania.

Co drugi dzień, świtem bladym i zimnym jak oblicze dwudniowego nieboszczyka, zaspany posterunkowy w Warszawie odbierał telefon. Zawsze powtarzał się ten sam scenariusz. Ktoś szedł do pracy na wczesną zmianę i wychodząc z domu, zahaczył o śmietnik. Ktoś inny wygrzebał się z pieleszy na chłodny wiosenny poranek, aby wyprowadzić psa; puścił zwierzaka samopas, a sam ukrył się w półcieniu klatki schodowej, chuchał z zimna w zwinięte dłonie, wreszcie zapalił papierosa, który wypadł mu z rozdziawionej gęby, kiedy radosny Azor przyniósł w pysku ludzką rękę, odgryzioną powyżej łokcia.

Wszędzie znajdowali paskudnie okaleczone ciała. Zmiażdżone jądra, przypalone powieki, powyrywane paznokcie, skóra z pleców zrywana pasami – rzeczy, które same nigdy nie przysłyby Elmarowi do głowy, a potem miały męczyć go w koszmarnych snach przez kilka kolejnych lat. W ten sposób gang narkotykowy rozprawiał się ze zdrajcami i kapusiami, dając przestroge wątpięcym. Świat zmierzał w parszywym kierunku.

Do Polski przyjechali z pomocą specjaliści z Węgier, a wśród nich czarnowłosa i porywczą Emese Nagy o niemowlęco wielkich oczach, która postulowała, aby pozostawić rzeczy swojemu biegowi i interweniować w ostatniej chwili, kiedy gang będzie słaby, wykrwawiony konfliktem.

Sala odpowiedziała jej ironicznym buczeniem. Reakcja publiczności nie zawstydziła Emese, dziewczyna miała przygotowaną kolejną część wystąpienia, ale nie pozwolono jej dojść do głosu. Posypała się kontrargumentacja, a młoda sierżant zamilkła, na policzkach w końcu wykwitły jej czerwone plamy; milczała, ale każdy widział, że nie zgadza się z żadnym słowem wypowiedzianym przez polsko-węgierski policyjny establishment.

Potem Elmar podszedł do niej i zaczął rozmawiać. Na początku obawiał się o swój angielski, że mówi nieskładnie i w ferworze wypowiedzi popełnia podstawowe błędy gramatyczne. Ale ona nie zwracała na to uwagi. Słuchała w skupieniu, kiwała głową, kiedy się zgadzała, lub gwałtownie protestowała, gdy mówił głupoty. Jej bezpośredniość przypadła mu do gustu. Lubił takich ludzi. Ludzi, którzy walą prawdę prosto z mostu, za nic mając konwenanse, którzy nie stroją konwersacji w półsłówka i niedopowiedzenia, nie tkają sieci aluzji, lekceważą tajemnicze uśmiešky i mrugnięcia okiem.

Emese Nagy. Śmiesznie, ale na początku nie wiedział, co jest imieniem, a co nazwiskiem. Niby Madziarzy mają odwrotną kolejność, ale może przedstawiając się, chciała zachować normalny porządek? Żeby nie palnąć gafy, starał się używać neutralnego „You”.

Dowiedział się, że dziewczyna ma dwadzieścia pięć lat i jest w Polsce po raz pierwszy. Jej węgierscy koledzy planowali wieczorem popijawę w hotelu, ale ona nie miała zamiaru siedzieć w ich towarzystwie i tysięczny raz słuchać tych samych seksistowskich dowcipów. Chętnie wybrałaby się na spacer po Warszawie, ale potrzebuje przewodnika.

Zadzwoił wtedy do żony i powiedział, że narada się przedłuży, a potem wszyscy wybierają się na kolację. Zaprasza generał, polityczna sprawa. Niech sama wykąpie dzieciaki, on wróci późno.

Potem odwiózł Emese (to było jej imię) do hotelu – węgierska delegacja spała przy placu Zawiszy – i zczekał w samochodzie. Nagy przebrała się w lżejsze ciuchy, spódniczkę za kolana i balerinki. Do boku przyciskała



mikroskopijną torebkę. Wsiadła do samochodu, trzasnęła drzwiami, ruszyli w stronę Starego Miasta.

Cały czas rozmawiali. Cztery i pół godziny – tyle spędził w towarzystwie węgierskiej policjantki, a miał wrażenie, że poznał ją lepiej niż kogokolwiek innego na ziemi. To mógł być początek wielkiej miłości, która przetrwa do końca parszywego świata. Emese była do niego podobna i choć wychowali się i żyli w innych realiach, na wiele spraw patrzyli w identyczny sposób. Zgadzała się, że cywilizacja zmierza w złym kierunku, znaczenie traci prawda, która tonie w gąszczu półprawd, ćwierćwyjaśnień i decywykładni. Ludzie zamykają się na strzeżonych osiedlach, w fortcach apartamentów, komunikują za pomocą telefonów komórkowych, poczty elektronicznej i Facebooka. Prawdziwe więzi międzyludzkie zdychają. Ale zjazd po równi pochyłej nie będzie trwał wiecznie. Pewna formuła świata się wyczerpuje i zbliża się coś wielkiego. Nieoczekiwanego. Redefinicja starego porządku, światowy konflikt zbrojny, globalna rewolucja, która przewartościuje współczesny sposób myślenia. Wielka rzecz, która nie mieści się w głowach obecnie żyjących, choć wydarzy się za ich życia, już za moment.

O dwudziestej trzeciej odwiózł Emese do hotelu. Nie wysiadła od razu z samochodu. Odpięła pas i milczała, uśmiechając się tajemniczo. Nie musiała się odzywać, zapraszać na szybkiego drinka do hotelowego baru. Sygnały z jej strony były wystarczająco czytelne.

Elmar mógł pójść z nią do pokoju – jeśli tylko miałby na to ochotę. Nie poszedł. W domu czekała żona, dzieci spały w łóżeczkach ze szczebelkami, przykryte kołderkami z kolorowymi postaciami z kreskówek Disneya. Nie potrafił im tego zrobić. Emese nie miała pretensji – może w ten sposób Elmar tylko zyskał w jej oczach?

Policjant nigdy się tego nie dowiedział, bo już się z Emese poza komendą nie spotkał. Potem kontaktowali się często, wymieniali e-maile, dzwonili do siebie, rozpracowując ponadnarodowy gang. Ale nie rozmawiali już o sobie. Wreszcie sprawa dobiegła końca, a jej finał trafił na pierwsze strony gazet. Wielka strzelanina w blaszanych magazynach na przedmieściach Warszawy, gdzie mieścił się punkt przeładunkowy narkotyków przywożonych do Polski tirami lipnej firmy logistycznej. Zginęło pięciu gangsterów i jeden policjant. Młody chłopak, trzeci rok służby, osierocił miesięcznego dzieciaka.

Pozbawieni pretekstu, Elmar i Nagy zrezygnowali nawet z mejli. Dopiero teraz – pięć lat później – policjant mógł z czystym sumieniem sięgnąć po telefon i wybrać numer Emese.

Okazało się, że nadal żyje na państwowym garnuszku, łapiąc przestępców i rozwiązując sprawy, na których inni połamali sobie zęby. Zrobiła imponującą karierę. Urodziła dziecko, córkę o imieniu Frida, która na rok wyłączyła ją z życia zawodowego.

Kiedy Wojciech zadzwonił, od razu zapaliła się do sprawy i obiecała pomóc niezależnie od formalnych procedur, które wszczęła polska policja.

\* \* \*

Zoltán Németh – paszportem na takie nazwisko porywacz wylegitymował się w lotniskowej wypożyczalni samochodów. Elmar słusznie podejrzewał, że dokumenty podrobione były tylko do tego celu. W rezerwacjach lotu figurowały zupełnie inne dane – Victor Székely. Połączyli nazwisko z osobą, analizując materiał z lotniskowych kamer. Na szczęście nikt nie musiał oglądać całości nagrań, tysiący nudnych godzin ze spóźnionymi pasażerami biegnącymi przez halę odlotów czy wijącymi się jak obłe robaki kolejkami do wakacyjnych czarterów. Rozwiązania IT umożliwiały wycięcie każdej zarejestrowanej na nagraniu twarzy i – niezależnie od kąta ujęcia – przemodelowanie jej do pełnego *en face*.

Dziewczyna z wypożyczalni samochodów siedziała w ciemnym pomieszczeniu, a multimedialny rzutnik wyświetlał pokaz slajdów: twarz, twarz, twarz, twarz, twarz, twarz, twarz... Kiedy któreś oblicze wydawało jej się podejrzane, naciskała wielki czerwony przycisk. Podczas pierwszej ekspozycji materiału użyła go piętnaście razy. W drugim podejściu skupili się na przesianym materiale. Z piętnastu zrobiło się sześć trafień, potem cztery, a na koniec dnia znikły wszystkie wątpliwości. Mieli jednego, jedyne, bezdyskusyjnego, niepodważalnego podejznanego. W dodatku zlokalizowali go na lotnisku dwukrotnie: zarówno w momencie przylotu, jak i samotnego odlotu dwa dni po porwaniu dziewczynki.

Victor Székely leciał liniami Malev. Punkt zaczepienia dla Emese. Węgierscy policjanci mieli ułatwione zadanie. Nie musieli analizować całego materiału wideo, lecz jedynie ograniczyć się do wąskiego okienka czasowego.

Samolot wylądował na lotnisku Ferihegy z piętnastominutowym opóźnieniem. Była dwudziesta pierwsza dwadzieścia jeden. Człowiek legitymujący się dokumentami na nazwisko Victor Székely odebrał bagaż o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Miał niewielką szarą walizkę na kółkach, całą w naklejkach z nazwami lotnisk na całym świecie. Kamery złapały każdy szczegół. Następnie wyszedł przed budynek lotniska i zbliżył się do czekającego taksówkarza. Oglądając nagranie, Emese zapiszczała z radości. Mieli jak na dłoni: nazwę korporacji przewozowej, tablice rejestracyjne samochodu, numer boczny taksówki.

I w tym miejscu zaczynały się złe wiadomości. Székely pojechał do hotelu sieci NH mieszczącego się przy ulicy Vígszínház i tam dokonała się kolejna transformacja osobowości. Stojąc przed hotelowym kontuarem, patrząc w szeroki uśmiech wymuskanej recepcjonistki, z wewnętrznej kieszeni sztruksowej marynarki wyciągnął paszport na nazwisko Krisztian Török. Tutaj trop się urywał.

Zoltán Németh *vel* Victor Székely *vel* Krisztian Török pomieszkał w czterogwiazdkowym hotelu jeden dzień. Dziewczyny z recepcji pamiętają go dość dobrze. Mówił po węgiersku z obcym, ale nieokreślonym akcentem, skóra na twarzy i przedramionach (tyle odsłaniał, nosząc rozpinaną koszulę w niebiesko-granatową szachownicę) była nieco ciemniejsza niż u statystycznego Węgra, wpadająca w oliwkę. Wyglądał na Serba z okolic Wojwodiny albo Albańczyka z pogranicza. Kiedy wyjeżdżał, uregulował płatność gotówką. I tyle go widzieli.

Oczywiście Emese sprawdziła rezerwacje biletów lotniczych na wszystkie trzy podejrzane nazwiska, ale tym razem nikogo nie trafiła. Albo podejrzany korzystał z kolejnego fałszywego paszportu, albo nigdzie nie poleciał.

Znaczy się, zawodowiec.

No i kolejne pytanie: co stało się z dziewczynką? Mężczyzna wyprowadził ją ze sklepu w Polsce, a do Budapesztu przyleciał samotnie. Mała została w Polsce? Najbardziej prawdopodobna odpowiedź. Szymkowiak się ucieszy.

Emese Nagy miała mnóstwo pomysłów. Po pierwsze, policyjny instynkt podpowiadał jej, że po całej aferze ktoś nie będzie siedział w stolicy, naszpikowanej przemysłowymi kamerami wideo, gdzie może wpaść przez głupi błąd, ktoś na podstawie listu gończego rozpozna jego gębę. Musiał

wyjechać, a może nawet i wylecieć, gdzieś daleko, gdzie zaszyje się na piaszczystej plaży, popijając drinka z parasolką i czekając, aż w Europie sprawa przycichnie. Dlatego skupiła wysiłki na samolotach. Dogadała się z chłopakami z działu rozwoju, którzy testowali software do maszynowego *face recognition*. Jako wzór zapodali nagrania z Okęcia i program przeczesywał zapis wideo z budapeszteńskiego lotniska, analizując twarze podróżnych, szukając zgodności z wejściowym wzorcem.

Oprócz tego szperała po policyjnych bazach danych, rozpuściła wici wśród informatorów z półświatka. Coś musiało być na rzeczy. Trzy fałszywe paszporty, jeden po drugim, to raczej grubsza ryba. Facet nie działał w pojedynkę, ktoś będzie coś wiedział i puści parę z gęby. Nie ma szans, by utrzymać taką sprawę w tajemnicy.

Obiecała Elmarowi, że odezwie się najpóźniej za tydzień.

Czy zadzwoni?

# OSIEM

## MAYER/ LANGLEY 1984

Podczas lotu powrotnego do Stanów Mayer nie zmrużył oka, wierząc się bez przerwy, szukając wygodnej pozycji, jakby luksusowy fotel w klasie biznes zmienił się w nabite gwoździemi łoże tortur. Ale przynajmniej znów mógł jasno myśleć, wolny od strachu, który paraliżował go w Budapeszcie.

Andrejs Putnis potrzebował rocznika statystycznego Związku Radzieckiego za rok 1979. Co z nim robił? Omega zeznał, że rocznik statystyczny służył jako generator liczb losowych wykorzystywany do szyfrowania danych podczas transmisji radiowej. Tu właśnie krył się kruczek. Mayer zatarł z radości dłonie. Liczby zgromadzone w roczniku statystycznym wcale nie miały losowego charakteru.

I zamierzał wykorzystać ten fenomen, aby namierzyć kreta wewnątrz Trójcy.

W Stanach na lotnisku odebrała go delegatura funkcjonariuszy CIA. Intensywne przesłuchania przeciągnęły się do później nocy. Mayer zasypiał nad plastikowym kubkiem kawy z automatu. Tarł zapuchnięte ze zmęczenia oczy. Postanowił nie zdradzać, że Butler powiedział mu o Omedze i szpiegu wewnątrz Trójcy Świętej, a agenci sami nie poruszyli tego tematu. Czy Butler nie zdażył przekazać tej informacji do Stanów? Pomimo wielu pytań ze strony Mayera, nikt nie chciał powiedzieć, co się stanie z Lance'em, czy zostanie przekazany Amerykanom i na jakich warunkach.

Nazajutrz przyszedł do biura z samego rana, choć marzył o całym dniu w łóżku, leniwych godzinach wypełnionych przeczucaniem kolejnych stron w kolorowej prasie, wędrówce po kanałach kablówki w poszukiwaniu ciekawego programu, może obejrzeniu filmu sensacyjnego z kasety VHS.

Z gabinetu połączył się przez interkom z Robertem Kashgoffem.

— Wpadaj natychmiast — rzekł zdumiony psycholog.

Nikt go nie poinformował o nieoczekiwanym zakończeniu budapeszteńskiej misji.

— Wypuszczą Butlera? — zapytał, gdy wysłuchał szczegółowej relacji.

Fizyk nie odpowiedział.

— Musisz mi pomóc. Lance się nie mylił. W Langley istotnie jest kret, ale siedzi świetnie zakamuflowany. W miejscu, w którym nikt się tego nie spodziewa. W samej Trójcy Świętej. Lepszej kryjówki nie mógł sobie wymyślić.

Kashgoff otworzył usta i zastygł w takiej pozie – wyglądał jak postmodernistyczna rzeźba, nadnaturalnej wielkości człowiek zastygły w formalinie.

— W Trójcy Świętej? — wysapał wreszcie. — Ale kto?

— Wkrótce się okaże. — Mayer rzucił na stół rocznik statystyczny ZSRR i otworzył go na przypadkowej stronie. Trafił na wielką tabelę wypełnioną trzy- i czterocyfrowymi liczbami. Próbował przeczytać nagłówki, ale dawno już zapomniał cyrylicy. To nie było istotne.

— Spójrz na trzecią kolumnę i dyktuj mi po kolei pierwsze cyfry każdej z liczb. Będę je zapisywał.

— Pierwsze cyfry każdej z liczb? — Kashgoff jakby się przebudził. — Po cholere ci pierwsze cyfry?

— Przekonasz się.

Skończyli po czterdziestu minutach. Małymi, gęsto zapisanymi cyferkami Mayer wypełnił dwie wyrwane z zeszytu kartki. Musiał sprawdzić jeszcze jedną rzecz, ale potrzebował do tego skupienia.

— Zorganizuj mi teraz salkę do testów. Trójca Święta ma być za godzinę gotowa do kolejnego eksperymentu.

W normalnych okolicznościach Kashgoff zwróciłby uwagę Mayerowi, żeby ten nie odzywał się do niego takim tonem i nie traktował go jak podwładnego. Ale tym razem okoliczności nie były normalne i psycholog doskonale wyczuwał powagę sytuacji. Pędem ruszył do drzwi, ale w ostatniej chwili się zatrzymał, zamarł w pół ruchu.

— Co się stało?

Chwila wahania, twarz przecięta grymasem.

— Kiedy pojechaliście do Budapesztu, nas na dwa dni wywieźli do bunkra atomowego, nie wiem gdzie. Lecieliśmy awionetką jakieś półtorej godziny, potem jechaliśmy hummerem przez las następną godzinę. Jeśli dobrze rozumiem, obawiali się ostatecznego rozwiązania i dlatego nasze tyłki były kwestią bezpieczeństwa narodowego. — Zachichotał nerwowo. — Warunki raczej marne, nie był to Sheraton.

Kashgoff umilkł. Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale nie chciało mu to przejść przez gardło.

— Co się tam stało? — zapytał delikatnie Mayer, uniósłszy wzrok znad rocznika statystycznego i stron zapisanych kolumnami liczb. — Co wydarzyło się w bunkrze?

— Sarah McCaughan. Wstąpiło w nią coś dziwnego. Epatowała seksem. Chodziła w krótkich sukienkach, nie zakładała stanika. Widok jej sterczących sutków pod przepoconym materiałem koszulki robił się nie do zniesienia. Oczywiście w każdej wolnej chwili bzykała się z Kevinem, ale to nie wszystko. — Kashgoff przełknął ślinę, podskoczyła grdyka. — Jednej nocy wylądowała też w łóżku z Ortegą.

Mayer uśmiechnął się szeroko.

— Pierdoliła się z Brandonem Śmierdzielem? Co jej strzeliło do łba?

Robertowi wcale nie było do śmiechu.

— To jest destrukcyjne dla grupy, nie rozumiesz? Z punktu widzenia psychologii grupa trzyosobowa jest najmniej stabilna. Trójca Święta od początku skazana była na porażkę. A teraz? Kevin o niczym nie wie. On jest najnormalniej w świecie zakochany w Sarze, a laska robi go w chuja. Kiedy chłopak się dowie, będzie pozamiatane.

— Kurwa, chcesz przez to powiedzieć, że przez napalonego gówniarza przegramy konfrontację z Ruskimi? Wujek Sam nie może zabawić się w sponsora i wynająć mu legionu dziwek? Ja potrzebuję go tylko przez godzinę dziennie, niech dobrze zgaduje cyfry, a resztę czasu może ruchać cyncate blondyny na koszt podatników. To i tak lepiej zainwestowane pieniądze niż wiele rządowych projektów.

Kashgoff odetchnął głęboko.

— Po prostu chciałem, żebyś o tym wiedział.

Zniknął za drzwiami. Zobaczyli się trzy kwadransy później. Psycholog przygotował do testu wyciszoną salkę z lustrem weneckim, ukrytą w najodleglejszych zakamarkach biurowca. Mayer siedział za stołem, na którym rozłożył czyste kartki papieru i przygotował długopisy. Do plastikowych kubeczków nalał wodę z dystrybutora. Wszystkim sprzedał to samo kłamstwo.

— Ostatnio w Nowym Jorku zdekonspirowany został ruski szpieg. Prawdziwa gruba szycha. Udało mu się jednak wymknąć z obławy i teraz ukrywa się gdzieś w mieście, czekając, aż rodacy zorganizują mu pomoc i przerzucą go bezpiecznie przez Atlantyk. Szyfruje komunikaty, wykorzystując do tego ciągi losowych cyfr. Część kluczy kodowych udało się przechwycić. — Tu Mayer pokazywał leżące na stole karty z liczbami pobranymi z Putnisowego rocznika statystycznego. — Spróbujcie zgadnąć te liczby i dodatkowo pozostałe, których nie udało się jeszcze przechwycić. Odkodowanie transmisji radiowej ma kolosalne znaczenie dla naszej obronności. W rękach Ruska jest bowiem informacja na temat tożsamości wielu szpiegów działających na terenie Stanów Zjednoczonych, w tym też kreta w samym centrum Langley.

Mayer nigdy nie uważał się za dobrego psychologa i nie znał się na ludziach – zamiast tego wolał cząstki elementarne, prawa statystyki i mechanikę kwantową. Tamten dzień zapamiętał do końca życia. Siedział przy biurku, na chyboczącym się krześle, zaglądał w oczy kolejnym psychotronikom i czuł się bezradny. Nie umiał przeniknąć ich myśli, zerwać kurtyny fałszu.

Kim oni, do cholery, naprawdę byli?

Trójca Święta. Jeźdźcy Apokalipsy na ognistych rumakach, wybetonowane silosy pełne pocisków balistycznych za nimi, przed nimi termonuklearne tsunami, chłód postatomowej zimy i cisza cmentarza.

— Pięć? — upewnił się Kevin. — Mam powtarzać cyfry w pakietach po pięć? Zgadywać liczby, które przechwyciliście od tamtego szpiega?

Mayer skinął głową.

— W pakietach po pięć będzie łatwiej analizować. Mów powoli. Notuję.

Kevin siedział przed nim dumny i wyprostowany, Mayer zaś czuł się jak zapchlony kundelek u stóp pana. Piesek, który nie ogarnia złożoności świata



ludzi, potrafi jednak interpretować proste sygnały. Jaki jest nastrój właściciela? Merdać ogonkiem czy wleźć pod fotel, kuląc się ze strachu? Pomyślał, że tak właśnie będzie się czuł w dzień Sądu Ostatecznego, kiedy stanie przed obliczem Jahwe.

— Dwa, pięć, dziewięć, jeden, dwa. Pięć, siedem, jeden, jeden, dziewięć. Cztery, dwa, zero, osiem, jeden.

Pięcioelementowe zbiory, powtarzane w nieskończoność, wypełniły kilka gęsto zapisanych stron notatnika.

— Co dalej? — Kashgoff zajrzał do pokoju chwilę po tym, jak opuścił go Kevin, ostatni z badanych.

— Muszę sprawdzić te dane. Żmudna robota, spotkajmy się za jakieś sześć godzin. O osiemnastej w tym samym miejscu. Przyprowadź ich wszystkich.

— Całą Trójcę?

Mayer skinął głową.

— Całą Trójcę. Złapiemy sukinsyna za rękę.

Albo przynajmniej mam taką nadzieję, dodał w myślach.

Wszystko zależało od wyników obliczeń. Hochbaum siedział do wieczora nad płachtami papieru. Garbił się, aż ból promieniujący z dołu kręgosłupa stał się nie do zniesienia. Kiedy skończył, na sztywnych nogach doczłapał do łazienki. Odkręcił kran i pochylił się nad umywalką. Nabrał lodowatej wody w złożone dłonie i przemył twarz. Z lustra spoglądała na niego zmęczona twarz.

Konfrontacja z danymi po raz kolejny okazała się rozczarowująca. Czego oczekiwał? Prawdy doskonałej, oglądu spraw ostrego jak krawędź żyłki, werdyktu niepodlegającego dyskusji, jednoznacznego niczym dowód matematyczny? Tymczasem rzeczywistość jak zwykle nie dawała ostatecznych rozstrzygnięć.

Dane można było interpretować na wiele sposobów i budować na ich podstawie różne, również wykluczające się teorie. Jedno wiedział na pewno. Wytypował osobę, która na pewno NIE BYŁA szpiegiem. Dwie kolejne nadal pozostawały w cieniu podejrzeń.

\* \* \*

Kiedy Trójca Święta zaczęła się schodzić do salki spotkań i zajmować miejsca przy elipsoidalnym stole, Mayer z przerażeniem uświadomił sobie, że nie ma planu działania. Było jednak za późno, aby się wycofać.

Ostatni przyszedł Robert Kashgoff. Wymienił z Hochbaumem porozumiewawcze spojrzenie i usiadł, opierając łokcie w pobliżu jednego z ognisk elipsy. Miał w zasięgu wzroku wszystkich zgromadzonych, nie musiał się rozglądać.

Mayer zmarszczył czoło i zacisnął wargi. Jediną racjonalną strategią wydawała się rozgrywka w otwarte karty. Zaczął mówić. Denerwował się jak sto diabłów, głos łamał mu się przy każdym słowie. Jedinym kołem ratunkowym pozostawał kontakt wzrokowy z Kashgoffem. Psycholog wyrozumiale kiwał głową i wspierał go uśmiechem.

— Wiemy, że potraficie lepiej niż przeciętne osoby odgadywać układy kart i liczby. Ma to związek z rachunkiem prawdopodobieństwa. Zaburzacie prawa statystyki. Być może zjawisko to ma wyjaśnienie naukowe, ale nikt na razie go nie odkrył. Jest jeszcze dodatkowy fenomen: w zgadywanych seriach trafnie odtwarzacie rozkład, według którego dobierany jest porządek obiektów. Jeśli ktoś losuje liczby – wy zwracacie ciągi losowe. Jeśli eksperymentator na wejściu dobiera dane według określonego wzorca – w waszych odpowiedziach odzwierciedlony jest ten wejściowy algorytm.

— Może pan to wytłumaczyć? — zapytała niepewnym głosem Sarah.  
— Przecież nie jesteśmy jajogłowymi, nie?

Mayer skinął. Lubił wchodzić w taką rolę. Mędrzec głoszący prawdę objawioną z wysokości katedry.

— Załóżmy, że losuję serię liczb, ale nakładam na to dodatkowy warunek. W wylosowanym zbiorze ma być dwukrotnie więcej liczb parzystych niż nieparzystych. Następnie wy zgadujecie liczby, które wylosowałem. Co się okazuje? Zapewne nie jesteście tego świadomi, ale w waszych odpowiedziach również jest plus minus dwukrotnie więcej liczb parzystych niż nieparzystych. Część konkretnych cyfr trafiacie, dużej części oczywiście nie. Ale zawsze prawidłowo rozpoznajecie wzorzec, także znacznie bardziej skomplikowany niż proste zaburzenie symetryczności: parzysty/nieparzysty.

Sarah odpowiedziała nerwowym uśmiechem. Mayer nie podjął od razu swojej przemowy. Wszyscy wpatrywali się w niego intensywnie. Najwyższa pora ogłosić najważniejsze. Mayer przymknął oczy. Mieć to za sobą!

— Wiemy, że ktoś z was jest szpiegiem.

Powiedział to.

Trójca Święta odpowiedziała milczeniem.

— Skąd o tym wiesz? — ciszę przerwał Brandon Ortega.

— W Budapeszcie do Butlera zgłosił się ochotnik, który postanowił przejść na naszą stronę. Wiedział bardzo dużo i potrafił się uwiarygodnić.

— Jaką macie pewność, że to nie mistyfikacja komunistów, żeby zmylić trop?

Mayer gładko prześlizgnął się ponad niewygodnym pytaniem.

— Okłamałem was, wymyślając historyjkę o fikcyjnym czerwonym szpiegu z Nowego Jorku. Nikogo takiego nie ma. Prawdziwe są natomiast liczby, które przygotowałem i które mieliście zgadywać. Wyszedłem z założenia, że szpiegowi w Trójcy Świętej powinny zależeć, aby nie pomagać w schwytaniu swojego kolegi po fachu. Liczby, które zgadywaliście, nie były losowe. Pochodziły z rocznika statystycznego. Miały ukryty wzorzec. Istnieje prawo, które opisuje częstotliwość występowania pierwszych cyfr w zestawach danych pochodzących z prawdziwego świata. Niektóre z nich występują znacznie częściej niż inne. Zależność ta nazywana jest rozkładem Benforda. Gdybyście zgadywali cyfry zgodnie z waszą intuicją, ów rozkład powinien zostać odtworzony w danych, które od was otrzymałem. Do tej pory zawsze tak było. Jeśli jednak ktoś chciał kryć wymyślonego szpiega, powinien „fałszować” swoje trafy. W wygenerowanej przez niego serii rozkład Benforda się nie pojawi.

I znów cisza. Tego Mayer się nie spodziewał. Nie miał pewności, czy wszyscy zrozumieli wywód. Musiał przejść do konkretów.

— W dzisiejszym eksperymencie tylko jedna osoba dostarczyła wyniki zgodne z rozkładem Benforda. W tym przypadku zakładam, że dana osoba NIE JEST kretem, ponieważ mówi „prawdę” – jego dłonie wykonały w powietrzu gest cudzysłowu – i nie stara się chronić wymyślonego szpiega.

Napięcie stało się trudne do zniesienia. Mayer w ten sposób wyobrażał sobie seanse spirytystyczne.

— Kto to jest? — niespodziewanie odezwał się Kashgoff. Napięcie udzieliło się również psychologowi, który w sytuacji konfliktowej powinien pozostawać bezstronny. Tego popołudnia spalili jednak zbyt wiele mostów i powrót do starego świata nie był możliwy.

Koniec Trójcy Świętej zbliżał się wielkimi krokami.

— Kevin Lubelsky. Jego liczby były zgodne z rozkładem Benforda. On na pewno nie jest ruskim szpiegiem.

— Nie! — wyrwało się Sarze.

— Co to, kurwa, ma być? Nie jestem żadnym pierdolonym szpiegiem! — Brandon poderwał się na równe nogi i w dwóch susach znalazł przy Mayerze. Śmierdział okrutnie, ostrym smrodem męskiej szatni i przepoconych podkoszulków.

— Wróć na miejsce, natychmiast — rozkazał Kashgoff. — Natychmiast! Nie żartuję!

Brandon Ortega odstąpił jedynie o dwa kroki.

— To jest jakiś absurd! Nie jestem kretem KGB! Nie szpieguję dla Czernienki!

— Twoje wyniki nie były zgodne z rozkładem Benforda.

Brandon przewrócił oczami i zrobił znudzoną minę.

— Bo je, kurwa, sfalszowałem i po prostu wymyślałem sobie cyfry, choć intuicja podawała mi inne. Ale, kurwa, wcale nie zrobiłem tego po to, by kryć jakiegoś jebanego ruskiego szpicla. Po prostu ni chuja nie uśmiecha mi się spędzić całe życie w ciasnej kajucie na łodzi podwodnej, po dziesięć godzin dziennie siedząc nad kartami, zgadując miliony cyferek. Nie chciałem, abyście uznali mnie za dobrego telepatę, tylko za skończonego dupka, który zaplątał się do Trójcy Świętej przez przypadek i którego trzeba jak najszybciej stąd wykopać.

— Co? Jakie łodzie podwodne, o czym ty mówisz? — ożywił się Kevin Lubelsky. — Co tu jest grane?

— A myślisz, że po co nas zrekrutowali do grupy? Żebyśmy siedzieli na pokładzie łodzi podwodnej i tylko czekali na rozkaz o atomowym końcu świata.

Sarah milczała.

— Czy to prawda? — zapytał Kevin, ale jego pytanie nie zdążyło wybrzmieć do końca, a on nie doczekał się odpowiedzi.

Neutralny do tej pory Kashgoff w mig znalazł się przy Brandonie, schwycił poły jego koszuli w wielkie łapska, przyciągnął go do siebie z dziecinną łatwością, jakby mierzył się z przedszkolakiem.

— Skąd o tym wiesz? — wycedził psycholog.

Brandon Ortega roześmiał się nerwowo.

— No co ty, kurwa, jaja sobie robisz? Przecież sam mi wygadałeś. W ubiegłym tygodniu, nie pamiętasz? Wypiliśmy razem sześciopak piwa. Byłeś bardzo rozmowny.

— Kłamiesz! — Kashgoff odepchnął Brandona zbyt silnie, mężczyzna stracił równowagę i runął do tyłu.

Brandon spróbował wstać z podłogi.

— Nie ruszaj się z miejsca! — huknął Kashgoff.

Brandon wyszczerzył się uśmiechem, w którym nie było radości.

— Ale przecież nie tylko u mnie liczby nie zgadzały się z rozkładem statystycznym. Co z tą drugą osobą? Przyjrzelście się uważnie, co robiła Sarah? Jak zachowywała się, kiedy byliśmy izolowani w tym pierdolonym, postapokaliptycznym kompleksie bunkrów? Latała z cyckami na wierzchu. Kusiała wszystkich i prowokowała.

— Aż w końcu przespała się z tobą — zadudnił Kashgoff. Wszyscy spojrzeli na niego. — A może to ty ją poderwałeś?

Sarah McCaughan powoli wstała z krzesła. Mrużyła oczy, jakby oczekiwała gwałtownego ataku, napięła wszystkie mięśnie, w każdym momencie gotowa do ucieczki.

— Nie pieprzyłam się z Brandonem — powiedziała, a właściwie wysapała. Dziewczyna była bliska paniki.

— Ty chuju, ty szmato, kutasie złamany — do chóru dołączył głos Kevina. W kontraście do wypowiedzianych słów, twarz chłopaka pozostawała bez wyrazu, wyprana z emocji, jak maska. Jakby muzyka grająca w jego głowie była teraz muzyką, którą słyszą podczas Sądu Ostatecznego dusze skazane na potępienie, melodią Auschwitz, symfonią Endlösung.

— Ty skurwysynu, jak mogłeś się przespać z Sarą?

Kashgoff nawet nie drgnął. Czy nie powinien interweniować i przerwać tej spirali gniewu?

— Spałem z nią, i co z tego? — Brandon wzruszył nonszalancko ramionami. — Jest beznadziejna w łóżku, tyle ci mogę powiedzieć, mały. Poszukaj sobie lepszej laski.

Twarz Kevina zmieniła się. Po chwili trząsał się już cały, wypływając kolejne przekleństwa. Zaciskał pięści, ale wiedział, że jest zbyt słaby, by rzucić się na Brandona.

Coś w nim narastało. Miał coraz mocniejsze drgawki, nie potrafił ustać w miejscu, oczy zaszyły mgłą, ślina spływała na trzęsącą się brodę i kapłała na ziemię. Podniósł dłonie do twarzy, zaciśnięte pięści przyłożył do policzków, oczy błyskały trupimi białkami.

Rozchylił wargi, ale zęby miał nadal zaciśnięte. Pomruk narastał z wnętrza, szedł z samego dołu, rodził się w trzewiach, w splątanych i pulsujących flakach. Mayer miał wrażenie, że cały budynek drży w posadach, za moment ze ścian zacznie sypać się gruz, wszystko zawali się z hukiem donośnym niczym eksplozja bomby wodorowej.

Kevin krzyczał coraz głośniejsze, nie przestawał choćby na moment, aby złapać oddech. Darł się przeraźliwie. Sarah początkowo zamierzała do niego podejść, wyszeptać coś do ucha, pewnie przeprosić, powiedzieć, że nic się nie stało i dalej wszystko będzie po staremu. Ale widząc, co się dzieje, nie ruszyła się z miejsca.

Kevin objął dłońmi głowę, krzyczał nadal, mieli wrażenie, że głośniejsze już nie da. Padł na kolana i wciąż wrzeszczał, głosem histerycznym, pełnym najpierwotniejszych emocji, człowieczeństwa wykastrowanego z otoczki kulturowej. Tak musiał krzyczeć Marsjasz, obdzierany ze skóry przez Apolla.

Mayer zerknął na Kashgoffa. Chwila nieuwagi, i już było za późno, by zapanować nad wydarzeniami, które rozegrały się jakby w jednej chwili.

Nie przestając się drzeć, Kevin podniósł głowę. Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Hochbauma. Naukowiec zrozumiał, że za moment rozpęta się piekło.

Miał rację.

Krzyk Kevina urwał się gwałtownie. Chłopak napiął mięśnie i rzucił się z pięściami na Brandona. Pierwszy zamach sięgnął celu, trafiając Śmierdziela

w szczękę, ale kolejne były znacznie mniej udane. Młokos młócił powietrze zaciśniętymi pięściami w żałosnym akcie desperacji. Na Brandonie nie robiło to najmniejszego wrażenia.

Wycofał się dwa kroki, obserwował sytuację zza uniesionych rąk, kąciuki ust wygięły mu się w pełnym wyższości uśmiechu; wyczekiwał na odpowiedni moment, aby zadać decydujący cios.

Kevin ogarnął wzrokiem pomieszczenie, chwycił za oparcie stojącego nieopodal krzesła. Tego Brandon się nie spodziewał. Punkt za zaskoczenie. Kolejny za adrenalinowy zastrzyk, który wpompował w mięśnie niepozornego chłopaka nadludzką siłę. I jeszcze jeden, za szybkie działanie. Zafurkotało rozcinane powietrze. Krzesło wykonało obrót w powietrzu.

Jednak Brandon zdążył się uchylić. Nogi mebla wbiły się w lustro weneckie. Pęknięte szkło posypało się na podłogę z rozdzierającym dźwiękiem. Kevin, wkurwiony, że jego wysiłki nie czynią przeciwnikowi żadnej krzywdy, rzucił się, dążąc do pełnego fizycznego zwania. Objął Brandona wpół i razem runęli na usłaną szkłem podłogę.

Niczym kochankowie, spleceni w miłosnym uścisku, wykonali dwukrotny obrót i na górze znalazł się Kevin.

Nie na długo.

Sprawne pięści Brandona bez trudu przełamały niewprawną gardę chłopaka. Pierwszy cios dosięgnął szczęki, kolejny nosa (fontanna krwi), trzeci uderzył pod oko. Kopniak w brzuch odrzucił Kevina na stół. Brandon już się zrywał, aby kontynuować masakrę rywala, ale nie zdążył.

Tuż obok niego znalazła się dziewczyna. Nikt wcześniej nie zwracał na nią uwagi. Nikt nie zauważył, jak schyla się i podnosi z podłogi ostro zakończony, długi na trzydzieści centymetrów fragment zbitej szyby, wyglądający niczym dwuwymiarowa wariacja na temat sopla lodu.

Do tej pory wszystko działo się zbyt szybko, a teraz... Jakby reżyser całego przedstawienia zarządził stop-klatkę i kolejną scenę zażyczył sobie obejrzeć w *slow motion*.

Wszyscy widzieli, jak ostra krawędź tnie skórę na szyi Brandona, który właśnie próbował wstać. Nikt nie wykrztusił z siebie ani słowa, kiedy szklany szpikulec wchodził coraz głębiej. Trysnęła krew.

Czas niechętnie ruszył z miejsca.

Sarah, przerażona tym, co zrobiła, odskoczyła od Brandona. Mężczyźnie udało się wreszcie wstać, ale od razu zatoczył się i runął na stół.

Cisza, która wtedy zapadła, trwała chwilę, ale Mayerowi wydawało się, że to cała wieczność. Chciał coś zrobić, ale nie zdążył. Ciszę rozdarł huk.

Sarah McCoughan osunęła się na ziemię, trzymając się za brzuch.

Robert Kashgoff stał w rozkroku, a z lufy jego Walthera PPK unosiła się smużka dymu.

— Wezwij natychmiast pomoc. — Psycholog nie patrzył na Mayera. Wskazał ruchem głowy na Brandona. — On będzie żył. Nie przecięła mu tętnicy. Szybko!



# DZIEWIEĆ

## TOMASZ/ WARSZAWA

Wojciech Elmar się wstydził.

Kiedy stanęli twarzą w twarz – Tomasz i on – policjant nie potrafił utrzymać spojrzenia, uciekał wzrokiem, rozglądał się na boki. Spotkali się w modnej kawiarni przy placu Zbawiciela, Tomasz czuł się nieswojo w otoczeniu fantazyjnie ubranych dwudziestoparolatków, siedzących po turecku na poduszkach, stukających w klawiatury MacBooków. Ciekawe, jakby się odnalazła w podobnym miejscu Adrianna, przemknęło mu przez myśl. Dziewczyny z prowincji raczej tutaj nie bywają...

— Wczoraj, kiedy do pana zadzwoniłem... — Elmar automatycznie odwrócił wzrok, jakby nie chciał patrzeć na szczypty tyłek kelnerki osłonięty spódniczką mini. Westchnął. W środku coś pękło, chlusnęły skumulowane emocje, które przez lata nie potrafiły znaleźć ujścia, ich cień pojawiał się jedynie w urwanych komentarzach czy sprośnych żartach podczas chłania wódki z kolegami z pracy. Cały czas pozostał spokojny, ale w środku wszystko się gotowało. — Byłem trochę, jak to się mówi, wypity. Pan rozumie. Koledzy po pracy wyciągnęli mnie na kielicha. Miałem ciężki dzień. Ten chłopak na Powiślu... Dzwoniłem dziś na Banacha, operowali go, stan jest stabilny.

Tomasz skinął głową.

— Rozumiem, proszę się nie tłumaczyć. — Uniósł rękę, ucinając wywód policjanta.

Nie tak miało to wyglądać. Tomasz wynajął specjalistę, płaci mu konkretną kasę i w zamian wymaga efektów. Nie chce żadnych zwierzeń, przysług, żadnego spoufalania się, długów wdzięczności i brudersaftów. Chciałby to powiedzieć na głos, ale nie potrafił, słowa nie przeciskały się przez krtań. Czuł, że w ten sposób zraniłby Wojciecha Elmara, że jego rozmówca oczekuje czegoś zupełnie innego.

Policjant nerwowo mrugał, jakby właśnie uświadomił sobie coś nowego na swój temat; coś, o istnieniu czego nie miał wcześniej pojęcia.

— Oczywiście. — Też machnął dłonią, jakby odpędzał brzęczącego komara. — Nie musimy do tego wracać.

Wróciła kelnerka i postawiła przed nimi pokale z tyskim. Przeszli do konkretów. Dojmująca niezręczność ulotniła się w mgnieniu oka. Upili zimnego piwa. Elmar zaczął rozkładać papiery na kawiarnianym stoliku. Zanosilo się na dłuższą opowieść.

Do tej pory w śledztwie dominował wątek węgierski. Viktor Székely na warszawskim lotnisku wypożyczył czerwonego opla astrę, podjechał nim na parking hipermarketu, w sklepie ujął dłoń chorej dziewczynki, nie napotkał żadnego sprzeciwu, razem przeszli obok emerytowanego ochroniarza, minęli stoisko z hot dogami, wyszli na zewnątrz.

— Székely wysiadł z samolotu zaledwie dzień wcześniej. To nie jest możliwe. Takich akcji nie przeprowadza się w jeden dzień: wymagają długiego planowania, żmudnych obserwacji, rozpoznania terenu. Przecież skądś wiedział, że dziewczynka wychodzi na spacer z opiekunką, że robią zakupy w tym konkretnym sklepie. No i potrafił przewidzieć jej reakcję – kiedy złapał ją za rękę, przecież mogła zacząć krzyczeć, płakać, wyrwać się. Tutaj nie ma miejsca na przypadkowość.

— Czy chce pan powiedzieć...

Elmar z powagą skinął głową.

— Viktor Székely musiał mieć zapewnione wsparcie na miejscu. Ktoś tutaj odwalił za niego całą czarną robotę: dyskretną obserwację pańskiego mieszkania, odtworzenie harmonogramu dnia Alicji. Székely przyleciał do Polski i spił śmietankę.

— Jakież domysły?

— Coś już mamy. — Elmar uśmiechnął się półgębkiem. — Nie mogę powiedzieć, że złapaliśmy skurwysyna za rękę, ale zawsze to coś. — Ze stosu rozsypanych na stole papierów wyłuskał zdjęcie i podał je Tomaszowi. — Widzi pan?

Tomasz nie widział absolutnie niczego. Czarno-biała fotografia, bardzo grube ziarno, rozmazane smugi cienia, coś jak praca na tabloidowy konkurs,

w którym trzeba zgadnąć, co przedstawia zdjęcie wykonane na nienaturalnie wielkim zoomie.

Pokręcił głową.

— Nic z tego.

— To jest człowiek, który odstawił do wypożyczalni samochód Székeya.  
— Policjant pokiwał głową, widząc zdziwioną minę Tomasza. — Tak, tak, astrę, którą pana córka odjechała sprzed marketu. Samochód został odstawiony na lotnisko właśnie przez niego.

— Udało się ustalić, kto to jest?

Elmar uśmiechnął się rozbijając.

— Pracujemy nad tym. To najlepsza foto, jaką mamy. Ale nasi specje z informatyki potrafią wyczyniać cuda, gwarantuję panu.

Tomasz postanowił przemilczeć sprawę, choć złośliwe komentarze cisnęły się same na usta. Sięgnął po piwo i spojrzał policjantowi w oczy. I bardzo spodobało mu się to, co tam zobaczył.

— Proszę mi o sobie opowiedzieć. — Elmar osuszył pokal i dał znać kelnerce, że zamawia to samo. — Takie rzeczy mogą się okazać przydatne w śledztwie. Czy zaszedł pan ostatnio komuś za skórę, nadepnął na odcisk? Jest ktoś, kto mógłby planować na panu odwet?

— Ja...

— Proszę pomyśleć. To nie musiało być celowe. Dał pan ostatnio komuś w robocie awans? Ktoś inny mógł się poczuć pokrzywdzony... Pamięta pan coś takiego?

— Nie mam pod sobą ludzi, nie podejmuję decyzji tego typu.

— A w życiu osobistym? Koledzy, przyjaciele? Zdziwiłby się pan, jak często podobne sprawy rozgrywają się w kręgu naprawdę bliskich znajomych.

Tomasz głęboko odetchnął. Zamyślił się.

Życie osobiste? Jakie życie osobiste?

Jedynym jego życiem osobistym w przeciągu ostatnich dwóch lat była Adrianna. Wcześniej miał nawet jakichś kumpli, czasami spotykali się na mieście, pili piwo w ogródkach na Chmielnej, rżnęli w pokera, systematycznie zwiększając stawki, gadali o panienkach, piłce i polityce. Kiedy w jego życiu pojawiła się Adrianna, odkrył, że podobne spotkania go

męczą. Jest niby ich uczestnikiem: rozmawia, śmieje się, czasami nawet sypnie anegdotą albo świńskim dowcipem, ale ma wrażenie, jakby stał z boku i przyglądał się całej sytuacji z uśmiechem politowania.

Szybko rozluźnił więzy z dawnymi kolegami i odpuścił piwne eskapady. Z powodu Adrianny wystarczająco rzadko bywał w domu, by jeszcze irytować Ewę dodatkowymi wyjściami, zwłaszcza jeśli te nie sprawiały mu przyjemności.

Wszystko to prawda, ale co miał opowiedzieć Elmarowi? Obnażyć się przed nim? Wyznać grzechy? Podzielić się doświadczeniami, jak to fajnie posuwać studentkę? Przed nim? Przed krystalicznie czystym Wojciechem Elmarem, który stara się nie patrzeć nawet na zgrabne pośladki kelnerki? Czy takiemu człowiekowi przysłoby do głowy zdradzić swoją żonę? Przecież on był raczej niczym święty, który zstąpił z nieba.

— Prawdę powiedziawszy... nie mam zbyt wielu znajomych — wykrztusił wreszcie i zabrzmiało to bardzo źle. Jak przyznanie się do najohydniejszej winy.

Święty Wojciech Elmar uniósł badawczo brwi.

— Tak?

— Pan rozumie... Ostatnio nie układało nam się z żoną. Córka była chora, wymagała bez przerwy opieki. Ile można żyć na takich obrotach? Coś w końcu musiało pęknąć. I pękło.

— Proszę mówić.

I tak, oddech po oddechu, słowo po słowie, Tomasz opowiedział całą historię romansu, łącznie z puentą ostatnich dni: o odkryciu Ewy, jej reakcji i zbliżającej się rozprawie rozwodowej. Policjant długo milczał, pił łapczywie piwo, podskakiwała mu ogolona na gładko grdyka. Wreszcie się odezwał:

— Nie chce mi się wierzyć, że te dwa wydarzenia są przypadkowe. Żona się dowiaduje o pana... powiedzmy... wyskoku, początkowo działa w ukryciu, kolekcjonuje dowody, mija trochę czasu... i ktoś porywa córkę. Taki zbieg okoliczności?

Tomasz nie odpowiedział. Jak miał zareagować? Obwinić Ewę, że to ona stoi za porwaniem Alicji? Ale na Boga, w jakim celu? Przecież to bez sensu, bzdura piramidalna. Jaka za tym miałyby stać logika?

Prychnął śmiechem.

— Wymyśliłem właśnie coś zupełnie absurdalnego. Że porwanie Alicji jest wyrafinowanym planem Ewy. To ona wszystko zorganizowała. Wynajęła typa spod ciemnej gwiazdy, który świsnął naszą córkę.

Elmar pozostawał śmiertelnie poważny.

— Motyw?

— To chyba jasne. Właśnie się dowiedziała, że ją zdradzałem. Rozwodzimy się – z mojej winy. Nienawidzi mnie. Chce mi dokopać, zniszczyć. Może to jest element bardziej wyrafinowanego planu? Chce mnie w coś wrobić? Tak wszystko zaaranżuje, podrzuci fałszywe dowody, że w finale okaże się, iż to ja stałem za wszystkim. Taki *twist*, jak w filmach sensacyjnych. To ja zleciłem porwanie. Wszystkiemu winny jest tatuś.  
— Tomasz roześmiał się, ale zrobił to zbyt nerwowo, aby zabrzmiało naturalnie. — Absurdalne, nie?

Policjant się nie uśmiechał.

— Przecież to absurd...

— Czy poda mi pan jakiś kontakt do pana... — składał już usta, by powiedzieć „kochanki”, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie — ... pana przyjaciółki.

O nie. Tomasz podświadomie zacisnął zęby, a policjant musiał wyczuć zmianę jego nastroju.

— Czy to konieczne?

— Niezbędne. Ona może stanowić klucz do tej zagadki. Być może wszystkiego panu nie mówiła. A jeśli pana żona się z nią kontaktowała? Groziła jej? Próbowwała dyktować warunki? Ona tego panu nie powie, ale przy nas złoży zeznanie. — Elmar sięgnął po telefon. — No i jak? Podyktuje pan?

Tomasz odwrócił wzrok, ale wiedział, że jeśli nie chce się pogрузić, nie ma innego wyjścia. Powoli sięgnął po komórkę, myśląc, jak zareaguje Ada. I w tym momencie komórka zawibrowała.

Telefon wybawiciel.

— Przepraszam. — Tomasz machnął dłonią, jakby to miało go wytłumaczyć przed policjantem. W lokalu było głośno, gwar nieistotnych rozmów. Nacisnął przycisk z zieloną słuchawką w połowie drogi do drzwi. Dlatego nie usłyszał pierwszego zdania.

— ... przed wejściem na Dworzec Śródmieście, kierunek wschodni. Kosz na śmieci obok budki z kebabem. Sto tysięcy złotych setkami w reklamówce z Biedronki. Inaczej wiesz, co się wydarzy.

Tomasz oniemiał.

Docierały do niego słowa, ale były niczym obce dźwięki pozbawione wszelkiego znaczenia.

— Zrozumiałeś? — warknął ktoś do słuchawki.

Otworzył usta, spróbował wydusić z siebie choćby słowo, ale napięte struny głosowe nie zareagowały. Nappełnił płuca, na skroniach wzdęły się węże żył, w mgnieniu oka złał się potem.

— Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem. — Uszło z niego powietrze, zawirowało w głowie. Musiał chwycić się krawędzi barowego stołu, inaczej upadłby.

— Pieniądze mają być tam jutro. Masz je zostawić osobiście. Jeśli nie... — Sygnał zerwanego połączenia stanowił najstraszniejszą puentę, gorszą niż jakiegokolwiek pogróżki, które mógł sobie wyobrazić.

Zaskoczyła go pierwsza myśl: nie powiedzieć niczego Elmarowi. Skłamać na temat tego, kto dzwonił, jutro z samego rano pojechać do banku, zerwać lokatę terminową, wypłacić pieniądze, załatwić sprawę szybko i bezboleśnie. Policja nie musi się o niczym dowiedzieć, a on skutecznie pozbędzie się problemu. Tak jak uczyli go na szkoleniach menedżerskich: rozliczamy cię z końcowego efektu, a nie ze ścieżki dojścia do niego.

Lecz w tym momencie podszedł do niego Elmar z pokalem zimnego piwa w dłoni, przed chwilą odebrany z baru. Poklepał go przyjacielsko po plecach i zapytał:

— Coś się stało? Wyglądasz kiepsko.

— Zażądali okupu — odpowiedział i poczuł, jak z ramion spada mu nieludzki ciężar.

\* \* \*

Wydarzenia potoczyły się zgodnie z intuicją policjanta. Prosto z knajpy pojechali na komendę, a dobry humor nie opuszczał Elmara. Tłumaczył, że

żądanie okupu to najlepsze, co mogło im się teraz przytrafić. Że to pierwszy krok na ścieżce, która kończy się kumulacją błędów.

Wrzucimy torbę do śmietnika, i co dalej? Ktoś ją przecież będzie musiał wyciągnąć, tłumaczył. Może nie od razu, może spróbują wziąć nas na przetrzymanie, przyjdą wiele godzin później, ale w jakiś sposób będą musieli się do tych pieniędzy dostać. Wydaje im się pewnie, że mają genialny plan odwrócenia naszej uwagi, ale żaden plan nie jest doskonały. W każdym planie są błędy, słabe punkty. Mielizny, które przeoczy najlepszy nawigator i na które wpierdoli się każdy okręt. Innego wyjścia nie ma. Trzeba tylko wykazać się cierpliwością.

— Dzisiaj może pan spać spokojnie — podsumował policjant, kiedy się rozstawali w środku nocy. — Życzyłbym sobie każdego dnia dostawać równie dobre wieści.

Po powrocie do domu Tomasz zadzwonił do Ewy. Obawiał się, czy odbierze. Odczekał pięć długich sygnałów i spróbował ponownie. Udało się.

— Tak? — zapytała oschle, jednym krótkim słowem dając mu do zrozumienia, że oderwał ją od jakiejś arcyważnej czynności. Poczł się, jakby dzwonił do niej z infolinii banku, próbując jej wcisnąć nową kartę kredytową.

— Zadzwonili... — głos mu się rwał, wydłubywał z pamięci pojedyncze słowa — ... w sprawie okupu. Rozumiesz... porwali ją i teraz chcą kasy.

— Ona...

Wszedł Ewie w słowo, nie był w stanie jej słuchać.

— Nie wiem, kurwa, gdzie się podziewasz przez ostatnie dni. U której koleżanki przesiadywałaś. Nie obchodzi mnie to. Ale może byśmy się jednak spotkali i coś ustalili? Chyba warto.

— Myślisz, że jej...

— Przyjedziesz?

— Daj mi pół godziny.

Wślizgnęła się do mieszkania ukradkiem, jak robiła to zawsze, kiedy wracała z imprez firmowych, lekko zawiana, wiecznie z poczuciem winy. Początkowo takie zachowanie śmieszyło Tomasza, lubił się wówczas droczyć z żoną, robić jej złośliwe przytyki, ale podobne wieczory z reguły kończyli w łóżku. Jednak od kilku lat, od czasu, kiedy wszystko zaczęło się między nimi walić, a oni byli wystarczająco świadomi, by nie udawać, że to jedynie

przejściowy kryzys – w podobnych sytuacjach Tomasz wolał schodzić Ewie z drogi, zadowolony, że i ona będzie go unikać.

Tym razem jednak nie przepuścił. Stał w korytarzyku do kuchni, skrzyżował ręce na piersiach. Zatrzymała się. Wyglądała fatalnie, przestraszona, nieumalowana, z nastroszonymi włosami; jak ktoś inny, nie jego żona, nie Ewa.

— Nic jej nie jest? — zapytała. — Jest tam bezpieczna?

Chciał ją przytulić i prawie się udało. Podszedł do niej. Krok pierwszy i drugi. Widział, jak drży, słyszał jej oddech. Trzeci i czwarty. Pod oczami worki od płaczu i niewyspania. Popękane naczynka krwionośne uwypuklone przez wystające kości policzkowe. Piąty i szósty. Strach i nadzieja w spojrzeniu.

Położył dłoń na ramieniu Ewy. Zamknęła oczy. Pamięć ciała – wtulić się w nią, przecież doskonale wie, jak to zrobić i co będzie później. Kiedy położy brodę na jej głowie, a włosy będą go łaskotały w usta i nos. Kiedy ona przyłoży głowę do jego klatki i piersiowej i powie: „Ale ci bije serce”, bo zawsze tak mówi.

Nie dzisiaj. Nie tym razem.

Ewa odsunęła się i popatrzyła dziwnie. Tomasz też odstąpił o krok. Zrobiło mu się jej żal. Weszła do kuchni i sięgnęła po butelkę wody.

— I co teraz będzie?

Odetchnął.

— Elmar powiedział, że na jutro wszystko przygotowują. Obstawiają cały plac, zamontują kamery. Mysz się nie prześlizgnie, tak obiecał.

Ewa nie odpowiedziała. Usiadła przy kuchennym stole i wyglądała przez okno na zachmurzone nocne niebo.

— Chcesz pogadać? — zapytał.

Brak reakcji.

Tomasz ciężko westchnął, ale kiedy kładł się spać, czuł ulgę, że jutro historia dobiegnie końca.

Obudził się grubo przed budzikiem, kilka minut po piątej; promienie słoneczne znalazły wąski przesmyk pomiędzy rozwiniętą krzywo roletą a krawędzią okna. Kiedy Tomasz otworzył oczy, był zlany potem. Poszedł do



kuchni i przez chwilę zastanawiał się nawet, czy zostanie tam Ewę, siedzącą w takiej samej pozycji, jak zostawił ją w nocy. Jednak nie, żona spała u siebie.

\* \* \*

Kolejne wydarzenie zapamiętał słabo, wszystko toczyło się zbyt szybko. Jakby przewijał film na laptopie.

Zaczął się wczesnym rankiem od Śródmieścia. Był tam przed siódmą, miasto otwierało zaropiałe oczy i przecierało napuchniętą od snu twarz. Sprzedawcy kebabów grzali różny, z pociągów dojeżdżających na Dworzec Śródmieście wysypywali się mieszkańcy Polski powiatowej, zarabiający na życie pracą w stołecznych firmach. Biznesmeni i menedżerowie spieszyli się na Centralny, by zdążyć na poranne ekspresy do Poznania, Krakowa czy Katowic. Tomasz przycupnął na ławce i patrzył na potoki ludzi zmierzających w stronę metra.

Doświadczał miasta w niemal fizyczny sposób, czuł się częścią czegoś zewnętrznego, doskonałego porządku, który istniał przed jego urodzeniem i będzie trwał, gdy umrze. Ale najważniejsze, że on w tej gigantycznej układance był potrzebny, dokładał swoją cegielkę do większego dzieła. Czy na tym polega doświadczenie mistyczne, leżące u podstaw każdej religii, którego Tomasz nie przeżył nigdy przedtem?

Pod pachą ścisnął żółtą reklamówkę z Biedronki, a w niej, w oklejonym przezroczystą taśmą pudełku po butach, znajdował się plik banknotów. Wszystkie fałszywe i znaczone, jak wyjaśnił Elmar w rozmowie telefonicznej.

— Mogą cię obserwować. Od tej pory nie kontaktujemy się bezpośrednio. Nie chciałbym, żebyśmy wpadli w dziecinny sposób. Pieniądze przywiezie ci do mieszkania nasz człowiek. Podjedzie taksówką. Jeśli obserwują twoje mieszkanie, niech pomyślą, że to kumpel, który ma zaskórniaki i poprosił go o pożyczkę.

— Co mam robić?

— Twoje zadanie jest proste. Idź tam i wrzuć reklamówkę do kosza na śmieci. Tylko tyle. Nie baw się w Brudnego Harry'ego i nie rób żadnych głupstw. Nie rozglądaj się. Po prostu wrzuć reklamówkę do kosza. My zajmiemy się resztą.

— Rozumiem, że wsadziliście tam jakąś, jak to się tam nazywa, pluskwę? Miniaturowy nadajnik GPS? Będzie mógł śledzić, gdzie to się znajduje? — dopytywał.

Elmar nie odpowiedział.

Zapowiadał się upalny dzień. Tomasz pomimo wczesnej godziny czuł, że koszula na plecach lepi się od potu. Uchwyt reklamówki parzył w palce. Zacisnął powieki.

Po prostu wrzuc tę cholerną siatkę do kosza.

Na placu przed dworcem kłębiło się mnóstwo ludzi. Ktoś jadł zapiekankę, po dłoni ściekał mu keczup. Ktoś inny kupował w kiosku gazetę, obok całowała się nastoletnia para, pijany menel niepewnie stawiał kroki. Kto z nich jest dobry, a kto zły?

W tłumie wędrującym Alejami Jerozolimskimi, przecinającym plac Defilad, znajdowali się porywacze jego córki. Kręcili się tam również policjanci w cywilu, dyskretni obserwatorzy, gotowi w każdej chwili wkroczyć do akcji.

Jak ich rozpoznać? Rozróżnić jednych od drugich? Odetchnął głęboko i wstał z ławki. W kolanach strzyknęły stawy. Będzie musiał się za siebie zabrać, kiedy tylko zacznie nowe życie z Adrianną. Basen, siłownia, może wróci do biegania? Już niedługo, tylko jeszcze zamknąć tę sprawę.

To było łatwiejsze, niż mu się wydawało. Maszerował lekko, jakby zamiast kostki brukowej pod stopami miał kauczuk. Nie zatrzymywał się ani nie rozglądał. Bezrefleksyjnie cisnął reklamówkę do śmietnika, jakby wyrzucał tam zgniecioną puszkę po coli. Co go obchodzi jej dalszy los?

Nie zwalniając tempa, ruszył w stronę samochodu zostawionego na parkingu pod Muzeum Techniki, zgodnie z tym, jak rozkazał mu Elmar. Resztę widział tylko kątem oka. Do kosza na śmieci podszedł menel, ten sam, na którego zwrócił uwagę, siedząc na ławce i zbierając siły. Żuł szukał pewnie puszek po piwie, ale innym łupem również nie gardził. Do wnętrza kosza patrzył z zaciekawieniem. Czy wyciągnie reklamówkę z okupem? A może to właśnie porywacz Alicji, ucharakteryzowany na bezdomnego, takiego, który podchodzi do ciebie na parkingu i prosi o pięćdziesiąt groszy na bułkę, a cuchnie tak strasznie, że nie możesz oddychać.

Więcej Tomasz nie dostrzegł. Nie mógł przecież schować się za drzewem i z zapartym tchem obserwować, jak rozwinie się sytuacja, czy gliniarze w cywilu zdekonspirują się i w popisowej akcji zwiną pijaczka z czerwonym pyskiem.

Kiedy doszedł do samochodu, trzęsły mu się dłonie, nie mógł wygrzebać z kieszeni kluczyków. Serce wyskakiwało mu z piersi, miał wrażenie, że zaraz się porzyga. Oparł dłonie na kierownicy, uchylił okno i starał się opanować oddech. Czy zaraz będzie miał zawał?

Sięgnął po telefon. Zadzwoić do Ewy? Ale po co? Co jej powie? Czy naprawdę ma ochotę z nią rozmawiać? Zrezygnowany, odrzucił aparat na siedzenie pasażera.

Podświadomie czekał, że naraz zewsząd otoczy go świdrujący dźwięk policyjnych syren, chmury zostaną poszatkowane przez wirniki helikopterów, z których po linach spuszczą się zastępy komandosów.

Ale nic się nie działo.

Minęło piętnaście minut i życie wokół Tomasza nadal toczyło się swoim tempem.

Po kolejnych dziesięciu minutach zadzwonił na komórkę do Elmara, ale policjant nie odpowiadał. Tomasz nie wiedział, co robić. Tego już nie ustalili. Serce cały czas nie chciało się uspokoić, tętno miał jak maratończyk amator na ostatnim kilometrze wyścigu.

Po czterdziestu pięciu minutach wyskoczył z samochodu, trzasnął wściekle drzwiami i pobiegł na plac przed dworcem, płosząc stado gołębi harcujących dookoła fontanny.

Banalne miejskie obrazki. Turek wirującym nożem odkraja płaty mięsa na kebab, buspas blokuje biała škoda fabia, migając światłami awaryjnymi, dwóch przypakowanych chłopaków w obcisłych koszulkach mimo wczesnej pory popija piwo z puszek.

I właśnie banalność była w tym wszystkim najstraszniejsza.

Tomasz usiadł na tej samej ławce, na której siedział poprzednio, rozglądał się dookoła, łapczywie chłonał obrazy, mając nadzieję, że nagle stanie się cud i obdarzony zostanie łaską widzenia. Że opadnie kurtyna zasłaniająca prawdę o rzeczywistości, a on zobaczy więcej, pozna ukryte wzorce, przed jego oczami wszystko stanie się jasne i transparentne.

Nic takiego się nie stało. Ostatni wieczór z Adrianną był jak ponowne narodziny. Dzisiejszy poranek to przedwczesna śmierć.

\* \* \*

Wojciech Elmar spotkał się z nim dopiero wczesnym wieczorem. Nie przeproszał. W jego głosie łatwo było wyczuć pośpiech. Starał się mówić konkretnie, nie zbaczać z tematu, ale nie zawsze mu to wychodziło.

Śmierdzący żul, w letnie dni koczujący na ogródkach działkowych przy Niepodległości, to był pan Mirek. Pan Mirek od czasu do czasu wypuszczał się do Śródmieścia pogadać z kumplem wałęsającym się na parkingu pod Pałacem i penetrującym boczne odnogi korytarzy w tunelu średnicowym. Kiedy przechodził obok śmietnika, postanowił tam zajrzeć. Cholernie chciało mu się jarać, a może ktoś przed minutą cisnął tam niedopaloną fajkę?

Nie dostrzegł niczego cennego, ale jego uwagę przykuła żółta reklamówka z Biedronki. Coś w niej było, pakunek o prostych krawędziach; jak duża książka, a może pudełko po ciastkach czy butach. Zajrzał do środka. W rzeczy samej, pudełko, dokładnie zaklejone taśmą, dość ciężkie. Nie chciało mu się teraz z nim szarpać, stwierdził, że obejrzy zdobycz później, w bardziej sprzyjających warunkach.

Zadowolony z siebie, ruszył w stronę dworca. Policjanci znaleźli się w kropce. Nie potrafili zinterpretować sytuacji, nie mieściło się to w ich algorytmie postępowania, nie dysponowali odpowiednimi heurystykami. Dowodzący akcją Elmar błyskawicznie wypracował trzy hipotezy:

Hipoteza numer 1 (H1) – bezdomny żul (wówczas jeszcze oczywiście nikt nie wiedział, jak się nazywa) jest po prostu bezdomnym żulem. Nikim więcej. Przypadkowy człowiek, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze i zainteresował tajemniczą reklamówką wyrzuconą do kosza na śmieci.

Hipoteza numer 2 (H2) – to nadal bezdomny żul, ale już w nieprzypadkowej sytuacji. Łatwo takiego skaptować w tunelach pomiędzy Centralnym a Ochotą. Chcesz dziadku łatwo zarobić pięć stówek? Bądź o tej i o tej pod Śródmieściem, podejdź do kosza na śmieci i wyciągnij stamtąd nadaną dla nas przesyłkę. Nie waż się zaglądać do środka. My w swoim czasie zgłosimy się po odbiór. Że nie do końca legalne? Przecież to

oczywiste. A czy w twojej sytuacji może ci coś zaszkodzić? Co ryzykujesz? W razie wypadki będziesz mówił samą prawdę: widziałeś nas pierwszy raz w życiu i nigdy nie rozpoznasz na żadnej fotografii.

Hipoteza numer 3 (H3) – już nie bezdomny żul, ale po prostu ucharakteryzowany jeden z porywaczy Alicji. Ma pełną kontrolę nad sytuacją, ale bardzo dużo ryzykuje. Czy aby na pewno? Jeśli go przyskrzynią, może próbować odwrócić sytuację, forsując H1 bądź – z mniejszym prawdopodobieństwem – H2 (choć mogą to zweryfikować).

Co robić? Interweniować czy pozostawić wypadki swojemu biegowi?

Elmar odrzucił H3. Nikt przy zdrowych zmysłach nie brałby takiego ryzyka na siebie. Przecież każdy normalny człowiek rozumie, że w takiej sytuacji trafia pod obserwację i gdziekolwiek pójdzie, pociągnie za sobą ogon.

Zatem albo H1, albo H2. Jeśli H1, powinien zarządzić natychmiastową interwencję, reklamówka z pieniędzmi musi trafić z powrotem do kosza i niech klepią zdrowaśki, żeby nie przepłoszyło to prawdziwych gagatków, bo konsekwencje mogą być tragiczne. Jeśli H2, interwencja nic nie da. Sprzątną jedynie płotkę, która – jeśli pozwoli się jej odejść wolno – doprowadzi jak po sznurku do grubych ryb.

Wojciech Elmar zacisnął pięści i przygryzł wargi. Czas, cholerny czas. Jeśli prawdziwe jest H1, każda sekunda ma konsekwencje brzemiennie w skutki. Czy potrafi udźwignąć ten ciężar? Czy po wszystkim będzie w stanie spojrzeć Tomaszowi w oczy?

Nie zamierzał bawić się w Pana Boga.

— Zgarnijcie drania — warknął do telefonu.

I kiedy skończył mówić, olśniło go. Myśl czysta i jasna, brakujący element puzzli, który wskakuje na miejsce, a wtedy wszystko nagle wydaje się proste i oczywiste; dziwisz się, jak mogłeś tego wcześniej nie dostrzegać.

Przecież istniała jeszcze H4. Facet, który wyciągnął reklamówkę z kosza, wcale nie niesie okupu. Przecież do śmietnika mogła zostać podrzucona wcześniej identyczna reklamówka z Biedronki, która została teraz wyciągnięta, a prawdziwy towar nadal siedzi w śmietniku. Lub – co bardziej prawdopodobne – już go tam nie ma, został wyciągnięty przez prawdziwych porywaczy, którzy skorzystali z zamieszania i faktu, że przynajmniej chwilowo wszyscy przestali się nim interesować.

— Kosz, kurwa, kosz! — krzyknął do krótkofalówki. — Nie spuszczać z niego oka!

Pan Mirek został zgarnięty, nim doszedł do przejścia podziemnego pod Emilii Plater. Zbliżyło się do niego dwóch policjantów w cywilu, chwyciło łokcie i zaprowadziło do radiowozu zaparkowanego w zatoczce autobusowej. Pan Mirek był oszołomiony, zupełnie nie wiedział, co się dzieje, bełkotał coś pod nosem. Wojciech Elmar tymczasem przecinał sprintem parking pod Pałacem; w tej chwili postawiłby dowolne pieniądze na prawdziwość H4.

— Sprawdźcie paczkę!

Kiedy dobiegł do radiowozu, na miejscu zastał go prawdziwie żalony widok. Policjanci rozcięli karton.

Prawdziwa okazała się pierwsza możliwość, co nieodwołalnie falsyfikowało H4. Pan Mirek, zobaczywszy w dłoniach policjantów niekończące się pliki stuzłotówek (nie miał oczywiście pojęcia, że fałszywych), wpadł w panikę, że wpakował się w niezłe gównno, z którego nie wygrzebie się do końca życia. Zakręciło mu się w głowie, zrobiło niedobrze, aż w końcu puścił pawia na siedzącego obok policjanta i częściowo także na pieniądze.

Kiedy tylko Elmar, z wysiłku czerwony na twarzy, zrozumiał, że H4 jest fałszywe, uwierzył w H1. Zaczął się wydzierać, żeby pakować pieniądze z powrotem do siatki, a siatkę z powrotem do kosza na śmieci. Przecież pieniądze są zarzygane – zaprotestował ktoś, ale dla policjanta nie był to argument wystarczający, żeby przerywać akcję. Pan Mirek wydzierał się wniebogłosy, że nie ma z tym nic wspólnego, że to jakaś pomyłka i niech najlepiej od razu wypuszczą go z radiowozu.

Pieniądze po chwili trafiły ponownie do kosza.

Nikt ich nie odebrał.

Elmar ostatecznie stracił wiarę w powodzenie misji kilka minut po czternastej, kiedy zszedł w podziemia pod Centralnym zjeść na obiad kebab z ostrym sosem. Ale czekali jeszcze do siedemnastej, dyskretnie spławiając śmieciarzy, którzy opróżniali kosze w okolicy.

— Wypłoszyliśmy ich, kurwa — tłumaczył później Tomaszowi. — Po aferze z tym żulem za bardzo się odsłoniliśmy i kolesie narobili w gacie. Chuj. Taki *life*. Nic nie poradzę. Musimy czekać, aż skontaktują się z panem

ponownie. Nurtuje mnie jedna rzecz — ton jego głosu był znacznie bardziej oficjalny. Spieprzona akcja pod dworcem wyraźnie popsowała mu humor.

— Tak?

— Czy pan jest bardzo bogaty?

— Słucham?

— No... Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie zamierzam zaglądać panu do PIT-u, ale to mnie nurtuje od jakiegoś czasu. Ma pan niezłą robotę, na pewno nieźle zarabia, żona też sobie radzi... Miesięcznie to kilka razy średnia krajowa, co najmniej. No, ale to nie są poziomy prezesowskie, pewnie nawet nie dyrektorskie. Jeszcze bym zrozumiał małe miasto, ale tutaj, w Warszawie, są tysiące ludzi zarabiających lepiej. Wystarczy przespacerować się po parkingu Arkadii. Jakie tam fury stoją...

— Nie do końca rozumiem, do czego pan zmierza. — Tomaszowi zaschło w gardle.

— Po prostu głośno myślę. Dlaczego to właśnie pan znalazł się na celowniku? Większość prezesów, usłyszawszy takie żądania finansowe, nawet by okiem nie mrugnęła, a już na pewno nie przysłoby im do głowy zawiadamić policję. Po co ją niepotrzebnie niepokoić? Mają biedacy ważniejsze sprawy na głowie, co nie? — Mrugnął porozumiewawczo do Tomasza, w odpowiedzi na jego coraz bardziej przerażony wyraz twarzy.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że tu pewnie nie chodzi o pieniądze. Nie w pierwszej kolejności.

— Zatem o co?

Elmar jakby chciał się uśmiechnąć triumfalnie, ale w ostatniej chwili stłumił emocje i jedynie kąćki ust podbiegły mu nieznacznie do góry.

— Myślałem, że usłyszę to od pana.

— Ode mnie? Przecież opowiedziałem panu wszystko, co wiem na temat porwania. Maglowaliście mnie bez przerwy. Nie mam już nic więcej do dodania.

Tym razem Elmar już emocji nie ukrywał. Zaplanował wcześniej przebieg tej rozmowy i teraz skreślał kolejne punkty, co sprawiało mu wielką satysfakcję.

— A pana... jak to powiedzieć... przyjaciółka?

Tomasz przełknął ślinę. Odpierdol się od Ady. Ona nic do tego nie ma. Próbował odpowiedzieć uśmiechem, ale mu nie wyszło.

— Może w ten sposób nadepnął pan komuś na odcisk? Nie zastanawiał się pan? A co, jeśli ona miała wcześniej chłopaka? I rzuciła go dla pana? Jak on się musiał czuć? Nie chciał się na panu odkuć?

Tomasz siedział sztywno, nie potrafił się ruszyć. Język miał jak po solidnym znieczuleniu dentystycznym. Niby kawałek ciebie, ale nic nie czujesz. Możesz szorować papierem ściernym, patrzeć, jak z szarpanych tkanek sączy się krew, a i tak nie boli. Tracisz kontrolę nad własnym ciałem.

— Nic mi o tym nie wiadomo — wypowiedział wreszcie w bardzo oficjalny sposób. — Nigdy z nią nie rozmawiałem o tym, co było przedtem. To stanowiło część umowy.

Policjant skinął głową.

— Ale przecież zadzwonili i chcieli pieniądze... — Tomasz nie poddawał się. — Gdyby to były porachunki osobiste, nie chcieliby forsy, czyż nie?

— Na obecnym etapie śledztwa nie możemy wykluczyć żadnej opcji. Być może chcą nas zmylić. Wprowadzić w błąd. Skierować myślenie na fałszywe tory. Da mi pan do niej telefon. Zadzwonię jutro z samego rana i umówię się na spotkanie.

Tomasz nie miał wyboru. Krzywił się straszliwie, kiedy zapisywał numer Adrianny na żółtej karteczce podsunętej przez policjanta. Elmar doskonale widział jego grymas twarzy, ale wolał nie komentować. Nie chciał rozdrażniać już i tak zaognionej sytuacji.

— Wolałbym tego nie robić, ale nie mam wyjścia — wytłumaczył się tuż przed rozstaniem. — Postaram się, aby trwało to jak najkrócej i było jak najmniej... bolesne. Proszę dziś o tym nie myśleć. Niech pan obejrzy sobie wieczorem mecz, napije się piwa.

Policjant jednak nigdy do Adrianny nie zadzwonił, ponieważ hipoteza na temat zazdrosnego ekskochanka dziewczyny została odrzucona jeszcze przed świtem następnego dnia. Przysłużył się temu następujący splot okoliczności.

Porywacze z żądaniem okupu zadzwonili do Tomasza na jego komórkę. Oczywiście wyświetlił się wówczas numer, z którego dzwonili, jednak Elmar nie wiązał z nim wielkich nadziei.



— W takich sytuacjach zawsze dzwonią z prepaidu kupionego na stacji benzynowej kilka dni wcześniej. Numer traktują jednorazowo. Po rozmowie przełamana na pół karta SIM trafia do śmietnika — wyjaśnił. — Możemy określić, w zasięgu której stacji bazowej się znajdowali w momencie nawiązania połączenia, ale niewiele z tym zrobimy. Zasięg jest przybliżony, dzwoniли pewnie z miejsca, gdzie w ciągu kilku minut przetaczają się setki osób, za nic nie uda się powiązać tego z kamerami miejskimi. A jeśli będą chcieli zadzwonić ponownie, kupią nowy starter.

Tak się jednak nie stało. Kilka minut po dziesiątej wieczorem, kiedy w telewizji leciał ważny mecz polskiej reprezentacji piłkarskiej, z tego numeru wykonano kolejne połączenie. Uruchomiło to automatyczny alert w siedzibie firmy telekomunikacyjnej. Rozmowa wciąż trwała, kiedy powiadomiona została policja. Wojciech Elmar, kiedy odebrał telefon, siedział właśnie przed telewizorem, pił piwo z puszki, podjadał chipsy paprykowe na zmianę z cienkimi kabanosami i wściekał się na tragiczną grę Polaków. Mają ich! Operator komórkowy przekazał dane, udało się zawęzić obszar poszukiwań do okręgu o promieniu około stu metrów. Chodziło o Wawer, okolice domków jednorodzinnych, rzadko zaludniony teren, więc była szansa, że wytropią osobę, która dzwoniła. Tym bardziej że rozmowa trwała prawie pół godziny, więc rozmówcy raczej na dyskrecji nie zależało. Chyba że to kolejny fałszywy trop, ale z gatunku tych, których nie można zostawić bez sprawdzenia.

Po Elmara podjechała służbowa škoda octavia. Wychodząc z domu, cmoknął żonę w policzek na pożegnanie. Polacy przegrywali 0:2, choć spotkanie trwało zaledwie od kwadransa.

Kiedy dojechali na miejsce, czekało na nich wsparcie, dwóch policjantów w oznakowanym samochodzie. Mieli uchylone drzwi i słuchali radia. Komentator Szpakowski z egzaltacją relacjonował kolejną nieudaną szarżę Polaków.

— W grę wchodzi sześć domów — wyjaśnił młody sierżant o nazwisku Bogdanowski, niechętnie ścisząc odbiornik. — Musimy tam wejść i z nimi pogadać. Bez nakazu niestety wiele nie zdziałamy. — Zrobił przesadnie smutną minę. — Na szczęście wszyscy będą w domach, każdy normalny człowiek siedzi teraz przed telewizorem i ogląda mecz.

Podeszli we dwóch do pierwszej posiadłości. Sierżant Bogdanowski aż gwizdnał, widząc zaparkowane na podjeździe BMW X6.

— Ale fura, nówka sztuka.

Drzwi otworzył im facet w krótkich spodenkach i koszulce polo. Z salonu dobiegały kojące dźwięki smooth jazzu.

Nie oglądają meczu, niewiarygodne, pomyślał Elmar i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z młodszym policjantem. Do gospodarza dołączyła żona – razem wyglądali jak wzorcowe małżeństwo z segmentu DINKs. Na co dzień pracują na menedżerskich stanowiskach w międzynarodowych korporacjach, ale w weekend mają czas dla siebie i potrafią pielęgnować swój związek. Bez zbędnego balastu zasmarkanej dzieciarni.

Rozmowa była krótka. Nie, nikt z ich mieszkania w ciągu ostatniej godziny nie wykonywał rozmów przez komórkę. Czy mają przynieść swoje telefony, służbowe i prywatne, aby policjanci sprawdzili rejestry połączeń? Nie, to nie będzie konieczne. No to świetnie.

Za drugim podejściem mieli znacznie więcej szczęścia. Przed domem nie stała już bryka za trzysta tysiąków, ale piętnastoletni passat kombi. Nacisnęli dzwonek. W tym samym momencie z wnętrza domu dobiegło ich rozzwierające: „Kurwa!”. Spojrzeli na siebie.

— Czyżby 3:0? — Elmar puścił do młodego oko.

W drzwiach stanęła czterdziestoletnia tleniona blondyna często odwiedzająca solarium. Machnęli jej przed nosem legitymacjami. Była przerażona.

— Już wołam męża — zadeklarowała. — Marek, policja przyszła!

— Mecz oglądam... — Usłyszeli męski głos, lecz pomimo tego potężny facet wtoczył się do przedpokoju. Kiedyś musiał być osiłkiem, bratem bliźniakiem Pudziana, lecz z czasem rzadziej chodził na siłkę, żarł mniej anaboliów, a więcej siedział przed telewizorem, popijał piwo i hodował brzuch. Lecz nadal ani Elmar, ani tym bardziej wystraszony Bogdanowski woleliby nie zostać zmuszeni, by zastosować wobec gospodarza środki przymusu bezpośredniego.

— O co chodzi? — zapytał olbrzym, a oni nie potrafili oderwać wzroku od jego mięśni na przedramionach, pokrytych kolorowymi tatuażami

przedstawiającymi ogniste smoki owinięte wokół mieczy i toporów.

Przepraszającym tonem wyjaśnili powód późnego najścia i zapewnili, że oni również z chęcią oglądaliby teraz mecz i pili piwo, ale co robić, taka robota.

Nazwany Markiem okazał się nad wyraz ogarnięty i wyrozumiały.

— Ja nigdzie nie dzwoniłem od kilku godzin, a ty, Iwonka? — Spojrzał w stronę solariowego monstrum.

Blondynka gwałtownie pokręciła głową.

— Ostatni raz do Kaški, żeby potwierdzić godzinę jutrzejszego grilla, ale to było około siedemnastej. To się nie liczy, proszę panów, prawda?

— Nie liczy się. — Elmar dobrze się czuł w takich momentach; sprawiało mu przyjemność, kiedy obywatele okazywali respekt przed władzą. — Chodzi nam o połączenie, które zaczęło się o 20.34, a zakończyło o 21.02. Czy w domu jest ktoś jeszcze?

Iwonka i Marek wymienili przelotne spojrzenia, co nie umknęło uwagi starszego policjanta. Zastanawiali się, czy powiedzieć prawdę; czy jest sens ściemniać i iść w zaparte? Przecież wystarczyło, że przedstawiciele władzy wyjdą na zewnątrz, zadrą głowy, spojrzą w rozświetlone okna na piętrze i będą mieli odpowiedź.

— Andżelika, złaż na dół! — ryknął Marek, próbując przekrzyczeć komentatora Szpakowskiego, który rwał sobie włosy z głowy po kolejnej niewykorzystanej sytuacji podbramkowej Biało-Czerwonych.

— O co chodzi? — Iwonka nerwowo przestępowała z nogi na nogę. — Czy to coś złego? Panowie powiedzą?

Elmar próbował ją uspokoić łagodnym wyrazem twarzy, jednak widząc jego grymas, kobieta zdenerwowała się jeszcze bardziej.

— Andżelika! — Marek krzyknął ponownie, lecz nie było to już potrzebne. Córka gospodarzy pojawiła się na schodach.

Wyglądała jak kopia matki, tylko młodsza o dwadzieścia lat i z lepszą figurą. Elmarowi zrobiło się niedobrze, nie mógł patrzeć na chorobliwie brązową twarz dziewczyny, skórę zniszczoną nadmiarem promieni UV. Przełknął ślinę i wyjaśnił, o co chodzi, po raz trzeci tego wieczoru.

Andżelika powoli kiwnęła głową.

— Dzwoniłam do koleżanki — przyznała. — Nie wiem, czy dokładnie w tych godzinach, ale jakoś tak podobnie, tak mi się wydaje.

— Czy mógłbym zobaczyć telefon?

Dziewczyna odwróciła się, aby pójść na górę, do swojego pokoju.

— Idź z nią. — Elmar szturchnął współpracownika.

— Czy to konieczne? — Matka zrozumiała, że kroi się coś niedobrego. Ale nie można już było tego zatrzymać. Pierwsza kostka domina została popchnięta.

Kolejne dwie minuty były bardzo niezręczne. Stali we trójkę w korytarzu, unikali patrzenia sobie w oczy, wsłuchiwali się w transmisję meczu. Wynik zatrzymał się na 3:0, co przekreślało szansę Polaków na występy na najbliższym mundialu. Nikt już nie wierzył w niespodziewaną odmianę losu i zwycięstwo.

— To ten. — Bogdanowski i Andżelika wreszcie wrócili. Dziewczyna położyła na otwartej dłoni nowego samsunga z ekranem dotykowym.

— Ja go jej kupiłam. — Iwonka czuła się w obowiązku dopowiedzieć. — W ubiegłym roku dostała na urodziny. W listopadzie ma... — urwała i zawiesiła głos, czekając, aż Elmar będzie łaskaw wyjaśnić, o co chodzi w tym całym zamieszaniu, po co nachodzą ich nocą, przeszkadzają w uzalaniu się nad kolejną historyczną porażką reprezentacji i zmarnowaną szansą na lepsze jutro.

Tymczasem policjant nie był łaskaw niczego wyjaśniać. Sięgnął do kieszeni po swoją komórkę, w której w notatkach miał zapisany numer, z jakiego dzwoniło do Tomasza tamtego wieczoru, kiedy siedzieli razem w knajpie na placu Zbawiciela. Nacisnął przycisk z zieloną słuchawką.

Samsung podskoczył na dłoni Andżeliki i zagrał początek najnowszego hitu Lady Gagi.

Mieli ich!

Elmar powstrzymał napad euforii. Andżelika nie zdążyła się wytłumaczyć, w słowo weszła jej matka.

— Przecież to nie twój numer. Telefon jest twój, sama ci go kupiłam, ale numer inny. Jak to możliwe?

— Włożyłam do niego inną kartę SIM — wyjaśniła skołowana dziewczyna.

Marek cały czas milczał i to jego reakcji Elmar obawiał się najbardziej. Coś w nim wzbierało. Polacy przerznęli mecz, córka ma kłopoty z policją, facet nie może dopić w spokoju piwa i zgnieść puszki w swych potężnych łapskach...

W ciągu kilku chwil atmosfera odwróciła się diametralnie. Wszyscy stali sztywno, wpatrywali się w leżący na dłoni Andżeliki telefon z podmienioną kartą SIM, jakby to był artefakt zgubiony przez obcych.

— O co chodzi? — Nie wytrzymała Iwonka. Wpatrywała się intensywnie w męża. — Czy możemy się dowiedzieć? To w końcu nasza córka.

— Ktoś porwał ośmioletnią dziewczynkę, w dodatku ciężko chorą. Zwinęli ją z marketu, kiedy była z opiekunką na zakupach. Dwa dni temu z tego numeru wykonano telefon do jej ojca z instrukcją dotyczącą przekazania okupu.

Marek cały czas milczał i Elmar starał się nie spuszczać go z oka.

— To są jakieś żarty, prawda? — Nie ustawała Iwonka. — Panie władzo?

To nie są, kurwa, żadne żarty, pomyślał. Wpierdoliliście się w najprawdziwsze bagno. Najchętniej by to powiedział na głos, ale tego nie zrobił. Nie tylko dlatego, że nie mógł sobie na to pozwolić, ale też nie zdążył. Głos bowiem zabrał Marek, głowa rodziny, strażnik domowego miru, sędzia, myśliwy i wojownik w jednym. Elmar pomyślał, jak to dobrze, że na świecie żyją jeszcze tradycyjne rodziny, gdzie ojca się po prostu słucha i nikt nie dyskutuje z jego zdaniem.

— O co chodzi z tą kartą SIM? Andżelika, wytłumacz. To musi być jakieś nieporozumienie.

Dziewczyna patrzyła na nich naiwnym wzrokiem. Nawet wiadomość o porwaniu ośmioletniej dziewczynki zdawała się nie robić na niej większego wrażenia. Potrafiła tylko wzruszyć ramionami.

— Na swojej wygadałam cały limit. Dzisiaj poprosiłam Patryka, to mi dał tą. Zdążyłam tylko raz z niej zadzwonić. O co tyle szumu?

— Miałaś nie zadawać się z Patrykiem! Tyle razy ci to powtarzałam!

Marek wciąż milczał, zaciskał zęby, a mięśnie na jego przedramionach drgały jakby szybciej. Elmar pomyślał, że muszą jak najszybciej dotrzeć do tego Patryka, gdyż jeśli wyprzedzi ich ojciec Andzeliki, wówczas nie będzie z kogo wyciągać zeznań.

Sierżant Bogdanowski wyciągnął służbowy notatnik.

— Poproszę nazwisko oraz adres chłopaka.

\* \* \*

Kolega Andzeliki mieszkał na Woli, w wieżowcach przy parku Moczydło i Trasie AK. Policjanci pojechali tam zaraz po wizycie w Wawrze. W drzwiach wejściowych do bloku nie działał domofon, szczerząc powyrywane kable. Śmierząca psimi sikami winda dowiozła ich na dziewiąte piętro. Dochodziła dwudziesta trzecia, kiedy zdecydowanie zapukali do drzwi.

Brak reakcji.

Drugi i trzeci raz – to samo.

Policjanci spojrzeli po sobie, zastanawiając się, co robić dalej, kiedy z wnętrza mieszkania ktoś krzyknął:

— Zaraz otwieram! — co brzmiało, jakby głos lokatora dobywał się z najniższych poziomów piekielnych.

Wiek mężczyzny, który otworzył im drzwi, był nieokreślony. Trzydniowy zarost, nieświeży oddech, zapączkana sosem, nasiąknięta potem koszulka na ramiączkach – wszystko układało się w stereotypowy obraz człowieka z problemem alkoholowym, Elmarowi przemknęło przez myśl, że ten facet mógłby robić za twarz w kolejnej kampanii społecznej PARP-y. Choć dziś można go było usprawiedliwić. Pił na smutno, bo Polacy nie zagrają w kolejnym mundialu. Każdy by się dzisiaj, cholera, napił.

— Jesteśmy z policji. — Okazali legitymacje. — Przyszliśmy do Patryka. Pan jest jego...

— Ojcem. — Gospodarz przytaknął nad wyraz ochoczo. — Patryka nie ma. Łazi z funflami, jak praktycznie w każdy wieczór. Zawsze mu mówiłem, że się doigra. O co tym razem poszło? Znów coś zajeł w supermarkecie?

Nie, jest gorzej, pomyślał Elmar, ale nie powiedział tego.

— Gdzie go możemy znaleźć?

— A bo ja go tam wiem? Przecież mi się nie tłumaczy, gdzie się szlaja. Co ja anioł stróż jego jestem?

Nie było sensu dłużej rozmawiać. Podziękowali za pomoc i pożegnali się. Tymczasem odebrali informację, że Patryk był już dwukrotnie notowany: raz za drobną kradzież w sklepie i drugi za posiadanie marihuany na własny użytek. W aktach znajdowała się jego fotografia. Elmar kazał ją rozesłać po komendach dzielnicowych i przerzucić część patroli w okolice popularnych dyskotek i klubów. Niech połażą i popytają. Muszą go znaleźć. Rano ma czekać w areszcie.

Polecenia te nie zostały zrealizowane w stu procentach. Patryk istotnie czekał na policjanta rano, ale w nie areszcie, tylko w izbie wytrzeźwień.

Znaleźli go dość szybko, chwilę po wpół do pierwszej w nocy, pod dyskoteką Enklawa na Mazowieckiej, gdzie brał się za łyby z innym karczkiem. Patrol dziarsko wkroczył w środek bójki i rozdzielił walczących, co nie było żadnym wyczynem, ponieważ młodzi ledwo trzymali się na nogach. Podczas szarpaniny z kieszeni spodni Patryka wypadła paczuszka z białym proszkiem. Była to amfetamina, dziesięć gramów.

— Toś się wpierdolił w niezłe bagno — powiedział policjant z patrolu. — Trochę dużo jak na użytek własny.

Patryk trafił na izbę, gdzie doszedł do siebie. Następnego dnia, jeszcze przed południem, został przesłuchany przez Elmara.

— Tylko za prochy pójdziesz siedzieć na trzy lata. — Policjant postanowił zacząć rozmowę z wysokiego C.

Przerażony Patryk pokręcił głową. Nie wyglądał dobrze. Musiał go paskudnie boleć łeb, ponieważ wykrzywił usta przy każdym nieoczekiwanym hałasie, mrużył oczy i marszczył czoło. Wczoraj wyszedł na imprezę, jak wychodził miliony razy wcześniej. Pokłócił się z jednym frajerem, chcieli sobie natrzaskać po ryjach, ale to też nie nowina, dziesiątki razy przytrafiały mu się podobne historie. Ale w tej znaleźli się niespodziewanie gliniarze, którzy szczególnie interesowali się nim, a drugiemu koleśowi kompletnie odpuścili. A mogli mu przecież przeszukać kieszenie, miał tam kilkanaście nielegalnych tabletek!

Dlaczego on?

— A prochy to zaledwie mały pikus w obliczu gówna, w którym tkwisz po uszy — perorował Elmar. — Za kidnaping odsiadki są znacznie, znacznie dłuższe.

Tego było już dość. Patryk uniósł głowę, zmagając się z tępym łupaniem wewnątrz czaszki.

— O czym pan mówi? — wycharczał. — Jaki kidnaping?

— Z karty SIM, którą dałeś w prezencie swojej dziuni, dwa dni wcześniej wykonano pewien telefon.

Patryk jakby zapomniał o paralizującym bólu głowy. Przypatrywał się Elmarowi i myślał. Wreszcie skinął na znak, że podjął decyzję. Nie było sensu kłamać i brnąć w pogmatwane wyjaśnienia.

— To miał być żart — powiedział. — Pierdolony żart. Jeden z moich ziomów, Kamil, czasem bawi się w DJ-a przy składach hip-hopowych. Zna przez to różnych popierdolonych koleś. Muzyków. Artystów. — Przełknął ciężko ślinę. — I jeden z nich przez Kamila szukał odważnego do czarnej roboty. Nic wielkiego. Trzeba było postraszyć jakiegoś kutasa, co ziomalowi Kamila był winny hajs. Kamil mnie zapytał, ja się zgodziłem. Co mi tam? Płacił ekstra, trzy stówki za jeden telefon. Tylko zadzwonić i go przycisnąć. Postraszyć. Powiedzieć, co ma zrobić z kasą. — Wzruszył ramionami. — Tylko frajer by się nie zdecydował, co nie?

— Co to był za człowiek? Ten kumpel Kamila? Jak się nazywał? Widziałeś się z nim? Rozmawialiście?

Patryk przytaknął.

— Dziwny jakiś. Milczek. A jak już się odezwał, to niby po polsku, ale miał jakiś inny akcent. Nie-Polak. I jakby cały czas był w swoim świecie. Coś mrucał pod nosem, kiedy nie gadał. Kamil mówił, że gość prowadzi antykwariat gdzieś na Mokotowie. Więcej nic o nim nie wiem.

— A Kamil? Jak możemy się z nim skontaktować?

— Przez Skype'a. — Patryk mimowolnie zarechotał, choć cały czas wyglądał na przestraszonego. — Koleś wypierdolił na Wyspy kilka dni temu. Wróci na Gwiazdkę.

\* \* \*



Przez pierwsze godziny po otrzymaniu tych informacji Tomasz płynął niczym hawajski surfer na wznoszącej fali. Czuł się jak ktoś, kto ponownie potrafi cieszyć się życiem, doceniać jego dawno zapomniany smak, choć jeszcze niedawno sądził, że wszystko przeżył i nic go nie zaskoczy. Wówczas, po raz pierwszy i jedyny od czasu wyjawienia swoich sekretów, pomiędzy nim a Ewą znów wytworzyła się więź. Siedzieli obok siebie, słuchali słów Elmara, mało brakowało, a chwyciliby się za ręce, jak za dawnych lat.

Do tego nie doszło, jednak po wyjściu policjanta pierwszy raz od wielu dni udało im się normalnie porozmawiać. W oczach pojawiło się coś innego niż nienawiść i pogarda.

— Zrobię ci herbaty — zaproponował Tomasz.

Ewa skinęła głową.

— Wiesz, nad czym się zastanawiam? — zapytała kilkanaście minut później, kiedy usiedli w salonie, każde w swoim fotelu, zachowując bezpieczny dystans jak para nieśmiałych nastolatków na pierwszej randce.

— Tak?

— Czy nie poprosić o pomoc Andrzeja.

— Andrzeja?

— No wiesz, Bajbaka. Ja rozumiem, że policja się stara, że ten cały Elmar to świetny fachowiec i po ludzku dobry człowiek, że naprawdę mu zależy, ale sam wiesz... Co dwie głowy, to nie jedna. Bajbak ma ponoć świetnych informatorów na mieście, tak mówił. Rośnie prawdopodobieństwo sukcesu.

Jeśli był choćby cień szansy, że ten wieczór będzie pierwszym krokiem na ścieżce pojednania rodziny państwa Szymkowiaków, wszystkie nadzieje w tym momencie legły w gruzach.

Ta suka chce wynająć Bajbaka. Uporządkowane myśli Tomasza rozpięchły się w dzikim popłochu. Dalej chce płacić grube pieniądze temu skurwysynowi, który deptał po piętach Adzie i trząsał jej fotki z ukrycia. Po moim trupie.

— Rób sobie, co tylko chcesz — odburknął i chlusnął do zlewu gorącą herbatą, w której nie zdążył nawet umoczyć ust. — Teraz to twoja kasa. Nie nasza. Ty decydujesz. Nie musisz konsultować takich spraw ze mną. Jesteś wolnym człowiekiem.

Po czym zamknął się w swojej sypialni.

Kolejny dzień był pierwszym dniem nowej normalności. Tomasz wrócił do biura, kumple poklepywali go po ramieniu, coś tam mamrotali pod nosem, ale nawet nie starał się zrozumieć. Rano zdążył wypić kawę, kupił kanapkę w bufecie, ugryzł dwa razy i odłożył na talerzyku obok komputera. Przeglądał setki nieprzeczytanych mejli, kiedy został wezwany do gabinetu przełożonego.

Szef podczas całego spotkania robił strapione miny, wiercił palcem dziurę w biurku i powtarzał w kółko, że jeśli Tomasz potrzebuje więcej urlopu, to oczywiście nie ma najmniejszego problemu, przecież on też jest ojcem i wszystko doskonale rozumie. Ale może Tomasz woli poświęcić się pracy, aby tym zagłuszyć ból? Zwierzchnik, jakby co, popierał taką strategię. To bardzo logiczne i przemyślane posunięcie. Kiedy się sam rozwodził, pięć–sześć lat temu, siedział w pracy po czternaście godzin. Bo co miał robić? Wracać do pustego domu i zadrećcać się myślami, że żona go zdradzała z kumplem? Praca to świetny kanalizator złych emocji. Daje zapomnienie.

Poświęcić się pracy, dobre sobie, myślał Tomasz, kiedy wrócił za biurko. Zagłuszyć pracą inne problemy? Chciało mu się śmiać. Przecież nie jest naiwnym dwudziestopięciolatkiem, definiującym się przez pracę. Przecież to nie w pracy szuka siły, która pozwala mu każdego poranka zwlec się z łóżka. Nigdy nie był godnym pogardy korpuludkiem, wierzącym w wizję, misję i wartości firmy; naiwniakiem dającym się dymać przez tych, którzy umościli sobie ciepłe posadki na wyższych szczeblach struktury organizacyjnej!

Nic z tego.

Dzień zleciał szybko. Przez biuro przewinęło się sporo osób, dalszych znajomych (bliższych nie miał), którzy za punkt honoru postawili sobie wydusić kilka słów pocieszenia i otuchy. Nauczył się wówczas robić smutną minę, niewerbalnie wysyłając komunikat: „Zaraz się rozkleję i będę płakał. Dajcie spokój”. Działo zaskakująco dobrze. Niechciani goście urywali w pół zdania i dyskretnie wycofywali się z gabinetu.

Kilka minut przed siedemnastą zadzwonił telefon. Nieznany numer. Tomasz odebrał bez zastanowienia.

— Z tej strony Andrzej Bajbak.

Pierwsza myśl była kompletnie bez sensu.

— Skąd ma pan do mnie numer?

— Od pana żony. Poprosiła, bym do pana zadzwonił.

— Słucham?

— Udało mi się coś ustalić. Jest pan ciekaw?

Chociaż trwało to ułamek sekundy, detektyw Bajbak napawał się przewagą. Był w posiadaniu informacji, na których zależało Tomaszowi. Musiał zrobić pauzę, choćby symboliczną, odcinek czasu niezbędny, aby przełknąć ślinę i odchrząknąć. W ten sposób role w rozmowie zostały zdefiniowane. Kto panem, a kto pariasem.

— Proszę mówić.

— Pamięta pan dowcipy o Radiu Erewań? Że rozdają samochody na placu Czerwonym? Radio Erewań dementuje: nie na placu Czerwonym, tylko na placu Zwycięstwa, nie samochody, tylko rowery, i nie rozdają, tylko kradną.

— Starczy tej komedii...

— Normalnie, jak w Radiu Erewań — powiedział Bajbak dziwnym tonem. Pierwotnie planował się zaśmiać, ale powaga w głosie Tomasza sprawiła, że zmienił zdanie.

Sucho zrelacjonował, czego się dowiedział. Ten koleżka, kumpel Kamila, który prowadzi antykwariat na Mokotowie... Okazało się, że nie na Mokotowie, tylko na Żoliborzu, i nie antykwariat, tylko sklep z winylami. Oprócz tego wszystko się zgadzało. Nagrywa muzykę, ma amerykański paszport. Nazywa się Krzysztof Lubelski.

— Gdzie to jest?

— Na Zajęczka. Jak pan skręci w prawo z Mickiewicza, zaraz za wiaduktem, obok pizzerii.

Tyle wystarczyło. Bajbak nabierał oddechu, aby powiedzieć coś jeszcze, ale Tomasz z ulgą wdusił przycisk czerwonej słuchawki. Połączenie zostało przerwane.

Trzasnął pokrywą laptopa i poderwał się na równe nogi. Truchtając na parking, wybrał na komórce numer do Elmara.

— Jadę tam! — zakończył relację.

Policjantowi pomysł nie przypadł do gustu.

— Proszę sobie odpuścić. Niech mnie pan posłucha, błagam pana. Wpakuje się pan w kłopoty i narobi syfu. Proszę dać spokój, na Boga.

Tomasz rozłączył się. Chyba pora wręczyć Elmarowi wypowiedzenie, uśmiechnął się do swoich myśli. Pracował w biurowym zagłębiu na dawnym Służewcu Przemysłowym i dotarcie na Żoliborz w porze komunikacyjnego szczytu zajęło mu blisko pięćdziesiąt minut. Postanowił ominąć wiecznie zakorkowaną Trasę AK i wybrał drogę przez centrum, ale i tak utknął na Puławskiej. Oby tylko nie zamykali sklepu o osiemnastej... Nie potrafił skupić się na niczym innym, bębnił nerwowo palcami o gumowe obicie kierownicy.

Na miejscu był dziesięć minut przed potencjalną godziną zamknięcia sklepu. Wypatrzył miejsce na skraju rzędu zaparkowanych równolegle samochodów. Próbował wjechać tyłem i otarł się tylnym zderzakiem o znak drogowy. Zmełł w ustach przekleństwo i wyskoczył na ulicę. Nawet nie spojrzął na efekt kolizji, nie próbował szacować, ile będzie kosztowała wizyta u lakiernika.

Lęk przed spóźnieniem okazał się zbędny. Na hipsterskim Żoliborzu sklepy nie miały sztywno ustalonych godzin otwarcia. Sklep z winylami wciśnięty był pomiędzy śmierdzącą przypalonym serem pizzerię i modną kawiarnię, gdzie serwowano wyłącznie ekologiczne żarcie, a klienci siedzieli na workach sako, racząc się zieloną herbatą lub popijając naturalne napoje gazowane na bazie yerba mate.

Dzwonek przy drzwiach zaanonsował klienta. Tomasz wkroczył do ciemnej, zatechłej klitki. Cztery osoby w tym miejscu robiłyby tłok. Płyty były wszędzie: leżały na podłodze, poukładane w skrzynkach po jabłkach, stały na regałach opisanych kolejnymi literami alfabetu, wisiały na ścianach i na suficie. Na ladzie leżały kupony do gry w totolotka. Ktoś musiał być tutaj nałogowym graczem – kwity szły w setki.

— Te w skrzynkach są po pięć złotych, ale nie ręczę za ich stan. — Z zaplecza wyłonił się sprzedawca. — Proszę do mnie nie wracać z reklamacją. Te na półkach mają naklejoną z tyłu cenę. Szuka pan czegoś konkretnego? — mówił dobrze po polsku, nie robił błędów, ale w głosie bez problemu dało się wyczuć zachodni akcent, zgodnie z zeznaniami złożonymi przez Patryka. To musiał być on. Człowiek, który jest zamieszany w porwanie Alicji.

Krzysztof Lubelski.

— Nie, tak się rozglądam. Przejeżdżałem, zobaczyłem sklep i pomyślałem, że wpadnę. Może trafię na jakiś rarytas. — Tomasz roześmiał się, co zabrzmiało trochę sztucznie.

— A jaki rodzaj muzyki pana interesuje?

Tomasz podniósł głowę i dopiero teraz przyjrzał się właścicielowi muzycznego antykwariatu. W jego obliczu było coś niepokojącego. Ludzie składają się w sześćdziesięciu procentach z wody, pomyślał Tomasz, tymczasem Krzysztof Lubelski wyglądał, jakby w jego ciele wody było nie więcej niż dwadzieścia procent. Wysuszona i pomarszczona twarz, jak pestka brzoskwini. Siwe, wręcz białe włosy, nieumiejętnie spięte w kucyk, wyłazące na boki niczym u gnijącego w trumnie nieboszczyka. Trudno było na pierwszy rzut oka orzec, ile ma lat. Więcej niż czterdzieści, mniej niż pięćdziesiąt – ale zakładu na pieniądze Tomasz by nie przyjął.

— Jakie gatunki? Kompozytorzy? Konkretne zespoły? Chętnie doradzę. Po to tu jestem.

Jezus Maria, przecież kontakt Tomasza z muzyką ograniczał się do słuchania Radia Zet przy śniadaniu albo RMF-u w samochodzie, w drodze do pracy. Co miał odpowiedzieć? Czego słuchał, kiedy był dzieciakiem?

— Może ma pan coś Iron Maiden? — wykrztusił wreszcie i poczuł się jak kretyn.

— Jasne, coś się znajdzie. — Krzysztof uśmiechnął się przelotnie. — O jaki album panu chodzi, bo mam kilka?

— Wie pan, zbieram winyle od niedawna i odtwarzam dawną kolekcję. Rzeczy, które kiedyś miałem na kasetach. Dawno temu, jeszcze w liceum.

Sprzedawca uśmiechnął się ponownie, tym razem bardzo szeroko, eksponując rząd pożółkłych i nadpsutych zębów. Tomasz poczuł się pewniej. Mógł się domyślać, że właściciel sklepu, prowadzący interes już ładnych kilka lat, dysponował segmentacją klientów i Tomasz, deklarując muzyczne zainteresowania, wpadał do dobrze zdefiniowanej szufladki. Oto pocziwy facet, zapewne cichy pantoflarz, przechodzący kryzys wieku średniego w bardzo łagodnej formie. Zamiast motocykla, sportowego samochodu, młodszej o dwie dekady kochanki, inwestuje w dobrej jakości sprzęt grający i zaczyna wracać do muzyki, którą się zachwycał, kiedy miał piętnaście lat.

Gdyby każdy facet przekraczał smugę cienia w podobnie łagodny sposób, świat byłby zupełnie innym miejscem.

Tomasz kucnął i przeglądał winyle ustawione na ścisk w drewnianej skrzynce. Sprzedawca wyszedł zza lady, podszedł do regałów i przesuwał palcem po wąskich grzbietach płyt.

— Oczywiście interesuje pana tylko Dickinson?

— Oczywiście. — Tomasz pytania nie rozumiał, ale uznał, że potakiwanie będzie najbezpieczniejszą strategią.

— No to dużego wyboru pan nie ma.

Dzwonek przy drzwiach zaanonsował nowego klienta. Do środka wszedł nikt inny jak Wojciech Elmar. Ubrany schludnie mężczyzna zupełnie nie pasował do tego miejsca. Żeby tylko Lubelski nie nabrał podejrzeń, pomyślał Tomasz.

Martwił się niepotrzebnie. Nic takiego się nie wydarzyło. A nawet wręcz przeciwnie.

— Szukam płyty *Nostradamus* zespołu Dodo Resurrection — rzucił gliniarz na powitanie. — Ma pan?

Sprzedawca nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. Elmar mu zawtórował.

— Cholera, spóźnił się pan kilka godzin. Miałem kilka sztuk, ale dzisiaj po południu sprzedałem ostatni egzemplarz.

Odpowiedzi towarzyszył kolejny wybuch wesołości. Tomasz nie rozumiał kontekstu. Hermetyczny żart kolekcjonerów płytowych? Wszystko na to wskazuje. Elmar znał się dobrze na muzyce? Cóż, każdy człowiek kryje w sobie tajemnicę.

— Ma pan coś ciekawego z progresywnego rocka z lat 70.? Szukam inspiracji, czegoś mniej oczywistego — zapytał policjant, kiedy się uspokoił.

— Progresywny rock stoi tutaj. — Krzysztof wskazał regał. — Za chwilę przejrzę z panem i coś doradzę. Z Ironów mam niestety tylko to. — Do rąk Tomasza powędrowały trzy płyty. — Ja najbardziej lubię *Piece of Mind*.

Co dalej? Tomasz intensywnie wpatrywał się w kiczowate ilustracje na okładkach winyli. Klimat jak z komiksów dla niedorozwiniętych intelektualnie nastolatków. W tym czasie Elmar żywo rozprawił

z Lubelskim, w rozmowie przerzucali się egzotycznymi nazwami zespołów, o których Tomasz nigdy wcześniej nie słyszał. Ale co potem? Czy Elmar wyciągnie legitymację i zacznie przesłuchiwać sprzedawcę? Dlaczego tego jeszcze nie zrobił? Jaki miał plan, do czego zmierzał? Spróbował nawiązać z policjantem kontakt wzrokowy, ale ten wyraźnie go unikał.

— Mogul Thrash. — Lubelski nakręcał się coraz bardziej. — Wydali jeden album, w '71. Nie zna pan? Koniecznie musi pan posłuchać! Cholera, gdzie on jest...? Chyba odłożyłem na zapleczu. Zaczeka pan?

Elmar (w typologii Lubelskiego: „rozentuzjasmowany kolekcjoner”) złożył zapewnienie, że coś kiedyś o tym zespole czytał, ale muzyki nie miał okazji usłyszeć, więc absolutnie tak, zapewne zdecyduje się go dzisiaj kupić, jeśli cena będzie rozsądna.

Sprzedawca wycofał się na zaplecze. Tomasz wciąż śleczął nad trzema płytami rozłożonymi na ladzie i czuł się jak głupek. Wymienili wreszcie spojrzenia. Policjant skinął głową, jakby chciał powiedzieć „wszystko jest pod kontrolą”.

Lecz pod kontrolą nie było nic.

Poszukiwania unikatowej płyty brytyjskich prog-rockowców wydłużało się. Tomasz miał wrażenie, że przeanalizował już wszystkie szczegóły okładek Iron Maiden i potrafiłby je dość wiernie odtworzyć, rysując wyłącznie z pamięci. Elmar nerwowo przestępował z nogi na nogę.

— Proszę pana, jest pan tam? — krzyknął wreszcie.

Prawda spłynęła na nich jednocześnie, objawiła im się zgodnie w tym samym przebłysku zrozumienia.

— Kurwa mać! — Elmar cisnął na podłogę stertę zakurzonych płyt. — Normalnie w pizdę jeża!

Przeskoczył ponad ladą, rozsypując kupony totolotka, i kopnięciem otworzył drzwi na zaplecze. Ciasna kanciapa, podobnie jak właściwa sala sprzedaży, zagracona była drewnianymi skrzynkami z płytami. Znajdowały się tam również drzwi, które prowadziły na podwórko.

Razem wybiegli na zewnątrz. Zakratowany, zamykany na klucz śmietnik, trzepak, szary kot wylegujący się w przyjemnych promieniach popołudniowego słońca i brama na ulicę. Brama, którą ktoś przed chwilą otworzył.

— Ja pierdolę! — Wściekły Elmar wyglądał naprawdę groźnie. — Tędy!  
Rzucił się na ogrodzenie niby wściekły pitbull, który nie potrafi sforsować stalowych krat. Szarpnął za klamkę – brama była otwarta.

Znaleźli się na ulicy. Ulicy praktycznie wymarłej, gdzie życie toczyło się w tradycyjnym, niespiesznym, żoliborskim rytmie. Przechadzała się staruszka, młody biegacz zmierzał zmęczonym krokiem w stronę Cytadeli. Dlatego łatwo było zwrócić uwagę na granatowe BMW, które opuściło miejsce parkingowe wzdłuż ulicy i pojechało w stronę Wybrzeża Gdańskiego.

— To on! — wydarł się Elmar.

— Gdzie masz samochód?

— Za zakrętem, bliżej nie było miejsca.

— To do mnie.

Nim Tomasz uruchomił silnik i wyjechał z ciasnej zatoczki, przy okazji uderzając ponownie w znak drogowy, Elmar zdążył już wykonać telefon.

— ... BMW. Jedzie w stronę Wisłostrady lub na Nowe Miasto. Gdzie macie patrol? Niech ruszą, do kurwy nędzy, dupy! Teraz!

Później Tomasz nie potrafił się nadziwić, jak sprawnie zadziałała policja. Krawężniki stały na wysokości mostu Gdańskiego, przed światłami, i strzelały z suszarki w kierowców jadących od strony Łomianek. Kiedy dostali wezwanie, zwinęli majdan w kilkanaście sekund i na wyjącej syrenie ruszyli pod prąd ulicą Wenedów, aby odciąć drogę Krzysztofowi Lubelskiemu. Ryczał silnik beemwicy, spomiędzy kocich łbów na Krajewskiego bieżniki wyszarpywały błotne pozostałości nocnej ulewy. Lubelski w mig spostrzegł, co się święci, i skalkulował szanse.

Były zerowe.

Wdepnął hamulec do oporu, koła poślizgły się na mokrych kamieniach. Zadziałał ABS, kierowca poczuł pod stopą pulsowanie pedału. Skręcił jednocześnie kierownicą i samochód ustawił się w poprzek ulicy.

Krzysztof nie czekał, aż półtorej tony blachy i plastiku wytraci prędkość. Otworzył drzwi i dał nura, turlając się po ziemi i krzywiąc, kiedy skóra na dłoniach i kolanach zdierała się o asfalt. Później konsylium lekarskie zgodnie orzekło, że działał w szoku. Tętnice nie przesyłały krwi, lecz czystą adrenalinę. Mogło urwać mu nogi, a wciąż mógłby chodzić.



I dlatego zdołał – z potwornie bolącą, pękniętą w trzech miejscach kostką – ruszyć sprintem w stronę schodów i wspiać się po nich na znajdującą się na nasypie ulicę Słomińskiego.

Tomasz dotarł na miejsce góra czterdzieści sekund później. Zaparkował na chodniku, wyskoczył z Elmarem z samochodu, rozglądając się wściekle dookoła. Policjanci z drogówki również zdążyli już wytoczyć się z radiowozy, zaparkowanego na samym środku skrzyżowania Zakroczymskiej i Wenedów. Niebieski kogut migał złowroźnie, jęk syreny rozdzierał powietrze.

— Tam! Biegnie w stronę mostu — wskazał tłustym paluchem policjant w zbyt ciasnym mundurze.

W tym momencie Wojciech Elmar zrobił coś, za co Tomasz powinien być mu wdzięczny do końca życia. Trzydzieści sekund, które odmieniło losy śledztwa.

Uratował życie Krzysztofowi Lubelskiemu.

Policjant wyciągnął komórkę i wybrał numer Komisariatu Rzecznego.

— Przyślijcie chłopaków pod Gdański! Mamy tu klienta. Być może będzie próbował skakać.

Ruszyli pod górę we czterech – Tomasz, Elmar i dwóch policjantów z patrolu drogowego. Tomasz szybko się zasapał i został nieco w tyle. Szczęśliwie nie był to długi dystans.

Kiedy wybiegli na poziom ulicy, zobaczyli Lubelskiego. Właściciel sklepu płytowego poruszał się coraz wolniej. Kończył się haj adrenaliny – organizmu nie dało się oszukiwać w nieskończoność. Dwupasmową trasą śmigały samochody, znacznie przekraczając dozwolone w tym miejscu siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Po kolejnym ciężkim dniu pracy ludzie spieszyli się do domów na Pradze i Targówku.

Krzysztof słabł z każdym krokiem. Od kiedy znalazł się na moście, przecłapał ledwie kilkadziesiąt metrów. Wreszcie zatrzymał się, oparł dłoń o barierkę; ciężko oddychał. Elmar zatrzymał się również, zachowując dystans umożliwiający rozmowę pomimo huku przejeżdżających samochodów. Na dole, wzdłuż Wisłostrady, gromadziło się już wsparcie, zatrzymywały się kolejne radiowozy, parkując na chodniku, przy ciężkich słoniowych nogach mostu.

Stali piętnaście metrów od siebie. Elmar uniósł dłoń, powstrzymując towarzyszących mu policjantów przed kolejnym krokiem.

— Chcemy z panem porozmawiać. — Szukał kontaktu wzrokowego ze ściganym. — Proszę się niczego nie obawiać.

Krzysztof Lubelski milczał. Patrzył na szybki nurt Wisły w dole. Następnie odwrócił się twarzą do pościgu, otaksował go wzrokiem. Wszystko to trwało kilka sekund, nie dłużej. Zamknął oczy, zacisnął powieki, zagryzł wargi i uniósł brodę; poruszał głową jakby w rytm niesłyszalnej przez nikogo innego muzyki.

Przełożył nogę przez niską barierkę i runął w dół, bezwładnie jak kamień.

— Nie!!! — Elmar stał za daleko, by go zatrzymać. Wyrwał do przodu, lecz wszystko na próżno – wygięte palce chwyciły tylko powietrze.

Lubelski spadał zaskakująco krótko. Karmiony popkulturą Tomasz podobne sceny wyobrażał sobie zupełnie inaczej: pełna patosu stop-klatka, twarz rozciągnięta w grymasie przerażenia, z piersi wyrwa się pierwotny wrzask. W powietrze strzelają fontanny wody ochlapujące zbierających się na nadbrzeżu gapiów, którzy do tej pory wylegiwali się na betonowych stopniach i pili piwo. Rzeka się gotuje, miejsce, które pochłoneło topielca, kipi białą pianą.

Tymczasem kiedy podbiegli do barierki i spojrzeli w dół, Wisła płynęła niewzruszona, wyglądając tak samo jak przed chwilą. Jakby nic się nie wydarzyło.

— Na szczęście już są — westchnął Elmar i wtedy Tomasz zauważył motorówkę policji rzecznej, nadpływającą od strony mostu Śląsko-Dąbrowskiego.

W zderzeniu z taflą wody Lubelski nie stracił przytomności. Wypłynął na powierzchnię i walczył z nurtem rzeki, wyjątkowo silnym w tym roku. Na skutek przymusowego nurkowania wypił kilka litrów śmierdzącej Wisły i wymiotował teraz wodą. Machał rękami, ale wiedział, że starcie jest skazane na porażkę. Gdyby nie silne ramiona policjantów, którzy wciągnęli go na pokład motorówki, przegrałby walkę w czasie krótszym niż minuta.

Przybili do brzegu przy moście i wynieśli półprzytomnego mężczyznę na brzeg. Tomasz i Elmar zbiegli po krętych schodach. Wisłostradą nadjeżdżała

już karetka na sygnale.

Tomasz pochylił się nad Lubelskim. Ten oddychał szybko, wciągając łapczywie powietrze. Spotkali się spojrzeniami.

— Gusztav Borbély — wycharczał sprzedawca winyli. — Robiłem to na zlecenie Gusztava Borbélya. — I stracił przytomność.

# DZIESIĘĆ

## MAYER/ WIEDEN 1984

Andrejs Putnis – którego pojmanie odwlekło termonuklearne piekło – został złapany przez Węgrów i przetransportowany do Stanów przez Wiedeń.

Mayer na spotkanie z nim udał się tuż po dramatycznych wypadkach związanych z rozpadem Trójcy Świętej i śmiercią Sary McCoughan. Brandon Ortega przeżył cios w szyję szklanym odłamkiem, ale stracił mnóstwo krwi i dochodził do siebie w szpitalu dla VIP-ów. Gorzej było z Kevinem Lubelskim. Chłopak pograżył się w muzyczno-narkotycznym delirium i zerwał wszelki kontakt ze światem zewnętrznym. Zmienił się w warzywo i wylądował w prywatnej klinice z opłaconym przez CIA abonamentem na najbliższe dwadzieścia pięć lat. Karmiono go przez rurkę, a on robił pod siebie, ślinił się i bełkotał. Grono wybitnych psychiatrów wkrótce orzekło, że już nigdy nie wróci do rzeczywistości, choć oczywiście złożoność ludzkiego mózgu wciąż jest największą zagadką wszechświata i nie można wykluczyć cudu. Trójca Święta przestała istnieć, ale Mayer dostał nową zabawkę.

Andrejsa Putnisa.

Okazało się, że aby złapać Putnisa w Budapeszcie, wystarczył jeden telefon. Agent CIA działający przy ambasadzie skontaktował się z opozycyjną organizacją Węgrów i ci dokonali nalotu na przytulne mieszkanie na piątym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy położonej niedaleko katedry Świętego Stefana. Do Wiednia przetrzucili go ukrytego pomiędzy skrzynkami papryki pod plandeką dużego samochodu dostawczego. Tam przejął go kolejny funkcjonariusz wywiadu i zorganizował lot przez Atlantyk wojskowym odrzutowcem.

Był tylko jeden problem.

Andrejs Putnis nie miał przy sobie generatora kodów, o który toczyła się gra, gadżetu, który mógł spowodować lub powstrzymać atomową wojnę. O czym to świadczyło?

Że w Budapeszcie zdążył się skontaktować z wysłannikiem Moskwy i mu go przekazać? Że cała sprawa była jedną wielką ściemą, mistyfikacją sprytnie zaplanowaną przez Ruskich w celu wprowadzenia CIA w błąd?

Zbyt wiele interpretacji cisnęło się na usta, a Andrejs Putnis odmawiał jakichkolwiek zeznań. Całe dni przesiadywał w celi, przeglądał gazety i czasem poprosił o książkę z zakresu fizyki. Siedział na więziennej pryczy i wyteżając wzrok, pisał coś w kołonotatniku, który sprezentował mu Kashgoff.

Mayer często odwiedzał więźnia, wymęczony ciągłymi przesłuchaniami w sprawie rozpadu Trójcy Świętej. William Casey, dyrektor Centrali Wywiadu, nie posiadał się z wściekłości na Kashgoffa, którego oskarżał o nieprzemyślane użycie broni, wykraczające poza regulaminy agencji. Psychologowi wytoczono postępowanie przed wewnętrzną komisją dyscyplinarną. Mayer jako jedyny świadek (Brandon wciąż przebywał w szpitalu, z Kevinem nie udało się nawiązać kontaktu) musiał chodzić na jej wszystkie posiedzenia, gdzie składał pełne szczegółów zeznania.

Po całodziennych sesjach, wymęczony gradem pytań, opowiadaniem tysięczny raz tego samego, Hochbaum przychodził pod celę Łotysza, siadał przed kratami i próbował z nim rozmawiać. Równie dobrze mógłby gadać do odbicia w lustrze. Andrejs leżał na pryczy, wkoło niego walały się książki – pełne podkreśleń, znaczków i bazgrołów na marginesach. Ruski szpieg robił tylko dwie rzeczy. Czytał albo coś pisał; maksymalnie skupiony, wysuwał wówczas koniuszek języka, marszczył czoło i aż pojękiwał z wysiłku, stawiając kolejne litery, cyfry czy też operatory działań matematycznych.

Pewnego dnia, kiedy wyprowadzono go na przesłuchanie, Mayer wszedł do celi i przejrzał te zapiski. Andrejs w dwa tygodnie wypełnił stustronicowy notatnik. Pisał starannym, niemal kobiecym pismem, ustawiał w równych rządach wyczelowane symbole. Tekstu było tam niewiele. Głównie równania matematyczne, które na pierwszy rzut oka nic Mayerowi nie mówiły.

Podczas przesłuchań Andrejs odzywał się tyle, ile to konieczne. Przyznał się do pracy na rzecz Związku Radzieckiego, ale twardo odmawiał zeznań na temat wydarzeń w Budapeszcie: czy spotkał się z reprezentantem KGB i wypełnił misję. Bardzo gwałtownie zaprzeczał, kiedy pojawiły się zarzuty odnośnie do niedoszłego werbunku Mayera. Dawne spotkanie w deszczu

dotyczyło wyłącznie fizyki, problemu, nad którym Andrejs Putnis głowił się bez sukcesów od wielu miesięcy. Na pozostałe pytania odmawiał odpowiedzi, a kiedy przesłuchujący straszili, czym grozi milczenie, kiwał tylko ze zrozumieniem głową, jakby chciał zadeklarować, że akceptuje wszystkie konsekwencje swoich działań.

W tamtych dniach, krótko po powrocie z Budapesztu, przyjaźń Mayera z Kashgoffem zaczęła się psuć. Pewnego razu wybrali się na piwo, jak robili to w dawnych czasach, i Hochbaum w rozmowie próbował wrócić do finału Trójcy Świętej, ale psycholog wyraźnie unikał tematu.

— Jedna rzecz nie daje mi spokoju — perorował Mayer pochylony nad kuflem. — Brandon sfałszował wyniki swojego testu, ponieważ nie chciał, abyśmy wzięli go za dobrego psychotronika. Bał się spędzić resztę życia w łodzi podwodnej. Skąd o tym wiedział? Ty mu powiedziałaś?

Robert spojrział na rozmówcę spode łba.

— Uwierzyłeś mu? Nie zrobiłem tego. Zresztą jaki miałbym w tym interes? Być może w agencji, blisko Trójcy Świętej, był jeszcze jeden kret? Nie pomyślałeś o tym?

Mayer coraz rzadziej bywał w Firmie. Został przecież zatrudniony przez Butlera, do pracy przy Trójcy, a agent gnił teraz gdzieś w komunistycznym więzieniu. Hochbaum nie miał czego szukać w agencji, więc częściej wracał na uczelnię, próbując poznać teorię strun – nowe podejście do Wielkiej Teorii Unifikacji, które w szybkim tempie zdobywało legiony entuzjastów.

Pod koniec października wewnętrzna komisja CIA zakończyła śledztwo w sprawie Trójcy Świętej i Robert Kashgoff został oczyszczony z zarzutów. Zbiegło się to w czasie z urodzinami psychologa i korzystając z tej okazji, urządził on przyjęcie. Zaprosił do domu mnóstwo znajomych, nakupił alkoholu i wynajął kucharza, który uwijał się w kuchni, smażąc hamburgery, gotując wielkie kolby kukurydzy. Wśród zaproszonych znalazł się także Mayer. W pierwszej chwili chciał się z imprezy wykręcić, szukał powodu, by spędzić ten wieczór w domu albo chociaż przejść się do celi Putnisa, przesiedzieć tam ze dwie godziny, patrząc, jak Łotysz skrupulatnie zapisuje w notatniku kolejne równania, których nie rozumie nikt poza nim samym.

Jednak w końcu się zgodził. Może wolał zachować pozory relacji, jaka łączyła go niegdyś z psychologiem? Sam nie wiedział, ale w piątek

szesnastego listopada o dwudziestej czterdzieści pięć wysiadł z taksówki przed domem Kashgoffa.

Gospodarz imprezy przywitał go zbyt wylewnie, by mogło to być szczere zachowanie. Poklepał po plecach, wcisnął w dłoń zmrożoną buteleczkę Millera Lite i rozpląnął się w tłumie gości.

Mayer nie znał tu prawie nikogo. Przez dwie godziny odbijał się od różnych grupek dyskutujących na wszystkie tematy: od Superbowl, przez miażdżące zwycięstwo Reagana nad Mondale'em w wyborach prezydenckich, po komentarze na temat *Gliniarza z Beverly Hills*. Ale z nikim nie zamienił więcej niż trzy zdania.

Około dwudziestej trzeciej zbierał się do wyjścia, kiedy podszedł do niego młody facet z szopą kręconych włosów, upodabniającą go do modnego Michaela Jacksona.

— Pan Martin Roundtree? — Nieznajomy uśmiechnął się szeroko i wykonał gest, jakby chciał się stuknąć trzymaną w dłoni butelką piwa.

Mayer z ociąganiem skinął głową. W takich sytuacjach wolał zachować ostrożność.

— Z kim mam przyjemność?

— Eryk Sanders. — Facet wyciągnął dłoń. — Możemy chwilę porozmawiać?

Zaszyli się na końcu korytarza na piętrze, aby nikt im nie przeszkadzał. Eryk przedstawił się jako kumpel Roberta Kashgoffa jeszcze z czasów szkoły średniej. Starał się mówić ogólnikami, ale Mayer w mig złapał jego intencję. Kashgoff jak na pracownika CIA był nieco zbyt gadatliwy i Eryk z grubsza orientował się, na czym polegał projekt Trójcy Świętej. I był nim cholernie zafascynowany.

— Jestem neurologiem, specjalizuję się w biometrii. — Sanders upił piwa. — Pozytonowa tomografia emisyjna, pan rozumie? — Roześmiał się. — Co ja wygaduję, przecież mam przed sobą fizyka. Techniki obrazowania mózgu rozwijają się w coraz szybszym tempie. Wie pan, fascynuje mnie jedna rzecz...

Mayer uniósł brwi.

— No wie pan... Jak wygląda mózg takiego psychotronika? Czy są jakieś różnice w porównaniu z mózgiem normalnego człowieka? Skądś się przecież

ich moc musi brać. — Roześmiał się ponownie, tym razem nieco bardziej nerwowo. — Nie trzeba zrywać im skalpu, aby to zbadać. Wystarczy wsadzić ich do skanera PET.

Mayer zrobił surową minę.

— Nic z tego. Niczego pan nie sprawdzi. Trójca Święta poszła w rozsypkę.

Eryk zbladł.

— Co pan mówi?

— Tajemnica służbowa. Nic więcej nie mogę powiedzieć. — Teatralnym gestem położył palec na ustach.

— To mnie pan zmartwił. Nie ma tam nikogo, kogo dałoby się przepuścić przez tomograf?

— Niestety nie. Nie mam nikogo takiego.

— Cóż... — Eryk rozłożył bezradnie dłonie. — Na wszelki wypadek dam panu swoją wizytówkę.

Kartonik zniknął w portfelu. Ponownie uścisnęli sobie dłonie i Mayer z czystym sumieniem mógł opuścić przyjęcie.

\* \* \*

O Eryku Sandersie przypomniał sobie półtora miesiąca później, chwilę przed końcem roku. Siedział w gabinecie na uczelni, przeglądał notatki przed zbliżającym się wykładem, kiedy na biurku rozdzwonił się telefon.

Dzwonili z CIA.

— Putnis — wyjaśniła urzędniczka niższego szczebla. — Powiedział, że musi z panem porozmawiać. Natychmiast. Przepraszam, że przeszkadzam, ale wydaje się, że to ważna sprawa.

Mayer nie zaczekał nawet na grzecznościowe pożegnanie. Rzucił słuchawkę na widełki i w biegu założył zimowy płaszcz.

— Odwołaj wykład — krzyknął do sekretarki. Zbiegł po stromych schodach secesyjnego budynku, sprintem przeciął korytarz, nie przejmując się zdumionymi spojrzeniami swoich studentów, machnął ręką do parkingowego, który podniósł szlaban.



Andrejs Putnis siedział po turecku pośrodku celi, z zamkniętymi oczami, zadumany, medytując. Kiedy Mayer stanął przed kratami, Łotysz w pierwszej chwili nie zareagował. Nawet na niego nie spojrział.

Hochbaum donośnie chrząknął. Radziecki szpieg nie otwierał oczu.

— Pan chciał ze mną porozmawiać...

Znów milczenie. Mayer czuł się dziwnie. Cela tonęła w półmroku, Andrejs miał na sobie jedynie podkoszulek i luźne płócienne spodnie. Obficie się pocił, chociaż w budynku panowała niska temperatura i Mayer aż dostał gęsiej skórki.

Niech on wreszcie, do cholery, coś powie.

— Mam ją. — Łotysz niespodziewanie otworzył oczy i przeszył Mayera świdrującym spojrzeniem, aż ten musiał odwrócić wzrok.

— Kogo? — wykrztusił po kilku sekundach dekoncentracji.

— Prawdę. Teorię. A nad czym pracowałem ostatnie miesiące? Problem został rozwiązany. Ogarniam cały model. Czuję się wspaniale, to niesamowite uczucie. Jakbym był Bogiem.

Do deklaracji Łotysza Mayer podszedł z dużą ostrożnością. Średnio raz na semestr zdarzało się, że odwiedzał go gruby, pryszczaty student fizyki drugiego roku i rozkładając na stole niestaranne notatki, próbował wytłumaczyć, dlaczego Einstein się mylił i zagadnienie połączenia teorii kwantów z fizyką relatywistyczną jest banalnie proste. Mayer przywykł do tego typu zachowań i miał zwykle wystarczająco wiele cierpliwości, by śledzić wywód nieszczęśnika do momentu znalezienia pierwszej dziury.

Mimo wszystko lubił takich zapaleńców.

Andrejs Putnis był przypadkiem innym niż tamte. Studenci popełniali szkolne błędy i przyłapani na oczywistej pomyłce, ze wstydu kładli uszy po sobie, czerwienili się i przepraszali. Było im głupio.

Łotysz emanował pewnością siebie. Strażnik wpuścił Mayera do celi i Andrejs otworzył swoje notatki.

— Niech pan spojrzy na płaszczyznę świata. Jest w kształcie torusa. Nie ma brzegów. Początek splata się z końcem. A powoduje B, zaś B powoduje A. Skutek wyprzedza przyczynę. — Putnis mówił coraz szybciej, pokazywał swoje kartki papieru zapisane matematycznymi wzorami, niezrozumiałymi symbolami, wielopiętrowymi równaniami.

— Nie rozumiem. — Mayer kręcił głową. — Co to wszystko znaczy? Nie znam takich działań.

Zniecierpliwiony Andrejs machnął ręką.

— Opracowałem własną notację. Jest szybsza i wygodniejsza, musi jej się pan nauczyć. Na końcu wszystko się pięknie redukuje i otrzymujemy jedno równanie. Struktura rzeczywistości jest inna, niż się powszechnie wydaje. Przyczynowość nie istnieje.

Mayer poczuł, że natychmiast musi wyjść na świeże powietrze. Krwiobieg nie nadążał z transportem tlenu do mózgu, ciemniało mu przed oczami. Starał się głęboko oddychać, ale w nos szczypał cierpki zapach potu Łotysza.

— Co pan tak naprawdę osiągnął? — odchrząknął. — Co pan chce przez to powiedzieć?

Putnis chwycił go mocno za przegub dłoni i spojrzał głęboko w oczy. Mayera oblał zimny pot.

Nie na co dzień człowiek staje oko w oko z Bogiem.

— Zunifikowałem teorię względności z podejściem relatywistycznym. Zrozumiałem, jak wygląda prawdziwa budowa wszechświata. Sięgnąłem najgłębszej tajemnicy. Dalej nie ma już nic.

Przez najbliższe godziny Andrejs próbował wytłumaczyć, na czym polega jego podejście, ale Mayer nie rozumiał tego ni w ząb, nie potrafiąc przeskoczyć podstawowej bariery, jaką stanowił zastosowany przez Łotysza formalizm matematyczny.

— Czy mogę pożyczyć od pana notatnik? Zrobię kopię i zaraz oddam. Posiedzę nad tym w domu, teraz nie mam głowy.

Andrejs zgodził się bardzo niechętnie.

Zgarbiony nad kserokopiarką, przerzucając kolejne strony kołonotatnika, patrząc, jak kreska białego światła sunie po starannie zapisanych blokach równań, zasłuchany w uspokajający szum urządzenia, Mayer wyciągnął z portfela wizytówkę Eryka Sandersa. Wiedział doskonale, co robi.

Zadzwonił jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem, z domu. Telefon musiał wybudzić Eryka z głębokiego snu. W pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje, mówił powoli, długo zastanawiał się nad każdym słowem.

— Z tej strony Martin Roundtree — odezwał się Mayer. — Przepraszam, że dzwonię tak późno. Ja w sprawie pana propozycji. Neuroobrazowanie mózgu, pan pamięta, przyjęcie u Roberta Kashgoffa? Mam dla pana kandydata.

Dlaczego skłamał? Nic przecież nie wskazywało, by Putnis miał jakiegokolwiek zdolności psychotroniczne. Chodziło o coś innego. Andrejs i jego rzekome odkrycie głęboko zafascynowały Mayera. Nie potrafił go zrozumieć, sforsować bariery egzotycznej notacji, dokopać się do sensu skrytego za matematycznymi równaniami. Dlatego postanowił zrobić coś innego: w dosłowny sposób zajrzeć do mózgu Łotysza, by przekonać się, co konstytuuje niemożność porozumienia.

Arthur Lundahl, nowy szef sekcji, który objął schedę po Butlerze, w pierwszej chwili podszedł do pomysłu mało entuzjastycznie. Korytarzowe plotki głosiły, że jego głównym zadaniem było posprzątać po poprzedniku. Ale dał się wreszcie ubłagać i Andrejs Putnis opuścił areszt w towarzystwie Hochbauma i uzbrojonego funkcjonariusza i razem udali się do kliniki Sandersa.

Odkrywca Wielkiej Teorii Unifikacji połknął fiolkę promieniotwórczego markera i wjechał do tomografu. Kiedy maszyna wypluła pierwsze zdjęcia, kolaże żółto-niebiesko-czerwonych plam obrazujących rozkład pozytonów wewnątrz mózgu byłego radzieckiego szpiega, Eryk Sanders wpadł w nastrój niemalże euforyczny.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Niesamowite. Wygląda zupełnie inaczej niż mózg normalnego człowieka. Potrzebuję czasu, aby wszystko zinterpretować. Proszę o chwilę cierpliwości, będę się do pana odzywał.

Sanders odwzajemnił się i wykonał do Mayera telefon w środku nocy, kiedy ten niespokojnie spał, w koszmarnych snach przedzierając się przez formalizm równań Putnisa.

— Przepraszam za późną porę — neurolog sapał do słuchawki — ale chyba wszystko rozumiem. To dość niesamowite... Wszystko wskazuje na to, że ten człowiek ma w mózgu nadmiarową liczbę połączeń nerwowych. Czy wie pan, co to jest apotpoza?

— Pierwsze słyszę.

— Komórki nerwowe w mózgu małego dziecka mają znacznie więcej wewnętrznych połączeń niż w mózgu dorosłego. Wbrew pozorom nadmiar utrudnia, a nie ułatwia myślenie. Dlatego kiedy dziecko poznaje świat, najczęściej używane ścieżki w mózgu zostają wzmocnione, a połączenia nieużywane obumierają. Proces kończy się w okolicach drugiego–trzeciego roku życia. U niektórych dzieci apoptoza nie zachodzi i takie osoby są dotknięte autyzmem.

— Czyli chce pan powiedzieć, że Andrejs Putnis...

— Nikt nie zdiagnozował u niego autyzmu? Budowa mózgu na to wskazuje. Oczywiście na razie to wyłącznie hipotezy...

— Dziękuję. Ogromnie mi pan pomógł. — Mayer wszedł neurologowi w słowo. — Pozostanę z panem w kontakcie. Kiedy moglibyśmy się umówić na szczegółową analizę zdjęć?

Następnego dnia z samego rana zameldował się w siedzibie CIA i położył na swoim biurku teczkę z aktami Putnisa. Nie zdążył jej otworzyć, ponieważ aparat telefoniczny na biurku natarczywym metalicznym dźwiękiem zapowiedział rozmowę przychodzącą. Dzwoniła sekretarka sekcji i swoim wiecznie zatroskanym głosem, balansującym na granicy paniki, ogłosiła, że Hochbaum natychmiast ma się zgłosić do szefa.

W gabinecie przełożonego czekał już Robert Kashgoff. Podali sobie ręce i wymienili kilka uprzejmości, choć dało się wyczuć pomiędzy nimi napięcie.

Lundahl był nieprzewidywalny jak większość pracowników wywiadu.

— Pakujcie walizki — powiedział na przywitanie. — Lecicie do Europy.

Gdzie teraz? Umysł Mayera z marszu przesortował dziesiątki lokalizacji, każda gorsza od kolejnej: Tirana, Bukareszt, Warszawa, Kiszyniów? Spodziewał się najgorszego.

— Wiedeń.

Z ramion naukowca spadł gigantyczny ciężar. Odetchnął z nieukrywaną ulgą.

Dyrektor chciał mówić dalej, ale zawiesił głos, jakby zamierzał przyznać się do czegoś wstydlivego.

— Dostaliśmy od Ruskich propozycję — wychrypiął wreszcie, nie potrafiąc opanować drżącego głosu. — Chcą nam odstąpić Butlera. W zamian za Putnisa — wyrzucił.

Mayer i Robert milczeli.

— Decyzja zapadła wyżej. Wchodzimy w ten *deal*. W obecnej chwili Putnis nie przedstawia dla nas żadnej wartości.

Tego było za wiele.

— Jak to: nie przedstawia? — Mayer musiał się hamować, aby nie krzyknąć. — Przecież jeszcze kilka miesięcy temu miał w rękach coś, co mogło doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej. Nie odzyskaliśmy generatora. Przecież nie można tego tak zostawić!

— Putnis nie przedstawia dla nas żadnej wartości. — Dyrektor powtórzył dobitnie, kończąc wszystkie dyskusje i próby negocjacji. — Wymiana odbędzie się na lotnisku w Wiedniu. Putnis zostanie tam przetransportowany naszymi kanałami, o to nie musicie się martwić. Chciałbym jednak, abyście również byli na miejscu.

— Po co? — niski głos Kashgoffa jakby dobiegał zza grobu.

— Cały czas byliście najbliżej tej sprawy. I dlatego powinniście siedzieć w niej do końca. Może w Wiedniu odkryjecie coś więcej? Zwróćcie uwagę na szczegół, który umknąłby uwagi szeregowego funkcjonariusza agencji? Dlatego chcę mieć was ma miejscu. Traktujcie to w kategoriach wyjazdu turystycznego. Firma funduje przelot klasą biznes, pięciogwiazdkowy hotel i darmowy catering. A wy tylko macie mieć oczy dookoła głowy – niczego więcej od was nie oczekujemy.

„Traktujcie to w kategoriach wyjazdu turystycznego” – zdanie stało się szybko *bon motem* wyjazdu, powtarzanym w momentach przyjemnych dylematów: czy zamówić następną kolejkę w samolocie albo czy lotniskowa restauracja, w której zamierzali zjeść późną kolację, nie jest zbyt wykwinтна na budżet agencji.

Wyjazd turystyczny, dobre sobie.

Na lotnisku Schwechat czekał na nich młody chłopak z ambasady. Trzymał w ręku tabliczkę z wypisanymi nazwiskami. Kazał mówić na siebie John, żuł gumę, nosił spodnie od garnituru i pogniecioną, rozchełstaną koszulę; nie zapinał górnych guzików. Wyglądał jak licealista na wakacyjnej praktyce, którego tatuś jest wysoko postawionym dyplomata w Departamencie Stanu i postanowił wkręcić synka na placówkę, dając mu przy okazji możliwość pozwiedzania Europy na koszt podatników. Tylko że

to nie było lato, lecz mroźny grudzień, wiedeńskie kamienice przykrywała ciężka śnieżna pokrywa, a chmury, nisko zawieszony nad miastem, obficie sypały białymi płatami wielkości kapsli.

— Posypują chodniki solą, ale mimo tego jest cholernie ślisko, uważajcie — ostrzegł John, kiedy wyszli na lotniskowy parking i stanęli przed wysłużonym volkswagenem.

— Pracujesz w ambasadzie? Czym dokładnie się zajmujesz? — zagadał Mayer, kiedy wsiedli do samochodu. — Myślałem, że obowiązuje jakiś standard i fury są... no wiesz... Lepsze.

John nie odpowiedział, ale odwrócił się do nich i tajemniczo uśmiechnął. Mayer zrozumiał, że nie powinien zbyt łatwo wierzyć pozorom.

Chłopak prowadził jak wariat, lawirując pomiędzy ciężarówkami na dwupasmowej trasie prowadzącej do miasta, wchodząc w poślizgi kontrolowane, katując silnik do zajechania. Widać, że sprawiało mu to przyjemność i czuł się dobrze, mogąc się popisać przed starszymi kolegami.

Zatrzymali się przy Ringstraße w hotelu w historycznej części miasta. Padał gęsty śnieg, migotały świąteczne dekoracje. Bajkowe bibeloty, przyozdabiające cukierkowe miasto, pozwalały na chwilę zapomnieć o groźbie zagłady nuklearnej, wciąż wiszącej nad światem. Mayera bolała głowa i czuł się nierzeczywiście, znów daleko od domu, w innym kontekście, innej narracji, z zadaniem, którego nie rozumiał i nie wiedział, co powinien robić, aby po powrocie do Stanów przełożeni byli z niego zadowoleni.

„Tylko się rozglądać. Być otwartym na kontakty. Rozmawiać z każdym, kto będzie chciał rozmawiać”, przypomniał sobie słowa szefa z ostatniego briefingu na chwilę przed wyjazdem. W sumie nic trudnego.

— Jak to będzie wyglądało? — zapytał Johna, kiedy gramolili się do hotelu po oblodzonych schodkach, targając nieporęczne walizki. — No wiesz, ta wymiana? — uzupełnił, widząc zdziwione spojrzenie rozmówcy.

John wzruszył ramionami.

— Jak zwykle. Dogadują się z kontrolą ruchu i czasowo wyłączają z obsługi lotniska jeden pas. Nasi podejżdżają opancerzoną furgonetką, Ruscy będą lecieli awionetką, pewnie z Bratysławy lub bazy wojskowej w Niemczech Wschodnich. Wieża przydzieli im pasmo, nawiążą łączność

radiową, dograją szczegóły. Delikwenci wyjdą w tym samym momencie i miną się na pasie. Ot, cała filozofia.

— Uczestniczyłeś w tym wcześniej?

John zignorował pytanie.

— On już jest na miejscu? No wiesz, Putnis. — Mayer nie ustępował, chciał wyciągnąć z wyluzowanego chłopaka jak najwięcej.

Ponowne wzruszenie ramionami.

— Nie moja brocha. Ja jestem waszym opiekunem i przewodnikiem po Wiedniu. — Podał im wizytówki. — Dzwoncie do mnie o każdej porze dnia i nocy, jeśli będziecie potrzebowali pomocy lub informacji. Mieszkam niedaleko, jestem w stanie dotrzeć tu w ciągu dwudziestu minut. Jeśli chcecie, mogę polecić wam restaurację, gdzie dają najlepszy w mieście sznycel. — Roześmiał się.

Uścisnęli sobie dłonie i John rozkołysanym krokiem opuścił hotelowe foyer. Wsiadł do volkswagena, nonszalancko zaparkowanego na chodniku – tuż pod zakazem i ostrzeżeniem o odholowywaniu – i samochód ruszył z rykiem silnika. Spod kół wystrzeliło brudne błoto pośniegowe.

I tyle go widzieli.

Firma zarezerwowała im jedyne. Kashgoff namówił Mayera na kolację i drinka w hotelowym barze, ale szybko skończyli. Byli zbyt zmęczeni. Mayer tej nocy wolał wylądować wcześniej w łóżku i wyspać się za wszystkie czasy. Czuł, że kroi się coś niedobrego i wkrótce luksus snu zostanie im odebrany. Coś podobnego powiedział nawet, żegnając się z Robertem, i zatrzasnął drzwi hotelowego pokoju.

Wykrakał.

Rano obudził się przepełniony entuzjazmem. Wewnętrzną linią zadzwonił do pokoju Kashgoffa, ale ten odebrał dopiero po czwartym sygnale i wymamrotał, że jeszcze śpi. Mayer miał wrażenie, że słyszał w tle kogoś jeszcze, kobiecy głos. Czyżby olbrzym przygruchał sobie na noc towarzystwo do pokoju? Niewykluczone, przecież dostał polecenie służbowe, by czuć się jak na wakacjach.

Mayer uśmiechnął się do swoich myśli. Zszedł na śniadanie i w holu natknął się na Johna, czytającego „Sueddeutsche Zeitung”. Chłopak zamachał mu na powitanie.

— Zapraszam do pobliskiej kawiarni na *krainer Wurst*. Wszyscy narzekają na żarcie w hotelu.

Mayer w mig pojął, że święci się coś niedobrego. Bardzo niedobrego.

Przy kawie i wędzonych kiełbaskach John zmarszczył czoło i po raz pierwszy porzucił figurę lekkoducha. Mało tego, wyglądał na naprawdę zatroskanego.

— Zmiana planów. — Ugryzł nerwowo pączka, aż na blat stołu posypał się skruszały lukier. — Zadzwonili do mnie dzisiaj bladym świtem. Nie będzie spotkania na lotnisku.

Hochbaum z trudem przełknął ślinę i wybałuszył oczy. Musiał wyglądać zabawnie, John z trudem powstrzymał uśmiech.

— Dlaczego?

— Dogadali się z kimś innym. Ten wasz koleżka, Putnis, trafi w ręce Żydków.

Na szczęście wyluzowany Johny nie zdawał sobie sprawy z pochodzenia Mayera.

— Żydków?

— Ja naprawdę nie znam szczegółów, ale dowiedziałem się, że przekażą Ruskiego sojusznikom Ameryki, którzy na co dzień pracują w Mossadzie. Nie mam pojęcia, co dostaną w zamian. Może dozgonną wdzięczność. — Zachichotał nerwowo.

— Ale Butler...

— Cóż... Nie znałem człowieka, wszystko jednak wskazuje, że w Langley nie był lubianą osobą. Czasem dla Firmy to najlepsza metoda, aby pozbyć się tych najbardziej niewygodnych.

— To znaczy, że nasza misja...

— Jest zakończona. — Z twarzy chłopaka ulotniło się napięcie. Skinął na kelnerkę, zamawiając jeszcze jedną kawę. Z aktówki wyciągnął bilety lotnicze i położył je na stole. — Austrian Airlines, wylot pojutrze o ósmej rano, wcześniej się nie dało, wszystko zarezerwowane do ostatniego miejsca. Świąteczny okres. Dla ciebie i Kashgoffa. Macie dwa dni, aby pozwiedzać Wiedeń. Skorzystajcie z okazji. — Roześmiał się.

Jak na gust Mayera śmiał się zdecydowanie za głośno. I za często.



— Dobra, powiem Robertowi.

John gwałtownie pokręcił głową.

— Ja to zrobię. Zaraz go złapię.

— Ostro wczoraj zabalował. Może spać do południa.

Chłopak postukał złożonym w rulonik dziennikiem po nodze.

— Wygląda mi na takiego. Ale mam co czytać, nie będę się nudził, czekając, aż dojdzie do siebie.

Wrócili razem do hotelu. John rozsiadł się w miękkim hotelu w foyer, skąd miał dogodny widok na schody, gdzie lada moment powinien pojawić się Robert Kashgoff, zmierzający na późne śniadanie. Mayer wrócił do siebie i ponownie zadzwonił do pokoju psychologa. Tym razem ten odebrał niemal od razu.

— Już schodzę — przerwał Mayerowi w pół zdania, nie czekając, aż ten wyjawi mu powód rozmowy.

— Na dole czeka na ciebie John. Chce pilnie pogadać.

— Coś ważnego? — w głosie Roberta dało się wyczuć napięcie.

— Przekonasz się. Ja teraz idę się przejść na miasto. Spotkamy się na lunchu? O trzynastej na dole w hotelu?

— OK.

Mayer nie miał ochoty na spędzenie całego dnia w towarzystwie Kashgoffa. Wybrał się na samotny spacer po zaśnieżonym Wiedniu i wrócił pół godziny przed umówioną godziną spotkania – zmarznięty, w przemoczonych butach, z czerwonymi policzkami. Wziął gorący prysznic, przebrał się w suche ubranie. W pośpiechu zbiegł na parter, ale Roberta nie było.

Czekał dwa kwadranse, w końcu zjadł samotnie zupę gulaszową i *Wienerschnitzel* z frytkami, ale psycholog się nie pojawił. Czyżby zapomniał o umówionym spotkaniu? To do niego niepodobne. Ale czy podobne do niego było strzelanie do ruskiej agentki-telepatki? Po Kashgoffie można było się spodziewać naprawdę wielu rzeczy.

Po południu Mayer wyszedł ponownie na miasto, włóczył się po sklepach, kupił dwie butelki wina Blaufränkisch, kolekcję kaset magnetofonowych z muzyką Mozarta, album z fotografiami miasta.

Z powrotem w hotelu był chwilę po osiemnastej. Zadzwoił do Kashgoffa, ale ten nie odbierał. Wreszcie pofatygował się do niego osobiście, zapukał kilka razy do drzwi, ale wszystko wskazywało, że psychologa nie ma w pokoju.

Chwilę zastanawiał się, czy są powody do zmartwienia. Może należy wykonać telefon do Johna i uprzedzić go o zniknięciu pracownika CIA? Dał sobie jednak spokój i postanowił, że podniesie rwytes, dopiero kiedy psycholog nie znajdzie się do jutrzejszego ranka. Wieczorem zszedł do baru, gdzie wychylił dwa kufle pszenicznego piwa, i wymęczony przez *jet lag* wrócił do pokoju.

Wziął długi prysznic i przebrał się w pidżamę. Stał w oknie, patrzył na girlandy świątecznych dekoracji oplatające drzewa. Na zewnątrz wciąż padał śnieg.

Miał się położyć do łóżka, kiedy usłyszał pukanie. Kto to może być, o tej porze?

— To ja, Robert — dobiegło zza drugiej strony drzwi. Pukanie się powtórzyło.

Kashgoff! Wreszcie się znalazł! Gdzie on się podziewał?

Mayer narzucił na pidżamę hotelowy szlafrok i otworzył drzwi. Psycholog wyglądał inaczej niż zwykle. Straszyl rozczochraną fryzurą i rozbieganym wzrokiem. Szybko oddychał.

— Robert? Czy coś się stało? Wszystko w porządku?

Mężczyzna skinął głową, ale nie odpowiedział ani jednym słowem.

— Chcesz wejść?

Ponowne skinienie głową. Mayer otworzył na oścież drzwi i wykonał dłonią zapraszający gest.

W rzeczy, które wydarzyły się potem, Hochbaum nie umiał uwierzyć do końca życia.

Z kabury ukrytej pod marynarką Kashgoff wyciągnął pistolet z nakręconym na lufę tłumikiem. Wymierzył w Mayera. W chwili, kiedy nacisnął na spust, odwrócił głowę.

Naukowiec instynktownie rzucił się do tyłu. Jego lewa łydka eksplodowała bólem, palącym i natarczywym, jak po ukąszeniu osy.

Oberwałem w nogę, oberwałem w nogę – w głowie gorączka myśli.

Co robić? Kurwa, co robić?

Naukowiec zwinął się w kłębek, przycisnąwszy dłonie do rany. Lepka krew przesączała się pomiędzy palcami. Stracił przytomność.

\* \* \*

Kiedy ją odzyskał, leżał pod wykrochmaloną pościelą w białym pomieszczeniu. Szpital – odetchnął z ulgą. Obok łóżka siedział facet w nudnym, urzędniczym garniturze. Mayer zmierzył go spojrzeniem. Mężczyzna był niezwykle szczupły i żyłasty, bez grama tłuszczu na ciele. Jak maratończyk z kilkudziesięcioma startami na koncie.

— Kim pan jest?

— Nathan Tauber — odpowiedział nieznajomy i uśmiechnął się.

— Martin Roundtree.

Mimika twarzy Taubera nie zmieniła się ani na jotę.

— Otóż nie. Pan nie jest żadnym Martinem Roundtree'm, tylko Mayerem Hochbaumem, do ciężkiej cholery.

W okamgnieniu wszystko stało się jasne.

— Zmieniłem imię i nazwisko blisko dwadzieścia lat temu. Kiedy uciekliśmy z Europy i zamieszkaliśmy w Stanach. Skąd pan wie?

— Pracuję w Mossadzie.

Kurwa.

— Rozmawiałem z lekarzem. Ma pan przestrzelony mięsień w łydce. Czeka pana długa rehabilitacja. Ale i tak do końca życia będzie pan zapewne kulał.

— Na jak długo straciłem przytomność? W jaki sposób tutaj trafiłem?

— Kula przecięła tętnicę. Krew wylewała się z pana strumieniami. Na szczęście korytarzem przechodziła dziewczyna z obsługi, zbierająca talerze, które goście wystawiali za drzwi po kolacji zamawianej do pokoi. Kilka minut dłużej, a byłoby kiepsko. Oprócz tego był pan w szoku. W końcu rzadko kiedy stoi się oko w oko z dawnym kumplem, który mierzy do nas z pistoletu. Chce pan spróbować się przejść? — Spojrzeniem wskazał kule oparte o wezłowie szpitalnego łóżka.

— Myśli pan, że będą konieczne?

— Jak jasna cholera.

Nathan pomógł Mayerowi dźwignąć się z łóżka, podtrzymując rekonwalescenta silnym ramieniem. Wszystko było w porządku, dopóki ciężar ciała opierał się na zdrowej nodze. Zadowolony z siebie Hochbaum bez większych problemów poruszył lewą stopą, czuł przyjemny chłód posadzki, kiedy ostrożnie oparł ją o podłogę. Zacisnął zęby i wykonał krok.

Było tak, jakby szedł po zamrzniętym jeziorze i nieoczekiwanie, bez żadnego sygnału ostrzegawczego, zapadł się pod nim lód. Nic go nie zabolalo, było tylko obezwładniające poczucie niemocy, braku kontroli nad własnym ciałem. Byłby runął na podłogę, gdyby nie refleks Taubera.

— Ostrzegałem. Niech pan poczeka. Pomogę panu z kulami. Ręka tutaj... druga w tym miejscu... Niech pan teraz spróbuje.

— Przejdziemy się?

Nathan skinął głową.

— Pewnie ma pan milion pytań.

Mayer zaciskał zęby, łapał równowagę na kulach i próbował się nie opierać na postrzelonej nodze.

— I mam uwierzyć, że pan mi na wszystkie odpowie? Chyba po ostatnich wydarzeniach przestałem wierzyć w takie bajki.

— Odpowiem. Woli pan od początku czy od końca?

— Od początku.

— Świetnie panu idzie. Teraz proszę ostrożnie, przytrzymam drzwi.

Mayer wykuśtykał na biały korytarz. W głębi stała grupa plotkujących pielęgniarek, mijali ich pacjenci w klapkach i pidżamach. Spokój, którego Mayer tak bardzo teraz pragnął.

Nathan Tauber opowiadał:

— Początek zna pan lepiej ode mnie. Andrejs Putnis zamiast w łapy Ruskich miał trafić w ręce Izraela. W nasze ręce. W Wiedniu dostał pan odpowiednie instrukcje od opiekuna z ambasady. Analogiczna rozmowa została przeprowadzona z pana kolegą, Robertem Kashgoffem. I tutaj zaczynają się kłopoty. Kashgoff, gdy tylko się dowiedział o zmianie planów, wpadł w panikę. Odesłał z pokoju austriacką dziwkę, ruszył w miasto, kupił w kiosku gazetę i od razu cisnął ją do kosza. Rozmienił w ten sposób

pieniądze i miał drobne na telefon. Wszedł do budki i zadzwonił do niejakiego pana Prölla. Okazała się to jednak pomyłka. Grzecznie przeprosił i nie próbował dzwonić powtórnie. Dał w ten sposób znak swojemu wiedeńskiemu kontaktowi i uruchomił procedurę awaryjną. Następnie poszedł coś zjeść, potem w centrum handlowym na Mariahilfer Straße kupił czarną skórzaną teczkę, płacąc czekiem podróżnym.

Mayer zatrzymał się. Patrzył na Nathana ze zdumieniem.

— Zmęczył się pan? Jeszcze kawałek, chodźmy na patio. Ładny stamtąd widok na Dunaj. Najedzony Robert Kashgoff udał się do Kunsthistorisches Museum, gdzie udawał, że podziwia obrazy Bruegela Starszego i Dürera. Minał się tam ze starszym panem w sztruksowej marynarce, który trzymał w dłoniach identyczną skórzaną teczkę. Zatrzymali się pod *Walką karnawału z postem*, podziwiając kunszt pędzla niderlandzkiego mistrza. Po chwili rozeszli się, każdy w swoją stronę, ale w międzyczasie zdążyli wymienić teczki. W ten sposób Robert Kashgoff stał się bogatszy o pistolet Beretta 92 z tłumikiem. Tak rozpoczęła się operacja „Wielka czystka”. W pierwszym kroku Kashgoff postanowił rozprawić się z panem. Pan był najbliższej sprawy i wiedział zdecydowanie za dużo, więc najbezpieczniej było pana wyeliminować.

— Dla kogo on pracował? — Mayer ponownie zatrzymał się, opierając ciężar ciała na kuli. Patrzył na salową rozwożącą wózkami posiłki: przasną blondynkę z grubym warkoczem.

Nathan podniósł dłoń w geście „stop”.

— Za chwilę. Do patio już niedaleko. Idziemy.

— Kashgoff w ostatniej chwili odwrócił głowę. Dlatego chybił. Dlaczego?

— Nikomu nie jest łatwo strzelić do starego kumpla, do człowieka, z którym wychyliło się niejedno piwo. Nawet dla pozbawionego serca i sumienia skurwiela. Kiedy strzela się człowiekowi w łeb z bliskiej odległości, efekt przypomina pękający arbuz. Dlatego podczas rutynowych szkoleń nasi chłopcy walą do arbuzów jak oszalali. Nikt tego nie lubi, nawet po wielu latach nie potrafisz powstrzymać odruchu obrzydzenia, kiedy sobie przypominasz, jak na ziemię bryzga czerwony miąższ z pestkami. Może Kashgoff też przechodził podobny trening i chciał uniknąć zbliżonych

skutków? W każdym razie postrzelił cię w nogę i uciekł, spłoszony przez dziewczynę z obsługi. Wskoczył do taksówki i pojechał do podrzędnego hoteliku w dzielnicy Floridsdorf, prowadzonego przez starego Araba. W pokoju na drugim piętrze siedział smutny Andrejs Putnis w towarzystwie śmiertelnie znudzonego pracownika amerykańskiego wywiadu, na co dzień udającego inżyniera na czasowym kontrakcie. Kashgoff kopniakiem wywalił drzwi i położył agenta dwoma celnymi strzałami. Następnie udał się z Putnisem na długi spacer po Wiedniu.

Tego było nadto. Można sobie żartować z wielu rzeczy, ale łatwo stracić wycucie smaku, a wtedy dowcipy przestają śmieszyć.

— Robert zamordował pracownika amerykańskiego wywiadu? — Staął na zdrowej nodze i poprawił chwyt kul.

Świdrujące spojrzenie Nathana mówiło jednoznacznie: lepiej szybko przejść nad tym do porządku dziennego. Pracownik Mossadu westchnął ciężko.

— Ale jak? — wykrztusił wreszcie Mayer. — Kashgoff?

Tauber pokiwał głową, cierpliwie, jakby tłumaczył mało rozgarniętemu dziecku to samo po raz dziesiąty.

— Pamięta pan przeciek w Budapeszcie? Dekonspirację agenta Omega? Że wśród was jest radziecki szpieg? Wszyscy założyliście, że ten ktoś jest członkiem Trójcy Świętej...

— Przecież Sarah McCoughan... — Mayer spróbował wejść mu w słowo, ale ten nie pozwolił.

— Gównu, a nie Sarah! Jakie mieliście dowody, że ona gra dla Moskwy? Jej seria liczb losowych nie układała się zgodnie z rozkładem Benforda. Żałośnie słaby argument. W przypadku Brandona uwierzyliście na słowo, że świadomie kłamał i fałszował liczby.

— Rzuciła się na Brandona. Chciała go zabić.

Ta uwaga ostatecznie wytrąciła Nathana z równowagi. Mówił teraz głośno i bardzo szybko:

— A co, miała czekać na zbawienie? Do jakiego stanu psychicznego ją doprowadziliście? Była w szoku, potrzebowała psychologa. Jej chłopak był masakrowany przez niedawnego kochasia. Bała się, że go zabije. Musiała coś zrobić, ratować Kevinowi życie. Stała na wysokości zadania. I co w tym

momencie zrobił Kashgoff? Strzelił dziewczynie w brzuch. Jest teraz świetnie kryty: szpieg został zdemaskowany i momentalnie stracony. Nikt nie będzie podejrzewał psychologa, bo niby dlaczego miałby, skoro ruski kret w CIA nie żyje?

W głowie Mayera coś zaskoczyło, rozproszone elementy wskoczyły na swoje miejsce. Wiele rzeczy do tej pory niezrozumiałych objawiło swoje oczywiste znaczenie.

Dlaczego Kashgoff nie załagodził konfliktu w Trójcy Świętej, który eksplodował tamtego dnia, kiedy zgromadzili się w kazamatach agencji, by skonfrontować psychotroników z wynikami testu Benforda? Był psychologiem, opiekował się grupą, należało to do jego obowiązków. Ale on milczał. Liczył, że konflikt doprowadzi w końcu do przesilenia.

Znał się świetnie na dynamice grupy, nie popełnił błędu.

Brandon Ortega fałszował wyniki, ponieważ nie chciał zostać uznany za dobrego telepatę. Nie zamierzał spędzić reszty życia na klaustrofobicznym pokładzie okrętu podwodnego.

Kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce.

Dlatego Kashgoff zdradził sekret Brandonowi. Dążył do destabilizacji grupy, jej jak najszybszego rozpadu. Chciał wszystkich ze sobą skłócić, czekał, aż rzucają się sobie do gardeł. Skurwysyn dopiął swego.

— Kashgoff jest radzieckim szpiegiem...? — Nie mógł uwierzyć Mayer.

Tauber strzelił palcami, dźwięk był straszny, jakby pękały kości wysuszone na wiór.

— Był.

— Był?

— Proszę się oprzeć o moje ramię. Będzie znacznie wygodniej niż na kuli. Jesteśmy już blisko.

Dotarli wreszcie do przeszklonego patio, które pełniło funkcję pokoju wizyt. Nathan pomógł Mayerowi odstawić kule i fizyk rozsiadł się w szerokim fotelu. Wyciągnął nogi. Miejsce było ruchliwe, pacjenci i ich goście gromadzili się dookoła niskich stolików, zajadając się rogalikami i słonymi preclami. Z okien rozciągała się imponująca panorama na rzekę.

Nathan przyniósł z automatu dwie kawy w plastikowych kubkach i dosunął fotel do siedzenia Mayera, aby znaleźć się jak najbliżej, mówić jak najciszej. Wyglądali jak grzesznik i jego osobisty spowiednik.

Pozostała część historii była banalnie prosta. Uciekinierzy schronili się w dzielnicy przemysłowej. Kashgoff skądś znał to miejsce. Większość domów w okolicy stała pusta. Kamienice przeznaczono do rozbiórki; miała tam iść trasa szybkiego ruchu. Mężczyźni zaszyli się w dwupiętrowym budynku, który pamiętał czasy Anschlussu, Hitlera i Karla Rennera. Różowawy tynk odpadał płatami jak łuszcząca się skóra na ciele ciężko poparzonego. W oknach nie było ani jednej szyby.

Wcześniej, kolejnym telefonem, psycholog uaktywnił następny etap operacji ratunkowej. Ale Ruscy nie zdążyli. Mossad namierzył ich szybciej. Żydzi posadzili na dachu sąsiedniego budynku snajpera, który z karabinu AWM mierzył w łeb Kashgoffa i tylko czekał na rozkaz. Mogli faceta zdmuchnąć w każdej chwili, ale jego też woleli żywego. Użycie komandosów nie wchodziło w rachubę. Nie ich teren i zorganizowanie operacji militarnej wymagałoby zbyt dużo roboty. Nie daliby rady wszystkiego przygotować. Nathan poszedł na negocjacje.

Kashgoff był na przegranej pozycji. Posypały mu się plany. Pierwotnie Putnis miał trafić w ręce komunistów, co było wszystkim bardzo na rękę. Później Izrael złożył Amerykanom propozycję i niezmiernie podkurwiło to czerwonych.

Mayer upił łyk gorącej kawy; napój sparzył podniebienie.

— Kret w samym sercu CIA to chyba cenny nabytek? Dlaczego Ruskim tak bardzo zależało na Putnisie, że gotowi byli na demaskację Kashgoffa? Co jest w tym człowieku takiego niezwykłego? To świr chorujący na autyzm.

— Oni wierzą, że Łotysz dokonał jakiegoś niezwykłego odkrycia naukowego...

— Kwantowa teoria grawitacji.

— Właśnie! — Nathan aż podskoczył na fotelu. — Komuniści starają się rozwinąć koncepcję — chwilę szukał odpowiedniego sformułowania — „broni grawitacyjnej”. — Dłonie wykonały w powietrzu gest cudzysłowu. — Pan widział prace Putnisa i potrafi zaświadczyć, że z naukowego punktu widzenia to zupełny bełkot?



Mayer skinął głową – powoli i od niechcienia. Musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

— Proszę mi jeszcze wytłumaczyć jedną rzecz. Jeśli Putnis jest zwykłym świrem, dlaczego tak bardzo wam na nim zależy?

— Nie chce pan wiedzieć. Sprawy z przeszłości. My nie zapominamy.

Mayer nie pytał dalej, bo wiedział, że Nathan i tak mu nie odpowie. Odprowadził wzrokiem nastoletnią dziewczynę słuchającą głośno muzyki na walkmanie. W chorej nodze czuł nieprzyjemne mrowienie. Miał nadzieję, że zaraz mu przejdzie.

— Więc co z tym Kashgoffem?

Nathan spotkał ich na pierwszym piętrze. Drewniane schody śmierdziały kocimi sikami. Skrzypiały przy każdym kroku, głośno i przeraźliwie, jakby zwiastowały zbliżanie się zastępów Szeolu, a nie pojedynczego człowieka. Ciasny pokój z oknem wychodzącym na zaśnieżoną ulicę.

Kashgoff, kiedy tylko go spostrzegł, wpadł w panikę. Zasłonił się Putnisem jak żywą tarczą. Krzyczał, że żywcem ich nie wezmą. Nathan zaczął rozmowę. Przekonywał, żeby nie robić głupich rzeczy, nie wykonywać niepotrzebnych ruchów, bo wszyscy tego będą później żałowali. Mówił, że wszystkie notatki Putnisa to bzdury. Pseudonaukowy bełkot, rojenia człowieka z ciężką chorobą psychiczną. Równania nie mają sensu, nic się kupy nie trzyma. Przekonywał, że potrafią grać za plecami Ameryki. Jego ludzie mogą zorganizować pomoc i Kashgoff wydostanie się z Wiednia, przekroczy zieloną granicę i jutro obudzi się w Czechosłowacji, bezpieczny za żelazną kurtyną. Ze spokojem zje na śniadanie knedliki, popije piwem i zgłosi się do ambasady Związku Radzieckiego, gdzie zostanie powitany z honorami godnymi bohatera narodowego.

— Co stało się dalej?

Nathan nabrał powietrza głęboko w płuca i spojrzał na pomarańczowe promienie słońca smagające wody Dunaju.

— Wydaje mi się, że w którymś momencie popełniłem błąd, ale sam jeszcze nie wiem w którym. Robert Kashgoff stał sztywno wyprostowany, jak żona Lota przemieniona w słup soli. Wtem coś huknęło za jego plecami, mogę przysiąc, że widziałem czarny ogon przebiegającego kocura, najeżoną sierść, słyszałem zgrzytanie pazurów na drewnianej podłodze. Kashgoff

krzyknął i mimowolnie nacisnął na spust. Był zaskoczony tym, co zrobił. Scena trwała ułamki sekund. Robert nie wiedział, co się dzieje. Stał z dziwną miną, szeroko otwartymi ustami, wybałuszał oczy. Pociągał nosem, próbując złapać oddech, ale wciąż się dusił. Mózg Andrejsa Putnisa ochlapał podłogę. Wyglądało to okropnie, jak krwawa rzygowina pacjenta kliniki onkologicznej. Dalej wszystko potoczyło się zgodnie z zaprogramowanym scenariuszem. Padłem plackiem na ziemię, a snajper na dachu pociągnął za spust. Kula kalibru 7 mm wywierciła dziurę w czole Roberta Kashgoffa. Nie ma co rozdzierać szat. Spierdoliłem na całej linii.

Długi czas milczeli. Kończyła się pora odwiedzin. Goście powoli opuszczali patio, żegnali się z pacjentami, wymieniali ostatnie uściski i cmoknięcia w policzek.

— Przed panem długa droga do łóżka — uśmiechnął się Nathan.  
— Chętnie pomogę.

Kiedy kuśtykali przez biały korytarz, Mayer zadał jeszcze jedno pytanie:

— Skąd o mnie tyle wiecie? Wy też mnie obserwujecie, tak samo jak CIA kilka lat wcześniej? Jak długo? Jak szczegółowo?

— Ja również lubię Mozarta. W zestawie kaset, który pan kupił, brakuje *Ósmego koncertu fortepianowego C-dur*. To moja ulubiona kompozycja — usłyszał w odpowiedzi.

# JEDENAŚCIE

## TOMASZ/ WARSZAWA

Umówili się na mieście o dwudziestej pierwszej. Wojciech Elmar po pracy szybko wrócił do domu, przygotował ciężkostrawną kolację (jajecznica z czterech jaj na boczku i cebuli) i jadł zachłannie, aż broda lśniła od tłuszczu. Potem wykapał się i uśpił dzieciaki, pogadał chwilę z żoną i na dwudziestą trzydzieści zamówił taksówkę. Pojechał do Śródmieścia, gdzie spotkał się z Tomaszem Szymkowiakiem.

— Będziemy dzisiaj pili wódkę — ostrzegał przez telefon Tomasz.

Wylądowali w najpodlejszym night-clubie Bombaj, zagubionym w podwórzu kamienicy gdzieś w okolicach skrzyżowania Jana Pawła i alei „Solidarności”. Z szyldu mrużyła oczy wymalowana blondynka z biustem wielkim jak Tadź Mahal. W środku cuchnęło potem napalonych facetów. Elmar czuł się pewnie, jak u siebie w domu, wymieniając zdawkowe pozdrowienia z połową gości lokalu.

Sami gliniarze i tajniacy po służbie, pomyślał Tomasz, odkrywając drugie oblicze Wojciecha Elmara. Na co dzień porządny policjant, wzorowy mąż i ojciec, na karku żona i dwójka dzieci. Ma zasady i się ich trzyma. A jednak: od czasu do czasu potrzebuje się wyszumieć.

Na podwyższeniu wokół rury tańczyła brunetka owinięta pierzastym boa. Otaczającym ją adoratorom nie przeszkadzały fałdy tłuszczu na brzuchu dziewczyny, pomarańczowe łatki cellulitu ani żółte, przeżarte tytoniem zęby, świetnie widoczne, kiedy tancerka przesyłała buziaki wrzeszczącym fanom.

Dostali ciepłą wódkę. Wypili po kolejce i otrząsnęli się, jakby przebudzeni z męczącego snu. Kontury świata wyostrzyły się, po brzuchu rozpełzło błogie ciepło. Zagryźli ogóreczkiem, kwaśnym, aż wykrzywiało gęby. Potem raz jeszcze, na drugą nóżkę. Wreszcie pora na bruderszaft: Tomek, Wojtek.

— Mam w Budapeszcie dobrą znajomą, policjantkę. — Elmarowi powoli zaczynał plątać się język. Lubił ten stan. Jeszcze trzeźwy, jeszcze wszystko pod kontrolą, ale w głowie przyjemnie szumi i nie sposób ten szum opanować, trzeba mu się poddać, płynąć na fali, pozwolić się prowadzić. — Nazywa się Emese Nagy. Znamy się z dawnych lat. Kiedyś spędziłem z nią wieczór, włócząc się po knajpach.

Tomasz podniósł głowę i spojrzał na Elmara, prosto w jego zmęczone oczy, w napuchniętą z braku snu i zawodowego stresu twarz moralnego giganta, górującego pod każdym względem nad skarłałym Tomaszem i jego nihilistycznym, małostkowym kodeksem moralnym. Elmar drażył szczegóły, jak Emese siedziała w samochodzie i cóż było niezwykłego w jej czarnych oczach, jakie obietnice tam się kryły. Kiedy opowiadał, rozpierała go duma, a jej źródło dało się łatwo zidentyfikować. Był to iloczyn dwóch czynników.

Po pierwsze, Elmar nie posiadał się z zadowolenia, że laska urody Emese zwróciła na niego uwagę i chciała się z nim przespać – to mile łechtało jego męskie ego. A po drugie, wyszedł z tej próby zwycięsko, i to było jeszcze lepsze.

Przygoda z Emese była jego małym sekretem, z którym żył wiele lat i nikomu o tym nie powiedział, a teraz otwierał się przed Tomaszem.

Dlaczego?

— Emese dysponuje siatką informatorów w podziemnym świecie Budapesztu. Spotkała się z właściwymi ludźmi, pogadała, wcisnęła ze dwie łapówki, pokazała zdjęcia.

— I?

— Wiesz, co to jest miejska legenda? — zapytał niespodziewanie Elmar, po zbyt długiej chwili milczenia, zaburzając naturalny rytm rozmowy.

— Wymyślona bajka. Czarna wołga, krokodyle w kiblach, takie tam. Mam rację?

— Policjanci też mają miejskie legendy. Możesz je nazywać policyjnymi legendami. Wszędzie, na całym świecie. — Nabił na wykałaczkę i włożył do ust marynowaną pieczarkę. — Także na Węgrzech. Kiedy w piątkowe wieczory wychodzą na tokaja, gadają o Kameleonie. Tamtejszym Fantomasie. Spec od czarnej roboty, na terenie całego Schengen ima się różnych zleceń, które innym wydają się niemożliwe. Miał tysiące tożsamości, fałszywych

paszportów, miliony twarzy, niezliczone kombinacje brody, wąsów, kolorów oczu, zmarszczek. To jest człowiek bez przeszłości, nikt nie wie, skąd się wziął, z jakiego miasta, czy ma rodzinę, bliskich. Podobno nazywa się Gusztav Borbély, ale to też nie jest pewne.

— Gusztav Borbély — powtórzył mechanicznie Tomasz.

— Lubelski nie powiedział nic więcej. Lekarze nie pozwalają go przesłuchać. W szpitalu powtarzał tylko: Gusztav Borbély, Gusztav Borbély. Wszystko wskazuje, że właśnie ten człowiek uprowadził twoją córkę. — Elmar skinął na kelnera, zamawiając kolejną wódkę. Brunetka z boa zeszła ze sceny, na którą wkroczyły dwie młodziutkie blondynki, zaczynając erotyczny taniec, seks lesbijski w wersji soft, ku uciechu napalonej publiczności.

— To zła czy dobra wiadomość?

Elmar zabrał kieliszki z tacy kelnerki. Trzęsły mu się dłonie i kilka kropel wódki rozlało się na stół.

— Zła. Lubelski był pomagierem Borbély'a. Cała akcja z telefonem i żądaniem okupu miała na celu odwrócenie uwagi i skierowanie śledztwa na fałszywy tor. Nikt by tych pieniędzy ze śmietnika nigdy nie wyciągnął, gdyby nie pan Mirek. Ale Borbély też jest tylko najemnikiem. Pracował dla kogoś. I co gorsza, ten ktoś musi mieć sporo pieniędzy, skoro stać go na najlepszych. To nie wróży dobrze.

— Przecież Alicja nie wyjechała z Polski. Tak mówiłeś.

Policjant początkowo chciał skinąć głową, ale zatrzymał się w pół gestu. Zmarszczył czoło i poskubał krótki zarost na brodzie. Nie wiedział, co powiedzieć.

— To nie takie proste. Córka nie podróżowała z porywaczem, co wcale nie świadczy o... — nie potrafił się wysłowić. Nie chciał zawieść nadziei Tomasza, a z drugiej strony nie potrafił pozwolić sobie na kłamstwo. Dlaczego nie walnął prosto z mostu?

Gliniarz wychylił kolejny kieliszek wódki i zaniósł się kaszlem, jakby alkohol zamiast do przełyku wlał się do tchawicy. Zagryzł korniszonem hot chilli. Skrzywił się okropnie.

— I co dalej? Będą go szukać w tym Budapeszcie?

Elmar ochoczo skinął głową.

— Emese to najlepszy policjant, jakiego w życiu poznałem. Stanie na rzesach. Wie, że mi zależy na sprawie. Po starej znajomości...

— Przecież go nie znajdują. Mówiłeś, że ten Borbély jest megaspecem. Jeśli nie złapali go przez tyle lat, dlaczego mieliby go złapać teraz? Jakie są szanse?

— Ale Emese...

Chuj w dupę twojej Emese, chciał wyrzucić Tomasz, ale przełknął przekleństwo.

— To jest przegrana sprawa.

Rozmowa skręciła na bezpieczniejsze tematy. Pogadali chwilę o korkach ulicznych i przegranym w środę meczu. Elmar wspomniał pewne małżeństwo w Wawrze, które odwiedził wtedy wieczorem, namierzając telefon komórkowy. Samochód za trzysta tysięcy, smooth jazz, drogie winko, wypisz wymaluj para jak z serialu TVN. I co się stało? Chłopaki pojechały tam wczoraj, dostały wezwanie. Gość stłukł żonę na kwaśne jabłko. Dyrektor w banku! Zwykły chuj.

Policjant wlewał w siebie następne kolejki wódki, chęptał alkohol niczym smok wawelski wodę Wisły, Tomasz chciał przystopować, ale było mu głupio i nie zamierzał wypaść na mięczaka. Na scenie uwijała się teraz ruda laska, krótko ścięta, przebrana za pielęgniarkę, w białych samonośnych pończochach i lekarskim kitlu, ze stetoskopem podskakującym na nadmuchanych silikonem cyckach. Tomasz patrzył na taniec erotyczny i nie czuł śladu podniecenia. Myślał o Adriannie, o tym, że ma wobec dziewczyny dług i będzie mógł do niej wrócić, dopiero kiedy sprawa z Alicją zostanie ostatecznie rozstrzygnięta. Wte albo wewte.

Najgorsza była niepewność. Siedział, pił wódkę, patrzył na kolejne rozebrane dziewczyny kręcące tyłkami na scenie i nie potrafił się wyluzować. Osobliwe napięcie narastało cały wieczór, aż wreszcie stało się nie do zniesienia. Musiał coś wymyślić, byle szybciej, teraz.

Już.

— Pojadę do Budapesztu — wycharczał. Zbierali się właśnie do wyjścia, przed chwilą zadzwonił po dwie taksówki. Rzucił okiem na pozostawiony na stole rachunek, gestem powstrzymał policjanta. Płatał mu się język.

— Ja zapłacę, nie wygłupiaj się — powiedział niewyraźnie i powtórzył. Głośniej, dobitniej, aby głos przedarł się poprzez ogłupiający bit przeboju techno sprzed dekady — pojedę do Budapesztu i poszukam na własną rękę tego Borbélya. Jeśli tego nie zrobię, nikt nigdy nie znajdzie Alicji. Sam mówiłeś.

— Ale...

— Dasz mi namiary na tę twoją laskę? Tę Węgierkę.

Spojrzeni sobie w oczy i kolana Elmara ugięły się pod ciężarem spojrzenia Tomasza. Nie potrafił odmówić. Wygrzebał z kieszeni płaszcz elegancki notatnik Moleskine (żona kupiła na gwiazdkę, wytłumaczył lekko zakłopotany, sam by sobie nigdy nie pozwolił, nie z budżetowej pensji), sprawdził w komórce numer telefonu, poprosił kelnera o długopis.

— Mejla napiszę z pamięci. Chyba się nie pomyliłem. Jeśli będziesz miał problem, daj znać. Uprzedzę ją.

Kiedy wyszli na zewnątrz, taksówki już czekały.

— Nie rób tego. — Elmar zatrzymał się w pół kroku, zaciskał już dłoń na klamce starego mercedesa. — To nie ma sensu. Nic nie wskórasz, a możesz się władować w kłopoty. I kto cię z tego wyciągnie? Ja?

Tomasz uśmiechnął się od niechcienia.

— Nie zrozumiesz mnie. — Chciał poklepać policjanta po ramieniu, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i cofnął rękę. — Nie jesteś mną. Nigdy mnie nie poznasz.

Elmar zniknął we wnętrzu taksówki.

— Tylko niech się pan nie porzyga. — Kierowca drugiego samochodu, widząc, w jakim stanie jest Tomasz, rubasznie zarechotał. — Dokąd jedziemy, do domu czy na panienki?

— Do domu. — Szymkowiak rozwalił się na siedzeniu, nie zapinał pasa, oparł głowę na zagłówku i przymknął oczy.

\* \* \*

Mieszkanie czekało puste. Tomasz wszedł do środka na paluszkach, buty rozsznurował jeszcze przed drzwiami, siedząc na schodach. Nie chciał obudzić Ewy.

Niepotrzebnie. W domu nikogo nie było.

Chociaż kręciło mu się w głowie i czuł zbliżające się sensacje żołądkowe, usiadł do komputera. Zarezerwował bilet lotniczy do Budapesztu na następny dzień. Potem zabukował sobie hotel, na razie na pięć dni, i napisał krótkiego e-maila do Emese. Będzie na miejscu jutro około siedemnastej, kiedy mogą się spotkać?

Obudził się z bólem głowy. Zwymiotował do ubikacji i poczuł się lepiej. Była piąta pięćdziesiąt rano, a on nie mógł dalej spać. Nie umiał sobie znaleźć miejsca. Samolot wylatywał dopiero o trzeciej po południu, przed nim długie, irytujące godziny, wypełnione beczynnością, nerwowym paleniem papierosów i wyglądaniem przez okno na ruchliwą ulicę poniżej.

Co robić?

Włączył telewizor, wgapiając się bezmyślnie w poranny program. O tej porze szły same głupoty, powtórki seriali z tygodnia, zapomniane teleturnieje. Kto normalny wstaje o tej godzinie?

Szósta rano to pora frustratów i samobójców.

Wytrwał przed telewizorem dwadzieścia minut. Później postanowił zrobić sobie spacer. Kilkaset metrów od bramy osiedla był park, o tej godzinie mógł tam spotkać najwyżej emerytów z pobliskiego blokowiska i ich śmierdzące psy z nabrzmałymi po nocy pęcherzami.

Mylił się.

Poranek był chłodny. Na T-shirt Tomasz narzucił lekką sztruksową kurtkę. Do jednej kieszeni zmieściła się pomięta paczka papierosów, do drugiej wcisnął zapalniczkę. Wyszedł z domu. Uliczki osiedla apartamentowców świeciły pustkami. Minął sklep, przedszkole i dotarł do śmietników. W ogrodzeniu znajdowała się niestrzeżona furтка, która prowadziła do innego świata.

Czyste kwartały strzeżonej enklawy, codziennie zamiatane chodniki, gdzie trudno było znaleźć choćby peta, sąsiadowały z zaniedbanym parkiem, który straszył brązowym i zielonym szkłem piwnych butelek rozbijanych na nierównym betonie, zdemolowanymi ławkami i rachitycznymi zaroślami pełnymi zużytych prezerwatyw i podpasek. Każdy skrawek zieleni upstrzony był psim gównem.



Park był ziemią niczyją, terenem przypadkowych spotkań trzech różnych grup społecznych. Po pierwsze, pojawiali się tu mieszkańcy apartamentowców. W sobotnie przedpołudnia na spacer wylegały całe rodziny, wieczorami zaś stateczni ojcowie, na co dzień harujący w korporacjach, próbowali biegać asfaltowymi uliczkami, przy każdym kroku masakrując sobie stawy kolanowe. Truchtali zawsze po zmroku, aby nikt nie naśmiewał się z ich słabej kondycji i podskakującego bebecha.

Po drugiej stronie parku wyrastało wielkopłytowe osiedle, dumne i ponure niczym las skamieniałych sekwoi. Dorastające w tym miejscu dzieciaki, chłopaki z gorszych domów, bez szans na lepszą przyszłość, skazani na reprodukcję błędów rodziców, często przesiadywały na parkowych ławeczkach, pijąc piwo, jarając trawę, zaczepiając przechodniów.

Trzecią grupę stanowili emeryci, którzy dzielili te same klatki schodowe z niebezpiecznymi dresiarzami i przychodzili w to miejsce wyprowadzać psy lub latem skracali sobie drogę, maszerując dziarskim krokiem w kierunku ogródków działkowych, których ogrodzenie przylegało do wschodniej krawędzi parku.

Tomasz szedł szybko pustymi alejami, pewnie przeskakiwał pęknięcia w asfalcie i wyrastające z nich korzenie kasztanowców. Spacer nie miał celu, Tomasz po prostu chciał zabić czas, przestać się zastanawiać, co czeka go jutro. Zatrzymał się przy oczku wodnym i popatrzył na kaczą rodzinę. Zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Usłyszał szybkie kroki.

Z alejki wyłoniła się młoda dziewczyna w termoaktywnej odzieży i sportowych butach. Truchtała niezbyt szybkim, ale pewnym i regularnym krokiem. Słuchała muzyki. Tomasz odprowadził ją wzrokiem, patrząc z zainteresowaniem na umięśnione łydki biegaczki.

Co teraz? Wróci do domu, czy jeszcze się pokręci? Zapali kolejnego papierosa, w drodze powrotnej wstąpi do osiedlowego sklepiku, kupi bułki, których nie zje, i gazetę, której nie przeczyta?

Chyba nie.

Już kilka chwil wcześniej, zanim zatrzymał się i zapalił papierosa, odniósł wrażenie, że ktoś za nim idzie.

Z dziurawego asfaltu skręcił gwałtownie w nieutwardzoną ścieżkę. Czarne błoto przyklejało się do butów. Znał dobrze tę drogę. Cztery lata temu

i jego naszła ochota na bieganie. Znudził się po dwóch miesiącach, ale przez ten czas zdążył na wylot spenetrować labirynt parkowych drózek i alejek. Błotnista ścieżka była wygodnym łącznikiem pomiędzy dwiema głównymi arteriami parku. Korzystało z niej niewiele osób, trasa zarosła chwastami i dzikimi krzakami.

Po dwudziestu metrach Tomasz postawił kołnierz kurtki i dał nura w gęste zarośla. Po policzku chlasnęła go gałąź, czuł, jak kolce szarpią skórę. Wybadał ranę palcami; na szczęście była płytka, na palcach nie pojawiła się krew. Kucnął pomiędzy kępami pokrzyw i liśćmi łośnianu. Czekał.

Niepewność trwała minutę. Potem nadszedł on. W pierwszym momencie Tomasz zobaczył buty: znoszone brązowe pantofle, szarawe od kurzu, upstrzone błotnymi kleksami. Wzrok wędrował w górę, ogarniał przetarte w wielu miejscach sztruksy, marynarkę z łatami na łokciach, narzuconą niedbale na koszulkę polo. I wreszcie twarz.

Andrzej Bajbak!

— Panie detektywie. — Tomasz dźwignął się z krzaków. — Dlaczego wciąż pan za mną łązi? Dlaczego nie chce pan mnie zostawić w spokoju?

Bajbak stanął w miejscu. Milczał.

— Zadałem pytanie, proszę odpowiedzieć — naciskał Tomasz.

— Dostałem zlecenie, to je wykonuję — odpowiedział niechętnie detektyw. — Taka robota.

— Przecież pan to zlecenie wykonał. Namierzył pan Krzysztofa Lubelskiego. Świetna robota, bardzo dziękuję. Choć to nie ja pana wynajmowałem, chętnie zapłacę, proszę tylko powiedzieć, ile się należy...

— Mam jeszcze inne zlecenie.

— Ale pierwsza sprawa również jest zamknięta. Mówiłem Ewie, że pana praca nie ma teraz sensu. O mnie wiecie wszystko, a o mojej kochance więcej, niż wiem nawet ja. Po co ta cała maskarada?

— Pana żona płaci. Ja nie zadaję pytań. — Bajbak czuł się niezręcznie i dało się to wyczytać z jego spojrzenia.

— Jaka jest pana stawka godzinowa? — Tomasz nie zamierzał odpuścić.

— Proszę sprawdzić w internecie.

— Ile?

— Siedem dych — przyznał z ociąganiem.

— Siedem dych, kurwa mać. — Tomasz nieświadomie zacisnął pięści. Czuł narastający gniew. — Moja żona płaci panu siedem dych za spacer po parku o szóstej nad ranem? Czego się spodziewa? Że będę rznął w dupsko jakąś kurwę w krzakach? A gdyby nawet? Chuj jej do tego. Sprawa zamknięta. Najlepszy warszawski mecenas już kombinuje, jak mnie wysiudać z kasy i rozgrabić nasz wspólny majątek. Teraz jestem wolny. Mogę robić, co mi się tylko podoba. I żaden frajer nie ma prawa za mną łązić.

— Niekoniecznie. — W oku Bajbaka pojawił się złowrogi błysk i Tomasz przez ułamek sekundy poczuł dziki strach. Jakby w detektywie coś się złamało i dobroduszny facet, zmęczony ciągłym upokarzaniem i zginaniem karku, postanowił odsłonić skrywane oblicze. — Taki z pana bystrzak, to proszę się zastanowić. Może sprawa pana kochanki już się skończyła, ale Ewa wynajęła mnie do innego zadania? Tak trudno zgadnąć? Przecież pan dzisiaj wyjeżdża do Budapesztu.

— Skąd pan wie, że dzisiaj wyjeżdżam do Budapesztu? — Tego było za dużo. Tomasz gotował się w środku, czuł rozsadzającą energię, nie kontrolował drżenia dłoni.

— Tajemnica zawodowa. — Bajbak triumfował i z trudem ukrywał satysfakcję. W sumie wcale nie chciał jej ukrywać i cieszył się, że chociaż w ten sposób może dokopać mężowi swojej klientki. — Na miejscu pana żony też bym się ciekawił, co zrobi mąż ostatniego dnia pobytu w kraju.

— Skąd, kurwa, o tym wiesz?

Bajbak zamilkł. Tomasz ciężko oddychał, aż wreszcie coś w jego głowie zaskoczyło.

Alicja.

Ewa uważa, że maczał palce w porwaniu ich córki. Jezus Maria, przecież to niedorzeczne. Ale tylko w ten sposób można wytłumaczyć, dlaczego detektyw wciąż go śledzi. Myślał, że Tomasz zrobi coś, co naprowadzi go na ślad. Z kimś się spotka, do kogoś zadzwoni, odbierze tajną przesyłkę ukrytą w dziupli drzewa.

— Nie miałem nic wspólnego z porwaniem Alicji — wyrzucił z siebie szybko, na jednym oddechu.

— Czy powiedziałem coś takiego?

— Odpierdol się ode mnie i przekaż mojej żonie, że jest psychicznie chora, jeśli naprawdę tak uważa.

— Wszystko zależy od niej. Ja tylko wypełniam umowę. Jeśli będzie chciała, przedłuży ze mną kontrakt.

— Odpierdol się.

— Bo co? Grozisz mi?

To były drobne sprawy, niuanse w amplitudzie głosu, krzywy uśmiech, zbyt pochmurne spojrzenie, a może nieznośna kpina bijąca z oczu detektywa. Mało brakowało, a Tomasz odwróciłby się na pięcie, rzucił na odchodnym coś obraźliwego i ruszył w stronę domu, układając w myślach listę rzeczy do spakowania przed wyjazdem. Przeważało coś nieuchwytnego, niepoliczalnego, kombinacja elementów w zachowaniu równie nieprawdopodobna, co trafienie szóstki w totolotka.

Tomasz rzucił się na detektywa z pięściami.

Andrzej Bajbak nie spodziewał się napaści. Nie był przygotowany do walki wręcz. Pierwszy cios, zadany bezładnie, ale zadziwiająco mocny, trafił go w nos i detektyw momentalnie poczuł ciepłą krew w ustach i na górnej wardze. Nie zdążył postawić gardy. Tomasz ważył od niego sporo więcej i intuicyjnie wykorzystywał przewagę. Niewierny małżonek natarł do Bajbaka całym ciałem i następny cios trafił w łuk brwiowy, kolejny dosięgnął lewego oka.

Detektyw, zdominowany przez nacierającego Tomasza, nie miał wystarczającej przestrzeni, by wyprowadzić kontruderzenie. Postąpił krok do tyłu, musiał zyskać trochę miejsca. Przed następnym uderzeniem zdążył się uchylić, aż zafurkotało powietrze, rozcięte ciosem Tomasza trafionym w próżnię. Niestety, pantofel poślizgnął się na błocie i mężczyzna runął do tyłu, sztywno jak kłoda drewna.

Głowa uderzyła w wystający z ziemi korzeń drzewa. Pociemniało mu przed oczami. Tomasz nie zamierzał przepuścić takiej okazji. Skoczył na Bajbaka, boleśnie wbijając się kolanami w podbrzusze.

— Odpierdol się ode mnie, odpierdol się, mówiłem ci! — powtarzał, a pięści systematycznie masakrowały twarz prywatnego detektywa.

Szamotanina nie trwała więcej niż minutę. Tomasz przerwał nagle, w pół uderzenia, prawa pięść jeszcze wisiała w powietrzu, kiedy zdał sobie sprawę,

że ktoś może usłyszeć ich walkę.

Andrzej Bajbak leżał w kałuży błota, miał zakrwawioną twarz i nie dawał znaków życia.

— Zabiłem go, ja pierdołę, zabiłem tego chuja — wyszeptał Tomasz, oblewając się zimnym potem.

Poderał się na równe nogi. Spojrzał na dłonie. Wszystko było we krwi z rozkwaszonego nosa, a zdarta skóra na kłykciach nieprzyjemnie piekła. Kurtka też była zakrwawiona, tak samo dżinsy, jednak na czarnym materiale czerwień odznaczała się w mniejszym stopniu.

Spojrzał ponownie na Bajbaka.

ZABIŁEM SKURWYSYNA.

Czy było mu go żal? Nie. Sam sobie zasłużył, pomyślał Tomasz, i myśl ta przeraziła go znacznie bardziej niż cała reszta.

Co się z nim działo? Czy eksplorował właśnie jakieś pokłady SIEBIE, których wcześniej nie był świadomy? Czy tak właśnie wyglądał PRAWDZIWY Tomasz?

Nie był to najlepszy moment, by roztrząsać podobne pytania. Przyjdzie na to czas później, później będzie na to mnóstwo czasu.

Teraz za wszelką cenę Tomasz musiał postępować racjonalnie, nie mógł popełnić głupiego błędu, który wpakuje go do więzienia na ćwierćwiecze. Musiał przemyśleć wszystko, zastanowić się choćby przez chwilę.

Po pierwsze, trzeba zyskać na czasie. Im więcej, tym lepiej. Im później znajdą Bajbaka, tym dalej zdąży uciec. Tomasz chwycił detektywa za nogi i stękając z wysiłku, odciągnął z alejki w krzaki, niezdarnie maskując kryjówkę liśćmi łopianu.

Kolejne wyzwanie: jak wrócić do domu, aby nikt nie zwrócił na niego uwagi? Złożył w kostkę zakrwawioną kurtkę. Przecież jej tutaj nie wyrzuci. Wcisnął zawiniątko pod pachę. Na szczęście w nocy sporo padało i szybko znalazł kałużę wystarczająco głęboką, by zmyć krew z dłoni.

Najważniejsze – nie budzić niczyich podejrzeń. Zachowywać się, jak gdyby nigdy nic. Szymkowiak maszerował zatem przez park niespiesznym krokiem, choć serce wyrywało mu się z piersi i stopy same układały do biegu.

Nie.

Kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń placu nieukończonyj budowy, dopiero wtedy spostrzegł, że buty także ma uwalane krwią. Droga do furtki osiedla wiodła przez ścieżkę ułożoną z popękanych betonowych płyt, prowadzących do celu szerokim łukiem. Tym razem Tomasz poszedł na skrót i cieszył się z gliniastego, żółtego błota, które przylepiało się do butów.

Kiedy skrzypnęła osiedlowa furтка i wkroczył na znajome uliczki, po raz kolejny udzielił mu się prymitywny strach. Uczucie paniki, które kazało uciekać, a nie wracać do mieszkania, bo tam już czekają na niego policjanci, ściągając smycze wielkim wilczurom, które szczerzą oślinione zębiska i tylko czekają, by rzucić mu się do gardła.

Zatrzymał spojrzenie na kamerze przemysłowej zamontowanej na latarni. Kurwa mać. Mają go jak na talerzu. Skoro namierzyli Borbélya, korzystając z monitoringu, z nim to dopiero będzie łatwizna. W krzakach kilometr stąd leży zimny trup ze zmasakrowaną twarzą, a Tomasz maszeruje po osiedlu w zakrwawionych ciuchach. Dzięki Bogu, że jest sobota, mniejszy ruch, ludzie odsypiają wczorajsze pijaństwo, nie idą do pracy. Ale dobra passa nie może trwać wiecznie. Najwyższa pora, by Tomasz zaczął myśleć racjonalnie.

Zabił człowieka.

Pójdzie siedzieć. No, może nie zaraz na dwadzieścia pięć lat, to była zbrodnia w afekcie. Bajbak uderzył się tyłem głowy o pień drzewa i pewnie od tego wykitował, dobry adwokat Tomasza wybroni – rodzinna tragedia, uprowadzenie dziecka, załamanie emocjonalne, w efekcie psychiczna niestabilność. Ale mniej niż dziesięciu lat nie dostanie. Kiedy wyjdzie z więzienia, będzie miał prawie pięć dych na karku.

Co mógł teraz zrobić?

Przecież sam nie zgłosi się na policję i wszystkiego im nie opowie. Musi jak najszybciej uciekać. Dopadną go, to kwestia dni, w najlepszym wypadku tygodnia, ale przez ten darowany czas zdziała jak najwięcej. Jeśli bowiem on tego nie robi, nikt inny się o to nie zatroszczy.

Wywód był chłodny i logiczny, aż Tomasz przestraszył się samego siebie. Czy on jest taki naprawdę?

Kto i kiedy znajdzie ciało Bajbaka? Pewnie właśnie w tej chwili jakiś emeryt wlecze się na poranny spacer, ciągnąc za sobą wychudzone psisko.

Kundel musi się wyszczać, znika w krzakach i wraca z odgryzionym paluchem Bajbaka w pysku. To nie fikcja. To się dzieje naprawdę.

W mieszkaniu Tomasz był już opanowany. Rozebrał się do naga i całe ubranie, włącznie z butami i bielizną, włożył do dwóch zielonych worków na śmieci. Szczelnie je związał i położył w przedpokoju, przed drzwiami wejściowymi. Nago poszedł do łazienki i odkręcił wodę w umywalce. Marzył o gorącym prysznicu, ale nie było czasu. Kiedy szorował mydłem dłonie, zastanawiał się, czy niewidzialne cząsteczki krwi, przyniesione na ubraniu, zdążyły pobrudzić panele w przedpokoju? Czy policyjni technicy dysponują sprzętem odpowiedniej czułości, aby to odkryć? Czy krew detektywa Bajbaka, zastygła na wypolerowanych, dębowych deskach, stanie się koronnym argumentem prokuratora?

Przecież Tomasz nie zdąży wyszorować podłogi. Musi jak najszybciej opuścić mieszkanie. Wyobraźnia podsuwała natrętne obrazy. Zbiegowisko gapiów w parku. Karetka z migającym na niebiesko, bezdźwięcznym kogutem. Ciało Bajbaka w czarnym worku i funkcjonariusz, który ponurym głosem pełnym zawodowej rutyny powtarza do znudzenia: „Proszę się rozejść. Tu nie ma nic ciekawego do oglądania”.

Ubrał się na sportowo – luźne płócienne spodnie, zapinana koszula z krótkim rękawem, wygodne buty. Nie spakował walizki. Zabrał tylko plecak z laptopem, do którego dorzucił portfel i dokumenty.

Z podziemnego garażu wyjechał w pośpiechu. Kulił się na siedzeniu, podświadomie oczekując, że lada moment miejski gwar poranka rozerwie jęk policyjnych syren. Nic takiego się nie wydarzyło. Włączył się do ruchu i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Na razie nic mu nie groziło.

Była ósma rano. Centra handlowe otwierali za dwie godziny. Nie ma co ryzykować i kręcić się po Warszawie. Uruchomił lokalne radio. Czy będą nadawali o nim komunikaty? Zaczną kontrolować drogi, rozstawiają blokady, wylegitymują wszystkich kierowców?

Chyba przesadzał.

Ruszył na południe, przez Wilanów, Konstancin-Jeziornę i Kawęczyn, aby dotrzeć do Góry Kalwarii. Tam skręcił nad Wisłę i zatrzymał samochód na polnej drodze. Wyciągnął z bagażnika zakrwawione ubrania popakowane w worki na śmieci, dociążył kamieniami i cisnął do rzeki.

Potem skierował się w stronę Grójca i dalej, przez Rawę Mazowiecką do Łodzi. Jechał ostrożnie, nie przekraczając dozwolonej prędkości. Po kilkudziesięciu kilometrach za Rawą zjechał na stację benzynową, która zachęcała reklamą bankomatu. Zatankował do pełna, kupił colę i wypłacił dziesięć tysięcy złotych – dozwolony dzienny limit. O wiele bezpieczniej będzie teraz płacić gotówką, niż ryzykować transakcję kartą, z jej powodu mógłby zostać szybko namierzony przez policję. Dziesięć tysięcy to jednak trochę mało, będzie potrzebował więcej.

Już miał odjeżdżać, ale zmienił zdanie. Zamówił kawę i tortillę z kurczakiem. Usiadł przy stoliku i uruchomił komputer. Jedzenie smakowało okropnie – podgrzane w mikrofalach, niektóre kęsy parzyły w język i podniebienie, przy innych łód chrzęścił pomiędzy zębami. Palce lepiły się od kapiącego sosu, tłustego i śmierdzącego chemią. Zalogował się do swojego banku. Pozrywał wszystkie lokaty. Pieniądze od razu zasiliły konto, ale nie mógł ich dzisiaj wypłacić. Osiągnął już dozwolony limit. Musiał zaryzykować. Jutro weźmie drugą dychę.

W Łodzi był po jedenastej. Zajeżdżał do Manufaktury, zostawił samochód na parkingu podziemnym i poszedł na zakupy. Za wszystko płacił gotówką. Kupił walizkę, dwie pary spodni, sweter, trzy koszule, kurtkę, kilka kompletów bielizny, kosmetyki. Na książkowej wyprzedaży wpadł mu w ręce skandynawski kryminał. Wziął go odruchowo, choć i tak wiedział, że nawet do niego nie zajrzy. W salonie Orange nabył zestaw startowy prepaid oraz kilka zdrapek-doładowań. Wyciągnął kartę SIM ze swojego starego telefonu, złamał ją na pół i wyrzucił do kosza. Dwa najważniejsze numery telefonów – do Adrianny i Ewy – znał na pamięć, innych nie potrzebował. Włożył nową kartę do aparatu.

Był gotowy. Mógł ruszać na południe.

Za kilkadziesiąt godzin w Polsce Wojciech Elmar zrozumiał, że do końca życia będzie zadawał sobie pytanie, jak dalej potoczyłyby się losy Tomasza Szymkowiaka, gdyby w środku poprzedniej nocy załany w trupa nie zadzwonił z taksówki do Andrzeja Bajbaka. Nie rozmawiali długo. Znali się z dawnych lat, Andrzej pracował w policji, ale miał jakiś konflikt z przełożonymi (śmierdząca sprawa, nikt na komisariacie nie chciał o tym gadać) i w efekcie poszedł na swoje. To było dawno, Elmar dopiero zaczynał, ledwie się wtedy znali. Później ich ścieżki przecięły się znów i policjant



korzystał z pomocy detektywa w trzech lub czterech sprawach. Bajbak współpracował bardzo chętnie, zawsze można było liczyć na jego pomoc, bez oporów dzielił się odkryciami, czego nie dało się powiedzieć o innych przedstawicielach jego profesji. Z dawnych lat pozostał mu szacunek do munduru.

Pijanemu Elmarowi zrobiło się Tomasza żal. Postanowił zadzwonić do kolegi.

— Daj spokój temu facetowi — wybełkotał do telefonu. — On naprawdę ma trudny okres w życiu. Jutro wylatuje na Budapesztu. Tam prowadzą wszystkie ślady. I co zrobisz? Pojedziesz za nim?

Wiadomość o detektywie dotarła do Elmara w poniedziałek, kiedy poszedł do pracy.

— Słyszałeś, co się stało? — Zagadnął go przy kawie sierżant Bogdanowski.

— Zgadnij — odparł cierpko.

— Pamiętasz Andrzeja Bajbaka? Kiedyś u nas robił, ale przeszedł na swoje.

Elmar poczuł, jak tężeją mu wszystkie mięśnie. Wiedział, co Bogdanowski powie za chwilę, i za nic nie chciał tego słyszeć.

— Co z nim? — wydukał w końcu.

— Pobili go. Gdzieś w krzakach, w zasyfionym parku na Wawrzyszewie.

— Wszystko z nim w porządku?

— Podobno w porządku. Leży na Bielanach. Chłopaki postanowili się rzucić na czekoladki. Dołożysz dychę?

Elmar nie musiał pytać, kto go tak urządził. W pierwszej wolnej chwili, pojechał do szpitala. Detektywa znalazł na obserwacji. Wyglądał o wiele lepiej, niż to sobie policjant wyobrażał. Miał obandażowany nos i napuchnięte oko. Leżał w trzyosobowej sali z włączonym telewizorem, na którym leciał polsatowski serial dla gospodyń domowych; próbował przeglądać wczorajszą gazetę.

— Jutro rano mnie wypuszczą — powiedział na przywitanie.

— Co się stało?

— Rano wyprowadzałem psa i się potknąłem. Upadłem bardzo nieszczęśliwie.

— Tomasz Szymkowiak...

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. — Bajbak złożył gazetę i odłożył ją na szafkę. Patrzył w sufit, oddychał głośno i regularnie, jakby uprawiał się do ćwiczeń z medytacji.

— Przecież go śledziłeś. Na polecenie żony.

— I co z tego? Wczoraj, po twoim nocnym telefonie, postanowiłem rzucić tę sprawę. Już jej nie prowadzę. Jeszcze mi się nie udało dodzwonić do pani Ewy, ale cały czas próbuję.

— Dlaczego on to zrobił?

— Kto zrobił? Co zrobił? O czym mówisz? — Bajbak udawał szczerze zdumienie.

— Nie zamierzasz tego zgłosić?

— Zgłosić? Przecież się potknąłem, straszny ze mnie niezdara.

W pierwszym momencie Elmar nie zrozumiał zachowania Bajbaka. Do czego dążył detektyw, co chciał osiągnąć poprzez takie zachowanie? Olśnienie przyszło dzień później, kiedy odebrał pierwszy telefon od Emese.

Andrzej po prostu czuł się winny.

Kiedy Tomasz toczył pianę z pyska i rzucił się na niego z pięściami, Bajbak zrozumiał, kto jest kim w tym konflikcie: kto jest dobry, a kto zły. W Szymkowiaku winy nie znalazł i w nowej optyce niewierny mąż objawił się jako ofiara, a nie zbrodniarz. Sfrustrowany, zaszczuty facet, który ugrzązł w bagnie rodzinnych kłopotów i nagle zwała się na niego gigantyczna tragedia, a wszyscy wokół (żona w szczególności) nie przestają go kopać. Bajbak zadał sobie pytanie: „Jak ja zachowałbym się na jego miejscu?”. I znalazł odpowiedź.

Dlatego postanowił kłamać.

Dwa dni później, kiedy Emese żegnała Tomasza na dworcu kolejowym, a on ruszał w podróż na Krym, Elmar wykonał krótki telefon do Bajbaka.

— I co u ciebie? Jak się czujesz?

Detektyw ciężko westchnął.

— Zerwałem temat, nie wracam do niego.

— A żona?

Policjant mógł przysiąc, że rozmówca po drugiej stronie linii wzruszył pogardliwie ramionami.

— Wynajmie innego. Mało nas?

Elmar rozłączył się i pomyślał o nich: czarnookiej Emese i nieszczęśliwym Tomaszu Szymkowiaku. Trzymał za nich kciuki.

Napisał SMS-a do Emese. Był krótki.

„Powiedziałaś mu, jak jest naprawdę?”.

Odpowiedź przyszła po minucie.

„Sam się domyślił”.

## DWANAŚCIE

### MAYER/ NOWY JORK/BUDAPESZT

Po powrocie z Wiednia Mayer złożył wypowiedzenie w agencji. Dlaśza praca była ponad jego siły i wiedział, że w ten sposób dłużej nie pociągnie. Wszystkie osoby, które znał i na których mu zależało, albo nie żyły, albo – jak w przypadku Lance’a Butlera – gniły gdzieś w komunistycznym więzieniu. Mayer pilnie potrzebował odmiany towarzystwa, nowych znajomości, nowych tematów, którym mógłby się poświęcić bez reszty, pracować dnie i noce, aby w pracy znaleźć zapomnienie.

Jego decyzja spotkała się z zaskakującą wyrozumiałością. Demaskacja i tragiczna śmierć Roberta Kashgoffa była dla wszystkich potężnym wstrząsem, niewiele mniejszym niż sprawa Philby’ego dwie dekady wcześniej. Wprawdzie Mayer musiał się liczyć z długim przesłuchaniem, podczas którego oficer śledczy wyciągał na światło dzienne najbardziej intymne szczegóły jego życia i notował je w protokole, ale innego wyjścia nie było – jeśli chciał zacząć nowe życie, musiał przecierpieć i pozamykać dawne sprawy.

Hochbaum wrócił na uniwersytet na pełny etat. Zajmował się ponownie teoriami unifikacyjnymi i był szczęśliwy, bo wiedział, że jest to temat, któremu może się poświęcić do emerytury. Wreszcie pochłoneła go rutyna, której potrzebował i nieświadomie poszukiwał od śmierci Sandy. Umiał powiedzieć, jak jego życie będzie wyglądało za pięć, dziesięć, a może nawet i piętnaście lat, oczywiście jeśli wcześniej nie zejdzie na zawał.

Mięśnie w postrzelonej łydce nigdy nie odzyskały dawnej sprawności i naukowiec przy każdym kroku powłóczył ciężko nogą. Na uniwersytecie odnowił dawne znajomości, znów wieczorami umawiał się z wykładowcami na piwo, znów przesiadywał w bibliotece, gdzie z nabożnością godną rabina studiował archiwalne numery „Physical Review Letters”, które ukazały się w czasie, kiedy on generował kolejne rzędy losowych liczb, wyciągał z talii

karty, kulił się ze strachu przed komunistami w zakładzie szewskim, w strasznym kraju pod sowiecką okupacją.

Nie zdawał sobie sprawy, że od przeszłości niełatwo uciec.

\* \* \*

Zrozumiał to w pochmurne październikowe popołudnie roku 1986, dwa lata po tragicznej misji w Wiedniu. Robił zakupy w supermarkecie, pchał po parkingu wypchany jedzeniem wózek. W powietrzu od rana wisiała nieznośna wilgoć, zbierało się na deszcz i Mayer spieszył się, aby zdążyć do domu przed ulewą. Wycieraczki w jego chryslerze odmawiały ostatnio posłuszeństwa i nie uśmiechała mu się jazda na oślep w ścianie wody.

Pakował zakupy do bagażnika: woda mineralna, zgrzewka coca-coli, płatki śniadaniowe. Sklepowy parking był praktycznie pusty, kiedy spostrzegł, że ktoś stoi tuż obok, pali papierosa i uważnie mu się przygląda. W mig rozpoznał nieoczekiwaną postać i struchlał; sześciopak budweisera light wypadł mu z dłoni.

— Nathan Tauber — wykrztusił z siebie.

Funkcjonariusz Mossadu cisnął wypalonego do połowy papierosa na ziemię i zgniótł go obcasem. Podszedł do Hochbauma z wyciągniętą dłonią.

— Zastanawiałem się, co u pana słyhać. Jak noga?

Mayer skinął głową.

— Nie jest źle. Przecież mogłem nie żyć. Co pan robi w Stanach?

— Bywam. Ma pan czas? Chętnie bym z panem pogadał i powspominał dawne dzieje.

Naukowiec otworzył drzwi samochodu i gestem zaprosił Taubera do środka.

— Jedźmy, zanim zacznie padać. Zapraszam pana na kolację. Nie jestem świetnym kucharzem, ale nakupiłem sporo jedzenia i musi ktoś to wszystko zjeść.

Tego wieczoru Mayer przyrządził nadziewanego warzywami kurczaka w ostrym meksykańskim sosie. Zjedli ze smakiem. Po kolacji przenieśli się do salonu i otworzyli piwo. Przeszli na „ty”.

Wcześniej nie rozmawiali wiele, ale przy piwie Nathan się rozkręcił. Początkowo sondował Mayera, na ile ten chce rozmawiać o „dawnych czasach” i Trójcy Świętej, ale kiedy nie natknął się na wyraźny opór, poczynął sobie coraz śmieiej.

— Jest jedna rzecz, o której muszę ci powiedzieć, Mayer. — Izraelski szpieg pochylił się nad gospodarzem i przeszedł do konspiracyjnego szeptu. Z ust śmierdziało mu piwem. — Mamy zaufanego człowieka u was, na górze. Teraz, kiedy siedzę w Stanach, mogę widywać się z nim częściej niż przed laty. I on opowiada bardzo ciekawe historie. Niedawno rozmawiałem z nim o Budapeszcie.

— Budapeszcie? — Nathan był już zbyt pijany, by spostrzec wyraźną niechęć Mayera do ciągnięcia tego tematu.

— Misja z Putnisem. U was, w agencji, niektórzy niezbyt lubili Butlera. Że obłąkany, bawi się w czary-mary, zamiast zająć się poważną pracą operacyjną. Ale on miał podobno plecy, gdzieś bardzo wysoko. — Żyd uniósł oczy do nieba, jakby wznosił modły do samego Jahwe. — Więc kilku średnio postawionych funkcjonariuszy, którym Butler wyraźnie założył za skórę, albo raczej odbierał pieniądze na inne projekty, zagarniając nieproporcjonalnie wysoki budżet dla swojego działu – któż może wiedzieć, jak wyglądała prawda – postanowiło zawiązać wielopoziomowy spisek i Butlera wykończyć. Wyszło im zaskakująco dobrze.

— Chcesz powiedzieć, że...

— Tak. — Nathan skinął głową. — Większa część Budapesztu została ustawiona w Langley. Amerykaniec, od którego Putnis otrzymał generator kodów do rakiet, był w istocie człowiekiem CIA i transakcja nie miała żadnej wartości. Jej celem było wyłącznie zwabienie w pułapkę Butlera, co wyszło aż za dobrze. Trzeba przyznać, że intrygę przygotowali zawodowcy i Ruscy istotnie połączyli haczyk. Doszli do wniosku, że sprawa ma kluczową wagę i dlatego zdecydowali się uaktywnić swojego śpiocha przyczajonego najbliższej całej sprawy: Roberta Kashgoffa.

— Nie wierzę. — Mayer zaśmiał się nieco zbyt nerwowo. Sprawy, o których chciał zapomnieć, dopadły go ponownie w najmniej oczekiwanym momencie, kiedy głowę zaprzątniętą miał problemami zupełnie innej natury i pracował już nad epistemologicznymi konsekwencjami teorii strun. —

Zbudowali tak wyrafinowaną konstrukcję, aby wykończyć Butlera? To jest przecież niepojęte.

— Pracuję w wywiadzie piętnaście lat i nie takie rzeczy widziałem. — Nathan sięgnął po kolejną puszkę.

Kiedy Tauber zbierał się do domu kilka godzin później, ledwo trzymał się na nogach. Mayer wezwał taksówkę. Wyszli razem na zewnątrz, w chłodną październikową noc, i czekali na transport. Lodowaty, przeszywający wiatr otrzeźwił nieco gospodarza spontanicznej imprezy.

— Wiesz, co powinienem zrobić? — zwrócił się do Nathana. — Jeśli jestem dobrym patriotą, jutro z samego rana napiszę notatkę z naszego spotkania i przekażę ją dawnym kolegom z Langley. Wypełnię obywatelską powinność.

W ciemności mignęły światła taksówki. Nathan odwrócił głowę i miał zaskakująco trzeźwe spojrzenie, aż Mayera zdjęło przerażenie, że kompan wcale nie jest pijany, bo agenci Mossadu nigdy nie upijają się naprawdę, a ich całe życie jest niekończącym się teatrem, wiecznym udawaniem, wchodzeniem w rolę, budowaniem fałszywych tożsamości, zatracaniem siebie.

— Nie napiszesz — odpowiedział Nathan. W jego głosie nie było cienia wątpliwości. — Przecież wiesz, że nie.

Oczywiście miał rację.

Kolejny raz spotkali się trzy miesiące później. Tym razem inicjatywa leżała również po stronie Nathana. Zadzwoił niespodziewanie, proponując spędzenie tygodniowego urlopu w chatce w Górach Skalistych. Nie oferował żadnych wygód i atrakcji poza długimi spacerami, zapierającymi dech w piersiach widokami i dostępem do czystych rzek, gdzie można wybrać się na połów pstrągów.

Mayer długo się nie zastanawiał i przyjął zaproszenie. Po latach nie potrafił odpowiedzieć, w jaki sposób spędzali wówczas czas, o czym rozmawiali podczas długich wieczorów, kiedy szybko zapadał zmrok, nie dało się czytać ani pracować, a jedyny wypełniacz czasu stanowiło osuszanie kolejnych butelek whisky. W trakcie owego tygodnia pomiędzy nim a Nathanem zaczęła się wytwarzać osobliwa więź.

Mayer doskonale zapamiętał jedynie ostatnią noc. Siedzieli przed chatką i palili ognisko. Noc była czarna jak otchłanie Szeolu, chmury wisiały nisko i na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Dorzucili świeże drewno i z ogniska na wszystkie strony strzeliły iskry.

— Wierzysz w Boga? — zapytał niespodziewanie Nathan.

Hochbauma pytanie sparaliżowało. Czy ktoś kiedyś nie zadał mu identycznego pytania? Jego żona, Sandy, piętnaście lat temu, również nocą, na tarasie ich domu; także patrzyli wtedy w niebo, które wówczas mieniło się od spadających gwiazd.

Czy coś się od tamtej pory zmieniło w tym temacie? Chyba nie za bardzo.

— Bardziej wierzę w prawa fizyki. Nie uznaję Boga jako istoty, która może stać ponad nimi. We wszechświecie są podstawowe zasady, których nie złamie nikt – nawet Bóg.

Nathan się zainteresował.

— Co to za zasady?

— Na przykład przyczynowość. Według mnie ona jest najbardziej pierwotna i musiała istnieć jeszcze przed narodzinami wszechświata. Jeśli ktoś zamierza odkryć Teorię Wszystkiego, musi wyjść od przyczynowości. Czy Bóg ma wystarczającą siłę, aby złamać zasadę przyczynowości?

Nathan roześmiał się krótko.

— Mnie nie pytaj. Nie jestem rabinem. Jeśli jednak przyczynowość istniała PRZED powstaniem wszechświata, jak jest możliwe, że wszechświat w ogóle powstał? To wydarzyło się w konkretnym momencie, dziesięć miliardów lat temu, jeśli wierzyć fizykom, popraw mnie, jeżeli się mylę.

— Nie mylisz się.

— Ktoś zatem musiał dać impuls. Jakaś siła z zewnątrz, która nakręciła zegar, popchnęła zabawkę do przodu, nadała jej pęd, wprowadziła energię do układu. Mam rację?

Mayer dorzucił do ogniska. Wysokie płomienie przyjemnie ogrzewały twarz.

— No niekoniecznie. Być może „zewnątrz” wcale nie jest potrzebne. Potrafię sobie wyobrazić struktury matematyczne, które obywają się bez tego.



— W jaki sposób mogą one wykluczyć potrzebę istnienia „zewnątrza”?  
Przekreślić hipotezę pierwszego poruszyciela?

— Impuls z zewnątrz nie jest do niczego potrzebny. Kula ma skończoną powierzchnię, ale nie ma brzegów. Być może czas zachowuje się podobnie.

— Serio w to wierzysz? — Nathan stanął po przeciwległej stronie ogniska, jęzory ognia lizały chmury.

— Wiara w Boga jest absurdalna. — Mayerowi drętwiała chora noga. Usiadł na ziemi, ciężko i niezgrabnie, pośród igliwia i szyszek. — Ale samo istnienie jest absurdalne w nie mniejszym stopniu. Kiedy patrzysz na to wszystko i myślisz... Kiedy widzisz zimny, pusty wszechświat, miliardy gwiazd, niezmiernie przestrzenie i myślisz o ludzkim gatunku, atomie w transgalaktycznym oceanie lodowatej nicości... jego istnienie wydaje ci się czystym absurdem. Podobnie jeśli spojrzysz na historię, na ewolucję, piramidę niemożliwych do wyobrażenia zbiegów okoliczności. Zjadłem zęby na rachunku prawdopodobieństwa, próbowałem konstruować teorię ostateczną, opartą na probabilistyce i wiem, że wystarczy odpowiednio duża próbka, długi czas, aby każda ewentualność została zrealizowana. Ale pomimo wiedzy naukowej, nie potrafię przestać się dziwić, jak to możliwe, że po prostu jesteśmy. Że istniejemy. Teoria Wszystkiego musi mieć charakter konieczny, istnienie musi z niej wynikać w bezpośredni sposób, być logicznym następstwem matematyki. Z jednej strony mamy równania opisujące wszechświat, ale same równania nie gwarantują istnienia. W równaniach brakuje ognia, czegoś, co sprawia, że opisywany przez nie świat istnieje. Chciałbym wierzyć, że ogień znajdzie się w równaniach teorii ostatecznej. Nie będzie możliwości, aby wszechświat nie istniał. I w tym kryje się największy absurd. Marzę, aby tak się stało, ale głęboko czuję, że istnienie świata wcale nie jest konieczne. A człowiek tym bardziej konieczny nie jest.

Nathan skinął głową.

— Człowiek nie jest konieczny.

Mayer odwrócił twarz od ogniska. Od strony przełęczony wiał wiatr, przynosił przyjemny chłód, przywracając trzeźwość umysłu i klarowność myśli.

— Kiedy miałem trzynaście lat, jeszcze w Budapeszcie, ugryzł mnie w rękę pies. Wyrwał spory kawał mięsa, lekarze długo się męczyli, aby pozszywać ranę. Blizna została do dziś. Mnie najbardziej fascynowały szwy. Dobrze pamiętam, że całymi godzinami potrafiłem siedzieć, szorując palcami po chirurgicznych niciach, którymi połączono brzegi rany. Teraz mam tak samo. Ilekroć myślę nad problemami z zakresu teorii unifikacyjnych, mam wrażenie, że dotykam szwów – szwów, którymi zafastrygowano materię rzeczywistości. Gdzieś gubi się ciągłość, piękno i doskonałość matematycznych równań, a zamiast tego jest coś wulgarnego, niedorobionego, ohydna łąta niezgrabnie maskująca dziurę w spodniach. Jakby Bogu się nie chciało, nie dał rady, nie przyłożył się do tej części stworzenia i wykonał ją na odwal. Chciałbym ją oderwać, sięgnąć do wnętrza, zrozumieć, co jest pod. Nie potrafię. Nikt nie potrafi.

Tauber nie odpowiedział.

\* \* \*

Po powrocie na uczelnię Mayera przywitała zdenerwowana sekretarka.

— Panie Roundtree, czeka na pana jakiś student. Powiedziałam, że będzie pan zajęty po powrocie z wakacji, ale on nie chciał słuchać. Zachowywał się bezczelnie. Bez przerwy żuł gumę.

Żuł gumę. Hochbauma zdjęło złe przeczucie. Niemal wbiegł do swojego gabinetu.

Nie pomylił się.

Na krześle dla interesantów, przed biurkiem zawalonym nieprzeczytaną korespondencją, huśtał się John – ten sam chłopak o twarzy nastolatka, z wiecznie potarganą blond czupryną, który trzy lata temu w Wiedniu roztaczał opiekę nad nim i Robertem Kashgoffem, występując z polecenia ambasady.

— John!

Mayer usiadł w swoim fotelu. Chłopak od razu przeszedł do rzeczy.

— Pan wie, co to jest Gusz Emunim?

Mayer bezradnie pokręcił głową.

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Grupa skrajnie religijnych Żydków pod wodzą niejakiego Mosze Lewingera. Blok Wiernych. Próbowali niedawno wysadzić w powietrze kopułę Na Skale i meczet Al-Aksa. Pan rozumie, święte miejsce islamu. Na szczęście zostali powstrzymani. Gdyby im się udało, turbaniarze by nie przepuścili. Miliony muzułmanów na całym świecie ruszyłyby z dżihadem przeciw zachodniej cywilizacji. Trzecia wojna światowa nie byłaby starciem pomiędzy Ameryką a Związkiem Radzieckim, lecz pomiędzy Islamem a Zachodem. Gusz Emunim byli bardzo blisko.

— Dlaczego mi to mówisz?

— A jak pan myśli? Nigdy do końca nie dowiedziałem się, co wydarzyło się wówczas w Wiedniu. Po tym, jak Kashgoff z zimną krwią zastrzelił mojego dobrego kumpla, u nas rozpętało się piekło. Szukaliśmy go po całym mieście i nie potrafiliśmy namierzyć. Potem ambasador dostał telefon. Nie wiem, kto dzwonił, ale chłopaki mówiły, że ktoś z ambasady Izraela. Wsiadłem w volkswagena i pojechałem do Döblingu. Zastałem tam Andrejsa Putnisa z odstrzeloną głową i Roberta Kashgoffa z pociskiem w czaszce. Nasi spece stwierdzili, że kula została wystrzelona z karabinu snajperskiego. To rodzaj broni chętnie stosowany w armii izraelskiej. Nic więcej mi nie powiedzieli. Próbowiałem działać na własną rękę, ale szybko dostałem reprimendę od przełożonych i zawrócili mnie do Stanów, do nudnego biurka.

— Przecież wiesz, że nic ci nie powiem. Nie mogę.

John wzruszył ramionami i raptownie poderwał się z krzesła. Mayera zdjął nagły atak lęku: że oto chłopak przeskoczy ponad stołem i rzuci się na niego z pięściami, aby wydrzeć prawdę.

— Ale ja o nic nie pytam — prychnął śmiechem. — Tym razem dostałem proste zadanie. Chciałem powiedzieć coś o pana nowym koledze, Nathanie Tauberze.

Zrobił dłuższą pauzę, pozwalając wypowiedzieć się Mayerowi, jednak ten tylko przełknął ślinę i milczał.

— Nathan Tauber był członkiem terrorystycznej organizacji Gusz Emunim. Brał udział w spisku mającym na celu wysadzenie w powietrze świętych miejsc islamu i w efekcie sprowokowanie globalnego konfliktu. Domyślałem się, że Tauber stoi również za wydarzeniami w Wiedniu, ale oczywiście nie mam na to żadnych dowodów. Jedynie przypuszczenia.

— I co w związku z tym?

— Chciałem pana ostrzec. Proszę się trzymać od niego z daleka. To bardzo niebezpieczny człowiek.

Mayer nie posłuchał. W Nathanie było bowiem coś, co go urzekło. Długo zastanawiał się, na czym polegała fascynacja. Zawążyła chyba wewnętrzna pewność siebie, brak „rozdygotania”, stanu wiecznej niepewności, zawieszenia pomiędzy różnymi możliwościami, światopoglądami, wartościami, w którym przez większość życia trwał Mayer. W Nathanie biel sąsiadowała z czernią, nie było półcieni, szarych plam, niedookreślenia. Nathan świetnie znał całą prawdę na swój temat, postępował konsekwentnie i nigdy siebie nie zaskakiwał podejmowanymi decyzjami.

Znajomość z Tauberem ciągnęła się przez wiele lat. Nie spotykali się często, raz, dwa razy w roku Nathan dzwonił do Mayera, że jest przejazdem w mieście, może się spotkają, wyskoczą razem na kolację, coś wypiją, pogadają.

W marcu 1990 roku Mayer odebrał niespodziewany telefon. Było sobotnie przedpołudnie, siedział wówczas w domu, na kanapie z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni, przeglądając od niechcienia periodyki naukowe. W tle grał telewizor, leciała jakaś rodzinna komedia, chyba *Alf*. Mayer nie spieszył się do telefonu, miał nadzieję, że dzwoniący zrezygnuje. Kiedy podniósł słuchawkę, w pierwszej chwili usłyszał jedynie szum.

— Połączenie międzynarodowe — w słuchawce odezwała się telefonistka.

Kto to może być, przemknęło mu przez myśl. Nathan?

— Dzień dobry, panie Roundtree — głos z trudem przebijał się przez kanonadę trzasków. — Czy może powinienem powiedzieć, panie Lodge?

Hochbaum zamarł. Poczul się jak nieuważny piechur, który oczekiwał pod stopą nieistniejącego schodka, ale z następnym krokiem runął w dół. Patrzył w telewizor, na włochatego kosmitę i jego głupie żarty o jedzeniu kotów. Był mokry od potu.

— Z tej strony Gusztav Borbély. Pamięta mnie pan? Budapeszt, lotnisko, rok 1984.

Czy pamięta? Jak mógłby zapomnieć?

— Jasne, świetnie pana pamiętam.

— Pamięta pan nasz układ?

— Pamiętam.

— Dzwonię z Rzymu z lotniska Fiumicino. Za godzinę wsiadam do samolotu do Nowego Jorku. Czeka mnie lot, jak wy mówicie, *red-eye* — zrobił pauzę, oczekując, aby Mayer potwierdził prawidłowe użycie idiomu. Nie doczekał się. — Mogę mieć problemy na miejscu. Przyjedzie pan po mnie? Może pan uruchomić swoje kontakty i sprawić, aby wpuścili mnie do kraju? Cóż za zabawna symetria. Ja pana kiedyś wypuściłem, a teraz proszę, aby pan mnie wpuścił.

— Skąd ma pan mój domowy numer?

— Pan nie pamięta, czym się zawodowo zajmowałem?

Borbély rozłączył się, a Mayer z szuflady wygrzebał wizytówkę Johna. Zadzwoił na domowy numer. Długo tłumaczył chłopakowi niuanse sprawy.

— W porządku, zobaczę, co się da zrobić. Jak się ten gość nazywa? Może pan przeliterować?

Oddzwonił za dwie i pół godziny, podczas których Mayer siedział jak na szpilkach. Nie mógł nic robić: czytać ani oglądać telewizji. Wyjął notatki i próbował coś liczyć, ale myśli wciąż uciekały do człowieka, który sześć lat temu podpisał z nim cyrograf. Mayer o sprawie dawno zapomniał, jednak diabeł zawsze upomni się o swoje. Wreszcie nadszedł dzień zapłaty.

John oddzwonił.

— Załatwione. Mają już jego nazwisko na liście. Nikt go nie zaczepi, jakby leciał na dyplomatyczny paszport. Stawiamy jednak warunek. Będziemy chcieli z nim porozmawiać. Niech nam szczegółowo opowie o swojej dawnej pracy i o tym, co się teraz dzieje z jego kolegami. W zamian za to może liczyć na sporo benefitów. Damy mu nową tożsamość i pomożemy zrealizować jego własny *american dream*.

Gusztav Borbély nie miał żadnych oporów związanych ze współpracą z CIA. Na JFK spotkali się we trzech: Mayer, John i Borbély. Wymienili uściski dłoni i kilka grzecznościowych uwag. Agencja wynajęła Borbélyowi pokój w niezłym hotelu i węgierski pracownik tajnej policji poszedł do samochodu z żującym gumę Johnem, który nadal wyglądał jak dwudziestojednolatek podeksytowany dopiero co uzyskaną możliwością legalnego kupowania piwa w knajpie.

Zanim się rozstali, Mayer na chwilę znalazł się z Gusztavem sam na sam. John wrzucał monety do automatu parkingowego.

— Dziękuję — powiedział szybko Węgier, jakby wstydził się tego słowa, chciał je wypluć i o wszystkim zapomnieć.

Tyle wystarczyło, by Mayer w mig pojął całą prawdę o tym człowieku. Gusztav Borbély piekielnie się bał. Dopiero teraz uchodził z niego stres wielogodzinnego transatlantyckiego lotu, nerwy kluczowych minut, kiedy stanął na płycie lotniska, wszedł do hali przylotów i widział tłum podróżnych formujących kolejkę do urzędników imigracyjnych. Gusztav bawił się nerwowo paszportem i nie wiedział, co się wydarzy za moment. Czy były współpracownik CIA będzie pamiętał o wyświadczonych mu w przeszłości przysługach i odwdzięczy się? Ze strachu ścisnęło go w jelitach i bał się, że za chwilę straci przytomność. Ale dzięki wstawiennictwu Hochbauma wszystko ułożyło się po jego myśli.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Dziękuję — powtórzył zbieg. — Teraz ja jestem pańskim dłużnikiem. Jeśli w przyszłości będzie potrzebował pan pomocy, proszę mnie odszukać.

— Ruszamy. — John wskoczył za kierownicę i ponaglił Borbély krótkim, ale natarczywym sygnałem klaksonu.

Machnęli sobie na pożegnanie i Mayer wiedział, że jeszcze kiedyś się spotkają.

Później doszły go słuchy (przez Nathana), że ktoś wypaplał Borbélyowi całą historię Trójcy Świętej. Węgierski funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa zafascynował się opowieścią i dotarł do dwóch jej żyjących członków – Brandona Ortegi oraz Kevina Lubelskiego. Kombinował, jak można użyć ich talentu do zaburzania rachunku prawdopodobieństwa, by osiągnąć inne cele niż wysyłanie komend startowych do rakiet z pociskami nuklearnymi. Robili we trójkę wspólne interesy. Próbowali grać na giełdzie oraz eksperymentowali z grami losowymi. Trzymali się razem.

Pod koniec roku do Mayera znów zadzwonił Tauber. Wybierał się do Nowego Jorku na konferencję organizowaną przez chasydzki ruch Chabad-Lubawicz. Sesja naukowa nosiła tytuł „Miejsce Jahwe we współczesnej fizyce”.

— Będzie tam wykład poprowadzony przez bardzo interesującego człowieka. Rabin Josef Rosenberg na co dzień mieszka w Budapeszcie, przy Nagy Zsinagóga. Chciałbym, abyś go poznał. Myślę, że będziecie mieli mnóstwo wspólnych tematów.

Początkowo Mayer stawiał opór i nie zamierzał brać udziału w spotkaniu. Cóż to za sesja naukowa?, przekonywał sam siebie. Jeśli już, to pseudonaukowa. Zdecydował się w ostatniej chwili. Pomimo introwertycznej natury, doskwierała mu samotność, a Nathan był jedyną osobą, z którą utrzymywał w miarę systematyczny kontakt. Cieszył się na myśl o spotkaniu, o wspólnej kolacji i kilku głębszych, które wychyła, siedząc wieczorem w zadymionym klubie. Lubił ich niezobowiązujące pogawędki o niczym: amerykańskiej kinematografii, polityce Izraela na Terytoriach Okupowanych, o przyszłości Europy Wschodniej, świeżo uwolnionej spod jarzma komunizmu.

Nathan Tauber nic a nic się nie zestarzał. Według wyliczeń Mayera pracownik Mossadu – lub terrorysta działający w ugrupowaniu Gusz Emunim – powinien mieć grubo ponad czterdziestkę, tymczasem on wciąż wyglądał, jakby każdego dnia obchodził dwudzieste dziewięte urodziny. Już nie dzieciak, jeszcze nie mężczyzna. Choć zacięty wyraz twarzy Taubera sugerował, że zdążył już poznać nie tylko jasne strony życia.

— *We want Messiah now, mamasz* — Nathan przywitał go nieoczekiwanymi słowami, mocno uściśnął dłoń i roześmiał się, odsłaniając garnitur białych zębów.

Konferencja odbywała się w nowoczesnym ośrodku szkoleniowym wybudowanym tuż przy synagodze. Klimatyzowane wnętrza wypełniały dziesiątki osób, które nijak pasowały do wyobrażeń Mayera o pejsatych chasydach. Jakby znalazł się na MIT lub innej uczelni o profilu politechnicznym – na korytarzu dominowali młodzi mężczyźni w wieku studenckim, z niechlujnym zarostem na twarzy i w powyciąganych swetrach, spod których wystawały nieraz frędzle *cicitu* – szala modlitewnego. Mieli przyszcze i nosili okulary.

— Kim oni wszyscy są? — Mayer pochylił się nad przyjacielem.

— Baalei teszuwa. — Nathan ponownie się roześmiał. Sytuacja wyraźnie go bawiła. — Skruszeni, najmłodsze pokolenie, które przeprasza za grzechy rodziców, ponownie odnajduje wiarę i przestrzega halachy. Pałą świece na

Chanukę, a każdego poranka odmawiają szacharit. Czytałeś Hermana Branovera?

— Pierwsze słyszę.

— A powinieneś. Fizyk, światowej sławy specjalista w zakresie magnetohydrodynamiki. Naukowiec, który nawrócił się na judaizm, choć przez całe życie był zaciekle materialistą. Piękna historia. Sprezentuję ci jego książkę.

I tak jej nie przeczytam, dopowiedział w myślach Mayer, ale tylko skinął głową i uśmiechnął się przyjacielsko.

Josef Rosenberg wyglądał dokładnie tak, jak Mayer wyobrażał sobie rabina, a w dodatku przedstawiciela mistycznych chasydów ze stowarzyszenia Chabad-Lubawicz. Rosenberg był o dekadę starszy od naukowca, nosił chałat i czarny kapelusz.

Początkowy dystans, negatywne nastawianie, z jakim Hochbaum wszedł na salę wykładową, szybko mijały. Współ z Nathanem usiedli w pierwszym rzędzie, w drewnianej ławie, otoczeni przyszczatymi nerdami, do niedawna kompulsywnie masturbującymi się pod zdjęciami modelek z „Hustlera”, a obecnie odkrywającymi swoje żydowskie korzenie i piękno podporządkowania się micwot. Sala była szczelnie wypełniona. Josef Rosenberg zaczął wykład zatytułowany „Kwantowy Mesjasz”.

Mówił bez przerwy przez półtorej godziny, nie posiłkując się notatkami. Co jakiś czas sięgał po ustawioną na pulpicie mównicy wysoką szklanę wody i pił łapczywie, aż podskakiwała mu grdyka. Na początku wystąpienia nawiązał do kabały. Stwarzając świat, Bóg wycofał się. Człowiek zjadł owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego i popełnił grzech, z powodu którego został wygnany z raju. A jednak strzępy świętości przeniknęły do wielkiego dzieła stworzenia. Z chwilą przyjścia prawdziwego Mesjasza (słowo „Mesjasz” nigdy nie występowało osobno, lecz zawsze w związku frazeologicznym z dobitnie podkreślanym przymiotnikiem „prawdziwy”) utracona jedność Boga zostanie odbudowana. Drogą do tego jest mistyczne zanurzenie w świecie i poznanie go. Poznanie na najgłębszym poziomie.

Kiedy tego samego dnia, późną nocą, w perfekcyjnej samotności hotelowego pokoju, z mormońską Biblią wyciągniętą z nocnej szafki, otworzoną na Księdze Rodzaju, Mayer odtwarzał w pamięci logiczną



strukturę wykładu, nie pamiętał dokładnie, w jaki sposób w wystąpieniu nastąpił zwrot od gematrycznej mistyki spod znaku Jakuba ben Aszera do fizyki kwantowej. Nie pamiętał – ale podczas samego wykładu przejście wydawało mu się czymś oczywistym, do bólu logicznym i konsekwentnym.

Podstawowym paradygmatem fizyki kwantowej, a zarazem jej największą mistyczną tajemnicą – tłumaczył zgromadzonym Josef Rosenberg – jest relacja pomiędzy obserwatorem a obiektem obserwowanym. Rzeczy dzieją się inaczej w zależności od tego, czy ktoś na nie patrzy, czy rozgrywają się poza percepcją obserwatora. Aby zredukować funkcję falową, konieczny jest akt świadomej obserwacji. Cóż jednak znaczy – świadomej? Gdzie postawić granicę świadomości? Co wystarczy: kot Schrödingera, neandertalczyk, Pigmiej żyjący w ostępach afrykańskiej dżungli? Czy konieczny jest fizyk z tytułem PhD, a może jeszcze lepiej z Nagrodą Nobla na koncie?

Następnie Rosenberg zreferował koncepcję amerykańskiego naukowca Johna Wheelera, o którym od wielu lat spekulowano, że jest murowanym kandydatem na jesienną wyprawę do Sztokholmu. Wheeler opracował teorię „wszechświata partycypacyjnego”, według której prawdziwe poznanie wydarzy się dopiero w momencie, kiedy zrozumiemy teorię ostateczną. Dopiero wówczas wypełni się czas i wszechświat ostatecznie zredukuje swoją funkcję falową. Co ciekawe, wystarczy do tego jedna osoba. Największy geniusz w historii ludzkości napisze równania Teorii Wszystkiego, zamknie naturę rzeczy w przebłysku samoświadomego umysłu – i tym samym zakończy robotę Jahwe, którą Ten zaczął pięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt jeden lat temu.

Ten ktoś będzie Mesjaszem, którego Naród Wybrany oczekuje od tysiącleci. Świątynia zostanie odbudowana i nastanie nowa epoka.

Rabin dostał rześiste brawa. Po wykładzie podszedł do pierwszego rzędu i przywitał się serdecznie z Nathanem. Rozmawiali po angielsku. Tauber przedstawił rabinowi Mayera (używał jak zwykle jego żydowskiego imienia, a nie amerykańskiej tożsamości).

— Zapraszam was na drinka i kolację. Myślę, że mamy sporo spraw do obgadania — entuzjazmował się Nathan. — Mayer, jako fizyk, ma na pewno mnóstwo pytań do ciebie. W pobliżu jest świetna knajpa z koszernym żarciem.

O fizyce zaczęli rozmawiać już podczas przystawek, kiedy Mayer jadł soljanke, danie, które przeniknęło do kuchni żydowskiej poprzez diaspore rosyjską.

— Czytałem oczywiście o teorii Wheelera — rozkręcał się pomiędzy kolejnymi łyżkami słono-kwaśnej zupy — ale jedna rzecz mi się w niej nie podoba. Wszechświat partycypacyjny jest obarczony paradoksem kauzalnym. Obdarzony świadomością człowiek poprzez akt obserwacji dokonuje wstecznej redukcji nieskończonej liczby współistniejących ze sobą stanów do jednego – właśnie takiego, w którym może się pojawić rozumny człowiek i dokonać świadomej redukcji. W tym miejscu widzę największy problem. Błędne koło, paradoks samodualności. Złamanie przyczynowości. Pan widzi problem? Obiekt X wykonał czynność „y”, ponieważ obiekt Z zrobił czynność „w”. Tymczasem Z robił „w”, ponieważ X zrobił „y”. Błąd logiczny, nie istnieje prawidłowa sekwencja, wydarzeń nie da się niesprzecznie uporządkować na osi czasowej.

Josef Rosenberg na przystawkę wybrał gęsi pipek. Wytarł kąciki ust serwetką i uśmiechnął się do Mayera wyrozumiale.

— Można powiedzieć, że nauka jest moim hobby — powiedział. — Bardzo różne nauki. Ostatnio czytam dużo na temat ekonomii. Czy zna pan prace uczonego z Princeton, Daniela Kahnemana?

Mayer potrząsnął głową.

— Powinien pan się z nimi zapoznać. Obala paradygmat *homo oeconomicus*, człowieka racjonalnego, konsumenta podejmującego optymalne decyzje, opierającego się na analizie zysków i strat. Zajmuje się behawioralnymi heurystykami, za pomocą których ludzie idą na skróty w procesach wyboru.

— Nie bardzo rozumiem, dlaczego pan o tym opowiada? Jak to się ma do fizyki kwantowej, wszechświatów partycypacyjnych i paradoksów przyczynowych? Nie widzę związku.

Rosenberg w podobnych chwilach czuł się wspaniale, demonstrując przedstawicielowi haskala – żydowskiej inteligencji, która wyzwoliła się spod kurateli rabinów – klarowność i bystrość myśli wyćwiczoną na wieloletniej analizie midraszy.

— Być może wyraziłem się nieprecyzyjnie. Miałem na myśli sposób, w jaki funkcjonuje ludzki umysł. Pycha naukowego poznania. Ekonomistom zdawało się, że za pomocą modeli potrafią opisać proces podejmowania decyzji. Tymczasem zjawiska zachodzące w ludzkim mózgu są znacznie bardziej skomplikowane i nie dają się łatwo zamknąć w karby równań matematycznych.

— Szukam analogii z fizyką i...

— Jaka jest relacja pomiędzy prawdziwą rzeczywistością a jej modelami budowanymi przez teoretyków? Jak daleko jesteśmy od kwantowej teorii grawitacji?

— Słyszysz się o niej od dekady. Podobno wisi w powietrzu i ma to być kwestia roku, może dwóch. Teraz większość grantów idzie na teorię strun i może tam coś się urodzi.

— Teoria strun. — Josef skrzywił się w teatralny sposób. — Proszę pana, ja mówię o poważnych rzeczach.

Roześmiali się, i to ich do siebie zbliżyło. Rosenberg odsunął od siebie pusty talerz i skinął na kelnera.

— Matematyka zna przecież samodualne struktury. My odrzucamy model teorii samodualnej, ponieważ jest ona obciążona paradoksem kauzalnym, co nie pasuje nam do rzeczywistości. Ale czy nie dopuszcza pan założenia, że przyczynowość nie istnieje obiektywnie, jest jedynie heurystyką, jaką w toku ewolucji wytworzył ludzki mózg, próbując poradzić sobie z porządkowaniem informacji ze świata zewnętrznego?

Mayer pokręcił głową.

— Jeśli jest to heurystyka, to nader efektywna. Osobiście wierzę w przyczynowość jako coś najbardziej pierwotnego. Jako zasadę porządkującą wszechświat.

Do stolika podszedł kelner, zebrał talerze, a rabin fuknął z udawaną złością.

— Ponieważ w taki sposób został wymodelowany pana mózg! Pan wie, co mnie najbardziej irytuje w chrześcijaństwie? — Nie czekał, odpowiedział od razu — jego zero-jedynkowość. Dobry albo zły. Zbawienie albo potępienie. Zimny lub gorący. Brak opcji pośredniej. Biały albo czarny, bez odcieni szarości. Ledwo przeczołgasz się ponad progiem, wyłgasz przed

Świętym Piotrem niewinnym kłamstewkiem, i już opływasz w te same niebiańskie rozkosze co najświętszy za życia papież. Wiem, że jest jeszcze czyścić i temu podobne bzdury, ale czym jest skończona czasowo kara wobec wieczności, która czeka później? Jak długo powinna trwać kara czyścicowa, aby miało to sens? Jeśli podzielisz dowolną, nieważne jak wielką liczbę, przez nieskończoność, wynik zawsze będzie wynosił zero...

— Po raz kolejny nie rozumiem, co...

— Pan stawia sprawę przyczynowości na ostrzu noża. Ja wierzę, że można do niej podejść w bardziej subtelny sposób. Przyczynowość może być prowizorycznym rozwiązaniem, ewolucyjnym obciążeniem ludzkiego mózgu. Oszukujemy samych siebie, nie mając dostępu do prawdziwej rzeczywistości.

— To brzmi bardzo kantowsko. Nie mamy wglądu w rzecz samą w sobie. Tylko odbicia.

— Brzmi, ale w przeciwieństwie do Kanta wierzę, że da się to zrobić. Wejrzeć.

— Jak?

— Modyfikując budowę ludzkiego mózgu.

Kelnerzy przynieśli danie główne – Mayer zamówił czulent jagnięcy, rabin Rosenberg ozór wołowy, Nathan zaś gęsie wątróbki. Po kolacji poprosili o kolejną butelkę wina. Duchowny miał czerwone policzki i wzięło go na gadanie.

— Założycielem ruchu chasydzkiego był wielki cudotwórca, Baal Szem Tow. Pewnego razu narodowi żydowskiemu groziło wielkie niebezpieczeństwo. Baal Szem Tow, aby je zażegnać, poszedł do lasu, zapalił ogień i pomodlił się. Jahwe go wysłuchał i zagrożenie zostało zażegnane. Wiele lat później przytrafiła się podobna sytuacja i Magid z Międzyrzecza także musiał szukać pomocy u Najwyższego. Poszedł do lasu, znalazł to samo miejsce i powiedział: „Panie Wszechświata, nakłoń ucha na moje słowa. Wprawdzie nie wiem, jak zapala się ogień, ale umiem się modlić”. Jahwe go wysłuchał i ponownie uratował naród wybrany. Wiele lat później w identycznych tarapatach znalazł się rebe Mojsze Lejb z Sosnowa. Wzorem wielkich poprzedników poszedł do lasu i powiedział: „Nie wiem, jak rozpala się ogień, nie znam także modlitwy, ale przynajmniej znalazłem właściwe miejsce i to powinno wystarczyć”. I Jahwe go wysłuchał. Znów minęło wiele

lat i znów groźba straszliwego niebezpieczeństwa zawisła nad Żydami. Rebe Izrael z Różyna usiadł w fotelu i zaczął szeptać: „Nie potrafię zapalić ognia, nie znam modlitwy, nie umiem odnaleźć właściwego miejsca w lesie. Mogę jedynie opowiedzieć tę historię. To powinno wystarczyć” — Rosenberg zawiesił głos i przewędrował spojrzeniem po twarzach słuchaczy. — I wystarczyło! — huknął.

Nathan Tauber wybuchnął głośnym śmiechem i nie potrafił opanować dzikiego chichotu. Szeroko otwartymi ustami wciągał hausty powietrza, z oczu ciurkały mu łzy.

— Wyśmienite, wyśmienite — powtarzał.

Mayer także się roześmiał – raczej przez grzeczność i szacunek dla rabina.

— Jaka nauka płynie z tej historii? Taka oto mianowicie, że Bóg jest niepoznawalny i nieobliczalny. Jest ponad światem i ludzką logiką. Dlatego nie obawiam się podać w wątpliwość przyczynowości ani żadnego innego aksjomatu naszego myślenia. Nawet matematyczności opisu. Być może ostateczna Teoria Wszystkiego okaże się niemożliwa do opisania językiem matematyki? Bierze pan pod uwagę taką możliwość?

Mayer takiej możliwości pod uwagę nie brał nigdy i dlatego rozmowa z rabinem Rosenbergiem na długo zapadła mu w pamięć. Tamten wieczór skończył się szybciej, niż Hochbaum by sobie życzył. Nathan nagle przeprosił ich i w pośpiechu wybiegł z restauracji, wyraźnie gdzieś spóźniony. Rabin również grzecznie wykręcił się niewinną wymówką – źle się poczuł, chyba za dużo wypił, a w jego wieku nie powinien przesadzać z alkoholem. Na pewno się jeszcze zobaczą, i to już niedługo.

\* \* \*

Od tej pory Nathan i Mayer widywali się znacznie częściej. Podczas jednego z długich wieczorów na werandzie swojego domu Hochbaum odważył się poruszyć temat, który nurtował go od kilku lat, ale nigdy wcześniej nie ośmielił się zapytać. Jak naprawdę było z Gusz Emunim? Czy Nathan rzeczywiście zamierzał pierdolnąć atomową głowicą w meczet Al-Aksa? Czy z tego powodu musiał uciekać do Stanów?

Rozmówca ciężko westchnął i uniósł do góry koniuszki ust w praktycznie niezauważalnym uśmiechu.

— Wiedziałem, że kiedyś o to zapytasz — powiedział. — Zastanawiałem się tylko, dlaczego tak długo z tym zwlekałeś. Opowiem ci coś. Pamiętasz wojnę sześciodniową? Udało nam się wówczas odzyskać Mur Zachodni, ha-Kotel ha-Maarawi, Ścianę Płaczu. Pamiętasz to słynne zdjęcie? Izraelscy komandosi, najdzielniejsi żołnierze na świecie, stoją i ryczą jak niemowlaki. Byłem wśród nich. Miałem wtedy dwadzieścia lat. Pamiętam gazety z tamtego okresu i słowa Mosze Dajana: „Jeśli ktoś nie był religijny, stał się taki dzisiaj”. Erec Izrael, Ziemia Izraela, nasz ziemia. Zostaliśmy wybrani przez Boga i musieliśmy odbudować Trzecią Świątynię. Taka była i jest moja misja.

Mayer ciężko oddychał. Serce waliło mu jak oszalałe, jak na pierwszej rozbieranej randce.

— I do tej misji potrzebowaliście Putnisa?

Nieoczekiwanie Nathan roześmiał się. Chociaż wcześniej włali w siebie morze alkoholu, izraelski szpieg wydawał się zupełnie trzeźwy. Jak on to robił?

— Dlaczego pytasz? Przecież Rosenberg wszystko wyłożył. Jaśniej się nie da. Zdaniem rabinów Trzecia Świątynia nie zostanie odbudowana ręką ludzką, a nastanie sama z siebie, wraz z odkupieniem narodu i powtórным przyjściem Mesjasza.

— Powtórным przyjściem Mesjasza? — Mayer w jednej chwili zrozumiał, o co chodzi, i absurdalność planu żydowskiego dysydenta stanęła mu przed oczami w całej okazałości.

— Waszym zdaniem tym Mesjaszem był właśnie Putnis? Ponieważ prawidłowo rozwiązał równania Teorii Wszystkiego, wstecznie skolapsował funkcję falową? Jednym błyskiem rozumnej myśli stworzył wszechświat i człowieka?

Nathan nie odpowiedział od razu. Narastało niezręczne milczenie.

— Putnis był blisko — wyrzucił wreszcie z siebie. — Lecz niewystarczająco blisko. Według naszych naukowców złożoność teorii unifikacji jest zbyt duża, aby poradził sobie z nią ludzki mózg. Putnis był chory na autyzm. Jego połączenia neuronalne miały inną strukturę. Dlatego

ślizgnął się po istocie sprawy, ale nie dotarł do sedna. To nie on. Nie na niego czekaliśmy. Nie odbudował Trzeciej Świątyni.

— Więc kto?

— Już wkrótce się dowiesz. Nie należy się spieszyć. Ale stanie się to jeszcze za naszego życia, obiecuję ci.

Pod wpływem Nathana Mayer wrócił do żydowskiego imienia i nazwiska. Martin Roundtree, powołany do życia w 1956 roku, wraz z przekroczeniem przez rodzinę Hochbaumów granicy Stanów Zjednoczonych, przestał istnieć. Znow był Mayerem Hochbaumem, Żydem nie do końca wyznającym koncepcję wszechwładnego, monoteistycznego Boga, dobiegającym sześćdziesiątki profesorem fizyki dumnym ze swojego pochodzenia, z zapalem neofity studiującym historię i kulturę narodu wybranego.

Zdecydował się odwiedzić Izreal i Tauber zorganizował mu wyjazd i opiekę przewodnika na miejscu. Sam jednak nie pojechał, a Mayer wolał nie wiedzieć dlaczego, ale domyślał się i postanowił nie zdręzczać przyjaciela kolejnymi pytaniami o Gusz Emunim, Mosze Lewingera i grzyb atomowy nad kopułą Na Skale, od którego dzieliło świat naprawdę niewiele.

W 1998 roku, kiedy waliła się rosyjska gospodarka, Nathan zafundował im bilety lotnicze do Europy, do Budapesztu, na kolejny wykład i spotkanie z rabinem Rosenbergiem, tym razem poświęcone perspektywie mesjanistycznej w Modelu Standardowym i fizyce cząstek. Mayer miał jednak trafne przeczucie, że odczyt jest wyłącznie pretekstem, prawdziwie wielka gra toczy się za jego plecami, ale już niedługo, lada moment, zostanie włączony do rozgrywki.

Każde wspomnienie Budapesztu było inne. Przeszło dekadę temu miasto straszło powagą ponurych kamienic, wszechobecną szarzyzną, brudem wciskającym się pod paznokcie. Dziś Budapeszt był europejską stolicą, pełną uśmiechniętych ludzi na ulicach, drogich samochodów i siedzib międzynarodowych koncernów.

Tauber zarezerwował Mayerowi nocleg w Hiltonie. Sam miał do załatwienia interesy na mieście i zapowiedział, że prześpi się u starego kumpla, którego nie widział od lat. Na wszelki wypadek zostawił numer telefonu, pod którym będzie dostępny po dwudziestej.

Po zameldowaniu się, kiedy naukowiec ruszył w stronę windy, drogę zastąpił mu mężczyzna z obfitymi węsami i śniadą karnacją skóry.

— Pan Hochbaum? — zapytał nieznajomy.

Mayer znieruchomiał w pół kroku. Do tej pory podobne spotkania z obcymi facetami miały zawsze opłakane skutki. A przecież w przyszłym roku będzie obchodził sześćdziesiąte urodziny i jest już za stary, aby pracować dla CIA, Mossadu czy kogokolwiek innego, do ciężkiej cholery!

— Tak, to ja.

— Alain Leroy. Interpol. Muszę z panem pilnie porozmawiać.

Interpol! Czego jak czego, ale Interpolu się nie spodziewał.

— W jakiej sprawie?

— Usiądziemy? — Alain wskazał wygodne kanapy w lobby. Mówił z silnym francuskim akcentem; jedno z jego rodziców wywodziło się pewnie z Maghrebu. — Mówi coś panu nazwisko Gusztav Borbély?

Kolejne zaskoczenie.

— Znacznie więcej, niżbym sobie tego życzył. — Naukowiec uśmiechnął się do policjanta, a ten odwzajemnił uśmiech. — Co z nim?

— Prowadzę śledztwo w jego sprawie.

— Śledztwo?

— Borbély jest najemnikiem. Wynosi tajne dokumenty z gabinetów prezesów największych korporacji, włamuje się do skrytek bankowych, wykorzystując nieprzestrzeżenie procedur przez niekompetentnych pracowników. Mówią na niego Kameleon. Ma milion fałszywych tożsamości i dziesiątki twarzy.

— Twarzy? Jak to możliwe?

— Udało mi się ustalić kilka rzeczy. Za Kádára Borbély pracował w III Departamencie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kiedy upadł mur berliński, grunt zaczął mu się palić pod nogami. Nie mam pewności, co tam nawyrabiał, jego teczka zniknęła, ale wiem, że po wszystkim Borbély uciekł do Stanów. Tutaj w historii pojawia się pana nazwisko.

— Jak pan do niego dotarł?

Pytanie sprawiło Alainowi wyraźną przyjemność.

— Jestem profesjonalistą. Pan pomógł mi ułożyć życie w Stanach.



— Miałem wobec niego dług wdzięczności, można tak powiedzieć.

— Można zapytać...

— Nie można. Tajemnica państwowa. Tego chyba też zdążył się pan dowiedzieć?

Alain kiwnął głową i mówił dalej:

— W Stanach Borbély trafił do branży filmowej. Był świetnym charakterizatorem. Nauczył się robić lateksowe maski zmieniające rysy twarzy.

— Nie utrzymywałem z nim kontaktu. W Stanach widzieliśmy się zaledwie przez moment, na lotnisku.

— Kiedy tutaj się uspokoiło i Borbély nabrał przekonania, że nie wrzucą go do Dunaju z młyńskim kołem u szyi, postanowił wrócić do kraju. Trudno porównywać węgierską kinematografię z Hollywood, więc Borbély na miejscu zdecydował się zmienić profesję. Z pomocą innego Amerykanina rozkręcił fundusz inwestycyjny, który całkiem nieźle sobie radzi. Ale Borbély dorabia także w niezbyt legalny sposób. Szukam go od dwóch lat i wie pan, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? — zawiesił głos w teatralnej pauzie. — Nie wiem, jak on wygląda. Nigdy jeszcze nie widziałem jego żadnego zdjęcia. Umiejętnie zniszczył po sobie wszystkie ślady.

— To ciekawe, ale...

— Proszę pana o pomoc. Borbély mieszka w Budapeszcie. Chciałem, aby pan go dla mnie wystawił.

— Wystawił? Co to znaczy? Nie mam pojęcia, w jaki sposób się z nim skontaktować.

— Jest taka kawiarnia na placu przed katedrą Świętego Stefana. Popularne wśród turystów miejsce. Jeśli ktoś szuka kontaktu z Borbélyem, zostawia tam wiadomość. Wówczas Borbély uważnie prześwietla kandydata i jeśli się nadaje, sam trafia do delikwenta. Proszę tam pójść, powiedzieć, że jest pan starym przyjacielem, zostawić swoje nazwisko i zamiary. Jestem pewien, że Borbély takiej okazji nie przepuści i będzie się chciał z panem spotkać. W końcu zbyt wiele panu zawdzięcza.

Wieczorem Mayer zadzwonił do Nathana. Kiedy przyjaciel usłyszał dramatyczną relację, wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Dlaczego mnie pytasz o to, co powinieneś robić? Nie jestem twoją niańką. Zrobisz, jak uważasz. Mam w dupie jakiegoś węgierskiego aparatczyka, który obecnie bawi się w złodziejaska. Jeśli chcesz wystawić go pajacom z Interpolu – proszę bardzo, nie ma najmniejszych przeszkód. Mnie to w niczym nie przeszkadza.

Następnego wieczoru Mayer umówił się z Nathanem i rabinem Rosenbergiem w kawiarni wskazanej przez funkcjonariusza międzynarodowej policji. Na miejsce spotkania przyszedł kwadrans wcześniej, nachylił się ponad barem i wyszeptał barmanowi kilka słów. Ten spojrział mu głęboko w oczy i skinął głową.

— Czego się pan napije? — zadał pytanie jak gdyby nigdy nic.

Spędzili we trójkę bardzo miły wieczór. Rosenberg ponownie rozmawiał o koncepcji Mesjasza we współczesnym judaizmie, opowiadał też o swojej ostatniej wizycie w Jerozolimie i wykładzie w Ohr ha-Chaim, największej jesziwie dla skruszonych.

— Widzę potężną falę religijności, która wkrótce zaleje cały świat — mówił rabin. — W Izraelu coraz większe wpływy polityczne mają ugrupowania Charedim, tak samo dzieje się w świecie islamu. Rośnie nowe pokolenie terrorystów. Po rządach Clintona w Stanach władzę obejmie twardogłowy republikanin, *newborn christian*, stawiam dolary przeciw orzechom. Zbliża się potężny kryzys wartości, wywołany przemianami świata ponowoczesnego. Upadek komunizmu i szalejący postęp technologiczny tylko przyspieszą ten proces. Świat przestał być prostą bipolarną opozycją czarny – biały. Rosnąca złożoność, sieć zależności w globalizującej się gospodarce, spowoduje, że wkrótce podjęcie jakiegokolwiek ważnej decyzji okaże się niemożliwe, gdyż nikt nie będzie w stanie przeanalizować i przewidzieć jej konsekwencji. Stąd ucieczka do religii, do świata prostych, intuicyjnie pojmowanych wartości. Jakby szukać schronienia w mrokach jaskiń, w których nasi praprzodkowie siedzieli przy ognisku, zasłuchani w plemienne legendy, o ich bogach, którzy wzięli się ze strachu przed ciemnością na zewnątrz. Nasze mózgi zostały ukształtowane właśnie wtedy i nie radzą sobie ze złożonością współczesnej rzeczywistości.

Mayer słuchał i nie wierzył własnym uszom, jakie herezje płyną z ust powszechnie szanowanego rabina!

Rosenberg w mig zrozumiał, że posunął się za daleko. Oczywiście nie dotyczy to Jawhe, poprawił się, jedynego prawdziwego Boga oraz jego przymierza z Narodem Wybranym. Mówiąc, miał na myśli prymitywne przesady niewykształconych ludów.

Jego zdaniem w nieodległym czasie – w ciągu dwóch dekad, nie później niż trzech – odbędzie się potężne starcie cywilizacji i religii, które odmieni oblicze całego świata. Kryzys może się pogłębiać, ale tylko do pewnego momentu. Później nadejdzie oczyszczająca wojna, redefinicja starego porządku i ustanowienie nowego ładu. Ich obowiązkiem zaś – podkreślał dobitnie słowo „obowiązek” – jest zrobienie wszystkiego, aby lud Izraela wyszedł z tej batalii zwycięsko. A czy może zrobić to inaczej niż poprzez wykopanie Arabów z Ziemi Obiecanej i odbudowanie Trzeciej Świątyni ręką prawdziwego Mesjasza?

— Mam do ciebie prośbę, Mayer. — Po kolacji Rosenberg splótł dłonie na tłustym brzuchu, uśmiechnął się dobrotliwie. — Dostaniesz ode mnie prezent. Notatnik Putnisa z komentarzami naszych najlepszych matematyków, speców od kwantów i fizyki relatywistycznej. Teoria Shahn Majida, kategorie monoidalne, koalgebry, bialgebry, grupy Hopfa. Znasz się trochę na tym?

— To właśnie zamierzacie zrobić? Wyhodować Mesjasza, który stworzy wszechświat, a następnie zostanie przez was wykorzystany jako oręż w walce o nowy świat? I mam wam w tym pomóc? — Mayer uśmiechnął się przeciągle i zawiesił głos. — A co, jeśli to ja pierwszy znajdę błąd w rozmowaniach Putnisa, poprawię równania i zostanę... kim? Stwórcą świata? Mesjaszem? Dwudziestowiecznym Bar Kochbą, cadykiem ha-Dor?

Rabin Rosenberg nie wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

— Nie zostaniesz. Gwarantuję ci, że nie zostaniesz.

Późnym wieczorem, po powrocie do hotelu, w recepcji Mayer wraz z kluczami dostał niepodpisaną kopertę. Znalazł w niej strzępek papieru, jedną czwartą kartki w kratkę formatu A4, wyrwaną z dziecięcego bloku rysunkowego. A na niej wiadomość:

*Bardzo chętnie. Jutro, godzina 12.45, plac Erzsébet tér, GB*

Mayer przeczytał liścik jeszcze w hotelowym lobby. Chociaż umierał ze zmęczenia, alkohol szumiał mu w głowie, chora noga przypominała o sobie

pulsującym, tęnym bólem, a on marzył, aby wskoczyć pod gorący prysznic, z ciężkim sercem wygrzebał z kieszeni garść drobniaków i cofnął się na ulicę. Wszedł do budki telefonicznej na rogu, z portfela wyjął wizytówkę Alaina Leroya z napisanym odręcznie numerem telefonu do hotelu, w którym zatrzymał się pracownik Interpolu.

— Przepraszam, że tak późno...

— Nie szkodzi — przerwał mu zdecydowany, wcale nie zaspany głos.

— Jutro, 12.45, Erzsébet tér.

— Bardzo panu dziękuję.

Następnego dnia, kiedy estakadą wzdłuż Dunaju jechał na miejsce spotkania krótkim, jednowagonowym tramwajem i patrzył na turystyczne stateczki podskakujące na falach, wcale nie miał pewności, co zrobi za chwilę i jakim torem potoczą się najbliższe wydarzenia. Niczego nie zaplanował, wszystko ułożyło się samo.

Po placu kręciło się mnóstwo ludzi. Nastolatki ćwiczyły popisy na deskorolkach, matki popychały wózki z dziećmi, urzędnicy i biznesmeni spieszyli się na spotkania. Mayer usiadł na ławce, obok siebie położył plan miasta: udawał zmęczonego turystę zbierającego siły przed kolejną eskapadą wąskimi uliczkami Pesztu.

Spojrzał na zegarek.

12.43.

Gusztav przyjdzie punktualnie, jeśli przyjdzie. Leroy powiedział, że Borbély jest Kameleonem. Czy Mayer go rozpozna? Czy ten może założyć maskę? Ucharakteryzuje się na turystę? Żebraka? Urzędnika?

12.44.

I nagle, jak piorun z bezchmurnego nieba, jak pękający wewnątrz mózgu tętniak i krew zalewająca korę czołową, jak obraz zarejestrowany kątem oka, kiedy widzisz sunącą na ciebie ciężarówkę i wiesz, że kierowca nie zdąży wyhamować.

Zobaczył go.

Gusztav Borbély szedł od strony ulicy Attila Józsefa. Miał na sobie nudny urzędniczy garnitur i wyraźnie się spieszył. Nieobecny wzrokiem taksował twarze turystów wylegujących się na ławeczkach. Spojrzenia jego

i Hochbauma spotkały się na pół, ćwierć sekundy. Mayer nigdy do końca nie zrozumiał, co się wówczas stało. Co zrobił? Jaki gest wykonał? Delikatnie pokręcił głową, rozchylił wargi, artykułując niemą sylabę „NIE”, mrugnął okiem?

Wystarczyło.

Borbély nawet nie zmienił tempa marszu. W naturalny sposób przeniósł wzrok na kolejną ławkę, na dwie oliwkowe dziewczyny w krótkich spódniczkach, popijające coca-colę z plastikowych butelek. Mayer odczuł straszliwą ulgę, z naprzężonych ramion w dół pleców spłynął stres i napięcie. Był niczym pacjent, który po niepokojących pierwszych wynikach słyszy wreszcie diagnozę, że nie jest chory na raka.

O 13.17, kiedy znudzony Mayer czytał znajdujące się na rewersie planu miasta opisy budapeszteńskich zabytków, podszedł do niego Alain Leroy.

— Już chyba nie przyjdzie — podsumował. Mayer bezradnie rozłożył ramiona. — Cóż... Dziękuję bardzo za pomoc. Starał się pan.

Wymienili uścisk dłoni. Mayer zebrał mapę i ruszył w stronę synagogi. Alain Leroy wcale go nie zawołał, nie chciał nawet, aby się odwrócił. Stał w tym samym miejscu i mówił, jakby do siebie, ale wystarczającego głośno, żeby Mayer wszystko usłyszał.

— On tu był. Przyszedł na spotkanie, ale pan go ostrzegł.

Mayer znieruchomiał. Minęła chwila, zanim komunikat do niego dotarł, i kolejna, nim zrozumiał jego sens. Kiedy się odwrócił, zobaczył tylko plecy policjanta, znikającego w tłumie ludzi zmierzających w stronę stacji metra.

# TRZYNAŚCIE

## TOMASZ/ BUDAPESZT

— Jakie to uczucie zabić człowieka? — zapytała Emese Nagy płynną angielszczyzną, a Tomasz nie potrafił oderwać spojrzenia od hipnotyzujących czarnych oczu policjantki. W twarzy dziewczyny było coś osobliwego, pozaludzkiego, coś, co kazało pamiętać o nieśmiertelności duszy i utwierdzało w przekonaniu, że życie ludzkie jest czymś więcej niż sumą przypadkowych zdarzeń, które nie mają sensu i celu.

Siedzieli w przytulnej kawiarni niedaleko synagogi. Był gorący letni wieczór, ale po ulicach spacerowało niewielu przechodniów. Emese zamówiła czerwone wino, Tomasz zdecydował się na kufel lokalnego lagera. Piwo było lodowate i przyjemnie chłodziło gardło. Zamknął oczy, napawając się chwilą. To ostatnia przyjemność, jaka mu została.

— Wszystko wiesz? — Objął dłońmi pokal.

— A myślałeś, że nie wiem? Przecież Elmar zdążył mi wszystko opowiedzieć. Dzwonił wczoraj.

— Kiedy go znaleźli?

— Bardzo szybko. Jakie to uczucie?

— Ścigają mnie? — Zreflektował się. — Już nie muszą mnie szukać.

Policjantka nie odpowiedziała. Tomasz milczał.

Przypomniał sobie wczorajszy nocleg w prowadzonym przez Cyganów parszywym motelu na Słowacji. Dostał malutki pokój, zgniłe łóżko i zauszony koc. Zasnął szybko, wykończony. Do granicy prowadził bez przerwy. Potem zatrzymał się na chwilę, wymienił pieniądze i zjadł hot doga. I znów do samochodu, gaz do dechy, byle dalej od tego straszliwego miejsca, od parku za osiedlem, gdzie porzucił zakatowanego na śmierć Bajbaka.

Jechał do północy, aż zapaliła się kontrolka paliwa. To był dziwny stan, jakby Tomasz obudził się po długim śnie, próbował sobie przypomnieć, co mu się śniło, ale bezskutecznie. Wszystko się zatarło, rozmyło, rozplynęło

w ciepłym, letnim deszczu, który zaczął siąpić, kiedy w środku nocy zaparkował samochód przed migającym neonem „MOTEL”. Obudził się o czwartej nad ranem i nie potrafił już zasnąć. Zapasy energii się wyczerpały i wszystko runęło na niego właśnie wtedy, z obezwładniającą konsekwencją.

Zabił go.

Zabił Andrzeja Bajbaka.

— Nie potrafię ci powiedzieć, co to za uczucie. Tego nie da się wyrazić słowami — wydusił wreszcie z siebie.

Emese skinęła ponuro głową. Tomasz czuł się nieco pewniej, policjantka uważnie go słuchała i brnęła dalej w tę dziwną grę, zamiast zakuć łąpy w kajdanki, zwinąć go na komisariat i na tym zakończyć znajomość z Tomaszem Szymkowiakiem, detektywobójcą. Nie stawiałby oporu.

— Czy Elmar opowiadał coś więcej? Jak zareagowała moja żona?

— Była wstrząśnięta. Podobno wam się ostatnio nie układało.

Tomasz upił piwa i machnął ręką.

— To wszystko jej wina. Idiotka uważała, że porwałem Alicję. To jakiś absurd. Pieprzony absurd — podniósł głos, aż przyciągnął spojrzenia kilku gości lokalu, w większości pejsatych Żydów zatopionych w talmudycznych sporach.

— Już dobrze. — Emese uspokoiła go uniesioną dłonią, jakby był tresowanym psem. — Ja cię rozumiem. Mnie też nie zawsze się układa. To trudne.

— Dlaczego to robisz? — wyrzucił z siebie wreszcie. Nosił się z tym pytaniem od początku rozmowy, ale bał się sprowokować nieoczekiwaną reakcję Węgierki. Wszystko było nieoczywiste i to Emese rozdawała karty.

— Co?

— To wszystko. — Zatoczył dłonią półokrąg.

Emese Nagy głęboko westchnęła.

Czyżby sama nie wiedziała?

Tomasz do Budapesztu dojechał poprzedniego dnia późnym popołudniem. Było bardzo gorąco, po niebie nie przesuwawała się ani jedna chmura. Zatrzymał się w małym hotelu kilkanaście kilometrów od granic miasta. Rozumował w prosty sposób. Polska policja wiedziała, dokąd

pojechał, ponieważ nie mógł pojechać w żadne inne miejsce. Będzie codziennie zmieniał nocleg, wybierał najgorsze speluny, motele dla kierowców ciężarówek i sfrustrowanych alkoholików, wyrzuconych przez żonę z domu po rodzinnej kłótni, którzy szukają miejsca, by w spokoju napuścić gorącej wody do wanny i ciachnąć się po żyłach, stojąc przed zaparowanym lustrem. Tam nie dbają tak bardzo o dane przy meldunku i dzięki temu być może policja nie znajdzie go zbyt szybko.

Musiał skontaktować się z Emese Nagy. Z jednej strony było to działanie samobójcze (policjantka na pewno wiedziała o zabójstwie Bajbaka, przecież pozostawała w kontakcie z Elmarem); ale nie miał innej możliwości. Jak znaleźć Gusztava Borbélya – w obcym mieście, obcym kraju, trafić na ślad człowieka przez wiele lat poszukiwanego zarówno przez węgierską policję, jak i Interpol? Co mógł zrobić Tomasz? Pozostawało liczyć na cud, spiętrzenie nieprawdopodobieństwa, coś wykraczającego poza aktualne możliwości poznawcze.

Tak wyglądała jedyna racjonalna strategia, nawet jeśli również dla samego Tomasza brzmiało to absurdalnie.

Wieczorem podjechał do miasta i w centrum handlowym wstąpił do kafejki internetowej. Sprawdził pocztę i odkrył, że w skrzynce czeka na niego wiadomość od Emese, odpowiedź na jego mejla wysłanego jeszcze z Polski, w noc pijaństwa z Elmarem. E-mail miał datę sprzed dwóch dni, został wysłany kilka minut po siódmej rano. O tej samej godzinie oszalały Tomasz walił pięścią w twarz detektywa Andrzeja Bajbaka, a Emese Nagy, kilkaset kilometrów od Warszawy, pisała do niego mejla, oferując każdą możliwą pomoc, a jednocześnie powątpiewając w szybkie rozwiązanie sprawy. Zaproponowała, aby Tomasz zadzwonił do niej po przyjeździe do Budapesztu. Podała numer telefonu oraz adres budynku, w którym pracowała.

Siedząc w kafejce, Tomasz zamówił colę i wszedł na Facebooka. Bezmyślnie przeleciał wpisy na tablicy, generowane przez nieliczne grono jego znajomych z pracy. Linki do śmiesznych filmików na YouTube, sentymentalne teledyski z lat 80. i idiotyczne statusy – co się akurat zjadło, zrobiło, powiedziało. Inna rzeczywistość, odległa o lata świetlne od problemów Tomasza. W okienku wyszukiwania wklepał „Emese Nagy”.

Wyskoczyło kilkanaście wyników. Przeglądał kolejne profile, aż wreszcie trafił na właściwy. Nie miał wątpliwości, że trafił właściwie. Czarne, krótko



obcięte włosy, czarne oczy i świdrujące spojrzenie, zbyt przenikliwe, zbyt inteligentne, by było ludzkie.

Taka Emese Nagy na Facebooku była tylko jedna.

Dokładnie obejrzał profilową fotografię (do pozostałych nie miał dostępu), zapamiętując jak najwięcej szczegółów – pieprzyk ponad górną wargą, charakterystyczną krzywizną półuśmiechu. Pogugłował dalej.

Komisariat, w którym pracowała Emese, znajdował się przy placu Erzsébet tér, kilka minut szybkim krokiem od dawnego lokum Tomasza i Ewy, mieszkania, w którym poczęła się Alicja i spędziła pierwsze lata autystycznego życia. Tomasz przed laty wielokrotnie przechodził obok ponurej pięciopiętrowej kamienicy, jednak nigdy nie skojarzył, że właśnie tam znajduje się komenda policji, choć wiele razy bezmyślnie gapił się na węgierskie napisy ozdabiające fasadę budynku.

W nocy spał bardzo kiepsko, rwanym snem, wszystkiego może trzy godziny. Wstał z samego rana, wymeldował się z hotelu i pojechał do miasta. Zostawił samochód na parkingu hipermarketu na obrzeżach i do centrum dostał się autobusem. Przed południem włóczył się bez celu po ulicach kipiących od turystów i żył wspomnieniami.

Znów wszystko wróciło.

Kupił na wynos śmierdzące ostrym sosem żarcie w budce prowadzonej przez Turków i ze styropianowym pojemnikiem i plastikowym widelcem usiadł na ławce przed komendą policji, wypatrując Emese. Miał świadomość ryzyka, ale uznał, że zamiast dzwonić, woli od razu spotkać się twarzą w twarz.

Pojawiła się po trzech godzinach czekania – kilka minut przed szesnastą. Słońce wisiało wysoko ponad wieżami peszteńskich katedr i dachami kamienic, Budapeszt był taki, jakim zapamiętał go sprzed lat – dynamiczne miasto rozkwitające życiem każdego popołudnia, kiedy ludzie wylewają się z biur na spieczone ulice, piją tokaj w milionie kawiarenek, dyskutują do późnej nocy, wracając do domów ostatnimi trolejbusami przeciskającymi się przez ciasne ulice.

Oto ona.

Emese Nagy.

Nie miała na sobie munduru, jak podświadomie oczekiwał Tomasz, lecz białą bluzkę, spódniczkę zasłaniającą kolana i niewysokie szpilki. Do boku przyciskała torbę z laptopem. Szybko zbiegła po schodach, wymieniając pozdrowienia z grupką facetów palących papierosy przed budynkiem.

Tomasz poderwał się z ławki, cisnął do śmietnika styropianowe opakowanie z niedojedzonym obiadem i butelkę coli. Na początku szło bardzo łatwo. Maszerując ruchliwym bulwarem Károly körút w potokach spieszących się przechodniów, Tomasz nie musiał się specjalnie wysilać, by pozostać niezauważonym przez policjantkę. Kiedy Emese skręciła w Wesselényi útca, jej tropiciel zaczął się niepokoić. Dziewczyna kierowała się do dzielnicy żydowskiej, miejsca, gdzie przed laty Tomasz wynajmował mieszkanie. Czyżby byli wówczas sąsiadami? Turyści zwykle omijali te kilka kwartałów, z jednej strony odciętych handlową ulicą Andrássyego, a z drugiej wiecznie ruchliwą Rákóczi útca. Najczarniejszy scenariusz szybko zaczął się realizować. Emese przeszła wzdłuż muru synagogi, a potem skręciła w ocienioną ulicę i zniknęła w wąwozie wielopiętrowych kamienic. Tomasz zatrzymał się przed zakretem, dotknął dłonią chłodnego muru. Spojrzał na zegarek, odczekał trzydzieści sekund. I ruszył w pogoń za Emese.

Uliczka była pusta.

Nie widział nikogo – ani policjantki, ani żadnego przypadkowego przechodnia, pobożnego Żyda w drodze do synagogi ani młodego garniturowca z pobliskiego biura PricewaterhouseCoopers. Rozejrzał się trwożnie.

Coś było nie tak, ale nie potrafił powiedzieć co. Ze ścian kamienic patrzyły na niego groźne płaskorzeźby, strzelały spojrzeniami wyłupiastych oczu, szczyrzyły zęby obnażone w nieludzkich grymasach pomiędzy ironicznym uśmiechem a nieuchronną eksplozją destrukcyjnej furii. Czuł się nieswojo. Szedł, trzymając się prawej strony chodnika – gdyby mógł, przytuliłby się do muru i w ten sposób posuwał do przodu, ukrywając się w cieniach wystawowych markiz i daszków ponad klatkami schodowymi.

Chwilę potem wszystko zadziało się zbyt szybko, by mógł ogarnąć i przeanalizować porządek wypadków. Kiedy znalazł się na wysokości obszczonej bramy, prowadzącej w głąb mrocznego podwórka kamienicy, z wnętrza wystrzeliły dwie dłonie i wciągnęły go do środka. Nie widział napastnika. Próbował się bronić, ale nie miał jak. Nieznajomy pewnie objął

przegub jego dłoni i boleśnie wykręcił ją na plecach. Drugą ręką chwycił Tomasza za włosy i pchnął głową prosto na mur.

W ostatniej chwili dłoń napastnika wyhamowała. Tomasz dotknął policzkiem chropowatego muru. Był przyjemnie chłodny.

— Emese Nagy — wysapał.

— To ja — odpowiedział kobiecy głos po angielsku.

— Zostaw mnie.

— Jeden głupi ruch, a złamię ci rękę.

— Wezwałaś już posiłki? Czekamy na policję?

— Nie. Chcę pogadać. Nie zrobisz nic głupiego?

— Obiecuję.

Emese zwolniła uścisk, a Tomasz odepchnął się od ściany, jakby ta była pod napięciem. Policjantka spięła się do skoku, gotowa do walki. Niepotrzebnie. Tomasz przycisnął ręce do ciała i zgarbił się nieporadnie.

— Chcę z tobą porozmawiać — zaczęła dziewczyna. — Znam tutaj miłą knajpkę, niedaleko synagogi.

— O wszystkim wiesz?

Skinęła.

— Dlaczego to robisz? — zapytał Tomasz kwadrans później, kiedy moczył usta w zimnym piwie, patrzył na sieć trakcji trolejbusowej, iskierki w oczach Emese i próbował dociec, jaki plan wykluwa się w jej głowie.

— Co?

— To wszystko.

Po chwili wahania z jej strony, kiedy nie doczekał się odpowiedzi, uzupełnił:

— Zabiłem w Polsce człowieka, a ty zapraszasz mnie do knajpy. To jest dziwne. Jesteś policjantką. Powinnaś wezwać kumpli po fachu, niech mnie skują i wpakują do aresztu, a ty zadzwonisz wtedy do swojego przyjaciela, Wojciecha Elmara, i razem odtrąbicie kolejny spektakularny sukces. Tym razem Elmar powinien dostać jakieś wyróżnienie. Zamknij sprawę w trzy dni.

— Nie — odpowiedziała krótko i dosadnie. Zmrużyła oczy. — Nie zrobię tego.

— Dlaczego? Co będzie dalej?

— Może chcę ci pomóc? — Mechanicznie sięgnęła po kieliszek, myślami była gdzieś daleko, niczym szachista, który nie zastanawia się nad najbliższym ruchem, lecz planuje grę na kilkadziesiąt posunięć do przodu.  
— Gusztav Borbély.

— Co z nim?

— Jest moją obsesją. Mam pomysł, jak się do niego dobrać, ale nie mogę go zrealizować, ponieważ pomysł nie jest do końca legalny. A jest ryzykowny. Dlatego potrzebuję pomocy kogoś takiego jak ty.

— Jesteś gotowa współpracować z mordercą, by dorwać Borbély'a? Jeśli to wyjdzie na jaw, twoja kariera będzie skończona.

— Nie znasz mnie.

— A co z Elmarem? Przecież w Polsce na pewno stają na głowie, aby mnie znaleźć.

— On nie musi o wszystkim wiedzieć. Wchodzisz w to?

Tomasz odchylił się od kawiarnianego stolika i spojrzał w niebo. Czy osiem lat temu, kiedy przesiadywał z Ewą w tych samych kawiarenkach i pił kawę, zajadając się ciastkami ze słodkim śmietankowym kremem, pomyślałby, że znajdzie się w tym samym miejscu, postawiony przed podobną alternatywą? Czy jednak w ogóle miał wybór?

— Wchodzę. Opowiedz mi więcej.

Na twarzy Emese nie drgnął nawet jeden mięsień. Nie spodziewała się innej odpowiedzi.

— Nie tutaj. Potrzebujemy bardziej dyskretnych warunków. Masz gdzie spać?

— Mam.

— Gdzie?

— Coś znajdę.

— Możesz spać u mnie. Mam dużo miejsca i wolę mieć cię pod kontrolą. Córka spędza z babcią wakacje nad Balatonem. Odwiedzam je co dwa tygodnie.

— A mąż?

— Nie mam męża. Zostawił nas dwa lata temu.

Dopili i Emese uregulowała rachunek. Nie rozmawiali dużo, Emese pytała o błahostki, ale bardziej w celu podtrzymania konwersacji niż naprawdę zainteresowana odpowiedziami. Metrem przejechali pod Dunajem i wysiedli w Budzie, niedaleko hotelu Marriott. Emese miała przestronne, jasne mieszkanie w kamienicy; cztery pokoje, ponad sto metrów kwadratowych.

— Masz jakieś ubrania na zmianę? Szczoteczkę do zębów, kosmetyki?  
— zreflektowała się, ściągając w korytarzu buty.

— Zostały w samochodzie. Pod Tesco, na wjeździe od strony lotniska.

— Potem cię zawiozę. Poczekam, aż wino wyparuje mi z krwi. Wolę, żeby mnie zgarnęli za kolaborację z mordercą niż jazdę po pijaku. — Po ustach dziewczyny przewędrował cień uśmiechu. — Zrobie coś do jedzenia. Rozgość się.

Salon urządzony był na ponowoczesną, minimalistyczną modłę. Gołe dębowe panele, zestaw kina domowego 5+1, głośniki z zaokrąglonymi kantami, stylizowane na lata 50., plazmowy telewizor z ekranem niewiele mniejszym od kinowego, obita czarną skórą kanapa i fotele.

— Nieźle ci się powodzi — skomentował Tomasz, stąpając pomiędzy domowymi sprzętami, z przesadną ostrożnością, jakby zwiedzał muzealną ekspozycję. — Tak tu dobrze płacą w policji? Zupełnie inaczej niż w Polsce. Przynajmniej można tak wnioskować z tego, co mówi Elmar.

— Płacą lichy. — Emese uchyliła okno i do pokoju wdarł się gwar pobliskiej ulicy, warkot samochodowych silników, dzwonek tramwaju. — Mąż przyzwoicie zarabia i sąd przywalił mu konkretne alimenty. Radzę sobie. Lubisz jajecznicę?

Skinął głową.

— Będzie na ostro. Po węgiersku.

Policjantka zniknęła w kuchni, Tomasz kontynuował wędrówkę po dużym pokoju, aż wreszcie go olśniło. Coś się nie zgadzało, podświadomie wyczuwał, że coś tu nie gra, jest nie w porządku. Nigdzie nie widział zabawek: lalek, samochodzików, kredek, klocków i układanek z bohaterami japońskich filmów animowanych.

— Ile lat ma twoja córka? — Staął w drzwiach kuchni.

— Cztery. Dlaczego pytasz?

— Nie kupujesz jej zabawek?

— Nie znoszę tego. — Węgierka uniosła na krótką chwilę spojrzenie znad patelni, na której rozgrzewała olej. — Kiedy tylko mała wyjechała do babci, wszystko sprzątnęłam i upchnęłam w jej pokoju. Tam. — Wskazała zamknięte drzwi. — Nie jestem chyba dobrą mamą. Mam za mało cierpliwości. Nie zrozum mnie źle, bardzo kocham córkę, ale potrafię sobie wyobrazić alternatywny scenariusz, w którym nie mam dziecka. Ono nie jest moim życiowym celem.

Wbiła na patelnię pierwsze jajko.

— Zjemy, a potem pojedziemy po twoje rzeczy i samochód.

Drugie.

— Pogadamy, jak wrócimy. Mam ci sporo do opowiedzenia.

Jajko trzecie i czwarte. W jej ruchach była płynność i precyzja, która powodowała, że Tomasz nie mógł oderwać od kobiety wzroku. Stał i patrzył jak zahipnotyzowany.

Do kolacji Emese wyciągnęła z lodówki colę. Była lodowata i bąbelki mile łaskotały podniebienie, nie dało się jej wypić dużo jednym haustem.

Potem pojechali po samochód Tomasza. Policjantka dobrze знаła drogę i prowadziła bardzo pewnie, nagminnie przekraczając prędkość. O dwudziestej pierwszej Budapeszt był wyludniony, jakby mieszkańcy miasta padli ofiarą epidemii.

Nie rozmawiali. Policjantka jeździła škodą octavią, biały samochód pachniał nowością i Tomasz nie mógł się pozbyć wrażenia, że Emese doskonale pasuje do wnętrza: zbyt perfekcyjna, zbyt idealna, zbyt wypieszczona przez designerów, jak każdy wart kupę kasy nowy gadżet chwilę po wyjęciu z pudełka.

Centrum handlowe zamykano o dwudziestej i teraz na parkingu stały jedynie pojedyncze samochody.

— Pamiętasz, gdzie się ustawileś?

Tomasz pokręcił głową.

— Idź, poszukaj i przyjedź tutaj. Tylko mi nie ucieknij. Zbyt dużo zaryzykowałam, żeby teraz wszystko stracić.

Policjantka wyszła z samochodu i zapaliła papierosa. Zachodziło słońce i pomarańczowe promienie oświetlały jej twarz, pewną siebie i zaciętą. Strząsała popiół na beton. Co w niej siedziało?

Tomasz szukał odpowiedzi, kiedy potem jechał za jej škodą, trzymał się zderzak w zderzak, zatrzymywał na światłach i dodawał gazu na dwupasmowych jezdniach. Rozważał trzy scenariusze:

1. Emese Nagy, jaką wyobraził sobie z nocnej opowieści Elmara. Młoda, zdolna i chorobliwie ambitna. Borbély jest jej jedynym nierozwiązanym problemem, skazą na reputacji, plamą na honorze. Aby przeciąć ten wrzód, posunie się do wszystkiego, złamie służbowy regulamin, pójdzie na współpracę z mordercą. To od niej silniejsze. Zawsze musi zwyciężać. Za wszelką cenę.

2. Emese Nagy – idealistka wychowana na policyjnym kinie, filmach dla chłopaków o mścicielach z wielkomiejskich dżungli, którzy wymierzają sprawiedliwość w pojedynkę i na własną rękę. Brudny Harry, Frank Castle, Bronson w *Życzeniu śmierci*. Figura samotnego ojca, poszukującego porywacza nieuleczalnie chorej córki, działa na wyobraźnię dziewczyny i jest na tyle porywająca i zmitologizowana przez popkulturę, że policjantka nie potrafi jej się oprzeć. Dlatego decyduje się udzielić mu pomocy.

3. Emese Nagy ma z Gusztavem Borbélyem porachunki osobiste. Istnieje coś, jakaś przedawniona krzywda, nigdy niezabliźniona rana, co powoduje, że Emese jest w stanie położyć na szali całą karierę, a nawet przekroczyć granicę prawa. Nie ma w tym żadnych emocjonalnych uniesień, porywów serca. To działanie na wskroś racjonalne, efekt chłodnej logicznej kalkulacji. By w końcu się zemścić.

Wieczorem okazało się, że nie pomylił się za bardzo.

\* \* \*

Do mieszkania Emese wrócili po dwudziestej pierwszej. Było już ciemno, zapowiadała się gorąca noc. Na chodniku Tomasz nie znalazł wolnego miejsca i zaparkował na wewnętrznym dziedzińcu kamienicy. Jego walizka nie była ciężka i nie musiał używać kółeczek.

— Mało masz rzeczy — skomentowała policjantka. Było to coś pomiędzy stwierdzeniem faktu a pytaniem. — Ja nie potrafię spakować

walizki, nawet jak wyjeżdżam na dwa dni. Wszystko się może przydać, nie potrafię z niczego zrezygnować.

— Nie miałem zbyt wiele czasu. Kupuję na bieżąco — wytłumaczył.

W mieszkaniu panował zaduch, czuć było zapach smażonych jajek, wilgoci i zgnilizny starych murów. Policjantka otworzyła na oścież wszystkie okna, ale niewiele to zmieniło. Powietrze stało w miejscu, ciężkie jak teatralna kurtyna. Emese wyciągnęła z lodówki tokaja. Rozlała do dwóch głębokich kieliszków. Na przezroczystej tacy przyniosła wielką kiść winogron obłożoną plastrami camemberta. Rzuciła na kanapę paczkę papierosów i zapalniczkę.

— Możesz palić, nie krępuj się. Kiedy nie ma córki, pozwalam sobie na więcej.

Rozsiedli się w skórzanych fotelach i dziewczyna zaczęła opowiadać.

Urodziła się tutaj, w Budapeszcie, w 1977 roku. Jej matka była nauczycielką w podstawówce, a ojciec inżynierem w państwowym zakładzie radioelektronicznym. Miała brata, Gabora, młodszego od siebie o trzy lata. Rodzice nigdy nie lubili komunistów. Poznali się na studiach, oboje wywodzili się z inteligentnych rodzin, które żyły w wiecznym cieniu powstania '56, i chociaż od tamtych wydarzeń upłynęło przeszło ćwierć wieku, nie potrafili pogodzić się z porażką. Przynależność do podziemia antykomunistycznego była dla nich czymś oczywistym. Na studiach odbijali na powielaczach antysystemowe gazetki, czytali zakazane książki, dyskutowali o upadku powstania, spowici gęstym papierosowym dymem.

Po narodzeniu Emese matka wycofała się z działalności opozycyjnej i wróciła do normalnego życia skromnej nauczycielki, żywotu bezpiecznego i stabilnego, w koleinach rodzinnej rutyny. Wieczorami, kiedy już zrobiła wszystko w domu i dzieci poszły spać, siadała przy lampce w kuchni i sprawdzała wypracowania, zakreślając błędy czerwonym długopisem. Ojciec z przeszłością nie zerwał. Często znikał wieczorami, Emese nie wiedziała, o której wracał, ale doskonale wyczuwała nastrój, jaki panował wówczas w domu. Matka tego nie znosiła i wiecznie robiła ojcu wymówki. Dopiero po latach Emese uświadomiła sobie, o czym rozmawiali długimi nocami, przesiadując w kuchni, kiedy matka oderwała się wreszcie od poprawiania klasówek.



Gdy Emese miała siedem lat, stało się coś, czego nie potrafi zrozumieć do dzisiaj. Mieszkali wtedy w trzypokojowym mieszkaniu na Síp útca, ona z bratem w jednym pokoju, rodzice w drugim, w salonie jedli obiady i oglądali telewizję. Pewnego dnia, w samym środku gorącego lata, zawitał do nich niezwykle gość. Amerykanin. W powietrzu wisiało coś nieprzyjemnego, dziwne napięcie. Emese miała poczucie obcowania z czymś szalenie ważnym, ale z dziecięcej perspektywy zupełnie niezrozumiałym. Dziewczynka wolała wtedy unikać ojca, który chodził podminowany, łatwo wpadał w złość i krzyczał. Wszystko toczyło się zbyt szybko, by mała Emese potrafiła to ogarnąć.

Ojciec wyszedł z mieszkania w towarzystwie Amerykanina i kilku kolegów. Wśród nich był Stefan, młody działacz opozycji, który wtedy nie miał jeszcze osiemnastu lat.

Wrócili wszyscy, z wyjątkiem jej ojca.

Amerykanin miał ranę na policzku, Emese zapamiętała, jak przyciskał do niej nasiąkniętą czerwienią chusteczkę, ale niezwykle jasna krew przeciekała przez rozczapierzone palce. W mieszkaniu natychmiast wybuchła panika, pojawiło się mnóstwo kolegów taty, większość z nich dziewczyna kojarzyła z widzenia. Wkrótce przyszedł jeszcze ktoś, drugi Amerykanin, rozmawiali podniesionymi głosami, gestykulowali, kłócili się, aż wreszcie wszyscy zniknęli, zabierając ze sobą rannego.

A ojciec już nigdy nie wrócił.

Kiedy była mała i pytała o to mamę, ta odpowiadała: „Tatuś musiał wyjechać w pilnej sprawie. Wróci do nas, wkrótce wróci”, i głaskała córkę po głowie.

Znacznie później, w roku osiemnastych urodzin, Emese ponownie powróciła do tego tematu.

— Nie pytaj mnie o to, co stało się z twoim ojcem — usłyszała. — Bo sama tego nie wiem. Próbowałam się dowiedzieć, ale wokół sprawy panuje zmowa milczenia. To coś śmiertelnie poważnego. Nie dotykaj tego.

Emese nie chciała dać za wygraną i postanowiła, że rozwikła tę zagadkę, choćby miała się tym zajmować do końca życia. Zrozumiała, że jeśli nie dowie się, co stało się z jej ojcem, nigdy nie pozna prawdy o sobie – dlatego stała się właśnie taka, jaka teraz jest. Co ukształtowało jej prywatną historię?

W czasie, kiedy Emese zaczynała naukę na uniwersytecie, udało jej się nawiązać kontakt ze Stefanem — chłopakiem, który w ów feralny letni poranek wyszedł z mieszkania ramię w ramię z jej ojcem, Lászlem Nagyem. Stefan zaczynał czwartą dekadę życia, był wziętym działaczem Fideszu, wszyscy mówili, że przy następnych wyborach ma zagwarantowane miejsce w Országgyűlés. Wpadła mu w oko. Czasami rano, zanim jeszcze wyszła z domu, do drzwi pukał kurier z przesyłką – kwiatami od Stefana.

Chętnie umawiała się z nim na randki, pili czerwone wino na Baszcie Rybaka i wracali potem do Pesztu mostem Łańcuchowym, powoli, krok za krokiem, patrząc na sunący w dole Dunaj. Związek kwitł tak długo, jak długo Stefan nie przejrzał zamiarów Emese. Dziewczyna nigdy się nim nie interesowała, chodziło jej wyłącznie o tajemnicę ojca. Traktowała pocziwego Stefana, zdolnego polityka, który przyjaźnił się z Orbánem, jako klucz do rozwiązania zagadki trapiącej ją od dzieciństwa. Niestety, Stefan nie miał zielonego pojęcia, jakie były dalsze losy Lászla po zatrzymaniu przez komunistycznych funkcjonariuszy. Kiedy Emese nabrała co do tego pewności, zakończyła związek.

Emese się nie poddała. W momencie otwarcia Archiwów Historycznych Węgierskiego Bezpieczeństwa Państwowego złożyła odpowiednie wnioski. Decyzja zapadła szybko i dziewczyna wkrótce zstąpiła pomiędzy regały od podłogi po sufit zastawione sznurowanymi teczkami i segregatorami. W archiwum pachniało pleśnią i smród kręcił w nosie, policjantka nie mogła się powstrzymać od kichania.

Materiałów nie było wiele. Bezpieka nigdy szczególnie nie interesowała się Lászlem Nagyem. Jego sprawę prowadził młody urzędnik w III Departamencie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Gusztav Borbély.

Gusztav Borbély. Wtedy zetknęła się z nim po raz pierwszy.

W lipcu 1984 wydarzyło się coś, co w papierach figurowało pod kryptonimem operacyjnym „Sasza”. Jej ojciec został zatrzymany przez policję, ale sprawę przekazano Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i László trafił w ręce Wydziału XVI, jak głosił wypisany na maszynie świstek wpięty w akta. Potem wszelki ślad po nim ginął.

Problem polegał na tym, że Wydział XVI nigdy nie istniał. Emese pielgrzymowała po historykach specjalizujących się w dziejach Węgierskiej Republiki Ludowej, działaczach opozycji komunistycznej, byłych

pracownikach aparatu bezpieczeństwa, z którymi rozmawiała na piaszczystych plażach Balatonu lub w Budapeszcie, na Wzgórzu Gellerta, gdzie mężczyźni przesiadywali na ławeczkach, przeglądając gazety chwilę po wyjściu z łaźni termalnych. Każdy z nich, słysząc o Wydziale XVI, w najlepszym razie kręcił z niedowierzaniem głową, a w najgorszym – pukał się w czoło.

Każdy, z wyjątkiem Jánosa.

Nigdy nie zdradził jej swojego prawdziwego nazwiska ani nawet imienia. Był zdrowo po osiemdziesiątce, ale trzymał się nadzwyczaj dobrze. Pamiętał czasy Államvédelmi Hatóság, wrywanie paznokci i obozy pracy przymusowej dla wrogów systemu. Emese wołała nie pytać, co robił w listopadzie '56 roku, wyobrażając sobie, jak dziarski staruszek zajmuje pozycję w gnieździe karabinu maszynowego i długimi seriami, z sadystycznym uśmiechem na ustach, pruje do powstańców.

W trakcie długiej kariery w aparacie bezpieczeństwa János wspiał się naprawdę wysoko. Po '89 odszedł na zasłużoną emeryturę, którą spędzał, grając w warcaby z innymi emerytami. Na spotkanie Emese założyła mundur. Ktoś jej tak poradził i była to trafna rada. János lubił młode dziewczyny, a zwłaszcza młode dziewczyny w uniformach. Oczywiście nie zamierzał zdradzić jej szczegółów akcji, chociaż je znał. A przynajmniej Emese dałaby sobie za to uciąć rękę – stary dziad musiał wiedzieć znacznie więcej, ale związany został przysięgą milczenia i w konfrontacji z dziewczyną rzucał tylko ogólnikami.

— Lata pani często samolotami? — zapytał. — Kiedy jest pani na lotnisku, czy zdarzyło się kiedykolwiek, że przez głośniki wywoływali pana Dobosa do odprawy celnej? — kontynuował, nie czekając na odpowiedź. — To jest kod, proszę pani. System znaków, zrozumiały wyłącznie przez osoby wtajemniczone. Oznacza, ni mniej, ni więcej, tylko że w skanowanym bagażu jakiegoś delikwenta służby znalazły coś, co zdecydowanie nie powinno podróżować samolotem. Narkotyki, broń, może niebezpieczne środki chemiczne? Różne rzeczy. „Pan Dobos do odprawy celnej” to kod stawiający na nogi wszystkie służby porządkowe lotniska. Następnym razem proszę się rozejrzeć: trzydzieści sekund po ogłoszeniu komunikatu wszędzie zaroi się od policjantów z psami, a strażnicy będą nerwowo przestępować z nogi na nogę.

— Wydział XVI to identyczny kod. Słowo-klucz oznaczające coś szalenie tajnego, tajemnicę wagi państwowej, ale tajemnicę „prawdziwą”. — Palce obu dłoni wykonały gest zamknięcia ostatniego słowa w cudzysłowie. — W pracach służb specjalnych oczywiście wszystko jest tajne. Każdy kontakt operacyjny, raport, a nawet notatka z wewnętrznego spotkania. Pieczętka „tajne” przybijana jest rutynowo na każdym dokumencie. Wydział XVI to było jednak coś naprawdę tajnego, do czego dostęp miały wyłącznie wyselekcjonowane osoby. Hasło zamykało usta ciekawskim, ucinało każdą wątpliwość, nikt nic nie wiedział i o nic nie pytał.

— Pan był wtajemniczonym?

— Ja? Zajmowałem się przecież inwigilacją studentów drukujących nieprawomyślne ulotki. Gdzie mi do wielkiej polityki? — Roześmiał się.

— Czego dotyczyły sprawy podejmowane w Wydziale XVI? Żaden system nigdy nie jest szczelny. Jakież plotki musiały przecież chodzić.

— Plotki, jasne, ale kto wierzy plotkom? Najgoręcej było w połowie lat 80. Wojna atomowa wisiała w powietrzu, proszę pani, rakiety SS-20 mierzyły w zachodnie metropolie. Więcej plotek nie słyszałem.

To był jedyny punkt zaczepienia. Czym zajmował się jej ojciec, że znalazł się na celowniku elitarnego Wydziału XVI? Czym na to zasłużył? Jedno Emese wiedziała teraz na pewno: otarł się o coś wielkiego, co przerosło go milion razy.

Czy János miał coś do powiedzenia o Gusztavie? Pamiętał go sprzed dwudziestu pięciu lat: młody chłopak, świeżo po szkole średniej, rwał się do pracy, miły dla wszystkich. Ale miły tak normalnie, po ludzku, nie wydawał się przykładem cwane go skurwysynka, jacy dominowali w służbach. Trochę nadgorliwy, ze wszystkimi próbował żyć dobrze, wszystkim robić przysługi i wcale mu to na zdrowie nie wyszło. W służbach zawsze są stronnictwa, silne koterie, i musisz iść w jedną albo drugą stronę. Gusztav próbował stać w rozkroku, co nigdy nie kończy się dobrze. Zniknął w okolicach roku '88. Szło nowe i kto miał głowę na karku, nie czekał na nieuchronne, tylko spierdalał ile sił w nogach. Dokąd poszedł Gusztav – János nie wiedział.

Po tym wszystkim Emese praktycznie pogodziła się z porażką i nauczyła żyć ze świadomością, że zagadki zaginięcia ojca nigdy nie rozwikła.

Przełom nastąpił trzy lata temu.

Policjantka prowadziła sprawę napadu na bank. Plan był rozegrany mistrzowsko, w starym stylu. Dziewczyna nie potrafiła się nadziwić: kto w dzisiejszych czasach rabuje banki w ten sposób? W XXI wieku, kiedy można siedzieć wygodnie przed komputerem i kilkoma kliknięciami przelewać miliony forintów, czyszcząc konta nieświadomych frajerów. Kto w dobie wszechobecnych kamer telewizji przemysłowej i danych osobowych dostępnych na wyciągnięcie ręki wchodzi do banku z pistoletem w dłoni, terroryzuje obsługę, wybiega na ulicę z workami pieniędzy, wsiada do nieoznakowanej furgonetki i odjeżdża w siną dal?

Policja dysponowała jedynie nagraniem wideo z kamery filmującej wejście do banku. Brak dźwięku i kiepska rozdzielczość. Twarze nagrały się słabo, policyjni magicy robili, co się dało, czyszcząc obraz z ziarna, ekstrapolując piksele, robiąc inne rzeczy, w obliczu których Emese potrafiła tylko kiwać głową, udając, że cokolwiek z tego rozumie. Wkrótce dysponowali portretami sprawców. Rozesłali je po całym kraju, pokazali w telewizji i wydrukowali w gazetach.

Zero odzewu.

Aż wreszcie ją olśniło. Spędzała właśnie kolejną noc, analizując obraz wideo, przewijając bezustannie taśmę. Coś było nie tak. Coś się nie zgadzało. Sposób, w jaki jeden z napastników poruszał ustami. Dziwne ruchy ręką drugiego, z tyłu głowy, jakby próbował naciągnąć sobie skórę.

Maski.

Wykonane perfekcyjnie gumowe odbicia twarzy, pozwalające ukryć prawdziwą tożsamość.

Szef Emese wezwał skądś eksperta – kobietę, która wyglądała, jakby urwała się z narkotycznej orgii w komunie hippisów. Miała na sobie obszerną spódnicę w jaskrawe kwieciste wzory, identyczną kamizelkę narzuconą na bufoniastą białą koszulę i pachniała marihuaną. Podobno była jedną z najlepszych specjalistek od charakteryzacji na całych Węgrzech. Pracowała przy filmach, malując aktorom podkrążone oczy, kładąc zaschniętą sztuczną krew na policzkach, imitującą prawdziwe rany.

— Lateksowe maski — powiedziała, kładąc palec na przycisku pauzy. — Zawodowa robota. Popytam, gdzie trzeba. To mały świątek, wszyscy się znają. Odezwę się, kiedy coś ustalę.

Zadzwoniła do Emese tydzień później. Podobno kilka miesięcy temu wśród charakteryzatorów kręcił się dziwny człowieczek, wypytując o różne rzeczy, w tym lateksowe maski. Nie wyglądał na filmowca, choćby i amatora, kręcącego niskobudżetowe horrory o inwazji zombie na centra handlowe czy ekstremalne porno – popyt na charakteryzatorów w tej branży był zaskakująco duży.

Ktoś go znał, komuś się przedstawił, innemu zostawił wizytówkę, a na niej numer telefonu z kartą SIM w systemie prepaid. Po nitce do kłębka i Emese systematycznie rozpracowała sprawę. Za przekrętem stał trzyosobowy gang, starzy znajomi policyjnych archiwów.

Pierwszego dopadli na mieście. Wszystko poszło inaczej niż zwykle. Policjanci obstawili mieszkanie faceta, chcieli go capnąć, kiedy wróci do domu. Emese ulicę dalej siedziała ubrana po cywilnemu w nieoznakowanym samochodzie. Facet wyniuchał, co się święci, może zawiadomili go sąsiedzi, zdziwieni wysypem tajniaków kręcących się po podwórku i klatce schodowej. Tego nie udało się ustalić, ale podejrzany odwrócił się na rogu ulic na pięcie i zaczął maszerować szybkim krokiem, byle dalej od policyjnej pułapki. Pech chciał, że jego marszruta prowadziła obok samochodu Emese. Dziewczyna odczekała chwilę i wezwała przez krótkofalówkę posiłki, po czym sama ruszyła w pościg, ignorując rady kolegi, by nie chojraczyła, w końcu w domu czeka na nią małe dziecko.

Dorwała go za zakrętem. Próbował uciekać i wbiegł do opuszczonej kamienicy przeznaczonej do rozbiórki. Starli się na pierwszym piętrze, w zdewastowanym pokoju, którego jedynym wyposażeniem był piec kaflowy. Emese szybko obezwładniła przeciwnika i docisnęła kolanem do ziemi.

Facet był zdziwiony, że wpadł tak szybko. Panikował i nie potrafił tego ukryć. Policjantka postanowiła zdyskontować przewagę.

— Gadaj! — wysyczała. — Nazwiska twoich kumpli.

— Kurwa. — Przestępca wypluł pigułę śliny przemieszanej z piaskiem. — Borbély zdradził. Nie ufałem mu od samego początku.

— Coś ty powiedział? — W pierwszej chwili Emese pomyślała, że się przesłyszała. — Kto?

— Gusztav Borbély.

Poczuła się, jakby dostała udaru. Świat zawirował, pociemniało pod powiekami.

— Kim jest Gusztav Borbély?

— Jezu... — Facet jęknął; kolana dziewczyny wrzynały się coraz mocniej w łopatki. — Szukaliśmy kogoś, kto zrobi nam maski. Ktoś z branży dał kontakt na Borbélya. Jest świetny w tym fachu, a i nie ma cykora przed mokrą robotą. Dlatego go wzięliśmy do spółki. Napraszał się.

— Kto to jest? Ile ma lat?

— Nie wiem, ile ma lat. Z pięćdziesiątkę, czy coś. Może trochę mniej.

— Co robił w przeszłości?

— Mówił, że za komuny pracował w służbach.

Tyle wystarczyło. Emese poderwała się i wymierzyła mężczyźnie nieoczekiwanego kopniaka w brzuch. Z uderzonego zeszło całe powietrze, zwinął się w kłębek i wybałuszył oczy.

— Co ty robisz? — sapnął. — Przekraczasz uprawnienia. Będziesz miała kłopoty.

— Powiem, że stawiałeś opór. Komu uwierzą? — Emese ponownie zamachnęła się, ale w ostatniej chwili stopa, obuta w solidny skórzany but, wyhamowała. Podejrzany skulił się odruchowo, dziewczyna nie potrafiła powstrzymać wesołości.

— Umówimy się. — Kucnęła obok niego. — Nie powiesz nikomu o Borbélyu. Udawaj, że nie wiesz, jak się ten człowiek nazywał. A nasza rozmowa nigdy się oczywiście nie odbyła. Twoich pozostałych kolegów o to też poproszę. Bez obaw. Wiesz już, że potrafię być przekonująca. — Uśmiechnęła się bardzo słodko, niewinnie, i z tym wyrazem twarzy dziecka wyglądała naprawdę potwornie.

Wkroczyły posiłki. Trzech mundurowych, w dłoniach ściskali odbezpieczoną broń.

— Emese, Emese, nic ci się nie stało, Emese?

— Jestem cała. — Dziewczyna wyprostowała się. Wskazała przestępcę niechętnym ruchem głowy. — Milczy jak grób.

Potem policjantka odwiedziła zatrzymanego w celi i odbyła z nim długą rozmowę.

Chociaż Borbély starał się chronić swoją tożsamość, kilka szczegółów kolegom wychlapał, zwłaszcza kiedy świętowali udaną akcję i wypili za dużo. Z tych strzępów informacji Emese ułożyła poszukiwany przez nią obraz. A więc: Borbély rozpoczął karierę zawodową na początku lat 80. w III Departamencie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Do jego obowiązków należała inwigilacja środowisk opozycyjnych. Po upadku żelaznej kurtyny nie przeszedł weryfikacji i został bez roboty. Nie na długo. Chwilę później wyjechał do Stanów. Chwalił się, że miał jakichś znajomych, same szyszki, nie chciał mówić o nich więcej, ale to oni załatwili mu wizę i pozwolenie na pracę. Związał się z branżą filmową, zajmował się charakteryzacją. Tam nauczył się robić lateksowe maski. Na Węgry wrócił pod koniec lat 90. i wtedy wkroczył na przestępczą ścieżkę. Sporo kasy zarobił, inwestując na giełdzie, ale to mu nie wystarczało. Chciał więcej.

Z początku działał na własną rękę, zaczynał od drobnych wykroczeń, głównie przekrętów bankowych, wyłudzenia pożyczek i ubezpieczeń. Już wówczas miał szerokie portfolio osobowości i z czasem coraz śmieiej je rozbudowywał. Jak tłumaczył po pijaku współnikom napadu: w takich sytuacjach najważniejsza jest kompletność i spójność. W różnych skrytkach porozsiewanych po całym Budapeszcie przechowywał około trzydziestu różnych tożsamości – trzydzieści twarzy i trzydzieści historii życia. W zależności od tego, jaki dokument wkładał do portfela, w nim samym zachodziła głęboka transformacja. Garbił się albo przeciwnie – kroczył wyprostowany jak struna. Modyfikował intonację głosu i akcent. Chodził o kulach, mrużył powieki niczym krótkowidz, próbując przeczytać numer nadjeżdżającego autobusu, w nerwowym tiku mrugał nieświadomie jednym okiem. Drobne, rozsypane gesty składały się w zaskakująco spójną całość. Gdyby wówczas zapytać Gusztava o dowolne wydarzenie z jego fikcyjnej przeszłości, zasypałby rozmówcę milionem detali, wspomnień z dzieciństwa, imionami nieistniejących wnuków.

Emese Nagy zaczęła dostawać paranoi na jego punkcie. Wróciła do dokumentacji dawno zapomnianych śledztw, odłożonych *ad acta*. Sprawcy nie wykryto, przestępstwo się przedawniło lub zaniechano działań. Kredyt na milion forintów zaciągnięty na podstawie fałszywego dokumentu tożsamości. Napad na furgonetkę wyładowaną kartonami papierosów. Nieudana próba szpiegostwa przemysłowego i wykradzenie dokumentacji przetargu. Za



każdym razem inny podejrzany. Inny portret pamięciowy, inna twarz uchwycona na monitoringu wideo. A jednak za każdym razem to on, tylko i wyłącznie on.

Gusztav Borbély.

Kameleon.

Dlaczego Emese nie wpadła na to wcześniej, nie potrafiła połączyć w całość poszczególnych elementów? Przecież z perspektywy czasu wydawało się oczywiste, że wszystkie zgromadzone przez nią przypadki należy przypisać do jednej osoby. Dlaczego nikt wcześniej o tym nie pomyślał?

Nie wszyscy podeszli do sprawy równie entuzjastycznie, jak policjantka. Jej przełożony ze spokojem zapoznał się z dokumentami. Starannie przeczytał każdą fiszkę i z uwagą kiwał głową. Potem zdjął okulary w rogowej oprawie i nieświadomie przygryzł zausznik.

Następne słowa były jak niespodziewany cios otwartą dłońią w policzek.

— Proszę dać sobie z tym spokój. To niemożliwe, aby ten, jak mu tam — zerknął w akta — Borbély był zaangażowany w takie mnóstwo spraw. Traci pani czas. To jest polecenie służbowe.

Emese dotarła do martwego punktu. Na komisariacie nikt nie uwierzył w jej odkrycia, a z czasem koledzy zaczęli negować istnienie samego Gusztava Borbély. Tym bardziej że na nagraniu wideo z włamania do banku było dwóch, a nie trzech ludzi w lateksowych maskach. Nic nie pomogły tłumaczenia, że trzeci gangster tak umiejętnie poruszał się po bankowym holu, że umknął uwagi systemu monitoringu. Nikt go nie widział, a jego wspólnicy, pomni na sugestywne prośby Emese – a może mszcząc się na niej w ten nieoczywisty sposób – milczeli jak zakłęci, pytani o Borbély.

Dziewczyna była bliska rezygnacji. Chciała rzucić wszystko w diabły, zapomnieć o sprawie, przestać zadrećcać się myślami o Borbélyu i tajemnicy zniknięcia ojca. Już-już pogodziła się z porażką, aż pewnego dnia odebrała nieoczekiwany telefon. Dzwonili z Francji, z Lyonu, z Sekretariatu Generalnego Interpolu.

Rozmówca przedstawił się jako Alain Leroy.

— Dowiedziałem się, że jest pani na tropie Gusztava Borbély.  
— W słuchawce dało się usłyszeć nutę dystansu.

— Kto panu o tym powiedział? — Emese zaczęła szybko oddychać.

— Byłem niedawno na konferencji w Bazylei, gdzie spotkałem pani szefa. Bardzo dobrze się o pani wyrażał. Wspomniał także o pani obsesji na temat Borbélya, geniusza zła, współczesnego Fantomasa, w którego istnienie on powątpiewał — zawiesił głos i pauza ciągnęła się nienaturalnie długo. — Pochichraliśmy się trochę przy kieliszku chardonnaya i wszystko byłoby pięknie, gdyby nie... — kolejna pauza, tym razem dłuższa — ... gdyby nie to, że jeszcze niedawno miałem podobną fiksację i niemal chwyciłem Borbélya za kołnierz.

Emese odebrało głos.

Francuski policjant opowiedział jej o swoim ciągnącym się wiele lat śledztwie. O mozolnym kolekcjonowaniu śladów, rekonstrukcji cząstkowych tożsamości, składaniu rozsypanych elementów w spójny obrazek. I ostatecznej konfrontacji, do której zaprzął wieloletniego przyjaciela Borbélya, człowieka mającego wobec węgierskiego przestępcy nieokreślone zobowiązania.

— Jestem pewien, że on tam był — rozkręcał się przez telefon Alain. — Szedł w tamtym tłumie, niemal się o niego otarłem, ale dał nogę w ostatniej chwili!

Potem wyznał, że za kilka tygodni odchodzi z policji, gdyż dostał intratną propozycję z „biznesu” – słowo to wypowiadał z nienaturalnym angielskim akcentem. Dlatego kończy się jego krucjata w poszukiwaniu Borbélya i ktoś musi przejąć po nim pałeczkę. Za chwilę wyśle jej komplet dokumentów, które powinny się okazać pomocne w dalszym śledztwie. Dzwoni właśnie po to; niech Emese się nie poddaje i dociągnie sprawę do końca. On już tego nie robi.

Po rozmowie z Alainem policjantka zaczęła pracować ze zdwojoną energią. Nabrała pewności, że Borbély istnieje, ma tysiące twarzy, trudni się przestępczym fachem i można go wynająć do brudnej roboty. Musiała go odnaleźć. Uznała, że da się go pokonać tylko wtedy, kiedy będzie się stosowało jego metody.

W papierach Leroya natknęła się na wzmiankę o jakimś Brandonie Ortedze. Był to ponoć dawny współpracownik Borbélya, z samych początków jego kariery przestępczej. Emese poszperała na jego temat w policyjnych

archiwach i trafiła na wzmiankę w wydziale... przestępstw gospodarczych. Sprawa była skomplikowana. Kilka lat temu Ortega pracował w Budapeszcie jako dyrektor zarządzający niewielkiego funduszu inwestycyjnego, do którego głównych udziałowców należała grupka niezłe dzianych facetów, prowadzących operacje na pograniczu szarej strefy. Niby wszystko było w jak najlepszym porządku, ale uwagę policji przykuła wyższa niż przeciętnie trafność decyzji podejmowanych przez fundusz.

— Właściwie oni nie robili niczego podejrzanego — tłumaczył zdziwionej Emese kolega z przestępczości gospodarczej. — Po prostu zarabiali pieniądze, inwestując w akcje spółek notowanych na BUX-ie, a to przecież nic złego. Nie mieliśmy się czego czepić, ale intuicja podpowiadała mi, że coś tu nie gra, coś się nie zgadza. Firma Ortegi podejmowała zbyt trafne decyzje. W inwestycjach kapitałowych jest jak w ruletce. Nieważne, jak zajebicie dobry jesteś, ile wiesz o analizie technicznej i fundamentalnej – i tak liczy się fart. W długim okresie nie możesz bez przerwy wygrywać, ale nie możesz też wciąż przegrywać i idziesz w miarę równo z rynkiem, czasami powyżej trendu, czasami poniżej, co finalnie się balansuje. Statystycy mówią o prawie regresji do średniej. Jeśli dzisiaj poszło ci lepiej, jest duże prawdopodobieństwo, że jutro pójdzie ci gorzej i wrócisz na średnią ścieżkę. Problem polegał na tym, że Brandona Ortegi prawo powrotu do średniej jakby nie obowiązywało. Systematycznie, przez wiele lat, miał wyniki powyżej średniej dla rynku. Niedużo powyżej, ledwie trzy–cztery procent, ale zadziwiające było, że ta dobra passa trwa i nie chce się skończyć. Jakby oszukiwał podstawowe prawa statystyki i rachunku prawdopodobieństwa. Nadzorowi finansowemu w takim momencie od razu zapala się żółta lampka: czy wszystko jest uczciwe i czy w decyzjach ktoś nie pomaga, na przykład nazbyt gadatliwy dyrektor finansowy zaprzyjaźnionej firmy, który puszcza parę z gęby na dzień przed opublikowaniem przełomowego dla spółki raportu kwartalnego.

Fundusz Ortegi trafił zatem pod lupę, został prześwietlony najdokładniej, jak to tylko możliwe, ale nie natrafiono na nic podejrzanego. Sprawę zamknięto i odłożono do akt. Nazwisko Borbélya w dokumentach przewinęło się kilkakrotnie – był jednym z udziałowców współzałożycieli funduszu. To jego pieniądze Ortega inwestował na budapeszteńskiej giełdzie.

Emese wykorzystała przyjaźnie w wydziale gospodarczym. Świątek finansowy nie jest duży, policjanci znają wszystkich ważniaków, a dodatkowo każdy jest im winny przysługę, więc wystarczyło zapytać tu i tam, a po tygodniu dziewczyna trzymała w dłoniach wizytówkę do niezwykle utalentowanego inwestora.

Zadzwoiła od razu. Brandon Ortega na spotkanie przystał niechętnie, ale ugiął się pod wymyślonymi groźbami (że jeśli nie będzie współpracował, czeka go kolejna kontrola, stokroć bardziej detaliczna i upierdliwa niż poprzednia). Na spotkanie wybrał drogą restaurację w centrum miasta. Przyszedł spóźniony dwadzieścia minut. Miał przetłuszczone włosy i strasznie śmierdział. Emese, rozmawiając z nim, usiłowała się nie gapić na wielką bliznę na jego szyi, jakby po cięciu nożem.

Na początku kręcił i szukał wymówek, zasłaniając się prawem klientów do anonimowości. Ale kiedy padło nazwisko Borbélya, naprężył się jak struna. Po kilku chwilach z nieukrywaną niechęcią podał jej adres e-mail, pod którym, być może, uda jej się zastać tego, kogo poszukuje. Niczego oczywiście nie da się obiecać. Borbély być może odpisze, być może będzie milczał. Wie to tylko on.

Ale Emese już zrozumiała, że Kameleona da się pokonać tylko wtedy, kiedy będzie się stosowało jego metody.

Najważniejsza jest spójność, kompletność oraz dbanie o każdy detal. Fałsz cuchnie na kilometr – pouczał Borbély swoich współpracowników, kiedy przygotowywali się do napadu na bank. Emese wzięła sobie jego słowa do serca. Uważna lektura dokumentacji przesłanej przez pracownika Interpolu nasunęła jej pewien pomysł.

Berislav Petrović, Chorwat od piętnastu lat mieszkający w Budapeszcie, konsultant biznesowy specjalizujący się w doradztwie inwestycyjnym, znawca rynków akcji w Azji Południowo-Wschodniej. Zajmował się głównie inwestycjami przynoszącymi potencjalnie wysoki dochód, jednak obciążonymi wysokim ryzykiem. Nie miał żony ani dzieci. Często podróżował, głównie do Tajlandii i Wietnamu, niektórzy mówili, że wyrobił sobie doświadczenia do kręgów rządowych i korzysta z poufnych informacji. W Budapeszcie nie miał mieszkania, kiedy wracał z zagranicznych wojaży pomieszkiwał w hotelach albo zatrzymywał się u znajomych. Trudno

powiedzieć, dlaczego czuł się mocno związany z tym miastem. Chyba lubił jego klimat, węgierskie dziewczyny i białe wino.

Berislav Petrović nigdy nie istniał. Stworzyła go Emese. Chorwat był jej drugą twarzą, zastępczą tożsamością, która funkcjonowała wyłącznie w internecie, ożywała kilka razy w tygodniu poprzez aktualizację strony internetowej, dodawanie nowych wpisów na portalach społecznościowych i forach dyskusyjnych dotyczących giełdy czy metod wyceny spółek – Emese sama zainteresowała się rynkami kapitałowymi i kupowała akcje na BUX-ie.

Czasem Petrović rzucał tam pytanie, gdzie można dobrze zjeść w Budapeszcie bądź pisał relację z zagranicznych wojaży (uwagi na temat połączeń lotniczych, taniego bukowania biletów). Konsultant został powołany do życia wyłącznie w jednym celu. Miał być furtą prowadzącą do Gusztava Borbélya, podstępem, dzięki któremu Emese rozwiąże wszystkie zagadki i odsłoni prawdę: wulgarnie naga, wywleczoną na światło dnia, bezbronną.

Były funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa tak długo wymykał się policji, pozostawał bezkarny, a nawet podawał w wątpliwość swoje istnienie, ponieważ z łatwością cyrkowca żonglował tożsamościami, zmieniał nazwiska, paszporty i twarze. Nawet nie przypuszczał, że z tej samej strony nadejdzie atak. Że jego tajemnicę rozwikła Berislav Petrović – Człowiek, Który Nigdy Nie Istniał. Twór doskonały, kwintesencja bytu, czyste istnienie nieobciążone balastem cielesności. Internetowy awatar, zbiór fikcyjnych postów na serwisach społecznościowych i forach dyskusyjnych.

Berislav Petrović dwa miesiące temu nawiązał kontakt z Gusztavem Borbélyem. Skontaktował się z nim za pomocą mejla i w skrócie zarysował problem. Chodziło o szpiegostwo przemysłowe. Sprawa dość prosta, a potencjalny zarobek spory. Dwie firmy informatyczne startowały w tym samym przetargu. Drugiej z nich szczególnie zależało na wygranej – prezes miał kiepskie notowania w centrali i musiał się wykazać, ponieważ groziło mu zesłanie do Mołdawii, Macedonii lub na inny rynek o małym znaczeniu. Petrović znał owego prezesa, często grywali razem w squasha lub wychodzili na miasto się zabawić. Mężczyzna jednak nie chciał zbrukać sobie rąk współpracą z przestępcą. Petrović postanowił zostać pośrednikiem, wychodząc ze słusznego założenia, że pośrednicy napracują się najmniej, a zarobią najwięcej. I w tym celu napisał wiadomość do Borbélya, z prośbą o spotkanie i możliwość szczegółowego wyjaśnienia sprawy.

Borbély nie odpowiedział od razu – to by było mało profesjonalne. W pierwszym kroku dokładnie prześwietlił chorwackiego biznesmena, a wszystko, co odnalazł w sieci, układało się w spójny obraz. Czuły nochal Borbély nie wyczuł żadnego smrodu, nic, do czego można by się przyczepić, podać w wątpliwość lub zanegować. Ot, kolejna rutynowa robótka.

Gusztav wyznaczył termin i miejsce spotkania. Dziesiąta rano, plac przed katedrą Świętego Stefana, usiądą gdzieś w knajpce, wypiją kawę i na spokojnie porozmawiają.

Kameleon połknął haczyk.

\* \* \*

Emese przełknęła ciężko ślinę i upiła wina. Tomasz patrzył, jak pracuje jej grdyka.

— To już jutro — powiedziała dziewczyna. — Jutro Berislav Petrović ma się spotkać z Gusztavem Borbélyem.

— No dobrze, ale co ja mam z tym wspólnego?

— Chcę, żebyś tam poszedł. Żebyś udawał chorwackiego biznesmena i dopadł Borbélyya.

— Przecież on mnie rozpozna. Wie, jak wyglądam.

— Charakteryzacja. Jego własna broń, pamiętasz?

Tomasz westchnął. Misterny plan Emese jawił się jako konstrukcja krucha, zbudowana na wątpliwych założeniach, przypadkach i szczęśliwych zbiegach okoliczności.

— A gdybym do ciebie nie przyszedł? — wykrztusił wreszcie. — Gdybym nie przyjechał do Budapesztu? Co byś wtedy zrobiła? Kto by wówczas udawał Petrovicia?

— Myślałam o tym. — Emese uśmiechnęła się przelotnie, ale tyle wystarczyło. Tomasz zrozumiał, że dziewczyna nie tylko zastanawiała się nad ową kwestią, ale wszystko ma dokładnie przeanalizowane i rozplanowane na kilka posunięć do przodu. — Kiedy odkryłam udział Borbélyya w porwaniu twojej córki, wiedziałam, że przyjedziesz do Budapesztu i się spotkamy. Nie mogłeś postąpić inaczej.

— Nie możesz pójść na spotkanie sama?

— Borbély to twarda sztuka. Ale każdy z nas ma z nim osobiste porachunki. Będzie nam łatwiej. Wchodzisz w to?

Tomasz skinął głową.

— Wchodzę.

# CZTERNAŚCIE

DAVID/LIZBONA/  
PARK NARODOWY  
GAN HA-SZLOSZA

Zbliżał się koniec roku akademickiego w Lizbonie. Wraz z tragiczną śmiercią Konga umarła teoria strun. Nikt nie napisał równań Teorii Wszystkiego. Wszyscy rozstawali się w poczuciu porażki i niesmaku. David Katzner nie poszedł nawet na wykład podsumowujący roczny program, zagapił się i nie odebrał w porę wejściówek. Obejrzał nadawaną w czasie rzeczywistym transmisję przez internet.

Jakość nagrania była kiepska: słabe światło, pikseloza i dudniący dźwięk. Przemawiali po kolei wielcy fizycy i opowiadali rzeczy, w które nikt już nie wierzył. Że jesteśmy dopiero na początku wielkiej przygody, najtrudniejszego wyzwania w intelektualnej historii ludzkości. Że niepojęta efektywność matematyki w naukach przyrodniczych nadal pozostaje w mocy, ale najwyraźniej musimy rozbudować jej aparat, aby uporać się z wyzwaniami współczesnej fizyki. Że w podobnej sytuacji znalazł się kiedyś największy umysł wszech czasów – Albert Einstein – który zanim opracował ogólną teorię względności, musiał się nauczyć geometrii nieeuklidesowych, rachunku tensorowego i równań czasoprzestrzeni Minkowskiego.

Bzdury.

Tego samego dnia David skorzystał z zaproszenia Mayera i poszli razem na kolację.

— Jakie masz plany na wakacje? — zapytał go stary fizyk, zanim jeszcze kelner przyniósł kartę dań.

David wzruszył ramionami.

— W przyszłym tygodniu wracam do Tel Awiwu. Mam kilka propozycji wykładów w szkołach letnich, ale chyba je oleję. Chcę się od wszystkiego



oderwać i przemyśleć priorytety. To był długi rok. Pewnie na kilka dni wyskoczę gdzieś do Europy. Raczej sam. Potrzebuję samotności.

— Mam dla ciebie prezent.

— Nie przesadzasz?

Mayer pogrzebał w aktówce i wyciągnął sznurowaną tekturową teczkę. Otworzył ją i położył na stole stary zeszyt w zielonych okładkach oraz gruby plik kartek wydruku komputerowego, spiętych biurowym klipsem.

— Notatnik Andrejsa Putnisa. Plus komentarze izraelskich speców od fizyki kwantowej afiliowanych przy jesziwie Machon Meir, kumpli rabina Rosenberga.

David nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Oryginalne notatki łotewskiego świra? Przecież to jest bełkot, sam tak mówiłeś. Paradoksy kauzalne, niejasny formalizm, autorska, niemożliwa do odszyfrowania notacja.

— To ty rozwiązałeś problem stałej kosmologicznej. Nie ja. Ty jesteś młody. Ja, kiedy pierwszy raz czytałem jego notatki, miałem już prawie pięćdziesiątkę. Kto ma to zrobić, jak nie ty?

Nagle Davida olśniło. Dlaczego wcześniej tego nie widział? Dlaczego nie potrafił przejrzeć tak elementarnej motywacji profesora? Od razu stracił apetyt.

— I to wszystko właśnie w tym celu? Dlatego opowiedziałeś mi historię swojego życia? Byśmy doszli do tego punktu? Byś mógł przekazać mi notatki Putnisa i poprosić o pomoc? Przecież sam mówiłeś, że to nic niewarte bzdury, rojenia chorego psychicznie człowieka. Jeśli Rosenberg z Tauberem chcieli użyć ich w gigantycznym planie przywołania, wykreowania, wyhodowania – bo sam nie wiem, które słowo jest lepsze – Mesjasza, zakładam, że głowiły się nad nimi naprawdę tęgie umysły. I nic z tego nie wyszło.

— I tak to zrobisz. Nigdy sobie nie darujesz, jeśli nie spróbujesz. Mam rację? Kiedy będę mógł do ciebie zadzwonić? Ile czasu potrzebujesz? Koniec lipca? Połowa sierpnia?

— Początek sierpnia.

Mayer skinął głową. Nie krył zadowolenia.

— A ty? — zapytał chłopak. — Wracasz do Stanów? Do Budapesztu?

— Muszę wpaść na chwilę do Bratysławy, a potem na kilka tygodni lecę na Krym. Mam tam dobrego kumpla. Chcę się powylegiwać na plaży i popluskać w Morzu Czerwonym.

Wtedy David widział go po raz ostatni.

Po powrocie do Izraela, w pierwszych dniach upalnego lipca, chłopak wyskoczył na kilkudniowy trekking do Parku Narodowego Gan ha-Szlosza. Samotnie. Bez komórki i iPada. Do plecaka wrzucił notatki Putnisa i komentarz baalei teszuwa, kwantowych fizyków nawróconych na judaizm, którzy ślepo uwierzyli w mesjanistyczne wątki w koncepcji wszechświata partycypacyjnego. Pośród nagich skał, pod prażącym słońcem, przerzucał kolejne strony, ślęczał nad skomplikowanymi równaniami, robił słowniczek, przekładając symbole używane przez Putnisa na mainstreamową notację fizyczną. Dało to bardzo niewiele.

Nawet jeśli uchwycił tok rozumowania Łotysza, potrafił prześledzić kilka pierwszych stron, prędzej czy później gubił wątek, zderzał się ze ścianą. Analiza Putnisa wykonywała alogiczną wolte; Andrejs dzielił przez zero, skreślał nieskończoności, redukował elementy równań w sprzeczności z podstawowymi zasadami algebry.

Po czterech dniach wędrówki David zszedł z wzgórz i zatrzymał się w miłym hoteliku. Recepcjonistka była śliczną dziewczyną, zwyciężczynią lokalnych konkursów piękności. Flirtowała z nim, przechylona ponad kontuarem, stawiając ptaszki na formularzu meldunkowym. Zastanawiał się, czy wpadł jej w oko, czy flirtuje tak z każdym młodym facetem, śmiertelnie zmęczona życiem na prowincji. Przez chwilę pomyślał: a gdyby rzucił precz całą fizykę, wziął z nią ślub, przejął po teściach hotelik na górskim zadupiu, spłodził gromadkę dorodnych żydowskich dzieciaków?

Czy potrafiłby żyć w ten sposób?

W pokoju podłączył do ładowania komórkę nieużywaną przez ostatnie dni. Mnóstwo nieodebranych połączeń i SMS-ów. W tym jeden bardzo dramatyczny. Od profesora Marshaka, jego opiekuna naukowego na uniwersytecie w Tel Awiwie. Osoby, dzięki której ostatni rok spędził w Lizbonie i poznał Mayera Hochbauma.

„Zadzwoń natychmiast. Bardzo pilne”.

— Co się stało?

Profesor Marshak nie odpowiedział od razu. Cisza świszczwała, kłuła w ucho, David czuł, jak po drugiej stronie narasta napięcie.

— Mayer Hochbaum — chwila przerwy. — On... nie żyje.

Chłopak usiadł.

Nie potrafił w to uwierzyć.

— Co się stało?

— Trzy dni temu. Był na wakacjach w Sewastopolu. Zwiedzał delfinarium. Zawał serca.

Davidowi telepały się dłonie. Nie mógł trafić w klawisz zrywający połączenie. Przy recepcji widział wcześniej komputer z publicznym dostępem do internetu. Wybiegł z pokoju, trzasnął drzwiami i sztywnym palcem bez przerwy dźgał przycisk przywołujący windę. Recepcjonistka puściła mu oko, odwrócił głowę.

Musiał się czymś zająć.

W skrzynce pocztowej, pośród newsletterów naukowych, spamu, powiadomień z Facebooka i błahych wiadomości od znajomych, czekał na niego e-mail wysłany od Mayera Hochbauma.

Kiedy go spostrzegł, nadnercza wstrzyknęły do żył słoniową dawkę adrenaliny. Serce w turbodoładowanym łomocie wcisnęło się do przełyku. David miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje je na klawiaturę.

Jakby Mayer napisał do niego z zaświatów.

Profesor jednak wysłał wiadomość pięć dni temu. Dwa dni przed śmiercią. Racjonalna część umysłu szybko przejęła kontrolę. Zdenerwowanie opadło, choć dłonie cały czas mu jeszcze drżały. Kliknął ikonę wiadomości.

„David,

mam nadzieję, że nieźle dajesz sobie radę w walce z Putnisem :) Wierzę w Ciebie.

Nie usłyszałeś jeszcze finału mojej historii. Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy i będę miał możliwość opowiedzenia Ci ostatniego rozdziału.

Ostatnio kiepsko się czuję. Gdybyśmy się już nie spotkali, pojedź do Budapesztu i odszukaj rabina Josefa Rosenberga. On zdradzi Ci to, czego ja już nie zdążyłem.

Pozdrawiam, Mayer”.

David już wiedział, co będzie robił podczas rozpoczynających się wakacji.

# PIĘTNAŚCIE

## TOMASZ/ BUDAPESZT

Tak – tak, nie – nie. Prawda i fałsz. Czarne i białe. Dotychczasowa rzeczywistość postrzegana przez Tomasza Szymkowiaka uporządkowana była według prostych opozycji. Dobro jest dobre, zło jest złe. Nawet małżeńskie zawirowania nie wykoślawiały jego sposobu patrzenia na świat, nie zacierały konturów, nie burzyły porządku. Ewa była zła. Adrianna była dobra. Wszystko proste i przewidywalne.

Do teraz.

Do momentu, kiedy Emese Nagy zaproponowała mu współpracę poza granicami prawa.

Kim naprawdę była?

Pozostawał jeszcze problem Gusztava Borbélya, człowieka o tysiącu twarzach. Którą z nich założyć na spotkanie?

Noc dłużyła się niczym męki piekielne. Tomasz nie mógł zasnąć, leżał plackiem na kanapie, przez otwarte na oścież okno do pokoju wpadał przyjemny, chłodny wietrzyk, ale on nie przestawał się pocić. Było doskonale cicho, ulicą z rzadka przemykały samochody. Z sąsiedniego pokoju dobiegało ciche pochrapywanie Emese, nie musiał wyęźać słuchu.

To nie był stres, lecz coś zupełnie innego, uczucie obce i nienazwane. Kiedy wpatrywał się w sufit, przez głowę przetaczały się tabuny myśli. Alicja, jej choroba i geometryczne konstrukcje, które budowała z klocków Lego. Ewa i Adrianna – dwie nieznające się kobiety, które ukształtowały życie Tomasza. Czy Emese do nich dołączy?

Zasnął nad ranem, kiedy słońce nie zdążyło jeszcze wysunąć się z horyzontu, ale świt szarzył już niebo, budziły się pierwsze ptaki, a na ulicy hałasowały śmieciarki. Spał góra trzy godziny, obudziła go Emese.

— Zapowiada się gorący dzień — powiedziała, zaglądając do salonu.

Policjantka miała na sobie obcisłe spodenki przed kolana i sprany T-shirt. Zamknęła okno.

— Kurzy się od ulicy. Zjesz tosty na śniadanie?

— Nie idziesz dzisiaj do pracy?

— Zadzwoiłam do szefa i powiedziałam, że mam bolesny okres. Że nie mogę się wygrzebać z łóżka. Uwierzył. Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Do śniadania zaparzyła turecką kawę, którą pili z naparstkowych filiżanek. Dziewczyna prawie nic nie zjadła i paliła papierosa za papierosem.

— Denerwujesz się? — zapytał.

— Trudno, aby było inaczej. Zbyt długo czekałam na ten dzień. Boję się, że coś pójdzie nie tak. Że popełnimy głupi błąd.

Tomasz posmarował ostatnią grzanekę dżemem. Czuł się najedzony. Wypił do końca kawę i bił się z myślami, czy sięgnąć po papierosa.

— Jak to sobie wszystko wyobrażasz? Jaka będzie moja rola?

Twarz Emese stężała w udawanym uśmiechu.

— Borbély szybko się zorientuje. Jak wiem, nie posługujesz się biegle serbsko-chorwackim. Jak mistyfikacja wyjdzie na jaw, do akcji wkroczę ja. Będę siedziała w knajpie i udawała turystkę z prowincji. Mam nawet przewodnik po Budapeszcie. Zajmę się Borbélyem sama. Jestem dorosła, poradzę sobie.

Po śniadaniu szykowali się do wyjścia. Mieli godzinę zapasu.

Emese weszła do łazienki, kiedy Tomasz mył zęby. Rzuciła na pralkę reklamówkę. Usiadła na zamkniętej desce od sedesu. Tomasz krępował się przebrać przy dziewczynie, nie chciał, aby zobaczyła jego błądy brzuch, wszystkie rozstępy i fałdy tłuszczu. Policjantka nie zamierzała jednak wyjść, mówiła, nie zwracając na niego uwagi.

— Peruka i sztuczna broda. Samoprzylepna. Kupiłam w sklepie z przebraniami. Poradzisz sobie?

Tomasz skinął głową.

Najpierw broda: pasek czarnego zarostu, połączony z wąsami, okalający ściśle usta.

Emese nie kryła rozbawienia.

— Tylko za bardzo się nie poć. Wilgoć źle działa na klej.

Później peruka. Półdługie, lekko kręcone włosy, opadające na czoło i uszy.

— I jak? — Tomasz przeglądał się w lustrze, próbując przyzwyczać się do swojej nowej twarzy.

— Jak rasowy Chorwat. Teraz słuchaj. Wyjdiesz pierwszy. Ja kilka minut po tobie. Nie sądzę, że ktoś nas śledzi, ale lepiej dmuchać na zimne. Na miejsce dojedziemy komunikacją miejską. Oddzielnie. Sprawdź na mapie i zapamiętaj, jak dojechać. Zakładam, że do knajpy dotrzesz pierwszy. Zajmij miejsce w głębi lokalu, usiądź tyłem do ściany, przodem do drzwi. Będziesz miał dobrą miejscówkę, aby obserwować wszystkich gości. Ja zrobię podobnie. Nie znamy się. Nie rozmawiamy ze sobą. Nie przyznajemy się do siebie. Dla bezpieczeństwa lepiej się spakuj i zanieś swoje rzeczy do samochodu. Nie wiadomo, jak dzisiaj skończy się dzień. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli i ocenię, że jesteśmy bezpieczni, będziesz mógł u mnie spać kolejną noc.

Tomasz w końcu sięgnął po koszulę. Zapinał ją powoli, guzik po guziku. Wstydził się nagości, próbował stanąć do dziewczyny plecami, ale jej spojrzenie było nieobecne, skupione daleko w przestrzeni na czymś niedostrzegalnym dla Tomasza.

— Ruszaj.

Spakował się, zjechał windą na parter, wyszedł na podwórze. Przejechał wzrokiem po rzędach okien. Czy wścibscy sąsiedzi już rozpowiadają o nowym kochanku pani porucznik? Czy widzieli ich wczoraj razem, podsłuchiwali pod drzwiami, przykładali szklanki do ścian, licząc na koncert miłosnych uniesień?

Schował walizkę do bagażnika, trzasnął klapą. Szybkim krokiem wkroczył na ulicę. Na przystanek właśnie wtaczał się autobus i Tomasz ruszył pędem, aby go dogonić.

Na miejsce spotkania dotarł kwadrans przed wyznaczoną godziną. Zamówił kawę i pomny rad Emese, wyszukał miejsce w rogu sali, skąd miał dobry widok na cały lokal. Wewnątrz panował spory ruch. Plac przy katedrze Świętego Stefana stanowił jedno z najpopularniejszych miejsc na turystycznej mapie Budapesztu.

Pięć minut później do kawiarni weszła Emese. Tomasz odwrócił głowę, zbyt gwałtownie, zbyt nienaturalnie. Dziewczyna nie dała nic po sobie poznać i wybrała stolik przy samym wejściu. Chwilę rozmawiała z kelnerką i po chwili dostała kolorowy napój w wysokiej szklance ze słomką oraz duży kawałek ciasta. Z torebki wyjęła zwinięty w rulon kolorowy magazyn i siorbiąc drinka, zatopiła się w lekturze.

Tomasz nie potrafił się rozluźnić. Żałował, że nie zabrał żadnej gazety – choć i tak nie potrafiłby się zmusić do czytania. Ale czułby się znacznie lepiej, gdyby mógł zająć czymś ręce. Wyciągnął z kieszeni komórkę, połączył się z internetem, przeglądał newsy z Polski, ale szło jak po grudzie. Kolejne minuty wlokły się, jakby wskazówki zegara z trudem pokonywały opór gęstego i gorącego powietrza. Czuł, jak się poci pod peruką, a krople potu spływają za uszami i po karku.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, ktoś się nad nim pochylił. Facet szedł do kibla, tak przynajmniej wydawało się Tomaszowi, który rejestrował jego ruch kątem oka. W ostatniej chwili, kiedy dłoń oparła się na kłamce toalety, nieznajomy zmienił zdanie i dwoma długimi krokami znalazł się przy stoliku Tomasza. Był wysoki, szczupły, o południowej urodzie, ubrany w spodnie od garnituru i koszulę bez krawata, w której rozpiął o jeden guzik za dużo, eksponując skołtunione owłosienie klatki piersiowej.

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął i powiedział coś do Tomasza w niezrozumiałym języku, w którym dźwięczały znajome słowiańskie nuty.

Pewnie pyta o godzinę, atrakcję turystyczną, a może mnie z kimś pomylił, pomyślał Tomasz i rozłożył ręce w bezradnym geście.

— Nie rozumiem — odpowiedział po angielsku. — Bardzo pana przepraszam.

Nieznajomy pokręcił głową i pokazał wyciągnięty do góry kciuk, w szerokim uśmiechu odsłaniając duże, białe zęby. Poklepał Tomasza po ramieniu i zniknął w toalecie.

Szymkowiak zlustrował wzrokiem wnętrze lokalu. Emese odrzuciła pozory anonimowości i odłożywszy kolorowy magazyn na bok, nie przestawała wpatrywać się w Tomasza. Czy coś poszło nie tak?

To był chorwacki!



Borbély go testował. Sprawdzał, czy Berislav Petrović jest naprawdę tym, za kogo się podaje.

Ale przecież ten człowiek nie mógł być Borbélyem. Ile lat miał Węgier? Co najmniej czterdziestkę. A tamten szczył? Nie więcej niż dwadzieścia kilka.

Ważniejsze jednak było, co robić?

Zaczaić się przed toaletą i czekać, aż domniemany porywacz Alicji pojawi się w drzwiach? A jeśli w tej chwili przeciska się małym, łazienkowym oknem na podwórze?

Tomasz już kładł dłoń na klamce, już szturmował drzwi do łazienki, w uszach dudniło serce i szumiała krew, kiedy powietrze przeszył wrzask. Krzyczała Emese.

— Tutaj, tutaj! — Policjantka wymachiwała rękami jak szalona. — Szybko, szybko!

Tomasz odwrócił się gwałtownie, zaczepił stopą o krzesło, które uderzyło o ziemię. W lokalu narastał zamęt. Turyści oderwali się od kieliszków z białym winem, bezkofeinowej kawy latte podawanej w wysokich szklankach i szarlotki na ciepło. Wodzili zaleknionymi spojrzeniami po wnętrzu pomieszczenia.

Emese wygrzebała z torebki legitymację policyjną i krzyczała coś po węgiersku, wymachując dokumentem przed oczami przestraszonych kelnerów. Kiedy Tomasz znalazł się przy niej, ścisnęła jego dłoń, palce wpiły się mocno w nadgarstek.

— Jest w kiblu — wysapał, z trudem łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

Emese pokręciła głową i energicznie pociągnęła go za rękę, aż jęknął z bólu.

— To nie on. Borbély jest tam. — Wskazała na drzwi.

Wybiegli na plac, gdzie roiło się od turystów robiących pamiątkowe zdjęcia katedry, czytających przewodniki, zjadających się lodami czy na rozgrzanym bruku odpoczywających po trudach zwiedzania miasta.

— To on. — Emese pokazała niewysokiego mężczyznę przecinającego plac. Szedł szybkim krokiem, na granicy biegu, nie oglądając się za siebie.

Ruszyli za nim.

— Skąd wiesz?

— Siedział w knajpie, przy samych drzwiach, i cię obserwował. Wysłał tamtego dzieciaka, aby przekonać się, czy rzeczywiście jesteś Petroviciem. Kiedy okazało się, że nie mówisz po chorwacku, od razu wyszedł z lokalu. Wtopił. Nie wiedział, że masz współnika, który obserwuje wnętrze.

— Co zamierzasz zrobić?

— Zobaczysz.

Domniemany Borbély skręcił w ulicę wąską i zacienioną ścianami wielopiętrowych kamienic. Miejsce leżało na uboczu turystycznych szlaków i w jednej chwili znaleźli się tam sami, jakby przestąpili bramę do innego świata: z gorąca – w chłód, z jasności – w półmrok, z tłumu – w intymność. Byli tylko we trójkę, nikogo więcej. Konfrontacja zbliżała się nieuchronnie.

Emese krzyknęła coś po węgiersku. Mężczyzna, idący kilka kroków przed nimi, zatrzymał się. Tomasz przyjrzał mu się uważnie, tamten odpowiedział spojrzeniem zwykłego faceta, jakich spotyka się setki każdego dnia, jadąc co rano do pracy – spojrzeniem zmęczonym, lekko nieobecnym, zatroskanym rutyną codziennych zajęć.

To nie jest Borbély – Tomasz pozbył się wątpliwości. Tak nie wygląda człowiek, który prześladował opozycję demokratyczną, potrafił wejść z odbezpieczoną bronią do banku, miał odwagę uprowadzić w biały dzień chorą na autyzm dziewczynkę. Nawet jeśli założył na siebie lateksową maskę, spojrzenia nie oszukasz, nie spreparujesz.

Policjantka rozmawiała z nim chwilę. Wyjęła legitymację i poprosiła o dokumenty. Mężczyzna wydobył ze sfatygowanego portfela dowód tożsamości, na co Emese zareagowała nieoczekiwaną salwą wesołości.

— Zobacz — przeszła na angielski. — Ten dupek twierdzi, że nazywa się Adam Kerekes. Dobrze sobie. Normalnie zaraz umrę ze śmiechu.

Zatrzymany przechodzień mrugał niepewnie i spoglądał to na dziewczynę, to na Tomasza. Chciał coś powiedzieć, otworzył usta, nabrał głęboko powietrza, ale Emese wrzasnęła na niego, aż się wzdrygnął. Zamiast niego odezwała się policjantka. Mówiła szybko, równie szybko oddychała i nie radziła sobie z łączeniem obu tych czynności. Była zdenerwowana, choć za wszelką cenę nie chciała tego okazać.

Perorowała kilka minut. Kiedy skończyła, pałeczkę przejął domniemany Borbély. Coś tłumaczył, również dając się ponieść emocjom.

Tomasz nie rozumiał ani słowa.

— O czym rozmawiacie? — zapytał.

Mężczyzna spojrzał na niego błagalnym wzrokiem, jakby Szymkowiak stanowił tu ostatnią ostoję logiki i zdrowego rozsądku. Wydawało się, że nie rozumie angielskiego.

— Ten pan twierdzi, że zaszła pomyłka i nie jest Borbélyem, tylko Adamem Kerekesem, emerytowanym nauczycielem, i mieszka w dwupokojowym mieszkaniu na ulicy Józsefa Attila — wyjaśniła Emese.

— I co zrobimy? Wezwiesz policję, aby zweryfikowała jego tożsamość?

Przez usta dziewczyny przemknął niekontrolowany uśmiech. Zmrużyła oczy, zacisnęła zęby, a Tomasz poczuł narastający strach. W dziewczynie zachodziła przemiana. Proces postępował lawinowo: złamawszy zasady pierwszy raz, coraz łatwiej przekraczać kolejne granice. Emese zmarszczyła czoło, kalkulując następne kroki, planując strategię. Tomasz miał pewność, że nie będzie zadowolony z efektów jej przemyśleń.

Nie czekał długo. Policjantka rozmawiała jeszcze kilka minut po węgiersku z zatrzymanym człowiekiem, który wydawał się coraz bardziej przerażony. Wreszcie spojrzała na Tomasza i wróciła do angielskiego.

— Idziemy do niego do domu — powiedziała. — Tam przekonamy się, kim naprawdę jest. Mamy szczęście, mieszka niedaleko stąd. Zaprowadzi nas.

— Dlaczego nie wezwiesz policji? — Tomasz powtórzył pytanie i ściszył głos do szeptu, choć nic nie wskazywało na to, że zatrzymany znał angielski.

— Nie chcę ryzykować. Jeszcze sprawa rozejdzie się po kościach z powodu braku dowodów. A ja nie zamierzam wypuścić go z rąk. Za długo na to czekałam.

— Ale czy to jest zgodne z prawem?

Emese się roześmiała.

— To jest kurewsko dalekie od legalności, ale nie możemy się już wycofać. Jedziemy na tym samym wózku.

Kerekes/Borbély mieszkał na czwartym piętrze kamienicy, kilka minut drogi od Szent István Bazilika. Nie stawiał oporu, szedł spokojnie, dwa kroki

przed nimi. Nie rozmawiali. Na piętro wjechali windą starego typu, z metalową kratą zamiast drzwi. Gospodarz mieszkania chwilę siłował się z kluczem i zardzewiałym zamkiem, aż wreszcie mechanizm zaskrzypiał i szczęknęła zwalniana zapadka. Weszli do środka.

Mieszkanie śmierdziało wilgocią i starzyzną. Wystrój wnętrza nie zmienił się od czasów Kádára i *gulyáskommunizmus*. Dywan z długim włosiem, boazeria na ścianach, wielkie żyrandole... Wszystko odpowiadało wyobrażeniom Tomasza o standardzie życia węgierskich emerytów. Nic nie wskazywało, że mieszkanie zajmuje Gusztav Borbély, były funkcjonariusz AVSZ, człowiek kameleon, mistrz w fałszowaniu dokumentów, który fachu charakteryzatorskiego uczył się od mistrzów Hollywood.

Kerekes/Borbély oprowadził ich po wszystkich pokojach, nie przestając mówić po węgiersku. Niecierpliwiał się, a Tomasz z minuty na minutę czuł się coraz bardziej głupio i miał wyrzuty sumienia. Nerwowo szarpał zarost na sztucznej brodzie. Przecież to zupełnie niewinny facet, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Lepiej niech już sobie pójda, bo jeszcze chwila, a sytuacja znajdzie tragiczny finał. Kerekes wezwie policję i Emese wpakuje się w prawdziwe tarapaty, a Tomasza odeślą do Polski pierwszym samolotem, z kajdankami zatrzaśniętymi na przegubach dłoni.

— Lepiej stąd chodźmy. Nie mamy tu nic do roboty — zagadnął, ale został zignorowany. Emese cały czas mówiła po węgiersku.

— To jest dziupła przygotowana pod fałszywą tożsamość — wytłumaczyła wreszcie. — Opowiadał o tym ten facet z gangu. W całym mieście jest kilka w pełni wyposażonych mieszkań, które stanowią uwiarygodnienie tożsamości, pod którą aktualnie funkcjonuje Borbély. On się upiera, że tutaj cały czas mieszka, ale to niemożliwe. Spójrz na kurz. Nie było tu nikogo przynajmniej od miesiąca.

Tomasz przejechał palcem po szafce na książki. Na opuszku pojawiła się gruba, czarna warstwa.

— Może nie lubi sprzątać. Kurz nie jest wystarczającym argumentem, by przesądzić sprawę.

Kerekes/Borbély nie przestawał patrzeć na Szymkowiaka błagalnym wzrokiem. Dostrzegł w nim nieoczekiwanego sojusznika w konfrontacji

z nieobliczalną Emese. Sam Tomasz przestępował nerwowo z nogi na nogę, zastanawiając się, co może strzelić do głowy policjantce.

Nie musiał długo czekać.

Dziewczyna podeszła do regału, odsłoniła szybkę i ujęła w dłoń kryształowy puchar.

— Co to jest? — zapytała lokatora po węgiersku i od raz powtórzyła wypowiedź po angielsku.

— Mój syn dostał go w '86 za pierwsze miejsce w szkole w biegu na sześćdziesiąt metrów — odpowiedział mężczyzna, a zdenerwowanie w jego głosie z każdym wypowiedzianym słowem stawało się coraz bardziej słyszalne. Emese tłumaczyła symultanicznie.

— Jak ma na imię twój syn?

— Ignac.

— Ile ma lat?

— Trzydzieści trzy.

— Co teraz robi?

— Pracuje w logistyce. Obecnie firma wysłała go na Słowację.

— Podaj mi do niego numer telefonu.

Emerytowany nauczyciel sięgnął po komórkę i przedyktował numer. Emese wpisywała go do swojego aparatu, cyferka po cyferce, upewniając się po wszystkim, czy nie popełniła błędu. Zadzwoiła od razu.

— Numer czasowo niedostępny — odpowiedziała z zarzutem w głosie.

— W firmie ma dużo spotkań. Często wyłącza komórkę. Trudno się do niego dodzwonić.

— Świetna legenda. Naprawdę bardzo profesjonalna — przeszła na angielski i zwróciła się w stronę Tomasza. — Wiedziałam, że jest profesjonalistą, ale skala mistyfikacji mnie zadziwia. Przygotowany dom, fikcyjny syn z numerem telefonu wbitym do komórki. Szczegóły, wszyscy najczęściej wykładają się na szczegółach. Tymczasem on perfekcyjnie odrobił pracę domową. Jestem pod wrażeniem. Brzmi tak, że prawie można uwierzyć. Aż się chce przeprosić, podkulić ogon i cichutko, na paluszkach wyjść z mieszkania.

— Pomyliliśmy się. To jest emerytowany nauczyciel. Nie widzisz, że to nie jego szukamy? — Tomasz denerwował się. — Lepiej już sobie stąd pójdźmy.

I wówczas Emese zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego. Zanim Tomasz zdążył obrócić głowę – patrzył akurat w inną stronę – zanim Kerekes/Borbély odskoczył jak oparzony i wydobył z wnętrza płuc urwany okrzyk, Emese z całej siły cisnęła o podłogę nagrodę dla Ignaca za najszybszy sprint na sześćdziesiąt metrów. Kryształ rozprysł się z hukiem, a cisza, która zapadła po tym, była straszna, składała się z tysiąca pytań i nie przynosiła żadnych odpowiedzi. Co zamierzała osiągnąć Emese? Do czego zdoła się posunąć? Czy zdefiniowała sobie jakieś granice? Jak prędko do nich dotrze?

Najbardziej zdenerwował się gospodarz domu. Patrzył na policjantkę rozszerzającymi się oczami, otworzył usta, ale nie potrafił wydusić ani słowa. Drżały mu dłonie, nieświadomie zaciskał pięści, dziewczyna to zauważyła i lekko ugięła nogi, gotowa w każdej chwili odeprzeć furiacki atak. Tomasz natomiast czuł w dole brzucha nieprzyjemne łaskotanie. Ale przecież mogę stąd wyjść w każdej chwili, powtarzał sobie. Emese to wariatka, ale ja mogę wyjść w każdej chwili, trzasnąć drzwiami, zbiec po skrzypiących schodach, wyjechać z miasta.

Owa myśl, ułuda wolnego wyboru, wbrew pozorom nie przyniosła uspokojenia. Patrzył na Emese i miał wrażenie, że wie o dziewczynie coraz mniej, że jej obraz, spójna konstrukcja, którą ułożył sobie w głowie, okazała się zupełnie fałszywa. Emese Nagy odkrywała swoje prawdziwe oblicze, którego nikt nie znał i nikt nie chciał poznać.

Nikt – a przede wszystkim sama Emese.

Dziewczyna podeszła do szafki w salonie i ujęła w dłoń telefon stacjonarny. Czerwony aparat starego typu wykonany z ebonitu. Krótkim szarpnięciem wyrwała kabel z gniazdka. Wyszczekała coś po węgiersku.

Tomasz z każdym ruchem dziewczyny tracił pewność siebie. Czuł, że za chwilę wydarzy się coś, czego nie da się łatwo odkręcić, coś strasznego, stokroć gorszego niż roztrzaskany na podłodze pamiątkowy kryształ. Coś, po czym nie da się po prostu przeprosić za zamieszanie, wyciągnąć z portfela banknot wysokiego nominału i pokryć zawiązką straty.

Kerekes/Borbély nie przestawał mówić. Z pasją wypluwał z siebie twarde węgierskie zgłoski, a krople potu perlity się na wysokim czole. Całą uwagę skupiał na dziewczynie. Ta lewą ręką bawiła się słuchawką telefonu, prawą skręcała kabel, wykrzywiając przy tym twarz w nieprzyjemnym uśmiechu. Tomasz położył dłoń na jej ramieniu, odwróciła się niechętnie.

— To nie jest on, nie widzisz? — wysyczał po angielsku. — To jakiś przypadkowy koleś, który miał pecha!

Emese strzepnęła jego rękę z ramienia i nie odezwała się ani słowem. Tomasz się nie poddawał.

— Gdzie masz dowody? Podaj mi choć jeden! Gdzie wytwórnia lateksowych masek, zrabowane z banku pieniądze, narzędzia innych zbrodni? Gdzie?

— Brak dowodów oznacza tylko tyle, że dowody zostały zniszczone — powiedziała powoli, niepewnie dobierając słowa, jak osoba, która dopiero uczy się języka angielskiego.

Dziewczyna przerzuciła słuchawkę telefonu do prawej dłoni i wymierzyła cios w twarz Kerekesa/Borbélya. Musiała celować w nos, ale ofiara przekreśliła głowę i uderzenie zsunęło się na policzek.

Mężczyzna krzyknął cicho, ale urwał skargę w pół sylaby. Zacisnął zęby i z błagalnym wyrazem twarzy patrzył na policjantkę, która przestała się przejmować przepisami prawa.

— Co ty robisz? — Tomasz nie wytrzymał. — Co ty, kurwa, robisz?

— Jeśli chcesz, możesz sobie iść — powiedziała Emese, nie spuszczać podejrzanego z oczu. — Daję ci minutę. Wieczorem zadzwonię do Elmara i powiem, że tu jesteś. Że próbowałeś się ze mną skontaktować i że zostaniesz w Budapeszcie kilka dni. Będą cię szukali. Masz czas, żeby zgubić pościg. Uciekaj na Bałkany albo może do Włoch i stamtąd spróbuj przedostać się do Afryki Północnej. Ja cię nie wydam. Ale pamiętaj – kiedy skorzystasz z tej propozycji, nigdy się nie dowiesz, co się wydarzyło z twoją córką. Prawda jest tu. W nim.

Odwróciła się w stronę Kerekesa/Borbélya i głośno wypuściła powietrze nosem, niczym bokser przed walką, dodając sobie animuszu. Następnie wyprowadziła krótkie kopnięcie, trafiając emeryta pod kolano. Ten runął na

ziemię, bezwładnie jak kłoda. Nawet nie zdążył zaprotestować, krzyknąć z bólu czy zdumienia.

Dziewczyna usiadła okrakiem na jego klatce piersiowej, chwyciła go za poły koszuli, przyciągnęła do siebie i powiedziała coś po węgiersku. Odpowiedział, ale niezadowolona z reakcji policjantka uderzyła go w twarz otwartą dłonią. Nosiła na palcu pierścionek i na policzku pojawiły się dwie czerwone kropelki. Emese fuknęła ze złością i głowa ofiary odskoczyła znów do tyłu, uderzając o podłogę, czemu towarzyszyło nieprzyjemne, głucho łupnięcie.

Tego było za dużo.

— Zostaw go! — wydarł się Tomasz. — Jeśli będziesz go w ten sposób traktować, przyzna się do wszystkiego, o co go podejrzewasz. Będzie Kerekesem, Borbélyem, świętym Franciszkiem, każdym, kogo sobie, kurwa, zażyczysz!

Zacisnął dłoń na ramieniu dziewczyny. Ta szybko poderwała się i odepchnęła Tomasza. Nie był to wystudiowany, teatralny gest, ale pokaz pierwotnej furii. Szymkowiak runął do tyłu, plecami na ścianę, zaczepił ręką o zawieszoną fotografię za szkłem, artystyczny akt. Na podłogę posypały się odłamki rozbitej tafli.

Kerekes/Borbély zamierzał wykorzystać ogólne zamieszanie i już gramolił się na kolana, kiedy kolejne kopnięcie – tym razem w brzuch – ponownie sprowadziło go do parteru. Upadł bezwładnie, jak szmaciana lalka.

— Skorzystasz z mojej oferty? — Oddech Emese przyspieszył, z trudem łapała powietrze, jakby tortura zamieniła się w akt seksualny. — Możesz jeszcze umyć ręce, ale potem nie oczekuj, że coś ode mnie wyciągniesz.

Dlaczego Tomasz został? Przecież nie chodziło wcale o Alicję. W zaistniałej sytuacji córka była mniej ważna. Z każdym dniem pamiętał o niej coraz słabiej. Wieczorami, przed zaśnięciem, fantazjował na temat Adrianny, czasem zastanawiał się, co słyhać u Ewy, jak zareagowała na wiadomość, że jej mąż zamordował człowieka? O Alicji myślał rzadko i ów imperatyw, który kazał mu wynająć Elmara czy zarezerwować bilety na samolot do Budapesztu, dawno się wyczerpał. Z perspektywy czasu nie potrafił nawet powiedzieć, dlaczego ten osobliwy stan się pojawił. Dlaczego dotarcie do chorej córki stało się nagle tak cholernie ważne, że przesłoniło



wszystkie inne priorytety? Przecież stanowiła wyłącznie ciężar, nabrzmiewający problem, który za kilka lat wymagałby pilnego uporządkowania. Tymczasem sytuacja rozwiązała się sama i Tomasz powinien skakać z radości (zwłaszcza mając na uwadze przyszłe życie z Adrianną). A jednak nie. Dlaczego?

I dlaczego zdecydował się zostać?

Przynajmniej w tej drugiej sprawie chodziło o Emese. O dziwną więź, jaka wytworzyła się pomiędzy nimi wczorajszego wieczoru, kiedy siedzieli w salonie policjantki, gorące powietrze lata stało w miejscu, a przez otwarte na oścież okna dobiegały ich odległe hałasy wielkiego miasta. Emese go ukryła, zaryzykowała policyjną karierę, idąc z nim na współpracę. Jasne, chodziło o jej ojca, ale czy tylko o niego?

A jeśli Emese miała inne plany?

Poczuł pulsowanie w podbrzuszu. Za chwilę będzie miał erekcję... Tylko nie teraz, tylko nie w takiej chwili! Spojrzał na Kerekesa/Borbélya i jego twarz zmaltretowaną słuchawką telefoniczną. Na dyszącą Emese i stożki jej małych piersi pod bluzką, która przyklejała się do spoconego ciała. Poczuł ucisk na spodnie.

— Wyjdę do kuchni — wyjąkał. — Dłużej nie wytrzymam.

Policjantka skinęła głową. Nachyliła się nad torturowanym i powiedziała coś do niego teatralnym szeptem. Tomasz nie znał ani słowa po węgiersku, ale był pewny, że groziła mu śmiercią, jeśli nie podejmie z nią współpracy.

W kuchni Szymkowiak włączył radio i kręcąc gałką, przedzierając się przez biały szum, trafił na program publicystyczny. Gadało kilku facetów, pewnie polityków. Mówili bardzo głośno, musieli się kłócić. Tomasz podkręcił potencjometr, ale i tak z sąsiedniego pokoju wciąż dobiegały odgłosy, których wolał nie słyszeć. Zajrzał do lodówki. Załadowana standardowo, wszystko, czego mógł się spodziewać w lodówce węgierskiego emeryta. Dwa kartony mleka, paszтет. Konserwy, twarożek oraz słoik marynowanej papryki. Chciało mu się pić. Wyciągnął mleko, otworzył karton i pociągnął solidny łyk prosto z opakowania.

Wykrzykując głośno przekleństwa, oderwał karton od ust. Mleko było zepsute, smakowało ohydnie. Spojrzał na opakowanie. Termin ważności skończył się pół roku temu. Zaintrygowany, ponownie zajrzał do lodówki.

Drugie mleko oraz twarożek prezentowały się podobnie, papryki nikt nigdy nie odkręcał, więc mogła tak stać i stać. Wybiegł z kuchni, by podzielić się odkryciem z Emese. Zatrzymał się w drzwiach i zdębiał.

Kerekes/Borbély siedział na krześle, prawą dłońią przykuty kajdankami do oparcia. Opuchlizna przesłoniła jedno oko, z rany na czole kapąła krew. Wargi miał ciemnoczerwone i nabrzmiące. Emese stała obok i wyglądała tak, że Tomasz cicho jęknął, znów czując wzbierające pożądanie.

— Czego ode mnie chcecie? — wycharczał niespodziewanie torturowany mężczyzna, a wokół nosa zaczęły pękać bąbelki krwawej piany. Odezwał się po angielsku i fakt ten dotarł do nich dopiero po chwili.

— Borbély! — Emese zatriumfowała.

— Czego ode mnie chcecie? — powtórzył Gusztav Borbély i ciężko westchnął. — Co mam wam powiedzieć? Wsypać moich klientów? Śmiało.

Emese spojrzała z wyższością na Tomasza. Potem zachęciła go gestem. Szymkowiak wcale nie palił się do zadawania pytań, ale dziewczyna wyraźnie tego oczekiwała, a on nie zamierzał jej zawieść.

Podszedł do krzesła i kucnął.

— Co się stało z moją córką?

Jego twarz znalazła się na wysokości twarzy Borbélya. Słyszał ciężki oddech byłego funkcjonariusza policji politycznej. Patrzył w jego małe oczka pośrodku opuchniętej twarzy i czuł pierwotny strach. Coś mu nie pasowało. Dlaczego Borbély był tak bierny? Dlaczego nie stawiał żadnego oporu?

— O kim mówisz? — Mężczyzna, jakby nie potrafiąc znieść konfrontacji wzrokowej, odwrócił głowę.

— Alicja. Ośmioletnia dziewczynka ze diagnozowanym autyzmem. Byłeś ostatnio w Polsce, w Warszawie, i porwałeś ją w hipermarkecie. Nośłeś lateksową maskę i wszystkim się wydawało, że masz mniej lat niż w rzeczywistości.

Borbély skinął głową.

— Łatwa robota.

— Co się z nią stało? Gdzie ona teraz jest?

— Nie mam zielonego pojęcia. Wywiozłem dzieciaka na Słowację i tam w cygańskiej wiosce Krajná Bystrá przekazałem ją jakiemuś facetowi.

Pierwotnie miałem przywieźć ją do Budapesztu, ale klientowi zmieniły się plany. Wróciłem potem do Warszawy, bo miałem tam coś jeszcze do załatwienia, i do Budapesztu poleciałem samolotem.

Tomaszowi kamień spadł z serca. Bał się zbyt szybkiego rozwikłania sprawy, jednoznacznego wskazania miejsca pobytu Alicji, które zakończy wyprawę na Węgry i każe wracać do starych problemów, przyspieszyć konfrontację z zimnym trupem Andrzeja Bajbaka. Tymczasem rozwiązanie jednej zagadki otwierało drzwi do kolejnej.

— Kim był ten klient?

— Człowieku, nie mam pojęcia.

— Jakiej narodowości? Polak? Węgier? Cygan?

— Nie zaglądałem mu w paszport. Miał śniadą karnację. Dobrze mówił po angielsku, bez śladu akcentu.

— Ten człowiek cię wynajął? On ci płacił?

— Zapłacił drugą ratę. Pierwszą dostałem od faceta w Budapeszcie.

— Kto to był?

Borbély wahał się, ale tylko przez chwilę.

— Stary Żyd. Rabin. Ortodoks. Pejsy i broda, taki, co to w sobotę nie zapala światła. Nie mam pojęcia, jak się nazywa, spotykałem się z nim w winiarni przy synagodze. Dotarli do mnie przez mojego starego przyjaciela, profesora fizyki ze Stanów.

— Opisz tego rabina. — Z pomocą przyszła policjantka.

— Gruby, śmierdział niestrawionym żarciem. I jeszcze jedno: miał czerwoną skórę na twarzy i części szyi, coś jakby blizna po oparzeniu.

Blizna po oparzeniu.

Stary Żyd, który podszedł do Tomasza na ulicy w przeddzień narodzin Alicji i krzychał przeraźliwie w niezrozumiałym języku.

Szymkowiakowi zmiękły nogi, a plecy zrobiły się mokre od potu. Emese w mig zorientowała się, że dzieje się coś nie tak.

— Co się stało?

— Później. — Tomasz machnął ręką. — Nie traćmy czasu.

Emese schyliła się i wzięła z podłogi odłamek szkła, który pochodził z oprawionej fotografii strąconej przez Tomasza. Przypominał monstrualny

szpikulec: był długi i zwał się ku końcowi. Przystawiła go do policzka Borbélya. Ten wykrzywił twarz, ale się nie odezwał. Wiedział, że nie zdoła nic wytargować ani wynegocjować. Mógłby próbować rozmowy z każdym innym, ale nie z nią.

— Idź teraz do mnie do domu i zaczekaj — zarządziła. — Wyjmij klucze z torebki, adres znasz. Ja mam z nim jeszcze kilka spraw do obgadania.

W torebce policjantki, pomiędzy paczką papierosów, zapalniczką, telefonem komórkowym i kieszonkowym kalendarzykiem, Tomasz natknął się na zafoliowaną paczkę prezerwatyw. Znalezisko podnieciło go jeszcze bardziej. Kiedy znalazł klucze, Emese przestała zwracać na niego uwagę.

— Idź już i czekaj na mnie — powtórzyła, nie patrząc na niego. Pochyliła się nad Borbélyem, który trząsał się ze strachu, pocił bardzo intensywnie, wydzielając cierpki smród. Dziewczyna głaskała go po policzku końcówką lustrzanego szpikulca. Ostrze było chropowate i przy nieopatrzonym ruchu zadrasnęło skórę. Na niewielkiej ranie zaperliła się kropelka bardzo jasnej krwi.

Tomasz trzasnął drzwiami. Wolał się nawet nie domyślać, co zaraz wydarzy się w mieszkaniu przy ulicy Józsefa Attila.

Perukę i sztuczną brodę cisnął z mostu do Dunaju.

\* \* \*

Dziewczyna wróciła nad ranem. Tomasz nie wiedział, która była godzina, nie patrzył na zegarek. Na zewnątrz świtało, w trasę wyjeżdżały pierwsze tramwaje. Wieczorem długo nie spał, a potem trwał w dziwnym półśnie, zawieszony pomiędzy racjonalnymi schematami myślenia na jawie a wykręconą logiką snu. Kiedy szcęknęła klamka i skrzypnęły drzwi, otworzył szeroko oczy i milczał, zasłuchany w łomotanie serca, szumiącą w skroniach krew. Przypomniawszy sobie o swoich kłopotach z krążeniem w Warszawie i zdziwił się, jak w ogóle mógł o nich zapomnieć. Ale i teraz nic go nie zabolowało.

— Śpisz. — Emese stanęła w drzwiach salonu. To nie było pytanie ani stwierdzenie faktu, ale coś zawieszono pomiędzy, urwanego w pół kroku, niedokończonego.

Nie odpowiedział.

Dziewczyna podeszła do łóżka i zerwała z niego prześcieradło. Leżał w pościeli w samych bokserkach. Momentalnie dostał erekcji, którą próbował niezdarnie ukryć. Chciał przemieścić się do pozycji półleżącej, ale zdał sobie sprawę, że jest gruby i w ten sposób tylko uwypukli swoje fałdy tłuszczu na brzuchu. Wstydził się jak cholera, przy jego niezdarnym, nadmiarowym cielsku, rozlewającym się w pościeli, ciało Emese wydawało się idealne, doskonałe jak techniczny szkic ołówkiem. Słyszał przyspieszony oddech dziewczyny, widział, jak drżą jej mięśnie ramion.

Policjantka zaczęła się w milczeniu rozbierać. W czynności tej nie było nic uwodzicielskiego, postępowała uważnie i metodycznie, niczym u lekarza. Stanik miał rozpięcie z przodu, krępowała się nagością i próbowała zasłaniać piersi. Lewą ręką zdjęła spodnie i została w samych figach. Była na boso. Klęknięta na pościeli.

— Zabiłaś go? — zapytał głucho. — Co z nim zrobiłaś?

Emese nie odpowiedziała. Tomasz spróbował ją objąć. Nie udało się, dziewczyna stawiała delikatny, choć stanowczy opór.

— Zabiłaś? — tym razem zapytał o wiele bardziej miękko, liczył, że zaprzeczy bądź choćby nieznacznie skinie głową.

Nic z tych rzeczy. Emese wyciągnęła rękę (naga skóra lśniła od potu) i ścisnęła Tomasa za gardło. Jęknął z bólu. Przyciągnęła go do siebie i zaczęła całować. W jej zachowaniu nie było czułości. Akt seksualny nie zbliżył ich do siebie, ale oddali. Szorstki język dziewczyny wsunął się do jego gardła, potem lizał policzki i szyję. Głośno sapała i Tomasz nie miał wątpliwości, jakie często męczyły go podczas seksu z Adrianną – Węgierka ani przez moment nie udawała, napalona jak gimnazjalista ściągający pierwszego w swoim życiu pornola z internetu.

Taka była naprawdę.

— Ściągnij mi majtki — zażądała władcym tonem, a on skwapliwie wypełnił jej polecenie.

Akt brutalnego spółkowania nie trwał dłużej niż pięć minut. Przez ten czas Tomasz czytał z Emese jak z otwartej książki. Nie było żadnej tajemnicy czy niezrozumiałych intencji drugiej strony. Wszystko stało się jasne i klarowne.

Seks był czynnością mechaniczną, pozbawioną intymności. Inicjatywę przejęła Emese, wymuszając pornograficzną akrobatykę. Policjantka szeptała coś po węgiersku, Tomasz domyślał się, że były to sprośności, które jeszcze silniej ją podniecały. Zachowywała się jak na filmie, a jednocześnie wiedział, że nie było w tym nic z gry, pozowania. Każdy oddech dziewczyny, każda kropla potu i urwane węgierskie przekleństwo znaczyło dokładnie to, co komunikowało.

Na kilka sekund przed końcem chciał wydyszeć z siebie „Zabiłaś go?”, ponieważ miał nadzieję, że w tym momencie dziewczyna nie skłamie, wyzna prawdę, lecz w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Do czego potrzebował tej wiedzy?

A potem wydał z siebie urwane „Ach!” i poczuł, jak myśli rozpluwają się w serii skurczów podbrzusza.

Emese wyslizgnęła się spod ciężkiego ciała mężczyzny i nago wyszła z pokoju. On leżał na plecach, nie miał siły ani ochoty podnosić się z łóżka. Reszką sił ściągnął z członka prezerwatywę i rzucił ją na podłogę, a potem słuchał porannego śpiewu ptaków i w tej pozycji zapadł w płytką, rwaną drzemkę.

Rano obudził go zapach świeżej kawy. Wciągnął na siebie bokserki. Wczorajsze ubrania Emese nadal leżały porozrzucane na podłodze, poskładał je i odłożył na fotel. Zużyta prezerwatywę spuścił w toalecie. Ubrał się w płócienne spodnie i koszulkę polo.

Dziewczyna krzątała się po kuchni. Miała na sobie szorty ledwie zasłaniające pupę i przewiewną koszulkę na ramiączkach, przez którą było widać wyraźnie, że nie założyła stanika.

— Dobrze spałeś? — przywitała go. Skinął głową i sięgnął po kubek kawy. — Wiem trochę więcej o moim ojcu.

— Opowiedz mi. — Usiadł na taborecie.

— Krył amerykańskich agentów, którzy wypełniali tajną misję w Budapeszcie. Borbély go rozpracował i przyskrzynił. Dwa tygodnie później tatę rozstrzelali.

— Tylko tyle? O co chodziło w tej misji?

— Podobno szło o konflikt nuklearny. Borbély był skromnym urzędnikiem w II Departamencie MSW, a sprawę mojego ojca momentalnie

przechwycił Wydział XVI. Miał tam jednak kogoś, dobrego kumpla, który nieopatrznie puścił parę z gęby i powiedział, że László Nagy dostał czapę.

— Wiesz, jak się nazywał ten kumpel?

— Wiem. Będę szukała dalej.

Emese się uśmiechnęła i jej uśmiech był symbolem wiary w lepsze jutro, nadziei, że sprawy mogą iść ku dobremu, wszystko jeszcze można ułożyć i znaleźć drogę wyjścia z bagna, w którym się tonęło. Tomasz zrozumiał – usłyszał już od niej wszystko, co chciała mu powiedzieć. Drażnienie tematu było bezcelowe.

— I co teraz będzie ze mną? Muszę jakoś znaleźć tego rabina...

Chociaż Szymkowiak nie palił się wcale do zbyt szybkiego rozwikłania zagadki zniknięcia Alicji, sprawa ze starym Żydem nie dawała mu spokoju. Pamiętał świetnie jego twarz sprzed ośmiu lat, z dnia, w którym na świat przysła jego córka.

— Pójdę dzisiaj do pracy i pogrzebię w kartotekach. Ty korzystaj z wolnego czasu — uprzedziła pytanie. — Pobaw się w turystę i pozwiedzaj miasto. Poczuj się jak na wakacjach.

— Na wakacjach... — Tomasz ciężko westchnął. — W jaki sposób mogę czuć się jak na wakacjach, skoro cały czas wisi nade mną sprawa Bajbaka? Będziesz dalej kryła mnie przed Elmarem? Masz jakieś wieści od niego? Trafili na mój ślad?

Emese odwróciła spojrzenie, zajęta przekrajaniem na pół razowych bułek.

— Nic ci nie grozi, dopóki jesteśmy razem — powiedziała cicho.

W milczeniu zjedli śniadanie i dziewczyna wyszła do pracy. Tomasz przez większość dnia oglądał lokalną telewizję, słuchał wiadomości w niezrozumiałym języku, patrzył na miejskie obrazki: zakorkowane mosty na Dunaju, problemy z wysypiskiem śmieci, gołe dzieci kąpiące się w fontannach, zepsuty tramwaj w godzinach szczytu i tłumy turystów do kolejki na Górę Zamkową. Cały czas oczekiwał na *breaking news*, komunikat o bestialsko zamordowanym w samym sercu Pesztu emerycie, torturowanym przed śmiercią.

Nie doczekał się. Emese była profesjonalistką. Jeśli istotnie zabiła Gusztava Borbélya, policja nieprędko natknie się na jego ciało.

Dziewczyna wróciła kwadrans przed szesnastą. Miała świetny humor.

— Co ugotowałeś na obiad? — przywitała go od progu i roześmiała się, widząc w odpowiedzi zakłopotaną minę. — Nie martw się, zamówimy pizzę.

Zrzuciła buty, podeszła do lodówki i wyjęła dwie puszkę piwa. Podała jedną Tomaszowi.

— Strasznie dzisiaj gorąco. — Otworzyła puszkę i upiła długi łyk. — Gdzieś tu mam ulotki z żarciem na telefon. Zaraz coś znajdę.

Tomasz stanął w drzwiach do kuchni i spoglądał na Emese niepewnie. Nie potrafił uwierzyć, że dziewczyna, która teraz odgrywa przed nim rolę pogodnej kumpeli z sąsiedztwa, noc wcześniej klęczała na łóżku, kładła głowę na poduszce, rozchyłała dłońmi pośladki i szeptała sprośności. Czy tak mogła się zachowywać jedna i ta sama osoba?

— Chcesz meksykańską, z pikantnym salami i fasolą, czy włoską z szynką parmeńską i parmezanem? — zapytała jak gdyby nigdy nic, a Tomasz aż się zatrząsł na wspomnienie Emese leżącej na plecach z szeroko rozłożonymi nogami, wskazującym i środkowym palcem masującej łechtaczkę.

— Meksykańska może być... — Napił się zimnego piwa, by odgonić obrazy, które jak flashbackowe przebłyski pojawiały się w myślach. — Udało ci się dowiedzieć czegoś w sprawie tego Żyda?

— Stąd mój dobry humor. — Potrząsnęła piwem, chcąc sprawdzić, ile napoju pozostało jeszcze wewnątrz puszkę. — Josef Rosenberg, lat siedemdziesiąt trzy, notowany w policyjnych aktach. Wpadł podczas rutynowej kontroli cztery lata temu. Prowadził samochód bez ważnego prawa jazdy. Zabrali mu je blisko dekadę temu za kłopoty ze zdrowiem. Przed wszystkim wzrok. Jakiś czas temu miał paskudny wypadek. Gospodyni zostawiła na noc prodiż. Straszny pożar, ledwie uszedł z życiem. W lokalnym żydowskim środowisku postać niezwykle szanowana. Utrzymuje się z datków wiernych. Często przychodzą do niego po poradę, a on głosi im kazania.

— To wszystko jest w aktach?

— Mamy dobrych informatorów. — Emese odstawiła pustą puszkę na parapet i sięgnęła do lodówki po kolejną.

— Ale po co żydowski kapłan miałby porywać małe dziewczynki? Żeby przerobić je na placki? — Nie znał po angielsku słowa „maca”.



Policjantka nie załapała dowcipu.

— Jutro rano go odwiedzimy.

Resztę wieczoru spędzili w salonie, jedząc zamówioną pizzę, skacząc pilotem po kanałach węgierskiej telewizji, oglądając fragmenty meczu piłkarskiego, popularnego sitcomu, reality show i dyskusji politycznej. Tomasz czatował na programy informacyjne i wypatrywał wzmianki na temat Borbélya, a właściwie jego ciała – zmasakrowanego, znalezione w krzakach na zboczu Wzgórza Gellerta.

Bezskutecznie.

Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy pod byle pretekstem nie wyslizgnąć się z mieszkania, pojechać na ulicę Józsefa Atilla i sprawdzić, czy właściciel lokum wciąż jeszcze stąpa po świecie, czy może drzwi zalepione są policyjną taśmą, a pod budynkiem kręcą się tajniacy obserwujący mieszkanie, bo wychodzą z założenia, że morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni. A jednak nigdzie nie poszedł, bez przerwy zastanawiając się nad potencjalnym rozwojem wypadków, kreśląc alternatywne scenariusze. Czy Emese, po trzecim, może czwartym piwie, stanie w pokoju, zacznie się rozbierać i wieczór skończy się tak jak wczoraj? Po dziewczynie mógł się spodziewać wszystkiego. To go przerażało, ale jednocześnie podniecało. Nawet gdyby miał ochotę na seks (a miał), nic od niego nie zależało.

Tymczasem ona wolała upić się zimnym piwem, bezmyślnie przerzucać kanały na kablówce, opowiadać dowcipy, a z upływem czasu mówiła coraz słabiej po angielsku. Aż wreszcie zasnęła na kanapie niespokojnym snem, mrużąc coś do siebie, podnosząc głos, wysuwając oskarżenia pod adresem nieistniejących adwersarzy. Tomasz nie chciał jej budzić, okrył tylko kocem, a sam poszedł spać do sypialni.

Przed zaśnięciem zapalił ostatniego papierosa, szeroko otworzył okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec kamienicy, patrzył na czarne mury i gwiazdy migające na bezchmurnym niebie.

Jutro znów będzie upał, pomyślał. A potem przez chwilę męczyło go przekonanie o bezsensie całej sytuacji, w jaką się wpakował. Zamiast tego mógł teraz spędzać czas w towarzystwie Adrianny. Zamieszanie po porwaniu Alicji skończyłoby się za tydzień, góra dwa, brak postępów w śledztwie można by rzucić na opieszałość policji, a samemu w tym czasie wyskoczyć

gdzieś z Adrianną, spędzić upojny tydzień na plażach Chorwacji, może wynająć niewielką żaglówkę. Każdego wieczoru obżeraliby się owocami morza i upijali vranacem, a potem pieprzyli w rytm morskich fal.

Figura zdesperowanego kowboja, samotnego ojca na tropie porwanej córki, początkowo wydawała mu się bardzo atrakcyjna. Nie tylko zdecydował się włożyć tę maskę, ale i sam w nią uwierzył. Ale ta odpowiedź, podobna motywacja, już mu nie wystarczała. Czy po prostu bał się, że Adrianna go zostawi, zmieni podjętą wcześniej decyzję, kiedy w obliczu tragedii rodzinnej Tomasz okaże się dupkiem i banalnym skurwysynem? Jeśli nie postąpi tak, jak POWINIEN postąpić?

Wyrzucił niedopałek przez okno i patrzył jak spiralną krzywą pikuje w dół.

\* \* \*

Do rabina Rosenberga pojechali z samego rana. W samochodzie Tomasz podzielił się z Emese swoimi obawami i oczekiwaniami odnośnie do wizyty. Opisał wydarzenie sprzed ośmiu lat, czerwone oblicze starego człowieka, bliznę pooparzeniową szpecącą twarz, śmierdzący oddech i pełen przerażenia głos.

— Nie wierzę w przypadki — powiedziała Emese, a jej głos emanował niezwykłą pewnością siebie. — Ktoś, kto porwał twoją córkę, miał powód, aby wynająć drogiego specja z Węgier i wysłać go z misją do Polski. Wszystko wskazuje, że korzenie tej sprawy tkwią w przeszłości. Jeśli oczywiście Josef Rosenberg i postać z twojej opowieści to jedna i ta sama osoba.

Rabin mieszkał na terenie żydowskiego kwartału kamienic niedaleko Wielkiej Synagogi.

— Moje dziecinne strony — wyjaśniła Emese, przeciskając się jednokierunkowymi uliczkami w poszukiwaniu wolnego miejsca do zaparkowania. — Tutaj się wychowałam. — Wypatrzyła wreszcie szczelinę w sznurze samochodów ustawionych na chodniku.

Na ulicy Tomasz przypomniał sobie wentylatory poprzyczepiane według nieregularnego wzorca do ścian budynków; po raz kolejny dopadły go wspomnienia, aż ugięły się pod nim kolana.

— To miejsce coś w sobie ma — powiedział do Emese. — Wiem, że to brzmi jak banał, ale tu czuje się jakąś nieuchwytną tajemnicę.

— Całe życie myślałam tak samo.

Klatka schodowa wiekowej kamienicy stanowiła miłe schronienie przed panującym na zewnątrz upałem. Drewnianymi schodami weszli na trzecie piętro i stanęli przed drzwiami opisanymi jako „Rosenberg”. Nie było dzwonnka, Emese zapukała.

Drzwi otworzyła tęga stara kobieta. Ubrana była w poplamiony fartuch, spod zawiązanej na głowie chustki wystawały pasma białych włosów. Miała zniszczoną twarz i smutną minę, jakby dźwigała na swoich barkach troski całego świata. Oddech świszcział jej w płucach, wyglądała na osobę schorowaną, naprawdę cierpiącą.

Potężnym cielskiem zagroziła wejście do mieszkania. Emese rozmawiała z nią chwilę po węgiersku, staruszka zaprzeczała, kręciła głową, wymachiwała otwartą dłońią. Dziewczyna pokazała jej legitymację policyjną i wówczas opór zniknął, lecz niechęć pozostała.

— Rabin Rosenberg jest bardzo chory — wyjaśniła kobieta. — Ostatnia faza raka. Lekarze nie dają żadnych szans. Niedawno miał operację, ale dwa dni temu przyszło pogorszenie. Od tej pory nie rusza się z łóżka. Woli umierać w domu, nie w szpitalu.

— On tutaj jest? Będziemy się mogli z nim zobaczyć?

Gruba z ociąganiem przesunęła się na bok. W środku śmierdziało starością i gotowaną kapustą. Tomasz dostał oczopląsu – w mieszkaniu było wszystkiego za dużo, niczym w sklepiku ze starociami. Gobeliny i wyszywane makatki na ścianach, okrągłe stoliki uginające się pod ciężarem wypolerowanych świeczników, kielichów, tajemniczych szkatułek i innych rzeczy, których przeznaczenie mógł znać wyłącznie sam Jahwe. Stare mapy pozwijane w rulony, globusy z granicami państw z czasów kolonialnych, astrolabia i sekstansy. Książki, wielkie tomszcza oprawione w skórę i pokryte grubą warstwą kurzu.

Wejście do pokoju chorego nie miało drzwi, tylko parawan z koralami. Uczony w piśmie, znawca Tory, Miszny, Gemary i Talmudu, Josef Rosenberg leżał na drewnianym łożu w białej pościeli, na dwóch ogromnych poduchach.

Miał półprzymknięte oczy, a na żyłę lewej ręki założony wenflon, do którego została wpięta podwieszona wysoko kroplówka na szpitalnym wysięgniku.

Wystarczył jeden rzut oka. Tomasz w mig go rozpoznał.

To on. Ten sam człowiek, którego spotkał osiem lat temu na budapeszteńskiej ulicy.

Teraz Josef Rosenberg oddychał ciężko i nic nie wskazywało, aby utrzymywał jakikolwiek kontakt z rzeczywistością.

Pierwsza pochyliła się nad nim Emese. Stała przy kroplówce, dotknęła ręką ramienia umierającego i delikatnie potrząsnęła. Powiedziała coś po węgiersku. Mówiła powoli i bardzo wyraźnie.

— On nie odpowie — odezwała się niespodziewanie stojąca w progu gospodyni. Mówiła po angielsku z ciężkim słowiańskim akcentem. Ostrożnie dobierała słowa. — Nie może mówić.

Po Emese przysła kolej na Tomasza. Podeszedł do łóżka i spojrzał rabinowi w oczy. Wtedy coś zaiskrzyło. W oczach starego pojawiło się zrozumienie.

Rozpoznał go!

Rosenberg zaczął oddychać szybciej, pomarszczona, pokryta brodawkami i różowymi plamami dłoń uniosła się niepewnie i próbowała znaleźć dłoń Tomasza. Usta starego poruszały się w niemym szepcie.

— Chce coś powiedzieć — wyjaśniła gospodyni. — Dam mu coś do pisania. Poczekajcie.

Zniknęła za koralową zasłoną i pojawiła się po chwili. Przyniosła kartkę w kratkę oraz pióro. Poprawiła poduszkę za plecami rabina i podniosła go na łóżku do pozycji półsiedzącej. Pod kartę podłożyła książkę w twardej oprawie, bez obwoluty, aby dało się wygodnie pisać. Stary niepewną dłonią chwycił pióro i przycisnął je do papieru. Natychmiast powstał wielki kleks.

— Długopis albo ołówek, będzie prościej — zarządziła Emese, a gruba przybrała pełen pretensji wyraz twarzy, ale spełniła prośbę.

Jednorazowy BIC pewniej leżał w dłoni starca. Mężczyzna stawiał drukowane litery, chwiejne jak pierwsze próby przedszkolaka, ale czytelne. Minęło kilka minut, nim uporał się z całością.

„NATHAN TAUBER, SEWASTOPOL” – przeczytali.

Długopis wypadł ze słabej dłoni, rabin opadł na poduszki wyczerpany zadaniem, jakie sam sobie narzucił. Miało się wrażenie, że za chwilę umrze.

— Idźcie już stąd. Idźcie już, nie widzicie, że więcej nic nie powie?! — Gospodyni wskazała dłonią drzwi.

W samochodzie Tomasz unikał spojrzenia Emese.

— Zawieź mnie na dworzec kolejowy — poprosił. — Muszę kupić bilet na Krym.

Policjantka po prostu skinęła głową i ostro zmieniła pas, wjeżdżając na górny poziom estakady ponad ruchliwą ulicą. Deklaracja Szymkowiaka była dla niej całkowicie racjonalna i zrozumiała, stanowiła naturalną konsekwencję dotychczasowej strategii. Jego kruczata zaczęła się w Warszawie i poprzez Budapeszt prowadziła na ukraiński półwysep. Czy tam się skończy?

— Pojechać z tobą? — zapytała.

Tomasz widział sprawę zupełnie inaczej. Wyjazd na Krym był ostatnią rzeczą, na którą miał teraz ochotę. Sunął jednak przed siebie samą siłą inercji. Pojedzie tam, spotka się z tym człowiekiem i może uda mu się dowiedzieć, dlaczego umierający rabin zlecił porwanie jego ośmioletniej, chorej na autyzm córki. To wszystko. Zapakuje Alicję do samolotu, wróci do kraju, gdzie odstawi dziewczynkę w ramiona roztrzęsionej matki, lub jeszcze lepiej, do zamkniętej prywatnej kliniki gdzieś w Bieszczadach, gdzie raz do roku, na Dzień Dziecka, będzie przywoził małej w prezencie pluszowego misia.

— Nie, ale dzięki za gotowość. To jest moja prywatna sprawa i muszę sam ją skończyć. — Emese pokiwała ze zrozumieniem głową, a on nie potrafił się nadziwić, że wcale nie czuje się podle, kiedy kłamie.

Na dworcu kupił bilet na jutrzejszy pociąg. Emese dopytywała, dlaczego nie zdecydował się na jazdę autem, ale wyjaśnił, że nie ma sił na długą i męczącą podróż po ukraińskich drogach.

— Najlepiej odstawię samochód na jakiś podmiejski osiedlowy parking. Z dała od ciebie, żeby nie narobić ci kłopotów — wyjaśnił. — Wcześniej zdemontuję tablice rejestracyjne, to zbyt szybko mnie nie namierzą.

Policjantka wzruszyła ramionami.

— Może stać pod moim domem. Tam będzie bezpieczny.

Pociąg odjeżdżał z dworca Budapeszt Keleti skoro świt, o czwartej trzydzieści. Tomasz spakował walizkę, niepotrzebne rzeczy schował do bagażnika samochodu zaparkowanego kilka ulic dalej od kamienicy Emese. Dziewczyna przygotowała lekką kolację, mieszaną sałatę rzymską, rukolę i rozszponki obficie polaną oliwą, a do tego bruschettę. Z barku wygrzebała butelkę wódki z resztką alkoholu na dnie i zrobiła na jej bazie orzeźwiające drinki z dodatkiem limonkowego napoju gazowanego, lodu i liści mięty.

Po kolacji siedzieli w salonie. Palili papierosa za papierosem. Dobrze czuli się w swoim towarzystwie i wiedzieli, że rozstanie nikomu nie przyjdzie łatwo, ale przyjęli milczące porozumienie, że nie będą o tym rozmawiać.

Chwilę przed północą Tomasz powiedział:

— Późno już. Pójdę spać, chociaż na kilka godzin, jutro muszę wcześniej wstać.

Węgierka wzruszyła ramionami.

— Jasne. Odwiozę cię na dworzec.

Kiedy Tomasz zgasił światło w salonie, rozebrał się do bokserów i przykrył chłodnym prześcieradłem, skrzypnęły deski podogi. Przez ledwie uchylone drzwi do salonu wślizgnęła się Emese. Na tle bijącego z korytarza światła Tomasz widział wyłącznie zarys jej sylwetki. Była naga.

Położyła się obok niego, objęła go za szyję i mocno przytuliła. Kochali się, i tym razem wyglądało to zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. W seksie nie było nic z pornograficznych zapasów, Emese była zaskakująco delikatna i uległa, a kiedy skończyli, wcale nie wyskoczyła z łóżka prosto pod prysznic, jak zwykła to robić Adrianna, tylko położyła mu dłoń na piersiach i tak zasnęła.

\* \* \*

Alarm w komórce obudził ich kwadrans przed czwartą. Na zewnątrz było jeszcze ciemno, ale na niebie ponad zielonymi wzgórzami okalającymi miasto widać już było szarą lunę zwiastującą nadciągający świt. Spali nie więcej niż trzy godziny, ale czuli się wypoczęci. Wypili po małej filiżance kawy i Emese zawiozła go na dworzec. Ulice były całkowicie wyludnione.

W budce na peronie Tomasz kupił tygodnik po angielsku i kanapkę. Znalazł właściwy wagon i zatrzymał się przed wejściem. Emese stała obok,

nie wiedziała, co robić z rękami, splotła dłonie za plecami i wyczekująco przestępowała z nogi na nogę.

— Dziękuję za wszystko... — chciał powiedzieć więcej, ale gwałtownie zaprotestowała.

— Daj sobie spokój. Nie gadaj banałów, bo tego nie znoszę. Ja tobie też dużo zawdzięczam.

Wolał nie wiedzieć, co przez to rozumie.

— Kiedy wraca twoja córka?

— Za tydzień.

— Czy zawsze potrafi postawić na swoim, podobnie jak jej mama?

Emese uśmiechnęła się.

— Mnóstwo z nią problemów wychowawczych.

— Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

Wzruszyła ramionami. Wiedział, że najwyżej mu nie odpowie.

— Andrzej Bajbak. Ja go nie zabiłem, prawda? Wiesz wszystko od Elmara, ale mi nie powiedziałaś. Zostawiłem tego drania nieprzytomnego, miałem dłonie we krwi, ale... — Oddech urwał się nieoczekiwanie w pół zdania, Tomasz zrobił wymuszoną pauzę. — ... on żyje — dokończył.

— Dlaczego tak myślisz?

— Gdybym go zamordował, nie cackałabyś się ze mną. Nie prowadziłaś tej swojej gry. Nie robiła wspólnych interesów. Wolałaś trzymać mnie krótko. Umierałem ze strachu, że mnie ścigają, i dlatego łatwiej ci było mną sterować. Mam rację?

Nie odpowiedziała. Półprzymknęła powieki, stanęła na palcach, cmoknęła Tomasza w policzek, a potem spojrzeli sobie w oczy. Odwróciła się na pięcie, zbiegła schodami do przejścia podziemnego i tyle ją widział.

# SZESNAŚCIE

## DAVID/ BUDAPESZT

Budapeszt przywitał Davida letnią mżawką. Było gorąco i drobny deszcz przynosił wyczekiwane ochłodzenie. Śmierdział rozgrzany asfalt. Ludzie jakby nigdy nic spacerowali ulicami miasta, przesiadywali w kawiarnianych ogródkach. David zameldował się w hostelu i poszedł od razu do Wielkiej Synagogi, bo gdzie indziej mógł szukać rabina? Był wczesny wieczór.

Kupił bilet, tłocząc się przed wycieczką Japończyków, odebrał obowiązkową jarmułkę i zamienił kilka słów w jidysz z ochroniarzem. Ten natychmiast zapałał do fizyka sympatią, patrząc krzywo na hałaśliwych Azjatów.

— Szukam wielkiego mędrca, rabina Josefa Rosenberga. Przyjechałem do niego po poradę.

Facet bardzo się ucieszył i od razu podał jego adres. W Budapeszcie znał go każdy Żyd.

— Musisz się spieszyć — dodał. — On jest bardzo chory. Mówią, że może umrzeć każdego dnia. Nowotwór.

W podziękowaniu David skinął głową i ku zdumieniu ochroniarza od razu ruszył w stronę wyjścia, pod prąd rzeki skośnookich turystów. Na mapie znalazł właściwą ulicę. Rabin mieszkał niedaleko synagogi, w kwartale starych żydowskich kamienic. Kiedy skręcił z Wesselényi útca, po której sunął akurat trolejbus, wszedł prosto w gromadę podekscytowanych ludzi. W wąskiej Kazinczy útca stał zaparkowany wóz policyjny i karetka pogotowia.

Spóźnił się.

— Czy tutaj mieszka rabin Josef Rosenberg? Coś się stało? Chciałem z nim porozmawiać — zagadywał zgromadzonych po angielsku i w jidysz.

Ignorowali go, aż wreszcie brzuchaty facet, którego pot śmierdział jak kiszony ogórek, huknął mu prosto w twarz:



— Rabin Rosenberg nie żyje!

W tłumie nastąpiło poruszenie. Z kamienicy wyszli sanitariusze niosący na noszach zwłoki duchownego. Ciało owinięto czarną tkaniną – z daleka nie było widać, czy to prześcieradło, czy plastikowy worek. Karetka odjechała, ale tłum nie ruszał się z miejsca. Kilka osób odmawiało kadysz, ktoś wyciągnął spod koszuli frędzle *cicitu*, inni rozprawiali po węgiersku, obficie gestykulując.

Na dziewczynę David zwrócił uwagę od razu. Stała w pewnym oddaleniu od reszty, paliła papierosa i uważnie obserwowała rozgrywającą się scenę. Pomimo upału miała na sobie spodnie w kant i wypuszczoną na nie białą koszulę. Wyglądała jak konsultantka biznesowa pracująca w pobliskiej siedzibie PricewaterhouseCoopers, która wyskoczyła na fajkę i zawędrowała na miejsce zgromadzenia, przyciągnięta jękiem syren ambulansu.

David zaklął ciężko. I to by było na tyle. Jeden jedyny trop, który prowadził do tajemnicy Mayera Hochbauma, został właśnie przerwany. W dodatku wszystko wydarzyło się w ciągu jednego tygodnia. Dwóch bliskich współpracowników, połączonych „sprawą Putnisa”, odchodzi z tego świata prawie w tym samym czasie. Sześćdziesięcioośmioletni profesor fizyki dostaje ataku serca, rabin zaś przegrywa walkę z rakiem.

Kto mu jeszcze został? Kto może znać zakończenie historii Mayera? W naturalny sposób pomyślał o Nathanie Tauberze.

David wycofywał się, zgarbiony i zamyślony, kiedy drogę zagroziła mu nieznajoma w białej bluzce i zaatakowała potokiem węgierszczyzny.

— Nie rozumiem — bronił się po angielsku. Chciało mu się śmiać. Pomyliła go z kimś innym?

Szybko przestało mu być do śmiechu.

— Emese Nagy, policja. — Dziewczyna przeszła na angielski i machnęła mu przed nosem służbową legitymacją. — Proszę o dokument tożsamości.

— O co chodzi? Musiało zajść jakieś nieporozumienie. — Z ociąganiem podał jej paszport. — Jestem turystą. Przechodziłem tutaj, no i...

Policjantka wcale nie zamierzała oddawać dokumentu, co niepokoiło go coraz bardziej.

— Pojedziesz ze mną. — Wskazała nieoznakowany samochód postawiony pod znakiem zakazu parkowania przy wylocie ulicy.

David usiadł na przednim siedzeniu. Policjantka wrzuciła jego paszport do torebki, nie odezwawszy się ani słowem. Dochodziła dwudziesta pierwsza, wieczorny deszczyk przyniósł miłą bryzę; wreszcie dało się oddychać. Jechali pustymi ulicami Pesztu, który wyglądał irytująco nierzeczywiście, jak kartonowa teatralna dekoracja.

— To jakieś nieporozumienie. Pani mnie z kimś pomyliła... Jestem tylko turystą. Chciałbym skontaktować się z ambasadą.

Dziewczyna cierpliwie ignorowała pytania. Po kilku minutach ogarnął go strach. W co się znowu wpakował? Po wrześniowej przygodzie w Lizbonie przestał ufać policji. Zwłaszcza jeśli to była policja z innego kraju i nie potrafił w łatwy sposób pojąć jej intencji. Kątem oka zezował na Emese. Miała czarne włosy i także oczy. W skupieniu prowadziła samochód i czynność ta absorbowała ją bez reszty – na jej twarzy przez całą drogę nie drgnął ani jeden mięsień.

Zatrzymali się przed posterunkiem policji. Puściła go przodem, w dalszym ciągu milcząc. Jeden z mundurowych grzecznie się uklonił i otworzył im drzwi do części biurowej. Na wąskim korytarzu stał groźnie wyglądający chłopak w bluzie z kapturem oraz ostro wymalowana dziewczyna w czarnych pończochach i minispódniczce tak krótkiej, że odsłaniała czarny pasek manszety na lewej nodze. Para rozstąpiła się i zrobiła im przejście. Z jednego biura wyjrzał gruby policjant z gęstymi wąsami, tłustym palcem wymierzył w pierś Davida i spojrzał pytająco na Emese. Ta rzuciła kilka zdań po węgiersku, grubas zaśmiał się i z politowaniem na twarzy szturchnął chłopaka w plecy.

Co mu powiedziała?

— O co chodzi? — zapytał David po angielsku, ale policjant najwyraźniej nie zrozumiał.

Szli dalej, zapuszczając się w coraz mniej uczęszczane korytarze. Zeszli wreszcie na niższy poziom, gdzie nie było żywego ducha. Pozostało mu zgadywać: pewnie mieściło się tam archiwum, pomieszczenia techniczne, kotłownia lub coś w tym stylu.

— Tutaj. — Emese pchnęła obite tapicerką drzwi i weszli do pokoju przesłuchań. Usiedli na przeciwległych krańcach stołu. Wreszcie miało się wszystko wyjaśnić.

— Czego ode mnie chcesz? — powtórzył David.

— Chciałeś się spotkać z rabinem Josefem Rosenbergiem. Rozpytywałeś o niego. Jaki był cel waszego spotkania?

David czuł się nieswojo. Chłopak może nie był świetnym psychologiem, ale potrafił normalnie odczytywać intencje innych osób: na podstawie mowy ciała, intonacji głosu, spojrzenia, tysięcy innych drobnych elementów, składających się na komunikację niewerbalną. Z Emese było zupełnie inaczej. Patrzył na dziewczynę – i nie widział żadnych uczuć, ludzkich odruchów, zmęczenia po długim upalnym dniu pracy, tęsknoty za domem, wygodnym fotelem, prysznicem, ulubioną gazetą. Nic. Jakby rozmawiał z komputerem, a policjantka odgrywała wyłącznie rolę przekaźnika, biologicznego interfejsu. Nie potrafił ustalić nawet tego, w jakiej roli sam występuje w tej rozmowie. Czy jest podejrzanym (ale o co)? Świadkiem, informatorem, ekspertem?

Z każdą chwilą bał się coraz bardziej. I dlatego postanowił kłamać. Skoro nie wiedział, do czego może użyć prawdy, wołał się z nią nie odkrywać.

— Rabin Rosenberg jest światowej sławy duchowym autorytetem. Chciałem z nim porozmawiać na tematy religijne.

— To główny cel twojej wizyty na Węgrzech?

— Nie. Przyleciałem na wakacje. Z rabinem chciałem się spotkać przy okazji.

Emese przewertowała jego paszport, szukając pieczętka. I tu go miała.

— Przyleciałeś do Budapesztu dzisiaj i od razu przybiegłeś się z nim spotkać? Zamiast pozwiedzać miasto, urznąć się w knajpie, poderwać laskę, zabawić się? Za kogo ty mnie masz?

— Najpierw obowiązki, potem przyjemności — powiedział i już bardziej sztucznie to zabrzmieć nie mogło.

— Kłamiesz. Zacznijmy od początku. Dlaczego przyjechałeś do rabina Rosenberga?

Bez zająknięcia opowiedział tę samą historię. Patrzył na policjantkę, jakby był uczestnikiem jakiegoś kolejnego okrutnego testu Zimbardo czy innego Milgrama. Jak długo utrzyma nerwy na wodzy? Czy przesłuchanie będzie oparte tylko na grze emocji, czy też w końcu pojawi się przemoc?

Kto pęknie pierwszy?

— W jakim celu chciałeś spotkać się z rabinem Rosenbergiem?

Znów to samo.

Już teraz, czy jeszcze jedna runda?

Emese wstała i bez słowa wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. David rozumiał, że pakuje się w coraz większe kłopoty, ale nie potrafił się wycofać. Emese Nagy – jej NIEPOZNAWALNOŚĆ – zafascynowała go bez reszty. Nie wiedzieć kiedy, przestał się bać, bezwiednie przyjął pozycję eksperymentatora, dawającego bodźce i analizującego zachowanie badanego obiektu.

Wstał z krzesła, przeciągnął się i zaczął spacerować dookoła stołu. Szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte. Policjantka wróciła za piętnaście minut. Stanęli naprzeciwko siebie.

— Słucham — powiedziała.

— Jestem turystą i...

Nie skończył. Emese zamachnęła się i wymierzyła mu solidny cios w twarz. Pierścionek na palcu zahaczył o skórę policzka, strasznie zapiekło. David wybałuszył ze zdumienia oczy. Był oszołomiony. Policjantka skorzystała z okazji i popchnęła go. Osunął się na krzesło.

— Co robisz? — krzyknął w nagłym przypiływie paniki. Za wszelką cenę starał się trzymać nerwy na wodzy, ale kiepsko mu wychodziło. — Narobię ci syfu, wiesz? Wpierdolisz się w niezłe kłopoty. Pogadam z twoim przełożonym.

Emese zaczęła się śmiać.

— Tak sądzisz? A komu twoim zdaniem uwierzą? Dobrej koleżance, która pracuje na policji osiem lat, czy napalonemu gówniarzowi, który złapał ją za cycki podczas rutynowego przesłuchania?

No tak.

— Teraz będziemy gadać inaczej?

Eksperyment dobiegł końca. Granice Emese Nagy zostały zdefiniowane.

— Ale o co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego mi nie wierzysz? Przecież mnóstwo osób przychodziło po radę do rabina Rosenberga.

Emese przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko Davida.

— Bo coś mi tutaj strasznie śmierdzi. Rosenberg był w terminalnej fazie raka, od dawna wiedział, że zdycha i nie ma już nadziei, a dzisiaj po południu zdecydował odstrzelić sobie łeb.

— Co? — wyjąkał chłopak, macając dłonią po zranionym policzku, rozmazując krew. Emese podała mu chusteczkę. — Myślałem, że on...

— To się pomyliłeś. Rabin wsunął sobie w usta pistolet i pociągnął za spust. A akurat ty kręciłeś się w pobliżu. Pewnie to najzwyklejszy zbieg okoliczności, ale próbuję złożyć wszystkie elementy w całość. Gadaj, co wiesz i po co przyjechałeś się z nim spotkać.

Zaczął mówić. Opowiedział trochę o sobie, czym się zajmuje, o znajomości z Hochbaumem i jego pracami nad Teorią Ostateczną. Wspomniał o zapomnianych notatkach pewnego łotewskiego naukowca, nieoczekiwanej śmierci Mayera i instrukcji, jaką ten przekazał mu tuż przed śmiercią.

Emese była usatysfakcjonowana.

— Rosenberg interesował się fizyką. Miewał na ten temat odczyty na konferencjach religijnych. Wiedziałaś o tym? — Spojrzała na niego badawczo.

Skinął głową.

— Mówi ci coś nazwisko Nathan Tauber? — zapytała.

— Kumpel profesora Hochbauma. Służył w Mossadzie.

Oczywiście nie zamierzał jej wspominać o Trójcy Świętej, Budapeszcie '84, wiedeńskiej masakrze, Gusz Emunin, projektach CIA związanych z postrzeganiem pozazmysłowym, o Wheelerowskim modelu wszechświata partycypacyjnego i jego związku z mesjanistycznymi konceptami judaizmu, o paradoksach kauzalnych i samodualności.

— Nathan Tauber jest w Sewastopolu — zdradziła Emese.

Mayer miał atak serca właśnie w Sewastopolu. Powiedział, że jedzie do kumpla. Czyżby do Nathana? David się wzdrygnął.

— Coś się stało?

— Profesor Hochbaum zmarł w Sewastopolu.

Uśmiech Emese mówił (wreszcie dało się z niej czytać!) „nareszcie coś”.

— I co teraz zrobisz?

— Pojadę do Sewastopola.

— Takie to dla ciebie ważne?

— Jeśli dzięki temu spotkaniu rozszyfruję notatki i rozwiążę równania Teorii Wszystkiego – to najważniejsze. Osobiście panią pozdrowię podczas przemówienia przed Królewską Akademią Nauk, kiedy będę odbierał Nobla.

— Trzymam cię za słowo.

David w Budapeszcie spędził zaledwie jedną noc. Z komisariatu policji, po burzliwym spotkaniu z Emese Nagy, wyszedł około dwudziestej drugiej. Noc była gorąca, miasto żyło. Chłopak umierał z głodu i marzył o piwie. Jednak zanim ruszył na poszukiwanie knajpy, poszedł na dworzec Keleti, gdzie kupił bilet na pociąg do Sewastopola z przesiadką w Tarnopolu.

Następnego dnia wsiadł do wagonu sypialnego, położył się na górnej leżance, wszystko wokół lepiło się od brudu i potu, a on miał przed sobą perspektywę dwudniowej podróży w żarze, spiekocie, przy ciepłej wódce serwowanej przez współpasażerów i w smrodzie wędzonych ryb. Ale i tak był podekscytowany i nie mógł się doczekać, kiedy dojedzie na miejsce.

# SIEDEMNAŚCIE

## TOMASZ/ SEWASTOPOL

Tomasz odważył się zadzwonić do Adrianny z dworca w Odessie, gdzie miał przesiadkę. Była głucha noc, krążył po opustoszałym peronie, czekał na pociąg widmo, który miał go zawieźć do nieistniejącego miejsca w nieistniejącym kraju. Mężczyzna czuł się, jakby znikł, przestał istnieć, niespodziewanie, z minuty na minutę, zawieszony w przestrzeni pomiędzy: miastami, państwami, światami, na skrzyżowaniu szlaków kolejowych. Rozbitek pozbawiony nie tyle tożsamości, ile wewnętrznej konstytucji, osobowego „ja”, siedzącego w szyszynce samoświadomego homunkulusa, podejmującego decyzje i odczuwającego emocje.

Siedział na ławeczce na peronie, walczył z sennością, żeby zabić czas, grał w tenisa na komórce. Wtedy pojawiła się myśl „Zadzwonić do Adrianny”. Dziwne, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy.

Wybrał na komórce numer. Odebrała szybko.

— To ja. To mój nowy numer. Stary telefon zgubiłem.

— Żyjesz? — głos dziewczyny był pełen pretensji.

Tomasz zastanawiał się, czy nie wymyślić na poczekaniu zgrabnego kłamstwa, że stało się coś nieoczekiwanego i strasznego, przerastającego po tysiąckroć zniknięcie Alicji. Zrezygnował.

— Ile czasu się nie odzywałeś? Dwa tygodnie? Przypomnij mi, bo się zgubiłam w rachunkach.

— Jestem w Odessie. Jadę na Krym. Jestem na tropie porywaczy Alicji.

— Dlaczego nie dzwoniłeś wcześniej? Strasznie się denerwowałam.

Musiła zadowolić się mętną wymówką o braku zasięgu, rozładowanym telefonie, trudnych warunkach. Nie dała się przekonać, ale Tomasz tego nie oczekiwał. Przyszła pora na trudniejsze pytania.

— Musisz tam jechać? Nie możesz wrócić do Polski i zdać się na policję? W końcu od czegoś oni są.

Ale przecież wiedział, że gdyby teraz zmienił zdanie, utraciłby całą budowaną z takim mozolem wiarygodność. Jeśli wzniósł przed Adrianną konstrukcję z kłamstwa, musi się teraz go trzymać i traktować je jak prawdę. Jeszcze przez chwilę, góra dwa–trzy dni. Później zapakuje swój gruby tyłek w samolot i czym prędzej klasą biznes wróci do kraju, upijając się do nieprzytomności w ciągu dwóch godzin lotu.

— W końcu to moja córka — odpowiedział i znów poczuł się podle.

Adrianna zrozumiała: podobną deklarację zrozumie każda kobieta na całym świecie, nawet jeśli nie jest jeszcze matką.

— Wracaj najszybciej, jak tylko możesz — wydukała. — Brakuje mi ciebie.

Przez chwilę zastanawiał się jeszcze, czy nie zadzwonić do Ewy, ale szybko porzucił ten pomysł i wrócił do gry w tenisa. Do pociągu zostało czterdzieści minut.

\* \* \*

Kiedy ukraiński pogranicznik wszedł do przedziału, przekreślił włącznik światła, a kuszetkę zalała jarzeniowa jasność, Tomasz zmrużył oczy. W kieszeni koszuli odszukał paszport. Nie czuł strachu. Mundurowy patrzył nań wyczekująco, a chwilę potem uważnie przestudiował zdjęcie. Przewracał wyświechtane kartki, z zainteresowaniem oglądał co ciekawsze wizy. W trakcie kontroli gdzieś zadzwonił, mówił do komórki, ścisząc głos, co stanowiło niepotrzebny środek bezpieczeństwa, gdyż jedyny pasażer przedziału i tak nie znał choćby słowa po ukraińsku. Tomasz jednak nie miał się czego bać. Był zwykłym turystą zwiedzającym Europę Wschodnią, nie zabił Andrzeja Bajbaka, policja nie wystawiła za nim listu gończego i nie znajdował się na liście najbardziej poszukiwanych przestępców Interpolu.

Kiedy wysiadł w Sewastopolu, czuł się nieco nieświeżo, marzył o prysznicu i butelce zimnego piwa, ale był wypoczęty. Wyspany i pełen sił do dalszego działania, aby raz-dwa zakończyć sprawę i więcej do niej nie wracać. Miał pewność, że Sewastopol jest ostatnim przystankiem jego ojcowskiej krucjaty.

Przed dworcem natychmiast obsiadła go chmara taksówkarzy oraz babuszek oferujących noclegi. Wybrał kierowcę, który mówił łamaną



angielszczyzną, żylastego dziadka w znoszonej marynarce, wyglądającego tak, jak wyobrażał sobie funkcjonariusza GRU na emeryturze. Wrzucił walizkę do bagażnika wołgi, rozsiadł się z tyłu na skórzanych fotelach i nim taksjarsz odpalił silnik, miał już plan działania. Kazał się zawieźć do niedrogięgo hotelu.

— Szukam kogoś — zagadnął od niechcienia, czekając na reakcję.

Kierowca obrzucił pasażera badawczym spojrzeniem.

— Kogo pan szuka?

— Pewnego człowieka — powiedział Tomasz i poczuł się głupio, jak zbcoczeniec rozglądający się za zdeterminowaną dziwką, która zaspokoi jego wszystkie chore fantazje. Lecz kierowca, być może rzeczywiście były funkcjonariusz wywiadu wojskowego, zapewne nie takie rzeczy widział w swoim długim życiu. Taksówkarz co i raz strzelał spojrzeniem we wsteczne lusterko. — Kolegę z dawnych lat — uzupełnił.

— Ten kolega mieszka gdzieś tutaj? Na Krymie?

— Wszystko na to wskazuje.

— Jak bardzo panu... — długo szukał właściwego słowa — ... zależy na jego znalezieniu?

— Bardzo zależy. Mogę całkiem sporo za to zapłacić.

Kierowca tylko na to czekał.

— Proszę mi zapisać numer do siebie. Ktoś powinien się z panem skontaktować.

Tomasz zatrzymał się w hotelu Kosmos. Z uśmiechem na ustach podał recepcjonistce paszport; naładowany energią, czuł wielką lekkość, jak pacjent, który otrzymuje wiadomość, że w laboratorium pomyłono pojemniki z krwią i diagnoza złośliwego nowotworu nie dotyczy wcale jego.

Wykupił pokój na trzy noce. Zapłacił z góry, bez obaw wyciągnął kartę kredytową, patrzył jak dziewczyna przesuwając paskiem magnetycznym po czytniku i prosi o wstukanie PIN-u. Znów chciało mu się żyć, pierwszy raz od pamiętnego wieczoru z Adrianną, kiedy złożona przez nią deklaracja wywróciła jego życie do góry nogami.

Rozpakował walizkę i uciał sobie krótką drzemkę przy zasłoniętych roletach, szczelnie odcinających dostęp światła słonecznego. Obudził się

z silnym bólem głowy, wziął gorący prysznic i zszedł do hotelowego baru, gdzie wypił red bulla. Poprosił kelnerkę o książkę telefoniczną Sewastopola. Musiał przypomnieć sobie cyrylicę, ale poszło mu zaskakująco szybko.

W książce telefonicznej nie widniał oczywiście żaden Nathan Tauber.

Posiliwszy się jeszcze kawą, był gotów wyruszyć na miasto. Ból głowy niemal całkowicie zniknął i przypominał o sobie jedynie pulsowaniem na wysokości skroni. W centrum Tomasz odszukał siedzibę biura turystycznego. Wszedł do środka, omamiony fototapetą, na której zdjęcia egipskich piramid sąsiadowały ze spienionymi górskimi rzekami, gdzie radośni śmiałkowie zażywali ekstremalnych przygód raftingu, opustoszałymi plażami Dominikany, błękitnym niebem z Photoshopa, drobnym, białym piaskiem i palmami uginającymi się pod ciężarem kokosów.

Lecz Tomasz był w stanie uwierzyć nawet w największe kłamstwo, byleby nic nie zabiło jego świetnego samopoczucia.

Będę musiał zafundować Adzie taką wyprawę, pomyślał, nim podeszła do niego konsultantka. Tydzień oderwania się od wszystkiego. Gdzieś daleko, minimum osiem godzin lotu od Polski. Tylko my we dwójkę, maksymalne skupieni na sobie, aby poznać się i zrozumieć, jacy jesteśmy naprawdę.

Tymczasem zamiast tygodniowego pobytu w rajku *all inclusive* zarezerwował bilet na lot do Warszawy z przesiadką w Kijowie. Wylot za trzy dni, wczesnym popołudniem.

Do wieczora kręcił się po mieście, zjadł obiad w restauracji przy bulwarze nadmorskim – przypaloną, pełną ości rybę, za którą zapłacił majątek. Popił świetnie schłodzonym piwem. Posiedział na wybetonowanej plaży, patrzył na fale cierpliwie uderzające o brzeg, ich spienione grzbiety załamujące się na ostatniej prostej, tuż przed osiągnięciem celu. Obserwował kąpiących się plażowiczów, śledził wzrokiem handlarzy oferujących suszone ryby, ciastka, owoce leśne zalane słodkim syropem. Zaczepił go dźwigający brezentową torbę starszy facet w bufoniastych spodniach i Tomasz skusił się na kolejne piwo.

Czuł się coraz bardziej błogo.

Do hotelu wrócił trolejbusem około dwudziestej. Niby miał zacząć poszukiwania, lecz z nakreślonego wcześniej planu – popytać taksjarzy, barmanów w popularnych knajpach, może wejść na posterunek policji

z przygotowaną uprzednio historią – nie zrealizował nawet pierwszego punktu. Zaczęł jutro, pomyślał i nacisnął przycisk windy, a wtedy zawołała go recepcjonistka.

— Ktoś zostawił do pana wiadomość. — Podała mu złożoną we czworo kartkę papieru.

Liścik napisany został alfabetem łacińskim, po angielsku, drukowanymi literami.

„PROSZĘ O KONTAKT. WIKTOR”

I dalej następował numer telefonu. Tomasz zadzwonił z komórki od razu po przyjściu do pokoju.

— Halo. — Sądząc po głosie, telefon odebrał nastolatek. Tomasz zdziwił się, ale tylko na chwilę.

— Mówi Tomasz Szymkowiak — przedstawił się po angielsku. — Czy mogę rozmawiać z Wiktorem?

— Oczywiście. Ale wujek nie mówi po angielsku. Będę tłumaczył. Proszę mi mówić Jurij.

Za pośrednictwem Jurija dogadali spotkanie połączone ze śniadaniem: w hotelu Kosmos, następnego dnia o ósmej rano.

Przed zaśnięciem Tomasz osuszył jeszcze jedno piwo wyciągnięte z hotelowego minibaru. Czuł się już lekko pijany, sięgnął po komórkę, znów wadził się z myślą, czy zadzwonić do Ewy, ale zarzucił ten pomysł. W ostatnio wybieranych poszukał numeru Adrianny, ale tuż przed naciśnięciem klawisza z zieloną słuchawką zmienił zdanie. Napisał jej romantycznego SMS-a, najbardziej żarliwego i poetyckiego, na jakiego było go stać. Odpisała podobnie po niecałej minucie.

Rzucił się na łóżko i od razu zasnął.

\* \* \*

Z Wiktorem i jego bratankiem spotkał się przy szwedzkim stole. Dzień zaczął się pechowo, gdyż w drodze na śniadanie Tomasz tak zapatrzył się na nogi przechodzącej obok dziewczyny, że wpadł na młodego chłopaka o ciemniejszej karnacji, maszerującego w sandałach i koszulce polo z logo

uniwersytetu w Lizbonie. Z pełnym impetem zderzyli się ramionami, aż Tomasz stracił równowagę i runął jak długi na wypolerowane płytki holu.

— Ogromnie przepraszam, niezdara ze mnie. — Chłopak wyciągnął do Tomasza dłoń. Miał silny uścisk, pomógł mu wstać. Mówił płynnie po angielsku.

— To moja wina, zamyśliłem się. — Tomasz zrobił zakłopotaną minę, a nieznamy odważemnił uśmiech, jakby domyślał się, co stanowiło powód zamyślenia.

Druga przygoda miała miejsce chwilę później, kiedy Szymkowiak nałożył pełny talerz jedzenia, z termosu nalał do filiżanki kawy i wyekwipowany w ten sposób – w jednej dłoni talerz, w drugiej filiżanka – ruszył na poszukiwania wolnego stolika. Przesadził nieco z ilością kawy, filiżanka podskakiwała na spodeczku, czarny płyn przelewał się przez krawędź i parzył palce. Musiał się gdzieś zatrzymać, odstawić kawę, podmuchać na poparzone paluchy. Wypatrywał wolne miejsce, ale było za daleko. Ruszył szybko do przodu, ale im szybciej szedł, tym więcej kawy rozlewał i ból stawał się coraz bardziej uciążliwy.

Kiedy dotarł do upatrzonego celu, odstawił filiżankę, zacisnął zęby i wytarł serwetką nieprzyjemnie lepiącą się dłoń. Zdziwiony, upił łyżka i skrzywił się. Serwowana z termosów kawa była posłodzona. I to chyba tak z dziesięć łyżeczek na filiżankę.

Przecież nie będzie pił tego gówna.

Rozejrzał się po sali i spostrzegł, że pod ścianą stoją dwie osoby, które obserwują całą scenę z uśmiechem politowania na twarzach. To musieli być oni.

Starszy, żyłasty facet o przesuszzonej skórze i grubym nastolatek w dresie, z twarzą wysypaną młodzieńczymi pryszczami. Wujek trzymał w dłoni filiżankę kawy, bratanek szklanę pomarańczowego napoju. Podeszli do niego.

— Wiktor. — Stary wyciągnął na powitanie chropowatą dłoń, odsłaniając przedramię pokryte tatuażami, wydzierganymi w więziennych warunkach kiepskiej jakości tuszem. Tomasz zaprosił ich, żeby usiedli.

— Ja będę tłumaczem. Wujek nie zna angielskiego — powiedział chłopak poprawnie gramatycznie, ale z niezwykle silnym akcentem, na

granicy zrozumienia. — Ja nazywam się Jurij.

— Podobno szuka pan kogoś, kto mieszka na Krymie — zaczął Wiktor, korzystając z translatorskiej pomocy bratanka. — Kolegi...

— Mieszka gdzieś w Sewastopolu — uzupełnił Tomasz i niezręcznie się uśmiechnął.

Siedział nad pełnym talerzem i głupio było mu zabrać się do jedzenia, skoro rozmówcy zadowalali się wyłącznie napojami. Patrzył z żalem na stygnącą jajecznicę, białe kiełbaski, plastry smażonego bekonu i fasolkę w sosie pomidorowym. Obok przechodził chłopak, z którym Tomasz zderzył się w hotelowym holu. Na śniadanie jadł tylko owoce polane jogurtem. Pozdrowili się skinieniem głowy i uśmiechem.

— Jak nazywa się ten kolega?

— Nathan Tauber.

— To żydowskie nazwisko. Proszę mi powiedzieć coś więcej o pana koledze. Ile ma lat, czym się zajmuje, kiedy widział się pan z nim ostatni raz, w jakich okolicznościach?

Tomasz wpadł w panikę. Powinien teraz zagrać w otwarte karty i wywalić całą prawdę na stół – czy zaimprovizować na oczekaniu kłamstwo, spójną historię, legendę, której będzie się trzymał podczas kolejnych spotkań z Wiktorem?

W ostatnich dniach przekonał się, że był w tym nie najgorszy, ale tym razem trafił na przeciwników lepszych od siebie.

— Proszę sobie dać spokój. — Wiktor uniósł dłoń (a Jurij nieświadomie spapugował ten gest), ucinając jakąkolwiek próbę sfabrykowania kłamliwej historyjki. — Więc szuka pan pewnego człowieka i wie o nim niewiele więcej ponad to, że nazywa się Nathan Tauber i mieszka w Sewastopolu.

Tomasz skinął głową.

— Tak, szukam Nathana Taubera i to wszystko, co o nim wiem.

— Spotkajmy się dzisiaj o dwudziestej drugiej w lokalu Rybatskiy Stan w dzielnicy portowej. Do tej pory postaram się coś dla pana mieć. Jeśli uda mi się ustalić jego adres, zapłaci pan trzysta dolarów. Akceptuje pan warunki?

— Dzisiaj? Będzie pan gotowy tak szybko?

— To jest małe miasto. To jest mały półwysep. Jeśli Nathan Tauber jest gdzieś na Krymie, będę to wiedział dziś do wieczora. Jeśli go nie ma – dla pana to również jakaś informacja, a dla mnie sprawa zamknięta. Ja działam wyłącznie na swoim rewirze. W takim przypadku płaci pan stówkę.

Jedzenie dalej stygło, a on patrzył na żylastego faceta o przedramionach pokrytych więziennymi tatuażami, który mówił coś o rewirach, akceptowaniu warunków i stawkach. Ale za co? Za prawdę o porwaniu Alicji i rozwiązanie, które może okazać się bardzo niewygodne?

— Umowa stoi. — Uścisnęli sobie dłonie.

— Do wieczora.

Dzień upłynął Szymkowiakowi bardzo podobnie do dnia poprzedniego. Włóczył się po mieście, wypił dwie lemoniady z ulicznego saturatora, zdrzemnął chwilę na zacienionej ławce w parku, przekartkował angielskie wydanie „Newsweeka”, kupione na dworcu w Budapeszcie. O siedemnastej doszedł do wniosku, że jeszcze mnóstwo dnia przed nim i nie chce mu się wracać do hotelu, pić piwa w pubie ani robić wszystkich innych rzeczy, które by normalnie w takich okolicznościach robił. Zdecydował się na wizytę w oceanarium i do wieczora spacerował pomiędzy wielkimi akwariami, patrzył na mieniące się tysiącem kolorów ławice ryb i myślał, że kiedyś chciał się nauczyć nurkować. Wydawało mu się to przyjemne, zanurzyć się w ciepłej wodzie, zstąpić pomiędzy rafę koralową, w królestwo ciszy, zostawić na górze świat z jego pretensjami i wyrzutami, przez chwilę nie myśleć o tym, co na powierzchni, skupić się na oddechu.

Nurkować się nigdy nie nauczył, ale zaczął zdradzać Ewę z Adrianną, co sprowadzało się do tego samego. Ucieczki.

A teraz będzie mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Wyjedzie z Adą na wymarzone wakacje do ciepłych krajów, ale wcześniej zafunduje im wspólny kurs nurkowy w Polsce.

Do hotelu wrócił chwilę przed dwudziestą. Wziął prysznic, zszedł na szybką kolację, pooglądał telewizję. Zamówił taksówkę na dwudziestą pierwszą czterdzieści pięć.

Bar Rybatskiy Stan nie był miejscem, do którego Tomasz wszedłby z własnej woli. Położony w paskudnej dzielnicy niedaleko portu, nie był

miejszem dla turystów takich jak on. Tutaj marynarze upijali się do nieprzytomności, a dziwki portowe szukały klientów.

Spotkali się w pomieszczeniu kiepsko oświetlonym żółtymi żarówkami upstrzonymi gównem much. Było to coś na kształt sali dla VIP-ów – poszczególne stoliki odgradzały przepierzenia z boazerii, gwarantujące namiastkę intymności i swobodę rozmowy. Wiktor siedział za solidną dębową ławą i pił piwo. Obok nieodłączny Jurij ścisnął w dłoni wysoką szklanę coca-coli z lodem. Na stole pomiędzy nimi stał wielki talerz pełen zakąsek z owoców morza, które wydzierały niezwykle intensywny zapach.

— Częstuj się — powiedział na powitanie krymski spec od poszukiwań.

Tomasz pokręcił głową i zamówił piwo.

— Nie biorę tej sprawy — oświadczył Wiktor, odczekawszy, aż kelner znajdzie się w bezpiecznej odległości. — Niczego się nie dowiedziałem, nie jesteś mi winny ani dolara. Nie było tematu.

Tomasz spodziewał się wszystkiego – ale nie tego.

— Co udało się panu ustalić?

— Nie było tematu — powtórzył rozmówca i tym razem zrobił to nader dobitnie. — Nie zamierzam więcej o tym rozmawiać.

I tyle powinno wystarczyć. Tomasz miał czyste sumienie — zrobił dużo, więcej niż ktokolwiek po nim oczekiwał. Trop urywał się w Sewastopolu, na pojutrze miał zarezerwowane bilety lotnicze, mógł zaczynać wyśnione nowe życie. To raz, a dwa: wyraz twarzy i intonacja głosu Wiktora zniechęcały do zadawania kolejnych pytań. Powinien teraz dopić piwo, wstać, uklonić się, podziękować za poświęcony czas, wyjść, z taksówki zadzwonić do Adrianny, jakoś przemęczyć się przez cały jutrzejszy dzień, a następnie wejść na pokład samolotu i ruszyć w stronę oślepiającego, nadprzyrodzonego światła.

A jednak tego nie zrobił. Wiktor dowiedział się czegoś na temat Nathana Taubera, ale zdobyte informacje postanowił zachować dla siebie, co szczególnie zirytowało Tomasza. Postanowił, że tak łatwo nie odpuści.

— Proszę mi powiedzieć, czego dowiedział się pan na temat Taubera. Ten człowiek jest zamieszany w porwanie mojej córki. Ośmioletniej dziewczynki! Mojego jedyne dziecko. Czy może pan...

Jurij starał się tłumaczyć wszystko symultanicznie, czego Tomasz mu nie ułatwiał, nie robiąc pauz niezbędnych w celu zachowania płynności

przekładu. Chłopak radził sobie nieźle, jednak wysiłek szedł na marne: wujek Wiktor słuchać nie zamierzał, strategia „na litość” zupełnie zaś na niego nie działała.

Para wstała od stolika. Wiktor, nie dopiwszy piwa, rzucił na stół banknot. Jurij długim haustem opróżnił szklanę coli i otarł usta wierzchem dłoni.

— Idziemy — rzucił Wiktor do bratanka po rosyjsku.

Wyszli z lokalu w gorącą noc. Tomasz pospieszył za nimi. Słuchać było szum morza, śmierdziało portem. Uliczka nie była oświetlona, ale wszędzie toczyło się nocne życie. Ktoś negocjował z prostytutką, dwóch innych facetów zawzięcie się kłóciło. Gdzieś stukło się szkło, portowe uliczki wypełniały się pijackimi przyśpiewkami marynarzy wędrujących z lokalu do lokalu. Z tanecznych klubów dobywały się jednostajne łupnięcia elektronicznych bitów.

— Proszę zaczekać.

Wiktor nie reagował. Szedł przed siebie, ściskając za łokieć bratanka, jakby bał się, że chłopak ugnie się pod ciężarem argumentów, zmieni zdanie i pobiegnie do Tomasza, wyzna mu wszystko, czego dowiedział się jego wuj.

— Moja jedyna córka! Chora na autyzm.

Wiktor zatrzymał się jak wryty i Tomasz zrozumiał, że posunął się o jeden krok za daleko, do miejsca, z którego nie będzie ucieczki. Rosjanin obrócił się na pięcie, westchnął bardzo ciężko i zrobił zasmuconą minę, jakby wszystkie grzechy ludzkości spadły na jego barki. Podszedł do Szymkowiaka, a ten wiedział, że to może skończyć się tylko w jeden sposób. W bruzdach pomarszczonej twarzy było głębokie współczucie i empatia, jaka praktycznie nie może istnieć pomiędzy ludźmi.

— *Niet* — odezwał się łagodnie Wiktor. — *Nie lzia. Nie nada.*

Złożył potem palce w pięść i wyprowadził krótki cios prosto w brzuch Tomasza. Przez twarz Rosjanina nie przebiegł żaden grymas, nie napiął mięśni, nie zacisnął zębów.

Z Tomasza uszło całe powietrze. Z wybałuszonymi oczami, walcząc o oddech, upadł na kolana. Nie próbował nawet stawiać oporu. Podparł się na rękach i zwymiotował obiad.

— *Niet* — powtórzył Wiktor i z niedowierzaniem pokręcił głową, jak nauczyciel, który podczas klasówki przyłapuje klasowego prymusa na



ściąganu.

Tomasz nie miał siły się podnieść. Usiadł obok kałuży rzygowin i próbował się ogarnąć. Wiktor rozplynął się w mroku portowej nocy, a wokół niewiele się zmieniło: odległa kłótnia przeobraziła się w bójkę, z ciasnych uliczek dobiegały te same sprośne przyśpiewki, a elektroniczne bity dyskoteki skróciły amplitudę, stając się bardziej agresywne.

Szymkowiak oddychał ciężko. Zrobił wszystko, co mógł. Został tylko jeden dzień. Czy powinien zadzwonić do Emese i opowiedzieć jej o przygodzie z Wiktorem? Na pewno by go wyśmiała.

Ciekawe, co stało się z Borbélyem.

— Proszę pana! — krzyknął ktoś po angielsku.

Tomasz trwożnie spojrzął przed siebie, wyteżając wzrok.

— Proszę pana!

W ciasny krąg światła padającego z ulicznej latarni wkroczył Jurij. Szybko oddychał, musiał biec.

— Czego chcesz? — powiedział Tomasz i zastanowił się, czy gówniarz dostał instrukcje od wujka, aby się nad Polaczkim poznać jeszcze bardziej. Odczuwał coś na kształt masochistycznego pragnienia. Im bardziej zmalretowany wyjdzie z sewastopolskiej przygody, tym bardziej wiarygodna stanie się jego opowieść. I tym mniejsze będzie miał wyrzuty sumienia (jeżeli kiedykolwiek będzie je miał).

Tymczasem Jurij pochylił się nad Tomaszem i pomógł mu wstać. Jak na nastolatka z widoczną nadwagą miał zadziwiająco silny uścisk.

— Chciałem panu pomóc. Wujek nie powinien tak robić.

— Dzięki. Dam sobie radę. Pokażesz mi najbliższy postój taksówek?

Jurij skinął głową.

— Odprowadzę pana.

Ruszyli w ciemność, a w trakcie drogi Jurij zaczął opowiadać:

— Nathan Tauber to bardzo groźny człowiek. Miał powiązania z Mossadem. Wujek Wiktor wykonał kilka telefonów i zgromadził informacje. Przestraszył się. Pierwszy raz widziałem, że się czegoś bał. Nie chciał tego przed panem przyznać, ale zrozumiał, że grzebanie w przeszłości

tego człowieka mogłoby skończyć się tragicznie. Ktoś wujka ostrzegł, jakiś jego dawny kumpel z KGB.

— Ale przecież ja pytałem tylko o adres, miejsce pobytu. Nie chciałem, aby ktoś przeświewał cały jego życiorys.

— Tacy ludzie jak Nathan Tauber przede wszystkim cenią sobie anonimowość. Żeby ustalić miejsce jego pobytu, wujek musiałby wykonać wiele telefonów. A to nie umknęłoby uwagi Taubera. Dowiedziałby się, że ktoś węszy i krąży wokół niego. Niektórzy są przeczulenii na tym punkcie.

Szli w milczeniu. W oddali majaczyło samotne światło ulicznej latarni.

— Powiedział, że robi to dla pana dobra. Kiedy Tauber się dowie, że ktoś go szuka, będzie miał pan przechłapanie. — Tomasz skinął głową. — Z mojego wujka jest dobry człowiek, proszę mu wybaczyć.

— Jasne.

Zatrzymali się przed taksówką. Szymkowiak wygrzebał z portfela pięćdziesięciodolarowy banknot i wepchnął go chłopakowi w dłoń.

— Niech pan sobie da spokój z Nathanem Tauberem. — Chłopak z przesadną celebracją schował pieniądze do kieszeni. — To się może źle skończyć.

Dam sobie, żebyś wiedział, że sobie dam spokój, i zrobię to z największą przyjemnością, pomyślał Tomasz.

— Nie martw się o mnie. Zatrąszczę się o siebie. — Uścisnęli sobie mocno dłonie. Tomasz wszedł do taksówki i trzasnął drzwiami.

Wrócił do hotelu, przy barze, na stojąco, wypił małe piwo, doczłapał do pokoju. Położył się na łóżko w ubraniu, w butach, i od razu zasnął. Miał wrażenie, że śpi noc i cały kolejny dzień. Rano obudził go telefon. Półprzytomny, wymacał słuchawkę aparatu stojącego na nocnej szafce przy łóżku. Nie zdążył się odezwać.

— Eryk Sanders nie żyje — powiedział męski głos po drugiej stronie i rozłączył się.

# OSIEMNAŚCIE

## DAVID/ SEWASTOPOL

W Sewastopolu David wynajął pokój w hotelu Kosmos, przy bulwarze Lenina. Odebrał klucz i wszedł na trzecie piętro. Otworzył drzwi. Z tapety pozostały jedynie równo pourywane, wąskie paski, którymi – niczym bezkolizyjnymi autostradami – biegały karaluchy. Sedes w toalecie nie miał deski. Rzucił się na łóżko w ubraniu i spał bez przerwy dziesięć godzin, wymęczony podróżą.

Następnego dnia w drodze na śniadanie zderzył się z grubszym facetem wychodzącym z sąsiedniego pokoju. Gość człapał jak ciamajda, zapatrzony na nogi przechodzącej korytarzem seksbomby. Chłopak wpadł na niego tak nieszczęśliwie, że grubas rąbnął tłustym tyłkiem o podłogę, aż zajęczały deski.

David wymamrotał przeprosiny i pomógł mężczyźnie wstać. Nieznajomy nie miał w sobie ani krzty agresji czy strachu. Wydawał się najszcześliwszym człowiekiem na ziemi.

David mu zazdrościł.

Na śniadanie nałożył sobie świeżych owoców, które polał obficie jogurtem naturalnym. W restauracji minął się z facetem, na którego wpadł kilka minut wcześniej. Pozdrowili się zakłopotanymi uśmiechami i skinieniami głową. Gruby jadł w towarzystwie nieciekawego żylastego typu, wyglądającego na marynarza po przejściach, oraz pryszczatego nastolatka. David wypatrzył wolny stolik niedaleko od nich. Pogrążył się w myślach.

Nathan Tauber.

Jak do niego dotrzeć? Przecież ten człowiek pracował w Mossadzie, nie da się znaleźć jego namiarów w książce telefonicznej. David nie odezwie się do niego przez Facebooka albo LinkedIna. Czyli co pozostaje? Musi się włączyć po mrocznych zakamarkach miasta, rozpuścić wici, nawiązać

kontakt z podejrzanymi typami, którzy potrafią namierzyć igłę w stogu siana i będą potrafili wskazać miejsce przebywania Nathana Taubera?

Ale przecież on tego nie potrafi.

Cholerny Nathan Tauber – czy jego pośrednictwo jest konieczne, aby rozszyfrować tajemnice Putnisa? A może porzucić ten trop, zamknąć się w hotelowym pokoju na tydzień i ponownie zmierzyć z dziedzictwem Łotysza?

Nie, to bez sensu. Przecież już tak robił i poległ. Na jakiej podstawie uważa, że w kolejnym starciu ma większe szanse na zwycięstwo? Cholerny Nathan Tauber.

— ... Nathan Tauber — powiedział ktoś w kontrapunkcie do jego myśli.

David nadstawił uszu.

— To żydowskie nazwisko. Proszę mi powiedzieć coś więcej o pana koledze.

Dwa stoliki dalej rozmawiał przewrócony dziś przez Davida mężczyzna i jego towarzysze: czerstwy „marynarz” oraz tłumaczący z angielskiego gówniarz. Sytuacja robiła się coraz bardziej interesująca. David przysłuchiwał się. Już wiedział, co będzie robił w Sewastopolu.

Jak wywnioskował z rozmowy, mężczyzna wyglądający na marynarza zajmował się poszukiwaniem ludzi. I otrzymał właśnie zlecenie na Nathana Taubera. Kontrahenci dogadali warunki i umówili się na konkretne pieniądze. Mieli się spotkać jeszcze tego samego wieczoru w porcie, w barze Rybatskiy Stan, i tam przekazać sobie pierwsze wyniki śledztwa.

Przecież to dziecinnie proste. Wystarczy, że David również tam będzie. Spróbuje podsłuchać, a w ostateczności może podejść, zagra w otwarte karty i porozmawia z klientem także poszukującym Taubera. Kim on mógł być? Czyżby to jeden ze znajomych Mayera Hochbauma, który z niewiadomych powodów nie pojawił się w lizbońskiej opowieści na raty?

Przez resztę dnia David włóczył się po mieście, nosząc w plecaku notatki Putnisa. Próbował nad nimi pracować w wolnych chwilach – na plaży, przy kawiarnianym stoliku stojącym na nadmorskim deptaku, w cieniu parkowych drzew. Wszystko na próżno. Dziś wyjątkowo mu nie szło, symbole matematyczne zlewały się ze sobą, miał problemy z przypomnieniem sobie szczegółów notacji Łotysza. W końcu się poddał. Spróbuje innym razem.

Wieczorem ruszył do dzielnicy portowej i od razu zajął miejsce w barze Rybatskiy Stan. Na próżno. Cała trójka przeszła bowiem do odseparowanego pomieszczenia, aby toczyć rozmowę w bardziej intymnych warunkach.

David przeklinał pod nosem, siedząc nad kuflem podłego piwa. Podjął decyzję. Kiedy nieznajomi wyjdą i rozstaną się – podejdzie do grubego faceta i wyłoży karty na stół. Przecież nie ma złych intencji, niczego nie ukrywa, nie zamierza zrobić Nathanowi krzywdy. Po prostu chce rozwiązać zagadkę Putnisa. Tylko tyle, a może aż tyle.

Kiedy wyszli, podążył za nimi. Ukryty za cuchnącym śmietnikiem, David widział wszystko z największymi szczegółami.

Jak gruby obrywa pięścią w brzuch, pada na kolana i obficie wymiotuje.

Jak nie może później wstać.

Już-już David chciał podejść, podać mu dłoń, pomóc dźwignąć się z kolan, kiedy wyręczył go pryszczaty nastolatek. David słyszał ich rozmowę.

— Niech pan sobie da spokój z Nathanem Tauberem. To się może źle skończyć.

Zatem – porażka na każdym froncie. David wiedział, że powinien wrócić do domu i zakończyć przygodę w tropienie dawnych szpiegowskich spisków. To już przestało być zabawne i łatwo wpakować się w kłopoty, przy których zatrzymanie przez seksowną węgierską policjantkę będzie śmiechu wartą anegdotką do opowiadania kolegom przy piwie.

Następnego dnia wstał wcześniej rano. W restauracji znów minął się ze swoim „znajomym”. Tym razem mężczyzna nie zauważył Davida. Facet jadł bardzo szybko, wyraźnie się gdzieś spieszył.

Ostatnia szansa, pomyślał David. Zrobi tylko to, ostatnią głupią rzecz, i wraca. Już dziś kupi bilety na pierwszy możliwy pociąg.

Nieznajomy po śniadaniu ruszył na postój taksówek. David poszedł za nim.

— Proszę jechać za tamtym samochodem — wydał rozkaz kierowcy, który mówił dość dobrze po angielsku. — Niech się pan trzyma trochę z tyłu. Nie chcę, aby tamci zauważyli, że są śledzeni.

Samochód jednak zniknął im z oczu. Niby oddalił się tylko na kilkadziesiąt metrów, ale kiedy wyjechali za kolejny zakręt, auta już nie było widać. David kazał kierowcy objechać najbliższe przecznice, ale niczego nie

znaleźli. Wrócili do miejsca, w którym zgubili śledzonego, i chłopak wysiadł z taksówki. Przeszedł się wzdłuż ulicy. Sprawdził zegarek. Grubasa zgubił już prawie półtorej godziny temu. Jeszcze raz obszedł okolicę.

Wtedy go zobaczył, po drugiej stronie ulicy. Facet wyszedł przez bramę okazałej posiadłości w postkolonialnym stylu. Ruszył przed siebie poboczem, chwiejnym krokiem, jakby był lekko zawiany. Nie rozglądał się.

David wiedział – po prostu WIEDZIAŁ – że rozwiązanie zagadki jest tuż-tuż, że czeka go jeszcze jedna, ostatnia, najważniejsza rozmowa, a wszystko znajdzie się na swoim miejscu. Że zdobędzie dodatkowe informacje i rozwikła tajemnicę Putnisa.

Wdusił przycisk dzwonka, ale nikt nie zareagował.

Wtedy spostrzegł, że brama jest uchylona. Pchnął delikatnie kraty, zazgrzytał nieoliwiony zawias i droga do ogrodu stała przed nim otworem.

Przecież tam nie wejdzie. W środku nikogo nie ma. Nie będzie zachowywał się jak włamywacz.

Odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę miasta. Zatrzymał się po przejściu kilometra, zmagając z myślami.

Działając w sposób racjonalny, powinien wrócić jutro, a potem ponawiać swoje wizyty do skutku i czekać, aż ktoś mu w końcu otworzy i potwierdzi, że to jego odwiedził mężczyzna z hotelu. A potem odpowie na dręczące Davida pytania: o Andrejsa Putnisa, o samodualne równania Teorii Ostatecznej, o finał historii Hochbauma.

Jednak nie. Pchała go jakaś nieokreślona siła, coś wykraczającego poza fizykalną rzeczywistość.

Wrócił.

Dom był drewniany i kojarzył się z rezydencjami bogatych plantatorów bawełny z amerykańskiego Południa z okresu wojny secesyjnej. Podeszedł do drzwi, zapukał i nie czekając na reakcję, chwycił za klamkę. Były zamknięte.

Postanowił obejść posiadłość. Może gospodarz robi coś w ogrodzie, na tyłach, i dlatego nie słyszał dzwonka? Przez zamknięte okno zajrzał do salonu. Nie było tam nikogo. W korytarzu tak samo, nikt nie siedział również w bibliotece. Pozostało jeszcze jedno pomieszczenie.

Drzwi kuchenne były uchylone.

W tej chwili powinien obrócić się na pięcie i spieprzać przed siebie, jak najszybciej i jak najdalej. Nie zrobił tego. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Prosto na spotkanie z trupem.

Zwłoki wisiały nieruchomo, metr nad podłogą, na grubej linie przytroczonej do poprzecznej deski sufitowej. Bzyczały muchy i śmierdziało gównem, które wypłynęło nogawką spodni; w chwili śmierci puściły zwieracze.

Davidowi pociemniało przed oczami. Chciał się oprzeć o stół, ale zreflektował się, że najlepiej niczego tu nie dotykać.

Wpatrywał się w scenę jak zahipnotyzowany.

Na kuchennym stole leżała zamknięta koperta zaadresowana do Eryka Sandersa. Skądś znał to nazwisko, musiał chwilę pogrzebać w pamięci.

Eryk Sanders!

Neurolog, który przeszło ćwierć wieku temu robił skan mózgu Andrejsa Putnisa. Ale skąd on się wziął na Krymie? Co tutaj robił?

David rozerwał kopertę. Zwykły wyciąg transakcji bankowych. Złożył papiery na pół i schował do kieszeni.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Przy telefonie znalazł zapisany numer. Czarne cyfry na białym tle były doskonale wyraźne, przyciągały wzrok. Może to numer do matki, dziewczyny, rodzeństwa? Kierowany impulsem – zupełnie niezrozumiałym, nieracjonalnym, którego nigdy nie potrafił sobie wytłumaczyć – podniósł słuchawkę przez rękaw koszuli i wystukał zapisane cyfry.

Po drugiej stronie połączenia ktoś odebrał. David powiedział tylko jedno zdanie i uciekł z ponurego budynku:

— Eryk Sanders nie żyje.

# DZIEWIĘTNAŚCIE

TOMASZ/ SEWASTOPOL

„Eryk Sanders”.

Tomasz Szymkowiak odłożył słuchawkę i zanotował imię i nazwisko. Wrócił do łóżka, ale nie mógł zasnąć. W głowie klarował się plan działania. Po samochód do Budapesztu nie chciało mu się wracać. Sprezentuje go Emese, wyśle jej pocztą dokumenty i umowę sprzedaży. Może z nim zrobić, co zechce. To był już zresztą sześćioletni gruchot ze stu pięćdziesięcioma tysiącami na liczniku. Ile by za niego dostał w Polsce, góra dwadzieścia tysięcy? Nie potrzebował tej kasy, niech to będzie prezent dla Emese za jej całą pomoc.

Jeszcze tylko sprawdzić tego Eryka Sandersa. Dla świętego spokoju.

Śniadanie podawali od szóstej rano. Wszedł kilka minut wcześniej i w recepcji poprosił o książkę telefoniczną. Przewertował ją bez większego entuzjazmu i jakież było jego zdziwienie, kiedy znalazł tam odpowiednią pozycję. Eryk Sanders był zameldowanym mieszkańcem Sewastopola!

Wpisał dane do komórki i postanowił złożyć mu wizytę, najszybciej, jak to możliwe. Po śniadaniu wrócił do pokoju, umył zęby i zamówił taksówkę pod hotel. Rozpadający się mercedes, strzelający z rury wydechowej czarnymi obłokami, wywiózł go na przedmieścia, gdzie wzdłuż drogi dojazdowej ciągnęły się wolno stojące domy. Większość stanowiły rozpadające się rudery, bez ogrodzenia, z zapchlonymi psami wylegającymi się na podwórkach i z kurami spacerującymi po werandach. Ale było kilka wyjątków i należał do nich dom Eryka Sandersa.

Budynek otoczony był wysokim murem z czerwonego piaskowca, a dostępu do wnętrza broniła solidna brama. Tomasz nacisnął przycisk domofonu. Głośnik zaskrzeczał, ale po drugiej stronie nikt się nie odezwał.

— Tomasz Szymkowiak. Do pana Eryka Sandersa.



Szczęknał zwalniany elektroniczny zamek i brama stanęła otworem. Tomasz pchnął kratę i wszedł na ścieżkę wijącą się pośród zadbanego ogródka pełnego klombów, oczek wodnych i szumiących fontann. Sam dom zbudowany był w stylu kolonialnym; w ten sposób Tomasz zawsze wyobrażał sobie domostwa bogatych plantatorów z delty Missisipi. Jednopiętrowy, cały z drewna, z obszerną werandą i przybudówką dla służby, jakby jego lokator z sentymentem wspominał czasy świetności niewolnictwa.

W ostatniej chwili, kiedy jedna noga wciąż stała na ścieżce ogrodowej, obleciał go strach. Tajemniczy głos w telefonie powiedział przecież „Eryk Sanders nie żyje”. Co to miało znaczyć? Że kiedy pchnie drzwi i wkroczy do przestronnego, jasnego salonu, znajdzie na podłodze trupa i nad nim chmurę much? Ale przecież ktoś czekał w środku – ktoś przecież otworzył bramę. Co to miało znaczyć? Ktoś go wrabiał?

Pokusa, aby się wycofać, była silna. A jednak nie – to ostania szansa, aby się czegoś dowiedzieć; skoro zaszedł już tak daleko, przecież w ostatniej chwili nie zmieni zdania. Zachowałby się niepoważnie.

Gospodarz czekał na progu. Tomaszowi wydał się znajomy, ale nie potrafił sobie przypomnieć, skąd zna tę twarz.

— Eryk Sanders.

— Tomasz Szymkowiak.

Uścisnęli sobie dłonie.

— Czy ja pana skądś... — zaczął po angielsku, lecz Eryk Sanders szybko mu przerwał.

— Upalnie dzisiaj. Czego się pan napije? Może wody sodowej? Idealna na ugaszenie pragnienia.

Pchnął drzwi i weszli do chłodnego pomieszczenia. Tomasz stał w progu, nie wiedząc, jak się zachować, aż gospodarz wskazał mu miejsce na kanapie. Wrócił po chwili z dwoma szklaneczkami.

I wtedy nastąpiła iluminacja.

— Wiem! Budapeszt! Kiedy pracowałem na kontrakcie i mieszkałem z żoną niedaleko synagogi, pan był naszym sąsiadem. Dwa piętra wyżej. Kiedyś pożyczałem od pana klucz imbusowy, jak skręcałem łóżeczko córce.

Zdemaskowany Eryk Sanders uśmiechnął się nad wyraz dobrotliwie.

— Bingo. Ma pan świetną pamięć. Co pana do mnie sprowadza, sąsiedzie? Taki szmat drogi od Budapesztu?

— Ktoś porwał moją córkę. Ośmiolatkę. Bardzo ciężko chorą na autyzm.

— I dlaczego przychodzi pan z tym do mnie?

— Nie wiem. Szukałem jej i trafiłem do Sewastopola. Dziś rano ktoś do mnie zadzwonił i powiedział, że pan nie żyje. Odszukałem pana adres w książce telefonicznej i tak tutaj trafiłem.

— Ktoś powiedział, że nie żyję? — Eryk był zaskoczony. — Jaki ma to związek z porwaniem pańskiej córki?

— Nie mam pojęcia. Chwytałem się każdego tropu. Cóż to za niesamowity zbieg okoliczności, że jest pan moim sąsiadem z budapeszteńskich czasów...

— Kto do pana dzwonił? Kto powiedział, że ja nie żyję?

Tym razem w głosie Eryka nie było zdziwienia. Tylko najprawdziwszy strach.

— Młody męski głos.

— Dobrze pan trafił. Właściwie nie spodziewałem się tej wizyty, ale nie jestem też zaskoczony. Prędzej czy później musieliśmy się spotkać. Szykuję właśnie śniadanie, pomoże mi pan?

Tomasz skinął głową.

— Macę z hummusem. Koszerne żarcie, w swoim życiu sporo czasu spędziłem z Żydami. — Eryk podszedł do barku i mimo wczesnej pory, być może na uspokojenie, nalał sobie whisky do szklaneczki z rżniętego szkła. Uniósł do góry butelkę i spojrzał pytająco na Tomasza, jednak ten potrząsnął głową.

— Proszę się zastanowić. Zanosi się na długą historię.

— Nie, dziękuję.

— Jak pan uważa.

Przeszli do kuchni. Na blacie czekały przygotowane wszystkie składniki.

— Proszę uprażyć sezam. Tylko bez przesady, ma być brązowy, a nie czarny. Ja sprawdzę, czy ciecierzycyca jest już miękka.

Tomasz odkręcił butlę z gazem i podpalił palnik. Postawił na nim patelnię i czekał, aż się rozgrzeje. Rozerwał papierową torebkę z sezamem

i sypał go delikatnie, żeby nie pryskał, co jakiś czas mieszając drewnianą łyżką.

Eryk Sanders zaczął opowiadać.

— Z mojego punktu widzenia cała historia zaczęła się pod koniec lat 90. Świętowałem wtedy czterdziestkę, mieszkałem w Budapeszcie, gdzie pracowałem na Uniwersytecie Semmelweisa. Zajmowałem się neurofizjologicznymi przyczynami autyzmu. Innymi słowy – badałem mózgi chorych na autyzm i próbowałem dociec, czym różnią się od mózgów zdrowych ludzi...

\* \* \*

Był ponury i dżdżysty listopad, kiedy do Eryka Sandersa, mieszkającego wówczas w Budapeszcie, nieoczekiwanie zgłosił się Mayer Hochbaum. Eryk znał go jeszcze z dawnych lat, kiedy mieszkali i pracowali w Stanach Zjednoczonych. Mayer był fizykiem teoretycznym, w latach 80. pracującym podobno przy rządowych projektach, które miały coś wspólnego z telepatią i postrzeganiem pozazmysłowym. Wiele o tym nie mówił, na wszystkie te sprawy nałożono klauzulę „Ścisłe tajne” i nie było sensu próbować coś z niego wyciągnąć, choć Eryk oczywiście umierał z ciekawości. Mayer uchylił rąbka tajemnicy tylko raz, kiedy zgodził się, aby Sanders zeskanował mózg jednego z tajnych więźniów CIA, młodego Łotysza, który rzekomo w testach na postrzeganie pozazmysłowe generował wyniki znacznie odchylające się od wartości oczekiwanej, wynikającej z praw statystyki.

Eryk odkrył wówczas, że struktura połączeń nerwowych w mózgu Łotysza wygląda inaczej niż w mózgu zwykłego człowieka. Jest w niej znacznie więcej połączeń pomiędzy neuronami – jak u małego dziecka, które nie przeszło jeszcze procesu przycinania zbędnych, nieużywanych ścieżek w mózgu.

Po wykonaniu tego zadania drogi Eryka i Mayera rozeszły się na dwanaście lat, właśnie aż do listopada '98. Eryk wysiadł z trolejbusu i szedł do małego sklepiku na rogu, zamierzając przed powrotem do domu zrobić zakupy spożywcze. Na przystanku stało dwóch mężczyzn, ukrywających się w cieniu wielkich, czarnych parasoli. Jeden z nich palił papierosa.

— Eryk Sanders? — władczym tonem powiedział ten bez papierosa.

— Tak, to ja.

— Mayer Hochbaum. Pamięta mnie pan? Wtedy nazywałem się Martin Roundtree.

Zdziwiona mina Eryka wskazywała raczej na luki w pamięci.

— Rządowe projekty. Telepatia. Przyjęcie u Roberta Kashgoffa. Tomografia mózgu chorego na autyzm Łotysza. Teraz lepiej? Pamięta pan?

Jakże mógłby zapomnieć?

— Chciałem przedstawić panu mojego przyjaciela. Nathan Tauber.

— Drugi mężczyzna kiwnął głową i wystrzelił papierosa do kałuży. Miał ostre rysy twarzy i smutne oczy, które mówiły, że najlepsze lata życia są już za nim.

— Chcieliśmy z panem chwilę porozmawiać.

Eryk solidnie się zmieszał. Uciekał spojrzeniem na wszystkie strony, na zachmurzone niebo, maskarony zezujące z elewacji kamienic.

— Chętnie, ale... — Chwila przerwy. Zbyt długa, aby zabrzmiało to naturalnie. — Obawiam się, że nie mogę zaprosić panów do domu.

Mayer miał się odezwać, otwierał już usta, ale ubiegł go Nathan.

— Ależ ja świetnie pana rozumiem. Też bym nie chciał, aby wyszło na jaw, że chwilowo mieszkam i pieprzę się z dziewiętnastolatką, w dodatku moją studentką. Że najmocniej mi staje, kiedy ona upozowana jest na lolitkę w podkolanówkach i z kucykami niczym Pippi Langstrumpf, to też wolałbym zachować dla siebie. Niby wszystko jest legalne, ale skandal na uczelni by się zrobił. Mamy rację? Prawda, panie profesorze?

— Skąd...

— Pan nie pyta skąd, po co panu wiedzieć? Można sobie tylko kłopotów narobić. Ale naprawdę sporo o panu wiemy. O pana drugim życiu, które toczy się przy zgaszonym świetle, w zaciszu sypialni. I o nieletnich dziwkach, które czasami załatwia ten Turek, jak mu tam, Faruk chyba? To już legalne nie jest, prawda, panie profesorze? Ile miała ostatnia, pamięta pan? Mnie się wydaje, że dopiero czternaście.

Zaczęło mocniej padać, deszcz zalał okulary Sandersa. Mayer i Nathan postawili kołnierze płaszczy.

— Czego chcecie?

— Porozmawiać. Znamy tutaj niedaleko zaciszną knajpkę, gdzie dają koszerne żarcie. Pójdziemy od razu, czy chce pan najpierw zadzwonić do swojej Pippi, żeby nie czekała z kolacją?

Na miejscu, w sali zamkniętej dla gości, przy suto zastawionym stole i kieliszkach pełnych czerwonego wina, Mayer i Nathan długo wyjaśniali Erykowi, w jakiej sprawie pofatygowali się aż do Budapesztu i dlaczego potrzebowali właśnie jego pomocy.

Szło o rzeczy wielkie, najważniejsze. O powtórne przyjście Mesjasza i wzniesienie Trzeciej Świątyni. Zrozumienie teorii ostatecznej i stworzenie świata poprzez kolaps funkcji falowej pod prąd czasu. Plan był prosty.

Założenia:

1. Wielka Teoria Unifikacji jest niemożliwa do zrozumienia przez człowieka. Nie dlatego, że jest zbyt trudna, ale jej złożoność przekracza złożoność, z jaką potrafi poradzić sobie ludzki mózg, który wyewoluował do radzenia sobie z relatywnie wąskim zakresem zadań (maksymalizacja prawdopodobieństwa przekazania genów w środowisku sawannowym).

2. Aby napisać i zrozumieć równania Wielkiej Teorii Unifikacji, konieczne jest zatem posiadanie mózgu zbudowanego na inny sposób niż ludzki. Chory na autyzm Łotysz, Andrejs Putnis, był bardzo bliski rozwiązania problemu, ale ostatecznie sobie nie poradził.

3. Osoba, która rozwiąże równania teorii unifikacyjnej, dokona kolapsu funkcji falowej i – zgodnie z Wheelerowską teorią wszechświata partycypacyjnego – dokona prawdziwego aktu kreacji świata.

4. W myśli filozofii judaistycznej osoba taka stanie się Mesjaszem, którego Naród Wybrany oczekuje od tysięcy lat.

Mayer Hochbaum i Nathan Tauber byli gotowi, aby zrealizować szalony projekt „mesjańskiej eugeniki”, czyli wyhodować Mesjasza *in spe*, który gdy dorośnie, będzie w stanie zrozumieć równania kwantowej grawitacji i tym samym dokonać kreacji *ex nihilo*, stworzyć wszechświat z niczego. I właśnie z tym problemem przyszedł do Eryka Sandersa.

Neurofizjolog nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią. Tak, to jest możliwe, jeśli jeszcze na etapie niemowlęcym dokona się chirurgiczno-farmakologicznej ingerencji w mózg, aby nieodwracalnie zmienić jego strukturę i z wyprzedzeniem zastopować proces przycinania nadmiarowych

połączeń nerwowych, do którego dochodzi w okolicach drugiego roku życia. W efekcie ktoś skończy z ciężkim przypadkiem autyzmu, ale jednocześnie taka osoba powinna mieć potencjał do zrozumienia Teorii Wszystkiego (podobnie jak ten potencjał miał Putnis).

— Nie wierzę, że potrafisz to zrobić. Musisz to udowodnić, jeśli nie chcesz wylądować za kratkami za posuwanie nieletnich. — W duecie Hochbaum–Tauber złego policjanta grał ten drugi.

\* \* \*

Eryk Sanders przestał opowiadać.

— Jak tam sezam? Już brązowy? Pięknie, pięknie. Teraz najtrudniejszy etap.

Wyciągnął poobijany garnek, do którego przesypał uprażony sezam i dodał oliwy. Wycisnął połówkę cytryny i zmielony czosnek. Mieszając cały czas tłuczkiem, podjął opowieść.

\* \* \*

W ten sposób przystąpili do realizacji fazy zero Projektu. Ofiarę wskazał Eryk Sanders. W tej samej kamienicy, dwa piętra niżej, mieszkało polskie małżeństwo. Kobieta była w ciąży, miała termin za kilka miesięcy. Wchodząc po schodach, trzymała się za wielki brzuch i z trudem łapała równowagę. Faza zero miała być testem, demonstracją *know how* Eryka Sandersa, symboliczną konfirmacją, że oto wszyscy tkwią w spisku, z którego nie ma już odwrotu. Coś jak egzekucja mafijna, kiedy wszyscy oddają strzał do ofiary – aby nie było nikogo bez winy.

Czwartą osobą zaangażowaną w Projekt był budapeszteński rabin, Josef Rosenberg. Cały pomysł wyszedł od niego, ale nieoczekiwanie rabin okazał się zbyt miękki. Na posiedzeniach ich czwórki gwałtownie atakował Nathana za pomysł fazy zero. Jego zdaniem eksperyment na niewinnych Polakach był niepotrzebnym póśrodkiem, dodatkową komplikacją, zwiększaniem i tak wysokiego ryzyka.

Podczas jednego z posiedzeń Tauber wściekł się na Rosenberga, doszło do gwałtownej kłótni, która zakończyła się pogrózkami. Tej samej nocy

w mieszkaniu rabina wybuchł pożar. Według wersji straży zapalił się prodż, zostawiony na noc przez nieuwważną gosposię, która piekła ciasto. Od ognia w mig zajęły się zasłony i pożar błyskawicznie rozprzestrzenił się na całe mieszkanie.

Jahwe musiał jednak czuwać nad śpiącym. Duchowny obudził się w ostatnim momencie, kiedy płomienie lizały już drzwi sypialni. Podczas ucieczki w ogniu stanęła koszula nocna, próbował ją gasić, upadł na ziemię, a gorący jezor dotknął policzka. Rosenbergowi została po tym paskudna rana i blizna na resztę życia.

Czy Nathan Tauber miał coś wspólnego z pożarem? Czy w ten sposób chciał wymusić na rabinie posłuszeństwo i podporządkowanie Projektowi? Oskarżenie nigdy nie zostało wypowiedziane wprost, nie zostało nawet zasugerowane. Eryk Sanders wiedział jednak swoje.

Tymczasem Josef nie poddawał się. Wkrótce po wyjściu ze szpitala, kiedy zmierzał do synagogi, minął się na ulicy z nieszczęśnikiem, ojcem dziecka wybranego jako królik doświadczalny w fazie zero. Rabin podszedł do niego i udzielił mu błogosławieństwa w jidysz. Zrobił to spontanicznie, na początku zamierzał minąć człowieka, odwrócić głowę. Nie dał rady.

Kiedy się zrównali, Rosenbergowi zrobiło się po ludzku przykro, czuł autentyczne współczucie, obcując z dojmującą niesprawiedliwością: dlaczego właśnie ten człowiek, współczesny odpowiednik Hioba, został przez nich skazany na cierpienie? Czym zasłużył? Jak zniesie nieoczekiwany ciężar?

Na żadne z pytań rabin nie miał gotowej odpowiedzi, zrobił więc to, co potrafił najlepiej – pomodlił się nad nieszczęśnikiem, oddając go w opiekę Jahwe. Oczywiście Nathan nigdy się o incydencie nie dowiedział. Rosenberg miał odwagę zdradzić tę historię Erykowi wiele lat później. Rabin był już po diagnozie nowotworu; wiedział, że operacja niewiele da i zostało mu nie więcej jak dziesięć miesięcy życia.

Wydarzenia przetoczyły się potem w zastraszającym tempie. Polka urodziła chwilę przed terminem, cała rodzina wylądowała w szpitalu. Eryk i Nathan mieli tam wtyki i przejęli dziewczynkę w trzeciej dobie życia.

Rodzina wkrótce wróciła do domu, nieświadoma nieuchronnej klątwy, jaka nad nimi zawisała. A uczestnikom Projektu pozostawało czekać, przygotowując się do fazy jeden, czyli selekcji Mesjasza Prawdziwego.

Polacy wkrótce wyprowadzili się z Budapesztu i wrócili do Warszawy. W Projekcie zaś zaczęło się psuć. Pierwszy wyłom nadszedł od strony Mayera, który każdą wolną chwilę spędzał, studiując notatki Putnisa. Profesor coraz bardziej wątpił, że chłopak choćby na krok zbliżył się do rozwiązania zagadki unifikacji. Równania Łotysza łamały podstawową zasadę fizyki, na której Hochbaum od dziesięcioleci próbował budować gmach swojej teorii – przyczynowość.

— To jest bez sensu i nie trzyma się kupy — przy każdej okazji pieklił się Mayer. — W centrum modelu Putnisa siedzą paradoksy logiczne, wydarzenia z przyszłości autoreferencyjnie oddziałują na przeszłość, która prowadzi do przyszłości zmienionej, i tak bez końca, *ad infinitum*. Raz, że nie dysponujemy nawet matematyką, aby opisać te zjawiska, a dwa: rzeczywistość w ten sposób nie wygląda, rzeczywistość się tak nie zachowuje. Po prostu.

Decydujący głos miał we wszystkim Nathan Tauber, który po zaostreniu kursu Izraela i wybuchu drugiej intifady odzyskał wpływy w Jerozolimie i spędzał tam coraz więcej czasu, doradzając rządowi, jak stłamsić powstanie Palestyńczyków.

\* \* \*

Eryk zrobił kolejną przerwę. Ciecierzycyca była już wystarczająco miękka, odlał więc wodę i dokładał warzywo do garnka, łyżka po łyżce, równo ucierając, od czasu do czasu próbując szczyptę.

Opowieść zmierzała do finału.

— Dlatego do fazy jeden nigdy nie doszło. Nathan co jakiś czas wysyłał do Polski swojego człowieka, który prowadził dyskretną obserwację chorej na autyzm dziewczynki i pisał na ten temat raporty. Mayer dumał nad filozoficznymi konsekwencjami odmiennej budowy mózgu i dochodził do wniosku, że jeśli nawet Wielka Teoria Unifikacji zostanie odkryta przez odszczepieńca z zupełnie inną siatką połączeń neuronalnych – to czy ten ktoś będzie potrafił przekazać odkrycie osobom „normalnym”? Czy nadal to będzie nauka: intersubiektywnie poznawalna i intersubiektywnie komunikowalna?

\* \* \*



Latem ubiegłego roku, siedem lat po realizacji fazy zero, wydarzyły się dwie rzeczy. Rabin Rosenberg zasłabł nieoczekiwanie podczas głoszenia midrasza. Okazało się, że nowotwór wyżera mu wnętrzności, zaczynając od krtani, i jeśli dożyje następnego lata, będzie to cud nie mniejszy niż rozstąpienie się Morza Czerwonego. Kiedy gruchnęła ta wiadomość, Eryk Sanders był w Nowym Jorku, gdzie umówił się z Mayerem na lunch.

— Rzucam wszystko — zwierzył się Eryk, kiedy siedzieli nad miskami sałaty obficie polanej jogurtowym sosem light. — Kupiłem za psie pieniądze dom w Sewastopolu. Idealne miejsce, aby spędzić tam resztę życia. Mam trochę odłożone na emeryturę, a na Ukrainie jest śmiesznie tanio. Piękne dziewczyny, pyszne wino, długie gorące lato i ciepłe morze. Czego chcesz więcej na starość?

Widelec Mayera zawisł ponad liściem rukoli.

— Rosenberg umiera. Rak.

— Słyszałem. Śmierć dopadnie prędzej czy później każdego z nas. Josef już raz uciekł spod kosy.

Pożar w 1999 roku. Eryk powiedział to specjalnie, chcąc wyciągnąć coś od Mayera. Drugi poziom autoreferencji: czy Mayer wie, że Eryk wie? Czy się domyśla, kto za tym stoi? Jedno imię nie zostało dziś wypowiedziane.

— A co u Nathana? — rzucił od niechcienia Sanders, sięgając po coca-colę w półlitrowym plastikowym kubku. — Odzywa się czasem do ciebie?

— Nie. Od kiedy wrócił do Jerozolimy i zaangażował się mocniej w politykę, praktycznie ze sobą nie rozmawiamy. Czasem wyślę mu e-maila, ale nie częściej niż raz na kwartał.

— A ty co robisz?

— Najbliższy rok spędzam w Lizbonie. Roczny program dla maniaków pracujących nad Wielką Teorią Unifikacji. Organizatorzy mają nadzieję, że nastąpi przełom...

— Przecież nie nastąpi.

— Sam świetnie wiesz, jak jest.

Nieźle im się rozmawiało i wieczorem umówili się jeszcze na drinka. Po kilku głębszych Mayer się rozgadał i łatwiej było z niego to i owo wyciągnąć. Przez kilka minionych lat się nie poddawał i każdą wolną chwilę spędzał, dumając nad pracami Putnisa. Być może zadziałał mechanizm

samospełniającego się proroctwa, ale w samodualnych modelach Łotysza dostrzegał coraz więcej sensu. Niezmiennie uważał jednak, że istnieje nieprzekraczalna bariera, szklany sufit, w który wali z całej siły łbem. Nie był wystarczająco bystry. Ze względu na wiek nie śledził już postępów we współczesnej matematyce, która – być może – potrafiłaby dostarczyć narzędzi niezbędnych do opisu problemów sformułowanych przez Putnisa. Nie wiedział jednak, od czego miałby zacząć nowe poszukiwania. Był jak zagubiony w ponowoczesnym świecie człowiek, który traci wiarę w Boga, ale na płytkim poziomie wciąż trzyma się tradycyjnego języka obrzędów, pustego znaczeniowo – bo w końcu czegoś trzymać się musi.

Musiał znaleźć ucznia, kogoś młodego i inteligentnego, a także na tyle zmotywowanego, by zostać stwórcą wszechświata (jeżeli pozwolą na to zdolności obliczeniowe jego mózgu). Najlepiej Żyda. Z tą misją ruszy do Lizbony.

We wrześniu Eryk Sanders rozpakowywał meble w nowym domu na Krymie, Mayer zaś grzał kości, wylegając się na plażach nad Tagiem. Wszystko było piękne i mogłoby trwać w tej formie do końca świata, ale niecały rok później, w czerwcu, o swoim istnieniu przypomniał Nathan Tauber. Użył dawnego kodu alarmowego i zwołał spotkanie w trybie pilnym w Bratysławie. Spotkali się w gwarnej piwiarni na Hviezdoslavovo námestie. Nathan miał surową, ściągniętą twarz i od razu przeszedł do rzeczy.

— Musimy zlikwidować wszystkie pozostałości po fazie zero Projektu. W obecnej chwili to zbyt duże ryzyko. Mam na myśli dziecko. Nie będziemy nigdy wracać do tematu. A wy o wszystkim zapomnicie.

Nikt nie pytał, z czego wynika determinacja Taubera. O żadnej dyskusji nie mogło być mowy. Nathan zachowywał się jak surowy nauczyciel czy generał na polu bitwy. Rozkazywał, a nie przekonywał do swoich racji. Natychmiast mu się podporządkowali. Mayer uruchomił swoje stare kontakty i odezwał się do niejakiego Gusztava Borbélya. Gusztav był eksfunkcjonariuszem AVSZ, któremu po upadku Węgierskiej Republiki Ludowej Mayer wyświadczył kilka przysług, w związku z czym mógł teraz zdyskontować potężny dług wdzięczności. Borbély miał się różnych nielegalnych zajęć, opanowując do perfekcji sztukę kamuflażu i żonglowania fałszywymi tożsamościami. Oprócz tego z powodzeniem grał na giełdzie, wykorzystując do tego pomoc psychotronika, niegdyś pracującego dla CIA.

Na co dzień mieszkał w Budapeszcie, więc kontakt z nim najłatwiej było nawiązać rezydującemu na miejscu Rosenbergowi.

Sprawa była banalnie prosta. W Warszawie, pod takim a takim adresem, mieszka rodzina wychowująca ośmioletnią, chorą na autyzm dziewczynkę. Ktoś potrzebuje tego dziecka, jest gotów za nie sporo zapłacić, a w dodatku ten ktoś jest bliskim znajomym Mayera Hochbauma. Czy Gusztav da się namówić na prostą robotę?

\* \* \*

— Gotowe! — Eryk z prawdziwą radością stuknął łyżką w garnek. — Macie przygotowałem już wcześniej. Możemy siadać.

Narzucił na stół w jadalni biały obrus. Sobie nalał kolejną porcję whisky, Tomasz ponownie zadowolili się wodą sodową. Posmarował macę tłustą pastą i słuchał Sandersa.

— Gusztav dał się namówić i nie zadawał żadnych pytań. Poleciał do Polski, gdzie dopadł dziewczynkę w hipermarkecie, korzystając z nieuwagi opiekunki. I wtedy się znów coś posypało. Zgodnie z pierwotnymi ustaleniami Alicja miała zostać przewieziona do Budapesztu, gdzie trafiłaby do prowadzonego przez gminę żydowską sierocińca. Tymczasem, chwilę po wykonaniu warszawskiej akcji, z Gusztavem skontaktował się Nathan Tauber (do dziś nikt nie wie, w jaki sposób wszedł w posiadanie jego numeru komórkowego) i ogłosił nieoczekiwaną zmianę planów. Umówili się na spotkanie na stacji benzynowej w jakiejś romskiej wiosce gdzieś na Słowacji, i tam Tauber przejął dziecko.

\* \* \*

W tym czasie Mayer był w Sewastopolu, spędzając pierwsze dni letnich wakacji na wizycie u Eryka Sandersa. Siedzieli na tarasie, był wczesny wieczór, szalały świerszcze, a oni pili słodkie i mocne wino z Massandry. Nathan w ogrodzie pojawił się znikąd, zstąpił z niebios niczym Jahwe do Mojżesza na górze Synaj i szedł ścieżką zdecydowanym krokiem. Wyglądał na wściekłego, świdrował wzrokiem przestrzeń pomiędzy nimi.

Nie zdążył się odezwać, kiedy Eryk wpadł w panikę. Tauber, wyglądający jakby nie postarzał się ani o dzień, przypomniał mu wszystkie nieprzespane

noce, które spędził w Budapeszcie. Dlatego właśnie zdecydował się przeprowadzić na Krym – by uciec od miejsc skażonych złymi wspomnieniami, nie prowokować namolnych myśli, niekończących się rachunków sumienia.

Nie wytrzymał stresu, poderwał się z krzesła i zwymiotował przez werandę. W ustach miał ciężką lepkość słodkiego alkoholu.

— Potraktuję to jako formę przywitania. — Tauber pozwolił sobie na dyskretny uśmiezek.

— Skąd się tu wzięłeś? Miałeś być w Budapeszcie. — Mayer odsunął od siebie kieliszek i podniósł się, aby przywitać nieoczekiwanego gościa.

— Nastąpiła zmiana planów. Spotkałem się z Borbélyem osobiście i odebrałem dziecko. Jest tutaj.

— Tutaj? — wydusił z siebie Eryk. Wciąż trzymał się za brzuch i czuł, jak wewnątrz gotuje się treść żołądka.

— Na Krymie. Odstawiłem ją do sierocińca. Dobry znajomy będzie miał na nią oko. Spokojna głowa, nikt jej nie znajdzie. Zresztą jej rodzice mają teraz na głowie mnóstwo innych problemów.

— Dlaczego tak zrobiłeś? — Eryk wytarł usta wierzchem dłoni. — Przecież to zadanie należało do Josefa.

— Straciłem zaufanie do Rosenberga. Woląłem wziąć sprawy w swoje ręce. Mam nadzieję, że do was nigdy nie stracę zaufania.

Dalej nie pytali, ponieważ wiedzieli, że Nathan powiedział aż nadto. Rozmawiali jeszcze przez kilka chwil, potem pożegnali się, wymienili uściski dłoni. Od tamtej pory go nie widzieli.

Zrobiło się ciemno i przenieśli się do wnętrza domu. Mayer długo stał przy oknie i wpatrywał się w smugę Drogi Mlecznej na czarnej płachcie nieba.

— Kiedyś, wiele lat temu, byliśmy blisko, ale nigdy do końca go nie poznałem. — Odstąpił wreszcie od okna. — Wydawało mi się, że jego konstrukcja jest prosta, że doskonale go rozumiem, znam każdą jego myśl i motywację. Może w istocie tak było – a może wcale nie? Nathan rozgrywał przed nami coś o wiele większego, grał według swoich reguł. Być może podobne zamknięcie Projektu miał zaplanowane od samego początku, od

pierwszego dnia, pierwszej sekundy, kiedy wszystkie elementy planu zajęły swoje miejsce.

— Ale dlaczego? Po co tyle przygotowań, środków, wszystkiego... Dlaczego?

— Obawiam się, że nigdy nie będziemy tego wiedzieć.

Mayer był wyraźnie zadowolony. Dopełnił kieliszek i rozsiadł się w fotelu. Tak to wyglądało: byli wreszcie wolni i nikt ich nie zmusi, aby wracali, choćby we wspomnieniach, do długich nocy w Budapeszcie osiem lat temu.

Na zakończenie wieczoru, kiedy szli do łóżek, Eryk zadał jeszcze jedno pytanie:

— Więc jak jest z tym wszechświatem? Tworzy zamknięte pętle czasoprzestrzenne, a przyczyny mogą być od razu skutkami? Należy przekreślić hipotezę Boga jako praprzyczyny?

— Wszystko na to wskazuje — odpowiedział jeszcze do niedawna żarliwy wyznawca koncepcji przyczynowości.

\* \* \*

Eryk urwał opowieść. Siedział na fotelu, spuścił głowę i nie patrzył Tomaszowi w oczy.

— I co pan teraz zrobi? — zapytał, nie wytrzymując presji narastającej z każdą sekundą ciszy. — Rzuci się pan na mnie z pięściami? Przyjdzie pan z policją? Pójdzie do portu, sypnie gotówką i wynajmie dwóch osiłków, aby połamali mi nogi? Śmiało, proszę to zrobić.

— Dlaczego pan spodziewał się mojej wizyty? Na jakiej podstawie?

— Dwa dni po wizycie Nathana Mayer wybrał się samotnie na miasto, ja zostałem w domu, musiałem odpisać na kilka pilnych mejli. Podczas zwiedzania oceanarium miał zawał serca. Karetka nie dojechała na czas. Sześć dni później zadzwoniła do mnie z Budapesztu gospodyni rabina Rosenberga. Jego stan gwałtownie się pogorszył, nie wstawał już z łóżka, rabin podyktował jej krótki komunikat. Powiedziała, że pan był u nich. Rosenberg poznał pana. Następnego dnia po pańskiej wizycie Josef umarł. Wcale nie zabiła go choroba. Strzelił sobie w twarz.

— I chce pan powiedzieć, że...

Eryk skinął głową.

— Nathan podchodzi do sprawy systematycznie. Zostałem tylko ja, a pan do mnie przychodzi i mówi, że ktoś do pana zadzwonił, że dowiedział się pan, że ja nie żyję. Mam chyba powody do niepokoju. — Zachichotał nerwowo.

— To był on? Zadzwonił do mnie Nathan? Jaki miał powód? Dlaczego mu zależało na naszym spotkaniu? Dlaczego chciał, abym poznał prawdę?

— Mnie proszę o to nie pytać. To Tauber był mózgiem Projektu i to on cały czas go realizuje. Nie mam nic do gadania. Nawet nie ma sensu uciekać. Nathan, jeśli będzie chciał mnie dopaść, i tak mnie znajdzie.

Tomasz wstał od stołu i spojrzał w stronę drzwi. Stracił apetyt. Już miał wykonać pierwszy krok, ale nie, zmienił zdanie.

— Gdzie ona jest?

— Pojedzie pan tą drogą jeszcze z pięć kilometrów. — Eryk wskazał kierunek dłonią. — Za stacją benzynową trzeba skrócić w prawo, w starą, zniszczoną ulicę, jest drogowskaz. Kilometr pod górę i trafi pan na małą miejscowość. Tam należy się spytać o sierociniec, każdy wskaże.

Tomasz Szymkowiak skinął głową.

W drzwiach zawrócił.

— Proszę, to numer telefonu do hotelu, w którym się zatrzymałem. — Napisał kilka cyfr na czystej stronie notatnika stojącego przy aparacie stacjonarnym. — Gdyby pan czegoś potrzebował...

Sanders tylko uśmiechnął się smutno w odpowiedzi.

# KODA

## DAVID

Paryż w sierpniu ma w sobie coś odpychającego i zarazem przyciągającego. Tłumy turystów na Montmartrze, zgiełk i huk wielkiej metropolii, nieznośne wrażenie, że wszystko jest na pokaz, że miasto zatraciło prawdziwą formę, pozostał tylko Paryż wyobrażony, Paryż ze starych pocztówek, Paryż Hugo i Balzaka, a Paryż współczesny płaszczy się, poniża i szmaci, by zaspokoić oczekiwania przyjeżdżających tu na weekendowe wypadki podstarzałych par, które próbują ratować rozpadające się małżeństwa i właśnie tutaj, podczas spaceru po Polach Elizejskich czy w trakcie kolacji na Wyspie Łabędzi, w ciszy odkrywają prawdę o sobie: że nie ma już czego ratować.

Annette Fillion nie potrafiła uwierzyć, kiedy David opowiedział jej o letnich przygodach i szlaku znakowanym śmiercią: Josefa Rosenberga w Budapeszcie oraz Mayera Hochbauma i Eryka Sandersa w Sewastopolu.

— Naprawdę nie zawiadomiłeś policji? Przecież on popełnił samobójstwo! Był martwy! Nie bałeś się? A jeśli cię ktoś zobaczył? Może cię teraz ścigają? Wystawili za tobą list gończy...

Rozmówca uśmiechnął się łagodnie. Krążyli bez celu między kamienicami.

— Nikt nie zatrzymał mnie podczas przekraczania granicy. Chyba nic mi nie grozi.

— Rozumiesz coś z tego wszystkiego?

— W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy w Mayerze coś się zmieniło. Jeszcze niedawno był gotów poświęcić każdą prawdę, byle tylko nie zadrasnąć swojego najwyższego sacrum: przyczynowości. Na niej zbudował nie tylko całą teorię naukową, ale również filozofię życia. W jakiś sposób musiał sobie poradzić ze śmiercią żony i syna. Hiob miał Jawhe, Mayer przyczynowość. W ostatnim roku zaczął rewidować swój punkt widzenia.

Myślę, że coraz lepiej rozumiał równania Putnisa i znajdował tam niepokojące rzeczy.

— A jest w jego równaniach coś, czego do tej pory nie wiedzieliśmy?

— Teoria unifikacji, która znosi potrzebę przyczynowości. Jest samodualna, odwołuje się sama do siebie, sama siebie uzasadnia i nie potrzebuje żadnej racji zewnętrznej. Stagiryta się mylił. Pierwszy Poruszyciel jest zbędny. Z matematycznego punktu widzenia teoria jest spójna. Wszystko do siebie pasuje i trudno znaleźć lukę w rozumowaniu. Ale cały czas jest z nią jeden problem.

— Jaki problem? — Annette wskazała na kawiarniane stoliki ustawione w ciasnej uliczce. — Wstąpimy na kawę?

David skinął głową.

— Bo to jest matematyka, a nie rzeczywistość. Co z tego, że matematyka jest spójna, skoro nie opisuje rzeczywistości? Rzeczywistość musi wyglądać inaczej... — Zamyślił się, studiując kartę drinków włożoną luzem pomiędzy sztywne okładki menu. — Podobnie jak w teorii strun. Co budziło nasze największe obiekcje? Możliwość zweryfikowania wyników równań. Aby uznać prawo natury, nie wystarczy stosować koherencyjnej teorii prawdy. To za mało. Wewnętrzna spójność matematyki to nie wszystko, musisz skonfrontować model z rzeczywistością, przeprowadzić eksperyment. — Roześmiał się. — Ale w teorii strun nawet matematyka nie była spójna.

— Dlaczego uważasz, że równania Putnisa nie opisują rzeczywistości? Skąd ta pewność?

Droczyła się z nim. Znał ją wystarczająco dobrze, by wyczuć w głosie nutę ironii.

— Bo są sprzeczne ze wszystkim, co do tej pory wiedzieliśmy? — odpowiedział pytaniem na pytanie. — Bo wywracając koncepcję przyczynowości, stawiają na głowie ostatnie pięćset lat nowoczesnej fizyki? Bo jeśli są prawdziwe, możemy wyrzucić do kosza Newtona, Galileusza i Einsteina?

— A może po prostu w ten sposób działa twój mózg? Tak został skonstruowany podczas setek tysięcy lat spędzonych przez nasz gatunek na sawannie. Poznanie nie mówi nic o rzeczy poznawanej, ale o osobie, która poznaje.



W tej chwili nie miał pewności – mówi poważnie, czy żartuje?

— Przestań zgrywać lewicującą humanistkę zaczytaną w Lacanie, Baudrillardzie i Kristevej. Zaraz podważysz istnienie obiektywnej rzeczywistości, powiesz, że fizyka jest jedną z wielu równouprawnionych narracji i wyjedziesz z teorią queer.

Żart rozładował atmosferę. Roześmiała się.

— Ostatnio zajmowałam się przebiegiem procesów poznawczych u chorych na autyzm. W filozofii istnieje pojęcie kontrfaktu, czyli wydarzenia, które mogło się zdarzyć, ale nie nastąpiło. Kontrfakty są kluczowe w myśleniu o przyczynowości. Chorzy na autyzm nie rozumieją i nie potrafią posługiwać się kontrfaktami. Czy żyją zatem w świecie bez przyczynowości?

— Wiem, do czego zmierzasz...

— Putnis chorował na autyzm, a jednocześnie był wystarczająco uzdolniony matematycznie, by spróbować opisać postrzeganą przez siebie rzeczywistość. Zrobił to za pomocą równań, w których z formalnego punktu widzenia nie ma żadnego błędu. Dlaczego zakładasz, że twoja percepcja rzeczywistości jest bardziej poprawna niż percepcja rzeczywistości chorego na autyzm? Tylko dlatego, że autycy są w mniejszości? Kiepski argument.

— Chcesz przez to powiedzieć, że świat nie jest poznawalny?

Kelner postawił na stoliku dwie latte w wysokich szklankach, na jednej piana przelała się przez krawędź naczynia i spłynęła po ściance. David sięgnął po serwetkę, zamierzał wytrzeć skapujący napój. Annette powstrzymała go, kładąc dłoń na jego dłoni.

Siedzieli tak, wpatrzeni w siebie, aż przestał płynąć czas.

# KODA

## TOMASZ

Samolot relacji Kijów–Warszawa ciął gęste chmury. Tomasz miał miejsce przy oknie i większą część podróży trwał w półśnie, opierając głowę o szybę.

Wcześniej, z lotniska, zadzwonił do Emese, by opowiedzieć jej o prezencie w postaci samochodu. Wykręcała się przez grzeczność.

— Daj spokój. Napiszę oświadczenie i prześlę dokumenty pocztą. Wiele ci zawdzięczam. Zresztą w Polsce i tak kupię sobie nowy.

— Sportowy i czerwony. — Roześmieli się. — Uważaj, kiedy przekroczysz czterdziestkę, podwyższą ci ubezpieczenie.

Policjantka nie pytała, co wydarzyło się w Sewastopolu – czy udało mu się odnaleźć córkę i kim był Nathan Tauber. Tomasz nie czuł się zaskoczony. Zamiast tego Emese powiedziała mu o samobójczym strzale w usta Josefa Rosenberga i młodym fizyku z Izraela, poznanym przy tej okazji.

— Wysłałam go za tobą do Sewastopola — powiedziała. — Oczywiście nic na twój temat nie wiedział.

Tomasz przełknął ślinę. Wszystko było oczywiste, ale i tak postanowił zapytać.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi o nim wcześniej, kiedy byłem jeszcze na Krymie? Może gdybym się z nim spotkał i porozmawiał... Sama mówisz, że miałaś wrażenie, że on wiedział o sprawie dużo więcej niż my. Gdybym go przycisnęła... Była jakaś szansa...

Czy spodziewał się innej odpowiedzi? Policjantka walnęła prosto z mostu:

— Przecież ty wcale nie chciałeś jej znaleźć. Wszystko robiłeś na pokaz. Wybrałeś maskę zdesperowanego ojca, męskiego twardziela. Trochę mi zajęło, zanim cię rozgryzłam. Ale kiedy wreszcie wszystko zrozumiałam – dlaczego miałabym ci pomagać, skoro sam tego nie chciałeś?

Wolał tego nie słyszeć.

— Zrobiłeś w konia nawet tak doświadczoną glinę jak Elmar. Należy ci się order imienia Gusztava Borbélya. Byłeś tak świetny w udawaniu, że przez jakiś czas okłamywałeś nawet samego siebie. Tylko ja cię rozpracowałam.

Wołali na boarding i Tomasz musiał urwać rozmowę. Odetchnął z ulgą.

Już coraz bliżej. Za niecałą godzinę brzuch samolotu przetnie pułap chmur i setki metrów w dół wyłoni się Warszawa. Szymkowiak czuł się, jakby wracał do świata żywych po tygodniu spędzonym w grobie. Wszystko niby było po staremu, tylko w ustach czuł dziwny smak, a skóra lepiała się od brudu. Pomyślał, że wystarczy wskoczyć pod gorący prysznic i wyszorować zęby, a wszystko wróci na stare tory.

Wcale nie. Niektórych rzeczy nie możesz robić bezkarnie. Spojrzenie w otchłań cię zmienia. Każdy powracający do świata żywych z drugiej strony przynosi swój sekret. Tomasz również trzymał w sobie coś, o czym wiedział, że nie pozbędzie się tego już nigdy. Coś, co będzie prześladowało go do końca życia, nieważne jak bardzo udanego, nieważne jak długiego, nieważne u czyjego boku: Ewy, Adrianny, Emese czy jakiegokolwiek innej kobiety.

Sierociniec.

Pojechał tam taksówką, kierowany instrukcjami otrzymanymi od Eryka Sandersa. Nie od razu, długo się zastanawiał, czy powinien tak zrobić, aż podjął decyzję. Kazał kierowcy zaczekać na skraju lasu, a sam podszedł do zardzewiałej siatki otaczającej betonowe boisko pełne hałasujących dzieci.

Od razu dostrzegł córkę. Stała na uboczu, ignorując innych. Wokół niej przetaczała się chmara rozwrzeszczanych bachorów w różnym wieku, od przedszkolaków do piętnastolatków. Siwa kobieta ubrana w biały fartuch krzyczała coś po rosyjsku. Alicja stała w typowej dla siebie pozycji – w lekkim rozkroku, na ugiętych nogach – mrużyła oczy i powoli przesuwiała głowę z lewej na prawo. Tomaszowi takie zachowanie zawsze przywodziło na myśl fotokopiarkę – pasek żółtego światła skanuje dokument, proces jest mechanicznie precyzyjny, wychwytuje najdrobniejsze niuanse, ale pozostaje nieświadomy treści, którą przetwarza.

— Alicja! — zawołał. — Alicja! To ja. Tata.

Zupełny brak reakcji. Tomasz machał dłonią.

— Alicja!

Musiał cierpliwie zaczekać, aż znajdzie się w jej polu widzenia. Był takim samym obiektem jak wszystkie inne rzeczy dookoła, nie różnił się niczym od słupa telefonicznego z urwanym kablem, majtającym na lekkim wietrze wiejącym od zatoki, od blaszanych śmietników czy niebieskiego toia dla robotników pracujących przy wymianie asfaltu.

— To ja.

Przez sekundę miał wrażenie, że w oczach córki coś dostrzegł. Odległy błysk, świadectwo procesów myślowych, które działały się wewnątrz jej okaleczonego mózgu. Neurony rozpoznawały wzorzec, następowała rekonfiguracja połączeń, tworzyła się nić porozumienia cienka niczym pajęczyna.

— Alicja!

Co działo się wewnątrz jej głowy? W jaki sposób ośmiolatka patrzyła na świat; jakie rzeczy widziała, jak odbierała rzeczywistość? Co myślała? Czy myślała cokolwiek? A może nie należało przykładać do niej ludzkiej miary, przecież nie była człowiekiem, lecz postczłowiekiem, istotą inną, doskonalszą, wyhodowaną do odmiennych celów, zwolnioną spod części ewolucyjnego brzemienia.

Jego córka nigdy nie będzie babrać się w gównie dorosłego życia: przejmować statusem społecznym, porównywać z innymi, poświęcać większości zasobów mózgu na zarządzanie siecią znajomości, angażować się w monogamiczny związek, snuć niezrealizowanych fantazji seksualnych. Może w tej chwili myśli o rzeczach naprawdę ważnych: rozważa filozoficzny problem poznawalności wszechświata, rozwiązuje równania Wielkiej Teorii Unifikacji, duma nad paradoksami fizyki kwantowej?

Jednak mur, który stał pomiędzy nimi, był zbyt gruby i zbyt wysoki, by dało się to stwierdzić. Jakiegokolwiek poznanie i porozumienie nie wchodziło w rachubę.

Ostatnia nadzieja leżała w najprymitywniejszych emocjach. Przecież był jej ojcem. Dziewczynka zrodziła się z jego nasienia, była nosicielką jego genów. Kiedy on umrze, ona będzie jedyną pamiątką, jaka po nim zostanie. Zatem – instynkty i emocje.

Co by zrobił, gdyby w tym momencie Alicja podbiegła do ogrodzenia, wyciągnęła szczupłe dłonie przez otwory w siatce? Nie bacząc na obecność

groźnej Rosjanki w białym fartuchu, która przyglądała mu się coraz bardziej podejrzliwie – czy przeskoczyłby przez ogrodzenie, rzucił się córce na szyję, przytulił mocno do siebie, czując jej gorący policzek na swoim policzku, słysząc kołatanie serca w chudej, dziewczęcej klatce piersiowej?

Czy może odwróciłby głowę i pobiegł do taksówki?

Nie miał pojęcia. Nie znał się wystarczająco dobrze, by wiedzieć, co zrobi. Na szczęście Alicja oszczędziła mu konfrontacji z prawdą. Stała cały czas w takiej samej pozie, mrużyła oczy i skanowała spojrzeniem przestrzeń.

Tomasz głęboko odetchnął i dał znać taksówkarzowi, by odpalał silnik.

— Krzyknął pan. Czy coś się stało? Źle się pan poczuł — pochyliła się nad nim stewardesa.

— Nie. Zdrzemnąłem się. Musiało mi się przyśnić coś strasznego. Przepraszam.

Dziewczyna uśmiechnęła się wyrozumiale, a on poczuł się zaskakująco dobrze. Czysty wewnątrz, bez żadnych napięć, wyrzutów sumienia i pretensji do świata.

— Jak długo jeszcze?

— Zaczniemy podchodzić do lądowania za około pół godziny.

Kiedy wylądują, powinien zadzwonić do Ewy. Co jej powie? Że wie, dlaczego Alicja jest chora na autyzm? Że to wcale nie wina kota i toksoplazmozy ani tym bardziej rtęci w szczepionkach? Chyba lepiej zachować te odkrycia dla siebie.

Tomasz po raz pierwszy od dawna współczuł żonie.

Po sygnale dźwiękowym zaświeciła się ikonka „Zapiąć pasy”. Samolot zaczął podchodzić do lądowania.

Kto jeszcze czekał na niego w kraju?

Wojciech Elmar i Andrzej Bajbak. Prywatny detektyw dalej żyje; co najwyżej wciąż może mieć złamany nos i wielkiego siniaka na głowie. Może są jakieś paragrafy, że Tomasz uciekł z miejsca bójki, nie udzielił mu pomocy, nie wezwał pogotowia. I co z tego? Był gotów wziąć wszystko na siebie. Patrząc realistycznie, ile może dostać? Stać go na dobrego adwokata. Powinno skończyć się na wyroku w zawieszeniu, może grzywna, w ostateczności kilka miesięcy w więzieniu. No i chuj. Da radę. Jeśli tak ma

wyglądać czyścić, przez który przechodzi każdy wybierający się do raju, jest gotów na podobne poświęcenie.

I wreszcie, na samym końcu, ona – królowa, upragniona nagroda w sercu labiryntu, cel ostateczny, miejsce, w którym zbiegają się wszystkie drogi świata.

Adrianna.

Niczym się już nie martwił. Dawne problemy wydawały się teraz odległe, śmieszne i niepoważne. Kiedy Adrianna była sobą, a kiedy grała, by zrobić mu przyjemność? Jakie ma intencje, dlaczego podjęła taką, a nie inną decyzję, dlaczego chce się z nim związać na poważnie i pozwala, by przy tej okazji rozbił małżeństwo, choć w tym roku obchodziliby z żoną jedwabne gody?

A kogo to obchodzi?

Jeszcze do niedawna miał z tym problem i cholernie się męczył. Nigdy nie poznał Adrianny na tyle, by potrafił spojrzeć na rzeczywistość jej oczami, zrozumieć świat w sposób, w jaki ona go rozumiała. Teraz nadal nie wiedział, jak to zrobić, ale już tego nie potrzebował.

Prawda jest przereklamowana, pomyślał, kiedy samolot schodził do lądowania, a w dole pod nim przesuwwały się zielone prostokąty Ursynowa. Komu na niej zależy?

Ostatnia myśl na chwilę przed, zanim koła samolotu uderzyły z impetem o płytę lotniska. Opowieść Eryka Sandersa i uwaga, że robili wszystko, aby mieć Tomasza pod ścisłą obserwacją i kontrolą. Czyżby spisek sięgał aż tak daleko? Czy jego uczestnikiem mógł też być dyrektor finansowy, który podczas sylwestrowego przyjęcia dwa i pół roku temu zachwalał zbawienne efekty posiadania utrzymanki? Numer do Adrianny dostał przecież bezpośrednio od niego. Może dziewczyna pobierała drugą pensję, od Nathana Taubera, za dyskretny nadzór nad Szymkowiakiem?

Tylko że to już niczego nie zmieni. Nieważne, nie ma się co zastanawiać. Prawda o Adriannie była niedostępna, ukryta zbyt głęboko, by dało się do niej sięgnąć, nie ryzykując bolesnego zderzenia ze szklaną ścianą. Tak zbudowany jest ludzki mózg i nie da się tego obejść, wymyślić drogi na skróty, sforsować niewidzialnej bariery i STĄĆ SIĘ kimś; wejść w głowę innego, być kimś innym, choćby przez ułamki sekund, aby poznać prawdziwe intencje,

zrozumieć rzeczywiste powody działań, zaobserwować świat z perspektywy innej osoby.

W tej chwili chodzi o coś zupełnie innego. Jego prywatne szczęście: świat, którego częścią stanie się Tomasz, już za moment, kiedy na taśmie wyjedzie walizka, a on wyjdzie z chłodnych, klimatyzowanych wnętrza lotniska prosto w letni skwar. Ile w tym wszystkim prawdy, ile aktorskiej gry, udawania – nieważne, nie liczy się. Nie zna Adrianny, nie zna siebie – i nigdy nie pozna.

Ważne było tylko to, że za chwilę wsiądzie do taksówki i pojedzie wprost do mieszkania kochanki. Adrianna opuści żaluzje i zgasi światło, a ciemność, która wówczas zapadnie, będzie ciemnością absolutną.

Patroni medialni:





**powergraph**

**sklep.powergraph.pl**

pełna oferta wydawnictwa